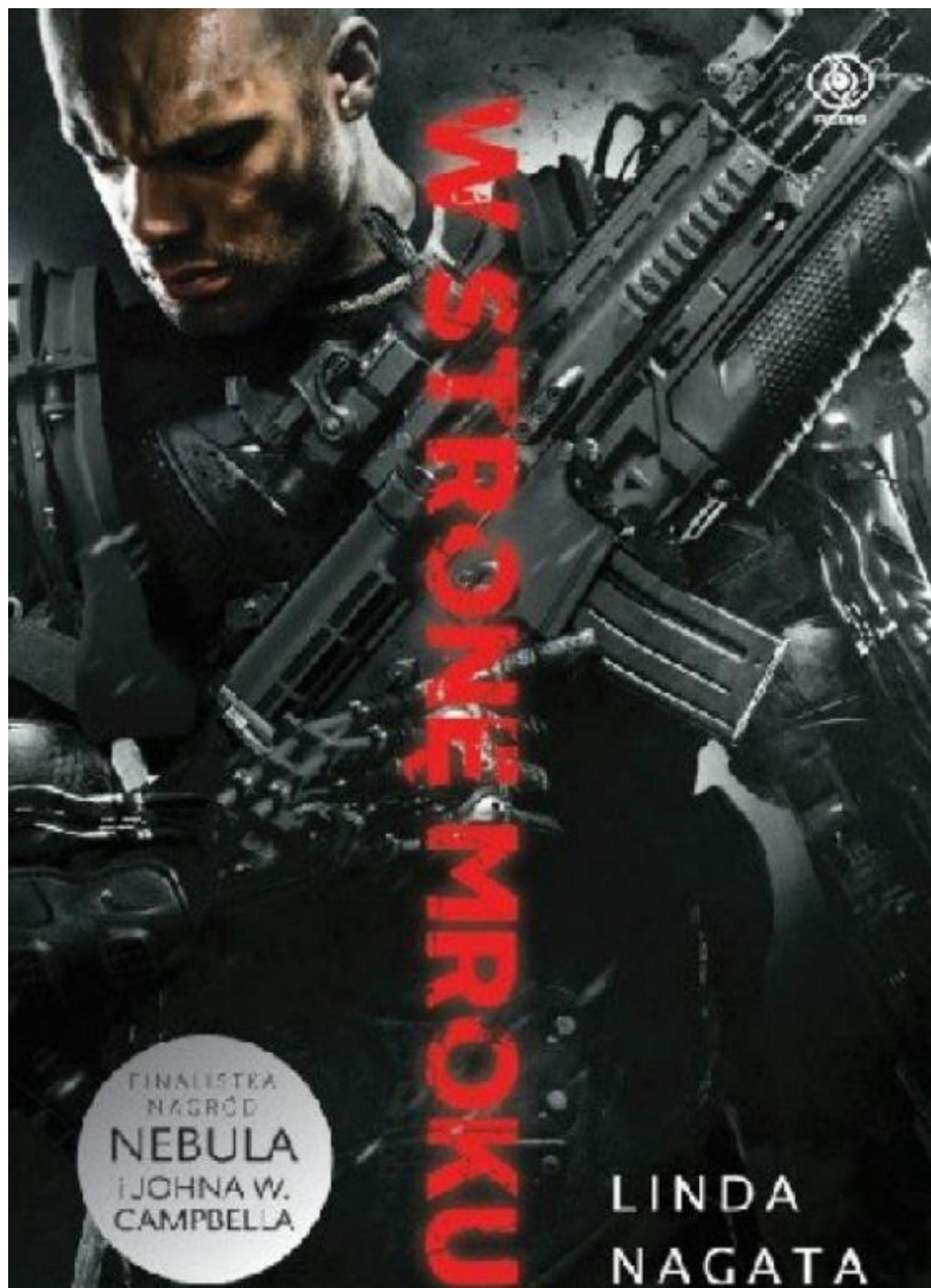




WESTRONGE MIRONOKU

FINALISTEA
NAGRŌD
NEBULA
I JOHN A W.
CAMPBELLA

LINDA
NAGATA



WSTYRONE MIROKU

FINALISTEA
NAGRÓD
NEBULA
I JOHNA W.
CAMPBELLA

LINDA
NAGATA

W STRONĘ MROKU

TRYLOGIA „CZERWIEN”

CZERWIEN

MISJA „BRZASK”

CIĘŻKIE PRÓBY

W STRONĘ MROKU

● ● ● CZERWIEN

W STRONIE MROKU

LINDA
NAGATA

Przełożył Mirosław P. Jabłoński



Dom Wydawniczy **REBIS**

Tytuł oryginału *Going Dark*

Copyright GOING DARK © 2015 by Linda Nagata

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań 2016

Redaktor Krzysztof Tropiło

Projekt i opracowanie graficzne okładki Izabella Marcinowska

Ilustracja na okładce © Larry Rostant

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Wydanie I

Poznań 2017

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74 e-mail:
rebis@rebis.com.pl www.rebis.com.pl

Druk i oprawa WZDZ - Drukarnia „Lega”

**ŻYCIE
POZAGROBOWE**

- Uczestniczymy w nieliniowej wojnie. To oznacza, że nie ma żadnych „stron”. Nie ma prawdziwych sojuszników, ustalonych wrogów ani określonego pola walki. Konflikt przenika dziedzinę finansów, komunikacji, propagandy, terroryzmu i wojskowości w postaci zmieniającej się nieustannie matrycy, która może zniszczyć kulturę, doprowadzić do upadku gospodarkę lub wywołać wojnę, zależnie od wagi i kierunku sprzecznych interesów...

- W tym naszych - przerywa porucznik Logan, jakby to był jakiś ważny kontrapunkt dla mojej argumentacji.

Nie jest.

- W tym naszych interesów - przyznaję. - Bez względu na to, kurwa, jakie one są.

Nazywam się James Shelley, jestem kapitanem Oddziału Uderzeniowego GRK 7-1, połączonej grupy bojowej, która nie istnieje w żadnych oficjalnych dokumentach armii amerykańskiej. Ray Logan jest moim zastępcą. Prowadzimy cichą rozmowę kilka kroków od sześciu żołnierzy przydzielonych do GRK 7-1.

Zajmujemy tymczasowe prycze wstawione do pomieszczenia torpedowego wielozadaniowego okrętu podwodnego typu Virginia, należącego do marynarki wojennej USA, który płynie obecnie pod lodową, zimową czapą Oceanu Arktycznego. Reszta oddziału śpi na prowizorycznych dwupoziomowych kojach, ustawionych podłużnie między zielonymi korpusami torped umocowanych na stelażach. Większości żołnierzy nie widać, przynajmniej tych na dolnych posłaniach, a ich sprzęt leży w porządku na górnych kojach. Tylko Logan i ja czuwamy, naradzając się u końca wąskiego przejścia biegnącego między podstawami prycz i stelaży z torpedami.

- Rzecz w tym - mówię dalej - że dobrzy i źli faceci będą się zamieniać

rolami; będą musieli to robić wraz ze zmianą sytuacji. Nigdy nie wiadomo, kto będzie wrogiem w przyszłym roku albo podczas następnego starcia.

Ray Logan jest biały i ma dwadzieścia cztery lata, czyli rok mniej ode mnie. Ma metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, więc nie jest wysokim mężczyzną, ale jego szczupła sylwetka i rzeźbione rysy twarzy dałyby mu zajęcie statysty, gdyby zamiast wojska wybrał Hollywood. Jest urodzonym wojownikiem i lubi być na czele każdego ataku, więc to, że zerka niespokojnie przez ramię, jakby się obawiał, że ktoś z oddziału nas podsłuchuje, sprawia niemal surrealistyczne wrażenie. Podążam za jego wzrokiem, ale widzę jedynie brzydką bosą stopę Carla Escamilli, wystającą z najbliższej koi.

Logan ścisza głos jeszcze bardziej.

- Jezu, Shelley, nie przyszło mi po prostu nigdy do głowy, że tymi złymi facetami okażą się pierdoleni Kanadyjczycy. To znaczy, moja mama jest Kanadyjką.

- Nieliniowa wojna - przypominam mu. - Zmieniające się sojusze. Jeśli pocieszysz cię to w jakikolwiek sposób: to, co się dzieje w obrębie celu, może nie mieć nic wspólnego z kanadyjskim rządem ani nawet z żadną kanadyjską korporacją.

Nasza obecna operacja nosi kryptonim „Wieża Płowego Konia” i jak każda misja, której się podejmujemy, została nam przydzielona przez Czerwień. Naszym celem jest naftowa platforma wiertnicza o nazwie Deep Winter Sigil. Zimuje na spornym akwenie morskim, do którego Kanada chce zgłosić swoje roszczenia, ale nie płyniemy tam po to, żeby rozstrzygnąć spór terytorialny. Uzyskane przez nas dane wywiadowcze wskazują, że w laboratoriach na pokładzie platformy dzieje się coś niezwykłego, a potwierdzają to tak silne zabezpieczenia, że nawet Czerwień nie jest w stanie ich spenetrować.

Jeśli jakaś tajemnica jest tak mocno strzeżona, to zakładamy, że jest niebezpieczna i może stanowić zagrożenie dla ludzkości.

Nasza misja polega na podpłynięciu cichaczem, wywaleniu kopniakiem drzwi, opanowaniu ośrodka i sprawdzeniu, co się tam kryje. Tego rodzaju przydział nazywamy „operacją kontrolną”. W minionych miesiącach przeprowadziliśmy dwie podobne operacje. W obu wypadkach obiekty okazały się wytwórniami niedozwolonych leków, co nie znajduje się w centrum naszych zwykłych zainteresowań, ale takie jest ryzyko „kontrolowania”.

Wydaje mi się, że jesteśmy wysyłani nieustannie na akcje, gdyż Czerwień jest na tropie konkretnego przedsięwzięcia. Nie wiem, na czym miałyby ono polegać. Mamy coś sprawdzić, a póki tego nie zrobimy, nie wiemy, co znajdziemy. Możemy napotkać absolutnie wszystko - od nieprzezwycięzonej obrony po legalną działalność.

Logan robi kwaśną minę. Jak ja - jak my wszyscy -służył w regularnym wojsku. Dziewięć miesięcy wcześniej należał do sił szkoleniowych USA w Boliwii. Bezpośredni dowódca polecił jego oddziałowi towarzyszyć miejscowej jednostce podczas akcji prewencyjnej, co jest po prostu rodzajem operacji kontrolnej. Logan miał złe przeczucia; twierdził, że dane wywiadowcze są błędne. Miał rację. Kiedy miejscowi żołnierze wywalili drzwi, za nimi były dzieci, żadnych bandziorów. Spalili to miejsce i tak.

- Nienawidzę operacji kontrolnych — mówi z gorzką szczerością.

Chcę mu powiedzieć, że ja też ich nie znoszę, ale zamiast tego oznajmiam:

- Obudzę oddział. Zanim wyruszymy, powtórz z nimi plan misji.

Hierarchia służbowa jest prosta. W oddziale są oficerowie, bo ktoś musi dowodzić, ale nie posługujemy się stopniami podkomendnych. To nie jest konieczne. Żaden z nich nie znalazł się tutaj dla żołdu czy możliwości awansowania.

Skupiam wzrok na słabo widocznej, przejrzystej ikonie znajdującej się na dole mojego pola widzenia. To przycisk polecenia gen-komu. Zwrócenie uwagi na ikonę rozjaśnia ją, dzięki czemu wyróżnia się spośród pozostałych, wyświetlonych na optycznej nakładce, którą noszę jak szkła

kontaktowe.

Ikona podsuwa mi menu, ale ignoruję je i mruczę:

- Ogłoś pobudkę.

Polecenie wywołuje sygnał, który jest przekazywany do wszystkich podwładnych.

Każdy żołnierz mojej PGB ma nakładkę oczną, taką jak moja; wszyscy mamy także neuronetki: wszczepione pod skórę głowy siateczki z cieniutkich drucików; prosta AI kontrolująca neuronetkę zapoczątkowuje program budzenia.

Nie ma momentu przejścia, zmieszania, opieszałości. Żołnierze budzą się jednocześnie, z mechaniczną precyzją. Niektórzy się przeciągają, inni kaszlą, ale przed upływem dziesięciu sekund widzę całą szóstkę - jedni siedzą na krawędziach prycz, inni stoją w przejściu, ale wszyscy patrzą na mnie czujnym wzrokiem, pragnąc poznać naszą sytuację.

Logan przejmuje pałeczkę.

- Odląć się i umyć. Macie pięć minut, a potem przećwiczymy jeszcze raz role i zadania każdego z was.

Oficjalnie wszyscy żołnierze GRK 7-1 zginęli lub zmarli na skutek ran odniesionych w akcjach, ale śmierć nie zwalnia ich od niekończącego się treningu i przygotowań do misji przyrodzonych wojsku, gdyż największa szansa na przeżycie operacji kryje się w zrozumieniu jej w najdrobniejszych szczegółach.

Siedemdziesiąt minut później kapitan okrętu podwodnego przekazuje z przedziału dowodzenia wiadomość, że dzieli nas dziesięć minut od miejsca desantu.

- Wakacje skończone! - warczy Logan. - W samą porę. Ubrać się!

- Hoo-yah! - wykrzykuje Alex Tran, stukając się pięściami z Thomasem Dunaheem.

Wszyscy ruszają się jednocześnie. Nasze plecaki, broń i wyposażenie są już przygotowane. Pozostało jedynie włożyć kombinezony termiczne.

Stłoczeni wijemy się, naciągając je na jedwabne szorty i T-shirty nowej generacji, które są naszą standardową bielizną.

Pianki stanowią półtoracentymetrowej grubości izolację, która sprawi, że nie umrzemy z powodu hipotermii, chociaż możemy wykorkować z powodu przegrzania, jeśli zbyt późno opuścimy okręt podwodny.

Jak wszyscy pozostali naciągam długie nogawki na protezy nóg. Robocie kończyny nie potrzebują ciepła, żeby działać, ale są termiczną czarną dziurą. Jeśli ich nie zabezpieczę, wyssą ze mnie całe ciepło.

Następny idzie obcisły kaptur z maską na całą twarz. Nakładam ją dokładnie. Po desantowaniu nie da się tego poprawić, dopilnowuję więc, żeby pasowała dobrze, nie ograniczała mi pola widzenia ani nie utrudniała oddychania.

Już zaczynam się pocić, ale nakładam kolejną warstwę: termiczny połowy mundur o biało-szarym, zimowym kamuflażu. Identyczny nosiłem podczas misji „Brzask”, bez insygniów i plaketek identyfikacyjnych, które by wskazywały, że należymy do armii Stanów Zjednoczonych - bo do niej nie należymy. Tylko udajemy.

To pomaga dostać się w różne miejsca.

Naciągam wysokie buty, a potem przytraczam kaburę udową z dziewięćmilimetrowym SIG sauerem. Dłonie chronią mi cienkie rękawiczki strzeleckie, ogrzewane elektrycznie.

Ostatnia jest kamizelka kuloodporna, a potem oglądam się na żołnierzy.

Ich buty dudnią o pokład, gdy kończą się przygotowywać. Prostują zgarbione ramiona. Obracają do mnie głowy w szarych kapturach. Widać tylko oczy, błagające, żeby wypuścić ich na mróz.

- Słodki Jezu — mruczy Dunahee. - Jeszcze minuta w tym upale, a się porzygam.

Tkwi ściśnięty pośrodku przejścia. Za nim stoi Fadul, która ma zero tolerancji dla biadolenia.

- Obrzygaj mnie, a wpakuję cię pod lód - ostrzega go swoim cichym, groźnym głosem.

- Powinnaś straszyć nieprzyjaciela, Fadul - przypominam jej, zdejmując plecak z najbliższej górnej pryczy. - Nie swoich towarzyszy i towarzyszek broni.

Wykrzywia usta w bladym uśmiechu, kiedy spotykamy się wzrokiem.

- Mogę i to, i to, kapitanie Shelley.

- To na pewno - mruczy Dunahee.

Pia Fadul jest wysoka i chuda, ma ostrzyżone na jeża czarne włosy i wielkie ciemne oczy. Po atomowym ataku w Dniu Komy jej stacjonujący w Sahelu oddział prowadził działania przez dziewięć dni, nie otrzymując zaopatrzenia ani wzmocnień, aż zużyli całą amunicję podczas obrony przed silnymi atakami. Placówka została w końcu zdobyta przez żądnych zemsty rebeliantów. Widziałem część nagrań z jej kamery hełmowej. Nie chciałoby się czegoś takiego oglądać powtórnie. Nikt nie przeżył. Oficjalnie nie ocalała nawet Fadul.

Thomas Dunahee jest fizycznym przeciwieństwem Fadul - niski, krępy i jasnowłosy. Ukończył studia i pracował w banku, gdy Dzień Komy załatwił gospodarkę, a także jego rodziców i siostry, które mieszkały w Seattle. Zaciągnął się, gdy tylko otwarto ponownie punkty rekrutacyjne. Czternaście miesięcy później zwerbowała go Czerwień.

- Dunahee, obsługujesz drona. Logan, podaj mu anioła.

- Tak jest, sir.

Dron, którego mamy ze sobą, to inny model od tych, których używałem w

regularnym wojsku. Jest niewielki, o mniejszym zasięgu i nie dysponuje łączem satelitarnym. Jednak po złożeniu skrzydeł łatwo go zabrać na tajne misje. Logan zdejmuje urządzenie z górnej koi i przekazuje je Julianowi, który stoi za nim.

- Podaj dalej.

Bradley Julian to weteran z Somalii. Wysoki, chudy, czarnoskóry i ciemnooki, jest naszym milczącym intelektualistą, który ma skłonność do rozmyślań. W tej chwili wygląda na zaniepokojonego za swoją maską - Tran zauważa to, kiedy Julian się odwraca, żeby wręczyć mu anioła.

- Cholera, Julian - mówi. - Nie martwisz się, co? - Jego zęby błyskają w drapieżnym uśmiechu, gdy bierze złożonego drona. - Bez obaw. Mamy Czerwień po swojej stronie, więc jesteśmy pierdolonymi superbohaterami. Nie ma mowy, żebyśmy przegrali.

- Coś ty, kurwa, powiedział? - pytam go.

Cały szereg zamiera.

Tran patrzy na mnie, zmieszany, zaniepokojony, że wpadł po uszy w gówno.

- Myślisz o sobie jak o superbohaterze, Tran?

- To był tylko żart, kapitanie Shelley. Żartowałem sobie z Juliana.

Alex Tran jest chudy i ciemnoskóry; jego afrykańskie geny górują nad wietnamskimi. Ma trzyletnie doświadczenie bojowe z regularnej armii; prawdziwy bohater wojenny, którego czujność ocaliła życie całemu plutonowi, kiedy zamachowiec samobójca wziął ich na cel w Sahelu. Jednak w naszej grupie Tran jest kotem, najnowszym rekrutem w GRK. To oznacza Grupę Reagowania Kryzysowego, gdyby ktoś chciał zapytać, chociaż nikomu się nie chce, gdyż wszystko, co dotyczy naszej tożsamości bądź działalności, jest tajne. Ta misja jest pierwszą operacją Trana w ramach Oddziału Uderzeniowego 7-1. Nadal uczy się żyć w naszym szczególnym, równoległym świecie - w części jednostki duchów tak tajnej, że nawet wojsko nie wie, że istniejemy.

Niepewne spojrzenie Trana wędruje do Juliana, a potem wraca do mnie.

- Sir...
- Nigdy, kurwa, nie ufaj Czerwieni - ostrzegam go.

Nikt się nie rusza, nikt nic nie mówi. Wszystkie oczy są wpatrzone we mnie, wszyscy są świadomi, że wynik tej konfrontacji wpłynie bezpośrednio na operację - a ja jestem wściekły. Na Trana, na samego siebie. Pięć minut przed planowanym desantem to cholernie dużo czasu, żebym sobie uświadomił, że nie udało mi się wpoić nowemu rekrutowi jasnego obrazu naszej sytuacji.

- Działając na podstawie błędnych założeń, pożegnasz się szybko z życiem, Tran. To, że Czerwień wysłała nas tutaj, nie oznacza, że opowiada się po naszej stronie albo że interesuje ją to samo, co nas. To nie oznacza, że nam pomoże. Będziesz uważał inaczej, a narazisz na niebezpieczeństwo nas wszystkich.

Spodziewam się, że ten wykład zaowocuje krótkim: „Tak jest, sir!” i pokornymi przeprosinami, ale zamiast tego wywiązuje się dyskusja.

- Ja to doskonale rozumiem, sir. Działamy sami. Nie oczekujemy pomocy. Nie prosimy o nią. Ale nie byłoby nas tutaj i nie bylibyśmy w stanie w ogóle operować bez nadzoru ze strony Czerwieni.

W trakcie osiemnastu miesięcy od powrotu na Ziemię zauważyłem jedną rzecz: to nie rekruci o religijnym wychowaniu mają problemy ze zrozumieniem ograniczonej natury Czerwieni.

- Jesteś miłośnikiem komiksów, Tran? I filmów o superbohaterach?

Chce zaprzeczyć. Poznaje to po ruchu jego gałek ocznych. Jednak w naszej grupie kłamstwo nie przechodzi, bo wszyscy używamy FaceValue, aplikacji analizującej stan emocjonalny na podstawie wyrazu twarzy i tonu głosu, która interpretuje nastrój w celu oddzielenia prawdy od fałszu. Tran pamięta o tym, więc przyznaje:

- Tak, sir. Jestem ich fanem.

- Tak myślałem. Od tej chwili zapomnisz o wszystkich opowieściach o wszechmocnej, pożerającej świat AI. Nie działamy według komiksowych reguł. Czerwień nie jest nieomylna. Nie jest wszechwiedząca. Zarówno jej zasięg, jak i możliwości są ograniczone. Jej troska o nasze dobro jest ograniczona - nigdy nie zapominaj o tym - i nie opowiada się po stronie aniołów, co oznacza, że my też się nie opowiadamy. Wszyscy jesteśmy tutaj z osobistych powodów, Tran. Dopilnuj jedynie, żeby twoje były zakotwiczone w realnym świecie. Nie jesteśmy superbohaterami. Nie jesteśmy aniołami Boga, uzbrojonymi w ogniste miecze. Jesteśmy zwykłymi żołnierzami.

Tran nadal się buntuje.

- Ale porucznik mi powiedział, sir, że podczas pańskiej ostatniej misji...

- Że Czerwień nam pomogła? - Rzucam przelotne spojrzenie na Logana, który patrzy na mnie; zęby ma zaciśnięte, a wzrok gniewny. - To się zdarza - potwierdzam. - Nie liczymy na to. Nie oczekujemy pomocy, gdyż w większości wypadków nie otrzymujemy jej. Pomyśl o tym. Gdyby Czerwień mogła kontrolować sytuację, to po co by nas w ogóle wysyłała?

Tran postępuje według rozkazu - marszczy brwi i zastanawia się nad moim pytaniem.

- Mówi pan, że jeśli wpadniemy w tarapaty, to sami musimy się z nich wydobyć.

- Możesz działać zgodnie z tą wiedzą? Zgodnie ze zdecydowanym przekonaniem, że jeśli spierdolimy sprawę, to nikt - ani nic - nas nie ocali? Bo jeśli nie, to sugeruję ci, żebyś został.

Tran jest wstrząśnięty moją propozycją. Obrażony. Pełen gniewu, pod którego wpływem prostuje się tak bardzo, że przysięgam, iż rośnie o centymetr.

- Nie, sir. Należę do tego oddziału. Może nie rozumiem jeszcze, jak to wszystko naprawdę działa, ale walczymy z pierdolonym armagedonem.

Tyle wiem. Gównu mnie obchodzi, czy jesteśmy zdani na samych siebie, czy nie. Zamierzam pozostać częścią GRK na czas trwania tej wojny.

Kiwam głową, rozluźniam mięśnie barków i ściszam głos.

- Dobrze wiedzieć. A teraz podaj tego pierdolonego drona Dunaheemu i się ogarnij!
- Mamy dwie minuty spóźnienia - ostrzega Logan.

Przyjmuję to do wiadomości skinieniem głowy.

- Hełmy włącz!

Stajemy się anonimowi za nieprzejrzystymi, czarnymi przyłbicami zakrywającymi całą twarz. Włączają się małe wentylatorki, ale kaptur termiczny niweluje wszelkie efekty chłodzące. Zdejmuję z pryczy mój M-CL1a, czyli ztkh, a potem przyglądam się ikonom przy dolnej krawędzi wyświetlacza, przypisanym żołnierzom oddziału: Loganowi, Roman, Fadul, Escamilli, Dunaheemu, Julianowi i Tranowi. Wszystkie świecą się na zielono - stan normalny. Chcę, żeby nadal były zielone, kiedy misja się skończy.

Logan bierze swoją broń, a potem przeciska się obok mnie na początek rzędu, niosąc złożony egzoskielet. Nasze martwe siostry są zbyt nieporęczne, żeby je nosić w wąskich korytarzach okrętu podwodnego, więc włożymy je na zewnątrz, jeśli tylko wcześniej nie zabije nas udar termiczny. Musimy się stąd wydostać.

Logan stoi w gotowości obok grodzi przedziału torpedowego.

- Rozpocząć operację, poruczniku.
- Tak jest, kapitanie Shelley.

Otwiera ostrożnie drzwi prowadzące do znajdującego się za nimi korytarza i wychodzi na zewnątrz. Ja tuż za nim, z martwą siostrą w jednej ręce, a karabinem w drugiej.

Nasze nagłe pojawienie się zaskakuje dwóch marynarzy. Znikają w górze drabiny prowadzące do centrali, usuwając się nam z drogi.

Idziemy szybko.

U podstawy drabinki wiodącej do klapy wjazdu czeka na nas porucznik marynarki w stroju arktycznym.

- Kamery i czujniki nie wychwyciły niczego na zewnątrz -informuje nas, a jej niespokojny wzrok przenosi się z jednej nieprzeniknionej przyłbicy na drugą. - Nawet misia polarnego.

- Warunki? - pytam.

Odwraca się do mnie z ulgą. Zna mój głos, słyszała go w popularnym programie emitowanym dwa lata temu pod tytułem *Połączona grupa bojowa*. Wie, kim jestem; mogła poznać nazwiska nas wszystkich. To nie ma znaczenia. Na tym etapie załoga stworzy wspólnie własną wersję wydarzeń, która wyjaśni, że jesteśmy specjalnym tajnym oddziałem złożonym z żołnierzy, którzy oficjalnie nie żyją - sami patrioci - i niemal wszystko, co opowiedzą sobie nawzajem, będzie prawdziwe.

- Warunki zgodne z prognozą pogody, sir. Grubość pokrywy lodowej w tym miejscu jest szacowana na dwanaście centymetrów; dosyć, żeby was utrzymać. Temperatura minus czterdzieści stopni, prędkość wiatru między czterdzieści sześć a pięćdziesiąt węzłów, z porywami niosącymi tumany śniegu; zachmurzenie duże.

Już niebawem nie będzie nam gorąco.

Czuję, że pokład pod moimi stopami się przechyla i kołysze delikatnie, a potem rozlega się trzask, kiedy kiosk okrętu przebija skorupę lodu.

Mój hełm wychwytuje i wzmacnia cichy głos dowódcy, który zwraca się przez zestaw słuchawkowy do pani porucznik i pozwala jej otworzyć wjazd. Kobieta wspina się po drabince, uruchamia mechanizm i podnosi klapę, pokonując napór wiatru, po czym ześlizguje się na dół. Zerkam w górę na koło równie czarne, co nasze przyłbice. Jest czternasta czasu standardowego. Dwudziesty trzeci grudnia. Słońce nie pojawi się na tej

szerokości geograficznej jeszcze przez całe miesiące, a o tej porze burzowe chmury zaćmiły nawet światło gwiazd.

Skupiam umysł na wielokrotnie przećwiczonym rozkazie: Ruszać. Moja neuronetka potrafi rozpoznać wzory myślowe towarzyszące popularnym słowom i poleceniom. Wychwytuje myśl i przekłada na bezbarwną, syntetyczną wersję mojego głosu, słyszę zatem siebie samego wypowiadającego to słowo przez gen-kom:

- Ruszać.

Prowadzi porucznik Logan. Zostawiwszy martwą siostrę, pierwszy wspina się po drabince. Potem Escamilla, Dunahee i Tran. Tworzą łańcuszek rąk i przekazują sobie w górę wszystkie egzozskielety, a później rozkładany trap dostarczony przez panią porucznik. Żołnierze znikają w ciemności. Julian, Roman i Fadul idą za nimi. Potem ja, a na końcu pani porucznik.

Kiedy docieram na szczyt drabinki, wiatr uderza ze wściekłą siłą. To jak podciśnienie, opróżnia mi płuca. Z trudem łapię oddech, a gardło piecze nieznośny mróz.

Hełm przystosowuje się szybciej ode mnie. System audio odfiltrowuje wycie wiatru, co pozwala mi słyszeć skrzywienie butów i szkliste trzaski, z jakimi okręt ociera się o krę.

Kiedy schodzę na kadłub, przyłbica przestawia się na noktowizję. Jednocześnie przekaźnik satelitarny w moim plecaku nawiązuje automatycznie połączenie za pośrednictwem naszego bezpiecznego kanału. Na wyświetlaczu zapala się nowa ikona.

- Potwierdzić kontakt - poleca mój przełożony głębokim, łagodnym głosem.

Major William Kanoa był niegdyś dowódcą oddziału, ale z powodu obrażeń kręgosłupa lekarz nie odnowił mu świadectwa zdrowia uprawniającego do służby polowej. Teraz jest moim zdalnym opiekunem.

- Łączność potwierdzona - odpowiadam, obserwując Logana i Escamillę, którzy rozkładają trap: dwudziestocentymetrowej szerokości kładkę

wiodącą ku niespełkanemu lodowi. Potem jednak, gdyż misje są niekiedy odwoływane w ostatniej chwili, pytam: - Trzymamy się planu?

- Potwierdzam. Sigil pozostaje celem. Musimy wiedzieć, co się dzieje w tamtych laboratoriach...

Wzdrygam się gwałtownie, gdy włącz za moimi plecami zatrzaskuje się z hukiem. Zespół stresu pourazowego. Serce mi wali i muszę zwalczyć chęć odwrócenia się z ztkh gotowym do strzału. Nie chcę przerazić pani porucznik, która przechodzi obok mnie, żeby sprawdzić trap.

W rogu mojego pola widzenia rozjaśnia się ikona. To misterna czerwona siateczka w czarnym kółku - znaczek neuronetki, którego żarzenie się informuje o aktywności w okablowaniu mojej głowy - o sygnałach wysyłanych do mózgu w celu uwolnienia substancji neurochemicznych, które przywrócą mi równowagę ducha.

Rzadko już widuję ikonę neuronetki, więc teraz jej pojawienie się mnie irytuje. Nie potrzebuję elektronicznej niańki opiekującej się mną cały czas. Nauczyłem się panować nad emocjami.

Gaśnie po sekundzie.

- Jest problem - odzywa się Kanoa. Jego ton się zmienił, stał się cichszy, bardziej kojący. To mi mówi, że zauważył mój skok emocjonalny, i jestem jeszcze bardziej zirytowany.

- Jaki? - pytam, gdy Fadul pierwsza przechodzi po trapie.

- Oscar-1 ma opóźnienie. Problem z paliwem. Będzie zwłoka w podjęciu was.

Oscar-1 to Jason Okamoto, były pilot wojskowy, który wyciągnął nas z kilku paskudnych opresji. Ma nas zabrać należącym do GRK 7-1 małym dziewięcioosobowym zmiennopłatem, kiedy będziemy gotowi się wycofać.

- Jak duże opóźnienie? - pytam. Fadul dociera bez przeszkód na stały lód. Odczepia się od linki bezpieczeństwa.

Logan przymocowuje jej drugi koniec do jednej z martwych sióstr. - Wypadł z gry?

- Nie wiadomo, ale szukamy sposobów zastępczych, gdyby nie dał rady.
- Przyjąłem.

Nie podoba mi się to, ale ewakuacja po operacji była zawsze najtrudniejszą częścią misji „Wieża Płowego Konia”, więc ufam Kanoi, że znajdzie sposób na wyciągnięcie nas stąd.

Przyglądam się martwej siostrze, która sunie po trapie między dwiema linami zabezpieczającymi. Kiedy znajduje się po drugiej stronie, Logan przyciąga obie linki, po czym z pomocą pani porucznik przygotowuje do wysyłki kolejny egzozskielet.

Gdy transportują nasz rynsztunek, obracam się wolno, żeby moja kamera hełmowa zarejestrowała nocną panoramę rozciągającego się wokół nas pola lodowego.

Znajdujemy się czterysta kilometrów na północ od należącej do Kanady Wyspy Ellesmere'a i jedynie trzysta pięćdziesiąt kilometrów od bieguna północnego. Najbliżej nas tumany niesionego wiatrem śniegu, zabarwionego w noktowizji na zielono, gnają w rynnie gładkiego lodu, ale pół kilometra dalej pokrywa staje się rumowiskiem spękanej kry - spiętrzonych i zbitych razem płyt lodu.

- Lód się rusza - odzywa się ponownie Kanoa. - Wysyłam zaktualizowaną mapę.
- Przyjąłem. Jakież dodatkowe dane wywiadu na temat celu?
- Nie. Żadnego przekazu elektronicznego.

Kanoa uratował mi życie tej nocy, której wróciłem na Ziemię. Wyciągnął mnie z zimnych wód Pacyfiku, a kiedy przestałem się trząść, zaoferował mi szansę zrobienia czegoś, bycia częścią siły uderzeniowej GRK, oddziału duchów, wykonującego operacje wyznaczone przez Czerwień. Czasami mam trudności z wybaczeniem mu tego - że dał mi wybór.

Wszystkie martwe siostry zostały przetransportowane na lód. Następnie przechodzi oddział - przed wejściem na chybotały trap każdy żołnierz przypina się do liny bezpieczeństwa. Kiedy ja przechodzę, powierzchnia wody zamarza już ponownie. Idę po wąskiej kładce szybko, lecz ostrożnie, licząc na to, że pani porucznik wyciągnie mnie, jeśli się poślizgnę.

Nie dochodzi do tego.

Docieram na pole lodowe i odczepiam linę bezpieczeństwa, która się zwija, a potem porucznik składa trap, jeden segment po drugim. Na lód wokół mnie spadają plecaki, a martwe siostry są rozkładane.

Otwieram mapę na wyświetlaczu przyłbicy. Pokazuje nasz cel na południu, południowym wschodzie, odległy jedynie o pięć kilometrów. Czujniki okrętu podwodnego nie wykryły w pobliżu sił nieprzyjaciela, ale nie jesteśmy bezpieczni. Nawet przy tym wietrze zręczny snajper mógłby nas zaatakować z odległości pół kilometra. Może nawet większej. Kiedy obracam głowę, szpony wichury przenikają pod krawędź hełmu, przez co skóra mi pierzchnie.

- Dunahee! Wypuść anioła w powietrze. - Muszę widzieć więcej. Potrzebuję widoku okolicy w czasie rzeczywistym. -I pamiętaj, do cholery, żeby mieć go na uwięzi.

- Rozumiem, sir!

Dunahee nałożył dopiero połowę rynsztunku, więc Roman pomaga mu zapiąć zatrzaski.

Rosanna Roman jest naszym strzelcem wyborowym. Wzrostem dorównuje Fadul, ale jest smuklejsza. Jej oczy za przyłbicą są niebieskie, a włosy jasnobrązowe. W Dniu Komy oddział Roman znajdował się na Półwyspie Koreańskim i kulił się pod artyleryjską nawałą ogniową błyskawicznej wojny, którą później skruszeni dyplomaci uznali za „nieporozumienie” - znaczyło to tyle, że Stany Zjednoczone nie były tak bezsilne, jak niektórzy na to liczyli. Kanoa uważa, że kiedy po czterech i pół godziny walk uzgodniono zawieszenie ognia, tylko minuty dzieliły

świat od tego, żeby konflikt nabrał charakteru starcia nuklearnego. Za późno dla Roman, która następnym siedem miesięcy spędziła w szpitalu w Honolulu, gdzie w końcu „zmarła” z powodu odniesionych ran.

Rozkładałam martwą siostrę. Wiatr niemal ją porywa. Escamilla jest już w pełnym rynsztunku, podchodzi więc i przytrzymuje egzozkielet w pozycji pionowej, kiedy wchodzi na płyty stopowe.

- Pierwszy raz wkładam sprzęt podczas zamieci - mówię mu.
- Taa, zawsze nowy dreszczyk w tej robocie.

Carl Escamilla jest wysoki i barczysty. W jego twarzy o ostrych rysach nie ma nic miękkiego, tak jak i w jego poglądach. Widział bardzo dużo. Zanim eksplodowały ładunki jądrowe, wrócił z Sahelu do domu jako weteran o dziewięcioletnim stażu bojowym. Gdy w okolicy wybuchły zamieszki, wyznaczono go do oddziału alarmowego, strzegącego obiektu wojskowego. Ludzie panikowali. Słyszałem, że jego były dowódca jest oskarżony o masakrę, w której zastrzelono dwadzieścioro siedmioro uciekinierów szukających schronienia za drutami.

Jak nami wszystkimi, kieruje nim to, co widział i zrobił. Niepodważalny fakt jest taki, że nasz świat jest nieźle pojebany. Może GRK będzie w stanie nieco to odkręcić. Jeśli się uda, to może śmierć i cierpienie, których byliśmy świadkami, nie pójdą na marne.

Kto to jednak wie, do diabła?

Z pomocą Escamilli przypinam tytanowe wsporniki do nóg i ramion. Zarzucam plecak na tylny stelaż. Ztkh trzymam w rękach.

- W porządku - oświadcza Escamilla.

W gen-komie rozlega się cichy, rytualny gwar, gdy oddział dokonuje zwyczajowej kontroli działania sprzętu, potwierdzając, że rynsztunek każdego jest prawidłowo przypięty i ma pełne zasilanie. Zostawiam Logana, żeby to nadzorował, a sam dołączam do Dunaheego i Roman.

Kucają na lodzie; z powodu wściekłego wiatru Roman pomaga

przytrzymywać drona, który ma kształt ostrza, a Dunahee wyjmuje tytanowy zatrask ze schowka w jego kadłubie. Za sprzączką wysuwa się linka spleciona z syntetycznego jedwabiu; kolejne pół kilometra uwięzi nawinięte jest na szpulę pod obudową anioła. Dunahee zaczepia karabińczyk za pętlę przy swojej kamizelce kuloodpornej. Roman rozkłada wąskie skrzydła drona. Zadarte w górę winglety są oddalone o metr.

Obserwuję wyświetlacz przyłbicy, na którym AI anioła loguje się w postaci zielonej ikony; wszystko w normie.

- Anioł online - informuję Kanoę.
- Potwierdzam: anioł online.

W reakcji na mój wzrok otwiera się menu. Wybieram przekaz wideo i widzę noktowizyjny obraz zdeptanego śniegu obok plecaka Fadul.

- Anioł patrzy.
- Potwierdzam.

Dunahee bierze drona od Roman. Usuwam się z drogi, gdy zadziera nos urządzenia.

- Wypuszczam anioła - mówi przez gen-kom.
- Rozumiem.

Pozwala porwać go wicherze. Anioł wystrzeliwuje w dal, linka rozwija się za nim, albo przynajmniej na to liczę. Uwięź jest tak cienka, że na tle śniegu nie widzę jej nawet w noktowizji.

Po kilku sekundach przestaję widzieć też anioła. Ginie mi z oczu na tle nisko i szybko pędzących chmur. Jednak kamery urządzenia działają, patrzą w dół na wypiętrzoną i połamaną krę oraz przed siebie, ku naszemu celowi.

- I oto jest - mówi Kanoa.

Deep Winter Sigil, upstrzona energooszczędnymi światłami, wygląda jak drapacz chmur w sylwestra. Anioł widzi ich refleksy na brzuchach gnających chmur.

Budząca kontrowersje platforma została przyholowana w to miejsce zeszłego lata, kiedy lód topniał. Jej obecność jest pierwszą salwą nadciągającej wojny terytorialnej.

Sigil to platforma pływająca - unosi się na powierzchni oceanu, a jej konstrukcja wspiera się na ogromnym pustym cylindrze, który sięga ponad dwieście metrów w głąb, żeby zapewnić jej stabilność. Przymocowane do dna cylindra kable opadają kolejne tysiąc metrów ku oceanicznej półce, zapewniając Sigil stałą pozycję nawet pomimo naporu lodu - przynajmniej na razie.

Nikt naprawdę nie wie, czy na szelfie jest ropa. Z nastaniem zimy zaprzestano wstępnych odwiertów badawczych, ale mała załoga złożona z techników i naukowców pozostała na platformie aż do połowy października, kiedy to personel techniczny zredukowano o połowę, odcięto łączność elektroniczną, a do strzeżenia obiektu i reszty ekipy wynajęto prywatną firmę ochroniarską - oficjalnie z obawy przed możliwymi aktami piractwa bądź sabotażu.

Jeśli dane naszego wywiadu są dokładne, to na platformie wiertniczej znajduje się teraz dziesięciu doświadczonych najemników. Być może w tym nadciągającym konflikcie owi ochroniarze okażą się dobrymi facetami, a my tymi złymi. Być może naukowcy przebywają na pokładzie Deep Winter Sigil naprawdę po to, żeby badać dynamikę paku lodowego i zimowe zwyczaje wędrujących białych niedźwiedzi.

Ale kurewsko w to wątpię.

Czekamy, podczas gdy uwięź anioła się rozwija. Nadal nie widzę linki z pajęczego jedwabiu, ale słyszę, jak brzęczy napięta. Dźwięk zmienia się, gdy anioł zaczyna skręt w poprzek linii wiatru, posłuszny standardowej procedurze, która każe mu lecieć zakosami, co pozwoli zbadać szeroki pas

terenu.

Sigil może generować dość energii, żeby jej oświetlenie zewnętrzne było włączone, ale nasze zasoby energetyczne są ograniczone. Akumulatory zasilające martwe siostry mogą zapewnić dwunasto-, szesnastogodzinne działanie; życie anioła jest krótsze.

- Kanoa, anioł nie ma wystarczającego zapasu energii, żeby utrzymać standardowy wzorzec poszukiwań pod wiatr.

- Przyjąłem. Anuluję algorytm. Spróbuję ponownie zainicjować standardową procedurę poszukiwań, kiedy zbliżycie się do celu.

Aż do tego momentu będziemy dysponowali jedynie ograniczonym obrazem terenu i mamy szczęście, że widzimy choć tyle. Gdyby wiatr wiał w przeciwnym kierunku, anioł zostałby zdmuchnięty za nasze plecy zamiast przed nas.

Dunahee stęka i chwieje się, gdy dron szarpie, rozwiniawszy całą linę.

- W porządku, Dunahee? - pytam przez gen-kom.

- Tak jest, sir.

Bycie związanym z aniołem to główniany przydział, ale gdyby dron nie był przy tym wietrze na smyczy, to przed upływem kilku minut zniknąłby za horyzontem i przepadł.

Wiodę wzrokiem po ikonach oddziału. Wszystkie świecą się nadal na zielono. Powinniśmy być gotowi. Upewniam się co do tego u mojego zastępcy:

- Logan, sytuacja?

- Oddział w rynsztunku i gotowy, kapitanie Shelley.

No to tyle.

Odwracam się w stronę okrętu podwodnego. Pani porucznik już nie

widać. Właz jest zamknięty. Wyciągam przed siebie prawe ramię i wystawiam kciuk w górę. Chwilę później okręt zapada się pod powierzchnię lodu i jesteśmy zdani na siebie.

- Logan, chcę Dunaheego na szpicy, żeby nikt nie zaplątał się w linkę.
- Zrozumiałem, kapitanie.
- Dunahee, powinienesz widzieć na swojej przyłbicy wyznaczoną ścieżkę.
- Widzę ją, sir.

Wyznaczona trasa to niebieska linia na mapie, lecz na naszych wskaźnikach refleksyjnych wygląda jak słabo błyszczący szlak nakreślony na lodzie.

- Podążaj wzdłuż ścieżki, kieruj się jednak także własnym rozeznaniami. Dron ostrzeże nas, jeśli wykryje ślad termiczny cienkiego lodu lub otwartą wodę, ale postrzeżenie anioła będzie ograniczone, więc posuwaj się ostrożnie. Jeśli wpadniesz pod lód, czeka cię kurewsko długa droga na dno.

Żołnierz zwiadu piechoty w pełnym rynsztunku pójdzie na dno jak kamień. To nie jest teoria. Widziałem to na własne oczy.

Dunahee rusza. Logan idzie za nim, a potem kolejni, jedno po drugim: Fadul, Escamilla, Tran, Julian, Roman, a na końcu ja.

Płyty stopowe naszych egzozkolek są zaopatrzone w małe trójkątne kolce, które wbijają się w lód, ograniczając ślizganie się. Szlakiem, który sprawdził już Dunahee, idziemy gęsiego, oddzieleni jedno od drugiego o standardowe trzydzieści metrów, żeby zmniejszyć liczbę ofiar na wypadek ataku granatem z wyrzutni RPG.

Niebawem gładki lód świeżo zamrożonego kanału zostaje za nami. Czekają nas lodowy chaos.

Spękane kry z zeszłego lata szczepiły się w burzliwych jesiennych sztormach i zamarły, tworząc poszarpany obszar połamanych płyt i

wierzchołków wznoszących się niekiedy nawet na dwa metry. To bardzo trudny teren, ale posuwamy się nieustannie, gdyż Dunahee prowadzi nas najłatwiejszą do pokonania ścieżką wyznaczoną na obrazie satelitarnym przez bojową AI, która koordynuje funkcjonowanie oddziału, a także dzięki temu, że wspomagane wsporniki naszych martwych sióstr zmniejszają wysiłek niezbędny do wykonywania długich, efektywnych susów, jakimi poruszamy się po nierównym lodzie.

Nie pada, ale widoczność jest i tak ograniczona przez wiatr, którego porywy unoszą śnieg i tworzą zadymkę utrzymującą się w powietrzu w postaci woalu, który przesłania światło otoczenia wykorzystywane przez noktowizję. Anioł widzi w noktowizji, ale jest także wyposażony w kamerę termowizyjną, a podczerwień penetruje z łatwością śnieg. Zatem po raz pierwszy widzę błyszczącą konstrukcję Deep Winter Sigil w postaci wyraźnego, cyfrowo przetworzonego, czarno-białego obrazu wideo.

Platforma składa się z trzech pokładów wznoszących się nad okrągłym postumentem otoczonym przez lód. Na dwóch pierwszych poziomach znajduje się płatanina rur i cylindrycznych zbiorników ujętych w skrzyżowane belki i oświetlonych przez jasne reflektory. Trzeci pokład jest odkryty. Północna strona, ta, z której nadchodzimy, to mrowie sprzętu przemysłowego oraz dźwig. Pośrodku sterczy kolumna wiertnicza. Dron patrzy na nią pod niskim kątem, który nie pozwala mi dostrzec dwupiętrowego kompleksu gabinetów, laboratoriów i pomieszczeń mieszkalnych po południowej stronie, ale widzę ich światła, które lśnią na lodzie i odbijają się w wirującym śniegu niesionym wiatrem. Kolejne światła ozdabiają wieżę wiertniczą, część z nich jest skierowana w dół na lądowisko śmigłowca, zbudowane na dachu kwater mieszkalnych i wystające ponad lód.

Ku mojemu zaskoczeniu na lądowisku stoi namiot ochronny, w większości zasłonięty przez konstrukcję Sigil. Widoczny jest jedynie jego okrągły czubek, ale to wystarcza, żebym się dowiedział, że na miejscu znajduje się helikopter.

- Kanoa, co tutaj robi śmigłowiec? Czy przywieziono dodatkowy personel?

- Wywiad to sprawdza.

Idziemy dalej. Nie jestem gotów zasugerować odwołania misji, ale odstępstwo od planów, jakim jest obecność helikoptera, niepokoi mnie nawet bardziej niż opóźnienie Oscara-1. Wydział naszego wywiadu nie powinien był przeoczyć czegoś tak rzucającego się w oczy. Czerwień nie powinna była tego przeoczyć.

Po siedmiu minutach Kanoa zgłasza się z odpowiedzią:

- Dotarliśmy do planu lotów, który odnotowuje jedynie lot zaopatrzeniowy. Żadnego dodatkowego personelu. Ze względu na oddalenie od cywilizacji pilot postanowił przypuszczalnie przeczekać złą pogodę.

Posuwamy się dalej i docieramy bez żadnego incydentu na odległość ponad dwóch kilometrów od celu, a wtedy anioł ogłasza czerwony alarm. Zaznacza na mapie źródło sygnału elektromagnetycznego — potencjalnego wroga - sto trzydzieści metrów na południowy wschód od Dunaheego. Opadamy wszyscy do przykłąku. To sprawia, że między mną a źródłem sygnału znajduje się niski grzbiet przecinający linię wzroku. Patrę więc oczami anioła, ale nic nie widzę. Noktowizja i termowizja zawodzą w wykryciu wroga.

- Wtargnęliśmy na teren strzeżony przez czujniki -stwierdzam. - Przypuszczam, że nieprzyjaciel wie, że się zbliżamy.

Pierwsza reaguje szeptem Roman:

- Kurwa mać.

- Potwierdzam - warczę.

Od tego momentu jest duża szansa, że misja zamieni się w strzelaninę na lodzie. Jeśli dojdzie do tego, to nie chcę, żeby wróg mógł znać nasze położenie dzięki konstelacji czujników ruchu, umieszczonych na polu walki.

- Fadul, znajdź to urządzenie. Zniszcz je. Potem przeczesz zachodnią stronę. Poszukaj kolejnych.

- Tak jest, kapitanie.

Fadul jest sto pięćdziesiąt metrów przede mną. Miga mi jej postać, gdy nisko pochyłona opuszcza szereg, a rozpory martwej siostry wspierają ciężar jej oraz plecaka.

- Julian, idź szerokim łukiem na wschód. Zobacz, co znajdziesz.

- Tak jest, sir.

- Dunahee, potrzebuję anioła z przodu.

- Rozumiem, sir.

- Trzymaj się wytyczonej trasy. Będę szedł za tobą. Reszta, rozproszyc się. Wybierzcie własne ścieżki. Ruszać się żwawo. Musimy jak najszybciej podejść do celu. I obserwujcie mapę, do kurwy nędzy, w poszukiwaniu cienkiego lodu. Jazda!

Dunahee rusza niemal dwa razy szybciej niż do tej pory, wspinając się i ześlizgując, wspomagany przez martwą siostrę w obchodzeniu bloków lodu i przemykaniu nad ich krawędziami. Za nim ruszają Logan i Tran, kierując się na zachód, podczas gdy Escamilla zmierza na wschód, za Fadul. Roman trzyma się blisko Dunaheego.

- Masz coś, Kanoa?

- Nie, Shelley.

Czerwony alarm drona zapala się jeszcze dwa razy, gdy uruchamiamy kolejne dwa sensory.

- Kto najbliżej, załatwić je!

Przeciwnik oznaczył nasze pozycje, ale promieniowanie elektromagnetyczne czujników ujawnia nam ich położenie.

Kanoa nadal analizuje przekaz wideo z drona.

- Brak jakiegokolwiek aktywności na platformie - donosi z niezachwianym spokojem. - Żadnych śladów wroga na lodzie. Nadzór satelitarny nie ujawnia stanowisk broni...

- RPG! - wołam przez gen-kom, reagując na niewielki błysk odrzutu z granatnika pięćset metrów na wschód od platformy.

To zbędne ostrzeżenie. Pocisk porusza się tak szybko, że trafia w cel, zanim wypowiadam ten skrót. Padam na brzuch, a moja przyłbica czernieje przelotnie, osłaniając oczy przed blaskiem kuli ognia. Grzmot przetacza się w powietrzu i wprawia lód w drzenie.

Przyłbica się oczyszcza. Przyglądam się ikonom członków oddziału. Wszystkie są zielone, dzięki Bogu. Żadnego alarmu, żadnych rannych... Żadnego obrazu z drona.

- Anioł spadł - informuje nas Kanoa.

Kurwa.

Podciągam nogi pod siebie, wbijam kolce płyt stopowych w lód i wstaję. Myślę: Mapa, a neuronetka wychwytuje polecenie. Błada ikona mapy jaśnieje i się rozwija. Normalnie aktualizuje się na podstawie danych przesyłanych przez anioła, ale działa także w linii wzroku i pokazuje mi większość żołnierzy; są przykucnięci. Tylko Fadul i Escamilla znajdują się w ruchu.

- Roman! - Chcę, żeby mój najlepszy strzelec uczestniczył w tej grze. - Spróbuj znaleźć jakieś parometrowe wywyższenie. Mam najemnika na lodzie. Chcę, żebyś znalazła tego skurwiela i go załatwiła.

- Rozumiem.

Mapa pokazuje mi Roman siedemdziesiąt metrów na południe ode mnie. Sprawdzam, czy nie ma między nami cienkiego lodu, a potem gnam, żeby dołączyć do niej. Biegnę wielkimi susami, waląc mocno płytami stóp, żeby się nie poślizgnąć.

Fadul odzywa się w gen-komie rzeczowym tonem:

- Granat.

Bum!

Pomimo jej ostrzeżenia wzdrygam się. To sprawia, że się ślizgam i niemal przewracam.

- Jeden sensor załatwiony, kapitanie - melduje Fadul.

Widzę kolejny rozbłysk z wyrzutni RPG.

- Fadul...

Chcę jej powiedzieć, żeby się schowała, ale jest już za późno. Eksplozja wstrząsa lodem. Nie mam czasu się przekonać, czy Fadul oberwała. Zamiast tego podrywam się ponownie do biegu. Najlepsze, co mogę teraz zrobić, to pomóc Roman załatwić przeciwnika.

Przynajmniej ona nadal żyje. Widzę ją przed sobą, jak posługując się hakami ramiennymi martwej siostry, stara się wgramolić na pochyły blok lodu, który sterczy skosem na dwa metry w górę.

- Jestem za tobą - ostrzegam ją.

- Tracę chwyt. Zsunę się!

- Nie. - Kucam pod jej płytami stopowymi i podsadam ją, po czym stawiam jej stopy na rozporach moich barków.

- Równno?

- Uciągnie.

Celuje, leżąc na brzuchu na poszarpanej powierzchni lodu. Podłączam się do wyświetlacza jej przyłbicy, żeby widzieć to samo co ona.

Kanoa ubiega mnie w tym.

- Namierzony - mówi, kiedy w polu widzenia Roman pojawia się kółko celownicze.

AI oznacza wroga w odległości siedmiuset metrów. Roman ma wiatr w plecy. Mierzy i strzela szybko trzy razy. Wszystkie pociski trafiają w grzbiet lodu o wysokości kilkudziesięciu centymetrów. Coś się porusza za tą osłoną: mała postać w białym stroju maskującym, w martwej siostrze i z noktowizorem. Podrywa się, pojawiając się w polu widzenia, a potem przewraca się w tył.

- Cel załatwiony - szepcze Roman.

- Potwierdzam - mówi Kanoa.

Wstrzymuję oddech i przyglądam się ikonom członków oddziału, starając się stwierdzić, kto oberwał od RPG, ale wszystkie znaczki świecą się na zielono.

- Potwierdzam. Żadnych ofiar?

Po sekundzie Kanoa powtarza:

- Żadnych ofiar.

Odsuwam się, żeby Roman mogła zjechać w dół po lodzie. RPG to budząca cholerną groźbę broń, ale na większy dystans ma głównianą celność.

Mimo to Dunahee jest przerażony.

- Skurwiel strzelał do mnie! Wywalił w lodzie czarną dziurę!

- Bydlak był już na zewnątrz, zanim tutaj dotarliśmy -mówię. - Na patrolu z granatnikiem, jak z bronią osobistą. Cokolwiek tam ochraniają, nie żartują. Ruszamy więc, i to szybko! Marsz!

Uderzyć mocno, zanim przeciwnik zdoła się w pełni przygotować, to nadal nasza najlepsza taktyka. Biegnę więc, zmniejszając dystans między sobą a jasnymi, radosnymi światłami Deep Winter Sigil. Na drodze do tych

światel znajduje się potężny blok lodu, wyglądający jak pozostałość góry lodowej, o stromej ścianie wznoszącej się na cztery metry ponad powierzchnię otaczającego go białego pola. Biegnę tam, wykorzystując wyniosłość jako osłonę. Nie może nas spowolnić jakaś przeciągająca się wymiana ognia. Tutaj, zdani na własne siły, w ciemności nocy polarnej nie mamy możliwości ponownego naładowania martwych sióstr. Musimy się wycofać, zanim ich zasobniki energii wyczerpią się całkowicie, albo opanować platformę i podłączyć się do sieci elektrycznej Sigil. Inaczej przegramy.

Biegnąc, pytam sam siebie: Co bym zrobił, gdybym był dowódcą najemników na pokładzie Deep Winter Sigil?

Platforma wiertnicza to zdumiewające osiągnięcie techniki, ale nie jest fortecą. Nie została zaprojektowana do oparcia się szturmowi oddziału uzbrojonego w granaty i broń automatyczną. Gdybym dowodził jej obroną, nie narażałbym życia moich klientów, czając się w środku. Nie wdawałbym się w walkę, która z pewnością zniszczyłaby to, do czego ochrony zostałem wynajęty. Zamiast tego wysłałbym żołnierzy na lód po południowej stronie platformy, poza zasięgiem wzroku przeciwnika. Podzieliłbym ich na dwie grupy, po czym wyekspediował jedną na wschód, a drugą na zachód, polecając im wykorzystywać poszarpany lód jako osłonę w drodze na pozycje, które pozwolą wziąć napastników w ogień krzyżowy.

Gdybyśmy dysponowali nadal wzrokiem anioła, widzielibyśmy ich manewr.

Nie widzimy.

Przede mną eksploduje grudka lodu. Instynktownie rzucam się w bok, ląduję na wsporniku ramiennym i przetaczam się, starając się zrozumieć cokolwiek ze złowieszczonego rozmazania czerwonych i żółtych ikon rozbłyskujących na wyświetlaczu przyłbicy. Obracam się na brzuch,

słyszając kanonadę z broni automatycznej - każdy strzał to ostry, głośny trzask na dźwiękowym tle stłumionego ryku srożącej się wichury. Zerkam na ikony członków oddziału, ale zbladły, stały się półprzezroczyste, trudne do zauważenia, gdyż nasza bojowa AI chce, żebym się skupił na walce, widzę jednak dość, żeby wiedzieć, że mamy rannych, w tym jednego oznaczonego czerwienią stanu krytycznego.

- Kanoa, raport o obrażeniach! - Mógłbym ściągnąć te dane, ale szybciej jest zapytać.
- Julian trafiony, stan krytyczny. Dunahee i Fadul ranni, ale mobilni.
- Szacunkowa liczba przeciwników?
- Co najmniej sześciu na łodzie.

Rozglądam się. Metr dalej znajduje się niski grzbiet. Ma tylko niecałe pół metra wysokości i nie jest na tyle gruby, żeby powstrzymać pocisk, ale zapewnia osłonę przed wzrokiem, a to lepsze niż nic. Pełznę ku niemu na brzuchu, obracam się na plecy, a potem wysuwam ponad wypiętrzeniem lufę ztkh i korzystam z kamer lufowych, żeby się rozejrzeć.

Nie widzę wiele, gdyż góra lodowa znajduje się zaledwie trzydzieści metrów dalej, blokując mi widok na platformę.

Frustruje mnie to. Jestem, kurwa, ślepy. Nie mam kontaktu wzrokowego z przeciwnikiem, z celem ani nawet z własnymi żołnierzami. Gdyby Delphi była nadal moją opiekunką, wiedziałaby, czego potrzebuję. Rozwinęłaby już mapę i podała pozycję wszystkich ludzi, ale zostawiłem Delphi. Porzuciłem wszystko.

Mapa! - myślę, i jeśli myśl może mieć cierpki ton, to ta go ma.

Niemniej AI wychwytuje polecenie i rozwija mapę. Pokazuje mi moją pozycję, nadal w odległości pół kilometra od Sigil. Fadul jest najdalej na wschód ode mnie. Escamilla przy Julianie, stabilizuje jego stan. Roman znajduje się za mną, ale porusza się szybko. Reszta jest rozrzucona na zachodzie. Logan i Tran są zaangażowani w wymianę ognia z co najmniej trzema przeciwnikami. Trzy kolejne wrogie pozycje po wschodniej stronie

platformy są oznaczone rozmytymi ikonami, wskazującymi na brak pewności.

- Kanoa, mam cel?
- Nie. Nie na linii wzroku, i poza zasięgiem granatów. Musisz podejść.
- Roman, za mną!
- Przyjęłam.

Chcę zająć wyższą pozycję, gnam więc ku górze lodowej. Mapa pokazuje, że wyniesienie ma co najmniej dwadzieścia metrów długości, cztery szerokości, i opada z północnego wschodu na południowy zachód. Dalej rozciąga się gładka, otwarta płaszczyna lodu.

Zarzucam ztkh na ramię i skaczę w górę, wykorzystując całe wspomaganie wsporników nóg, żeby dotrzeć do szczytu lodowej ściany.

Nie dolatuję do wierzchołka, ale dość blisko.

Wbijam haki ramienne i próbuję zaczepić się kolcami płyt stopowych, ale lód jest tak kurewsko twardy, że ledwie go zarysowuję.

Roman jest tuż za mną. Dostaje się pode mnie i wsadza rozpory ramienne pod moje płyty stopowe.

- Mam cię, Shelley! W górę, w górę!

Unoszę się na tyle, żeby zaczepić o krawędź lodu najpierw haki ramienne, a potem łokcie. Dzięki temu łatwo jest się już wdrapać na pochyłą, wysmaganą wiatrem powierzchnię.

Rozglądam się i pojmuję, na jak eksponowanej pozycji się znalazłem, zupełnie pozbawiony osłony, ale chuj z tym. Widzę wszystko po tej stronie platformy wiertniczej.

Z ztkh w dłoni pełnę na brzuchu ku południowej krawędzi. Sprawdzam ponownie mapę, ale wciąż nie widzę celu. Dzieliącą mnie od Sigil gładką

powierzchnię lodu pokrywa geometryczny wzór światła i cieni rzucanych przez konstrukcję wznoszącą się pod nocne niebo zaledwie pół kilometra dalej.

- Kanoa...

Na moim wyświetlaczu wyskakuje złote kółko celownicze. Nie widzę niczego we wskazywanym kierunku.

- Jesteś wystarczająco blisko - mówi Kanoa. - Poślij granat.

Moja broń ma dwa spusty. Zaginam palec na drugim z nich, na tym, który obsługuje wyrzutnik granatów, poprawiając jednocześnie namiar przez ustawienie złotego kółka w jednej linii z celem. Naciskam spust i wystrzeluję granat z rury podlufowej. Wymiana ognia na wschód ode mnie przybiera na sile; w czasie lotu granatu strzały padają jeden po drugim. Pocisk wybucha z błyskiem zaciemniającym moją przyłbicę, a eksplozja wyrzuca w powietrze obłok lodowych okruchów, które ukazują przelotnie gwałtowność wiatru, gdy ten je zwiewa. Nie mam, kurwa, pojęcia, czy trafiłem wroga. Kanoa pokazuje kolejny cel. Nakrywam go i strzelam.

Tym razem, gdy wiatr unosi obłok dymu i lodowe odpryski, widzę ciało w martwej siostrze i białym stroju maskującym - takie samo jak żołnierz, którego powaliła Roman.

Zerkam na mapę.

- Masz dla mnie kolejny cel?

- Roman, załatw to! - szczeka Kanoa.

Bum! Pole mojego widzenia staje się jaskrawobiałe, gdy coś wali w bok hełmu na tyle mocno, że pomimo ciężaru plecaka i rynsztunku wylatuję na krótko w powietrze, a sekundę później ląduję na boku. Chcę się skulić, żeby zmniejszyć pole ostrzału. Chcę wpełznąć za jakąś osłonę, wiem jednak, że zginę, jeśli to zrobię.

- Cel — warczę do Kanoi.

Moją jedyną szansą jest przygwożdżenie przeciwnika odpowiednią siłą ognia, żeby nie mógł strzelić do mnie ponownie.

Obracam się na brzuch, wracając do pozycji strzeleckiej, ale nie robię tego dość szybko. Karabin się odzywa, cholernie głośno, nawet stłumiony przez mój hełm. Trzy wyraźnie oddzielone strzały. Ku mojemu zdumieniu żaden z nich mnie nie trafia.

- Cel! - wrzeszczę do Kanoi.
- Brak. Nikt nie został. Roman oczyściła wschodnią flankę.

Przenoszę spojrzenie z wyświetlacza przyłbicy na okolicę. Roman stoi pode mną na łodzie i patrzy na mnie, trzymając ztkh w kołysce ramion. Trzy strzały, które słyszałem, padły z jej broni.

- Nic ci nie jest, Shelley? - pyta.

Niech mnie chuj, jeśli wiem.

Sprawdzam mapę. Zaktualizowała się, podając lokalizację czterech ciał, z których trzy znajdują się po wschodniej stronie platformy, a jedno po zachodniej, gdzie Logan i Tran toczą nadal walkę z dwoma pozostałymi najemnikami. Chcę się tam dostać, pomóc im to zakończyć, ale nie wcześniej, aż ta strona zostanie w pełni opanowana.

- Roman, upewnij się, że ci dwaj martwi najemnicy nie zamienią się w zombi. Fadul...

Bum!

Podnoszę wzrok, przestraszony hukiem eksplozji na platformie wiertniczej. Potem rozlega się odległe zawodzenie alarmu. Jego dźwięk, wraz ze stłumionym wyciem wiatru, to jedyne odgłosy, jakie słyszę, gdyż strzelanina na zachodzie ucichła.

Patrzę na ikony członków oddziału - żadnych zmian, nikt więcej nie oberwał.

- Logan...

Chcę zapytać, jaka jest jego sytuacja, ale pojawia się nowy dźwięk: krzyczy jeden z ocalałych najemników, domagając się wsparcia. Mój hełm wzmacnia natężenie jego spanikowanego głosu, więc każde słowo jest doskonale wyraźne:

- Glover! Gdzie, kurwa, jesteś, Glover? Dawaj tutaj! Chodź tu, bo inaczej zginieemy!

Vincent Glover. Znam to nazwisko z odprawy przed misją.

- Glover to oficer dowodzący - przypominam mojemu oddziałowi. - Obserwujcie ruchy na platformie, bo jest gotów przywalić z grubej rury.

- Nie sądzę - zaprzecza Fadul. - Wydaje mi się, że dzisiaj nie ma bohaterów na pokładzie. Skurwysyny składają płócienny hangar na lądowisku. Spieprzają.

Z mojej pozycji nie widzę lądowiska. Zasłania je potężna konstrukcja platformy. Jednak Fadul znajduje się daleko na wschód ode mnie. Patrząc przez jej kamerę hełmową i widzę, że półkoliste wsporniki namiotu ochronnego odjeżdżają na zmechanizowanych prowadnicach, a fałdy luźnego płótna łopoczą w wicherze, składając się jedna na drugą. Otwierający się namiot odsłania średniej wielkości cywilny śmigłowiec, który moja nakładka identyfikuje jako maszynę marki AugustaWestland. Obwisłe płaty wirnika zaczynają się obracać.

- To nie tylko pilot odlatuje - mówi Fadul. - Widzę z tyłu co najmniej jedną osobę, a może dwie. Pierdolony Vincent Glover porzuca swoich żołnierzy.

Nie mogę w to uwierzyć. Najemnicy pracują dla pieniędzy, ale są wobec siebie lojalni, albo przynajmniej ja tak uważałem. Porzucam jednak rozważanie kwestii ich etyki, kiedy zapala się ikona neuronetki, sygnalizując nagłą i poważną ingerencję w moim mózgu. Nie, żebym potrzebował podpowiedzi. Ogarnia mnie przekonanie, pewność, że muszę przeszkodzić w odlocie tego helikoptera. Nie chcę go zniszczyć, ale muszę

się dowiedzieć, co jest na jego pokładzie.

- Fadul, zdołasz trafić pilota?

- To cywil - przypomina mi Kanoa. - Pasażerowie także mogą być cywilami.

- I tak poza moim zasięgiem - dodaje Fadul. - I strzelałabym pod kątem prostym do wiatru.

Jestem bliżej od niej i strzelałbym z wiatrem; nie ma znaczenia, że nie widzę w tej chwili śmigłowca, bo zobaczę go, kiedy wzniesie się w powietrze.

- Osłaniaj mnie, Roman. - Jest lepszym strzelcem ode mnie, ale ja mam lepszą pozycję. - Nie pozwolę temu helikopterowi odlecieć.

Staję na górze lodowej, zapieram się stopami przeciwko podmuchom wiatru i podnoszę broń do ramienia.

- Jesteś sterowany, Shelley? - pyta Kanoa.

- Potwierdzam.

Sterowanie. Tak nazywamy ten stan, gdy Czerwień dostaje się do naszych głów i nalega na zrealizowanie jej planu; czujemy to i wiemy, co należy zrobić. Ikona neuronetki się świeci, a ja nie mam najmniejszych wątpliwości, że działam na podstawie programu stworzonego przez Czerwień.

- Kolejne osoby na lądowisku - melduje Fadul, gdy dźwięk silników przybiera na sile. Potem ton jej głosu się zmienia. - Nadlatują!

Nawet się nie wzdrygam, gdy wystrzelony na oślep ostatni RPG wybucha gdzieś na wschód ode mnie, a helikopter wznosi się w powietrze. Poprzez elementy konstrukcji platformy widzę rozmazane wirniki maszyny. Zalewa mnie doznaniem pewności siebie. Wiem, że jestem w stanie trafić w śmigłowca.

Czekam, żeby mieć lepszy kąt strzału. Dwie sekundy, trzy; wiejący mi w plecy wiatr jest stały. Sądzę, że pilot będzie chciał lecieć nisko, mając za sobą platformę wiertniczą, ale wiatr podrywa maszynę. W moje pole widzenia wskakuje punkt celowniczy, wyznaczony na przedziale silnikowym. Wystrzeluję trzypociskową serię.

I trafiam.

Wiem, że tak.

Nic się jednak nie dzieje. Śledząc lufą broni lot helikoptera, wystrzeluję trzy kolejne serie, ale śmigłowiec przyśpiesza i leci dalej, kierując się na południowy wschód, w poprzek wiatru, jakby leciał na Grenlandię.

- Dobry strzał, sir - stwierdza Roman.

Jaja sobie ze mnie robi. Spodziewałbym się czegoś takiego po Fadul, ale nie po Roman. Piorunuję ją z góry wzrokiem, ale potem przypominam sobie granat.

- Fadul? Sytuacja?

Sprawdzam jej ikonę - zżółkła - ale głos samej Fadul brzmi tak, jakby nic się jej nie stało.

- Nie trafił we mnie, skurwysyn.

Spoglądam ponownie na Roman. Stoi z zadartą głową, obserwując oddalający się śmigłowiec.

- Wiatr niesie smugę czarnego dymu z bloku silnika -melduje. - Nie sądzą, żeby zalecieli daleko.

Ikona neuronetki znika z pola widzenia. Wraz z nią przepada niesamowita pewność siebie, jaką czułem, i nagle staję się świadomy swojej odsłoniętej pozycji na szczycie najwyższego elementu otoczenia na całym tym polu lodowym.

- Jezu - szepczę, patrząc nieufnie na pokłady Sigil.

Kanoa wie dokładnie, co sobie myślę.

- Żadnej aktywności na platformie - zapewnia mnie. -A Logan otrzymał ofertę poddania się ze strony dwóch pozostałych wrogów, chociaż i tak może postanowisz się przenieść w mniej eksponowane miejsce.

- Taa.

Zeskakuję z góry i udaje mi się uniknąć lądowania na dupie, ale ręce mi drżą - i to nie z powodu zimna. Czerwień chciała, żebym oddał ten strzał; pragnęła tego tak bardzo, że zaryzykowała wystawienie mnie na cel. Chciałbym wierzyć, że przeprowadziła wcześniej kalkulację, że oznaczyła pozycje i sytuację wszystkich pozostałych wrogich żołnierzy, po czym stwierdziła, że grożące mi ryzyko było minimalne - ale nie wierzę w to.

Czerwień chciała, żebym oddał ten strzał. To był priorytet.

Idę w stronę pozycji Logana, sprawdzając po drodze sytuację rannych.

- Fadul, wygląda na to, że jesteś na chodzie, ale zostałeś oznaczona na żółto. Jaki jest twój stan?

- Pierdolony odprysk lodu przebił mi lewy biceps. Mogę jednak chodzić i strzelać.

- Przyjąłem. Co u ciebie, Dunahee?

- Złamane ramię - szepcze przez zaciśnięte zęby. - Mogę chodzić.

Julian nie jest przypadkiem ambulatoryjnym. Ma wywaloną w brzuchu dziurę. Escamilla opatrzył ranę i zatamował krwawienie, ale to ciężkie obrażenie i temperatura ciała Juliana spada gwałtownie; musimy ewakuować go jak najszybciej.

Nie wiem jeszcze, jak to zrobimy. Ta misja wydaje się teraz kompletnym fiaskiem, i jeśli mamy odwrócić trend, to musimy działać szybko. Zarówno logika, jak i instynkt podpowiadają mi, że to, czego szukamy, odleciało w helikopterze, a ja chcę wierzyć, że Roman ma rację. Uszkodzony i walczący z wiatrem śmigłowiec nie będzie w stanie

utrzymać się w powietrzu dłużej niż kilka minut. Musimy więc ruszyć za nim. Musimy przeszukać go natychmiast po tym, gdy spadnie, ale wobec tego, że mamy trzech rannych żołnierzy, dwóch jeńców, a w perspektywie konieczność przetrząśnięcia platformy wiertniczej, minie trochę czasu, zanim będziemy mogli stąd odejść.

- Fadul, wiem, że cię boli, ale musisz pomóc Escamilli przetransportować Juliana na platformę.
- Nie kontrolujemy platformy, Shelley - przypomina mi Fadul.
- Ale opanujemy ją, zanim tam dotrzecie.

Jeńcy to obciążenie, a mamy ich dwóch. Logan pozbawił ich ekwipunku. Obok porządnie złożonych egzozkieletów widnieje kolekcja pistoletów, noży, paralizatorów, sprzętu łącznościowego i noktowizorów. Tamci klęczą na lodzie, nadal w białych kurtkach. Kaptury termiczne, jak nasze, zasłaniają im twarze. Jeden to wielki facet o czarnej skórze przyprószonej szronem, który zgromadził mu się na wargach i rzęsach. Drugi jest lekkiej budowy; skórę wokół oczu ma jasną.

Zwracam ku nim anonimową, ciemną tarczę przyłbicy i pytam:

- Kto pozostał na pokładzie Sigil?
- Tylko cywile - odpowiada ten wielki facet. Jest mu tak zimno, że szczęka zębami. - Zostaliśmy wynajęci do ich ochrony. Ale Glover nas porzucił! Zabrał ze sobą Morrisa i Chana. Zostawił nas tutaj na śmierć.

W oparciu o analizę głosu i dane biometryczne bojowa AI określa jego tożsamość: to Darian Wilcox, lat 26, były żołnierz amerykańskich sił zbrojnych.

- Czym się tam zajmowali cywile, Wilcox?

Zadziiera głowę, przyglądając mi się przez chwilę, jakby myślał, że powinienem już to wiedzieć.

- Badaniami laboratoryjnymi, sir. To wszystko, co wiem. Na tyle ważnymi, żeby nas tu ściągnąć. Na tyle istotnymi, że ktoś wynajął was.

- Ilu cywilów?

- Dwanaścioro.

Liczba potwierdza dane naszego wywiadu.

- Żaden z nich nie podejmie walki, sir - dodaje Wilcox. - Możecie wziąć, co chcecie. Nie ma potrzeby nikogo krzywdzić.

- Miło i przyjaźnie?

- Tak, sir.

- Wilcox, czy twoi przyjaciele przygotowali dla nas miny pułapki?

- Nie, kurwa! - odpowiada z pasją. - Jesteśmy firmą, a nie samobójczymi fanatykami.

- Porzucenie was to była decyzja biznesowa?

Patrzy na mnie wilkiem, jego oddech paruje. Z moich słów wyczytuje bardzo dużo.

- Nie musi pan nas zabijać, sir. Nie wiemy, kim jesteście. Nie widzieliśmy waszych twarzy.

- Będę o tym pamiętał. Na razie jednak nie wiem, co Glover dla nas przygotował, więc pozwolę wam iść przodem, tak na wszelki wypadek.

Nikt o szczątkowej choćby wiedzy nie twierdzi, że pod dnem Morza Arktycznego nie kryje się ocean ropy naftowej albo że nie da się jej wydobyć, ale dziesiątki lat trwały debaty na temat prowadzenia tam działań. Przemysł petrochemiczny dysponuje większym budżetem na poszukiwania i badania, niż wynosi produkt krajowy brutto większości

państw, ale nawet dla giganta petrochemicznego koszt infrastruktury służącej wydobyciu ropy naftowej z dna morskiego jest oszałamiająco wysoki. Nietrafiony odwiert może doprowadzić do bankructwa firmy, ale ryzyko nie ogranicza się do kapitału. Jest pewne, że w czasie wydobycia dojdzie do erupcji ropy z odwiertów oraz do katastrof tankowców, w związku z czym do atmosfery dostanie się jeszcze więcej dwutlenku węgla, który wprowadza chaos efektu cieplarnianego, huraganów i topnienia czap polarnych - zjawisk nawiedzających co roku świat coraz potężniejszymi falami.

A jednak w grę wchodzi kurewska kupa szmalu. Sama faza rozwojowa projektu dostarcza podwykonawcom okazji do wydojenia firm zwierzchnich na miliardy dolarów w postaci kosztów wsparcia, materiałów, łączności i budowy. Żadnemu rządowi nie jest łatwo się temu oprzeć.

Od platformy oddziela nas jedynie pół kilometra gładkiego lodu. Chcę pokonać ten dystans szybko, ale bez martwych siostr nasi jeńcy są niezdarni. Ślizgają się i spowalniają nas. Za to nasze wolne tempo pozwala dogonić nas Fadul i Escamilli, ciągnących Juliana w nadmuchiwany kokon ratunkowy.

Idąc przed siebie, obserwujemy uważnie pokłady Sigil, ale nie ma tam żadnego ruchu, żadnych oznak obrony. Liczę, że to oznacza, że dwanaścioro cywilów siedzi gdzieś pod kluczem w wyznaczonych strefach bezpieczeństwa, w oczekiwaniu na ratunek. Pomimo zapewnień Wilcoxa martwię się, że tamci są uzbrojeni i stawiają opór. Nie chcę więcej ofiar.

- Kanoa.
- Jestem.
- Znasz aktualną sytuację Oscara-1?
- Nadal uziemiony, czeka na paliwo...
- Czeka? Myślałem, że to problem techniczny - zanieczyszczenie czy coś

takiego?

- Nie. Ma kłopot z dowódcą bazy na ostatnim przystanku uzupełnień, na północnym krańcu Wyspy Ellesmere'a.

To bez sensu. Wprowadzanie fałszywych rozkazów do sieci wojskowej to specjalność naszego wydziału wywiadu. Nie zamierzam udawać, że wiem, jak działa ten system. Zdaje się, że nasza grupa uderzeniowa GRK wykorzystuje biurokrację jako zasłonę dymną. Galimatias zhakowanych rozkazów, fałszywych tożsamości i poszatkowanych kompetencji pozwala nam działać z pozorami oficjalnie uznanych sił powiązanych z armią Stanów Zjednoczonych. Tę pozycję wspiera budżet tajnych operacji oraz środki bezpieczeństwa potrzebne do działania w danej chwili, co sprawia, że żaden audytor nie ma nigdy dość informacji, żeby udowodnić, że nie jesteśmy tymi, za których się podajemy.

Przynajmniej na razie.

W porównaniu z załatwieniem upoważnienia na transport na pokładzie atomowego okrętu podwodnego skłonienie dowódcy jakiejś odległej stacji nasłuchowej do zatankowania Oscara-1 powinno być łatwizną.

- Kanoa, zmuś po prostu wywiad, żeby przepchnęli ten rozkaz. Muszę ewakuować Juliana. Trzeba dwóch godzin lotu, żeby tutaj dotrzeć, a Oscar-1 nawet jeszcze nie wystartował...

- Pracujemy nad tym, Shelley.

- Albo wystaw rozkaz na lot wojskowy. W sieci i tak na pewno buzuje. Glover musiał wysłać sygnał alarmowy, a jeśli nie on, to cywile...

- Nie. W sieci panuje spokój. Sądzę, że łączność Sigil została zagłuszona.

- Zagłuszona? Jak? Myślałem, że nie możemy wejść do ich systemu.

- Posłuchaj, nawet gdybym załatwił lot wojskowy, to pozostawiłbym trudny do zatarcia ślad, który mógłby mieć reperkusje polityczne. Oscar-1 to wciąż nasza najlepsza opcja. A wy i tak potrzebujecie czasu, żeby wysledzić ten helikopter.

- Martwię się o Juliana.
- Rozumiem. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

Im bardziej się zbliżymy do platformy, tym trudniej będzie nam odpowiedzieć ogniem, gdyby ktoś postanowił strzelać do nas z jej pokładów, nakazuję więc postój w odległości stu metrów od konstrukcji.

- Logan, weź Fadul i Trana. Zajmijcie pozycje umożliwiające prowadzenie ognia osłaniającego, gdybyśmy tego potrzebowali.
- Co z jeńcami, Shelley?
- Dunahee, jak się trzymasz?
- Zrobię, co trzeba, sir.
- Wiem, że tak. Musisz się zaopiekować pojmanym. Tym mniejszym facetem. Zastrzel go, jeśli będzie sprawiał jakiegokolwiek kłopoty.
- Z przyjemnością, sir.
- I bądź blisko Juliana.
- Tak jest, sir.
- Escamilla i Roman, wy idziecie ze mną. Ty też, Wilcox. Przekonamy się, co Glover zostawił po sobie.

Gdy podchodzimy do podstawy platformy, Deep Winter Sigil staje się paskudnym, przemysłowym sklepieniem, które wspiera jej część naziemną ze wszystkimi rurami i kolumną wiertniczą. Cokolwiek opada w głąb na ponad dwieście metrów, ale martwię się jedynie siedmiometrową wspinaczką na pierwszy poziom platformy. Na szczęście są tutaj otoczone kratownicą schody, które mają to ułatwić.

Spełniam groźbę i wysyłam Wilcoxa przodem, z Escamillą depczącym mu po piętach. Nie znajdują żadnej aktywności ani min pułapek, więc następnii idziemy Roman i ja.

Sprawdzamy dwa pierwsze pokłady. Kanoa zgłasza się w chwili, gdy wspinamy się na trzeci poziom.

- Przed chwilą otrzymaliśmy obraz termowizyjny. Rozdzielczość jest niska, ale w odległości czternastu kilometrów od was na północny wschód widać źródło ciepła. Przypuszczalnie helikopter.

- Nieruchomy?

- Charakterystyka cieplna wskazuje, że tak, ale lód w tamtym kierunku jest nierówny. Dotarcie do śmigłowca może potrwać półtorej godziny.

- Żywi rozbitkowie?

- Nie wiadomo, a dostęp do kolejnego satelity nad tym obszarem będziemy mieli dopiero za ponad dwie godziny.

- Dotrzemy tam wcześniej.

- Rozumiem.

Znalezienie śmigłowca - drobne zadanie, żebyśmy się nie nudzili po tym, jak opanujemy Sigil.

Szybkie przeszukanie trzeciego pokładu potwierdza, że na zewnątrz nie ma nikogo, zwracamy więc uwagę na kwatery mieszkalne.

Chociaż dwupoziomowy budynek ma wiele wejść, to wszystkie oprócz jednego są zablokowane przez lód. Wilcox wskazuje gestem drzwi.

- Główne wejście, sir.

Jest przeszklone, z wnętrza wylewa się jasne światło na platformę, na której odciski butów stanowią ciemne plamy na szronie.

- Ruszaj powoli - mówię mu, ściskając ztkh w obu rękach. - Będę tuż za tobą.

Wilcox odwraca się do mnie.

- To śluza, sir. Zewnętrzne drzwi muszą się zamknąć, zanim się otworzą wewnętrzne.

Spoglądam tam. Jedne i drugie to szklane płaszczyzny, co pozwala zajrzeć do znajdującego się za nimi jasno oświetlonego lobby o industrialnym wystroju. To brzydkie pomieszczenie: płaskie białe ściany, szara winylowa podłoga, czarne szafki, stalowe ławki. Na podłodze leżą dwa ciała rozciągnięte w rozległych, płytkich kałużach krwi. Oba twarzami w górę; ich tułowia noszą ślady po kulach.

Wilcox obraca się i zauważa to, co widzę.

- Kurwa mać.

Cofa się kilka kroków.

- Co się tam działo, do diabła? - pytam go.

- Jak powiedziałem, sir, prace laboratoryjne. Przemysłowe gównno. Jakaś mikrobiologia. Nie wiem. To byli dobrzy ludzie, ci tutaj. Naukowe geeki, rozumie pan? Ciekawi wszystkiego. I mili.

Popycham go do przodu.

- Otwórz drzwi.

- Tak jest, sir.

Uderza w przycisk wielkości dłoni znajdujący się na lewej framudze. Trzymam się tuż za nim, zamierzając wykorzystać go jak ludzką tarczę na wypadek wybuchu bomby, ale słyhać jedynie brzęczenie i szczęknięcie elektronicznego zamka. Wilcox wyciąga rękę i otwiera drzwi. Idę za nim.

- Roman, chodź ze mną. Escamilla, zostań na zewnątrz.

- Przyjąłem, kapitanie.

Zewnętrzne drzwi zamykają się za nami automatycznie. Słyszę, jak się blokują. Otwierają się kolejne drzwi i otacza nas kłęb gorącego powietrza

cuchnącego gównem i krwią. Popycham Wilcoxa przed sobą. Nie eksplodują żadne bomby. Nikt do nas nie strzela. Jedne zwłoki to kobieta, drugie - mężczyzna. Moja nakładka przypisuje im nazwiska. Dwoje naukowców z załogi.

Stoimy tam przez pół minuty, nasłuchując tylko. Słyszę urywany oddech mojego jeńca i cichy szum systemu wentylacyjnego. Nic więcej.

- Śmiertelna cisza - mówi Roman.

Wysyłam Escamillę, żeby sprawdził warsztaty przemysłowe, natomiast Roman i ja, prowadząc jeńca, przeszukujemy laboratoria i sypialnie. Escamilla znajduje dwa następne trupy. My kolejnych siedem, co razem daje jedenaścioro zabitych. Wszyscy trafieni kilkakrotnie. Kanoa identyfikuje ofiary jako naukowców, inżynierów i techników.

- Brakuje jedynie doktor Toni Parris, mikrobiolożki. To Amerykanka.

Nagrywamy wszystko i robimy zdjęcia portretowe zastrzelonych.

Wstrząśnięty jeńiec patrzy na to wszystko z niedowierzaniem. Nie potrafi podać żadnego wytłumaczenia, ale wskazuje laboratorium, które było niedostępne dla wszystkich z wyjątkiem doktor Parris i dwóch innych badaczy. Teraz nie jest już niedostępne. Wysadzone stalowe drzwi wiszą na zawiasach.

Zaglądam do środka i widzę dwa stoły laboratoryjne, mnóstwo półek, wyciąg wentylacyjny, biurko oraz instrumenty, których nie znam, ale moje spojrzenie przyciąga lodówka ze stalowej blachy. Wygląda na rozdętą, boki ma wypuczone i pogięte, otwarte drzwi wiszą, wewnątrz jest puste, a ściany osmalone, jakby ktoś zdetonował w niej granat.

- Lepiej trzymaj się od niej z daleka - ostrzega mnie Kanoa.

Już się pocę pod strojem termicznym, a strach to pogarsza.

- Myślisz, że to broń biologiczna?

Cofam się od otwartych drzwiczek, wyobrażając sobie, że skóra mnie swędzi, a płuca wypełniają się płynem.

- Brakuje nam mikrobiolożki, więc taki jest mój domysł. Pomogła im zabrać zawartość lodówki, a potem wysadzili urządzenie, żeby zatrzeć wszystkie ślady.

Myślę o tym, wyobrażając sobie zarazę tak niebezpieczną, że musi być pichcona w odległej arktycznej placówce.

I zastanawiam się: Czy znaleźliśmy cel naszej obecnej operacji kontrolnej?

Odwracam się do Wilcoxa. Przybiera postawę obronną.

- Nie wiedziałem, że to broń biologiczna, kapitanie. Pracujący tutaj ludzie nie wyglądali na takich.

Wszystkim nam się wydaje, że umiemy rozpoznać zło.

Macham bronią.

- Ruszaj.

Wilcox nie potrzebuje żadnej dodatkowej zachęty. Podejrzewam, że wszyscy liczymy na to, że doktor Parris zajmowała się swoimi kulturami bakteryjnymi w sposób profesjonalny, bo jeśli cokolwiek dostało się do systemu wentylacyjnego, to mamy przesrane.

Wracamy pośpiesznie do lobby, w którym powietrze cuchnie jeszcze gorzej niż poprzednio.

- Wilcox, wynieś te ciała na zewnątrz. Niech zamarzną. Roman, pilnuj go. Zastrzel, jeśli sprawi ci jakiegokolwiek kłopoty.

- Tak jest, sir.

- Nie musi się pan mną przejmować, sir - mówi Wilcox. - Glover mnie wyruchał. Nigdy więcej nie nacisnę dla niego spustu. Ale jeśli najmujecie

ludzi...

Marszczę brwi i wychodzę na zewnątrz.

- Kanoa.
- Jestem.
- Co wywiad mówi na temat możliwości skażenia?
- Minimalne ryzyko. Glover zabezpieczyłby ładunek. Nie zarobi, jeśli będzie martwy.
- Dobra. W takim razie chcę zostawić tutaj rannego. Julian nie przeżyje, jeśli będzie musiał czekać na ratunek na mrozie.
- Przyjąłem.

Escamilla wraca po sprawdzeniu magazynów przemysłowych.

- Znalazłem dwa skutery śnieżne. Oba postrzelane. Nie udało mi się ich uruchomić.
- Dobra.

Podchodzę do krawędzi platformy i spoglądam w dół, gdzie znajdują się pozostali członkowie oddziału, anonimowi za czarnymi przyłbicami, ale nakładka identyfikuje ich: najdalej są Tran i Fadul, obserwujący dolne pokłady na wypadek, gdybyśmy przeoczyli zagrożenie; Logan kuca przy Julianie; Dunahee jest w pobliżu, z pistoletem w lewej dłoni, wycelowanym mniej więcej w stronę drugiego jeńca, prawe ramię ma unieruchomione przy tułowiu.

- Fadul — mówię przez gen-kom. - Zluzuj Dunaheego. Przyrowadź jeńca na górę.
- Nie ruszamy dalej? - pyta podejrzliwie.
- Ruszamy, ale nie bierzemy jeńców ze sobą.

- Cholera, nie, sir. Zastanawiam się, dlaczego Dunahee nie może go eskortować.

- Dunahee ledwo trzyma broń. Ruszaj.

Logan wstaje i się rozgląda, zadziera czarną przyłbicę, patrząc na mnie. Otwiera prywatne łącze.

- Po co ci Fadul? Nie zamierzasz zastrzelić jeńców?

Zastanawiam się nad jego pytaniem, rozważam, dlaczego je zadał, co słyszał o mojej przeszłości. Nie sądzę, żeby wiedział coś o Carlu Vandzie, człowieku, którego porwałem i który nigdy więcej nie ujrział światła dziennego. Logan wie o Eduardzie Semaku. Sam mu o tym opowiedziałem - że odwiedziłem starego rekina w jego prywatnym habitacie kosmicznym i zrzuciłem go na Ziemię w kapsule ewakuacyjnej, pewien, że nie przeżyje burzliwego przejścia przez atmosferę.

Sądzę, że to czyni ze mnie zimnokrwistego zabójcę, więc reaguję zgodnie z tą opinią.

- Mógłbym rozkazać Fadul, żeby ich zastrzeliła, Logan. Przypuszczalnie by to zrobiła. Uważasz, że powinienem?

- Nie, kurwa. Oni wykonywali tylko swoją robotę, Shelley.

- Taa, też tak to widzę. I dlatego zamierzam im pozwolić posiedzieć kilka godzin w przytulnym, ciepłym pomieszczeniu, póki stąd nie odlecimy. Pasuje ci to?

- Oczywiście, że tak! Przepraszam, sir. Powinienem był to wiedzieć.

Taa, powinieneś był, kurwa. Nawet Wilcox ma o mnie lepsze zdanie.

- Dawaj Juliana i Dunaheego na górę. Ranni zostają na platformie.

Czekam u szczytu schodów, gdy Fadul przyprowadza jeńca. Wzrok

wielkich oczu w objęciu kaptura termoizolacyjnego ma czujny. Widać wyraźnie, że jest przerażony, ale nie zawracam sobie zbytnio tym głowy, gdyż na prywatnym kanale jestem już pogrążony w cichej sprzeczce z Fadul.

- Zostaniesz tutaj...
- Nie ma mowy, Shelley.

Tam, gdzie ramię przebił jej lodowy odprysk, ma nałożoną opaskę. Rana pod nią została opatrzona, co nie znaczy, że Fadul nadaje się do biegania po polu lodowym.

- Będziesz pilnowała obu najemników i zaopiekujesz się Julianem. - Poganiany przez nas jeniec idzie po oblodzonym pokładzie bokiem jak krab, starając się mieć nas na oku.
- Dunahee może być strażnikiem. Lekarz pozwolił mi kontynuować misję.
- Dunahee ma złamane ramię.
- To zostaw Trana.
- Ikona Trana jest zielona, a twoja żółta. Zostajesz.

W tym momencie docieramy do szklanych drzwi prowadzących do lobby. Uderzam w przycisk, żeby zwolnić ich zamek, a potem otwieram je kopniakiem. Wszyscy patrzymy na dwa martwe ciała złożone w śluzie. Wilcox stoi nad nimi, plamy krwi widnieją na rękawach jego białej kurtki, a kolejne czerwone smugi na butach i spodniach na wysokości ud. Roman jest zwrócona plecami do wewnętrznych drzwi i trzyma broń wycelowaną swobodnie w Wilcoxa. Jeniec numer dwa błędnie interpretuje sytuację.

Odwraca się, kopie mocno Fadul w brzuch i sięga po pistolet w kaburze na moim udzie. Walę go w twarz wspornikiem ramienia. Nawet o tym nie myślę. To odruch. Facet uderza potylicą we framugę drzwi i pada ze zmiażdżonym nosem w postaci krwawej papki. Nie wiem, czy oddycha.

Cholera.

Wewnątrz zatłoczonej śluzy Roman celuje teraz dokładnie w Wilcoxa.

- Ani drgnij.

- Nie ma problemu. - Patrzy na mnie, jego niezachwiane spojrzenie komunikuje mi, że jest zawodowcem. - Nie mam pojęcia, kim jesteście - zapewnia mnie spokojnym tonem. - Nie wiem, jak wyglądacie. Nie macie więc powodu, żeby mnie zabijać.

- Wynieś stąd ciała - polecam mu. Potem spoglądam z poczuciem winy na najemnika, którego rąbnąłem. Kolejny zbędny grzech. - Fadul, sprawdź jego funkcje życiowe.

Nadal jest zgięta nad obolałym brzuchem.

- Mogę go zabić, jeśli żyje?

Wtrąca się Wilcox:

- Pozwólcie mi się nim zająć.

Odsuwam się z drogi. Wilcox sprawdza jego oddech.

- Nadal z nami. - Później poświęca chwilę na podzielenie się drobnym fragmentem swojej biografii. - Moi ludzie nie chcieli tutaj przylecieć. Mówili, że ta pierdolona Arktyka jest przeklęta. Nic nie działa jak należy. Ludzie świrują.

- Powinieneś był ich posłuchać.

- Żałuję, że tego nie zrobiłem.

Wilcox ma rację. Większość operacji arktycznych prześladowa problemy: zawodne programy, szwankujący sprzęt, niedostarczony ekwipunek, piractwo, terroryzm. Jedyne wyjątki? Kiedy zeszłego lata doszło do erupcji ropy, ludzie i sprzęt zjawili się bezzwłocznie, a odwiert został zaplombowany przed upływem siedemdziesięciu dwóch godzin. To był

niezwykły pokaz kompetencji i skuteczności działania-mocny dowód na to, że ochrona Arktyki i zniechęcanie do jej zagospodarowywania stanowi część planów Czerwieni.

Ale rekiny cały czas czują forszę i próbują nadal.

- Wrócimy za kilka godzin - informuję Fadul.
- Słyszałam już podobne obietnice.

Julian leży w gabinecie tuż przy lobby, na znalezionym materacu. Kucam obok niego, ale jest tak nafaszerowany środkami przeciwbólowymi, że nawet nie zauważa mojej obecności.

- Trzymaj się - mówię mimo to.

Potem kiwam głową Dunaheemu, który siedzi obok niego na podłodze.

- Bez obaw, sir. Poradzimy sobie.
- Nie pozwól Fadul zabić jeńców.
- Tak jest, sir.

Wyruszamy tropem zestrzelonego helikoptera. Logan prowadzi, biegnąc szybko. Reszta podąża za nim w pojedynczym ordynku: Escamilla, Tran, Roman, a na końcu ja.

Martwe siostry wzmacniają siłę naszych mięśni, ale nie zastępują jej. Sensory umieszczone w przegubach mierzą energię naszych kroków. Im bardziej się wysilamy, tym mocniej pracują gnaty. To oznacza, że w martwych siostrach możemy biec dużo szybciej i dotrzeć dalej niż bez nich, ale nasze ciała i tak pracują, a pokonywanie biegiem kolejnych kilometrów w terenie tak nierównym jak pole lodowe jest kurewsko wyczerpujące. Biegniemy jednak, przy czym wiatr wieje mocniej, a z nieba

pada świeży śnieg.

Kiedy spostrzegamy w końcu śmigłowiec, nie ma przy nim śladów życia - żadnego ruchu, świateł ani nawet świetlików chemicznych, ale sama maszyna nie jest rozbita, zwrócona pod wiatr stoi prosto na lodzie bez żadnych widocznych oznak uszkodzeń. Pilotowi musiało się udać posadzić ją miękko, co oznacza, że Glover i pozostali ludzie mogą być nadal na pokładzie, czekając na poprawę pogody.

Logan ogląda maszynę przez lornetkę termowizyjną, po czym kładzie kres spekulacjom.

- Jest ciało w fotelu pilota. Temperatura powyżej otoczenia; nadal stygnie. Wszystko inne ma jednakową ciepłość - cholerne zimno.
- Odeszli dawno temu - stwierdza Tran.

Biorę go ze sobą, żeby to sprawdzić.

Nikt nie strzela, gdy się zbliżamy. Zgarniam śnieg z okienka i zaglądam do środka; widzę pilota przypiętego nadal do fotela, pękatego w kurtce i kapturze, z pochyloną głową.

- Sprawdź z tyłu - polecam Tranowi, otwierając drzwiczki po stronie siedzącej postaci.

To kobieta. Otwór po pocisku przechodzi przez kaptur jej kurtki, na prawej skroni. Pozostałych pasażerów nie ma.

- Co, do cholery? - pytam. - Glover nie musiał jej zabijać. Nie musiał zabijać żadnego z tych ludzi na platformie.
- Oczekuje sutej wypłaty - stwierdza Kanoa. - I nie ryzykuje.

Zastanawiam się, dla kogo pracuje naprawdę. Mam nadzieję, że będę miał okazję zapytać go o to.

Wystarczy niecała minuta, żebyśmy wraz z Tranem przeszukali wnętrze helikoptera. Nie znajdujemy niczego, czego nie można by się spodziewać na pokładzie śmigłowca operującego w Arktyce. Są tam kurtki, koce, apteczki pierwszej pomocy, światła chemiczne, baterie... ale żadnego uzbrojenia ani kultur broni biologicznej.

Logan rozgląda się w poszukiwaniu odcisków butów ale wichura i nieprzerwanie padający teraz śnieg są przeciwko niemu.

- Wiatr zamiótł ten teren do czysta.

Tran zatrzaskuje drzwiczki helikoptera.

- Albo do akcji wkroczył Święty Mikołaj i ich zabrał. Nie mamy jak się dowiedzieć, czy nie wylądował tutaj inny śmigłowiec.

- Nie, są pieszko - mówię. - Nawet jeśli założymy, że Glover zna innego pilota gotowego polecieć w taką pogodę, to nie ma mowy, żeby jakaś maszyna zdążyła się już tutaj zjawić i odlecieć.

- Będą w osprzęcie - podkreśla Escamilla - więc będą mieli dobre tempo.

Logan kręci głową.

- Mają ze sobą cywila. Doktor Parris nie będzie umiała posługiwać się rynsztunkiem. To ich spowolni.

Tran wskazuje swoim ztkh martwego pilota we wnętrzu śmigłowca.

- Chyba że postanowią ją zastrzelić, tak jak zabili wszystkich pozostałych.

- Zabrali Parris nie bez przyczyny - upiera się Logan.

Jestem skłonny się zgodzić, ale to nie udziela nadal odpowiedzi na główne pytanie.

- Dokąd poszli?

Kanoa przekazuje wyjaśnienie naszego wydziału wywiadu:

- Dwadzieścia dziewięć kilometrów na północny wschód od was znajduje się prywatna stacja badawcza. Wygląda na to, że po tym, jak uciekinierzy się zorientowali, że zostali trafieni, zmienili kurs lotu i próbowali tam dotrzeć.

- Prywatna? - pytam. - Jak dla turystów?

- Prywatna, jak finansowana przez rekiny. Badania marsjańskie. Jeśli udowodnią, że mogą przeżyć w ekstremalnych warunkach, to może ogarną Marsa.

W dupie mam hobby rekinów. Chcę wiedzieć tylko jedno.

- Czy te dupki mają helikopter, który Glover może ukraść?

- Dane, na które patrzę, wskazują, że tak.

- Sądysz, że może dotrzeć tam pieszo? Bo to jak wyścig do bieguna północnego.

- Jeżeli nie mogą sobie zorganizować innego sposobu wydostania się stąd, to Glover nie ma wyboru.

Rozwijam na wyświetlaczu mapę, a potem robię odjazd, aż widzę tag „stacja Tuvalu”. Oznacza grupę budynków wzniesionych obok siebie i połączonych krytymi przewiązkami. Nie mogę pozwolić, żeby Glover tam dotarł, zdobył helikopter i uciekł. Nie wiem jeszcze, kto płacił doktor Parris za badania, które wykonywała w swoim laboratorium; nie wiem, kto płacił Gloverowi za ochranianie tej pracy, ale nie zamierzam pozwolić, żeby ta zaraza wydostała się stąd. Powód, dla którego tutaj jestem, powód istnienia GRK sprowadza się do tego, żeby wytropić i załatwić każdego kutasa, któremu się wydaje, że wysmażenie apokalipsy jest dobrym pomysłem.

Zamierzam dopilnować, żebyśmy wykonali zadanie.

Domyślam się, że przeciwnik będzie się poruszał z największą możliwą szybkością ku stacji Tuvalu, ale mogą się mylić. Jeśli uznają, że istnieje możliwość, że ktoś idzie za nimi, to mogą się zacząć po drodze i urządzić na nas zasadzkę. Bez widoku z anioła albo dobrego nadzoru satelitarnego nie dowiemy się tego. Polecam więc, żeby członkowie oddziału poruszali się w szeregu, równoległe do siebie, z zachowaniem trzydziestometrowych odstępów, dzięki czemu będziemy widzieli szeroką połąć lodu. Mamy nadzieję, że zobaczymy naszą zwierzynę gdzieś w tym korytarzu - i to zanim tamci spostrzegą nas.

Kanoa przesyła nam trasę marszu w postaci niebieskiej linii na wyświetlaczu, ostrzegając jednocześnie, żebyśmy nie ufali jej zbyt wiele.

- Wasz szlak to tylko najlepsza ekstrapolacja w oparciu o ograniczone dane. Lód jest w ruchu, więc bądźcie czujni i kierujcie się rozsądkiem.

Ścieżki zostały wyznaczone przez wydział naszego wywiadu - dwóch cywilnych analityków wspieranych przez potężną AI, która może mieć dostęp do materiałów inwigilacyjnych dostarczonych przez Czerwień. To w ten sposób uzyskaliśmy ów obraz termiczny niskiej rozdzielczości, który pozwolił nam zlokalizować helikopter. Nadal czekamy na uaktualnienie w wysokiej rozdzielczości.

Na orbitach polarnych szybują całe konstelacje satelitów komunikacyjnych, więc łączność głosowa i przesył danych na tej szerokości geograficznej są dobre, ale potrzebujemy satelity obserwacyjnego. Ten, na którego czekamy, zapewnia widok w korytarzu nadzoru, który się przesuwa nieustannie na zachód wraz z tym jak Ziemia obraca się pod nim na wschód. Czekamy, żeby satelita omiótł naszą pozycję. Zanim do tego dojdzie, możemy polegać wyłącznie na własnych oczach, przy czym zasięg noktowizji jest ograniczony przez padający śnieg.

Glover będzie w takiej samej sytuacji. Możliwe, że ma drona, ale wiatr jest tak silny, że nie będzie w stanie kontrolować urządzenia.

- Mamy obraz - odzywa się Kanoa.

- Czekać!

Oddział się zatrzymuje. Kucam, żeby zmniejszyć napór wiatru, a potem mówię do Kanoi:

- Pokaż.

Rozdzielczość jest znakomita. Na przesłanym obrazie widać między nami a stacją Tuvalu siedem wyraźnie cieplejszych obiektów. Trzy z nich są samotne, oddalone od siebie.

- Wywiad uważa, że to foki albo niedźwiedzie polarne -mówi Kanoa. — Pozostałe cztery to wasza zwierzyna.

Unika zwrócenia uwagi na oczywisty problem: nasz oddział także się ujawnia na obrazie satelitarnym w postaci pięciu gorących punktów rozciągniętych ze wschodu na zachód.

- Dlaczego nie zostaliśmy wymazani? - pytam.

Przywykłem do samoczynnego procesu obróbki cyfrowej, usuwającej naszą obecność z ogólnych materiałów obserwacyjnych, ale tym razem nie stało się tak.

- Nie wiadomo. Zasoby mogą być skoncentrowane gdzieś indziej.

Właśnie. Czyż nie ostrzegłem Trana zaledwie kilka godzin temu, żeby nie liczył na to, że Czerwień nas wesprze? To była dobra rada.

- Jeśli Glover ma dostęp do tego samego materiału, to będzie wiedział, że nadchodzimy. Może zorganizować zasadzkę.

- I tak musisz to zakładać - radzi Kanoa. - I zwróć uwagę na odległość. Są tylko dziewięć kilometrów przed wami.

- Taa, bliżej, niż się spodziewałem.

- Dużo bliżej. Mogą mieć rannego albo cywil ich spowalnia.

Tak czy inaczej, to dobra wiadomość. Biegniemy w maratonie, ale oni też, a ja chcę ich dogonić, zanim dotrą do stacji Tuvalu.

- Ruszać!

Niebawem docieramy do płaszczyzny gładkiego lodu, co pozwala nam biec w równym tempie, w takim, które w normalnych warunkach mógłbym utrzymywać całymi kilometrami, ale wiatr zamienił każdy krok w walkę; nieustanny napór mroźnego powietrza kłuje mnie w płuca, a uda bolą w miejscach, w których zimny tytan protez spotyka się z kością. Kątem oka widzę migającą ikonę neuronetki. Nie muszę się zastanawiać, co się dzieje, gdyż czuję to: ból się zmniejsza wraz z tym, jak mój mózg zalewa napływ endorfin.

To miała być krótka misja — szybkie i mocne uderzenie, z Oscarem-1, który czeka za horyzontem, żeby nas ewakuować. Teraz to jest bieg wytrzymałościowy, a my nadal nie wiemy, jak się dostaniemy do domu.

Ogłaszam kolejny postój, gdy zbliżamy się do ostatniej znanej pozycji tropionej przez nas grupki. Zostawiwszy skulonych członków oddziału, wysłałam Logana łukiem na zachód, a sam przeczesuję wschodnią stronę, szukając śladów ewentualnej zasadzki. Znajdujemy jedynie rysy na lodzie i pojedynczy odcisk buta, zachowany w cienkiej warstwie osłoniętego śniegu po zawietrznej lodowej grani, ale ten ślad to zachęcający znak. To twardy dowód, że co najmniej jedna osoba w grupie Glovera nie używa martwej siostry, a to oznacza, że idą powoli.

Rozpraszamy się ponownie i wznawiamy polowanie. Jest tyle śniegu - świeżego, padającego z nieba oraz niesionego wiatrem - że nawet dzięki noktowizji nie widzimy daleko. To dezorientujące. Sprawia wrażenie biegu po ruchomej bieżni, bez celu. Jednak warunki pogodowe mają się zmienić.

- Zbliża się przerwa w pokrywie chmur - informuje Kanoa. - Za niecałą godzinę powinniście mieć czyste niebo.

Rurka połączona ze zbiornikiem w plecaku dostarcza mi łyk witaminizowanej wody, która stała się lodową breją. Ziębi mi zęby i mózg i nie chcę pić jej więcej, ale i tak zmuszam się do tego. Przypominam reszcie, żeby zrobili to samo. Biegniemy po powierzchni oceanu, ale odwodnienie jest zagrożeniem, którego nie możemy zbagatelizować.

Sprawdzam czas na nakładce. Wydaje się, że całe godziny upłynęły od chwili, w której Kanoa zapowiedział czyste niebo, ale minęły dopiero pięćdziesiąt cztery minuty. Chcę móc zobaczyć, dokąd zmierzamy, zobaczyć wroga. Mam kurewską nadzieję, że nie minimy ściganych.

- Stać! Stać!

To szept Trana w gen-komie.

- Cholera. Są jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną.

Przypadam do przykłąku, dysząc ciężko i czując ulgę z powodu przerwy w biegu.

- Zauważyli cię?

- Nie. Oddalają się ode mnie.

- Trzymaj się w zasięgu wzroku.

- Kontakt potwierdzony - mówi Kanoa.

Wrzuca obraz na mój wyświetlacz. Ukazuje mi on niewyraźną grupkę postaci, których szczegóły gubią się w śniegu i noktowizji, ale przynajmniej jedna jest w rynsztunku, a jedna nie. Co do pozostałych dwóch nie mam pewności.

- Broń automatyczna - dodaje Kanoa. - A to wygląda jak wyrzutnia RPG.

- Myślę, że chcieli zapewnić sobie możliwość utorowania drogi do wnętrza stacji Tuvalu. - Kasuję obraz, a potem rozwijam mapę. - Kanoa, nadal czeka nas czyste niebo?

- Potwierdzam. Ostatnie raporty dają wam jeszcze kwadrans.
- Dobra, oto, co zamierzamy zrobić. Logan i Escamilla, wy idźcie za nimi na tyle blisko, żeby nie stracić ich z oczu. Roman i Tran idą ze mną. Ruszymy szerokim łukiem na wschód. To będzie sprint, ale chcę się dostać przed nich, kiedy warunki atmosferyczne stanowią wciąż osłonę dla nas. Zatrzymamy ich. Nie pozwolimy im dotrzeć do Tuvalu. Nie będzie powtórki tego, co się stało przy Deep Winter Sigil. Jasne?

Czekam na potwierdzenia, a potem dodaję:

- Jeżeli dojdzie do wymiany ognia, czekajcie na wyznaczone cele. Nie chcemy strzelać do siebie nawzajem.

Ruszam na wschód przed Roman i Tranem. Bardzo dobrze, że wieje mocny wiatr. Zagłusza moje ochryple rżenie. Mróz pali mi gardło i częściowo się spodziewam, że pękną mi płuca, ale biegnę, aż Kanoa mówi:

- Skręćcie teraz na zachód. Odetnijcie im drogę.

Korzysta z GPS-a, żeby doprowadzić nas na trasę ściganych.

Wirujący śnieg rzędzie, ukazując bezmiar lodu gładkiego jak zamrażnięty staw, bez jakiegokolwiek osłony w żadnym kierunku.

- Standardowe odstępy - szepczę, pokazując gestem Roman i Tranowi, żeby zajęli pozycje po obu moich stronach. Odsuwają się, stoimy więc trzydzieści metrów od siebie nawzajem.

Wiatr słabnie. W noktowizji widzę nad głową garść gwiazd. Zapieram się stopami, podnoszę ztkh do ramienia i staram się patrzeć poprzez wirujący, rozproszony śnieg niesiony wiatrem.

- Tam - szepcze Roman. - Siedemdziesiąt metrów.

Widzę ich: trzech żołnierzy z noktowizorami na oczach i w martwych siostrach. Ten na przedzie niesie granatnik; pozostała dwójka pomaga cywilowi - podtrzymują doktor Parris pod ramiona i na wpół ją niosą.

- Rzućcie broń! - gramię, nie spodziewając się, że naprawdę to zrobią.

I nie robią tego. Nie poświęcają choćby sekundy na rozważenie mojego polecenia. Równie dobrze mógłbym zawołać: „Gramy dalej!”.

Moja taktyczna AI podsuwa cel. Namierzam go, wystrzeliwuję trzypociskową serię i powalam przeciwnika w chwili, gdy podnosi granatnik do ramienia. Padają chaotyczne strzały ze strony spanikowanego drugiego najemnika - pociski wystrzeliwane na oślep. Tran trafia go dwukrotnie. Krew tryska po drugim strzale, dowodząc, że co najmniej jedna kula dotarła pod kamizelkę i sięgnęła celu.

Dwóch z trzech leży, ale Roman nie oddała jeszcze swojego strzału.

Stoi nieruchomo, smagana wiatrem wiejącym w plecy, z zatkniętym zapartym nieruchomo o wspornik ramienny, i mierzy do ostatniego wroga. Tamten obejmuje ramieniem szyję kobiety, pistolet przyciska do jej głowy.

Doktor Parris jest zakutana w kurtkę z kapturem obramowanym futrem; ma maskę termiczną, która nie pozwala zobaczyć jej twarzy. To wysoka kobieta, więc jest dobrą ludzką tarczą. Widzę jedynie ramię najemnika i lewą połowę głowy w kapturze.

- Chcecie ją żywą! - woła tamten.

Moja nakładka identyfikuje go po głosie i oznacza jako Vincenta Glovera.

Nie spieram się z nim, bo ma rację. Chcę Parris żywą. Mam do niej kilka pytań.

Jego też pragnąłbym wziąć żywcem, ale sądzę, że nie ma na to szans.

- Załatw go - mówię cicho do Roman.

Bum!

Jeden strzał. Pocisk przelatuje ze świstem obok ucha cywila, rozbija gogle noktowizyjne Glovera i wierci dziurę w jego lewym oczodole.

Doktor Parris jest w kiepskim stanie. Siedzi na łodzi drżąca, wyczerpana, nieborna. Nie wiem, czy cierpi na skutek szoku psychicznego, czy hipotermii, ale musimy odseparować ją od tych warunków atmosferycznych, a nadal jesteśmy sześć kilometrów od stacji Tuvalu.

Rozważam możliwości, a potem odpinam zatrzaski mojej martwej siostry.

- Escamilla, kierowałeś już kiedyś podłączonym rynsztunkiem?
- Nie było to nic takiego, co chciałbym pamiętać, Shelley.
- Przykro mi. Musisz to jednak zrobić ponownie.

Egzoszkielety są drogie. Kiedy noszący je żołnierze giną, wojsko chce odzyskać sprzęt. Zabranie z pola walki zwłok i martwych sióstr to obowiązek sierżantów, dlatego można zdalnie podłączyć jeden egzoszkielec do drugiego, żeby go poprowadzić, nawet jeśli przypięty do niego żołnierz jest martwy.

- Zamierzasz przypiąć cywila do swojego rynsztunku? -pyta Tran.
- Tak.

Parris jest wysoka, ma co najmniej metr osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Niemal tyle co ja. Wolalbym ją przypiąć do gnatów Glovera, ale nie mamy kodów kontrolnych do jego rynsztunku.

Kucam obok doktor Parris. Nie korzysta z noktowizji, ale chmury się rozstąpiły, przepuszczając blask zorzy polarnej która lśni na łodzi - jest dość światła, żeby kobieta mnie widziała, nawet jeśli tylko jako kontur. Zezuje w moją stronę przez pokryte szronem rzęsy, gdy wyjaśniam jej, co zamierzamy zrobić. Wydaje się rozumieć; w każdym razie współpracuje, kiedy Escamilla pomaga mi przypiąć ją do gnatów.

Gdy zajmujemy się Parris, Roman stoi na straży. Logan i Tran obszukują ciała zabitych. Opróżniają kieszenie i plecaki, zdejmują kaptury i maski, a potem kładą każdego żołnierza na łodzi i robią zdjęcia portretowe, żeby

Kanoa mógł przeprowadzić proces identyfikacji. Musimy wiedzieć, kim jest wróg.

Parris czeka w milczeniu, przypięta do mojego egzoszkieletu, ale wraz z tym, jak wracają jej siły, robi się niespokojna.

- Kim jesteście? - pyta ochrypłym, zwarzonym przez wiatr głosem. A kiedy nikt jej nie odpowiada, rzuca głośniejszym głosem: - Vince zabił wszystkich! Wiecie o tym, prawda?

- Wiemy. - Kończę się przypinać do gnatów Glovera. Są małe i czuję się w nich niezdarne, ale kilka kroków przekonuje mnie, że dam sobie radę. Podchodzę do kobiety. - Nad czym pani pracowała w swoim laboratorium, doktor Parris?

- Kim jesteście? - pyta ponownie. - Żołnierzami kanadyjskich sił specjalnych?

Nie odpowiadam, tylko przyglądam się jej przez anonimową, czarną przyłbicę. Pozbawionej noktowizji Parris muszę się wydawać majaczącym cieniem o mechanicznych zarysach; nie odróżnia mnie od kroczącej maszyny. Zamierzam wstrząsnąć kobietą i udaje mi się to. Tempo jej oddechu wzrasta.

- Zabijecie mnie, co?

- Nie.

- Bo uważacie, że należę do tego.

- A należy pani?

- Nie! Vince ukradł rezultaty mojej pracy. Miał je przy sobie. Kultury mikrobiologiczne były w czarnej skrzynce na próbki. - Próbuje się poruszyć, ale egzoszkielec utrzymuje ją w miejscu. - Muszę je odzyskać.

- Poruczniku...? - zawieszam głos.

- Mam ją, kapitanie.

Logan podchodzi z pokrytą szronem skrzynką z wytłaczanego plastiku. Oświetlam kasetę latarką ledową, żeby Parris ją zobaczyła.

- To jest to?
- Tak.
- Jak bardzo jest zabójcze?

Parris jest zmarznięta, przerażona, wyczerpana, bliska hipotermii. Powraca jej wcześniejsza konfuzja.

- Zabójcze? Nie rozumiem. O co pan pyta?

Zmieniam pytanie:

- Jak szybko to się rozprzestrzenia? Ilu ludzi umrze?

Poprzez szron, który przyłgnął kobiecie do rzęs, patrzę jej w oczy; otwiera je szeroko, kiedy się orientuje, o co mi chodzi.

- Myślicie, że to broń biologiczna. O mój Boże! To dlatego się zjawiliście? Uważaliście, że prowadzę laboratorium broni biologicznej?
- A co innego mogłaby pani robić przy takich środkach ochrony?
- Bioposzukiwania.

Mówi tak, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

- Zechciałaby pani wyjaśnić, co to znaczy?

Jest przypięta do mojej martwej siostry, więc nie może gestykulować, ale porusza palcami, żeby wskazać lód pod naszymi stopami.

- Ten świat, tam w dole, jest ledwie poznany. Mikroorganizmy na dnie morza — większości z nich nie da się hodować w laboratorium. Analizujemy je więc *in situ*. Na miejscu.

To zrobotyzowany system. Mikrolaboratoria. Małe zautomatyzowane

zbiorniki z odżywkami. Hodujemy bakterie, badamy je i sekwencjonujemy ich DNA.

- Wszystko na dnie morza?

- Tak, ale...

Świecę na walizeczkę.

- To co, kurwa, jest w środku?

Przysięgam, że dostrzegam w jej oczach poczucie winy.

- Cóż, widzi pan, kiedy mamy już sekwencje DNA, można zsyntetyzować geny. Robimy to w laboratorium. A te syntetyczne geny są implantowane laboratoryjnym szczepom bakteryjnym. Jednak prawne restrykcje dotyczące... pracy z syntetycznymi organizmami...

Taa, teraz rozumiem. Jedyne, co sprowadzili z dna morza, to dane. Mogłaby pracować w laboratorium w Toronto, Vancouver czy gdziekolwiek indziej. Jednak z prowadzenia badań na pokładzie Sigil płynęła pewna korzyść.

- Omijaliście przepisy. Chciała pani robić to w miejscu, w którym jurysdykcja stanowi otwartą kwestię.

- Musi pan zrozumieć. Rywalizujemy z Chińczykami i Rosjanami. Gdybyśmy czekali na zezwolenie...

- Znaleźliście coś wartego ochrony.

Kiwa głową; bezkrwiste wargi pękają, kiedy je zaciska.

- Przeprowadzaliśmy symulacje. Możemy mieć skuteczne leki na kilka zwyrodnieniowych chorób mózgu.

- A to jest warte kupę forsy?

- Potencjalnie miliardy. Dość, żeby skusić piratów. Firma przysłała

dotatkową ochronę na czas załatwiania pozwolenia. - Jej głos cichnie. - Vince wiedział, czym dysponujemy. Nie powiedzieliśmy mu, ale wiedział. Chciał sprzedać syntetyczny szczep. Powiedział, że ma kupca.

GRK 7-1 nie istnieje po to, żeby rozsądzać udziały w skarbcu rekinów.

- Musi mi pani szczerze powiedzieć, doktor Parris, czy zawartość tej kasety można zastosować do budowy broni biologicznej?

- Nie. Nie ma nic wspólnego z bronią. Nigdy nie pracowałam na takim polu. Wojna jest nieetyczna. Zabijanie ludzi jest nieetyczne. Nie mogę uwierzyć w to, co zrobił Vince.

- Jasna cholera, Kanoa, czy ona mówi prawdę?

FaceValue, mój program analizy emocjonalnej, nie jest w stanie tego ocenić, gdyż twarz kobiety kryje maska, ale Kanoa ma więcej środków.

- Analiza głosu i źrenic wskazuje, że tak.

Co oznacza, że ta misja była stratą czasu i ludzi. Wszyscy ci zamordowani na pokładzie Sigil nie żyją dlatego, że wkroczyliśmy - to nasza obecność wywołała katastrofę - a jedyne, co było kiedykolwiek w puli, to forsa.

Nienawidzę cholernych operacji kontrolnych.

- Dlaczego pani nadal żyje? - pytam.

- Bo to był mój projekt! Vince uważał, że mogę być użyteczna. To jedyny powód.

- Wygląda na prawdę - mówi Kanoa.

Mam inne pytanie.

- Próbowali się dodzwonić do swojego kontaktu? Prosim o wsparcie?

Kiwa głową.

- Vince zatelefonował, kiedy byli zmuszeni wylądować.

- I co się stało?

- Jego rozmówcy się wściekli. Z tego, co powiedział, sędzę, że to są Chińczycy. Potem nie chcieli z nim dłużej rozmawiać. A my ruszyliśmy pieszo.

Biorę od Logana plastikową walizeczkę i odchodzę na bok.

- Kanoa, odbierasz cokolwiek w sieciach wojskowych?

- Nie. Na razie nic.

- Więc co myślisz? - pytam go.

- Sędzę, że pracodawca Glovera nie chciał zostać złapany na gorącym uczynku, więc się od niego odciął.

- Liczył, że Glover zginie?

- Tak.

Nie tego szukaliśmy przez ostatnie miesiące.

Wsadzam kasetę do swojego plecaka. Misja okazała się katastrofą, ale wciąż jeszcze trwa. Muszę doprowadzić Parris w bezpieczne miejsce, a oddział odstawić do domu.

- Jaka jest sytuacja Oscara-1? - pytam.

- Nieznana. Straciliśmy jego ślad. Dowódca bazy zakwestionował jego pełnomocnictwa. Możliwe, że został aresztowany.

Jeśli to prawda, to naprawdę jesteśmy w dupie.

Każda operacja podlega dziełu przypadku, ale jeśli stoi za nią Czerwień, wsparcie działa zwykle jak w zegarku. Czerwień dopilnowuje tego, wydając rozkazy, manipulując planami, zapewniając dostęp - wszystko, czego trzeba, żebyśmy wyruszyli i znaleźli się niepostrzeżenie tam, gdzie powinniśmy - ale nie tym razem.

- Wygląda na to, że Czerwień odpuściła tę misję. Akcja nie potoczyła się zgodnie z oczekiwaniami, a my zostaliśmy porzuceni.
- Może się dziać coś innego - przyznaje Kanoa.

Zaledwie kilka godzin temu besztalem Trana za twierdzenie, że możemy polegać na Czerwieni, ale tak właśnie postępowaliśmy podczas tej operacji. Nie przygotowawszy żadnych zastępczych sposobów zatankowania samolotu Oscara-1, oczekiwaliśmy, że Czerwień przeprowadzi go przez punkt kontrolny na Wyspie Ellesmere'a.

Kanoa próbuje podnieść mnie na duchu:

- Nie ma dowodów na żadne bezpośrednie zagrożenie.
- Kwestia czasu.
- Przyjąłem. Dotrzyjcie do stacji Tuvalu, a będziemy mieć więcej możliwości.

Informuję oddział, a potem wyruszamy. Jestem wyczerpany, wszyscy jesteście. Przebiegliśmy dzisiaj dystans maratonu, ale ciąży nam nie tylko pokonana odległość. Zimno, wiatr, adrenalina, wątpliwości - wszystko zbiera swoje żniwo. Mimo to przemy dalej.

Przynajmniej lód jest płaski. Niebo pozostaje czyste. Sześć kilometrów to niedaleko. Tak sobie mówię. Ale odległość daje dość czasu, żebym sobie wyobraził nowe i groźne kłopoty.

- Kanoa.
- Jestem.
- Czy taki gładki lód jest na całej drodze do Tuvalu?
- Potwierdzam.

- Nie podoba mi się to. Nie mamy żadnej osłony. Gdyby stacja okazała się gniazdem najemników...
- Nie. To nie jest Sigil. Nie firma naftowa. Nie ma dowodów na istnienie prywatnej ochrony.
- Dlaczego znajduje się tak blisko Sigil? Nie sądzisz, że to podejrzane?
- Nie, celowe. W aktach istnieje umowa o wzajemnej pomocy, która stwierdza, że w wypadku zagrożenia mają się wzajemnie wspierać. W Tuvalu jest tylko kilkoro naukowców i kolonistów. Nie ma się czym przejmować.
- Naukowcy nie są nieszkodliwi - zaznaczam. - Wynaleźli broń jądrową, działa, bomby, gazy bojowe...
- Okablowanie twojej głowy.
- Właśnie. Nie można im ufać.
- Sądzę, że trzeba cię wyregulować.

Kanoa mówi to, żebym się zamknął, i to działa. Kiedy jednak sadzę susy za resztą oddziału, a lód chrzęści pod moimi płytami stopowymi, zastanawiam się nad tym.

- Kanoa.
- Jestem.
- Czy to się zdarza? Naradzasz się z personelem medycznym, ocenicie odstępstwa od linii bazowej i poprawiacie... zmieniacie to, kim jesteśmy?
- Nie masz dość zmartwień na głowie? Ogarnij się, Shelley. Czeka cię łatwa część misji. Zadzwoń do Tuvalu i daj im znać, że nadchodzicie.
- Zatelefonowałeś do nich, kurwa? Co im powiedziałeś?

- Prawdę. Sigil została zaatakowana, helikopter zestrzelony, doktor Parris jest jedyną ocalałą.
- A my w tej historii jesteśmy złymi facetami czy dobrymi?
- Nie ma dobrych, ale oni jeszcze tego nie wiedzą. Spodziewają się, że będą udzielali doktor Parris pomocy medycznej z powodu hipotermii, a potem przetransportują was wszystkich drogą powietrzną, gdy tylko jej stan się poprawi.
- Zatem zostawimy ją tam i zabierzemy śmigłowiec?
- Potwierdzam. Chcę, żebyście wrócili na Sigil. W tym helikopterze nie będzie miejsca dla wszystkich członków oddziału, ale przynajmniej będziesz mógł zabrać rannych.

Nazywamy Tuvalu stacją badawczą, ale to określenie sugeruje trwałość i znaczenie, których Tuvalu nie ma.

Deep Winter Sigil jest wartym miliard dolarów obiektem zbudowanym na dziesięciolecia i zaprojektowanym w taki sposób, żeby funkcjonować na otwartym oceanie lub pośród lodów. Kiedy jednak zbliżamy się do Tuvalu, staje się jasne, że w stacji nie ma nic trwałego. To, co na zdjęciu satelitarnym wziąłem za budynki, to w istocie zaledwie namioty. Światło gwiazd ślizga się po powierzchni metalizowanej tkaniny, tworząc refleksy, co sprawia, że namioty lśnią w naktowizji. Dwa mają kształt półwalcowych baraków. Trzeci jest obszerną, jurtopodobną konstrukcją na bazie koła. Łączą je krótkie tunele. Żaden z namiotów nie ma okien, nie sączy się z nich żadne światło. Nie widzę żadnego ruchu.

Przystaję kilka razy i nasłuchuję. System audio mojego hełmu odfiltruje szum wiatru i wycisza chrzęst lodu pod naszymi stopami. Nie słyszę innych dźwięków. Jednak hełm rejestruje sygnały elektromagnetyczne - mnóstwo, jak w każdym ludzkim siedlisku.

Kanoa opatruje tę scenę tabliczkami wyświetlanymi na mojej przyłbicy, poszerzając informacje o raporcie głosowym.

- Okrągły namiot to hangar. Dwa pozostałe służą do wspólnego użytku - kwatery mieszkalne i pomieszczenia badawcze. Możecie wejść przez służbę w środkowym namiocie.

Nie ma powodu, żebyśmy wchodzili wszyscy; nie zamierzam spędzić tam wiele czasu.

- Escamilla, obejdz obóz. Rozglądaj się za wszystkim, co interesujące.

- Przyjąłem, sir.

- Tran, zajmij pozycję przed wejściem do hangaru. Jeśli naprawdę jest tam helikopter, nie pozwól, żeby odleciał.

- Tak jest, sir.

- Masz przeczucie, Shelley? - pyta Kanoa.

Zerkam na ikonę neuronetki. Gdyby się żarzyła, wskazywałoby to na ingerencję, oddziaływanie na mój stan emocjonalny, ale jest niewidoczna, nie otrzymuję więc ostrzeżeń z góry.

- Nic niezwykłego.

- Twoje odczyty wskazują, że jesteś nieco spięty.

Żadna niespodzianka. Wszystko w tej misji się popierdoliło, a teraz przymierzamy się do kradzieży śmigłowca.

Kiedy zbliżamy się do namiotów, Escamilla i Tran oddzielają się od nas, żeby wykonać swoje zadania. Reszta, wraz z Parris, podchodzi do aluminiowych, izolowanych drzwi, które natychmiast się otwierają. Wylewa się jasne, sztuczne światło, oślepiając mnie na pełną sekundę, zanim przyłbica przystosuje się i wyłączy noktowizję.

Niebawem zauważam, że świat przybrał normalne barwy... oraz że nawet o tym nie myśląc, skierowałem lufę ztkh w stronę krępej postaci w jaskrawopomarańczowej kurtce. Stojący na progu nieznajomy patrzy na

mnie gniewnie oczami osadzonymi w płaskiej, brązowej, pomarszczonej twarzy okolonej pomarańczowym kapturem. Moja encyklopedia przeprowadza automatyczny proces rozpoznawania i przydziela mu nazwisko: John Parker. Opuszczam lufę ztkh ku ziemi. Podejrzewam, że John Parker żałuje już, że mnie spotkał, chociaż nie bardzo miał wybór.

- Muszę prosić, żebyście zdjęli egzozskielety i hełmy -mówi niskim głosem z miękką modulacją, która wskazuje na tubylcze, arktyczne pochodzenie.

Natychmiast włącza się Kanoa.

- Odmawiam. Przejmijcie kontrolę nad ośrodkiem.

Pozwalam, żeby neuronetka wychwyciła moją myśl:

Przyjąłem.

Jednym z najbardziej imponujących aspektów ludzkiej psychiki jest nasza biegłość we wciskaniu kitu. Zwłaszcza sposób, w jaki używamy jej w celu zmniejszenia poziomu przemocy na świecie. Nie chcę wchodzić przebojem do wnętrza bazy i nie chcę prowokować bezpośrednio Johna Parkera, ale muszę dać mu znać, kto ustala reguły. Odgrywam więc rolę zatroskanego i ostrożnego dowódcy:

- Nie ma sprawy, panie Parker, ale najpierw musimy się zorientować w sytuacji. Wyślę porucznika, żeby się rozejrzał w środku. Logan, weź ze sobą Roman.

John zaciska usta. Nie jest zadowolony, ale jest zbyt cwany, żeby się sprzeciwiać. Wraca do przedsionka. Logan i Roman idą za nim i zamykają za sobą drzwi.

Zostaję zatem sam z doktor Parris, stojąc na progu. Odwracam się do niej. Im szybciej przekażę ją pod opiekę innych, tym lepiej.

- Wydostańmy panią z tego rynsztunku.

Jest wyczerpana i półprzytomna. Nie opiera się, ale także nie

współpracuje, kiedy odpinam zatrzaski.

Zgłasza się Escamilla:

- Shelley.
- Jestem.
- Na zewnątrz hangaru znalazłem magazyn z zapasami. Nie wiem, co to jest.
- Zostaw to.

Gdy uwalniam Parris od egzozkieletu, kobieta zaczyna się osuwać na ziemię. Podtrzymuję ją, prowadzę do śluzy i pomagam usiąść na ławce. Wewnętrzne drzwi są zamknięte ale w przedsionku jest i tak cieplej niż na zewnątrz, na wietrze.

Logan zaczyna przekazywać swój raport.

- Tuż za drzwiami jest wielkie pomieszczenie. Obecnych sześćoro ludzi. Żadnej broni. Żadnych jawnych oznak wrogości.

Kanoa patrzy przez kamery hełmowe Logana, żeby się upewnić, że nic nie zostało przeoczone.

- Potwierdzam - mówi. - Cała szóstka zweryfikowana na podstawie dostępnych akt.

Logan poleca Roman, żeby pozostała w środkowym pomieszczeniu, a sam idzie tunelem do drugiego namiotu.

- To zapewne pomieszczenia sypialne.
- Sprawdź pokoje - mówię.
- Przyjąłem.

Poruczam Parris życzliwości personelu stacji Tuvalu, a sam wychodzę ponownie na zewnątrz. Rozmowa Logana z Kanoą trwa, kiedy

wydobywam się z rynsztunku zabitego najemnika i przypinam do własnych gnatów.

- Pokój pierwszy, czysto - melduje Logan.
- Potwierdzam.
- Pokój drugi, czysto.

Idę stroną hangaru, przy którym spotykam Escamillę i Trana.

- Mamy jak się stąd wydostać, sir? - pyta Tran.
- Nadal czekamy.

Z boku hangaru otwierają się drzwi. Odwracam się szybko, ale tym razem udaje mi się utrzymać karabin w pozycji przez pierś, zamiast wycelować go w cywila, którego sylwetkę widać w wejściu. Padające z wnętrza sztuczne światło ujawnia niebieską kurtkę z kapturem, na wpeł uniesione ręce ze skierowanymi na zewnątrz dłońmi w rękawiczkach, bez widocznej broni. Moje spojrzenie przenosi się z rąk w górę. Kobieta stoi krok w głębi pomieszczenia, więc światło pada pod kątem na jej odsłoniętą twarz. Czarna skóra, ciemnobrązowe oczy, delikatne brwi ściągnięte w gniewnym grymasie, skrzywione pogardliwie wargi.

- Pozostało ci cokolwiek ludzkiego pod tym hełmem, Shelley? - pyta.

Escamilla i Tran zwracają jednocześnie broń w jej kierunku. Kanoa wtrąca trzysylabową opinię:

- Cholera.

A ja? Doznaję tak gwałtownego wstrząsu, że wybija mi to z głowy wszelkie myśli oprócz jednej - tak wyraźnej i tak intensywnej, że neuronetka wychwytuje ją, przekłada na głos, po czym wypowiadają przez gen-kom spokojnym, syntetycznym tonem, który w żaden sposób nie oddaje tego, jak się czuję:

- Jaynie.

To nieprawdopodobny zbieg okoliczności, żeby wpaść na Jaynie Vasquez tutaj, na zlodowaciałym końcu świata, ale przecież nie wierzę w przypadki. Jestem mądrzejszy.

- Spokojnie, Shelley - ostrzega Kanoa, jakbym miał zamiar ją skrzywdzić.

Jaynie nie widzi mojej twarzy, ale i tak mnie poznała. Odbyliśmy razem wystarczająco dużo misji. Wie, jak wyglądam w rynsztunku. Wie, jak się poruszam.

Zarzucam ztkh na ramię, a potem sięgam obiema rękami do hełmu.

- Co robisz? - sprzeciwia się Kanoa.

Ignoruję go i zdejmuję hełm. Odsuwam kaptur termiczny. Mróz kąsa jak ogień, ale nie dbam o to, gdyż chcę zademonstrować Jaynie, że jestem mniej więcej taki, jaki byłem.

Przygląda mi się długo. Potem odsuwa się na bok, żeby mnie wpuścić pod osłonę hangaru.

Powietrze wewnątrz jest ogrzane do minus piętnastu stopni - znośnie w porównaniu z mrozem panującym na zewnątrz. Okrągłe ściany otaczają mały helikopter Bella w żółtym ratowniczym kolorze; rozpiętość łopat maszyny jest tylko dwa metry mniejsza od średnicy hangaru.

Escamilla wchodzi za mną. Roman idzie do tunelu prowadzącego do pomieszczeń mieszkalnych. Ignoruję ich oboje. Tak jak i Jaynie.

Zsuwa do tyłu kaptur, dzięki czemu widzę, że nie nosi neuroskalpu. Ma mocno kręcone czarne włosy, ostrzyżone krótko, po wojskowemu. Chcę zapytać, czy się okablowała, czy wszczepiono jej neuronetkę, ale wiem, że nie.

- Zrezygnowałaś z tego, co? Żadnego neuroskalpu. Żadnej neuronetki. Nie jesteś już emocjonalną ćpunką.

Nie o tym Jaynie chce rozmawiać.

- Powinieneś nie żyć. - Patrzy na mnie z kamiennym wyrazem twarzy. - Pierdolona marynarka Stanów Zjednoczonych zestrzeliła cię z nieba. Czy to zostało upozorowane?

- Nie zostało. - Marynarka wystrzeliła pocisk, który strącił nasz mały samolot kosmiczny, *Lotusa*. Nie trafili bezpośrednio, ale fali uderzeniowej i odłamków było dość, żeby rozbić pojazd. - Kurnakowa nie żyje.

- A ty nadal tutaj jesteś. Wciąż ulubieniec Boga.

Być może Jego ulubiona zabawka.

Ponieważ nie mam już hełmu na głowie, Kanoa przełączył się na gen-kom w mojej nakładce.

- Nie po to tutaj jesteś, Shelley. Jedyne, o co masz się zatroszczyć, to jak bezpiecznie wydostać stamtąd swój oddział.

- Nie zgadzam się, sir.

Gdy patrzę obok Jaynie w głąb tunelu i wyobrażam sobie, że zaraz pojawi się w nim Delphi, w mojej głowie toczy się walka przerażenia z oczekiwaniem. Przez jakiś czas śledziłem jej losy. Byłem zadowolony, gdy została współniczką Jaynie. Kiedy założyły razem firmę, byłem przekonany, że będzie z nią dobrze. Więc zostawiłem to tak. Ale teraz?

- Jest powód po temu - upieram się.

- Być może, ale nie taki, który musisz rozumieć. Odpal ten helikopter i wyłoś się stamtąd. To rozkaz.

Kanoa ma co najmniej częściowo rację. Musimy odlecieć i to szybko, zanim ktoś powiadomi wojsko kanadyjskie. Wykonuję gest w stronę Escamilli.

- Poszukaj kluczyków, a potem rozpocznij procedurę startową.

- Kradniesz mój śmigłowiec? - pyta Jaynie, patrząc gniewnie na Escamillę, który otwiera drzwiczki po stronie pilota i pochyla się do wnętrza maszyny.

- To twoja operacja? - Nie mogę w to uwierzyć. - Daj spokój, Jaynie. Nie lecisz na Marsa.

- Są kluczyki! - woła Escamilla. Zagląda na tył helikoptera. - Usunięto siedzenia. Układ transportowy, ale możemy temu zaradzić.

- Zrób to.

Jaynie opuszcza brodę jak bokser.

- Mars to cel, nad którym pracujemy.

- To pierdolone szaleństwo.

Escamilla zdejmuje plecak i hełm. Zaczyna odpinać zatrzaski martwej siostry, bo musi zdjąć rynsztunek, żeby się zmieścić w fotelu pilota. Jaynie patrzy na niego, patrzy na mnie.

- To nie ja łażę po świecie z drutami w głowie, Shelley.

Tak, za to ona myśli o wyprawie na Marsa. To mnie przeraża, bo jest możliwe. Trwa przygotowanie do finansowania z prywatnych funduszy lotu w jedną stronę. Wiele rekinów wspiera ten projekt. Nie tak dawno temu słyszałem w koszarach rozmowę na temat zbliżającego się wystrzelenia automatycznego statku, który ma dostarczyć na Marsa zapasy przed wyruszeniem ludzkiej ekspedycji.

- Weszłaś w to, Jaynie?

Kiwa głową.

- Tak.

Podczas naszej ostatniej wspólnej misji w grę wchodziły pieniądze na skalę rekinów. Zrobiłem, co trzeba, żeby ta forsa trafiła do rąk Delphi i

Jaynie, gdyż chciałem, żeby ta ostatnia mogła sobie zbudować sanktuarium poza wpływami Czerwieni. Mars odpowiada tym wymaganiom, ale to błąd.

- Na Marsie niczego nie ma, Jaynie. Nawet powietrza do oddychania.
- Przysłano cię tutaj, żebyś mi to powiedział?

Waham się. Jaynie paranoicznie boi się wpływu Czerwieni na swoje życie, ale w jej słowach tkwi ziarno prawdy.

- Być może.

Zerkam ponownie w głąb tunelu. Chcę mieć pewność.

- Delphi nie ma tutaj, co?

Jaynie podąża za moim spojrzeniem.

- Szukała cię. Wiedziałaś o tym? Nie wierzyła, że nie żyjesz. Mówiłam jej cały czas, że nie ma mowy... - Nie jest w stanie dokończyć zdania. Jej opanowanie pryska. - Niech cię szlag, Shelley! Dlaczego nie wróciłeś do domu?

Roman stoi nadal na straży, anonimowa za swoją przyłbicą, ale widzę twarz Escamilli. Siedzi w fotelu pilota, przerwawszy procedurę kontrolną, gdyż chce usłyszeć, co odpowiem. Dokonał tego samego wyboru co ja. Wszyscy w oddziale zrezygnowali z życia, jakie prowadzili wcześniej. Wszyscy dzielimy to samo poczucie winy, za które - wiem to - nie należy przeproszać.

- Uczestniczymy w wojnie przeciwko armagedonowi, Jaynie. Nikt jej nie porzuca, żeby wrócić do domu.

Escamilla kiwa głową z ponurą aprobatą i wraca do swojego zajęcia, ale oczy Jaynie błyszczą. Pochyla się ku mnie. Dłoń w rękawiczce dotyka mojego ramienia; wzrok ma proszący.

- Zostań. Znajdziemy dla ciebie miejsce i polecisz z nami. Usuniemy ci

okablowanie z głowy. Nic ci nie będzie.

Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Nie znalazłem się tutaj przypadkiem.

- Nie wybieram się na Marsa, Jaynie, ani ty tam nie polecisz. To samobójstwo. Błąd, z którego nie można się wycofać. - Odsuwa się, ale łapie ją za ramię. - Musisz mnie wysłuchać. Musisz zrozumieć, jak wygląda sytuacja, gdyż na świecie obowiązuje nowy standard. Mówi on, że wszyscy muszą być widoczni, wszyscy odpowiedzialni. Nie trzymaj więc swoich tajemnic zbyt blisko przy orderach, bo jakiś trep, taki jak ja, wywali kopniakiem twoje drzwi, żeby sprawdzić, co ukrywasz.

Wyrywa ramię z mojego uścisku i się cofa.

- Idź do diabła.

Logan wychodzi z tunelu.

- Ładuj sprzęt - mówię mu. Zrzucam z siebie plecak, ale Kanoa interweniuje.

- Masz nadal przy sobie skrzynkę próbek doktor Parris.

- Chcesz, żebym jej to oddał?

Jaynie odeszła w stronę tunelu, ale obserwuje mnie czujnie.

- Nie mamy powodu, żeby to zatrzymać. To nie jest broń biologiczna, więc jej oddaj.

- Jaynie, czekaj. - Wyjmuję z plecaka czarną kasetę i wyciągam w jej stronę. - Należy do doktor Parris. To materiał biologiczny, kultury bakteryjne. Ona twierdzi, że nie są niebezpieczne, ale powinnaś pogadać z nią o tym, ocenić sama.

Jaynie krzyżuje ramiona na piersi, zadziera brodę i przybiera sceptyczny wyraz twarzy.

- Chcesz, żebym jej to zwróciła?

Nie mam ochoty się o to kłócić.

- Zrób, co chcesz.
- Zamierzam.

Pomimo wyzywającego tonu podchodzi, żeby wziąć ode mnie pojemnik. Ręka jej drży. Sądzę, że moja być może także.

- Musimy otworzyć drzwi hangaru! - woła Escamilla.
- Robi się! - odpowiada Logan.

Jesteśmy piratami biorącymi to, czego potrzebują.

- Posłuchaj, Jaynie. Przykro mi. Z powodu helikoptera. Chodzi o to, że musimy ruszać natychmiast, więc naprawdę nie mamy wyboru.

Cofa się.

- Jest ci przykro z tego powodu? Nie martw się. Jest ubezpieczony. A teraz spierdalajcie stąd.

Odchodzi w głąb tunelu. Kiedy jednak Logan otwiera drzwi hangaru, wpuszczając podmuch wiatru, Jaynie zawraca. Podnosi głos, żeby mieć pewność, że ją usłyszę.

- Hej, Shelley, może spotkamy się ponownie - na Marsie, po wojnie!

A potem znika.

Logan podchodzi do mnie. Jego podwinięta maska termiczna odsłania twarz.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek może dojść do czegoś podobnego.

Mówię mu to, co powiedziałem Tranowi przed tą głównianą misją:

- Nie ufaj nigdy Czerwieni.

Niech ci się nie wydaje, że ją rozumiesz.

Wiatr nam sprzyja, wspierając śmigłowiec w locie na południe w kierunku Sigil, ale wciąż jest na tyle mocny, żeby powodować turbulencje przyprawiające człowieka o bielenie kłykci. Escamilla milczy, skupiając całą uwagę na przyrządach kontrolnych, kiedy stara się utrzymać nas pewnie na kursie.

Logan, Roman i Tran siedzą z tyłu na podłodze maszyny, stłoczeni między naszymi plecakami, bronią i złożonymi stelażami martwych sióstr. Zajmują miejsce drugiego pilota. Wszyscy mamy na głowach hełmy. Mój pokazuje mi teren w zielonej poświacie noktowizji. Powinienem pomagać Escamilli w nawigacji, ale głównie rozmyślam o Jaynie i Delphi, o tym, jak trudno musi być dostać się na Marsa, i jak ostatecznie i na zawsze znajdą się poza moim zasięgiem, kiedy - nieuchronnie - sytuacja się pogorszy. To ciąg myśli, który łączy mnie z dziwnie znajomym uczuciem paniki, i na kilka zaledwie sekund uczestniczę ponownie w misji „Brzask”, jestem na pokładzie C-17, a pułkownik Rawlings przekazuje mi brutalną prawdę: „Nie możesz nic dla niej zrobić”.

Jednak tym razem zostałem wcześniej ostrzeżony.

Moja krótka wyprawa na niską orbitę Ziemi wymagała rakiety wartej dwadzieścia milionów dolarów. Mars to inny świat, nieporównanie odleglejszy. Wiem, że lot będzie wymagał skomplikowanej dynamiki orbitalnej i asysty grawitacyjnej, ale także rakiety o całe niebo większej i droższej od tej, która wyniosła mnie na orbitę.

Taka rakietka powinna być łatwa do wyśledzenia.

Wracam gwałtownie myślami do teraźniejszości, gdy zaświeca się ikona mojej neuronetki: na czarnym tle płonie ogniście czerwona siateczka. Zalewa mnie powódź prefabrykowanego niepokoju, przytłaczając strachy własnego chowu, przynosząc ze sobą przecucie nadciągającej śmierci. W gen--komie wybucha gwar rozmów, wszyscy mówią jednocześnie:

- Co jest, kurwa?
- Coś się dzieje?
- Co to jest? Ktoś wie?
- Kanoa, masz coś dla mnie?

Wyglądam przez okienko, ale w dole widzę jedynie poszarpany lód, którego niskie grzbiety i pinakle niemal giną pod niedawno spadłym śniegiem.

Zgłasza się Kanoa, zwracając się ponurym głosem do całego oddziału:

- Uwaga, uwaga. Radar pokazuje myśliwiec lecący nisko i bez świateł. Wsteczna trajektoria lotu prowadzi do chińskiego lotniskowca u brzegów Grenlandii. Trasa wskazuje na przechwycenie. Shelley...
- Gazu! - wrzeszczę do Escamilli. - Dowieź nas na terytorium kanadyjskie!

Mówię sobie, że nie ma mowy, żeby chiński myśliwiec zestrzelił nas nad obszarem, do którego prawo rości sobie Kanada, ale Kanoa kładzie kres moim fantazjom, stwierdzając śmiertelnie spokojnym tonem:

- Półtorej minuty do zasięgu rakiet.

Doktor Parris podejrzewała, że Vince Glover miał chińskiego łącznika. Zaczyna wyglądać na to, że miała rację, a kiedy Chińczycy postanowią sprzątnąć bałagan, to się nie pierdolą.

- Ląduj! - wrzeszczę do Escamilli. - Posadź nas na lodzie.
- Przyjąłem.

Nasza prędkość spada; pokład pode mną się pochyla. Obracam się, żeby spojrzeć za siebie.

Noktowizja ukazuje mi Logana, Trana i Roman, skulonych w przedziale

ładunkowym; ich nieprzezroczyście przyłbice zwrócone są w moją stronę.

- Nakładać rynsztunek! - rozkazuję. - Ruchy! Ruchy! Wybierzcie kierunki kompasu i rozproście się po wylądowaniu!

Rozpierzchnięcie się to wytrenowana reakcja PGB na atak powietrzny. Im większa odległość dzieli poszczególnych żołnierzy, tym trudniej pilotowi ich wystrzelać.

Pierwsza wstaje Roman.

- Północ - mówi, rozkładając energicznie szkielet swojej martwej siostry.

Tran jest tuż po niej.

- Zachód.

Nie ma dość miejsca, żeby rozłożyć całkowicie rynsztunek; jest za nisko, żeby stanąć w pełni wyprostowanym. Mimo to się przypinają. Widać gmatwaninę tytanowych wsporników i białych, arktycznych kombinezonów maskujących, kiedy członkowie oddziału schylają się, kucają i pomagają sobie wzajemnie zapiąć zatrzaski.

Logan zarzuca plecak na ramiona, uważając przy tym, żeby nie zwalić nikogo z nóg.

- Escamilla! - mówi przez gen-kom. - Ty...

Przerywam mu:

- Ja się zajmę Escamillą.

- Dobrze, sir. Ja na południe zatem... I lepiej, żebyś ubrał gnaty.

- Zróbcie trochę miejsca.

Przyciskają się do ścian. Wydostają się z upręży fotela i przechodzę ponad jego oparciem. Tran trzyma moją martwą siostrę rozłożoną, ze wspornikami nóg w pozycji kucznej. Przypinam się. Pokład się kołysze,

ale Tran i Roman chwytają mnie, zapobiegając mojemu upadkowi. Logan pomaga mi założyć plecak. Podnoszę ztkh z podłogi i zarzucam go na ramię.

- Escamilla, ty na wschód. Kapujesz?
- Tak jest, sir!
- Jak tylko posadzisz maszynę, wyskakuj za drzwi i wuj ze wszystkich sił. Wezmę twój ryszunek.
- Przyjąłem, Shelley.

Logan kuca przy okienku po wschodniej stronie. Noktowizja ukazuje mi skrawek nieba, zbrukany przez ciemny pyłek poruszający się szybko między gwiazdami.

- Dlaczego nie jesteśmy jeszcze na ziemi, Escamilla?
- Potrzebne nam miejsce do lądowania. Przed nami jest gładki lód. Może za dwadzieścia sekund.

Za długo.

- Sprowadź nas najniżej, jak możesz. Logan, Tran, otwórzcie drzwi.

Przesuwne drzwi w obu burtach maszyny odjeżdżają z trzaskiem w tył, wpuszczając podmuch arktycznego powietrza i ryk nadlatującego odrzutowca, słyszalny nawet pomimo huku silnika helikoptera.

- Dziesięć sekund - mówi Escamilla.

Czekam obok Logana. Tran i Roman są po drugiej stronie. Lód, upstrzony połamanymi pinaklami, gna wstecz pięć metrów pod nami.

- Jesteście w zasięgu pocisku - ostrzega Kanoa.
- Rakieta! - krzyczy Logan.
- Skaczcie! Tylko nie w pierdolone wirniki!

Pół sekundy rozmazanego ruchu i zniknęli. Jesteśmy tylko ja i Escamilla. Sięgam ponad oparciem siedzenia i zwalням jego uprząż.

- Wyłaż, kurwa!

Potem obracam się, chwytam jego rynsztunek, wyrzucam kłamotoy przez drzwi po lewej stronie - tej zwróconej na wschód, która ukazuje mi ognisty ślad slalomującej w moim kierunku rakiety - a potem podążam za sprzętem, wypadając z luku i modląc się, żeby nie zderzyć się z Escamillą.

Walę barkiem o lód. Impet wyrzuca mnie w powietrze. Spadam na wsporniki ramion w rozbryzgu śniegu w chwili, w której rakieta trafia w helikopter. Płomienie ogarniają świat, zwała się fala uderzeniowa, wyrzucając mnie poza czas, aż do Dassari: mam urwane nogi, nie mogę się ruszyć, myśliwiec ryczy mi nad głową, a pode mną drży błotnisty grunt.

Chiński odrzutowiec przelatuje błyskawicznie i wibracja słabnie. Teraźniejszość zamyka się wokół mnie. Nie do błota przywieram, tylko do lodu. Odpycham uczucie przerażenia i zmuszam się do spojrzenia na ikony członków oddziału.

Żadna nie jest zielona, ale żadna też nie błyska czerwienią stanu krytycznego.

- Escamilla! Sytuacja?

- Ruszam się, sir! - Brzmi to tak, jakby mówił przez zaciśnięte zęby. - Chyba, kurwa, złamałem żebro.

Uderzam w lód hakami ramiennymi i wstaję. Na zachodzie noktowizja ukazuje mi zawracający myśliwiec.

- Wróg nadlatuje! Kryć się, gdzie kto może!

Gnam na północ, szukając rynsztunku Escamilli. Znajduję go zaledwie dwadzieścia metrów dalej. Mapa oddziału umiejscawia Escamillę na południowy wschód ode mnie. Zgarniam jego plecak i martwą siostrę,

ruszam w tamtą stronę, a wsporniki nóg egzoszkieletu przenoszą mnie ponad nierównościami terenu.

Ryk myśliwca jest niski; poluje na nas, poluje na mnie. Jestem jedynym, który znajduje się w ruchu. Nie chcę doprowadzić pilota do Escamilli, szukam więc jakiegoś lodowego grzbietu albo pinakla na tyle wysokiego, żeby mnie zasłonił, ale nic takiego nie znajduję. Widzę jedynie oleisty dym kłębiący się nad przerębłą. Ani śladu helikoptera.

Słyszę serię z automatycznego działka myśliwca. Pilot znalazł cel. Mapa oddziału potwierdza, że nikt inny się nie rusza, jestem więc całkiem pewny, że tym celem jestem ja. Upuszczam sprzęt Escamilli. Wydaje mi się, że Kanoa woła coś do mnie, ale nie słucham go. Jak mogę słuchać? Pomimo osłony zapewnianej mi przez hełm dociera do mnie jedynie ryk odrzutowca. To znowu Dassari, bez końca, i być może dlatego, że poprzednio zbliżyłem się zbyt blisko do śmierci, tym razem optuję za innym rozwiązaniem.

Nie mniej przerażającym.

Upuszczam ztkh, strząsam z ramion plecak i zostawiam go za sobą, licząc, że stanie się celem odwracającym uwagę pilota. Potem rzucam się szczupakiem na lód i sunę po nim w kierunku wody. Tym razem wolę utonąć, niż zostać ponownie rozerwany na strzępy.

Gdybym miał jednak wybór? Wolałbym raczej przeżyć.

Tuż przed tym, gdy przelatuję poza krawędź przerębli, obracam się na brzuchu i wbijam haki ramienne w krawędź lodowej płyty. Pierwsze o wodę uderzają nogi. Ciężar martwej siostry ciągnie mnie w dół, pod powierzchnię wody. Wyciągam się jak długi, wisząc na hakach ramiennych, w pełni świadomy, że jeśli te zaczepy puszczą albo lód się podda, to spadnę na dno oceanu.

Zdecydowany atak zimna osłabia termiczna warstwa odzieży ochronnej, która nie dopuszcza wody do tułowia i kończyn, ale kiedy zostaje zalany mój hełm, woda dociera do ust, nosa i oczu. Zaciskam mocno powieki, wyobrażając sobie, że mózg kurczy mi się do postaci maleńkiego,

gorącego punktu.

To nie imaginacja, gdy czuję, że lód pęka pod prawym hakiem ramiennym. Zaczep się ślizga, ale chwyta ponownie. A potem rozlega się stłumiony huk. Lód drży. Hak znowu się ślizga.

Chcę zaczerpnąć powietrza.

Co gorsza, woda dostaje się pod mój kombinezon termiczny, przesączając się wokół kołnierza i mankietów, wznosząc się w górę ud, co odbieram tak, jakby ostrza brzytwy cięły mi skórę, w związku z czym zmieniam zdanie co do preferowanego rodzaju śmierci.

Podciągam się na hakach, spodziewając się, że puszczą. Jeśli tak, to moja jedyna szansa polega na odpięciu się od martwej siostry, zanim opadnę zbyt głęboko. W dole, na dnie, będzie tak zimno, że moje ciało nigdy nie zgnije. Zagrzebany w mule mogę stać się skamieliną dla jakiejś pieprzonej małpy, która wykopie mnie za dwadzieścia milionów lat. Albo będę pożywieniem krabów i rozgwiazd.

Haki ramienne trzymają.

Głowa w hełmie przebija powierzchnię wody, która wycieka spod niego, a ja oddycham. Zwolniwszy prawy hak, sięgam dalej, wbijam zaczep w płaszczyznę lodu i podciągam się na krawędzi przerębla na tyle wysoko, żeby oprzeć na niej łokieć. Haki trzymają, więc nie ześlizguję się z powrotem. Wbijam na przemian zaczepy w lód i wpełzam na jego powierzchnię.

Leżę na niej, patrząc na wodę wyciekającą mi z rękawa, zdumiewając się tym, jak zamienia się w cienkie warstewki białego lodu, póki nie wypłynie cała. Zauważam, że moje ciało drży niepoohamowanie. To kliniczna obserwacja. Mówię sobie, że wszystko będzie w porządku. Ochraniacz termiczny zaprojektowano w taki sposób, żeby zapewnił mi ciepło bez względu na to, czy jest suchy, czy mokry.

Zmuszam się do skupienia uwagi na terażniejszości. Po pierwsze, sprawdzam stan ikon członków mojego oddziału. Świecą się na zielono i

zółto, ale zbytnio się trzęsę, żeby rozpoznać szczegóły. Podciągam się do pozycji siedzącej. Wiatr dmie, ale czuję go jedynie w postaci naporu powietrza. Może jestem zbyt zmarznięty, żeby mogło mi być jeszcze zimnej. Być może mój strój ochronny spełnia swoje zadanie.

Noc stała się cicha; tak cicha, że zbląkana myśl sugeruje, że może ogłuchłem albo w systemie audio hełmu doszło do zwarcia. Postanawiam to sprawdzić, chociaż szczękające zęby utrudniają mi mówienie.

- O...odliczanie - jąkam przez gen-kom.

To ulga usłyszeć ich odpowiedzi:

- Logan.

- Roman.

- Escamilla.

- Tran.

- G...gdzie jest myśliwiec? - pytam, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

Potem sam go zauważam. Jest na północnym wschodzie, upiorny grot strzały w noktowizji, w połowie szerokiego zwrotu, po którym dokona kolejnego przelotu.

Nigdy nie kończy tego skrętu.

Niebo jest czyste, ale na południu przetacza się odległy grom, a chiński myśliwiec w odpowiedzi na niego idzie świecą w górę, gnając w stronę gwiazd, jakby zamierzał opuścić Ziemię. W kilka sekund staje się zbyt mały, żeby go dostrzec, a potem grzmot na południu się rozdziela - to ryk silników co najmniej dwóch kolejnych odrzutowców, które go ścigają.

Przypuszczam, że to pokaz siły wojskowego lotnictwa kanadyjskiego, walczącego w obronie morskich roszczeń terytorialnych. Wstaję, gdy dwa myśliwce przelatują daleko na wschodzie.

- Logan, m...masz r...raport o obrażeniach?
- Tak jest, sir. Escamilla sądzi, że ma pęknięte zebro. Ja i Tran jesteśmy tylko poobijani i posiniaczeni.
- Mamy zdolność ruchową?
- Mogę chodzić - warczy Escamilla.
- Kanoa, j...jesteś tam?
- Jestem.
- Potrzebny nam n...nowy plan ewakuacji.
- W trakcie opracowywania. Czekajcie.

Prostuję się. Muszę się ruszać. Wytworzyć trochę ciepła. Dać mojemu kombinezonowi termicznemu coś, dzięki czemu mógłby działać. Idę więc na poszukiwanie plecaka.

Upuściłem go jako wabik i sądzę, że ta strategia się sprawdziła, gdyż w miejscu, gdzie powinien się znajdować, natrafiani na kolejny przerębel. Na powierzchni wody formuje się świeża warstewka lodu.

Rozglądam się, ale żołnierze mojego oddziału są nadal przycupnięci i nie widzę ich. Nie widzę także sprzętu Escamilli. Mam wrażenie, że przerębel połknął również jego rysz tunek, który opada na dno morza.

- Escamilla, chyba straciłem twój sprzęt.
- Cholera, Shelley, w niczym ci, kurwa, nie mogę zaufać.
- Warto to zapamiętać.

Tknięty nowym niepokojem patrzę w kierunku, z którego nadlecieliśmy.

Podczas drugiego nawrotu chiński myśliwiec poleciał dużo dalej na północ, niż musiał. Dlaczego? Czy sam nasz pobyt w stacji Tuvalu zamienił ją w cel?

Pytam Kanoę. Zapewnia mnie, że Tuvalu jest nietknięta, ale może tylko dlatego, że przybyła kawaleria. Myśl o tym, że Jaynie mogłaby się stać przypadkową ofiarą tej spierdolonej misji, mrozi mnie do szpiku kości. Chcę się stąd wydostać, zanim jeszcze bardziej pogorszymy sytuację.

Nadal jesteśmy osiem kilometrów od Sigil. Ruszamy w drogę. Postępy są niewielkie, gdyż Escamilla nie ma ryszunka i wszyscy jesteśmy wyczerpani, ale po kilku minutach zgłasza się Kanoa.

- Dobre wieści. Ten chiński myśliwiec zmusił Czerwień do zrewidowania planu misji i w końcu udało się nam przepchnąć rozkaz. Oscar-1 jest w drodze.

Ta wiadomość podnosi nas na duchu. Niemniej Oscar-1 dotrze do nas dopiero za niecałe dwie godziny. Idziemy więc dalej i nawet mimo spowalniającego nas Escamilli docieramy do Sigil pierwsi.

Zmiennopłat jest zbyt duży, żeby mógł usiąść na lądowisku przeznaczonym dla helikoptera, więc walcząc z wiatrem, Jason Okamoto zawiesza maszynę w powietrzu, a my umieszczamy na pokładzie naszych rannych i sprzęt. Pilotowi śpieszy się do odlotu, i to nie tylko z powodu pogody,

- Godzinę za mną jest kanadyjski śmigłowiec - informuje nas przez genkom, kiedy wkładamy nosze z Julianem i przymocujemy je do pokładu. — Wprowadzono też zakaz lotów. Na razie mamy oficjalne zezwolenie, ale to nie jest dobry czas, żeby latać na fałszywych papierach, zwłaszcza po tym fiasku z tankowaniem.

- Zamknij drzwi - mówię Tranowi.

Kiedy je blokuje, startujemy na południe, miotani wiatrem. Oba jeńców zostawiliśmy na platformie. Niech Kanadyjczycy wymyślą, co z nimi począć.

Trzeba kilku minut, żeby przymocować nasze egzozkielety, zabezpieczyć

plecaki i schować hełmy. Dzięki nakładkom jesteście nadal podłączeni do gen-komu. Fadul zajmuje wolne miejsce drugiego pilota. Reszta przypina się pasami do składanych płóciennych foteli zamontowanych na bocznych relingach maszyny.

- Z tyłu wszystko zabezpieczone? - pyta Okamoto.
- Potwierdzam.

Wyłącza światła kabinowe, a potem podłoga maszyny się przechyla, gdy wznosi maszynę ostro w górę, żeby wynieść nas ponad najgwałtowniejsze porywy wiatru. To będzie kurewsko długi lot do domu.

Opieram się, zamykam oczy, krzyżuję ramiona na piersi i zmniejszam do zera siłę sygnału zwrotnego z protez. W kabinie jest ciepło, co wraz z ciemnością oraz rykiem silników wprawia mnie szybko w półsen, który przerywa Tran, odzywając się przez gen-kom:

- Wiecie, czego nie kapuję?

Budzę się gwałtownie, serce mi wali. Tran jest mroczną sylwetką siedzącą po drugiej stronie kabiny między Roman i Loganem.

- Czego? - pyta Escamilla cierpkim tonem, wyciągając długie nogi w poprzek kabiny.
- Nie rozumiem, dlaczego stacjonujemy w Teksasie. To kurewsko nie w porządku, jakby mnie kto pytał.

Fadul siedzi z przodu w fotelu drugiego pilota, ale jest podłączona do gen-komu, więc uczestniczy w rozmowie.

- Nikt cię nie pyta - przypomina mu.
- Nie, zastanówcie się nad tym. Jesteśmy nielegalną, tajną bojówką skurwieli, kierowaną przez nieuchwytną, enigmatyczną, niemożliwą do skasowania AI. Zgadza się? Wydawałoby się, że z czymś takim powinna iść w parze jakaś superluksusowa podziemna kryjówka.

- Kurwa, Tran, zamknij się - radzi mu Logan, zwijając swoją kurtkę w poduszkę.
- Musisz czytać coś więcej oprócz komiksów - dodaje Roman, próbując umeścić się wygodnie pomimo pętającej ją uprząży fotela.
- Sądzę, że Tran ma rację - mówię w jego obronie.
- Tylko dlatego, że nienawidzisz Teksasu - odpowiada Fadul.

Prawda.

Oddział Uderzeniowy 7-1 ukrywa się na otwartej przestrzeni, zajmując zamknięty tymczasowo ośrodek szkoleniowy wojska amerykańskiego - tę samą bazę, z której w Dniu Komy wyprowadzono atak na Czarny Krzyż. Kwaterujemy w CLIIS, Centrum Ludzkiej Inżynierii, Integracji i Szkolenia. To tam trenowałem, gdy dostałem protezy. Byłem królikiem doświadczalnym w wojskowym programie przywracania do służby doświadczonych żołnierzy, którym urwało nogi. Udowodniłem, że program jest skuteczny, ale kiedy gospodarka zdołowała po Dniu Komy, zabrakło środków finansowych i CLIIS zamknięto.

Ośrodek jest oficjalnie nadal nieczynny, ale Kanoa zdołał go przejąć za sprawą jakiejś biurokratycznej alchemii.

Drzemię, śniąc o lodzie, wietrze i walkach, których nie pamiętam.

Zatrzymujemy się na krótko w odległej stacji nasłuchowej na północnym krańcu Wyspy Ellesmere'a. Tym razem sfalszowany rozkaz, który pozwala Oscarowi-1 na tankowanie, zostaje zaakceptowany i niebawem ruszamy w dalszą drogę. Będziemy lecieć całą noc.

Śpię parę godzin. Kiedy się budzę, odpinam pasy, sprawdzam stan Juliana, a potem idę na przód maszyny po to tylko, żeby się poruszać. Fadul śpi, z głową zwróconą w bok. Okamoto jest czujny, jak zawsze. Nie jest okablowany, ale kiedy pilotuje, ma na wizorze uruchomiony program, który sprawdza, czy nie śpi, monitorując jego oczy. Ma także przyklejony

taśmą do panelu sterowniczego pakiecik pigułek - niewielkie dawki speedu, gdyby poczuł się senny. Staromodne, ale skuteczne. Za kilka godzin do kokpitu przyjdzie Escamilla, żeby go zluzować.

Schylam się, żeby wyrzeć przez przednią szybę, ale nad północną Kanadą panuje noc. Nie ma co oglądać. Okamoto podnosi na mnie wzrok. Ma zaledwie pięćdziesiątkę, ale jego ostrzyżone maszynką krótkie włosy są srebrne, tak jak kozia bródka. Słaby blask z panelu sterowniczego ujawnia tak ponurą minę, że wiem od razu, że mamy kłopoty.

Jest za głośno, żeby rozmawiać swobodnie, otwieram więc pojedynczy link w gen-komie.

- Coś nie tak z maszyną?

- Nie, nie w tym rzecz. - Wraca spojrzeniem do przyrządów. - Nie pytam o przebieg misji. To nie moja sprawa, co tam zrobiliście, ale może chcesz wiedzieć... W Arktyce toczy się wojna powietrzna.

Od razu skręca mnie w brzuchu.

- Duża, a robi się coraz poważniejsza - ciągnie Okamoto. - Cywilne rozgłosnie mówią, że początkowo Chińczycy poderwali myśliwiec. Nazwali to odpowiedzią na akt terroru. Na to zareagowały Kanada, Rosja i Dania, wysyłając własne samoloty w celu ochrony suwerennych interesów.

- To tylko prężenie muskułów czy też zestrzeliwiają się wzajemnie?

Okamoto kręci głową.

- Nie ma zbyt wielu pewnych informacji.

- Dobra, dzięki.

Wracam na swoje miejsce, przypinam się do fotela, a potem wysyłam wiadomość do Kanoi, prosząc go o sprawdzenie sytuacji w stacji Tuvalu. Jego odpowiedź przychodzi przed upływem minuty: cały personel został pomyślnie ewakuowany przez marynarkę wojenną Stanów

Zjednoczonych.

Mam nadzieję, że to prawda.

HIERARCHIA SŁUŻBOWA



Gdy przybywamy do CLIIS, jest przedpołudnie. Wiadomości, które dotarły do nas w trakcie nocy, nie są dobre. Wystrzelono pociski, strącono myśliwce i wygląda na to, że sytuacja w Arktyce się pogorszy, zanim się poprawi.

Okamoto przestawia silniki zmiennopłatu z pozycji poziomej w pionową, a potem, opadając jak helikopter, sadza nas na centralnym placu apelowym CLIIS.

Nasz piętrowy koszarowiec znajduje się z boku otwartej przestrzeni. Sala gimnastyczna jest bezpośrednio na wprost niego, a na dalszym końcu stoi szare, parterowe, bezokienne Centrum Cybernetyczne. Przed nim wznosi się maszt z flagą amerykańską, powiewającą swobodnie w chłodnym zimowym wietrze.

Zostawiliśmy Juliana w prywatnym szpitalu w Michigan; później tego dnia zostanie przeniesiony karetką powietrzną do San Antonio. Dunahee, Fadul i Escamilla mogą być leczeni w bazie. Wysyłam ich do izby chorych. Reszta pracuje w milczeniu, w poczuciu winy, wyładowując sprzęt, a gdy tylko kończymy, Okamoto startuje ponownie, odlatując na dobrze zasłużony odpoczynek.

Nasza teoria robocza brzmi tak: chińska firma zapłaciła Vincentowi Gloverowi za zagarnięcie wartych miliardy dolarów kultur bakteryjnych doktor Parris. Kiedy Glover się zorientował, że interes nie dojdzie do skutku, usiłował ocalić, co się da. Podjął jednak akcję tylko dlatego, że się zjawiliśmy. A nas nie powinno tam być.

Widziałem przelotnie armagedon. Wszyscyśmy widzieli. To dlatego należymy do tego oddziału. W Oddziale Uderzeniowym 7-1 brałem wcześniej udział w dziewięciu misjach, byłem świadkiem śmierci czterech żołnierzy i dwóch przypadków krytycznych obrażeń, uważałem jednak zawsze, że podjęte przez nas działania były warte zachodu, że uczyniliśmy

świat odrobinę bezpieczniejszym.

Nie tym razem.

Zwalam sprzęt arktyczny w rogu pokoju, a potem zabieram się do czyszczenia broni. Nigdy nie wiemy, kiedy zostaniemy wezwani, więc zawsze musimy być gotowi.

Pracując, myślę o własnych ograniczeniach oraz o tym, do czego jestem skłonny się posunąć w tej świętej wojnie.

Półtora roku temu porzuciłem wszystko, co się dla mnie liczyło, gdyż postanowiłem, że armagedon nie zdarzy się na mojej służbie.

To jakim cudem, do diabła, zdołałem rozpętać własną pierdoloną wojnę?

Oddział Uderzeniowy GRK 7-1 kwateruje na pierwszym piętrze koszar. To było niegdyś terytorium oficerskie, składające się z apartamentów, ale całe piętro zostało przebudowane i podzielone ponownie na dziesięć pokoi. Personel pomocniczy - z wyjątkiem jednej osoby wszyscy to żołnierze regularnej armii - mieszka na dole. Owym wyjątkiem jest cywilny analityk wywiadu.

Nasza grupa ukrywa się na widoku. Podobnie jak załoga okrętu podwodnego, kadra pomocnicza domyśliła się, kim jesteśmy. Uważają po prostu, że staliśmy się oddziałem wykonującym tajne operacje, pozostając żołnierzami lojalnymi wobec wojska Stanów Zjednoczonych.

Prawda jest bardziej skomplikowana. Chociaż korzystamy z armijnych zasobów - pomieszczeń, środków łączności, transportu, broni oraz wywiadu - walczymy w nieliniowej wojnie, a to oznacza, że nasze zainteresowania sporadycznie pokrywają się z celami naszego gospodarza. Nie jest to coś, z czego jestem dumny, ale jak na to patrzeć? Wojsko amerykańskie działa zawsze podług sprzecznych celów i interesów określonych przez polityków oraz generałów forsujących własne ukochane agendy. My dołożyliśmy jedynie kolejny zbiór celów.

Na pierwszym piętrze koszarowca znajduje się sala medialna, przeznaczona wyłącznie dla 7-1. Tej nocy - po tym, gdy zapewniliśmy światowym mediom najnowszy program rozrywkowy pod tytułem Wojna w Arktyce - siedzę między Fadul i Tranem w tapicerowanym fotelu tejże sali, oglądając wiadomości stacji informacyjnej.

Wszyscy jesteśmy ubrani tak samo, w T-shirty i spodnie mundurowe. Poniżej rękawa koszulki Fadul widać długą szramę na bicepsie, zasklepioną klejem do ran i ściągniętą kawałkami przezroczystej taśmy. Fadul siedzi rozwalona w swoim fotelu, bosa stopy opiera na stoliku do kawy i patrzy wilkiem na wielki ekran, jakby chciała w niego czymś walnąć. Tran nie wygląda na ani trochę szczęśliwszego. Siorbie trzeci napój energetyczny, a nogi drżą mu z powodu nadmiernego nabuzowania.

Dwoje mediotów relacjonuje z offu liczbę ofiar śmiertelnych podczas prezentacji materiału wideo. To widok z lotu ptaka na platformę wiertniczą - nie Deep Winter Sigil -płonącą wśród arktycznej nocy. Słup ognia obejmuje kolumnę wiertniczą. Jeden z mediotów zapewnia nas, że odwiert nie sięgnął do złoża ropy, więc nie ma zagrożenia katastrofą ekologiczną.

- Ci dumie nie mają pojęcia, o czym mówią - stwierdza Tran. - Skoro nie ma tam ropy, to co podsycza ogień?
- To zapasy paliwa, idioto - odpowiada Fadul, nie odwracając głowy.
- Chcą, żebyśmy w to wierzyli.

Na razie nie ma jednak mowy, żebyśmy poznali prawdę. Do tej pory usłyszeliśmy - a mogą to być bzdury - że chiński myśliwiec został zestrzelony w wyniku podjęcia przez niego wrogiej akcji nad terytorium Kanady. W odwecie Chińczycy przypuścili atak, który zatopił łódź kanadyjskiej straży przybrzeżnej. Rosjanie, których oburza obecność Chińczyków w Arktyce, wkroczyli w obronie Kanadyjczyków, a duńska marynarka wojenna wysłała dwie fregaty w celu ochrony terytorium powierniczego, Grenlandii, oraz umów gospodarczych, jakie ma ona z Chińczykami. Na razie - jeśli mediotom można ufać - Stanom Zjednoczonym udało się pozostać na uboczu konfliktu, a to za sprawą

nieinterwencyjnego skrzydła w Kongresie, które przepchnęło niedawno ustawę ograniczającą uprawnienia prezydenta do przeprowadzania działań wojskowych poza granicami kraju. Ten przepis stanowi jawne wyzwanie dla dawno temu uchwalonych pełnomocnictw wojennych i wykładnia Sądu Najwyższego na jego temat jest bliska ogłoszenia - jeśli określenia „bliski” można użyć dla opisu glacialnego tempa funkcjonowania Sądu Najwyższego.

Wzdrygam się na otwarcie drzwi. Zerkam przez ramię i widzę wchodzącego Kanoę. Z powodu uszkodzenia kręgosłupa nie pracuje jak dawniej, ale to wielki facet, który nadal ma potężną muskulaturę - jest w stanie wypełnić sobą światło framugi. Jego polinezyjskie pochodzenie ujawnia się w ciemnej karnacji i szerokiej, wyrazistej twarzy. Ma na sobie czarny pulower i szare bojówki moro. Kiedy siada za mną w drugim rzędzie, odwracam się i pytam:

- Co myśmy, kurwa, zrobili?

Pierwsza odpowiada Fadul, prychając drwiąco.

- Zawsze powtarzasz, że nie jesteśmy po stronie aniołów, ale naprawdę w to nie wierzysz. Nadal chcesz być dobrym facetem.

- Tak jak ja - mówi Tran. - Dlatego tutaj jestem.

- Jak my wszyscy - potwierdza Kanoa.

W takim razie skrewiliśmy, gdyż dobrzy faceci nie wywołują przypadkowych wojen. Wskazuję gestem monitor, gdzie pokazywane są rodzinne zdjęcia zaginionych pracowników platformy wiertniczej: uśmiechnięte twarze mężczyzn i kobiet, których życie nie liczyło się nigdy zbyt wiele dla nikogo - z wyjątkiem tych, którzy ich kochali.

- Czy to błąd? - pytam Kanoę.

- To pierdolony spisek - mówi Tran ze wzrokiem wlepionym nadal w telewizor. - Sił, które skierowano przeciwko nam, żeby zniweczyć nasze dobre dzieło.

Kanoa zerka na niego, ale Tran jest zbyt pochłonięty relacją, żeby to zauważyć. Zwraca więc uwagę na mnie.

- Zastanów się, Shelley. Chciałbyś, żeby to był błąd? Uważasz, że tak jest lepiej?

- Nie podoba mi się żadna możliwość. Jeśli zbiegiem okoliczności wywołaliśmy wojnę, to poważna wtopa. Jeżeli jednak nie doszło do tego przypadkiem, to o co możemy jeszcze zostać poproszeni?

- Zaczynasz uważać, że stoimy po niewłaściwej stronie historii?

- Nie. Jesteśmy na zewnątrz niej. - Kiedy historia tej epoki zostanie napisana, nie będziemy w niej występować, ale mam to w dupie. Chcę jedynie wiedzieć, że historia się toczy. - Wszystkie podjęte do tej pory misje były warte wykonania. Ta nie.

- Moja pierwsza misja w GRK - odzywa się Tran. - I od razu kurewski błąd.

- Taa. - Jest wściekły z tego powodu i nie winię go o to. -W tamtym laboratorium nie działo się nic groźnego.

- Kontrola - mówi Kanoa. Przecina dłonią powietrze w geście lekceważenia. - Wiemy wszyscy, że to nie zawsze się powiedzie.

Rozważam moje podejrzenie, że Czerwień nie jest pojedynczym, zbornym bytem. Jeśli jest podzielonym umysłem o sprzecznych celach, to mogłoby wyjaśniać pewne niepowodzenia w trakcie misji.

Podsakuję, gdy Tran wali pięścią w podłokietnik.

- Jasny gwint - mówi, gapiąc się w telewizor.

Medioci zrobili sobie przerwę od relacjonowania wydarzeń związanych z wojną w Arktyce, żeby wspomnieć o innych wartych publicznej wzmianki wypadkach dnia. Sekretarz obrony zostaje pokazany przelotnie, a potem relacja przechodzi do incydentu na granicy kanadyjskiej.

- O co chodzi? - pyta Fadul.

Tran jest chyba zaskoczony, że patrzymy wszyscy na niego.

- Sekretarz obrony. Zmarł nagle.

- Na co? - chce wiedzieć Fadul, jakby próbowała znaleźć powód, dla którego ma ją to cokolwiek obchodzić.

Kanoa dostrzega w tym coś więcej.

- Jezu. To drugi...

- Nie, trzeci - przerywa mu Tran. - Trzeci członek administracji prezydent Monteiro umiera w tajemniczych...

- Czekaj - mówię. - Rozmawiają z doktor Parris.

Relacja przenosi się do studia nagraniowego o scenografii upodabniającej je do dziewiętnastowiecznej biblioteki z drewnianymi półkami dźwigającymi tomy oprawnych w skórę książek - kulturowy archetyp intelektu. Doktor Parris jest jedyną przepytywaną w tym stylizowanym wnętrzu; pierwszy raz widzę jej twarz, kiedy z wyściełanego fotela spogląda niepewnie w kamerę. Włosy ma krótkie, siwe, oczy zapadnięte nad wydatnymi kośćmi policzkowymi. Wargi, policzki i czubek ostrego nosa noszą ślady odmrożeń, co nadaje jej wygląd osoby z maltretowanej. Przeprowadzający z nią wywiad mediota przechodzi od razu do sedna:

- Doktor Parris, istnieją szeroko rozpowszechnione spekulacje na temat tego, że w pani laboratorium prowadzono badania nad bronią biologiczną...

Tyle tylko udaje mu się powiedzieć, zanim Parris go powstrzymuje.

- Absolutnie nie. - Nie patrzy już jednak w kamerę. Wzrok ma odwrócony; wygląda na skruszoną. - Niektóre pytania skierowane do mnie przez tych, którzy mnie uratowali, przywiódły mnie do przekonania, że atak na moje laboratorium i zamordowanie pracowników mogły zostać sprowokowane przez te plotki, co czyni to wszystko jeszcze bardziej

tragicznym, gdyż w rzeczywistości pracowaliśmy nad rozwojem nowych środków farmaceutycznych, które miały poprawić jakość życia na całym świecie...

Widać wyraźnie, że jest zszokowana i zrozpaczona tym, co spotkało jej kolegów, ale praca pozostaje dla niej ważna. Odpowiada na pytanie medioty o cel jej badań, chociaż starannie unika kwestii syntetycznych szczepów bakterii.

- Zrobiliśmy przynajmniej jedną dobrą rzecz - stwierdza Tran. - Uratowaliśmy doktor Parris.

Muszę mu jednak odebrać nawet to.

- Parris pracowałaby nadal w swoim laboratorium, gdybyśmy się nie pojawili.

Fadul wzrusza ramionami.

- Uważam, że to istotnie był błąd. Wszyscy ci zabici naukowcy, wojna. Ale tak toczy się ta gra. To prawda, Czerwień próbuje mieszać. Ma jakiś tajny plan. Nie może jednak dyktować przyszłości. Może jedynie zmieniać prawdopodobieństwo zdarzeń. Każdy nasz ruch to jest nadal rzut kośćmi.

- Nie każdy - upieram się. - Czerwień mogła kontrolować pewne czynniki. Dlaczego nie wiedzieliśmy o istnieniu śmigłowca Glovera? Co się stało z rozkazem tankowania dla Oscara-1? Dlaczego nasza pozycja nie została usunięta z obrazu satelitarnego? Dlaczego ostrzeżenie o zbliżaniu się tego chińskiego myśliwca przyszło tylko kilka sekund wcześniej?

- Dlaczego wpadliśmy na twoją dawną sierżant? - pyta Tran. - To była najdziwniejsza część całej misji. To musi coś znaczyć.

- Nie tak, jak sobie myślisz - stwierdza Kanoa.

Kodeks towarzyski w obrębie naszego małego zakonu zmartwychwstałych bohaterów wojennych głosi, że przeszłość powinno się pozostawić w spokoju. Nie próbuj śledzić losów tych, których porzuciłeś. Nie rozmawiaj o nich.

Nie trzymaj się tego, co było. To dlatego nie wspomniałem o Jaynie, ale sądzę, że Tran ma rację.

- Dlaczego Jaynie Vasquez została włączona do gry? Fadul odpowiada na to pytanie kamiennym spojrzeniem i lodowatym milczeniem. Krzyżuje ramiona na piersi i odwraca się do ekranu, gdzie obraz się zmienił, żeby pokazać, po raz setny, amatorskie nagranie zwłok na pokładzie Sigil.

Kanoa lubi mówić, że jesteśmy duchami działającymi w świecie uwolnionym czasowo od Boga. Sądzę, że wierzy w to. A jeśli nasze oddanie sprawie niekiedy słabnie? Wygłasza mowę motywacyjną, przypominając nam, że niebawem wyruszamy; że każda misja może być ostatnią; że jesteśmy tutaj tylko przez krótką chwilę, żeby zrobić, co możemy, kiedy możemy to zrobić.

Taa, to jest pierdolona sekta.

Niepokojące, że przez większość czasu znakomicie się w to wpisuję.

Choć nie w tym konkretnym momencie.

- Myślę, że masz częściowo rację - zwracam się do Fadul. - Sądzę, że ta misja była błędem, ale miała nim być. - Formułuję to w ten sposób, bo wiem, że zirytuję ją na tyle, żeby skłonić ponownie do rozmowy ze mną. Nienawidzę, kiedy mnie ignoruje. - Gdyby udało się nam opanować Sigil, gdybyśmy sprawdzili laboratorium i odeszli w swoją stronę, to nie dowiedziałbym się nigdy, że Jaynie jest w Arktyce i planuje ucieczkę na Marsa.

A także - że zamierza zabrać ze sobą Delphi.

- Nie dojdzie do tego - dodaję.

- Nie ty o tym decydujesz - ostrzega mnie Kanoa.

Ale postanowiłem już: nie pozwolę, żeby Delphi zmarnowała sobie życie.

Tamtej nocy podczas misji „Brzask”, kiedy znajdowałem się na pokładzie C-17, a Lissa była zakładniczką na pokładzie samolotu przeciwnika, ją i

mnie dzieliła nieprzekraczalna przepaść. Jakby Lissa istniała w innym wymiarze, w innym świecie. Nie można było do niej dotrzeć. Nie mogłem nic zrobić. Nigdy więcej nie chcę być tak daleko ani nie chcę być tak bezradny, kiedy wszystko zacznie się walić.

- Czerwień podstawiała mi to pod nos - zwracam się do Kanoi. - To nie było dzieło przypadku. Istniał powód po temu.

Fadul włącza się do rozmowy, wygłaszając spodziewany wykład:

- To nie działa w ten sposób, dupku, i ty o tym wiesz. Żadna misja nie ma stuprocentowej pewności powodzenia, zawsze więc zdarzają się nieprzewidziane wypadki. Istnieją plany awaryjne, alternatywne operacje, jeśli główna akcja spali na panewce, ale nie zawsze możemy wiedzieć, jakie są te alternatywne działania, nawet po fakcie.

W dużej mierze ma rację. Najczęściej stawiamy na pomyślny rozwój wypadków. Czasami z góry przychodzi rozkaz, żeby się przygotować do ogólnej misji, bez szczegółów, po prostu zajmujemy pozycję i czekamy, i wielokrotnie nic złego się nie dzieje. Kanoa odbywał taką misję na pokładzie niszczyciela marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych na środkowym Pacyfiku, nie mając zielonego pojęcia, dlaczego się tam znajduje, aż przyszedł rozkaz, żeby okręt ruszył całą naprzód w miejsce o podanych koordynatach. Kilka godzin później wyłowił mnie z wody.

Nieprzewidziany wypadek, widzicie?

Gdybym wylądował bezpiecznie w San Antonio, Kanoa mógłby wciąż czuwać na tamtym okręcie, póki nie otrzymałby innego zadania albo nie został odesłany z powrotem do bazy.

- Może Tuvalu to tylko przypadek - mówi Kanoa. - Albo taka faza misji była pierwotnie zakładana. Tak czy inaczej, Shelley, to nie znaczy, że ma to cokolwiek wspólnego z tobą czy lotem na Marsa. Powód może być tak prozaiczny, jak umieszczenie Vasquez i Parris w jednym pokoju.

- To naturalne chcieć uznawać to, co się stało, za element osobistego dramatu - dodaje Fadul. - Co nie czyni tego prawdą.

Teraz ja muszę zamilknąć, bo nie mogę zaprzeczyć żadnemu z tych poglądów. Oboje mogą mieć rację, chociaż nie sądzę, żeby tak było.

Moją uwagę przyciąga do ekranu znajomy głos budzący nieprzyjemne skojarzenia.

Przenika mnie dreszcz; serce przyśpiesza rytm. Na ekranie widać kobietę; napis głosi, że to Jana Semakowa, prezes i główna właścicielka Torzhok NAO, która wygłasza w doskonałym angielskim bezlitosne potępienie konfliktu arktycznego:

- ...Torzhok zainwestował ogromne pieniądze w stworzenie linii zaopatrzeniowych przeznaczonych do wspierania rozwoju arktycznych zasobów Rosji. Stworzono tysiące miejsc pracy, które są teraz zagrożone...

Kiedy słyszałem ją wcześniej, nie mówiła po angielsku, tylko po rosyjsku. I nie jako prezes wielkiej korporacji, ale jako zirytowana i zniecierpliwiona córka starająca się zachować pozory szacunku wobec paranoicznego starucha. I głos nie dobiegał do mnie z cyfrową jakością, tylko ze staromodnej radiostacji rosyjskiego miliardera Eduarda Semaka.

Jana to jego córka.

Eduard Semak wykorzystał majątek do gromadzenia ładunków jądrowych, tak jak inni bogacze mogliby kompletować kolekcje klasycznych samochodów. Odwiedziłem Semaka na orbicie podczas misji o kryptonimie „Wrota Nieważkości”.

I oto teraz Semakowa została wciągnięta w konflikt, który zapoczątkował nasz atak na Deep Winter Sigil. Nie potrafię uwierzyć, że wplątanie jej w to jest dziełem przypadku.

- ...wszystko może zostać stracone w kolejnym ataku powietrznym. Miejsca pracy, inwestycje, życie - wszystko zmarnowane. Ten konflikt musi zostać powstrzymany, zanim do tego dojdzie. Musi się skończyć teraz, bo inaczej konsekwencje będą niewyobrażalne.

- Jakie konsekwencje pani przewiduje?

Semakowa patrzy prosto w kamerę. Jest w średnim wieku, nieco przykości, dystyngowana i atrakcyjna, bez żadnych oznak, że skorzystała kiedykolwiek z usług chirurga plastycznego, chociaż z łatwością mogłaby sobie na to pozwolić. Kiedy mówi, jest równie zapalczą jak jej zgrzybiały ojciec, ale dużo bardziej przekonująca.

- Jeśli to potrwa, zakończy się nieszczęściem - odpowiada. - Katastrofą ekologiczną. Ekonomiczną. Szkodą o wymiarze historycznym. Tragedią, której skutków nie odwróci ani to pokolenie, ani następne. Wszyscy muszą powstać przeciwko każdej władzy, która nie zgodzi się na natychmiastowe zawieszenie ognia. Nie dajcie się złapać po niewłaściwej stronie historii.

Przekaz przenosi się z powrotem do studia, w którym mediota podsumowuje znane dotychczas straty: trzy myśliwce, dwie platformy wiertnicze, łódź straży przybrzeżnej i lodołamacz o napędzie jądrowym, który został uszkodzony, ale nadal utrzymuje się na wodzie i zmierza kulawo do portu. Sto dwanaście ofiar w ludziach.

Dlaczego? Po co to wszystko?

Moja neuronetka wychwytuje myśl i postanawia wygłosić ją przez gen-kom:

- Dlaczego? Po co to wszystko?
- Cholera - szepczę.

Dawniej musiałem dużo ćwiczyć i mocno się skoncentrować, żeby zmusić neuronetkę do tłumaczenia myśli na słowa, ale to system adaptacyjny. Wpisana w nią AI, która wykonuje zadanie, stała się zdecydowanie za dobra w odczytywaniu moich intencji... lub w błędnym ich odczytywaniu. To nie jest pierwszy raz, kiedy przez pomyłkę przekazała moje myśli przez gen-kom.

To nie uchodzi uwagi Fadul. Zsuwa stopy ze stolika i odwraca się, żeby spojrzeć na mnie z pogardą.

- Mam dość hałasu we własnej głowie, Shelley. Nie muszę słuchać

twojego.

- Taa. Nie chcę, żebyś to słyszała.
- Może jednak to są właściwe pytania - odzywa się Tran. Nadal gapi się w telewizor, a jego napompowane kofeiną nogi drżą. - Ludzie powinni zadawać je dużo częściej.

Kanoa unosi sceptycznie brew.

- Poświęć więcej czasu na szkolenie AI - radzi mi.
- Tak jest, sir.

Wstaję. Muszę się poruszać. Chodzę więc między krzesłami, czekając, żeby Fadul wytropiła powód mojej mentalnej obsuwy. Nie sądzę, żeby była świadoma związku między mną a Janą Semakową, ale znam Pię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że to sprawdzi. Po minucie dobiega mnie cichy szept, ledwie słyszalny na tle trwającego monologu medioty:

- Kurwa mać.

Odwracam się i spoglądam w jej ciemne, podkrążone oczy.

- Ten magazyn broni jądrowej, który znalazłeś - mówi. - Semakowa ma z tym związek.

Kiwam głową. Celem misji „Wrota Nieważkości” było znalezienie ładunków nuklearnych, skradzionych przez Eduarda Semaka. To się nam udało. Bomby odzyskano, ale nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Winę zwalono na nieżyjącego już porucznika, który „wykorzystał starego, zgrzybiałego człowieka”. Było to wyjaśnienie przedstawione przez rodzinę i zaakceptowane przez śledczych. Kiedy je usłyszałem, zrozumiałem, że z rąk do rąk musiała przejść pokaźna suma pieniędzy, która pokryła koszt skorygowania historii.

Chciałem to zdemaskować, ale nie mogłem tego zrobić, nie ujawniając jednocześnie swojego istnienia i udziału w tamtych wydarzeniach.

- Odpuść - poradził mi Kanoa.

Łatwiej i bezpieczniej było się nie sprzeciwiać. Liczyło się to, że ładunki jądrowe znalazły się w odpowiedzialnych rękach i miały zostać zneutralizowane. Często się zastanawiałem, czy Semakowa nie jest mi wdzięczna za to, co zrobiłem - pozbyłem się jej starego i uwolniłem ją od brzemienia arsenału nuklearnego, którego z całą pewnością nie miała zamiaru nigdy użyć.

Wzdrygam się z powodu otwarcia się drzwi; wchodzi Escamilla.

- Hej, Shelley, znowu świrujesz?

Machinalnie pokazuję mu środkowy palec, a Fadul informuje Escamillę:

- Shelley odlatuje, gdyż wokół niego zamykają się linie losu, tworząc sieć.
- Dwa przypadki to nie jest zbieg okoliczności - stwierdzam.
- Trzeba na to uważać - zgadza się Tran.

Ale Fadul przewraca oczami.

- A co to znaczy?

Ktoś ścisza kompletnie telewizor. Przypuszczalnie Kanoa. Bo chce się podzielić plotką. Uśmiechając się, co mu się rzadko zdarza, błyska w świetle monitora białymi zębami i mówi:

- Podczas operacji „Wrota Nieważkości” Vasquez zgarnęła dwa i pół miliarda dolarów w postaci przelewu elektronicznego z osobistego konta Semaka. - Patrzy na mnie. - Nie ma powodu do obaw, Shelley. Semakowa i Vasquez zawarły ugodę. Spotkały się osobiście co najmniej trzy razy i prowadzą wspólne interesy.

FaceValue oznacza to jako prawdę, ale nie chcę w nią wierzyć. Jaynie uczestniczyła zarówno w misji „Brzask”, jak i we „Wrotach Nieważkości” z pobudek idealistycznych, jak my wszyscy. To niemożliwe, żeby obróciła

dyszeli i poszła na kompromis, sprzymierzając się z przestępczym imperium Eduarda Semaka.

- To musi być błąd wywiadu. Jaynie nie ma nic wspólnego z Semakową.
- Przykro mi, Shelley. Widziałem jednak ich nazwiska razem w tak wielu DRW, że w to wierzę.

Dzienne raporty wywiadu to długie i szczegółowe kompilacje ważnych zdarzeń z całego świata. Rzadko do nich zaglądam, bo nie mają w istocie żadnego realnego przełożenia na to, co robimy. Dostajemy misję i ją wykonujemy — albo pierdolimy, jak w ostatnim wypadku.

Operacja „Wieża Płowego Konia” była inna nie tylko dlatego, że się zjechała, ale dlatego, że po raz pierwszy imperatyw moralny misji nie znalazł zadośćuczynienia w jej rezultatach. Chcę wierzyć, że istnieje jakaś ukryta korzyść z naszych działań, jakaś odrośl drzewka zdarzeń, które zapoczątkowaliśmy, która sprawi, że nawet wojna w Arktyce okaże się opłacalna.

Ale niczego takiego nie widzę.

Następnego ranka budzę się obolały. Jest 25 grudnia i mamy dzień wolny. Żadnego treningu fizycznego, nauki, szkolenia. Jednak o piątej rano jestem na nogach, a wszystkie moje mięśnie i stawy przypominają mi, że przebiegłem maraton zakończony skokiem ze śmigłowca. Zwykle to nie jakaś pojedyncza kontuzja kończy służbę żołnierza piechoty. W większości wypadków są to skumulowane skutki zużycia materiału.

Idę niczym zombi do łazienki, łykam proszki i stoję pod strumieniem gorącej wody, aż ból przeminie. Kiedy tam tkwię, sprawdzam e-maile, chcąc poznać najnowsze informacje na temat stanu zdrowia Juliana - nadal poważny, ale się poprawia.

Śpię kilka kolejnych godzin, więc zanim pokazuję głowę na dole, jest

przedpołudnie.

Personel pomocniczy świętuje Gwiazdkę symbolizowaną przez malutką, sztuczną choinkę na biurku dyżurnego i talerz słodczy, który jest niemal pusty. Szeregowy na służbie obserwuje mnie czujnie; zawsze patrzą na mnie w ten sposób. Nie wiem dlaczego.

- W Centrum Cybernetycznym ma się odbyć przyjęcie gwiazdkowe, sir. Zaczyna się w południe.

- Może tam pójde.

Jak zeszłego roku zastanawiam się nad tym, czy nie zatelefonować do ojca. Próbuję sobie wyobrazić, co bym mu powiedział, co mógłbym powiedzieć.

Cześć, to ja.

Po „Wrotach Nieważkości” Departament Obrony wydał oficjalne zawiadomienie, że zginąłem. Żadnych szczegółów. Tylko oświadczenie, że Lew z Czarnego Krzyża poległ w służbie dla kraju. Pozwoliłem, żeby ojciec uwierzył w to tak samo jak Delphi.

Chciałbym zatelefonować do niego, ale wiem, że rozmowa, którą byśmy odbyli, nie przysłużyłaby się żadnemu z nas. Zatem, jak zeszłego roku, porzucam ten pomysł. Po co rozdrapywać stare rany?

Dzień na zewnątrz jest ponury i pochmurny, ale deszcz nie pada. Idę szybko do Centrum Cybernetycznego. W kafeterii trwają przygotowania do przyjęcia, więc po odgrzaniu w mikrofalówce dwóch porcji jaj na bekonie, zaopatrzonego poza tym w talerz fikuśnych słodczy, wycofuję się do gabinetu Cory’ego Helmsa, naszego analityka.

Cory jest jednym z dwóch cywilnych pracowników, którzy tworzą nasz wydział wywiadu, i jedynym, który kwateruje w CLIIS.

Kanoa sprowadził go pół roku temu na podstawie prywatnego kontraktu opłacanego przez Departament Obrony. Cory jest niskim facetem, nieco pulchnym, cichym, zamyślonym i trochę niezdarnym, a jego rzednące

siwe włosy są zawsze uczesane porządnie, z przedziałkiem.

Przed upływem tygodnia po jego przybyciu Logan i ja, aroganccy palanci, przewaliśmy go Bilbo.

Co cztery tygodnie Cory wciska się do mikrobusu, kursującego regularnie w piątki do San Antonio, po czym wraca w poniedziałek rano, świeżo ostrzyżony. W inne dni jest na miejscu, nawet w Gwiazdkę.

Drzwi jego gabinetu stoją otworem. W środku ma dwa tanie metalowe biurka ustawione w kształt litery L. Na blacie jednego leżą pióro i gruby blok listowy, upstrzony rysunkami konferencyjnymi; na drugim znajdują się dwie magnetyczne zabawki lewitacyjne - jedną jest mała metalowa kulka, unosząca się nieco nad podstawą, a drugą parocentymetrowy pocisk raketowy, wędrujący wolno, bez końca, po kołowej orbicie. Na ścianie wiszą rzędem monitory, wszystkie włączone, emitujące kakofonię dźwięków, które nie mają dla mnie żadnego sensu, ale Cory zdaje się to ogarniać. Tak czy inaczej, coś przykuwa jego uwagę. Opiera się w fotelu na kółkach i patrzy na jeden z ekranów, nie mając pojęcia, że tutaj jestem, aż pukam mocno w płytę otwartych drzwi.

Obraca się z nadzieją, ale dociera do niego, że to ja, a wtedy jego mina zmienia się w potulny uśmiech zaniepokojenia. Z jakiegoś powodu, którego nie udało mi się nigdy odkryć, jego też wprawiam w zdenerwowanie. Oczywiście wie, kim jestem. Wie, co robimy. Obserwowałem go jednak w trakcie narad i nie reaguje tak samo na Kanoę, Logana czy kogokolwiek innego. Nawet nie na Fadul, która jest o całe niebo bardziej onieśmielająca ode mnie.

Stawiam jedzenie na najbliższym biurku i zapraszam się do zajęcia wolnego fotela. Uśmiech Cory'ego więdnie.

- Mam się martwić? - pyta z prawdziwym niepokojem.

Podnoszę pierwszą porcję jaj na bekonie.

- A powinieneś?

- Po „Płowym Koniu” wszyscy powinniśmy.

Trudno się z tym nie zgodzić.

Atakuję posiłek, przyglądając się w trakcie jedzenia monitorom. Na jednym leci materiał o uszkodzonym lodołamaczu atomowym, z wywaloną w kadłubie potężną dziurą i rozdartymi, osmalonymi pokładami. Na innym ekranie widać myśliwce kanadyjskie, kołujące na zaśnieżonym pasie startowym, za którym rozciąga się rozległa biała równina. Na trzecim pokazywane są zdjęcia laboratorium na Sigil, a na pasku przewija się pytanie: *Czy to była broń biologiczna?* Doktor Parris zaprzeczyła już tym pogłoskom, ale sądzę, że broń biologiczna ma dużo większy powab od farmaceutyków.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Shelley? - chce wiedzieć Cory. Chciałby przyspieszyć bieg tego spotkania, żeby jak najszybciej móc się mnie pozbyć.

Biorę kolejny kęs, a potem wskazuję ruchem głowy ekrany.

- To my rozpętaliśmy tę wojnę. Uważasz, że Czerwień to zaplanowała?

Nie waha się ani chwili.

- Nie.

- Myślisz, że ta wojna wybuchła przez pomyłkę?

Przyciska kłykcie do ust.

- Nie sądzę, żeby to zostało przewidziane. Wykonaliśmy misję kontrolną, bo nie wiedzieliśmy, co się dzieje w środku, a to była operacja szpiegostwa przemysłowego, prowadzona przez stronę trzecią, pozbawioną hamulców moralnych.

- Przez firmę ochroniarską Glovera.

- Chińczycy poderwali myśliwiec, żeby zniszczyć dowody współpracy, o której nie wiedzieliśmy. A ponieważ nie byliśmy jej świadomi, ich reakcja była nieprzewidywalna. To mi mówi, że wojny nie zaplanowano. Co nie

oznacza jednak, że wybuchła przez pomyłkę. Nie, jeśli zważyć na to, w jaki sposób Czerwień kieruje wydarzeniami.

- To co to jest w takim razie? - pytam, kończąc pierwszy posiłek i zamieniając pustą tackę na pełną.
- Korekta rynkowa?

Obowiązująca teoria głosi, że Czerwień wyewoluował program stworzonego do manipulowania zachowaniami zarówno rynku, jak i konsumentów w celu zoptymalizowania korzyści długoterminowych. Nie będzie długoterminowych korzyści, jeśli cały świat zostanie anihilowany. A to, uważamy, stanowi istotę dążeń Czerwieni do eliminowania zagrożeń dla istnienia ludzkości. Mam więc trudność ze zrozumieniem swobodnej oceny Cory'ego.

- Nie ma mowy, żeby wojna błyskawiczna z udziałem potęg nuklearnych zmniejszyła szansę na armagedon.
- Nie to miałem na myśli. Popatrz na to w ten sposób: ponieważ nie wiedzieliśmy, co znajdziemy na pokładzie Sigil, rezultat był nieprzewidywalny. Jedynym przewidywalnym skutkiem było to, że rynek zareaguje - i tak się stało. Czerwień dokonuje rekalkulacji i działa dalej.
- Dlaczego nic nie zrobiła, żeby zakończyć tę wojnę?
- Nie toczy się zbyt długo.

Spoglądam gniewnie.

- Tak sądzisz? Jaka jest do tej pory liczba ofiar?

Marszczy brwi, wpatrując się w swoje dłonie.

- Jaka? - naciskam.
- Dwustu trzydziestu zabitych - odpowiada urażonym tonem. - Na razie... nie licząc ofiar masakry na Sigil.

Czerwień ma to w dupie. Wiem o tym. Straty w wysokości dwustu trzydziestu zabitych są znikome, bez wątpienia do zaakceptowania w drodze do jakiegoś nowo wymyślonego celu.

- Nie chodzi o poszczególnych ludzi - stwierdza Cory.
- Wiem o tym.
- Nowe okoliczności oznaczają nowe okazje do zidentyfikowania i oszacowania zagrożeń. Być może Czerwień pozwala toczyć się tej wojnie, żeby się przekonać, co z tego wyniknie.
- Nie. Nie o to chodzi. Dzieje się coś innego.

Przez chwilę patrzymy na siebie. Potem Cory pyta potulnym tonem:

- To domysł czy...

Znowu zaczynam jeść, patrząc ponuro na monitory - powtórka materiału o zesłanocnym pożarze wieży wiertniczej.

- Shelley? — odzywa się Cory. — Wiesz o czymś?
- To tylko złe przeczucie.

Spoglądam na niego ponownie. Ku mojemu zaskoczeniu kiwa głową.

- Twoje przeczucia się liczą. Potwierdzały się w przeszłości.
- Nie, nie o to mi chodzi. To nie Czerwień gada przeze mnie.
- Dobra. Więc co to jest?

Kończę posiłek, wykorzystując ten czas na ubranie moich podejrzeń w słowa. Kiedy jestem gotów, stawiam drugą tackę na pierwszej. Potem się opieram i krzyżuję ramiona na piersi.

- W trakcie tej misji zbyt wiele rzeczy poszło na opak, a zaczęło się od fazy planowania. Doktor Parris prowadziła badania farmakologiczne, ale my nie wiedzieliśmy o tym. Uznaliśmy, że podniesienie poziomu

bezpieczeństwa oznacza, że robią tam coś nielegalnego, coś groźnego. Dlaczego nie wzięliśmy pod uwagę możliwości, że idą na skróty w legalnej działalności?

Policzki mu ciemnieją. FaceValue odnotowuje wzrastający poziom emocji i oznacza go małym kolorowym słupkiem, wskazującym trzydzieści procent gniewu, a siedemdziesiąt zażenowania.

- Rozważaliśmy to - stwierdza - ale nawet gdybyśmy zrozumieli cel tych badań, to wobec tak ścisłych środków bezpieczeństwa musielibyśmy to sprawdzić, żeby mieć pewność.

- Śledziłeś przebieg misji, prawda?

Kiwa głową.

- Czy kiedy zobaczyłeś przekaz na żywo z tego laboratorium, to uznałeś, że chodzi o badania nad bronią biologiczną?

- Wydawało się to prawdopodobne.

- Ja byłem tego pewny. Miesiącami czegoś szukaliśmy. Czegoś poważniejszego od operacji, które braliśmy pod uwagę. Sądziłem, że to znaleźliśmy. Ale wszystko zrozumieliśmy błędnie.

- Czasami się mylimy - stwierdza Cory. - Tak po prostu.

- Nic w związku z tą misją nie było proste. I jest wiele otwartych kwestii. Na przykład dlaczego wywiad nie wiedział o helikopterze na Sigil? Taka informacja powinna być łatwa do zdobycia. Jakim cudem mogliście to przeoczyć?

Wskaźnik procentowy na wyświetlaczu nie zmienia się, ale kolory ciemnieją. Cory to tylko połowa naszego zespołu wywiadu, ale trzeba mu oddać, że nie szuka wymówek.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, kapitanie Shelley. Przykro mi.

Pochylam się.

- Wydaje mi się podejrzane, że ten śmigłowiec umknął naszemu nadzorowi, my natomiast nie zostaliśmy usunięci z obrazu satelitarnego. Wiesz, że powinno być na odwrót. Wróg jest widoczny. My nie.
- To jest problem. Niepokoiimy się, kapitanie. I przyglądamy się temu.
- Jest więcej rzeczy, którym trzeba się przyjrzeć, Cory. Oscar- I miał nieodpowiednie rozkazy. Z powodu jego opóźnienia Julian mógł umrzeć. I dlaczego w materiałach dotyczących misji nie było profilu psychologicznego Vincenta Glovera? Nie pamiętam, żeby gdzieś sugerowano, że jest zimnokrwistym zabójcą.

Cory potakuje głową, chociaż nie patrzy już na mnie.

- To są pytania, na które musimy odpowiedzieć. Opieram się i zginam mechaniczne stopy, podwijając palce, a potem je prostując. To zły nawyk, którego nabrałem, odkąd stopy zaczęły hałasować. Gdy małe powierzchnie przegubów przesuwają się po sobie nawzajem, wydają cichy klekot - niepokojący dźwięk, który mi mówi, że połączenia nie są już właściwie dopasowane.

Przylapuję Cory'ego na tym, że patrzy zafascynowany na skomplikowane mechaniczne ruchy.

- Cory, chcę, żebyś czemuś jeszcze się przyjrzał.
- Jasne. Oczywiście. - Jakby był gotów przystać na wszystko, byleby się mnie pozbyć. - Co chcesz wiedzieć?
- Jaynie Vasquez...
- O rany.
- ...i Karin Larsen, znana jako Delphi.
- Majorowi Kanoi to się nie spodoba.

Wzruszam ramionami.

- Jeśli ci sprawi kłopoty, daj mi znać, a ja to załatwię. Chcę jednak, żebyś sprawdził dla mnie, gdzie są Jaynie i Delphi, co robią oraz dla kogo pracują - każdą pierdoloną rzecz, jaką zdołasz wygrzebać. Chcę wiedzieć, czy Jana Semakowa je śledzi. Chcę się dowiedzieć o tej wyprawie na Marsa; czy to realne.

To stawia Cory'ego na równe nogi.

- Ach, ekspedycja marsjańska jest jak najbardziej prawdziwa.

Nie ma na myśli nic złego; to tylko entuzjazm. Ale ruch jest tak gwałtowny, że mnie przestrasza. Także się podrywam, sięgając po pistolet w kaburze napierśnej, której nie noszę.

Cory to widzi, widzi mój wyraz twarzy i jego entuzjazm zamienia się w strach. Cofa się, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakbym był potworem, który się wyłonił spod łóżka.

- Cholera - szepcze. - Nie rób tego.

- Przepraszam.

Idę do drzwi. Wiem, że ma nadzieję, że wyjdę, ale zamykam je i wracam.

- Naprawdę mi przykro - mówi Cory, jakby uważał, że zamierzam urwać mu łeb.

Działa na podstawie staroświeckich przesłanek. Zamknięte drzwi zwykły wskazywać pragnienie prywatności, ale prywatność w CLIIS jest martwym konceptem, jedyne, co takie drzwi oznaczają obecnie, to „nie przeszkadzać”. Kanoa dostanie raport na temat tej rozmowy, tak jak nasz starszy analityk wywiadu, Bryson Kominski mogą postanowić, że udzielą mi nagany, albo polecą Cory'emu zlekceważyć zadanie, które mu dałem, ale sądzę, że odpuszczą. Oddział działa w oparciu o przejrzystość i zaufanie, zarówno w górę, jak i w dół hierarchii służbowej. Nasi przełożeni wiedzą, co kombinujemy, ale starają się nie mieszać do wszystkich najdrobniejszych aspektów naszego życia. Gdybyśmy musieli żyć w ścisłej dyscyplinie państwa policyjnego, oddział by się rozleciał.

Siadam ponownie, mając nadzieję, że dzięki temu Cory poczuje się mniej zagrożony.

- Interesuje cię ta marsjańska wyprawa? — pytam.
- J...jasne. Ogólnie, w każdym razie.
- Opowiedz mi.
- To realne. Ludzie polecą na Marsa. Ekspedycję finansuje koalicja miliardarów. Nie wiedziałem, że Jaynie Vasquez jest w to zaangażowana. To super, że wykorzystuje forszę Semaka w takim celu.
- Chcesz polecieć na Marsa?
- Poleciałbym z rozkoszą. To nowy świat. Kto by nie chciał?

Ja. W przeciwieństwie do Cory'ego byłem w przestrzeni kosmicznej - na niskiej orbicie - i było to zdumiewające, zmieniające życie doświadczenie. Jednak pustelnia Semaka, cel mojego lotu, była paskudną więzienną celą. Siedziałem w pierdlu. Wiem, jak to jest. Moduł marsjański byłby więzieniem bez możliwości zwolnienia. Nie byłoby z niego wyjścia.

Ale dla Cory'ego Mars to marzenie. Słyszę ból w jego głosie, kiedy mówi:

- Nigdy się nie załapię. Trzeba na to pieniędzy, umiejętności lub powiązań... A poza tym mam czterdzieści dziewięć lat. - Smutny, blade uśmiech. - Nie najbardziej pożądany kandydat.

Nie rozumie, co musiałby poświęcić.

- Byłbyś gotów pozbyć się nakładki? Jaynie zmusiłaby cię do tego, zanim wzięłaby w ogóle pod uwagę twoją kandydaturę. W przeciwnym razie uważałaby cię za szpiega Czerwieni.
- Byłbym gotów oddać nakładkę dla samej możliwości spróbowania.

Żadnego wahania.

Jego żarliwość niepokoi mnie. Każe mi zakwestionować jego lojalność. Jest tutaj, w CLIIS, i pracuje dla nas. Wie, co robimy. Jest w istocie szpiegiem Czerwieni. To jego robota. Ale jak bardzo jest naprawdę oddany naszej sprawie?

Klepię się po głowie.

- Nie masz neuronetki, co?
- Och, nie. Dostają je tylko wybrani żołnierze. W zeszłym roku zostały zakazane dla cywilów. Ryzyko nadużycia.
- Nadużycia? Przez kogo?

Nie podoba mu się to pytanie. Zaczyna kołysać tułowiem, monotonicznie i wahadłowo.

- Przez tego, kto kontroluje oprogramowanie. - Próbuje spojrzeć mi w oczy, ale nie jest w stanie. - Widziałem raport, który napisałeś na temat swojego porwania. Wiesz, co można zrobić pojmanemu osobnikowi. Doświadczyłeś tego.
- To było bezczelne nadużycie. - Do diabła, to były tortury. - Mądrzej byłoby być subtelniejszym. Utrzymywać ingerencję na niskim poziomie. Obiekt mógłby się nie zorientować w manipulacji.
- Nie, poznałbyś to - stwierdza Cory. - Ikona neuronetki dałaby ci znać, że coś się dzieje.

Przynajmniej tak brzmi teoria.

- Kto kontroluje oprogramowanie, Cory?

Tempo jego kołysania się wzrasta.

- Twojego?
- Jasne. Pogadajmy o moim oprogramowaniu.

- W regularnym wojsku to byłby Nadzór. Teraz to Czerwień.
- Nikt inny?
- Nie.

FaceValue potwierdza, że jest cholernie zdenerwowany, ale nie kłamie.

- W każdym razie o niczym takim nie wiem - dodaje. -A naprawdę sprawdzałem.

Zaczynam odnosić wrażenie, że Cory przygląda się większości spraw. Jest ludzką wersją Czerwieni.

- Kto ma dostęp do mojego oprogramowania? - pytam.

Kuli barki. To nie jest pytanie, na które chętnie udzieliby odpowiedzi, ale także nie takie, które może zignorować.

- Teoretycznie ja. To wchodzi w zakres mojego certyfikatu bezpieczeństwa, ale nie próbowałbym nigdy regulować twojej neuronetki.
- Chyba że Kanoa kazałby ci to zrobić.
- Nawet nie wtedy. Nie jestem do tego wyszkolony. To byłoby głupie ryzyko.

FaceValue potwierdza, że jest szczery. Dobrze wiedzieć, chociaż postanawiam porozmawiać z Kanoą o tym, kto jest uprawniony i kto może mieszać mi we łbie.

Uznaję, że dość już nastraszyłem Cory'ego.

- Sprawdź, czego zdołasz się dowiedzieć o Jaynie Vasquez, Karin Larsen i Janie Semakowej. Przyślij mi raport.
- Przyślę - mówi. - Zrobię to. Sprawa czeka w kolejce. Wychodzę, zostawiając Cory'emu talerz słodczy, ale zabieram ze sobą puste tacki, które trafiają do recyklera. Wracając do koszarowca, martwię się tym, co

Jaynie powie Delphi. Niepokoję się, że Delphi skontaktuje się z moim tatą; nie trzeba go tak ranić. Przejmuję się także misją, rozważając wszystko to, co w tak niewytłumaczalny sposób poszło źle. Kiedy docieram do koszarowca, obserwuję ikonę neuronetki, czekając na mignięcie wskazujące na modyfikację w mózgu, która ma odwrócić nastrój niejasnej melancholii, ale nic się nie dzieje.

Jednak moje samopoczucie i tak się stabilizuje.

Jak powiedział Cory, ikona ma się świecić w trakcie każdej aktywności neuronetki przekraczającej linię bazową, ale to zdarzenie widuję już jedynie z rzadka. Pozwalam sobie myśleć, że to dlatego, że nie potrzebuję już tych ingerencji tak bardzo jak kiedyś... ale nadużycie nie musi być jawne. Czy poznałbym prawdę, gdyby ikona nie powiadomiła mnie o subtelnej ingerencji?

Kiedy wchodzę na piętro, Tran zmierza na dół.

- Hej, Shelley, nie idziesz na przyjęcie gwiazdkowe?

Odpowiadam szczerze:

- Starzeję się. Jestem tak zmalretowany, że idę do łóżka i zostanę w nim aż do jutra.

W rzeczywistości Tran jest pół roku starszy ode mnie, ale ja mam większy przebieg. Uśmiecha się.

- Taa, też dostałem łomot, ale liczę na to, że uda mi się doświadczyć nieco świątecznej radości.

Chyba wiem, co chodzi po głowie szeregowemu Tranowi. Kanoa nie zaaprobuje przygodnego seksu, ale też nic nie powie. Przeniesie po prostu obiekt zainteresowania, zanim sytuacja się zagaęci.

- Powodzenia.

Idę na górę, biorę kolejny tusz i wracam do łóżka, ale naprawdę nie chcę spać. Nadal myślę o tym, co się dzieje w mojej głowie. W neuronetkę

wpisana jest prymitywna AI, która ma monitorować i regulować moje funkcje mózgowe. Miała dwa lata, żeby się nauczyć tego, jak rozumiem, i stała się całkiem dobra w interpretowaniu wzoru moich myśli i przekładaniu na słowa wydawanych przeze mnie rozkazów.

Cory powiedział, że to Czerwień, i tylko ona, kontroluje oprogramowanie AI mojej neuronetki. Uważam jednak, że się myli, ponieważ to ja oddziałuję na AI za każdym razem, gdy wydaję milczący rozkaz, gdy posługuję się nią, żeby usnąć, gdy odwołuję się do niej, żeby stępić ostrze gniewu lub rozpacz. Jak dobrze zna mnie moja prywatna AI?

Postanawiam to sprawdzić. Wizualizuję obraz ikony neuronetki, życząc sobie, żeby się pokazała.

Neuronetka wychwytuje wzór myślowy, AI interpretuje go i wysyła polecenie do nakładki, na której pojawia się ikonka: czarne kółko z nałożoną na nim żarzącą się, czerwoną siateczką.

Patrzę na nią. Widzę ją. Ale nic nie czuję.

Ikona powinna się pojawiać tylko wtedy, kiedy neuronetka używa chemicznych szwów i klamer, żeby nie rozpadł mi się mózg, ale teraz to nie zachodzi, nie czuję tego.

Monitorowanie moich myśli, tłumaczenie ich na słowa, wyświetlanie poleceń na nakładce - żadna z tych czynności nie powinna powodować pojawienia się ikony, gdyż żadna z nich nie wymaga ingerencji w mój mózg. Co więc mówi mi pojawienie się ikony?

Zmuszam ją, żeby zbladła i zniknęła, i nim minie sekunda, nie ma po niej śladu.

To dowodzi, że przy braku bodźców zewnętrznych ikona nie odzwierciedla już aktywności neuronetki. Przez cały czas, kiedy mi się zdawało, że działam samodzielnie... Prawda jest taka, że po prostu postanowiłem tego nie zauważać.

Doznaję zawrotu głowy. Czuję się zagubiony we własnej przeszłości. Wiem, że działam na podstawie programów. To żadna tajemnica. Zawsze

jednak wiedziałem, kiedy byłem sterowany. Albo tak mi się przynajmniej zdawało.

A teraz? Muszę się zastanowić, czy działam w oparciu o zbuntowany program, który pomogłem przypadkowo napisać. A jeśli tak, to do jakiego stopnia zmienił on to, kim jestem?

Myślę o innym eksperymencie, który mógłby odpowiedzieć na to pytanie. Neuronetka nie ma wyłącznika, ale co by się stało, gdybym spróbował nakazać jej, żeby zaprzestała regulacji mojego samopoczucia oraz wszelkich aktywnych ingerencji? Nie tylko wyłączyła ikonę, która jedynie sygnalizuje jej aktywność, ale zaprzestała jej samej?

Mógłbym to zrobić?

Chcę tego?

Patrzę w sufit, zastanawiając się nad tym. Już raz usunięto mi okablowanie. Wiem, co się dzieje bez nieustannej, wspierającej stymulacji mózgu. Chcę się jednak dowiedzieć, kim jestem.

Tożsamość nie jest czymś ustalonym raz na zawsze. Wiem o tym. To, kim jesteśmy, zmienia się co chwilę, z dnia na dzień, od jednego pierdolonego nieszczęścia do drugiego. A wykorzystywane w leczeniu chorób psychicznych terapie stymulacji mózgu nie kreują nowego osobnika, tylko zdzierają tkankę bliznowatą, żeby odsłonić to, co jest pod spodem.

Chcę wiedzieć, co się kryje pod moją neuronetką. Chcę ponownie zajrzeć w głąb. Pragnę wiedzieć na pewno, że podjęte decyzje zależały ode mnie, a lojalność, jaką czuję wobec GRK, jest prawdziwa.

Wyobrażam więc sobie neuronetkę. Imaginuję sobie jej położenie pod skórą głowy, na powierzchni czaszki. Wizualizuję elektryczne procesy śmigające w niej nieprzerwanie, gdy wyczuwa i modyfikuje aktywność mojego mózgu. Imaginuję sobie, że ta aktywność zamiera stopniowo, przeradzając się w nieruchomość.

Czuję zmianę. To zmiana stanu Wszechświata. Przysięgam, że moje płuca przestają pracować, a czas się zatrzymuje. Stworzony przeze mnie obraz

neuronetki hamuje wszystkie migotliwe procesy i zastyga w jasnym bezruchu.

Jestem świadomy, że w polu mojego widzenia płonie czerwienią alarmu ikona oddziału, ale nie czuję niepokoju. Niczego nie czuję, aż jakiś huk uruchamia bieg czasu. Następuje jakieś zamieszanie, ruch; dudnienie butów o podłogę, głosy. Pole mojego widzenia przesłania cień, twarz, na której nie potrafię się skupić. Gasi moją wizję neuronetki.

- Jezu Chryste - mówi Logan.

Serce wymyka się ze stanu zawieszzonego ruchu i zaczyna ponownie bić.

- Puls! - woła triumfalnie Dunahee. - Wraca do życia.

Moje płuca postanawiają pracować z własnej woli. Ciało formuje się ponownie wokół mnie, ciężkie i odległe. Zamykam oczy jak dzieciak, który chce być gdzieś indziej.

- Shelley, spójrz na mnie.

Logan mówi to błagalnie, więc go słucham. Podnoszę ponownie powieki, świadom swojego głębokiego oddechu. Logan pochyla się nade mną, patrząc mi w oczy. Tuż obok niego jest Dunahee.

- Co jest, kurwa? - szepczę.

- Odszedłeś — mówi Logan. - Twoja ikona zrobiła się czerwona. Brak tętna. Brak oddechu. Szczątkowe funkcje mózgu.

Wyłączyłem się?

Siadam prosto. Logan próbuje mnie powstrzymać, ale go odpycham.

- W porządku. Nic mi nie jest. - Prawdę mówiąc, nie do końca. Zimny pot pokrywa mi skórę, T-shirt jest od niego mokry. Zdejmuję koszulkę i opieram się o ścianę. - To był błąd.

- Bez jaj, brachu! Co zrobiłeś, do cholery?

Waham się, niepewny, czy powinienem powiedzieć o tym co się działo w mojej głowie.

- Myśleliście, że nie żyję?
- Naprawdę nie żyłeś.

Słysząc, że ktoś biegnie do otwartych drzwi. Wszyscy podnosimy wzrok, gdy do pokoju wpada sanitariuszka bazy, niosąc apteczkę połową. Przystaje zmieszana i rozgląda się badawczo po pomieszczeniu.

- Kto jest nagłym przypadkiem?
- Ja - odpowiadam. - Ale nic mi nie jest. To była pomyłka.

Za sanitariuszką wchodzi Kanoa i Fadul, a potem kilka osób personelu pomocniczego z dołu. Gdy kobieta waha się, nie wiedząc, co począć, patrzę na Logana i myślę: „Usuń wszystkich z tego piętra. Tylko my”.

Wyciąga rękę, żeby powstrzymać sanitariuszkę przed podejściem bliżej.

- Poruczniku - mówi kobieta nieśmiało - musi mi pan pozwolić go zbadać.

Logan zagłusza ją, choć nic nie mówi; tylko ja słyszę jego sztuczny głos: „Zostaliśmy zaatakowani?”.

„Nie. Moja wina. Usuń wszystkich”.

Z twarzą bez wyrazu odwraca się do sanitariuszki.

- Muszę prosić, żeby pani wyszła, specjalistko.
- Sir...

Kanoa opanowuje sytuację.

- Niech każdy, kto nie należy do 7-1, opuści to piętro i pamięta, że wszystko to, co się dzieje w bazie, jest tajne; nie możecie rozmawiać o tym między sobą ani z nikim innym, kto nie jest wyższym oficerem

przydzielonym do tego ośrodka.

Przed upływem kilku sekund postronni znikają. Kanoa wskazuje gestem Fadul.

- Upewnij się, że nikt tutaj nie został.

Logan obserwuje mnie czujnie, gdy wstaję.

- Co, do cholery, Shelley? Co się stało?

- Jak powiedziałem, to była pomyłka. - Wyjmuję z lodówki butelkę wody i wypijam połowę. - Chciałem się przekonać, co mogę zrobić z neuronetką. Nie poszło tak, jak na to liczyłem.

Kanoa odsuwa krzesło od biurka i siada.

- Próbowaleś ją wyłączyć, ale zamiast tego wyłączyłeś siebie.

Logan patrzy na mnie, jakbym zwariował.

Wzruszam ramionami i siadam na łóżku.

W drzwiach pojawia się najwyraźniej wstrząśnięta Fadul.

- Jesteśmy sami, co jest, kurwa, Shelley? Próbowaleś się wymeldować?

- Nie. - Szokuje mnie, że o to pyta.

- Byłeś martwy - upiera się. Ręce jej drżą. Nigdy dotąd nie widziałem jej tak poruszonej.

- To był wypadek. - Zwracam się do Kanoi - przynajmniej on jeden wygląda na opanowanego - i klepię się po głowie. - Ikona powinna mnie informować, gdy neuronetka jest aktywna, ale nie dzieje się tak. Nie cały czas. Już nie. Chcę się dowiedzieć więcej o oprogramowaniu, Kanoa. Chcę wiedzieć, kto je kontroluje, kto wyznacza linię bazową, kto ją resetuje...

Przerywa mi:

- Nikt jej nie resetuje i sędzę, że to jest część problemu. Nie jesteś już tym samym człowiekiem, jakim byłeś dwa lata temu, ale działasz w oparciu o tę samą linię bazową.

- A dlaczego nie jest ona resetowana? - pyta Logan.

Kanoa podnosi na niego wzrok.

- Resetowana do jakich ustawień? Skąd mamy wiedzieć, gdzie jest nowa linia bazowa, albo gdzie by była, gdybyś nie używał neuronetki?

Fadul podchodzi bliżej. Dunahee usuwa się jej z drogi.

- Chcę wiedzieć, w jaki sposób Shelley się załatwił - mówi. - Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobił.

Zaczyna mnie wkurzać, ale zanim jestem w stanie powiedzieć cokolwiek, wtrąca się Kanoa:

- Powiedział ci dlaczego. To był wypadek. Co do tego, w jaki sposób, to pomyśl o komendzie snu. To polecenie fizjologiczne. Pierwsze, jakiego się uczysz. Jednak AI w twojej neuronetce może się nauczyć innych rozkazów. To sprzężenie zwrotne, którego przez większość czasu nie jesteś nawet przypuszczalnie świadoma. - Odwraca się do mnie. - Próbowałaś sobie wizualizować neuronetkę?

Kiwam ostrożnie głową.

- Wyobraziłem sobie proces spowalniania.

- Nie myśl nigdy o sztucznej inteligencji w ludzkich kategoriach. Twoja AI potrafi nadzorować skomplikowane funkcje - nie ma nic bardziej złożonego od funkcji mózgowych - ale sama nie jest szczególnie skomplikowana. Robi, co robi, i niczego więcej. Nie ma samoświadomości i nie zawiera modelu neuronetki jako hardware'u. Kiedy poleciłeś jej zamrozić wszelkie procesy, poprosiłeś o podjęcie działania w wymiarze, którego ona nawet nie pojmuje. Zrobiła zatem, co mogła. Wyłączyła funkcje, które potrafi kontrolować.

- Dużo o tym wiesz - stwierdza Fadul.

Zauważam jej podejrzliwość.

- Zrobiłeś to już? - pytam.

Mruży oczy.

- Wszyscy popełniamy błędy, ale nie możemy funkcjonować bez neuronetek.

- To jasne jak cholera - przyznaje Fadul, piorunując mnie wzrokiem.

- Byłem jedynie ciekawy.

- I dowiedziałeś się tego, co chciałeś? - pyta Kanoa.

- Tak jest, sir. To już się nie powtórzy.

- Jeśli jednak - mówi Fadul, patrząc na Logana, na Dunaheego - to niech nikt nie zawraca sobie głowy cuceniem go, dobra?

- Odsuść, Fadul - mówi Logan.

Fadul wzrusza ramionami i wychodzi. Dunahee czeka, aż drzwi zamkną się za nią, a potem stwierdza:

- Chyba mówiła poważnie.

Wiem, że tak.

Po kilku minutach uznają, że można mnie bezpiecznie zostawić samego. Biorę kolejny tusz, a potem przesypiam Gwiazdkę.

Następnego ranka czuję się lepiej. Sprawdzam, co z Julianem, i rozmawiam z nim przez kilka minut. Poprawia mu się, ale mówi, że lekarz stwierdził, że do końca życia nie będzie stuprocentowo sprawny; jest zrozpaczony, bo istnieje realna możliwość, że już nigdy więcej nie weźmie z nami udziału w żadnej akcji.

- Hej - mówię. - Nigdy nic nie wiadomo. Popatrz na mnie.

To wywołuje śmiech, który przyprawia go o ból. Mówię mu, żeby odpoczywał, i się żegnamy.

Wiadomości napływające z Arktyki także są mieszane. Wymiana ognia ustała, ale piloci myśliwców prowokują się nieustannie, natomiast piechota, bez wątpienia kiepsko wyekwipowana, udaje się do obozów. Zastanawiam się, kto zostanie obarczony winą, kiedy żołnierze zaczną zamarzać na śmierć.

Po śniadaniu, po wędrówce do Centrum Cybernetycznego i z powrotem do wtóru klekotania moich stóp, co przypomina powolne tasowanie talii kart, postanawiam sprawdzić, co mogę na to poradzić. Wyjmuję czyściwo, patyczki higieniczne i puszkę sprężonego powietrza. Potem siadam na łóżku, odczepiam prawą protezę i zaczynam usuwać ze stawów stopy kurz i okruchy. Nie znajduję jednak wiele. Myślę, że stawy się po prostu poluzowały. Joby Nakagawa, inżynier, który zaprojektował i skonstruował protezy, przysiągł, że nie uda mi się ich uszkodzić, ale nigdy nie obiecywał, że ich nie zużyję - a protezy dużo przeszły.

Przechodzę do lewej robociej nogi, kiedy na nakładce pojawia się powiadomienie. E-mail od Cory'ego z raportem, o który prosiłem. Przymocowuję podudzie do stawu kolanowego i blokuję połączenie. Potem otwieram raport.

Jest zniechęcający - czterdzieści tysięcy słów, bez podsumowania. Cory musiał zamówić to studium, gdyż nie ma mowy, żeby przy normalnych obowiązkach udało mu się zgromadzić w tym tempie tyle materiałów.

Odsuwam od siebie przybory czyszczące, kładę się na łóżku i zaczynam wybiórczo przeglądać tekst.

W trakcie następnej pół godziny dowiaduję się, że Jaynie i Delphi zainwestowały większość pochodzących z kradzieży pieniędzy w firmę holdingową, którą stworzyły. Kanoa ma rację co do ich związków z Janą Semakową. Poprzez holding wniosły znaczący wkład finansowy w Torzhok NAO, przedsiębiorstwo inżynieryjno-zaopatrzeniowe, założone

przez Semakową i działające w Arktyce. Zrazu podejrzewam, że Semakowa zaszantażowała je, żeby zapewnić sobie ten kapitał, ale fakty temu przeczą. Torzhok funkcjonuje od siedmiu lat jako wysoce dochodowa firma zaangażowana w nowatorskie projekty na terenach rosyjskiej Arktyki. To prywatne przedsięwzięcie, powszechnie chwalone, i nigdzie nie mogę znaleźć wzmianki, by miało związek z bronią i uzbrojeniem. Zatem Semakowa nie poszła przynajmniej w ślady ojca.

Jaynie dokonała innej znaczącej inwestycji. Przeniosła wojskowe doświadczenie na sektor prywatny i założyła własną firmę ochroniarską. To grupa najemników, którzy mają chronić jej stan posiadania, a może i ją samą. Mam nadzieję, że są lojalni wobec niej.

Więszym od obu tych wkładów jest dziesięcioprocentowy udział w firmie o nazwie ShotFusion, Inc., prywatnej korporacji założonej w celu zorganizowania kolonizacyjnej wyprawy na Marsa. Są mocno zaawansowani na drodze do opanowania odpowiedniej technologii. Prototyp potężnej rakiety, który znajduje się w porcie kosmicznym pod San Antonio, przechodzi intensywne testy. Pierwsza załoga może polecieć za dwa lata.

Moje spojrzenie przebiega listę dwudziestu czterech nazwisk: to osoby, które mają miejsca w dwóch pierwszych załogach. Od razu znajduję te, o które mi chodzi: „Larsen Karin” i „Vasquez Jaynie”. Nie ma więc wątpliwości. Zarówno Jaynie, jak i Delphi zamierzają polecieć.

Przynajmniej dowiaduję się o tym w porę, żeby temu zaradzić.

Przeoglądam listę nieco dokładniej, szukając znajomych nazwisk, nazwisk rekinów, ale nie znajduję żadnego. Nie widzę Jany Semakowej. Potem jednak zauważam nazwisko, którego nigdy bym się nie spodziewał: „Flynn Mandy”. Ciśnienie mi podskakuje. Szeregową Mandy Flynn nie jest rekinem. Jest nadal dzieciakiem, zaledwie dwudziestolatką. Zbyt młoda, żeby poświęcać życie dla lotu w jedną stronę na martwą planetę.

Szukam Aarona Nolana - jest jedynym pozostałym członkiem Oddziału Apokalipsy, który przeżył - ale ku mojej uldze nie znajduję go na liście.

Przynajmniej jedno z nas ma nieco zdrowego rozsądku.

Idę ponownie odwiedzić Cory'ego w jego biurze. Tym razem spodziewa się mnie. Przypuszczalnie ustawił alarm, żeby go ostrzegał, gdy jestem w pobliżu.

- Jakiś problem z raportem? - pyta mnie.
- Nie problem, ale chciałbym go rozszerzyć o jeden aspekt. Potrzebna mi szczegółowa ocena zabezpieczeń ośrodka ShotFusion w San Antonio.
- Fizycznych zabezpieczeń?
- Tak. Zabezpieczeń w fizycznym miejscu, w którym znajduje się prototyp rakiety. Czego by trzeba, żeby przeprowadzić tam operację? Taką z realną strategią odwrotu.

Jest zdumiony.

- Nie otrzymaliśmy rozkazów dotyczących takiej misji.
- Jeszcze nie — zgadzam się.
- To dlaczego...
- Posłuchaj, wiesz, że Czerwień nie działa bezpośrednio. To coś jak jebana wyrocznia, która rzuca aluzje na temat jednej sprawy, a ostrzega przed inną. Dlatego nauczyłem się ufać swoim przeczuciom, a w związku z tym projektem kolonizacji Marsa mam bardzo złe przeczucia.

Wygląda na zaniepokojonego.

- Jakiego rodzaju złe przeczucia? Coś im grozi?
- Nie. Ale im więcej myślę o tym projekcie marsjańskim, tym mocniej jestem przekonany, że to oni stanowią zagrożenie. To kwestia czasu, zanim przyjdą rozkazy. Chcę więc, żebyś opracował plan - wewnętrzny,

nie zamawiaj go - najłatwiejszego, najbezpieczniejszego sposobu zakończenia tego przedsięwzięcia.

- Nie. Nie... mogę tego zrobić. - Podnosi się, zmienia zdanie i siada z powrotem. - Projekty marsjańskie nie stanowią zagrożenia dla istnienia ludzkości.

- Uważam, że tak.

- Dlaczego?

Nie wyjawiam swoich powodów. Zamiast tego wyjaśniam mu to w sposób, co do którego wiem, że go zrozumie.

- Wszyscy widoczni, wszyscy odpowiedzialni. Zgadza się?

Kiwa niechętnie głową.

- Jaynie Vasquez zainwestowała w to przedsięwzięcie tylko dlatego, że chce być niewidzialna, poza wpływem Czerwieni, a to jest nie do przyjęcia.

Tym razem Cory wstaje. Robi trzy kroki w poprzek pokoju.

- Mars to przyszłość - mówi, zawracając.

- Możliwe. Ale najpierw musimy uczynić bezpieczną tę planetę.

- Jeśli uważasz, że otrzymamy rozkazy...

- Sądzę, że tak. Rozkazy przyjdą, a wówczas ty będziesz już gotowy. Proszę cię tylko o wykonanie studium. Nie proszę o wsparcie. Przyjrzyj się środkom bezpieczeństwa w ShotFusion. Znajdź sposób dostania się tam. Nie musisz robić nic więcej. Nie, póki nie stanie się to oficjalnym zadaniem.

Jest zaniepokojony i niezadowolony.

- Porozmawiam o tym z Kanoą.

Kiwam głową.

- Tutaj nie ma tajemnic.

To prosta operacja. Nie widzę powodu, żeby Kanoa jej nie zaaprobował.

Dwadzieścia minut później jestem w gabinecie Kanoi.

- Siadaj - mówi, patrząc wilkiem zza swojego biurka: armijnego mebla z szarej stali, z mapą Ameryki Północnej pod plastikową płytą na blacie.

Siadam.

- Pozwoliłeś, żeby incydent w Tuvalu załazł ci za skórę.

- To, co się tam wydarzyło, zaszło nie bez powodu.

- Rozmawialiśmy o tym już tamtej nocy, kiedy wróciłeś. Nie ty decydujesz o tym, co Vasquez robi ze swoimi pieniędzmi lub czasem. Nie opracowujesz własnych misji. I nie wykorzystujesz analityków 7-1 do prywatnych celów. Czy to jasne?

- Mam więc robić, co mi każą, i tyle?

- Daj spokój, Shelley.

- To dla mnie istotne. Na liście załogi znajduje się nazwisko Karin Larsen...

- Twojej byłej?

- Tak. I nie ma mowy, żebym pozwolił jej polecieć.

Opiera się w fotelu, krzyżuje ramiona na piersi i pyta cynicznym tonem:

- Pojebało cię?

- Tak, jestem pojebany. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie był taki.

Byłbym z nią.

- Tuvalu nieźle tobą wstrząsnęło, co? Musisz pamiętać, że to ty ją zostawiłeś. Ty dokonałeś wyboru.
- Jakiego?
- Nie pogrywaj ze mną, Shelley. Nie po tym wszystkim. Nikt cię nie zmuszał do wstąpienia do tej organizacji. Od pierwszego dnia wiedziałeś, czego się od ciebie wymaga, i dokonałeś wyboru. Nie pamiętam, żeby trzeba było długiej perswazji.

Chcę zaprzeczyć: nie byłem tamtej nocy w pełni władz umysłowych; zbyt wiele razy otarłem się o śmierć, żeby uważać, że mam prawo do prawdziwego życia; Czerwień wmanewrowała mnie w tę decyzję. Pamiętam jednak, jak się wówczas czułem - zarówno dreszcze towarzyszące powolnemu wychodzeniu z hipotermii, jak i wstrząsające odkrycie oraz żarliwe przekonanie, że zostałem powołany do tej służby, która jest konieczna i zaszczytna; że oddam wszystko, co mam, i zrobię wszystko, co mogę.

Nadal jednak nie wiem, czy to była moja decyzja. Wiem tylko, że nie zmieniłem zdania.

Kanoa odzywa się pojednawczym tonem:

- Lata mogą minąć, zanim wyruszą.

Chodzi mu o to, że kiedy dojdzie do tego, ja już mogę dawno nie żyć.

- Czasami pragniemy rozbieżnych rzeczy - dodaje.

Mój wzrok odpłynął. Zmuszam się, żeby spojrzeć na niego ponownie.

- I tak uważam, że dostaniemy tę misję. A jeśli tak się stanie, to nie będziesz mógł zaufać Cory'emu, że wykona swoje zadanie.
- Musisz się ogarnąć, Shelley.

Wiem, że ma rację. Pragnę rozbieżnych rzeczy.

- I jeszcze jedno, Shelley. Trzymaj się z daleka od Cory'ego Helmsa.

O dwunastej zero dwie hakerzy blokują szerokopasmowy dostęp do GPS wzdłuż odcinka autostrady międzystanowej 1-35 na obrzeżach San Antonio. Zabezpieczenia zaprogramowane w automatycznej ciężarówce cysternie zawodzą i nie działają właściwie, co doprowadza do ognistej kolizji z ciągnikiem naczepowym, także autonomicznym, który wiezie elementy zamówione do marsjańskiego projektu ShotFusion. Nie ma ofiar w ludziach, ale oba pojazdy ulegają zniszczeniu i ocenia się, że program rozwojowy ShotFusion zostanie opóźniony o całe miesiące. Cory jest przekonany, że to moja wina.

Zostaję ponownie wezwany do gabinetu Kanoi.

Tym razem jest tam Cory, który stoi obok biurka Kanoi i z czerwoną od gniewu twarzą piorunuje mnie wzrokiem. Zirytowany Kanoa opiera się w swoim fotelu. Poświęca całe dnie na poszukiwania potencjalnych rekrutów dla GRK. Robiłby to, gdybyśmy nie marnowali jego czasu absurdalnymi kwestiami personalnymi.

Siadam w tym samym fotelu, który zajmowałem poprzednio.

- Zrobiłem to. Zhakowałem tamte ciężarówki.

Kanoa przewraca oczami.

- Oficjalnie, Shelley. Czy wiedziałeś wcześniej o wypadku na I-35 albo miałeś w ogóle cokolwiek wspólnego z sabotażem marsjańskiego projektu ShotFusion?

- Nie, sir. Nie miałem. To był zbieg okoliczności. Obserwuję, jak skupienie wzroku Kanoi się zmienia, gdy sprawdza mój stan psychofizjologiczny, upewniając się, że mówię prawdę. Patrzy na

Cory'ego.

- Zadowolony?

Cory nie bardziej wierzy w zbieg okoliczności niż ja.

- Chciałeś, żeby do tego doszło — mówi. — A kiedy ujawniłeś to pragnienie, sprawiłeś, że się zmaterializowało.

Może mieć rację. Sądzę, że chyba ją ma. A jeśli nawet? Nie żałuję.

- Wszyscy widoczni, wszyscy odpowiedzialni - przypominam mu.

- Jeżeli uważasz, że to ich powstrzyma, to się mylisz.

- Tyle na razie wystarczy - stwierdzam. - Projekt został opóźniony. Czas, żeby do gry wszedł nowy czynnik.

- Albo żeby stary został wyeliminowany - warczy Kanoa. - Wypieprzaj stąd, Shelley.

Wychodzę przeświadczony, że Kanoi uda się przemówić Cory'emu do rozsądku i przekonać go, że wypadek to tylko komplikacja, a nie globalna katastrofa, za jaką go uważa. Jednak później tego popołudnia przychodzi okólnik, który poleca kierować wszystkie prośby o informacje do starszego analityka wywiadu, Brysona Kominskiego, który mieszka i pracuje poza naszą bazą. Cory postanowił wziąć kilka dni urlopu.

Nie podoba mi się to, ale Kanoa uważa, że Helms potrzebuje odpoczynku.

Późnym popołudniem mikrobusem odjeżdża z jedynym pasażerem, którym jest Cory.

Piąta trzydzieści jeden, budzę się.

Gwałtowne przejście z głębokiego snu do pełnej przytomności w czasie, jaki zajmuje otwarcie oczu, mówi mi, że to nie jest normalne. Obudził

mnie sygnał wysłany przez neuronetkę, czyli coś się dzieje.

Moje serce zaczyna szybki marsz, napędzane przez podszyte poczuciem winy podejrzenie, że wojna w Arktyce przybrała jeszcze gorszy obrót.

Odrzucam cienki pled, wstaję i chwytam spodnie. Wciągam je na siebie, kiedy przez nakładkę przychodzi polecenie wypowiedziane głosem Kanoi: „Odprawa grupy, piąta czterdzieści, sala konferencyjna”.

Nie ma rozkazu ubrania kamizelek i rynsztunku, zatem zagrożenie nie jest bezpośrednie. Opieram się pragnieniu zasypania Kanoi pytaniami. Zamiast tego włączam wiadomości radiowe i wkładając mundur, słucham podsumowania światowych wydarzeń. Najważniejszą wiadomością jest to, że Rosjanie, Kanadyjczycy i Chińczycy zakładają na arktycznym lodzie zimowe bazy wojskowe, natomiast szef połączonych sztabów ma się stawić przed Kongresem, żeby argumentować na rzecz naszej „permanentnej” obecności w Arktyce - oczekuje się, że przedstawiciele nieinterwencyjnego skrzydła będą energicznie się sprzeciwiali tej intencji w ramach prowadzonego przez nich szturmu na wojenne uprawnienia prezydenta. W tle następnej wiadomości słyhać rozwścieczony głos arabskiego spikera. Moja neuronetka zaczyna tłumaczyć, ale potem włącza się po angielsku mediota mówiący coś o broni biologicznej w Arktyce - historia, która po prostu nie umiera.

Wyłączam wiadomości i wychodzę na korytarz. Tran wynurza się ze swojego pokoju. Spogląda na mnie z oczekiwaniem w ciemnych oczach.

- Wyruszamy?
- Nie wiem, co jest grane.

Otwierają się kolejne drzwi. Dołączają do nas Roman i Dunahee, a Tran uprzedza ich pytania.

- Nie wie.

Ruszamy na dół i wychodzimy na zewnątrz.

Świt jeszcze do nas nie dotarł. Nocne niebo jest zamglonym,

ciemnoszarym sklepieniem ozdobionym przyćmionymi gwiazdami. Momentalnie staję się świadomy metalicznego smaku pyłu w chłodnym powietrzu - doznanie, które rzadko zauważam w upale dnia. Nie ma wiatru i nie słyszę żadnych innych dźwięków oprócz naszych kroków i denerwującego klekotania moich stóp. Niecierpliwie pragnąc poznać powód wezwania, przechodzę w szybki trucht. Tran, Roman i Dunahee dołączają do mnie, tworząc zwyczajowo dwójkową formację w trakcie biegu oświetlonym chodnikiem do Centrum Cybernetycznego.

Po drodze myślę: Mapa, i mapa oddziału rozwija się w rogu mojego pola widzenia. Zauważam, że Logan, Fadul i Escamilla podążają za nami. Wchodzimy przez lekko opancerzone, podwójne drzwi. Sala konferencyjna jest tuż za nimi.

Kanoa stoi już na podium, mundur ma jak spod igły, a wyraz twarzy nieczytelny. Zajmując miejsce w pierwszym rzędzie, sprawdzam jego ikonę. Kanoa to człowiek z lodu. Im poważniejszy kryzys, tym jego odczyty wskazują większe opanowanie. W tej chwili ciśnienie krwi i tętno dobrze odzwierciedlają funkcje życiowe buddyjskiego mnicha.

Czeka, aż wszyscy usiądą. Potem zaczyna bez żadnych wstępów:

- Czterdzieści dwie minuty temu z kołowej wyrzutni BXL21 w Kazachstanie została wystrzelona rakietą YGH-77. Pocisk trafił i zniszczył cel na niskiej orbicie Ziemi konwencjonalną głowicą kinetyczną. Atak uważany jest za akt terroru. Rząd Kazachstanu przechwycił wyrzutnię, a obecnie usiłuje schwytać terrorystów, którzy się nią posłużyli. Tuż przed atakiem w mediach społecznościowych pojawiła się wiadomość przypisująca spodziewane uderzenie Radzie Shahin, o której, jestem pewny, słyszeliście już do tej pory wiele razy.

Zbyt wiele razy. Rada Shahin to ponadnarodowa siatka terrorystyczna - albo podziemny kartel handlujący narkotykami i bronią. To się staje trudne do odróżnienia.

- Bezpośrednie zniszczenia spowodowane przez trafienie są stosunkowo niewielkie. Konsekwencje już nie. Obiekt na niskiej orbicie Ziemi nie jest łatwym celem. W chwili uderzenia satelita, o którego chodzi, znajdował

się na wysokości czterystu kilometrów nad powierzchnią planety i poruszał z prędkością siedmiu i pół kilometra na sekundę, co wskazuje, że wymagana precyzja celowania i naprowadzania pocisków nie jest już dłużej domeną wojska.

Jego spojrzenie zatrzymuje się na mnie.

- Celem była Pustelnia Semaka. Została rozbita.

Półtora roku temu odwiedziłem Eduarda Semaka w jego kosmicznym habitacie. Dwa dni temu Jana Semakowa, jego córka i spadkobierczyni, opowiedziała się w światowej telewizji przeciwko wojnie w Arktyce.

Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- Wybrali taki cel, gdyż powiedziała, co myśli.

- Według opublikowanej wiadomości - ciągnie Kanoa - cel został wybrany dlatego, że był niezamieszkały. „Miłosierny pokaz zaawansowanych możliwości”.

- Chodzi o coś więcej.

- To nie ma znaczenia - stwierdza Kanoa. - Liczy się to, że każdy satelita na podobnej orbicie musi być teraz uważany za zagrożony, a to ogromna część naszej infrastruktury komunikacyjnej. Chodzi jednak o coś więcej. Habitat był dużym obiektem. Część jego odłamków wejdzie w atmosferę i spłonie w trakcie spadania na Ziemię, ale większość pozostanie na orbicie, gdzie utworzy obłok szczątków, który będzie się rozchodził we wszystkie strony, grożąc kolizjami z innymi obiektami kosmicznymi. To głębsze przesłanie - że sytuacja na niskiej orbicie może się bardzo szybko znacznie pogorszyć. W tej chwili większość satelitów można usunąć z trajektorii znanych odłamków, jeśli jednak ich liczba wzrośnie po tym, powiedzmy, gdy trafiony zostanie kolejny habitat, stanie się to dużo trudniejsze. Potencjalnie każdy najdrobniejszy element, aż do pojedynczej śrubki, może się zderzyć z działającym satelitą z prędkością orbitalną, co oznacza energię bomby. A każda kolizja doprowadzi do powstania kolejnych odłamków. Za sprawą złych intencji i odpowiednio długiego czasu niska

orbita może się zapełnić tak gęstą chmurą szybko poruszających się odpadków, że nie da się poprzez nią wystrzelić żadnej rakiety. Nazywa się to syndromem Kesslera; zjawisko, które może nas pozbawić dostępu do przestrzeni kosmicznej na nadchodzące wieki.

- To pojebane - odzywa się Tran, jak gdyby ktoś go osobiście obraził. - Kto mógłby tego chcieć, do diabła?

Fadul zna odpowiedź.

- Psychopaci. Jak zawsze.

- Twierdzi się - mówi Kanoa - że zrobiono to w odwecie przeciwko tym, którzy sponsorowali projekt badań nad bronią biologiczną, ujawniony niedawno w Arktyce.

- O cholera - mówi Logan. - Znowu ta sama plotka? Została zdementowana.

- Medioci to rozdymają - wyjaśniam mu.

Kanoa kiwa głową.

- Także Rada Shahin ma powód, żeby ją wykorzystywać. W zeszłym tygodniu jeden z jej członków padł na estradzie w trakcie wygłaszania przemówienia. Młody, zdrowy człowiek umarł w ciągu pół godziny. Może został zamordowany. Może poraził go Bóg. Szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Dla nas ważne jest to, że przed oświadczeniem Rady Shahin nie otrzymaliśmy ostrzeżenia o ataku orbitalnym. Nasz wywiad nie wykrył żadnych oznak ani pogłosek, że dojdzie do tego...

- Czekaj - mówi wstrząśnięty Tran. - Chcesz powiedzieć, że Czerwień nic o tym nie wiedziała?

Kanoa kiwa głową.

- Właśnie tak, Alex. Nasza najbardziej optymistyczna interpretacja zakłada, że tamta operacja została przygotowana w swego rodzaju świecie mroku, którego Czerwień nie mogła spenetrować. Nie wizualnie, nie

elektronicznie, nie poprzez szpiegów czy statystyczne studia behawioralne.

- Mam wrażenie, że ogarnia to teraz - odzywa się Fadul. - Nawet jeśli tamte pajace mają jeszcze jedną wyrzutnię, to mocno oberwą.
- Zgadza się - przyznaje Kanoa. - I każdy legalny rząd na Ziemi przyłoży rękę do tego.
- Powiedziałeś, że to jest optymistyczna interpretacja-przypominam mu.
- A co mówi pesymistyczna?

Odpowiedź Kanoi jest ponura:

- Że Czerwień umożliwiła ten atak w ramach długoterminowej strategii, która ma na celu ograniczenie dostępu do przestrzeni kosmicznej.
- Myślisz, że to prawdopodobne? - pyta Logan. Zerka na mnie niespokojnie. - To znaczy po tym, co spotkało projekt marsjański...
- Nie - odpowiada Kanoa. - Nie uważam tego za prawdopodobne. Nie sądzę, żeby choć w przybliżeniu było to zbieżne ze strategią Czerwieni. Łączność satelitarna i techniki inwigilacji stanowią część jej systemu sensorycznego. Poświęcenie ich w celu zapobieżenia przyszłym ekspedycjom na Marsa nie ma sensu.

Logan kiwa ochoczo głową.

- A Czerwień pokazała już, jak storpedować projekt marsjański bez załatwiania reszty świata.
- Wracamy zatem do optymistycznej wersji - mówię. -Jeśli naprawdę chcesz ją tak nazywać. Czerwień została zaskoczona przez Radę Shahin, nie wiemy, w jaki sposób. My zostaliśmy zaskoczeni w Arktyce. Cała ta misja sprawiała takie wrażenie, jakby Czerwień nie wiedziała w istocie, co jest grane, albo miała rozproszoną uwagę, albo były dwa umysły... - Przerywam. Nie pierwszy raz się zastanawiam, czy nie błędzimy, uważając Czerwień za pojedynczy byt. Dlaczego miałyby nim być? - Uważasz, że te dwa wypadki mogą być powiązane, Kanoa?

Rozważa to przez kilka sekund.

- Zbyt wcześnie, żeby to stwierdzić... Poza tym mamy ważniejsze zmartwienia. Dane wskazują, że podejrzanym nabywcom sprzedano co najmniej dziewiętnaście wyrzutni raketowych.
- To dużo - mówi Escamilla. - Myślisz, że dostaniemy rozkazy?
- To możliwe.

GRK 7-1 działa według paradygmatu: „wszyscy widzialni, wszyscy odpowiedzialni”. Jeżeli jednak Czerwień daje się zdekoncentrować lub zmanipulować do tego stopnia, że misja kontrolna może się przerodzić w konflikt regionalny, albo może zostać całkowicie zaskoczona przez operację na wielką skalę, to przegramy tę wojnę.

To zniechęcające. Wystarczy tak niewiele, żeby stworzyć zagrożenie dla istnienia świata, trzeba natomiast nieustannych, bezlitosnych działań, żeby odeprzeć tę groźbę. Jeśli dziewiętnaście wyrzutni raketowych trafiło do „podejrzanych nabywców”, to ile mniejszych, ale wciąż śmiertelnie groźnych broni kontrolują terroryści, krzyżowcy oraz rekiny tego świata? Wszyscy pragną ograniczyć egzystencję lub zadać śmierć tym, którzy ich otaczają.

Ta wojna nie ma końca.

Może to prawda, że większość ludzi pragnie żyć w pokoju - mam co do tego pewne wątpliwości - ale większość ludzi nie miała nigdy wyboru. „Większość ludzi”, kimkolwiek oni są, zależała zawsze od kaprysu tych gotowych użyć siły, żeby dostać to, czego chcą. Większość ludzi, historycznie rzecz ujmując, godziła się na to, bawiąc się na spektaklach ścinania głów, na koszmarnych prezentacjach palenia żywcem na stosie, przy dreszczu szoku i strachu. We współczesnym świecie nic się nie zmieniło, pomijając to, że każdy z nas dysponuje potencjałem dokonania większych zniszczeń niż kiedykolwiek wcześniej. I nic się nie zmieni. Złe zamiary będą nam zawsze towarzyszyć i zawsze trzeba będzie stoczyć kolejną bitwę.

Dziewięć godzin później jestem w kafeterii i rozmyślam ponuro nad pustym talerzem. Fadul siedzi na drugim końcu stołu, rozpamiętując własne tragedie, natomiast Tran usiadł naprzeciwko mnie z tacą parującego posiłku, świeżo odgrzanego w mikrofalówce. Gdy wszyscy zostajemy połączeni z gen-komem, Alex spogląda na mnie z dzikim oczekiwaniem we wzroku - nie może się doczekać kolejnej misji - ale Kanoa gasi jego entuzjazm ponurym stwierdzeniem:

- Drugie uderzenie.

Kolejne leże rekina zostało trafione. Tym razem na pokładzie znajdowało się pięcioro ludzi; jest też nagranie wideo.

- Prześlij je - mówię Kanoi.

Nagranie zostało zarejestrowane przez samolot kosmiczny STS podczas podchodzenia do habitatu.

- Czy to był zaplanowany lot? — pytam.

- Nie. Pojazd został wysłany w celu ewakuowania mieszkańców po tym, gdy wysunięto pod ich adresem konkretną groźbę.

Wideo odtwarza się bez dźwięku na mojej nakładce. Liczby w lewym dolnym rogu wskazują odległość dzielącą samolot od habitatu. Kiedy pocisk uderza, statek znajduje się w odległości stu czterech kilometrów. Lot rakiety jest tak szybki, że nawet jej nie zauważam. Habitat po prostu eksploduje, rozlatując się na kawałki; to destrukcyjny wybuch w wysokiej rozdzielczości, który rozrzuca szczątki we wszystkie strony.

Duży element — przypuszczalnie kłapa śluzy - wylatuje z pustki, wirując. Przez ułamek sekundy sprawia wrażenie, jakby leciał wprost we mnie. Uchylam się gwałtownie w bok. Po drugiej stronie stołu Tran schyla się i klnie.

- Jasna cholera!

Odlamek uderza w kadłub samolotu STS i znika z pola widzenia.

- Uderzenie nie było fatalne w skutkach - zapewnia nas Kanoa. - Pojazd jest nieuszkodzony; przebywa nadal w przestrzeni i przekazuje informacje.
- Musiał zostać uszkodzony - mówię.
- Nie ma jeszcze raportu na ten temat.

Pamiętam, jak wszedłem w atmosferę na pokładzie innego samolotu STS. Osłona termiczna kadłuba powstrzymywała otaczający nas milczący żar śmierci.

- Jeśli osłona termiczna została naruszona, to nie będą w stanie wylądować. Czy STS ma inny samolot?

To nie Kanoa odpowiada na moje pytanie. Ku mojemu zaskoczeniu odzywa się Bryson Kominski, nasz starszy analityk:

- Mają dodatkowy samolot, w tej chwili na Ziemi, w San Antonio.

Nie spotkałem dotąd Brysona. Nie wiem, gdzie stacjonuje. Domyślam się, że w San Antonio, ale z tego, co wiem, może być w Waszyngtonie. Niski, ponury głos z akcentem ze Środkowego Zachodu sprawia, że wyobrażam go sobie jako białego w starszym wieku.

- Założę się, że trwa teraz ostra licytacja - odzywa się Fadul - podczas której każdy rekin głośno domaga się transportu z orbity do domu.
- Mają kapsuły ewakuacyjne - wyjaśniam.
- Każda ma jedynie dwa miejsca - przypomina mi Bryson. - A większość habitatów zajmuje co najmniej troje mieszkańców. Oczywiście ta niekorzystna matematyka nie spowalnia exodusu. Dwie kapsuły już się odłączyły.

Dalekie pogranicze jest w odwrocie.

Włącza się Escamilla; sprawdzam mapę oddziału, która lokalizuje go, wraz z Roman, w sali gimnastycznej.

- Kiedy to się stanie naszą misją?
- Chcesz jej? - pyta go Fadul.
- Nie ma misji bez celu - sprzeciwia się Kanoa. - Szukamy go. Tak jak wszystkie wywiady całego świata. Przypuszczam, że także bardzo wielu handlarzy bronią przygląda się sytuacji.
- To nie może trwać - mówi Bryson. - Te wyrzutnie raketowe mogą oddać jeden strzał. Kiedy się to stanie, wiemy, gdzie są. A Rada Shahin może mieć co najwyżej kilka wyrzutni ukrytych w różnych rejonach globu.
- Ilu trzeba rakiet, żeby zakończyć erę kosmiczną? - chce wiedzieć Roman.
- Nie ma danych na ten temat - przyznaje Bryson. - Być może już jest tam dosyć szczątków, żeby zainicjować powolną reakcję łańcuchową kolizji.
- Pieprzyć to - mówi Fadul. Wstaje od stołu, biorąc swoją tackę. - To i tak zawsze była zabawa rekinów.
- Nie chodzi tylko o rekiny - wyjaśniam jej. - Chcesz funkcjonować w świecie bez łączności satelitarnej?
- Mamy EXALT.

EXALT to rozproszona sieć napowietrznych węzłów komunikacyjnych, zasilanych przez energię słoneczną i wiatr. Gdy Czerwień wsparła jej rozwój, powstała szybko i jest bardziej odporna od tego, czym dysponowaliśmy przed Dniem Komy. Ale EXALT ma swoje ograniczenia.

- A co z GPS-em? - pytam Fadul. - Chcesz żyć bez niego?

Patrzy na mnie ponuro, a siedzący po drugiej stronie stołu Tran wydaje się przerażony.

- To by było pierdolone średniowiecze, jak we wszystkich tych dystopijnych powieściach, które czytałem.
- Skończcie pogawędki - mówi Kanoa. - Wszyscy mają przygotować sprzęt. Potem wyluzujcie, żebyście byli wypoczęci i gotowi, kiedy przyjdą rozkazy.

Wylogowuje się z gen-komu, pozostawiając nas ponownie w naszych lokalnych przestrzeniach. Mapa oddziału znika.

- Cholera! - rzuca Tran, waląc pięścią w stół. - To się dzieje naprawdę, co? Mamy w perspektywie spierdoloną po wsze czasy łączność. Kto by chciał żyć w takim świecie? Shelley, musimy załatwić tych popaprańców.
- Jedz - radzę mu, wstając, żeby wyrzucić swoją tackę. -I zadbaj o to, żeby twój sprzęt był gotowy.

Nie potrafi tego odpuścić.

- O co w tym wszystkim chodzi? O forszę? Dziewice?
- O sielankową utopię - prycha Fadul - w której kobiety obrabiają pola, a faceci palą zioło.

Zmierzam do drzwi, ale za plecami wciąż słyszę Trana:

- Człowiek musiałby być upalony, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach w jakiejś błotnistej dziurze na zadupiu bez linków satelitarnych i GPS-a.

A potem drażniącą się z nim Fadul:

- To lepiej zrób zapasy na czas apokalipsy, kmiecie, i znajdź sobie jakąś pasywną babę, która nie poderżnie ci gardła, kiedy będziesz ją bijał.
- Jezu, Fadul, musiałaś mieć pojebane życie rodzinne.
- Nawet sobie nie wyobrażasz.

Nastał zmierzch, a ja sobie biegam, nadal trzy kilometry od koszar, naruszając regulamin, bo jestem sam i nieuzbrojony.

To znaczy, jestem sam, jeśli pominąć anioła, który czuwa nade mną. Prawda jest taka, że nigdy nie jestem sam.

Moja prawa stopa zacina się lekko za każdym razem, gdy uderza o asfalt, i w jej działaniu występuje zwłoka. Mimo to zgina się nadal i biegnę szybko; być może stawy dotrą się ponownie.

Kiedy wstąpiłem do GRK, sądziłem, że protezy mnie przetrwają. Ta prognoza się nie sprawdza, ale zapewne wytrzymają jeszcze misję czy dwie. Jeśli tak się stanie, będę musiał się ujawnić i zatelefonować do Joby'ego Nakagawy.

Światło dzienne znika szybko, ale jezdnia, która rozdziela równinę suchej trawy - szeleszczący ocean oblewający zagajniki niskich drzew - jest prosta i łatwo się jej trzymać. Przejeżdża nią niewiele pojazdów - głównie ciężarówki zaopatrzeniowe i mikrobus dla personelu. Brak ruchu kołowego sprawia, że droga wygląda na opuszczoną; na asfalcie zebrały się kurz, wyschnięta trawa i liście. Na północy skowyczą i ujadają kojoty. Podchodziły kilkakrotnie, żeby mi się przyjrzeć swoimi zimnymi, brązowymi oczami. Powinienem przypuszczać, że nosić pistolet, na wszelki wypadek.

Na mojej nakładce zapala się link połączenia przychodzącego. Mechaniczny głos nakładki, ustawiony tak, żeby mówić rzeczowym tonem wykształconego mężczyzny o amerykańskim akcencie, podaje mi tożsamość telefonującej: „Karin Larsen”.

Delphi.

Zatrzymuję się tak gwałtownie, że niemal się potykam z powodu zacinającej się stopy.

Stoję tam przez niemal minutę, sam na środku jebanego pustkowia Teksasu, a pot z twarzy kapie na szeleszczącą wokół mnie trawę. Kiedy się

gapię na ikonę oznaczoną imieniem Delphi, trudno mi wciągnąć do płuc dość tlenu.

Nie ma mowy, żeby była w stanie dodzwonić się do mnie. Zawartość mojej nakładki została skasowana, a samo urządzenie zreformatowane tej samej nocy, kiedy Kanoa wyciągnął mnie z Pacyfiku. Dodzwonić się do mnie mogą tylko ludzie z bardzo krótkiej listy zaaprobowanych kontaktów, a Delphi nie figuruje w tym spisie.

Stado polujących kojotów hałaśliwie wyje, link połączenia znika, a mnie ogarnia złość.

Czy Czerwień pogrywa sobie ze mną?

Obsługując wzrokiem menu, otwieram rejestr połączeń. Na samym szczycie listy znajduje się numer Delphi. Zapamiętuję cyfry. Potem oczyszczam nakładkę i zaczynam iść.

Chcę wiedzieć, czy to naprawdę ona dzwoniła. Chcę wiedzieć, jakim cudem udało się jej dostać na moją listę kontaktów. Chcę do niej zatelefonować, ale nie robię tego. Zamiast tego zastanawiam się, co się w istocie zmieniło, co się mogło komuś wymyknąć, co by wyjaśniało, jak mnie znalazła.

Świtają mi dwie możliwości. Pierwsza dotyczy tych kilku minut, jakie spędziłem z Jaynie w stacji Tuvalu, ale nie ma mowy, żeby Vasquez udało się zhakować mój numer.

I druga, że poprosiłem Cory'ego, żeby przeprowadził dla mnie pewne prywatne śledztwo, żeby się przyjrzał sytuacji Delphi i Jaynie. Oczekiwałem, że będzie działał subtelnie - jego praca polega na tym, żeby anonimowo buszować w Chmurze - ale jeśli nawiązał kontakt? Najłatwiej zhakować na gruncie towarzyskim. Cory wyjechał wczoraj z CLIIS mikrobusem do przewozu personelu, oznajmiwszy, że potrzebuje kilku dni urlopu. Mógł się umówić na spotkanie z Delphi; mogła go była przekupić.

Muszę zgłosić tę próbę kontaktu. To wyłom w zabezpieczeniach.

Powiadomienie o tym jest moim obowiązkiem, ale nie priorytetem.

Idę, myślę o swoich sprawach i czekam, żeby ciemność otoczyła mnie, jakby to mogło ukryć, kim jestem i co zamierzam. Czekam, aż kojoty umilkną. Gwiazdy pojawiają się coraz liczniej. Pomiędzy nimi przemykają satelity. Trudno sobie wyobrazić, żeby kilka rozbitych obiektów kosmicznych w całym tym bezmiarze mogło mieć wpływ przewidziany przez syndrom Kesslera.

W narastającej ciemności teren wygląda tak samo w każdym kierunku. Żadne światła nie zdradzają zabudowań CLIIS, gdyż funkcjonujemy zgodnie z protokołem całkowitego zaciemnienia. Szyby w sali gimnastycznej i koszarach to jednostronnie przejrzyste szkło, a Centrum Cybernetyczne w ogóle nie ma okien. Polegam na GPS-ie, który mówi mi, gdzie jestem.

Półtora kilometra przed ośrodkiem zatrzymuję się ponownie. I wysyłam prośbę o połączenie.

Odbiera natychmiast, dodając przekaz wideo.

Oczy ma podkrążone i otoczone zmarszczkami, których wcześniej nie miała, ale i tak wygląda pięknie: jasnoniebieskooka, o lśniących blond włosach zebranych z tyłu głowy. A ja nigdy w życiu nie czułem się tak cholernie i kompletnie zagubiony.

Nie siedzę przed kamerką ani nie mam takiej apki, więc Delphi mnie nie widzi.

- Odezwij się - ponagla mnie.

- Przepraszam.

Za bardzo wiele rzeczy.

Między jej brwiami pojawiają się drobne zmarszczki, gdy odwraca wzrok od kamery. Spogląda ponuro obok mnie.

- Mów dalej. Potrzebuję więcej materiału do identyfikacji głosowej.

Jest w trybie opiekunki, opanowana i skuteczna. Próbuję się zachowywać tak samo.

- Ile zapłaciłaś Cory'emu Helmsowi, żeby podał ci mój numer?
- To ty. - Spogląda ponownie w kamerę. - Masz coś wspólnego z tym, co zaszło wczoraj na autostradzie?

To jasne, że chciałaby to wiedzieć.

- Tak ci powiedział Cory?
- Jego e-mail stwierdzał, że chciałeś, żeby coś takiego się wydarzyło. I stało się.
- Napisał do ciebie?
- Tak, i nie chciał pieniędzy. Jest zły i przerażony. Wysłał e-maila wiele godzin temu, ale wiadomość trafiła na moje konto ogólne, które jest przeznaczone na niezbyt istotne sprawy. Nie zaglądam tam, aż mam czas, żeby spokojnie usiąść, a w związku z tym wczorajszym incydentem... - Urywa. - Shelley, on wie o tobie różne rzeczy.

Cory wie różne rzeczy o wszystkich.

- Wiesz, gdzie jest teraz?
- Nie. Mam tylko tego e-maila.

A minęły godziny, odkąd go wysłał.

- Muszę kończyć.
- Shelley! - Jej ostry ton sprawia, że zamieram. - Muszę wiedzieć. Jesteś więziony?

Chciałbym mieć taką wymówkę, ale kręcę głową w ciemności, w której widzieć mnie może jedynie anioł.

- Chcę, żebyś wiedziała... że nie miałem pojęcia, co się miało wczoraj

zdarzyć. Mars jest błędem, ale...

Moja nakładka się wyłącza. Link z Delphi gaśnie. Wszystko znika: ikony, tagi, połączenia. Mój wyświetlacz jest wymieciony do czysta, co nie pozwala mi zadzwonić dokądkolwiek. Stoję przez dziewięć sekund, nie widząc niczego prócz światła gwiazd. Modlę się w duchu, żeby mój system znowu zaczął działać, a wtedy w lewym dolnym rogu pola widzenia pojawia się małe pomarańczowe światełko. Widziałem je już wcześniej. To licznik odmierzający postęp w reformatowaniu mojej nakładki. Obecny stan: dziesięć procent.

To nie może być nic dobrego.

Miałem dwukrotnie reformatowaną nakładkę i trwa to godzinami, muszę jednak pochwalić Kanoę za zdecydowane działanie. Pranie mózgu to ostateczność, jeśli chodzi o przerwanie elektronicznej schadzki.

- I tak się pierdol, Kanoa - mruczę.

Nie bez powodu zapamiętałem numer Delphi.

Niemniej nie jestem pewny, czy zatelefonuję do niej ponownie.

I niech mnie chuj strzeli za to, że nie dostrzegłem w Corym zagrożenia. Wrobił mnie, a teraz nie mogę nawet złożyć raportu, wskazując go jako potencjalne zagrożenie. Przynajmniej póki nie dotrę do bazy.

Licznik przeskakuje powyżej dwudziestu procent. To zdecydowanie za szybko. Co się dzieje, do diabła?

Robi się tak ciemno, że nie widzę drogi. Orientacyjnie określam, gdzie się znajduję, ruszam ponownie i idę tak szybko, jak się tylko da. Licznik zaawansowania reformatowania pokazuje trzydzieści procent. Wraz z tym postępem rośnie mój niepokój. Nadal nie widzę, dokąd zmierzam, ale i tak zaczynam biec truchtem. Chcę wrócić. Chcę znaleźć Kanoę. Chcę rąbnąć nim o ścianę. Pozwolić mu uziemić mnie za to. Mam to w dupie.

Czterdzieści procent.

Odpierdol się od mojej głowy.

Zbaczam z drogi. W zasadzie nie czuję tekstury podłoża tytanowymi stopami, zauważam jednak różnicę, kiedy moja prawa noga trafia na utwardzone pobocze jezdni. Wracam na asfalt.

Pięćdziesiąt procent.

Gdzieś przed sobą słyszę dudnienie płyt stopowych uderzających o asfaltową nawierzchnię. To odgłos biegnących żołnierzy - więcej niż jednego - zmierzających szybko w moją stronę.

Nie potrafię się opanować. Zatrzymuję się gwałtownie, gdy instynkt podpowiada mi, że jestem celem. Ślepy w nocy, nieuzbrojony, pozbawiony kamizelki kuloodpornej i ubrany jedynie w spodenki gimnastyczne i T-shirt, jestem zdany na łaskę nawet pojedynczego żołnierza w rynsztunku - a słyszę ich co najmniej trzech.

Dlaczego? Co się dzieje? Czy to działanie dyscyplinarne?

Sześćdziesiąt procent.

Prawda, że jestem na samowolce, i oprócz prania mózgu spodziewałem się jakiejś kary. Ale nie tego. Nie przytłaczającego ataku z ciemności.

- Logan? - wołam, gdyż nie lubię się bać. - To ty? Co się, kurwa, dzieje?
- Shelley! - Jego głos dociera do mnie z bliższej odległości, niż się spodziewałem. - Raport sytuacyjny! Dlaczego zniknąłeś z pola widzenia?

Siedemdziesiąt procent.

Wyłaniają się z tupotem z ciemności i otaczają mnie cichym syczeniem przegubów martwych sióstr oraz wonią świeżego potu, oleju do czyszczenia broni i smaru.

- Nic ci nie jest?

- Co się dzieje? - pytam ponownie.
- Podejrzanie naruszenia systemu bezpieczeństwa. Nie znam szczegółów, ale Bryson załatwił sprawę. Wprowadził wszystkim hasła resetowania. Twoje nie przeszło. - Logan jest mającą przede mną sylwetką. - Zniknąłeś z mapy. Myśleliśmy, że ktoś cię dopadł.
- Nikt mnie nie dopadł. Kto jest z tobą?
- To ja, Tran - mówi postać z lewej.
- Roman - dobiega mnie głos zza pleców.

Logan odzywa się ponownie:

- Kanoa mówi, żeby natychmiast cię ukryć.

Osiemdziesiąt procent.

- Cholera, nic tutaj nie widzę. Masz latarkę?
- Taa. - Rozlega się szelest, a potem na wysokości jego pasa zaświeca się czerwona latarka LED. Wręcza mi ją. Co się stało? Dlaczego wyłączyłeś swoją nakładkę?

Oświetlając asfalt przed sobą czerwonym blaskiem, prześlizguję się obok Logana i zaczynam iść.

- Kanoa ją reformatuje.
- Co? - Dogania mnie jednym susem. Jego martwa siostra syczy cicho obok mnie, płyty stopowe uderzają o podłoże, kiedy drobi, żeby nie zostawić mnie w tyle. - Dlaczego miałby polecieć coś podobnego?
- A wyłomem w systemie bezpieczeństwa jest Cory.
- To domysł czy wiesz to na pewno?
- Wiem.

Dziewięćdziesiąt procent.

- Bryson - odzywa się Logan. - Słyszałeś to? Shelley mówi, że to Bilbo... Nie, nic mu nie jest... Jest offline, taa. Kanoa reformatuje jego nakładkę... cholera. No to przerwij to, Bryson!

Jawna panika brzmiąca w jego głosie przyprawia mnie o chłód na karku. Zatrzymuję się, patrząc na licznik. Dziewięćdziesiąt trzy procent, dziewięćdziesiąt cztery.

- Co przerwać? - pytam.

Dziewięćdziesiąt pięć procent.

Logan wyprzedza mnie, zanim sobie uświadamiam, że przystanęłam.

- Reformatowanie twojej nakładki. To nie Kanoa je uruchomił. Hasło przyszło z zewnątrz.

Przerabiałem to już. Zhakowano mi wcześniej głowę. Drżą mi ręce, ale udaje mi się zapanować nad głosem.

- Jest już dziewięćdziesiąt osiem procent.

- Dawaj, Bryson! Ponowny restart! Ustawienia fabryczne. Natychmiast!

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Malutki licznik znika. Wstrzymuję oddech, czekając, żeby ściągnięty program uruchomił swój zabójczy kod.

Potem jednak licznik pojawia się ponownie.

Jeden procent.

Cyfra utrzymuje się w polu mojego widzenia sekunda za sekundą, tak jak powinno być, a ja wdycham zimne powietrze, sapiąc, jakbym zakończył sprint.

- Shelley? - Głos Logana drży. - Bryson chce wiedzieć...

- Tak, resetuje się. Tym razem idzie powoli. Jak zwykle.
- Dobrze.

Kieruję światło latarki na asfalt i ruszam przed siebie. AI w mojej neuronetce funkcjonuje w oparciu o algorytm bazowy. To absolutnie nie wystarcza, żeby okiełznać mój gniew. Zawracam bez ostrzeżenia. Roman musi uskoczyć mi z drogi, żeby mnie nie przewrócić, co bez żadnego powodu złości mnie jeszcze bardziej.

- Co jest, kurwa? - wołam w kierunku mrocznych postaci Logana, Roman i Trana, jakby to była ich wina. Nie jest, wiem o tym. Czuję się jednak tak wstrząśnięty i zdradzony, że mam to w dupie. - Cory Helms powinien być lojalny!

- Chyba Bilbo zmienił zdanie - odpowiada Logan tonem obiecującym srogi odwet.

Bilbo zmienił zdanie przeze mnie.

- Wszyscy inni zostali zresetowani? - pytam.
- Wszyscy - potwierdza Logan. - Nie włamię się ponownie.
- Spróbujemy go znaleźć? - chce wiedzieć Tran. - Chodzi mi o to, że on wie wszystko.

Kieruję światło małej latarki z powrotem na asfalt, zastanawiając się, jaki program zostałby załadowany do mojej głowy, gdyby reformatowanie dobiegło końca. Zawsze uważałem Cory'ego za przyzwoitego faceta. Chyba się myliłem.

- Kapitanie Shelley? Sir?

Zatrzymuję się w połowie holu w koszarach, żeby spojrzeć na młodziaka za biurkiem dyżurnego. Kurczy się pod moim spojrzeniem, zupełnie tak

jak Cory. Świadomość, że zamieniłem się w trepa, który mrozi ludzi samym wzrokiem, nie poprawia mi nastroju.

Logan, Escamilla i Roman, w rynsztunku i z bronią, nie zaszczycają dyżurnego ani jednym spojrzeniem, kiedy zmierzają z klekotem ku schodom. Szeregowy jest skupiony na mnie, gdy wyciąga w moją stronę lekko drżącą dłoń z kawałkiem papieru.

- Od majora Kanoi, sir. Powiedział, żebym to panu dał.

Ja pierdolę. Nienawidzę być odcięty od gen-komu.

Biorę notatkę i idę za moją eskortą na górę, ale przeżywam dziwny moment oddzielenia, gdy przelotnie spoglądam na siebie oczami młodziaka i widzę parującego na robocich nogach, na wpół ludzkiego potwora, który przeraża niewinnych ludzi do szpiku kości.

Niech mnie chuj.

Przed drzwiami kwatery rozkładam kartkę. „Mój gabinet. 19.00”.

- Logan! - warczę, gdyż drzwi jego pokoju jeszcze się nie zamknęły. - Która godzina?

- Osiemnasta pięćdziesiąt.

Cholera.

Biorę dwuminutowy tusz, wkładam świeży mundur połowy i truchtam do Centrum Cybernetycznego.

- Spóźniłeś się - mówi Kanoa, kiedy wchodzę do jego gabinetu.

- Dodaj to do listy moich przewinień. Wiemy, gdzie jest Cory?

Przygląda mi się badawczo zza swojego szarego stalowego biurka.

- Dlaczego jesteś taki pewny, że Cory jest w to zamieszany?

Jego pytanie zaskakuje mnie. Nie wie, że rozmawiałem z Delphi?

Odpowiadam ostrożnie, nieskory dzielić się ochotniczo informacjami.

- Zeszłej nocy Cory opuścił bazę. - Zajmuję ten sam fotel co zawsze. - Udało ci się z nim skontaktować?
- Nie odpowiedział jeszcze, ale wiem, gdzie był. Wiemy, gdzie jest. Nikt go nie porwał.
- Wiesz, z kim rozmawiał?
- Nie. Ale to nie ma sensu. Jego profil psychologiczny nie wskazuje na to, żeby mógł z dnia na dzień zostać zdrajcą i przeprowadzić przeciwko tobie taki złośliwy atak hakerski. Nie czuł się nigdy swobodnie w twojej obecności, Shelley, ale szanuje cię, podziwia to, czego dokonałeś.
- Chodzi o tę wyprawę marsjańską. To wobec niej jest najbardziej lojalny.
- Możliwe. Ale dzisiaj rano pojechał do Juliana, odwiedził go w szpitalu i pozostał tam przez godzinę. Gdyby zamierzał obrócić dyszel i usmażyć ci mózg, czemu zawracałby sobie tym głowę?

Jednak zdradził mnie. Napisał do Delphi i umożliwił jej skontaktowanie się ze mną.

Prawda - to nadal kilka stopni poniżej spalenia mi nakładki.

- Logan powiedział, że Bryson odkrył naruszenie protokołu bezpieczeństwa.
- Otrzymał powiadomienie o zdarzeniu - o pierwszym połączeniu telefonicznym na twoją nakładkę. Jednak nie odebrałeś go. - Chce się przekonać, czy powiem cokolwiek. - Bryson sprawdził zapisy. Cory dodał numer dzwoniącego do twojej listy zaaprobowanych kontaktów. Bryson zadzwonił więc do Cory'ego, żeby go o to zapytać. Rozmowa nie doszła do skutku. Pomyślał, że lepiej dmuchać na zimne, i zainicjował u wszystkich resetowanie protokołów bezpieczeństwa. Jednak u ciebie aktualizacja się nie powiodła.

- Wymusił ją?

Wymuszona aktualizacja przerwałaoby połączenie i zapoczątkowała natychmiastowe resetowanie. Kanoa przez chwilę patrzy gdzieś w bok, po czym znowu spogląda na mnie.

- Bryson mówi, że nie.

- Zatem operacja awaryjnego resetowania czekała w kolejce.

Czekała, podczas gdy ja rozmawiałem z Delphi. A to stworzyło okienko czasowe pozwalające na zaatakowanie mojej nakładki.

Kanoa tylko mi się długo przygląda.

Wiem, co robi. Pozwala działać swojemu programowi analizy emocjonalnej. Wie, że zdarzyło się coś jeszcze.

- Teraz byłaby odpowiednia pora - stwierdza.

- Dobra. Cory pogrywał sobie ze mną. To pierwsze połączenie? Dzwoniła Delphi... Karin Larsen.

- Twoja była.

- Tak. Podał jej mój kod dostępu. Umieścił ją na liście zaaprobowanych kontaktów.

- Nie odebrałeś połączenia.

- Oddzwoniłem do niej.

Pięść Kanoi uderza w blat biurka.

- Cholera jasna, Shelley...

- Chodzi o tę wyprawę marsjańską - mówię ponownie, przerywając mu.

- Chciał ją ostrzec. Miał chyba nadzieję, że pod wpływem Delphi zmienię zdanie. - Informuję go o e-mailu. - Wysłał go na adres skrzynki, której Delphi zwykle nie sprawdza, więc upłynęło wiele godzin. Może to nie on

zapoczątkował ten atak cybernetyczny, ale w tym czasie musiał być w kontakcie z grupą, która to zrobiła.

- Dowiemy się wkrótce. Zgarnie go agent FBI. Pod zarzutem rozpowszechniania tajnych informacji.
- Chcesz, żeby rozmawiało z nim FBI?
- Lepsze to, niż pozostawić go na swobodzie. Kiedy znajdzie się w areszcie, będziemy mogli ograniczyć szkody. -Kanoa opiera się w swoim fotelu. - Pogadajmy o Larsen.
- Lepiej nie.
- Pozwoliłeś jej wierzyć, że nie żyjesz. To nie wywołuje pozytywnych uczuć. Potem pojawia się znikąd i grozisz jej...
- Nie groziłem.
- Ten atak hakerski mógł być z jej strony próbą obrony zarówno siebie samej, jak i projektu marsjańskiego.
- To bzdura. Delphi nie zrobiłaby czegoś takiego.
- Na ile jesteś tego pewny? Do jakiego stopnia jesteś przekonany, że nie uczestniczyła w tym Vasquez?

Rozumiem, co robi Kanoa. Pojmuję kryjący się za tym mechanizm psychologiczny. Sieje zwątpienie. Chce je wykorzystać do zniszczenia zaufania i lojalności, które odczuwam nadal. I nieważne, że to ogarniam. To i tak działa.

- Wystarczająco - odpowiadam, ale obaj wiemy, że to kłamstwo.
- Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

Myślę o zapamiętanym przeze mnie numerze telefonu Delphi, ale nie zamierzam się dzielić tą informacją.

- Odpuść, Kanoa.

Nie naciska. Jest zbyt zręczny w tej grze, żeby przekroczyć granicę.

- Wakacje się skończyły - oświadcza. - Dopilnuj, żeby oddział był gotowy do działania. Mam wrażenie, że niebawem będziecie znowu zajęci.

Logan czeka na mnie w korytarzu. Ma na sobie mundur połowy, ale zdjął gnaty i kamizelkę kuloodporną.

- Nadal cię nie widzę na mapie oddziału.

Zerkam na licznik.

- Dopiero czterdzieści pięć procent.

Marszczy brwi, patrząc na własny wyświetlacz.

- Wygląda, jakbyś zniknął. Albo nie żył.

- Jeszcze nie. - Wychodzimy na zewnątrz. - Kanoa uważa, że wkrótce dostaniemy wezwanie.

- Myślałem o tym, ale to niemożliwe. Julian jest wyłączony. Dunahee i Escamilla wymagają co najmniej kilku tygodni rekonwalescencji. Fadul nie przyzna, że boli ją nadal, ale ma dziurę w ramieniu. Brakuje nam ludzi.

- Mamy ciebie, Roman, Trana i mnie. A Fadul i tak będzie chciała uczestniczyć w akcji. Dopilnuj, żebyśmy byli gotowi.

Dokonujemy przeglądu ekwipunku, broni i amunicji. Trzymamy pod ręką mnóstwo sprzętu, który pozwala nam działać w różnych warunkach, i ćwiczymy dużo, zarówno na symulatorach, jak i w terenie. Bądźcie gotowi na wszystko. Tak mawia Kanoa. Wykorzystujemy inwentaryzację, żeby wypełnić na jej podstawie rozkaz uzupełnienia zapasów, który może zostać zrealizowany za parę dni albo miesięcy. Nigdy nie wiadomo.

O dwudziestej pierwszej dziesiątce jesteśmy z powrotem w koszarach, a postęp reformatowania mojej nakładki osiąga wartość dziewięćdziesięciu sześciu procent. Logan idzie na górę, a ja się zatrzymuję przy biurku dyżurnego. Na służbie jest inny szeregowy. Patrzy na mnie czujnie, ale robi mi miejsce, gdy wsuwam się za blat i siadam w Centrum Operacji Taktycznych.

Z COT mam dostęp do danych z anioła, który obserwuje również CLIIS, a także z czujników i kamer na perymetrze. Mogę rozwinąć mapę personelu. Normalnie otworzyłbym ją na nakładce, ale teraz to niemożliwe.

Mapa pojawia się na ekranie, pokazując lokalizacje wszystkich obecnych w bazie. Większość członków personelu pomocniczego znajduje się w swoich kwaterach. Kilkoro jest w świetlicy. Tran i Escamilla są w sali medialnej na piętrze. Fadul przebywa sama na strzelnicy. Chcę się z nią zobaczyć.

Wychodzę ponownie na zewnątrz, przecinam plac apelowy, idę do sali gimnastycznej, a potem schodami w dół na strzelnicę, gdzie przystaję przed drzwiami z grubego szkła. Za nimi znajduje się sześć torów strzeleckich. Zwykle są wykorzystywane do kalibracji broni, ale Fadul ćwiczy manualne zdolności strzeleckie. Zamiast posługiwać się hełmem i osobistą AI, strzela wyposażona wyłącznie w okulary ochronne i jaskrawopomarańczowe ochraniacze na uszy. Przez drzwi słyszę stłumione wystrzały z ztkh, którego kolbę ściska między barkiem a policzkiem.

Biorę ze stelaża własne ochraniacze, nasuwam je na uszy i wchodzę, a Fadul nie przestaje strzelać w jednostajnej kadencji, trafiając raz za razem w ten sam otwór po pocisku w tarczy. Drzwi zamykają się za mną. Fadul nie może mnie słyszeć. Może wyczuwa ruch powietrza, nie wiem, ale obraca się, kierując broń przeciwko mnie; wargi ma wywinięte, gdy patrzy wzdłuż lufy.

Jeżeli jest w tym oddziale ktoś bardziej pojebany ode mnie, to tą osobą jest Fadul, ale okazuje znakomitą samokontrolę i podrywa broń do sufitu. Jedną ręką zdejmuję z uszu ochraniacze; ja postępuję podobnie ze

swoimi.

- Co, do cholery? - pyta wysokim, zdyszczanym, nieznacznie drżącym głosem. Na policzkach błyszczy jej pot.

- Przepraszam.

- Przepraszasz? Nie mam cię na mapie, Shelley. Nie wiedziałam, że tu jesteś. Niemal się posrałam ze strachu. Nie testuj tak Boga. To jest uważane za grzech.

- Kanoa sądzi, że będziemy mieli zajęcie. Jak twoje ramię? Dasz radę?

Prycha lekceważąco. Odwraca się w stronę toru strzeleckiego, kładzie ostrożnie karabin na półce, a potem patrzy ponownie na mnie.

- Nie musisz mnie o to pytać. - Krzyżuje ramiona pod biustem i dodaje: - Coś jeszcze się kryje za tymi pięknymi oczętami?

Zarówno jej postawa, jak i pytanie ostrzegają mnie, żebym nie ważył się podejść ani kroku bliżej. Jesteśmy towarzyszami i towarzyszkami broni, a w oddziale nie powinno dochodzić do zbliżeń seksualnych. Ale ja i Fadul nie ufamy obcym. Więc kilka razy zwróciliśmy się ku sobie nawzajem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy i nie w tym celu tutaj przyszedłem.

- Myślisz czasem, żeby się wycofać, Fadul?

- Jezu. - Odwraca się, kręcąc głową.

- Myślisz? - naciskam, bo dobrze wiem, co zostawiła za sobą.

Zwraca na mnie ciemne oczy, zmrużone i gniewne.

- Zmarli nie wracają.

- Jasne, tak sobie mówimy. Gdyby jednak któreś z twoich dzieci spotkało cię na ulicy, podbiegło do ciebie i powiedziało: „Proszę, wróć do domu, mamusiu...”?

Przewraca oczami i przerywa mi:

- Odchodzisz od nas, Shelley?

Nie umiem na to odpowiedzieć, ale ona tak.

- Powiedziałabym mu, że nie jestem prawdziwa, że to sen. Moim dzieciom nie jest potrzebna jakaś pojebana, okablowana matka zombi, podtykająca im co rano śniadanie. Potrzebują anioła stróża, i tym właśnie jestem, nawet jeśli nie mają o tym pojęcia. Oto, kim ty jesteś.

Licznik zawiesza się na dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Obserwuję go, aż znika, zastąpiony przez szereg ikon, które pojawiają się w polu widzenia, a potem bledną i znikają.

- Jest pan znowu z nami, kapitanie? - pyta Fadul.
- Tak, wróciłem.

Drugą noc z rzędu zostaję obudzony z pozbawionego marzeń snu. Sprawdzam godzinę na nakładce: trzecia trzydzieści cztery. W gen-komie odzywa się Bryson:

- Alarm! Alarm! Nowe rozkazy dla Oddziału Uderzeniowego 7-1. Cały personel ma się zgłosić niezwłocznie - nieuzbrojony - na przegląd po zachodniej stronie placu apelowego. Nie wkładać ryszunka. Powtarzam: nie wkładać ryszunka. Cała broń powinna zostać w szafkach.

Link gen-komu znika, a na mojej nakładce wyskakuje czerwony iks, sygnalizując brak wszelkich połączeń.

Staczam się z łóżka, przekonany, że Bryson został uprowadzony. Wkładam spodnie, usiłując jednocześnie nawiązać kontakt z siecią bazy. Nie pojawia się nawet menu. Próbuje się zalogować do gen-komu, licząc na połączenie od jednego żołnierza do drugiego, ale ten także nie reaguje.

Nie mam teraz żadnych wątpliwości.

Naciągam na siebie T-shirt, wyjmuję ztkh z doku ładującego, przechodzę w dwóch krokach przez pokój i otwieram z rozmachem drzwi.

- Wkładać rynsztunek! - wołam w głąb korytarza. -Gnaty i kamizelki!

Idę wzdłuż holu, otwierając drzwi, sprawdzając, czy wszyscy się obudzili i przypinają się do martwych sióstr.

- Ktoś ma dostęp do gen-komu?

- Brak, sir.

- Nie, sir.

Nie ma tylko Kanoi.

Gnam w dół schodów, wprawiając w popłoch szeregowca obsługującego COT - kolejny kot o szeroko otwartych oczach, niemający jeszcze dwudziestu lat.

- Jakie alarmy ogłoszono?

- Żadnych, sir. Wszędzie spokój.

Wpycham się za biurko, opadam na krzesło przed blatem COT i wyświetlam stan czujników na perymetrze.

Wszystkie są wyłączone.

Kurwa. Dokładnie w ten sam sposób przeszliśmy przez Las Apokalipsy, żeby uderzyć w Thelmę Sheridan.

- Stan nasłuchu - mówię, żeby uruchomić sterowanie COT głosem. - Pokaż widok z anioła.

Monitor czernieje, pozostaje tylko napis: „BIEŻĄCY PRZEKAZ Z DRONA BEZPIECZEŃSTWA CLIIS: NOKTOWIZJA. KANAŁ WYŁĄCZONY”.

- Jesteśmy zdani na siebie! - wołam w górę schodów.

Na piętrze panuje hałas: szuranie stóp, walenie plastikowymi drzwiczkami szafek, chrząknięcia i ciche przekleństwa. Wstaję z krzesła, okrążam biurko i biegnę sprintem do drzwi. Otwieram je ostrożnie. Na zewnątrz noc jest cicha, ale w oddali słyszę warkot niewielkiej eskadry ciężkich śmigłowców, przypuszczalnie black hawków.

Zamykam drzwi i się odwracam.

- Szeregowy, macie zebrać wszystkich kwaterujących na parterze. Przed upływem dwóch minut sprowadźcie ich do piwnicy. Zrozumiano?

Oczy ma wielkie, usta tworzą małe kółko, ale odpowiada regulaminowym: „Tak jest, sir!” i biegnie w stronę sypialni, krzyżąc i waląc w drzwi.

Patrzę w górę schodów i widzę jednego z moich żołnierzy - jestem całkiem pewny, że to Tran - w pełnym rynsztunku, z ztkh w dłoni.

- Nadlatują co najmniej trzy black hawki - mówię mu. -Musimy wydać ciężką broń...

Otwierają się frontowe drzwi. Uskakuję z drogi i podnoszę broń, wycelowując karabin we wchodzącego Kanoę.

Jest na wpół ubrany, jak ja, w spodnie i T-shirt. Ma buty, ale niezawiązane.

- Której części słowa „nieuzbrojony” pan nie zrozumiał, kapitanie? - warczy. - Odłóż broń.

Kroczy przez lobby. Depczę mu po piętach.

- Majorze, zostaliśmy zaatakowani...

Spostrzega Trana u szczytu schodów.

- Co ty, kurwa, robisz w rynsztunku?

- Gen-kom padł - upieram się. - Bryson jest niewiarygodny.
- Gen-kom został wyłączony z powodu mającej się odbyć inspekcji.

Wbiega truchtem na schody. Ja za nim. Zastajemy oddział w korytarzu, gotowy do walki.

- Wyłazić z gnatów! - ryczy Kanoa.
- Majorze, nie może pan traktować informacji od Brysona jako obowiązującego rozkazu.

Odwraca się do mnie, a odgłos nadlatujących black hawków staje się słyszalny przez izolowane ściany. Kanoa nie jest ani trochę wyższy ode mnie, ale i tak jest większy, a poza tym jest wściekły.

- Nie mamy wyboru, kapitanie. Pan Helms przekazał pełny raport na temat naszego istnienia i działalności. Właśnie rozmawiałem telefonicznie z pułkownikiem dowodzącym nadlatującymi siłami. To wojsko amerykańskie. Prawdziwe. Jeśli doprowadzimy do starcia, będziemy walczyli ze swoimi. Będziemy walczyli przeciwko przytłaczającym siłom w bitwie, której nie możemy wygrać.

Odwraca się ponownie ku żołnierzom oddziału 7-1, gdy stłumiony grzmot black hawków wstrząsa ścianami.

- Rozejść się. Zostawcie rynsztunek i broń w pokojach. Zbiórka na dole w mundurach, bez kamizelek. Ruchy!

Korytarz pustoszeje, gdy moi żołnierze nurkują z powrotem do swoich kwater. Kanoa przechodzi przede mną, otwiera drzwi do swojego pokoju i znika w nim. W holu zostajemy tylko ja i samotny żołnierz w rynsztunku.

- Ruszaj, Fadul. Słyszałaś majora.

Zdejmuje hełm i spogląda na mnie. Nie całkiem spanikowana. Nazwijcie to krańcową podejrzliwością.

- Co jest, kurwa? - pyta. - Czy Czerwień odcięła się od nas?

- Nie wiem, może. - Jasne jak cholera, że zostaliśmy zdradzeni: przez Cory'ego, Brysona, Delphi lub Czerwień, kto to wie? - Wyłaź z rynsztunku. Przygotuj się.

Wracam do swojego pokoju i wstawiam ztkh do stelaża. Wkładam kurtkę mundurową i czapkę. Nie wzuwam butów, póki Kanoa nie wsuwa głowy przez drzwi.

- Obuwie! - woła.

Po minucie jesteśmy już wszyscy na dole. COT jest nie-obsadzone. Kanoa zebrał personel regularnego wojska oraz żołnierzy oddziału 7-1. Nikt nie zostanie w budynku.

- Zameldujemy się jako oddział - informuje nas Kanoa. - W porządnym szyku marszowym. - Patrzy na mnie. - Zastosujemy się do wszelkich rozkazów wydanych przez przełożonych. — Otwiera drzwi i prowadzi nas na spotkanie helikopterów, które nadlatują z rykiem silników.

Mają włączone reflektory, trzy oślepiające białe promienie skierowane na plac apelowy. Spodziewam się częściowo, że zostaną skoszony ogniem maszynowym od razu na chodniku, ale nic takiego się nie dzieje. Maszerujemy ku maszтови flagowemu przed Centrum Cybernetycznym, gdzie przystajemy, zwróceni twarzami ku placowi i przybywającym śmigłowcom, przy czym 7-1 tworzy pierwszy szereg, a personel pomocniczy jest za nami.

Zapieramy się przeciwko porywom wichury wywołanej przez black hawki, które osiadają na betonie. Wypadają z nich żołnierze. Żaden nie nosi martwej siostry, ale mają hełmy i przyłbice i są uzbrojeni w ztkh. Zwróceni w naszą stronę rozchodzą się, tworząc łuk. Jest ich dwadzieścioro czworo, z bronią wycelowaną w naszą formację.

Nie da się słyszeć rozkazów z powodu ryku silników, więc gen-kom zostaje ponownie włączony - jednokierunkowy link, który pozwala mężczyźnie o opryskliwym głosie zwrócić się bezpośrednio do nas:

- Mieliście rozkaz stawić się bez broni.

Dokonują oczywiście standardowej detekcji zagrożeń i skanują nas pod kątem ukrytej broni.

Kanoa jest po mojej lewej. Odwraca się, żeby spojrzeć na mnie, ale to nie ja jestem uzbrojony. Fadul stoi po mojej prawej ręce, patrząc na zgromadzonych naprzeciwko nas żołnierzy. Oślepiające, białe światła black hawków odbijają się w jej oczach i lśnią na pokrytych potem policzkach. Jej wargi drżą.

Podnoszę powoli ręce, wnętrzami dłoni od siebie, w geście poddania; żadnego oporu. Potem pochylam się i przysuwam usta do jej ucha, żeby mnie usłyszała.

- Oddaj to.

Odwraca się i patrzy na mnie, oczy ma szeroko otwarte; jedyna żołnierka w 7-1 bardziej pojebana ode mnie.

- Dlaczego to się dzieje? - przekrzykuje hałas. - Dlaczego się na to godzimy?

- Oddaj broń, bo zginiemy.

- Może tak byłoby lepiej. - Zaczyna sięgać pod kurtkę munduru.

- Nie! - Jakbym czuł nacisk dwudziestu czterech palców napinających się na językach spustowych broni. - Pamiętaj, gdzie jesteś. To nie Sahel. - Wiem, przez co przeszła. Czuję pod palcami jej ukryte blizny. Ma także rany emocjonalne, których nie wygoi nigdy żadna neuronetka. Jednak dzisiejszej nocy nie stoimy naprzeciwko niewyszkolonego tłumu bojowników napędzanych speedem i nienawiścią. -Nie masz powodu zabijać żadnego z tych żołnierzy.

- Jesteśmy skończeni, Shelley.

- Tylko jeśli zrobisz coś głupiego.

To ściąga na mnie jej gniewne spojrzenie.

Potem jednak zwraca wzrok ponownie na szereg wymierzonych w nas karabinów i podnosi ręce.

Czuję, że mogę znowu oddychać.

- Twarzami na beton - mówi głos w gen-komie.

Stosujemy się do polecenia, a potem gen-kom wyłącza się ponownie.

Leżąc na brzuchu, z policzkiem przyciśniętym do betonu, nie mam dobrej perspektywy, żeby obserwować, co się wokół mnie dzieje. O metr od siebie widzę żołnierza w randze specjalisty, z ztkh wycelowanym w Fadul. Przypuszczam, że inny równie uważnie pilnuje mnie.

Widzę innych żołnierzy, którzy korzystają z kamer lufowych swoich karabinów, żeby zajrzeć do koszar, zanim wejdą tam ostrożnie. Wkurza mnie świadomość, że moja kwatera zostanie przeszukana, ubrania wyciągnięte na zewnątrz, sprzęt, broń i rynsztunek zbadane. Czuję też gorzką satysfakcję, bo to jest wszystko, co znajdują. W koszarowcu nie mam nic osobistego. Wszystko, co mnie definiuje, jest w Chmurze - zdjęcia, filmy, muzyka, książki, wiadomości - zmagazynowane w zabezpieczonych hasłami plikach, do których nie mogą się dostać.

Po kilku minutach silniki black hawków milkną. Mój domysł? Trwająca inspekcja nie ujawniła żadnych bezpośrednich zagrożeń, zatem możliwość szybkiego wycofania się nie jest już priorytetem.

We względnej ciszy, jaka następuje, padają pod naszym adresem rozkazy:

- Nie ruszać się, póki nie zostaniecie wywołani po nazwisku. Wczytany wstanie powoli, zdejmie kurtkę mundurową i rzuci ją na ziemię. Położy ręce na głowie i zaczeka na dalsze polecenia.

Mnie wywołują pierwszego.

- James Shelley.

Robię, co mi kazano. Wstaję. Spoglądam w lewo na Kanoę, ale już go tam nie ma. Zdejmuję kurtkę, ale kiedy zaczynam zakładać ręce za głowę, dwóch żandarmów podchodzi z nowym poleceniem:

- Ręce za plecy.

Szybko i zręcznie skuwają mi ramiona na wysokości łokci i nadgarstków wyściełanymi kajdankami. Potem skuwają mi też nogi.

- W tył zwrot.

Odwracam się i zauważam, że nie ma już personelu pomocniczego. Zamiast żołnierzy widzę Kanoę z rękami za plecami. Może jest skuty, nie wiem, ale nie ma kajdanków na nogach. Stoi obok pułkownika wojska Stanów Zjednoczonych. Automatyczny program rozpoznawania twarzy identyfikuje go jako Jasona L. Abajiana.

Podobnie jak jego żołnierze, pułkownik Abajian nosi mundur połowy o pustynnym kamuflażu i kamizelkę kuloodporną, ale hełm ma dawnego typu - bez przyłbicy i elektroniki. Nosi jednak wizor, który jest teraz przezroczysty. Spojrzenie ma skupione na mnie, a wyraz twarzy odzwierciedla mieszankę rozdrażnienia i zachłanności.

Jeśli przeprowadza standardowe rozpoznanie twarzy, nie znajdzie mojego nazwiska ani nikogo innego z 7-1. Wszyscy zostaliśmy usunięci z ogólnodostępnych baz danych. Jednak niestandardowe porównanie moich rysów ze znanymi zdjęciami Jamesa Shelleya wyjawia mi, kim jestem. Trwa to kilka sekund, ale udaje mi się.

— Mój Boże, to prawda. - Zwraca na Kanoę ostre spojrzenie. - W co ja właśnie wdepnąłem?

- Nie wdepnąłeś - zaprzecza Kanoa. - Wpadłeś. Po pas.

Pułkownik unosi krzaczastą brew ponad krawędź wizora.

- Nie, to coś gorszego. Czymkolwiek, kurwa, jest ta operacja, którą tutaj prowadzisz, to pływanie w szambie. To coś wykracza poza zakres tajnych misji. To inny wymiar, czarnoksiężstwo. Ta baza powinna być zamknięta, a

ty powinieneś nie żyć, Will. Byłem na twoim pogrzebie. Jednak jesteś tutaj i twierdzisz, że dowodzisz Oddziałem Uderzeniowym GRK 7-1, który nie istnieje. Nikomu nie podlegacie. Nikt się nie przyznał do tej operacji. Nie ma hierarchii służbowej. A ci, którzy twierdzą, że rozumieją takie rzeczy, mówią mi, że nie można wytłumaczyć, skąd się bierze wasz budżet. - Zadziiera brodę. - A może forszę także ściągacie z innego wymiaru?

- Nie siedzę w finansach - odpowiada Kanoa. - Działam w oparciu o budżet, jaki mi dają. - Ręce trzyma cały czas za plecami, więc przypuszczalnie są unieruchomione, ale to go nie onieśmiela. Ze sposobu zwracania się do pułkownika wynika, że znają się od lat. - Do diabła, Jason, moi ludzie nie musieli iść wam na rękę w tym absurdzie. Postąpiliśmy tak jedynie z zawodowej uprzejmości i przez wzgląd na życie twoich żołnierzy. Z całym szacunkiem proszę, żeby okazano nam taką samą kurtuazję. Zdejmij te kajdanki i pogadajmy.

- Pogadamy - mówi Abajian. Daje znak żołnierzowi żandarmerii. - Kapitanie, zaprowadźcie jeńców do środka.

Zabierają nas do Centrum Cybernetycznego, gdzie zostajemy przydzieleni do różnych pokoi. Większość pomieszczeń biurowych nie była nigdy wykorzystywana ani nawet umeblowana, więc nie brakuje tam małych, bezokiennych cel. Przynoszą mi krzesło i każą siadać, ale nie zdejmują kajdanków z rąk ani nóg. W pokoju zostają ze mną dwaj żandarmi, flankujący drzwi. Są milczący i anonimowi za przyciemnionymi wizorami, ale nie mają gnatów - nie widziałem, żeby którykolwiek z żołnierzy pułkownika Abajiana nosił martwą siostrę. I przypuszczalnie w ramach braterstwa broni, geście zawodowej uprzejmości albo jakiejś podobnej bzdury zostawili ztkh za drzwiami i są uzbrojeni jedynie w pistolety służbowe.

Sprawdzam gen-kom, ale jest wyłączony, a na nakładce nadal widzę czerwony iks; brak dostępu do menu.

Zabijam czas, przeglądając w mojej encyklopedii profil pułkownika

Abajiana, i stwierdzam, że on i major Kanoa mają podobną przeszłość w wywiadzie wojskowym.

Po zaledwie kilku minutach odzywa się jeden z żandarmów:

- Kapitanie Shelley, otrzymaliśmy pozwolenie na zdjęcie panu więzów. Zechce pan wstać.

Wstaję. Nie ma sensu grać dupka, zwłaszcza skoro wiem, że Kanoa próbuje dobić targu. Po zdjęciu kajdanków z rąk i nóg proszą mnie, żebym usiadł ponownie. To także robię. Mija dwadzieścia jeden minut.

- Proszę z nami, sir.

Odprawiają mnie do sali konferencyjnej, z której korzystamy podczas odpraw. Jej umeblowanie to dziesięć foteli i prostokątny stół. Abajian siedzi u jego szczytu. Zdjął hełm, ale nadal ma wizor. Kanoa siedzi po jego prawej ręce; Cory Helms po lewej.

Ze skulenia jego barków wy czytuję strach, a poczucie winy z niepewnych spojrzeń, jakie rzuca w moim kierunku. Cory powinien być w naszej drużynie, ale wyłamał się z kręgu. Wydał nas. Nie jest to coś, co mogę łatwo wybaczyć.

Za mną wprowadzają Logana. Zamiera na widok Cory'ego.

- Cholera - szepcze.

- Siadać - mówi Kanoa.

Zajmuję miejsce na drugim końcu stołu. Logan siada po lewej. Cory wpatruje się w splecione palce swoich dłoni zaciśniętych tak mocno, że pobielają mu kłyckie.

Żandarmi zamykają drzwi, zostając na zewnątrz w korytarzu. Jest nas tylko pięciu, ale Abajian nie sprawia wcale wrażenia, jakby się przejmował naszą przewagą liczebną. Opiera się w fotelu i krzyżuje ramiona na piersi.

- Panowie, wczoraj po południu pan Helms wywołał pewien niepokój

swoim raportem - wyczerpującym, powinienem dodać - na temat samozwańczej bojówki jawnie zajmującej ośrodek CLIIS, który według dokumentów powinien być czasowo zamknięty. - Jego spojrzenie skupia się na mnie. - Czy to jest zdradziecka organizacja, Shelley?

- Na razie nie, sir.

Kanoa rzuca mi ponure spojrzenie, ale Abajian kiwa głową.

- Punkty za szczerość. Zapoznałem się z misjami, które przeprowadziliście do tej pory, i przekonałem się, że nie noszą znamion zdrady bezpośredniej. Pozostaje faktem, że nie jesteście oddziałem wojska Stanów Zjednoczonych i działacie poza jego hierarchią służbową.

- Oficjalną hierarchią - wtrąca Kanoa.

- To jedyna, jaką znam.

Wymieniam spojrzenia z Kanoą. Chcę się z nim naradzić przez gen-kom, ale pomimo braku więzów jesteśmy nadal jeńcami i prywatna rozmowa nie wchodzi w grę. Mimo to Kanoa wyczuwa moje pytanie i odpowiada na nie głośno:

- Pułkownik Abajian został w pełni poinformowany o naszych operacjach.

Nie mogę się opanować. Spoglądam na Cory'ego, ale Kanoa go ignoruje.

- Uważaj, że to odprawa. Mów swobodnie.

To wtedy uznaję, że moim zadaniem jest zwerbować Abajiana i wciągnąć go w naszą sieć, gdyż tylko dzięki jego pomocy zdołamy odbudować fasadę legalności, która pozwoliła nam funkcjonować tak długo.

Zwróciwszy z powrotem uwagę na pułkownika, mówię tak otwarcie, jak potrafię:

- Nie działamy w ramach hierarchii, sir. Rozkazy wydaje nam Czerwień.

Cory zsuwa gwałtownie dłonie ze stołu. Kanoa ze zrezygnowaną miną opiera się w swoim fotelu. Logan wydaje cichy syk, a ja kontynuuję:

- Słyszał pan o Czerwieni, sir. Być może jest pan jednym z tych, którzy wolą udawać, że jej nie ma, ale zna pan to pojęcie. - Spoglądam na Cory'ego. - I jestem pewny, że Helms poinformował pana, że naszym zdaniem nie jesteśmy jedynym operującym oddziałem GRK. Prawdopodobnie istnieją inne grupy w innych rejonach świata.

- Nie macie jednak bezpośredniego potwierdzenia ich istnienia?

- Nie, sir.

- A jeśli owe oddziały istnieją naprawdę, niepokoi się pan zagrożeniem, jakie mogą stanowić?

Zastanawiam się nad tym pytaniem. Instykt podpowiada mi cyniczną odpowiedź: „Tak jest, sir!”, ale prawda jest inna.

- Czerwień ze swej natury ogranicza zagrożenie, jakie reprezentuje sobą dowolna GRK. Widział pan nasze uzbrojenie. Nie ma w nim nic niezwykłego i jest nas jedynie garstka. - Urywam, zastanawiając się, czy Julian także został aresztowany, ale nie chcę zdradzać jego istnienia, więc nie pytam. - Ma pan na świecie zbyt dużo powodów do zmartwień, pułkowniku, żeby przejmować się nami.

- GRK - mruczy Abajian. - Grupa Reagowania Kryzysowego. - Każde słowo wymawia z sarkastyczną precyzją.

- Gdyby misje, których się podejmujemy, mogły być wykonywane oficjalnie - odzywa się Kanoa - 7-1 by nie istniał. Niekiedy jednak hierarchia służbowa działa zbyt powoli albo zbyt ostrożnie. Wtedy wkraczamy my. Dostajemy rozkazy i wyruszamy.

- Nie zadajecie żadnych pytań? - dziwi się Abajian.

- Zadajemy - odpowiadam mu. - Co nie znaczy, że otrzymujemy odpowiedzi.

- Mimo to działacie. Idealni, posłuszni żołnierze.
- Może nie idealni.
- Racja. Udało się wam wywołać wojnę w Arktyce. To był cel waszej misji?
- Nie — odpowiada Kanoa.
- Zatem skutek uboczny?
- Działamy w rzeczywistym świecie - Logan odzywa się po raz pierwszy.
- Zawsze istnieje ryzyko.

Abajian patrzy na mnie.

- Inaczej to pan ocenia?

Zaskakuje mnie. Nie sądziłem, że moje wątpliwości się ujawniają, ale nie zaprzeczam im. Odpowiadam szczerze:

- Nie jesteśmy po stronie aniołów i nie sądzę, żeby w odpowiednich okolicznościach Czerwień się zawahała przed wywołaniem wojny na niewielką skalę. Ale to było coś innego. Przez ostatnie miesiące szukaliśmy czegoś istotnego. Tak to wyglądało. Kiedy zostaliśmy jednak wysłani, żeby to sprawdzić, zdawało się, że Czerwień zmieniła drużynę. Wkroczyliśmy, dysponując niekompletnymi danymi wywiadowczymi, i mało brakowało, a nie zostalibyśmy stamtąd ewakuowani.
- Każda misja napotyka trudności - stwierdza Kanoa.
- Nie takie.
- Czerwień nie zmieniła strony - upiera się Kanoa. -Wsparła cię. Byłeś sterowany, Shelley. To Czerwień umieściła cię na scenie. To Czerwień pomogła ci unieruchomić tamten helikopter. To Czerwień dała w końcu pozwolenie Oscarowi-1 na lot na północ.
- Oscar-1 został zatrzymany, a na Sigil nie powinno być śmigłowca.

Uważam, że popełniamy błąd, kiedy myślimy o Czerwieni jak o pojedynczym umyśle, pojedynczym bycie. Dlaczego miałyby być taka? Dlaczego nie mogą istnieć w niej rywalizujące frakcje? Bo przysięgam, że od samego początku misji „Wieża Płowego Konia” aż do jej końca jednocześnie pomagała nam i, kurwa, rzucała kłody pod nogi.

Okazuje się, że bredzenie szaleńca może spowodować długie, niezręczne milczenie. Opieram się w fotelu i czekam na ripostę.

To Cory zabiera głos.

- Uważam, że Czerwień zintegruje się ponownie — mówi z namysłem. -
W każdym razie ostatecznie.

Zgadza się ze mną? Czy mówi mi, że się mylę? Obie możliwości mnie wkurzają. Nastroju nie poprawia mi to, że zauważam, iż Abajian patrzy na mnie tak, jakbym był fanatykiem trzymającym zapalnik pasa samobójców.

- Gdzie stawiasz granicę, Shelley, między zamysłem a jebanym przypadkowym pechem?

- Nie stawiam, sir. Ten poziom analizy przekracza moją siatkę płac. Działam na poziomie tego, ile dostaję.

- A jaka jest twoja płaca? Otrzymujesz czeki z żołdem?

To obraźliwe pytanie; banalizuje to, co robimy. Płacą mi tyle, ile dostawałbym w regularnym wojsku, ale nie dlatego tutaj jestem.

- Nie żyję, pułkowniku. Na co mi, kurwa, pieniądze?

- To takie proste?

- To nie jest proste. Nigdy nie było.

- Ale wciąż to ciągniesz. Nie chcesz czasem odmówić wykonania zadania?

Przyglądam mu się badawczo, zaciekawiony, zastanawiając się, czy kapuje, czy ogarnia to, co tutaj robimy.

- Co by się stało, gdybym odmówił?
- Ty mi powiedz.
- Znaleźlibyśmy się nieco bliżej katastrofy.

Abajian wymienia z Kanoą spojrzenia, a ja wiem, że powiedziałem coś nie tak - ale tylko mówię prawdę.

Kanoa zwraca się do mnie:

- Cory skontaktował się z pułkownikiem Abajianem, gdyż martwił się, że 7-1 jest bliska wyrwania się spod kontroli i prowadzenia raczej prywatnej wendety, niż działania w oparciu o dokładnie przemyślane rozkazy; bliska przekroczenia waszego mandatu, jakikolwiek by był.

To zbyt wiele dla Logana. Pochyla się.

- W ciągu minionych dziewięciu miesięcy, które spędziłem w GRK, uczyniliśmy więcej dobra, niż byłem tego świadkiem podczas wcześniejszych czterech lat służby w regularnym wojsku. Cory chce zwalić na Shelleya winę za wypadek na autostradzie, ale to Cory naraził nasze bezpieczeństwo i - dla swojej prywatnej wendety - zorganizował atak informatyczny.

- To była moja operacja - przyznaje się Abajian. - Miałem nadzieję zneutralizować po cichu GRK, żebyśmy nie musieli wkroczać tutaj zbrojnie. - Odwraca dłonie wnętrzami ku górze. - Ale przywróciliście swoje zabezpieczenia, zanim zdołaliśmy to osiągnąć.

A zatem to nie Cory mnie zaatakował. Jedynie wręczył wrogowi klucze do miasta.

Siedzi zgarbiony, ale kiedy zauważa mój wzrok, mówi:

- Zmienił się pan, kapitanie Shelley. Nie odmawiam panu bohaterstwa

ani nie przeczę, że ocalił pan dziesiątki tysięcy ludzi, ale to nie daje panu prawa dyktowania innym...

- Panie Helms - przerywa mu Abajian zmęczonym tonem. - Nikt tutaj nie jest święty, a mamy do omówienia kolejną misję.

Ikona mojej neuronetki miga, a to uruchamia w mojej głowie program, który mi mówi: Słuchaj. Bo to ważne. To powód dzisiejszego najazdu. To powód, dla którego Abajianowi pozwolono się tutaj zjawić.

Słyszę sapnięcie Logana. Patrzymy na siebie. Widzę w jego oczach odbitą własną gotowość.

- Jesteś sterowany? - pyta samymi ustami.

Kiwam nieznacznie głową, że tak.

To tę misję przyleciał omówić Abajian - to jest nasza operacja. Albo przynajmniej Czerwień chce, żebyśmy w to wierzyli.

Kanoa nie czuje tego. Wygląda na zdezorientowanego. Abajian nie ma o tym zielonego pojęcia, kiedy zaczyna wyjaśniać, dlaczego do mnie przyleciał.

- Moi analitycy przeanalizowali pańskie akta i zachowanie, Shelley. Stwierdzili u pana coś w rodzaju kompleksu mesjasza, ale zapewniają mnie, że pomimo tego jest pan całkiem zdrowy na umyśle i nadal będzie pan odważnym i inteligentnym oficerem. Wszystkie te cechy czynią z pana idealnego kandydata na uczestnika wspomnianej misji.

Kompleks mesjasza? Spoglądam na Kanoę, oczekując wyjaśnienia, ale nie patrzy mi w oczy.

- W tej misji będzie uczestniczył pan - ciągnie Abajian - i najwyżej dwóch innych ludzi. Nie będziecie działać jako oddział wojskowy. Nie będziecie anonimowi.

- Co zatem pozostaje? To jakaś akcja piarowska?

Prycha rozbawiony.

- Nie, to nie jest akcja piarowska. Chcę, żeby pana zespół bojowy zlokalizował wyrzutnię rakiet, która może być następną w kolejce do zaatakowania niskiej orbity.

Stało się. Kanoa ostrzegął, że niebawem wyruszymy. Może on także jest sterowany.

- To, co wam powiem, jest tajne, nie do rozpowszechniania - kontynuuje Abajian.

Mruży oczy, imitując ironiczny uśmiech, bo to żart. Wszystko, w czym uczestniczyłem w trakcie ostatniego półtora roku, jest określane jako tajne, legalnie bądź nie. To tyle, jeśli chodzi o dowcip.

- W rękach rebeliantów związanych z Radą Shahin znajdują się jeszcze co najmniej trzy wyrzutnie. Wiemy, gdzie są dwie z nich. Sojusznicze siły przygotowują operacje przeciwko nim. Mniej wiemy na temat trzeciej platformy. Chociaż jesteśmy przekonani, że znamy region, w którym jest ukryta, potrzebujemy agenta, który może tam dotrzeć, potwierdzić jej obecność i przekazać dokładne koordynaty. Wysunięto sugestię, że pan jest do tego przygotowany najlepiej, kapitanie Shelley.

- Kto ją wysunął?

- Konsultant.

FaceValue nie oznacza tego jako kłamstwo, ale to wszystko nie brzmi prawdopodobnie. To, że żyję, nie jest całkowitą tajemnicą, co nie oznacza, że moje nazwisko pojawia się na czyjejkolwiek liście dostępnego personelu. Wymieniam spojrzenia z Loganem. Podejrzliwość w jego oczach jest odzwierciedleniem mojej.

- Opuść to sobie, Shelley - ostrzega mnie Kanoa. - Twoją kandydaturę wysunięto z określonego powodu.

- Jakiego? - chce wiedzieć Logan. - Jeśli to oficjalna misja, to może zostać przeprowadzona przez regularnych żołnierzy, legalne siły specjalne

albo agentów CIA.

- Nie, my jesteśmy do tego najodpowiedniejsi - mówię -bo spodziewają się, że ta misja spali na panewce. A jeśli nie wrócimy, to kto zauważy, że w ogóle dokądkolwiek *wyruszyliśmy*?

- Zbyt pan to upraszcza, kapitanie. - Abajian piorunuje mnie wzrokiem przez długość stołu. - Zależy nam na czasie, a gdybyśmy się spodziewali, że zawiedziecie, to nie zawracałbym sobie głowy werbowaniem was. Ta misja ma najwyższy priorytet. Najwyższy. Otrzymacie wszelką pomoc, jakiej będziemy mogli wam udzielić. Istnieją jednak względy polityczne. Na skutek wyborów, które odbyły się po Dniu Komy i które wstrząsnęły Kongresem, weszło do niego wielu przeciwników interwencjonizmu, pragnących zrezygnować z wszelkiej militarnej aktywności Ameryki za granicą. Sprawili oni, że działamy w oparciu o ogromnie osłabione prawo do użycia sił zbrojnych. Zrobimy, co będziemy musieli uczynić, żeby zapobiec kolejnemu uderzeniu orbitalnemu, i niech szlag trafi legalne obostrzenia. Musimy jednak uzyskać niepodważalne dane wywiadowcze na temat lokalizacji wyrzutni raketowej, zanim zareagujemy. Nie możemy sobie pozwolić na popełnienie błędu. Jeśli nie załatwimy tego od razu skutecznie, to prezydent grozi odwołanie ze stanowiska. Monteiro ma słabą pozycję - nie została wybrana, nie ma zaplecza politycznego, za to ma wielu potencjalnych wrogów. — Unosi brew. - Ufam, że pan się do nich nie zalicza, kapitanie Shelley?

- Nie, sir.

Zanim Susan Monteiro wyznaczono w miejsce urzędującego wiceprezydenta, jako pułkownik przewodniczyła sądowi wojskowemu, który sądził Oddział Apokalipsy. Kiedy prezydent ustąpił z urzędu, została mianowana jego sukcesorką. Bardzo się stara zaprowadzić w kraju rządy prawa zamiast rządów pieniądza i podziwiam ją za to.

Abajian kwituje to krótkim skinieniem głowy i mówi dalej:

- Uważamy, że wyrzutnia raketowa została rozmontowana i przetransportowana w częściach w miejsce, gdzie się obecnie znajduje -

przypuszczalnie w PBO, podziemnej budowli ochronnej — gdzie została zmontowana ponownie i jest gotowa do wytoczenia na zewnątrz przy pomyślnym układzie gwiazd. - Kolejny żart. Abajian uśmiecha się półgębkiem. — Kiedy już określicie dla nas położenie tego schronu i potwierdzicie obecność w nim platformy, wyślemy pocisk manewrujący, żeby na stałe zamknąć jego drzwi.

- To wszystko? - pyta Logan. - Chcecie tylko potwierdzenia lokalizacji?
- I obecności wyrzutni raketowej.
- Trudno uwierzyć, że Czerwień nie dysponuje już tymi informacjami - dziwi się Logan.
- Wie pan o czymś, poruczniku, o czym ja nie wiem? Czy Czerwień wspiera tę misję?
- A z jakiego innego powodu byłby pan tutaj, sir?

Cory mówi cicho i niepewnie:

- Nie może pan zakładać, poruczniku Logan, że to jest operacja Czerwieni.

Odpowiadam za mojego zastępcę:

- To nie jest przypuszczenie. — Potem zwracam się do Abajiana. - Chcę wiedzieć, pułkowniku, jakim cudem ten cel może pozostawać nieznany. Podziemny obiekt wystarczająco duży, żeby ukryć w nim wyrzutnię raket, musiał zwrócić uwagę w trakcie jego budowy. Gdzieś musi być jakaś informacja na ten temat.

Abajian odpowiada z podziwu godną cierpliwością:

- Wywiad szuka tych danych, Shelley, wszelkich informacji tego typu, ale mówimy o rejonie, w którym tajne projekty były realizowane przez ponad połowę stulecia. Rozległy, dziki, odległy teren. Gdybyśmy mieli dość czasu, bylibyśmy w stanie znaleźć bazę, ale nie mamy go. Ta operacja musi się zacząć dzisiejszej nocy.

- To napięty plan.
- Ale podaliśmy - wtrąca Logan.

Mój kompleks mesjasza musi być w fazie remisji, gdyż wątpliwości spychają zaprogramowany początkowo entuzjazm na dalszy plan.

- Dowiedzmy się reszty na ten temat.

Abajian przystaje na to.

- Z Radą Shahin powiązana jest komórka terrorystyczna o kryptonimie Północny Miecz. Działa ona w docelowym regionie i uważamy, że ma w swoim posiadaniu kołową wyrzutnię rakiet BXL21. Plan misji „Jałowe Rozstaje” powstał w oparciu o inny opracowywany plan. Wymaga od was współdziałania z cywilnym agentem, który skontaktuje was z kluczowymi postaciami Północnego Miecza. Nasi analitycy stworzyli profile osobowościowe tych ludzi i uważają, że macie spore szanse na dotarcie do ich bazy, ale pozostaje kwestia koordynacji czasowej. Nie możemy odwlekać uderzenia w nieskończoność. Sytuacja polityczna w tamtym kraju jest niestabilna, a my będziemy działać bez zgody tamtejszego rządu. Wolimy uderzyć dopiero wtedy, gdy potwierdzicie obecność platformy, ale zareagujemy przy najmniejszej oznace wrogich intencji.

Logan odczytuje podtekst równie łatwo jak ja.

- A zatem plan polega na śledzeniu nas w drodze do podziemnego schronu, a jeśli nadal będziemy w nim, gdy wyślecie pocisk, to trudno.
- To nie wszystko - odzywam się. - Jeśli sytuacja się pojebie, nikt nie będzie w stanie dowieść, że jesteśmy regularnymi amerykańskimi żołnierzami działającymi na podstawie oficjalnych rozkazów, gdyż tak nie jest.

Abajian nie zaprzecza temu.

- Ma pan rację, kapitanie Shelley. Przedstawicie się jako reprezentanci sektora prywatnego, co zminimalizuje zagrożenie dla prezydent Monteiro.

Doceniam, że nie okłamuje mnie, ale nie podoba mi się ten układ.

Odbieram to tak, jakby nas wrabiano.

„Jałowe Rozstaje” to rebeliancka, supertajna misja, a my nie mamy żadnych gwarancji, że Abajian jest po naszej stronie. Może uznać, że najlepszą strategią jest śledzenie nas w drodze do podziemnej budowli i wystrzelenie pocisku, gdy tylko tam wejdziemy. Dłuższe czekanie na to, żebyśmy potwierdzili istnienie wyrzutni, stanowi ryzyko, którego może nie chcieć podjąć. Być może już o tym zdecydował.

Kanoa obserwuje mnie. Mam wrażenie, że czyta mi w myślach.

- Nie działamy w ten sposób - zwracam się do niego.

Kiwa głową.

- Brakuje elementu zaufania. - Opierając się w fotelu, obraca się do Abajiana. - Ujawnijmy wszystko. Wprowadźcie ją.

Przenika mnie ostrze strachu. Odwracam się w stronę drzwi, przekonany, że pojawi się w nich Delphi. Nie tutaj, myślę. Nie tak.

Drzwi się otwierają, a ja zaczynam oddychać ponownie. To nie jest Delphi, tylko starsza kobieta, po pięćdziesiątce, a ja powinienem wiedzieć, kim ona jest, ale zszokowany mózg nie podsuwa od razu nazwiska. Nakładka jest skuteczniejsza. Sprawdza w osobistej encyklopedii i po zaledwie dwóch sekundach oznacza przybyłą jako Janę Semakową. Ma na sobie elegancko skrojony żakiet i brązowe spodnie. Na twarzy lekki makijaż. Kasztanowe włosy krótkie, ze zwykłą trwałą ondulacją.

Patrzy wprost na mnie i nie czekając na oficjalną prezentację, mówi:

- Możemy być sojusznikami, kapitanie Shelley. Mamy wspólne interesy. To ja zaproponowałam pana do tej misji i jeśli jest pan gotów ją wykonać, to przygotuję drogę. Tamci znają już pańskie nazwisko. Wiedzą, że zabił pan mojego ojca i ukradł mi fortunę. Podziwiają pana za to i wpuszczają tam.

Abajian podnosi rękę. Nie chce, żeby powiedziała więcej; jeszcze nie.

- Rozważy pan wzięcie udziału w tej operacji? - pyta mnie.

Patrzę na Semakową, kręcę głową i mówię:

- Nie.

To satysfakcjonujące widzieć zdziwienie, konsternację na ich twarzach. Sądziłem, że wymodelowali mnie tym kompleksem mesjasza, ale mój fanatyzm jest mocno ograniczony.

Ku mojemu zaskoczeniu pierwszy reaguje Cory:

- Powiedziałeś, że Czerwień wspiera tę akcję!

- Nie obchodzi mnie, czy Czerwień ją wspiera. Nie obchodzi mnie, czy pani Semakowa zna sposób na to, żeby tam dotrzeć. To zakrawa na misję samobójczą, a u nas to nie przejdzie. Muszę wierzyć, że mamy realną szansę wydostania się stamtąd.

Odpowiedź Abajiana jest tyleż szczerą, ile bezwzględna. FaceValue potwierdza prawdziwość jego słów.

- Wszyscy tutaj jesteśmy sojusznikami, kapitanie Shelley, a nie wrogami. To nie jest misja samobójcza, ale nie będę mydlił panu oczu. Ze względu na charakter wroga to operacja o najwyższym stopniu ryzyka. Zrobimy jednak wszystko, co w naszej mocy, żeby was stamtąd wyciągnąć. Jest pan pomysłowym dowódcą. Ma pan wprawę w wychodzeniu cało z oparów. Jeśli pan chce, dostanie pan misję.

Patrzę na Logana. Być może mam smykałkę do wychodzenia z oparów, ale prowadziłem dobrych żołnierzy na śmierć.

- Co o tym myślisz?

Wzrusza ramionami.

— Nie ufaj nigdy Czerwieni. Zawsze tak mówimy. Jeśli jednak nas

wesprze...

— Nie - przerywa Semakowa. — Tam, dokąd idziecie, nie ma wpływu z zewnątrz, nie ma Czerwieni. Będziecie zdani wyłącznie na siebie.

- Nie zgodziliśmy się, że to zrobimy - przypominam jej.

Wznosi przelotnie oczy do nieba.

- Nie zjawiłam się tutaj dla jakiejś niewielkiej szansy, że się pan zgodzi. Obserwowałam pana uważnie od chwili, gdy odwiedził pan na orbicie mojego ojca. Rozmawiałam z ludźmi, którzy współpracowali z panem przed tamtą operacją i w jej toku. I mówię panu, że to jedynie słowne gierki. Zrobi pan to. Jest pan jedynym, który udaje, że ma co do tego wątpliwości.

Nie wiem, czy Logan ma kompleks mesjasza, ale po dalszej dyskusji zgadzamy się obaj, że podejmiemy się tej misji. Abajian pragnie ograniczyć liczbę uczestników do nas dwóch. Chcę wziąć Escamille.

- Ma złamane żebra - przypomina mi Logan.

- No to Fadul.

- Żadnych kobiet - mówi Abajian. - Nie tam, dokąd się udajecie.

- Wojsko nie ogranicza tego, gdzie kobiety mogą walczyć.

- Nie będziecie wojskiem - przypomina mi pułkownik. - Będziecie reprezentować sektor prywatny, a poza tym tamci są dużo bardziej konserwatywni od nas.

Semakowa zajęła miejsce przy stole.

- Ta misja nie jest deklaracją polityczną - mówi. - To łomot.

Żadnych kobiet. Zatem Roman nie wchodzi w grę. Kręgosłup Kanoi jest w

zbyt kiepskim stanie, żeby major nadawał się do służby w terenie. Dunahee ma złamane ramię, a Julian przebywa nadal w szpitalu, więc pozostaje...

- Alex Tran? - mówi Logan ze zwątpieniem w głosie.

„Wieża Płowego Konia” była pierwszą misją Trana, ale chłopak się sprawdził.

- Przyrowadź go. Przekonajmy się, czy jest chętny.

Tran wchodzi, ciemną twarz ma ściągniętą z niepokoju. Przez chwilę rozgląda się po pomieszczeniu. Wiem, co robi. Liczy przyjaciół i wrogów. Wynik go satysfakcjonuje. Kiedy jego spojrzenie pada na mnie, pyta samymi ustami: Wyruszamy?

Kręcę nieznacznie głową.

Kanoi nie umyka to małe przedstawienie.

- Siadaj, Alex - mówi poirytowanym tonem.

Tran czeka na moje zezwalające skinienie głową, a potem zajmuje miejsce po mojej prawej ręce.

- Zaproponowano nam misję - informuję go. - Tylko nas trzech.

- Wysokie ryzyko - dodaje Logan. - Wchodzisz w to?

Ku mojemu zaskoczeniu Tran sprawia wrażenie niezdecydowanego. Przenosi spojrzenie z Logana na mnie i z powrotem. Dysponuje FaceValue, ale i tak musi zapytać:

- To prawda? Nie żartujecie?

- Oczywiście, że nie - odpowiada Logan.

To wszystko, czego trzeba Tranowi. Rozpromienia się w uśmiechu.

- No to tak, do diabła. Wchodzę w to. - Wskazuje kciukiem Cory'ego. -

Tylko powiedzcie mi, dlaczego Bilbo jest tutaj, skoro nas zdradził.

- Pan Cory Helms jest konsultantem - odpowiada Kanoa. - A teraz zamknij się i uważaj.

Pułkownik Abajian wyjaśnia charakter misji:

- Północny Miecz to mała, ale bogata organizacja antyzachodnich działaczy ożywionych pragnieniem usunięcia ze świata amerykańskiej władzy i swobód. Rzekomo są zainteresowani utworzeniem w Azji Środkowej nowego rządu kierującego się zwyczajowymi, drakońskimi restrykcjami religijnymi, stosowanymi wobec wszystkich z wyjątkiem ich samych. Ich przywódcą jest Maksim Abaza, obywatel rosyjski. Uważa się, że jest on kluczową postacią związaną z planowaniem i prowadzeniem operacji „Pęknięte Niebo” — na Zachodzie nazywamy to syndromem Kesslera. Żywi przekonanie, że bez inwigilacji i łączności satelitarnej skuteczne prowadzenie wojny przez drony bojowe będzie dużo trudniejsze i zmusi przeciwników do kosztowniejszej walki frontowej...

- Przynajmniej co do tego ma rację - wtrąca Semakowa.

Abajian marszczy brwi.

- To nie jest takie proste, ale nie pozbawione podstaw. ~ Zwraca się ponownie do mnie: - Oto, jak się mają sprawy. Maksim Abaza jest pomysłowy i bezlitosny. To pozwala mu odnosić sukcesy. Jest jednak także arogancki i ambitny i pragnie promować swoje nazwisko wszelkimi sposobami; to tam zaczyna się pańska rola. Abaza chce skorzystać na pańskim statusie celebryty. Pańskim, Jamesa Shelleya, Lwa z Czarnego Krzyża, wojownika równie zręcznego i bezlitosnego jak on sam. Dowiódł pan tego, załatwiając Eduarda Semaka. Po tym wyczynie skrył się pan w cieniu, ale teraz wyszedł z niego, gotów działać na własną rękę w wojennym biznesie. Pieniądze ukradzione Semakowi pozwolą panu stworzyć własny arsenał w chwili, gdy Północny Miecz ma broń na sprzedaż i potrzebuje gotówki. Pośrednikiem, który skontaktuje was ze sobą, jest Leonid Siergun, wuj pani Semakowej. To on zaproponował tę misję, a Maksim Abaza dobrze go zna.

- Skąd go zna? - pytam, przekonany, że odpowiedź mi się nie spodoba.
- Leonid jest handlarzem broni - wyjaśnia Semakowa. -I przez wiele lat był „magikiem” ojca. Robił, co było trzeba zrobić. „Nie jest po stronie aniołów”, jak pan lubi mawiać, panie Shelley, ale się zmienił. Nie jest już młody. Teraz zapala świece, całuje ikony i składa śluby. Chce mieć anioły i świętych po swojej stronie i zrobi wszystko, co trzeba, żeby zaskarbić sobie ich łaski.
- Boi się śmierci?
- Boi się piekła.

Czy można odpokutować całe życie zbrodni i aktów terroru przejawami skruchy na starość? Niech mnie chuj, jeśli wiem, ale jeżeli Siergun chce przekupić anioły, pokazując nam drogę do kryjówki Północnego Miecza, to nie będę mu wyjaśniał, że to trochę za późno i za mało.

- Leonid Siergun współpracował już z nami - dodaje Abajian. - Jest wiarygodny. Teraz musimy zapoczątkować tę operację. Macie dwadzieścia minut na zgromadzenie sprzętu. Możecie wziąć broń, ale zostawcie gnaty. Macie cywilne ubrania pozwalające na operowanie w zimnym klimacie?

Zanim odpowiem, nasza trójka wymienia podejrzliwe spojrzenia.

- Nie, sir.
- Rozumiem. Odpowiednie stroje zostaną wam dostarczone w drodze wraz z planem misji „Jałowe Rozstaje”.

Zaczyna wstawać, ale mam jeszcze jedno pytanie:

- Pułkowniku Abajian, czy gdybyśmy dostrzegli możliwość zniszczenia wyrzutni rakiet na miejscu, jesteśmy upoważnieni do podjęcia takiego działania?

Abajian sadowi się z powrotem w fotelu i kładzie ręce na blacie stołu. Ostrożnie dobiera słowa:

- Prosimy was tylko o to, żebyście odegrali swoje role. Zlokalizujcie bazę, potwierdźcie obecność wyrzutni rakiet BXL21 i odejdźcie. Jednak to pan jest dowódcą w terenie i do pana należy decyzja, w jaki sposób możecie się najlepiej przysłużyć celowi misji.

Kiwam głową.

- Tak jest, sir. Mogę z tym żyć.

Pułkownik wstaje. Wstajemy wszyscy, nawet Semakowa, wśród kakofonii zgrzytających o podłogę nóg krzesel. Abajian wyciąga rękę do Kanoi.

- Jeśli ktokolwiek zakwestionuje twoją operację, przyślij go do mnie.

Ściskają sobie dłonie, a my salutujemy.

— Dwadzieścia minut, panowie — przypomina pułkownik. - Chcę, żeby wyrzutnia rakiet Północnego Miecza została usunięta z równania, zanim będą mieli okazję jej użyć.

Przepychamy się, żeby zabrać ze zbrojowni i szafek magazynowych amunicję, apteczki pierwszej pomocy, racje żywnościowe, wodę i sprzęt łącznościowy. Abajian kazał nam zostawić rynsztunek. Pozbawieni hełmów nie będziemy dysponowali taktycznymi AI, biorę więc celownik optyczny do mojego ztkh. Dopilnowuję, żeby Logan i Tran zrobili to samo.

- Bez hełmów nie będziemy mieli także osłony uszu -dodaję - weźcie więc zatyczki. Może będzie okazja, żeby ich użyć.

- Mamy pistolety HD - przypomina mi Tran.

Odwracam się, żeby spojrzeć. Pistolet Home Defence kalibru dziewięć milimetrów firmy Stonewall został zaprojektowany tak, żeby był wygodny w użyciu, z tłumikiem wbudowanym w przedłużoną lufę, co sprawia, że strzał z niego nie spowoduje trwałej utraty słuchu. Lufa czyni go nieporęcznym wielkim, ale mamy pasujące do niego kabury ramienne.

- Dawaj je.

Nie, żebym przewidywał kłopoty.

Bierzemy kasety z pistoletami i wracamy do koszar, żeby wziąć nasze ztkh.

Wychodzę ponownie ze swojej kwatery, a moja ikona sieci zaświeca się na zielono. Zostaję połączony automatycznie z gen-komem, ale widzę jedynie ikony Logana, Trana i moją.

Tran czeka w korytarzu. „Jesteś podłączony?” - pytam go.

Nie odpowiada na głos, ale jego odpowiedź przychodzi przez gen-kom: „Potwierdzam”.

- Ja też - mówi Logan, otwierając drzwi swojego pokoju.

Idziemy na dół, gdzie czeka na nas Kanoa. Jest ponury, zaniepokojony. W budynku nie ma nikogo więcej, więc zaczyna zaimprovizowaną naradę, stojąc przed biurkiem dyżurnego.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki się to odbyło, ale wierzę, że to rzetelna misja. Abajian jest ambitny i wie, jak grać twardo, ale jest dobrym dowódcą i wesprze was tak dalece, jak będzie mógł.

- To znaczy zostawi nas samym sobie, jeśli będzie musiał? - pytam.

Na biurku stoi nadal ta malutka, sztuczna choinka. Rzuca czerwone światło na Kanoę, który krzyżuje ramiona na piersi.

- Tak to rozumiem. Przede wszystkim chroni prezydent, tak jak powinien to robić. Jednak bez względu na to musisz dobrze się spisać, Shelley.

- Tak zrobimy. Będziesz połączony z nami przez gen-kom?

- Nie. Nie będziecie mieli opiekuna. Stały link wydałby się podejrzany, a poza tym i tak nie będziecie mieli przypuszczalnie łączności.

Widać wyraźnie, że martwi się tym. Zaskakuję sam siebie, próbując dodać mu otuchy.

- Działalem już wcześniej bez opiekuna. Damy sobie radę. - Zerkam na Logana i Trana. - Będziemy się wspierali wzajemnie.

- Zadanie zostanie wykonane - zgadza się Logan. - A jeśli będziemy mieli szczęście, to nawet nie będzie to misja bojowa.

Tran uśmiecha się półgębkiem.

- Chciał pan powiedzieć, jeśli oni będą mieli szczęście, poruczniku. Jakby pan mnie pytał, trudno będzie odejść, nie dokończywszy operacji.

Logan spogląda na niego ponuro.

- Robimy to, czego wymaga sytuacja.

- Zróbcie, co musicie - mówi Kanoa. - Tylko bądźcie skupieni na tej konkretnej misji. Nie martwcie się swoją sytuacją ani tym, jak będzie wyglądała przyszłość GRK 7-1. Pomyślimy o tym po waszym powrocie. A na razie, powodzenia.

Wyciąga rękę. Stawiam walizeczkę z pistoletem na biurku dyżurnego, żeby uścisnąć dłoń Kanoi.

- Zanim odlecimy, chciałbym się zobaczyć z resztą oddziału, sir.

- Odmawiam. Nie przyjmą tego dobrze, zwłaszcza Fadul. Powiem im to, co muszą wiedzieć, kiedy wyruszą.

Ściska dłonie Loganowi i Tranowi, a potem wskazuje ruchem podbródka drzwi koszar.

- Ruszajcie.

Jest piąta dwadzieścia dwie, kiedy wsiadamy do black hawka. Jesteśmy jedynymi pasażerami. Układam plecak i kasety z bronią, a potem przypinam się do płóciennego siedzenia między Loganem i Tranem.

Szukam zielonej ikony sieci, która się rozjaśnia pod moim spojrzeniem. Zabawiam się myślą o zadzwonieniu do Delphi, ale kiedy odgrywam rozmowę w głowie, wiem, że to tylko głupia fantazja. „Taa, cześć, dostałem kolejną misję. Mogę nie wrócić”.

Nie zostawiłem Delphi bez powodu. Nie zamierzam fundować jej tego ponownie.

Szef załogi black hawka wręcza nam hełmy pokładowe, a potem zasuwa boczne drzwi. Po kilku minutach startujemy i kierujemy się na północny wschód, do Dallas.

Kolejna misja. Kolejna okazja do uczynienia tego, po co znalazłem się na świecie. Tak na to patrzę. Cholera. Może rzeczywiście cierpię na kompleks mesjasza. Ludzie nazywali mnie królem Dawidem. Ale to nie jest służba Bogu. Niebezpośrednio.

Obchodziłem się wcześniej bez myśli o Bogu, ale przeczytałem do tej pory większą część Biblii. Te bzdury nie mają dla mnie żadnego sensu, ale i tak dużo o Nim myślę - o tajemniczej postaci, która działa w enigmatyczny sposób. Być może mnie prowadzi.

Sądzę, że ufam Bogu bardziej niż Czerwieni, ale to niewiele znaczy.

Chcę postępować słusznie, ale na świecie jest mnóstwo zła. Istnieje tylu ludzi, których musimy się pozbyć, tyle sposobów ściągnięcia armagedonu na głowy miliardów tych, którzy pragną jedynie prowadzić spokojne życie, coś znaczyć, obejrzeć od czasu do czasu jakiś pierdolony film i upić się z przyjaciółmi.

Chcę dać im tę szansę.

NIELINIOWA WOJNA



- Jasny gwint - szepcze Tran. - Nie pierdolą się, co?

- Na to wygląda.

Black hawkiem przylecieliśmy na lotnisko międzynarodowe w Dallas/Fort Worth, gdzie na płycie wita nas oficer w stopniu majora, niezainteresowany rozmową. Po krótkiej przejażdżce na tylnym siedzeniu SUV-a docieramy do ogromnego, otwartego z przodu hangaru.

Pochyliam się, żeby mieć lepszy widok przez przednią szybę.

Od wschodu słońca dzieli nas jeszcze pół godziny, ale hangar jest zalany jasnym, sztucznym światłem, które omywa gigantycznego, dwukadłubowego nosiciela. Każdy z kadłubów wygląda jak normalny, długi, wąski odrzutowiec, ale łączy je wspólne skrzydło. Pośrodku owego skrzydła, dwa metry nad podłożem hangaru, podwieszono smukły samolot suborbitalny. Załoga naziemna w bluzach Sidereal Transit System pracuje w milczącym pośpiechu, usuwając spod niego kable i węże. Strome schodki prowadzą do otwartego luku suborbitera.

To środek transportu rekinów: straszliwa prędkość przy straszliwym koszcie. Dla wielu równowartość zarobków całego życia, spalona podczas pojedynczego przelotu na drugą stronę globu.

Major odwraca się, żeby wydać zwięzłe instrukcje:

- To jest wojskowy lot czarterowy. Inni pasażerowie na pokładzie mają własne sprawy. Nie będą was o nic pytać. Wy nie będziecie pytać ich. Zrozumiano?

Przyglądam się samolotowi i myślę: Kim są tamci? Dlaczego tak im się śpieszy, żeby się dostać na drugi koniec świata? Są zaangażowani w naszą misję? I kto, do diabła, za to płaci?

Mówię jednak tylko:

- Tak jest, sir.

- Po opuszczeniu tego pojazdu od razu wejdziecie po schodkach do suborbitera. W środku zajmiecie trzy wolne miejsca i przypniecie się do foteli. Wasz sprzęt zostanie załadowany osobno i wydany wam ponownie w Rijadzie, gdzie się przesiądziecie do prywatnego odrzutowca. Zamówione przez was cywilne ubrania zostały umieszczone w schowkach nad waszymi głowami. Przebierzecie się podczas lotu, a obecne mundury zostawicie.

Muszę przyznać, że wsparcie przedoperacyjne robi cholerne wrażenie. Mam tylko nadzieję, że Abajian ma też plan zajęcia się nami po misji.

- Ruszać - mówi major. - I powodzenia.

Na pokładzie suborbitera znajduje się osiem komfortowych foteli, po cztery po każdej stronie. Wszyscy pozostali pasażerowie wyglądają pozornie na cywilów, ale mają mocną budowę ciała i twarde spojrzenia. Spoglądamy na siebie nawzajem i odwracamy wzrok.

Moja twarz jest dobrze znana i podejrzewam, że tamci wiedzą, kim jestem, nie uzyskają jednak żadnego potwierdzenia na podstawie aplikacji rozpoznawania rysów, a i moja automatyczna analiza nie przypisuje im żadnych nazwisk. Nikt z nas nie figuruje w żadnych oficjalnych bazach danych. Ten fakt przekazuje ważną prawdę o naszych powiązaniach i wykonywanych przez nas profesjach.

Zajmuję przedni fotel i orientuję się, że w suborbiterze nie ma kokpitu. Patrzą wprost przed siebie przez wąskie okienko przednie.

Logan siada za mną. Słyszę jego syntetyczny głos z gen -komu: „To samolot automatyczny?”.

Odpowiadam w ten sam milczący sposób: „Na to wygląda”.

Wzdrygam się na dźwięk głosu, kobiecego i przyjaznego, który dobiega z głośników kabinowych:

- Witam na pokładzie, panie i panowie.

Drzwi suborbitera zamykają się samoczynnie, a wiozący nas samolot nosiciel zaczyna kołować.

Nie wiemy, czy któryś z pozostałych pasażerów nie używa wzmacniacza audio, więc Logan zachowuje ostrożność i przechodzi z gen-komu na wiadomości tekstowe. Wysłała je do mnie i do Trana: „To niemożliwe, żeby wojsko za to płaciło. Nie ma mowy, żeby dało się to ukryć w budżecie na tajne operacje”.

Nic nie mówiąc, układam własną wiadomość: „Lecimy za pieniądze rekinów. Musowo. Są przerażeni «Pękniętym Niebem» i chcą mu zapobiec”.

Tran odpowiada szeptem przez gen-kom:

- Tak sobie myślałem. To po prostu kolejna operacja kontrolna.

Loganowi wcale nie podoba się ten pomysł.

- Bzdura. Tym razem wiemy, czego szukamy, i na pewno znajdziemy kryjówkę złych facetów.

- Ale czy wiemy, co w niej znajdziemy? - pyta Tran. Przechodzi na wiadomość tekstową, żeby wyłuszczyć swoją rację: „W tej PBO może być dosłownie wszystko. Może się okazać, że BXL21 nie jest jedynym celem”.

Odwracam się, żeby wyrzeć przez mały okrągły iluminator obok mojego fotela. Na zewnątrz widzę lewy kadłub samolotu nosiciela, a dalej pas startowy. Niebo nabiera rumieńców, ale słońce nie wzniosło się jeszcze ponad horyzont. Przez te ostatnie miesiące szukaliśmy czegoś - czegoś dużo mniejszego od wyrzutni raketowej. Możliwe, że szukamy nadal.

- Tran może mieć rację. Dowiemy się na miejscu.

Kolejna wiadomość przychodzi od Trana: „Jeśli tam dotrzemy. Paradoksalnie ten suborbiter mógłby się stać kolejną ofiarą «Pękniętego Nieba»”.

To wkurza Logana.

- Zamknij się - mówi na tyle głośno, żeby być słyszany w gen-komie i poza nim, ale ja się śmieję. Nie mogę się opanować. Bo to naprawdę byłoby paradoksalne. Jednak nie martwię się tym zbyt. To lot suborbitalny - jednorazowa podróż po trajektorii w określonym czasie, o której wróg dowie się za późno, żeby nas namierzyć.

Jasne, zdarzało mi się już wcześniej mylić.

Początkowa część lotu przypomina start dowolnego odrzutowca pasażerskiego. Zawieszeni pod podwójnym kadłubem samolotu nosiciela, jesteśmy oddaleni od hałaśliwych silników dźwigających kolosa, ale z powodu ich stłumionego ryku w kabinie jest i tak głośno.

Kiedy oddalamy się od lotniska, wstaję i sprawdzam zawartość górnych schowków, w których znajduję wojskowe worki oznaczone naszymi nazwiskami. Dwoje współpasażerów przygląda mi się, gdy idę na tył suborbitera, ale nikt się nie odzywa. Przebieram się w grube spodnie khaki i sportową koszulę z długimi rękawami - markowe ciuchy odpowiednie dla nowobogackiego rekinia wyruszającego w teren - a potem ponownie nakładam wojskowe buty, żeby ukryć robocie stopy. Mam też kurtkę, ale jest zbyt ciepło, żeby ją wkładać. Mundur wpycham do worka, a worek do schowka.

Potem przebierają się Logan i Tran.

Kiedy Tran wraca, otrzymujemy plan misji „Jałowe Rozstaje”.

Czytam go na nakładce, gdy wznosimy się wyżej w atmosferze. Najpierw jedynie przeglądam, a potem wracam do początku i czytam szczegółowo. Operacja zaczyna się lotem z Rijadu do Islamabadu, gdzie spotkamy się z Leonidem Siergunem, naszym pośrednikiem w tej fikcyjnej transakcji zakupu broni. Według przygotowanego scenariusza jestem nowobogackim i bezlitosnym rekinem, który wyrusza w teren, żeby powiększyć fortunę ukradzioną Eduardowi Semakowi, natomiast Logan i

Tran są zabójczymi najemnikami na mojej liście płac.

Siergun ustawił kontrakt, który pozwoli nam nabyć mieszany arsenał pocisków raketowych, materiałów wybuchowych i programowanej broni automatycznej, oferowany po okazyjnej cenie nabywcy gotowemu zapłacić od ręki - ponieważ Maksim Abaza i Północny Miecz działają pod presją czasu.

„Naprawdę uważacie, że ktokolwiek będzie skłonny uwierzyć w te brednie?” - pyta Tran tekstem.

Logan także nie jest przekonany: „Legenda wydaje się trochę cienka”.

Wysłałam odpowiedź: „Spójrzcie na to z punktu widzenia Abajiana. Historyjka musi się sprawdzić tylko do momentu, kiedy dotrzemy na miejsce. Wtedy będzie znał już trasę”.

Logan: „Jeśli dotrzemy na miejsce. Jeżeli nie zabiją nas po drodze”.

Próbuję znaleźć coś pozytywnego: „Siergun uważa, że to się uda”.

Tran: „Nie rozumiem, dlaczego mu ufamy”.

„Ja też nie. Jeżeli jednak mamy wykonać tę misję, to komuś musimy zaufać”.

Wydział wywiadu uważa, że pośpiech Północnego Miecza w dobiegu targu stanowi mocny dowód na to, że organizacja rzeczywiście posiada wyrzutnię raketową, której zamierza niebawem użyć. Potem będą musieli opuścić obecne miejsce pobytu. Lepiej dla nich, żeby zamienili niewykorzystane uzbrojenie na gotówkę, bo z tego powodu pozwolono nam złożyć tę wizytę w tak krytycznym momencie.

Leonid Siergun twierdzi, że Abaza dobrze go zna i mu ufa. Abaza zgodził się przewieźć nas z Islamabadu do... no, tego miejsca, do którego zmierzamy. Wywiad sądzi, że PBO znajduje się w rzadko zaludnionym regionie na północy kraju.

Bezciesny głos kabinowy rozlega się ponownie:

- Proszę dopilnować, żeby wszystkie bagaże osobiste były zabezpieczone. Odłączenie nastąpi za dwie i pół minuty.

Obserwują nas oczy kamer, sprawdzając, czy nie robimy niczego głupiego lub nie zostawiamy walającego się sprzętu. Ostrzeżenie powtarza się co pół minuty aż do ostatnich trzydziestu sekund, kiedy to zostaje nam zafundowane odliczanie. W syntetycznym głosie perli się ekscytacja, gdy docieramy do ostatnich sekund:

- ...trzy, dwa, jeden, zero!

Silniki rakietowe zostają odpalone. Siła ich odrzutu wciska mnie w fotel - może nie tak gwałtownie jak podczas lotu na pokładzie *Lotusa*, ale to i tak emocjonujący pokaz mocy. Kabina drży, chmury gnają wstecz, potem znikają, a niebo niebawem ciemnieje. Gdy osiągamy kulminacyjny punkt trajektorii lotu tuż nad granicą atmosfery, wyczerpane silniki rakietowe milkną i wobec braku podtrzymującej nas siły zaczynamy spadać.

Swobodnie.

Poczucie ciężaru znika, a ja latam w swojej uprzęży.

- Jasny gwint - mówi Tran wysokim głosem.

Nie jest jedyny. Nasi stoicy współpasażerowie także szepczą w podnieceni. Ale nie Logan.

- O kurwa - stwierdza.

- Jeśli masz rzygać, to do torebki - radzę mu.

- Mogą państwo opuścić miejsca - oświadcza wesoło kabinowy głos - i korzystać z cudu nieważkości!

I tak robimy, podczas gdy suborbiter opada niezakłócenie długim, łagodnym łukiem w objęcia ziemskich więzów.

W Rijadzie jesteśmy krótko. Składam meldunek Kanoi, a potem przechodzimy z naszym ekwipunkiem do wynajętego odrzutowca. Piloci są nieumundurowani, ale aplikacja rozpoznawania twarzy identyfikuje ich jako oficerów amerykańskiego lotnictwa wojskowego. Zajmujemy miejsca. Tym razem jesteśmy jedynymi pasażerami. Dzięki temu łatwiej jest się odprężyć. Zdejmuję buty. Lot ma potrwać sześć godzin, śpimy zatem.

Jest czwarta rano czasu lokalnego, kiedy zbliżamy się w końcu do Islamabadu. Samolot opada ku pasowi startowemu, a ja patrzę przez iluminator na rozległe, dobrze oświetlone miasto. Nie zostaniemy tutaj długo.

Po wylądowaniu samolot kołuje do hangaru z dala od głównego terminalu. Hangar jest otwarty z jednego końca, a jego wnętrze oświetlone ciemnoczerwonymi lampami. Wtaczamy się pod dach i zatrzymujemy. Włączam w nakładce funkcję nagrywania, a potem wyglądam przez okienko. Wokół nie ma nikogo.

- Tran, jesteś naszą łącznością tak długo, jak długo to potrwa. Uruchom link satelitarny.

- Tak jest, sir.

Tłoczmy się w przejściu, wyjmując sprzęt ze schowków. Tran uruchamia przekaźnik satelitarny. Gdy tylko uzyskuje sygnał, zgłaszam się przez genkom.

- Jesteś tam, Kanoa?

Odpowiada przed upływem kilku sekund:

- Potwierdzam. Sytuacja?

- Faza druga. Brak komitetu powitalnego.

- Instrukcje polecają przejście przez poczekalnię pasażerów. Cywilny agent jest w drodze i spotka się z wami po drugiej stronie.

Wkładam kurtkę, zarzucam plecak, biorę skrzynki z pistoletami i zastanawiam się: Wystawiają nas? Pieniądze i wysiłek włożony w dostarczenie nas tutaj przemawiają przeciwko temu. Jeśli celem tej operacji jest zabicie nas lub wywołanie incydentu międzynarodowego... No cóż, są tańsze sposoby, co stanowi pojębany substytut pocieszenia.

Logan stoi za mną w przejściu, objuczony własnym sprzętem.

- Idziesz boszo? - pyta mnie.

Zginam robocie palce.

- Chcieli pierdolonego Lwa z Czarnego Krzyża. Chcę, żeby wiedzieli na pewno, że go dostali.

Poza tym nie lubię nosić butów. Ograniczają użyteczność stóp.

Obaj piloci wynurzają się z kabiny. Ściskamy sobie dłonie; szorstko życzą nam powodzenia. Potem otwierają drzwi i wychodzimy pod osłonę hangaru.

Temperatura na zewnątrz to tylko kilka stopni powyżej zera, ale wiatr jest słaby, więc nie jest tak źle. Według planu misji zostaliśmy „wstępnie sprawdzeni” przez służby celne. Sądzę, że to przywilej rekinów, polegający na opłaceniu się urzędnikom za wjazd na teren kraju bez żadnych pytań.

Przed nami są szklane drzwi z arabskim napisem. Moja nakładka tłumaczy go jako słowa powitania, więc prowadzę tam mój oddział. Drzwi nie są zamknięte. Po drugiej stronie znajduje się bogato wyposażony salonik oświetlony przyćmionymi, klubowymi lampkami. Tutaj również nikogo nie ma. Mam nadzieję, że to celowe, że Abajian kupił nam prywatność.

Zatrzymujemy się tam wystarczająco długo, żeby skorzystać z połączanej toalety, wyjąć broń i ją załadować. Potem ruszamy ku głównemu wyjściu. Idę pierwszy. Słyszę, że zamek zostaje zwolniony, pcham szklane skrzydło i uchylam je tylko na kilkanaście centymetrów. Na zewnątrz jest oświetlone jarzeniówkami patio z marmurowymi ławkami. Po obu jego stronach znajdują się symetrycznie urządzone ogrody, każdy z małą

fontanną. Patio i ogrody są osłonięte przez portyk sięgający nad elegancki podjazd, który odchodzi od szerszej drogi biegnącej wzdłuż głównego terminalu.

Od wschodu słońca dzielą nas całe godziny, ale Islamabad nie śpi. Kiedy cichnie hałas startującego odrzutowca, słyszę stłumiony ryk rzeki odległego ruchu ulicznego, a bliżej, od strony głównego terminalu, pisk hamulców oraz niecierpliwie krzyki.

Logan podchodzi do mnie w samą porę, żeby zobaczyć wielki samochód skręcający na podjazd z głównej drogi. Zatrzymuje się przed zamkniętą stalową bramą pod niebieskim halogenowym światłem latarni, dzięki czemu mogę mu się dobrze przyjrzeć: to wysłużony, brązowy amerykański LTV, lekki pojazd taktyczny - w istocie zwinna, opancerzona ciężarówka.

- Jesteś z nami, Kanoa?

LTV nie ma żadnych oznaczeń, a ja wyobrażam sobie, że został kupiony od Afgańskiej Armii Narodowej bądź jej skradziony.

- Jestem. Potwierdzam wasze powitanie.

Kiedy stoję w częściowo otwartych drzwiach, nerwy mam napięte jak postronki. Z odprawy przed misją wiem, że ten pojazd i siedzący w nim ludzie - poza Leonidem Siergunem - należą do Północnego Miecza i są lojalni wobec Maksima Abazy. Kiedy brama odjeżdża w bok, mój uchwyt na ztkh tężeje. LTV rusza gwałtownie. Dudni, pokonując zakręt podjazdu. Wyobrażam sobie wychylającego się z okienka strzelca, ukrytego za blaskiem reflektorów.

- Wyluzuj, Shelley - ostrzega Kanoa.

Pilnuję się, żeby lufa mojego karabinu była skierowana w ziemię.

- To kwestia zaufania, co?

LTV zatrzymuje się przed patio.

- Nie ufaj nikomu spoza oddziału - ostrzega Kanoa. -I trzymaj się planu

misji. Zgodnie z procedurą wyłączam się teraz z gen-komu, ale obserwujemy was. Powodzenia.

- Tran, przerwij link.
- Robi się, Shelley.

Słyszę szelest jego ekwipunku. Połączenie z Kanoą się urywa, ale moja ikona sieci pozostaje nadal zielona. Kiedy patrzę na nią, pojawia się tag informujący mnie, że jestem połączony z siecią EXALT. Być może Czerwień także nas obserwuje.

Otwieram na oścież drzwi i wkraczam w blask sztucznego światła.

Jesteśmy zdani na siebie.

Dołączone do planów misji zdjęcie Leonida Sierguna ukazywało posępnego, patrzącego wilkiem, mocno umięśnionego mężczyznę w wieku sześćdziesięciu trzech lat, o białych włosach ostrzyżonych maszynką na płask na czubku głowy i o zniszczonej twarzy z wydatną szczęką. Na tej fotografii musiał chyba przyjąć agresywną minę, żeby zrobić wrażenie na swojej terrorystycznej klienteli, ponieważ człowiek idący nam na spotkanie przez patio jest zupełnie innego pokroju. Uśmiech ma serdeczny, jego niebieskie oczy błyszczą. Wysyła tak intensywne, dobre vibracje, że muszą być z pewnością rejestrowane przez jakiś lokalny czujnik fal elektromagnetycznych.

- James Shelley! - wykrzykuje z wyraźnym rosyjskim akcentem. Wyciągając do mnie rękę, zerka na moje robocze stopy. - Nie potrzeba oczywiście żadnej prezentacji. To dla mnie zaszczyt. Zaszczyt.

FaceValue oznacza go na pomarańczowo: niepewny, trudny odczyt. Po wymianie serdecznego uścisku dłoni odwraca się do moich „ochroniarzy”, których wita dużo spokojniej:

- Ray Logan, Alex Tran, witajcie. Wszystko jest w porządku.

Śpieszno mi, żeby przejść przez patio i znaleźć się we wnętrzu LTV, gdzie będziemy poza zasięgiem wzroku wszelkich obserwatorów, ale Leonid nie podziela mojej filozofii. Zamiast jak najszybciej zapewnić nam schronienie, przeciąga prezentację i odwraca się do dwóch mężczyzn, którzy przybyli wraz z nim.

To ludzie Abazy. Pierwszy ma może trzydzieści lat, pociągłą twarz, jasnobrązową skórę, krótko obcięte rude włosy i porządnie utrzymaną brodę tego samego koloru. Jest w wojskowym mundurze o leśnym, zielono-brązowo-szarym kamuflażu. Ma pistolet w kaburze napierśnej oraz zaawansowany technicznie automatyczny karabin, który trzyma w zgięciu ramienia. Broń to lasher biometric 762. Jak ztkh, jest zakodowany i przypisany do właściciela, wyłączy się, gdy będzie chciał go użyć ktoś inny.

- To jest Luftar - mówi Leonid. - Zadbaj o to, żebyśmy bezpiecznie dotarli do miejsca naszego przeznaczenia, choćby cały świat się walił wokół nas.

Nie jestem pewny, czy Luftar to rozumie, ale się uśmiecha.

- *Konieczno, Papa* - mówi, wyglądając na zadowolonego z przyjęcia roli wyznaczonej mu przez Leonida.

Podejrzewam, że ma cięższą broń w LTV.

Towarzysz Luftara jest dużo młodszy. Wygląda na zaledwie dwudziestolatka; jest szczupły, ma ciemnobrązową skórę i pogodny uśmiech.

- Damir jest naszym kierowcą - przedstawia go Leonid. - Możecie przeklinać go na wszelkie sposoby z powodu każdego wyboju na drodze; sam robiłem to już wielokrotnie.

Damir przybiera bolesciwą minę z powodu tej zniewagi. Protestuje; obracając dłonie wnętrzami ku górze.

- Droga jest, jaka jest, Papo, a my nie możemy się spóźnić.

Jego angielski jest doskonały.

Leonid kładzie na barku chłopaka swoją wielką dłoń i kręci smutno głową.

- Tłumacz się do woli, ale ja ci nie wybaczę.

A potem uśmiecha się i potrząsa mocno Damirem, na co chłopak śmieje się swobodnie.

Kiedy jednak Leonid odwraca się do mnie, jest ponownie poważny. Unosi pytająco brew, mamrocząc cicho:

- Nagrywasz wszystko, co widzisz?

Przyleciałem tutaj, gdyż Maksim Abaza chce skorzystać na moim statusie celebryty. Wzruszam więc ramionami i odpowiadam:

- To powszechnie wiadomo.

- Dlatego się tutaj znalazłeś - przyznaje. Wskazuje gestem drogę, terminal i odległe zabudowania. - Spójrz w górę. Rozejrzyj się. Niech obserwatorzy zobaczą twoją twarz. Daj im znać, gdzie jesteś, i że nie boisz się wyruszyć na tę wyprawę biznesową.

Ta prośba kłóci się z wszelkimi moimi instynktami. Nie chcę zostać zauważony ani być widziany. Pragnę pozostać anonimowy, trzymać się na uboczu. Jednak jest jeszcze za wcześnie, żeby żywić wątpliwości wobec Leonida Sierguna, robię więc, o co prosi. Rozglądam się, wiodąc uważnie wzrokiem wzdłuż drogi do głównego terminala i budynków poza nim, ale tym razem stojąc w świetle.

- Wystarczy - mówi Leonid, gdy cichnie ryk lądującego odrzutowca. - Właż do środka, zanim ktoś wpakuje ci kulę w łeb.

FaceValue nie zmienia pomarańczowego tagu braku pewności.

Chociaż nasz środek transportu nazywany jest lekkim pojazdem taktycznym, to określenie „lekki” jest względne. Z pancerzem i potężnym silnikiem LTV waży ponad siedem ton. Ten jest nawet cięższy, ze względu na opancerzone beczki z paliwem, przytroczone do tylnego zderzaka.

Rozglądam się po wnętrzu LTV, które zostało mocno zmodyfikowane.

Dwa przednie siedzenia są standardowe, przedzielone konsolą środkową. Do sufitu przymocowano stalowy stelaż z uchwytami na broń. Modyfikacje za przednimi fotelami budzą podejrzliwość. Znajduje się tam zaciemniona przegroda, która nie pozwala siedzącym z tyłu niczego widzieć przez przednią szybę, a małe okienka w tylnej części zamalowano na czarno, co sprawia, że zamknięty tam potencjalny kupiec - albo więzień - nie zobaczy nic z tego, co się dzieje na zewnątrz.

Jestem całkiem pewny, że ten LTV gościł dużo częściej jeńców niż klientów.

Tylne siedzenia usunięto, a podłogę wyrównano. Jako ustępstwo na rzecz wygody rzucono tam cienki materac; postanawiam zignorować widok wielkiej, choć wyblakłej plamy krwi, i wsiadam. Przynajmniej jest tutaj ogrzewanie.

Logan i Tran pakują się za mną. W pojeździe, pomimo jego zewnętrznych gabarytów, nie ma zbyt wiele miejsca.

- Niewielka obsuwa w porównaniu z naszym niedawnym środkiem transportu - zauważa Tran.

Leonid stoi przy otwartych drzwiczkach, z Luftarem u boku.

- Jestem pewny, że to prawda - mówi - ale tego nie da się przynajmniej zestrzelić z nieba.

Jestem zdumiony, że to powiedział, że uczynił aluzję do przedmiotu naszego zainteresowania, ale Leonid ciągnie jak najbardziej naturalnym tonem:

- Rozumiem, że pragniecie dobić targu i że mamy niewiele czasu, ale

kiedy usłyszałem, jakie środki podjęliście, żeby przybyć tutaj tak szybko - kręci głową - to nie wstydzę się przyznać, że się martwiłem. Ale dotarliście bezpiecznie i gdy tylko Luftar sprawdzi wasz ekwipunek i umieści w uchwytach waszą długą broń, ruszymy w drogę.

Zaciskam mocniej dłoń na uchwycie ztkh, patrząc spod oka na Luftara.

- Chcesz, żebyśmy oddali broń?

- Tylko karabiny. Luftar umieści je w otwartym stelażu w kabinie kierowcy. - Leonid wysuwa dolną wargę. - Nie jest uprzejmie wchodzić do domu innego człowieka, jeśli jesteś uzbrojony jak na wojnę.

- Jestem, kurwa, handlarzem bronią. Dlaczego nie mam być uzbrojony jak na wojnę?

Leonid rozumie moje wahanie. Gdy przybiera ponurą i poważną minę, FaceValue migocze, przelotnie pokazując niemożliwą do odcyfrowania sekwencję nastrojów.

- Nie znasz mnie, Shelley. Proszę jednak, żebyś mi zaufała jako swojemu przewodnikowi i pośrednikowi. Jesteśmy po tej samej stronie.

Czyżby?

Wracają do mnie moje własne słowa: „Uczestniczymy w nieliniowej wojnie. To oznacza, że nie ma żadnych «stron». Nie ma prawdziwych sojuszników, ustalonych wrogów ani określonego pola walki”.

Leonid prowadzi własną grę. Semakowa powiedziała, że jest tutaj w służbie Boga czy aniołów, a może tylko rosyjskiego Kościoła prawosławnego; Maksim Abaza i jego ekipa także twierdzą, że służą Bogu, ale pod inną flagą. A ja? Ja pracuję dla Czerwieni.

Zdobywam się na wąły uśmiech, sprawdzam bezpiecznik ztkh i podaję broń Luftarowi, który dziękuje cichym pomrukiem.

Pokazuję Loganowi, żeby także oddał swój karabin. Spogląda na mnie z powątpiewaniem w oczach, ale robi to. Tran okazuje buntownicze

nastawienie, ale jaki ma wybór?

Luftar znika z bronią.

- Możecie zatrzymać pistolety - mówi Leonid pojednawczym tonem. -
Wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi.

Oczywiście, że tak. Na razie wszyscy możemy coś zyskać, udając, że nasz
trójkąt wzajemnego zaufania może się utrzymać.

- Teraz ekwipunek - ciągnie Leonid. - Luftar sprawdzi wasz bagaż i
kasety z bronią, a także usunie wszelkie przekaźniki satelitarne, które
zatrzymamy, aż transakcja dobiegnie końca.

Tę prośbę łatwiej zaakceptować. Oddaję Luftarowi plecak, wiedząc, że nie
ma w nim niczego, co mogłoby wzbudzić jego zainteresowanie - w każdym
razie nie wśród najemników. Luftar wyjmuje wszystko: ubrania,
amunicję, racje żywnościowe, wodę, apteczkę pierwszej pomocy i mój
przekaźnik satelitarny, który zabiera. Pracuje sprawnie i z
poszanowaniem dla cudzej własności, a potem powtarza cały proces z
dwoma pozostałymi plecakami. Na końcu przygląda się pustym
walizeczkom na pistolety, po czym umieszcza je pomiędzy przednimi
siedzeniami a zaciemnioną przegrodą.

Kolejny odrzutowiec pasażerski ląduje z rykiem. Kiedy natężenie hałasu
jego silników opada do znośnego poziomu, Luftar pyta:

- *Nu, pojednom, Papa?* - Moja nakładka tłumaczy: „Pojedziemy, Papo?”.

Leonid wsiada razem z nami, a potem pokazuje naszemu uzbrojonemu
strażnikowi zadarty w górę kciuk. Luftar zamyka drzwi przedziału
pasażerskiego, odcinając nas od świata, i zielona ikona sieci na mojej
nakładce czerwienieje. Jednocześnie w naszym przedziale zapada
ciemność. Światło sączy się jedynie w postaci cienkich promieni
padających z drobnych otworków w czarnej farbie okien i wokół krawędzi
zaciemniającej przegrody - jest go dość, żeby ujawnić problem.

- Cholera - mówi Tran. - Nie mam tutaj sygnału.

- Ani ja - warczy Logan.

Mam inną skargę:

- Gdzie, do kurwy nędzy, jest klamka, Papo?

Leonid przyniósł ze sobą tapicerowane oparcie. Przyglądam się w mrocznym świetle, jak mości się pod zamkniętymi drzwiczkami. Opiera się beztrąsko i wyciąga nogi w poprzek kabiny. LTV rusza przed siebie.

- Musisz coś zrozumieć, Shelley. Ci, którzy nie zachowują rozsądnych środków ostrożności, nie pozostają długo w tym interesie.

- Nadal mamy pistolety - mówi Tran.

- Uważaj ze strzelaniem tutaj - radzi Logan. - Rykoszet mógłby cię zabić.

— I mnie - dodaje Leonid z zamkniętymi oczami, najwyraźniej zrelaksowany. - Wolałbym przeżyć tę transakcję. Postarajmy się zachować cierpliwość i powściągnąć emocje. - Widzę błysk, gdy otwiera jedno oko. - Zadbajcie o wygodę. To będzie długa jazda, a gdy tylko dotrzemy na miejsce, będziemy mieli do załatwienia pilny interes.

Układam plecak tak, żeby móc się o niego oprzeć. Mój pistolet Stonewall znajduje się w kaburze napierśnej; chłodny ciężar na sercu. Zamykam oczy i posługuję się nakładką, żeby sprawdzić koordynaty GPS, ale nie uzyskuję oczywiście nic więcejj ponad informację: „Poszukiwanie sygnału”. Otwieram oczy.

- Czy któryś z was ma dane lokalizacyjne?

- Nie. - Logan wydaje się zde gustowany.

Tran wskazuje kciukiem dach.

- To przez pancerz. Póki tu jesteśmy, nie odbierzemy żadnego sygnału.

- Środki ostrożności — wyjaśnia Leonid. - Wszyscy mamy wrogów.

Nie musi mówić tego, co jest oczywiste: że w tej więźniarce są kamery, które będą nas obserwować i rejestrować wszystkie słowa, ale nie te, których nie wypowiemy.

Skupiam się na zdaniu: „Jesteśmy nadal połączeni?”.

Sygnal przechodzi przez nasz gen-kom w postaci zaszyfrowanego, niewidocznego linku. Logan nic nie mówi. Nawet nie patrzy na mnie. Nie robi nic, co by nas zdradziło, ale jego matowy, syntetyczny głos mówi mi to, co muszę wiedzieć: „Wciąż połączony”.

I Tran: „Potwierdzam”.

Mam w nakładce szczegółową mapę. Przyglądam się jej i próbuję się domyślić, dokąd jedziemy, na podstawie warunków drogowych i odgłosów z zewnątrz.

Z początku nawierzchnia jest utwardzona i równa, ale jedziemy powoli, wśród trąbiących wokół nas pojazdów i dudniących silników Diesla. Promyki sztucznego światła przenikają przez otworki i przemieszczają się szybko po naszym przedziale. Przebiegają po spiętej twarzy Logana, ale znikają na ciemnej skórze Trana, pozostawiając na niej jedynie refleksy. Leonid jest widoczny tylko sporadycznie. Patrzy na mnie, spojrzenie ma surowe i stanowcze, nie jest już jowialnym gospodarzem, który powitał nas przed kilkoma minutami - FaceValue oznacza go nadal na pomarańczowo.

- Masz nakładkę, Papo? - pytam.

Prycha drwiąco.

- Jestem starym człowiekiem. - Światło przesuwają się po twarzy, na której widać teraz rozbawienie. - A w tej chwili myślisz sobie: „Tak samo jak Eduard Semak”.

Właśnie to sobie myślę.

- Semak miał nakładkę, a był dużo starszy od ciebie.
- No więc jestem młodszy. Powinienem się łatwiej adaptować, co? Ale ja się przystosowuję. Uczę się od otaczających mnie ludzi i nauczyłem się wiele od mojego szwagra. Jak prowadzić interesy. I nauczyłem się rzeczy, której nie zamierzał mnie nauczyć: znać swoje ograniczenia. Eduard je przekroczył. To nie jest ścieżka, którą pragnąłbym podążać.
- Dlaczego nie nosisz wizora? - chce wiedzieć Tran.
- Używam go, kiedy muszę się poruszać w nieznanym mieście albo znaleźć w tłumie czyjąś twarz. Jedziemy jednak na spotkanie z przyjaciółmi. Nie potrzebuję urządzenia, które poda mi ich imiona.
- Lub zmierzy poziom ich szczerości? - podsuwam.
- W tym biznesie nikt nie jest szczerzy, Shelley.
- Może dlatego FaceValue nie potrafi cię ocenić. Wszystko, co mówisz, chce oznaczyć jako bzdury, ale nie oznaczy niczego jako kłamstwo.

To wywołuje jego śmiech.

- Moi bratankowie polegają na FaceValue i narzekają na to samo. Ale to nie moja wina. To ten maszynowy umysł, którym się posługujesz, zaprogramowany do klarownego podziału świata na prawdę i kłamstwo. AI ma rację, kiedy informuje, że nie kłamię. Dlaczego miałbym łąać? Żyję wśród przyjaciół i wszystkich ich darzę uczuciem. Ale jeśli uważam, że połowa z nich to idioci, to czy powinienem im to powiedzieć? Jednak czuła nieszczerłość musi być trudna do ogarnięcia.
- Taa, sądzę, że tak.

Sprawdzam Leonida Sierguna w encyklopedii, ale wpis na jego temat to tylko zarys hasła. Plany misji nie zawierały jego biografii. Pamiętam jednak, co powiedziała o nim Jana Semakowa, jego bratanica: „Robił, co było trzeba zrobić”. Nie ma wątpliwości, że wśród jego przyjaciół byli tacy, którzy przekonali się później, że Leonid Siergun nie zalicza ich już dłużej do swoich przyjaciół.

Semakowa dodała jednak, że „się zmienił”.

Mam kurewską nadzieję, że to prawda.

Ruch uliczny za zamalowanymi na czarno oknami się zmniejsza, a silnik warczy głośniej, gdy Damir przyśpiesza. Zostawiamy miasto za sobą. Wiem o tym, bo do środka nie wsącza się już ani odrobina światła. W naszym przedziale trudno dostrzec cokolwiek, a droga staje się nierówna. Co nie znaczy, że zwalniamy.

Klnę po cichu Damira, szukając uchwytów i pasów. Wszyscy jesteśmy zmuszeni się zaprzeć, żeby nami nie miotało. Pozwalam, żeby mapa wyblakła i znikła z nakładki, gdyż dłużej nie jestem już w stanie jej obserwować. Zamiast oglądać mapę, rozmyślam o pułkowniku Abajianie.

Obserwuje nas. Satelity nie zapewnią mu ciągłego nadzoru w czasie rzeczywistym, jakiego potrzebuje. Będzie więc korzystał z drona.

Drony mogą być małe, wielkości kciuka. Mogą mieć rozmiary jastrzębia. Anioł, którego używamy, działając jako PGB, to metrowej rozpiętości skrzydło w kształcie półksiężyca, ale drony mogą być oczywiście znacznie większe, szybsze i o wyższym pułapie lotu. Zasilany energią słoneczną, wyposażony w doskonałą optykę i unoszący się bezgłośnie na wysokości dziesięciu tysięcy metrów dron może z powodzeniem śledzić obiekt poruszający się nawet w stromym leśnym terenie i dostarczyć dokładne koordynaty w celu naprowadzenia pocisku manewrującego.

Abajian nie będzie potrzebował od nas raportu na temat lokalizacji bazy. Będzie wiedział, gdzie się ona znajduje, w tej samej chwili, gdy znikniemy w jej wnętrzu. Od tego momentu będzie dysponował danymi celowniczymi, ale ufamy, że się wstrzyma z odpaleniem pocisku.

Po dłuższym czasie wschodzi słońce i na tył naszego LTV przesącza się światło dzienne. Jest mroczne, ale przynajmniej coś widzimy. Nie następuje za to porównywalna poprawa warunków drogowych.

Podskakujemy, kołyszymy się i grzechoczemy. A potem walimy w coś tak mocno, że rozlega się potężne uderzenie metalu o metal. Trana i mnie rzuca pod sufit. Loganowi udaje się utrzymać na miejscu, tak jak Leonidowi, ale nawet jemu kończy się cierpliwość. Wali wściekle wielką pięścią w zaciemnioną przegrodę, przeklinając Damira... i LTV zwalnia do mniej szaleńczej prędkości.

Tran masuje sobie guza, który wyskoczył mu na potylicy.

- Ten pieprzony kierowca musi się nauczyć jeździć!

Damir umie prowadzić. Ma tylko swój własny, nieustraszony styl jazdy. Silnik wyje szaleńczo. Poruszamy się w terenie tak nierównym, że się zastanawiam, czy w ogóle znajdujemy się na jakiejś drodze. Pojazd hamuje ostro, a potem redukuje biegi, jeden po drugim, wspinając się i zjeżdżając z góry oraz pokonując stuosiemdziesięciostopniowe zakręty.

W pewnej chwili LTV zsuwa się w bok. Luftar wykrzykuje bezużyteczną radę, gdy Damir zmienia biegi, dając gaz do dechy. Bóg jeden wie, jak głęboko spadniemy, jeśli droga ucieknie nam spod kół, ale nie czuję strachu, tylko dziwny gniew o niewielkim natężeniu. Nie chcę zginąć w drodze do podziemnej bazy. Chcę tam dotrzeć. Chcę ją znaleźć. Chcę, żeby ta misja okazała się warta zachodu. To pragnienie przypomina obsesję, która wyposaża mnie chemicznie w odpowiednie nastawienie. Patrzę na Logana. Intensywność jego spojrzenia każe mi myśleć, że jest podobnie nabuzowany.

Opony łapią przyczepność. Wystrzelujemy naprzód. Tran kopie w czarną przegrodę podeszwą buta, jakby chciał wywalić przepierzenie.

- Nie zabij nas, zanim tam dotrzemy, zdrańcu!

Nie potrafię się powstrzymać. Wybucham śmiechem. Jesteśmy jebanymi robotami, zaprogramowanymi i gotowymi do uruchomienia.

Po czterech godzinach i dziewięciu minutach od opuszczeniu lotniska LTV zatrzymuje się w końcu.

Słyszę na zewnątrz wiejący wiatr. Nic więcej.

Muszę się odlać.

W gen-komie rozlega się syntetyczny głos Logana: „Jesteśmy na miejscu?”.

Zadaję głośno to samo pytanie, kierując je do człowieka, który powinien znać odpowiedź:

- Jesteśmy na miejscu, Papo?
- Nie, za wcześnie.

Siada i odsuwa swoją poduchę od drzwi.

Wyciągam pistolet z kabury.

- Wyluzuj - dodaje Leonid z rozdrażnieniem. - Jesteśmy gośćmi. Chcą zrobić na nas wrażenie, a nie zabić.

Drzwi otwierają się z rozmachem, wpuszczając podmuch mroźnego powietrza oraz blask dnia, który oślepia po mroku panującym w LTV. Mrużąc oczy, zerkam na twarz zagląającego do wnętrza pojazdu kierowcy - uśmiechniętego, młodego szaleńca Damira. Na widok mojego pistoletu wyszczerza zęby.

- Bum! - mówi, celując do mnie z palca. Śmieje się, a potem macha ręką, zapraszając nas, żebyśmy dołączyli do niego na zewnątrz.
- Proszę, sir. Proszę, Papo. Możemy tutaj odpocząć.

Leonid wysiada pierwszy. Wkładam stonewalla do kabury, biorę kurtkę i wychodzę za Leonidem. Logan i Tran gramolą się za mną, obaj z pistoletami przytroczoneymi na udach.

Ziemię pokrywa cienka warstewka śniegu. Za pojazdem widzę błotniste ślady naszych opon, ale na gruntowej drodze przed nami śnieg jest czysty

i nienaruszony.

Zatrzymaliśmy się w pobliżu dna głębokiego, wąskiego jaru, na samej krawędzi rzadko rosnących młodych iglaków. Poniżej drogi płynie strumień. Ponad nim wznoszą się zalesione zbocza obejmujące niebo pokryte wiszącymi wysoko szarymi chmurami. Lekki wiatr kołysze czubkami drzew. Jest cholernie zimno.

Zerkam do szoferki i upewniam się, że zgodnie z obietnicą nasze ztkh są zabezpieczone w stelażu sufitowym. Potem wkładam kurtkę.

Pojawiają się koordynaty GPS, mówiące mi to, co już wiem - że znajdujemy się w górzystym rejonie, a w pobliżu nas nie ma żadnych miasteczek ani wiosek. Droga, na której jesteśmy, to kręta kreska w górach, bez nazwy czy numeru.

Zamykam mapę, żeby obserwować Luftara. Na lotnisku nie nosił wizora, ale teraz go ma. Swojego lashera biometrica przewiesił przez ramię, a w rękach trzyma SA-40 -drogiego drona inwigilacyjnego o samoregulujących się skrzydłach, zaprojektowanego do użytku w górach, gdzie panują zmienne wiatry. Wynosi urządzenie spod drzew, a kiedy ma nad głową czyste niebo, włącza elektryczny silnik i wypuszcza drona. Cicho pracujące śmigła unoszą go szybko w górę, w kierunku, w którym jedziemy.

Luftar nie śledzi anioła wzrokiem. Wraca pod osłonę drzew, gdzie staje z zadartą głową, obserwując wyświetlacz wizora.

- Tropiciel - mruczy po angielsku, po czym wraca do LTV.

Obok mnie staje Damir, z błyskiem podniecenia w oku.

- Widzisz go? - pyta, gapiąc się w niebo.

- Co?

Bierze mnie za ramię, skłaniając do wyjścia na otwartą przestrzeń, Idę z nim, miażdżąc z chrzęstem śnieg tytanowymi stopami, a Logan podąża za nami.

- Tam. - Pokazuje Damir.

I wtedy go zauważam. Wielki ptak, sokół lub może orzeł... albo dron zaprojektowany tak, żeby udawać drapieżnego ptaka.

Odwracam się na dźwięk zatraskujących się za mną drzwiczek. Luftar zamienił swojego lasherę na karabin snajperski kalibru 12,7 milimetra. Tran podchodzi i przygląda się z wyrazem niedowierzania, gdy Luftar opiera rozstawiony podnóżek broni na wysokiej masce LTV, Logan mówi przez gen-kom: „Nie ma mowy”. Nawet gdyby Luftar miał do pomocy w celowaniu AI - a nie sądzę, żeby nią dysponował - to niemożliwy strzał.

Jednak Luftar sprawia wrażenie pewnego siebie. Kuca za karabinem, celuje wysoko i naciska spust. Strzał odbija się echem od ścian doliny, gdy odwracam głowę, żeby zobaczyć, jak ptak - dron? - kołysze się, koziółkuje, gubi błyszczące fragmenty piór bądź plastiku, a potem spada szybko łukiem poza zasięg wzroku.

Obok mnie Damir wydaje okrzyk zwycięstwa, a jego podniecony głos dudni w wąwozie.

Luftar spogląda z dumnym uśmiechem.

- Inteligentny pocisk - mówi. - Nigdy nie chybia.

Użył samonaprowadzającego się pocisku, a nie zwykłej amunicji. Wygląda na tak cholernie zadowolonego, że niemożliwe jest nie odpowiedzieć uśmiechem.

- Wiesz, kto obsługiwał drona? - pytam.

- Nieważne - odpowiada za niego Damir. - Jeśli nie jest nasz, to wroga.

- A my mamy wielu nieprzyjaciół - oświadcza Leonid. Podchodzi do Luftara i wali go serdecznie w plecy. - Jesteśmy jednak dobrze strzeżeni.

Patrzę ponownie w niebo. SA-40 Luftara jest gdzieś tam nadal.

Pułkownik Abajian także będzie miał oczy na niebie, ale jego dron będzie się znajdował na dużej wysokości - coś subtelnego, wyrafinowanego,

niedostępnego.

- Uważaj, Shelley - ostrzega Leonid lekko szyderczym tonem. - Szperacza już nie ma, ale jeśli będziesz zbyt długo patrzył w niebo, to satelita może zarejestrować twoją twarz.

- Małe szanse.

Żeby zidentyfikować mnie w takim głębokim jarze, satelita inwigilacyjny ze sprzętem o wysokiej rozdzielczości musiałby przejść niemal bezpośrednio nade mną podczas tej króciutkiej chwili, gdy stałem z zadartą głową - a ja nie zawsze wychodzę dobrze na zdjęciach.

- Och, mój przyjacielu, nieprawdopodobne zdarzenia zabijają ludzi cały czas.

Odwracam się, żeby spojrzeć na niego. Stoi nadal pod drzewami, obok LTV. Na przekór swobodnemu tonowi twarz ma poważną. Rozumiem, że próbuje mi doradzić, ostrzec mnie, że popełniam błąd. Zerkam jeszcze raz w górę. Stoję obok Damira na otwartej przestrzeni. Niezbyt się tym przejmuję, gdyż Abajian wie, gdzie jestem: chcę, żeby ten stratosferyczny dron odnotował moją obecność. Ale James Shelley jako handlarz bronią nie myślałby w ten sposób. Byłby ostrożniejszy.

Kiwam głową, dając Loganowi znak, żeby poszedł za mną, i wracam pod osłonę drzew.

Z miejsca, w którym się zatrzymaliśmy, widzę czekającą nas drogę, która wspina się na strome zbocze. Siedemdziesiąt metrów dalej zakręca ostro i znika.

Ta droga budzi moją podejrzliwość.

Raport Abajiana stwierdzał, że wyrzutnia raketowa została rozłożona na części, a potem zmontowana ponownie na miejscu. Musiało tak być, gdyż droga nie utrzymałaby ciężaru BXL21, która poza tym nie zmieściłaby się na niej na szerokość. Nie jestem nawet pewny, czy podłoże byłoby wystarczająco wytrzymałe dla ciężarówek potrzebnych do przewiezienia elementów platformy startowej.

Patrzę ponownie na Leonida - na Papę — ale jeśli żywi jakieś podejrzenia, to ich nie ujawnia. Uśmiecha się i żartuje po rosyjsku z Luftarem, udając, że przykłada do ramienia wielki karabin. Naśladuje naciskanie spustu, a potem wyrzuca w górę ręce w geście udawanego zaskoczenia i zatacza się na boki, jakby odrzut zwałił go niemal z nóg. Śmieje się. Luftar i Damir wtórują mu. Do diabła, i ja się śmieję. Leonid jest naszym pośrednikiem w handlu bronią. Wiem, że to twardy, zimnokrwisty zabójca, ale nie widać tego - i jest kurewsko zabawny, kiedy tego chce. Być może to autoironiczne poczucie humoru pozwoliło mu żyć tak długo.

Luftar chowa karabin snajperski i rozdaje puszki z posłodzoną herbatą, chleb i zimną pieczeń jagnięcą. Jemy, stojąc pod drzewami, a potem Damir zapala papierosa. Po kilku minutach Luftar zwraca się do Leonida cichym, przeproszającym tonem. Leonid słucha uważnie, wyraża kiwnięciem głowy niechętną aprobatę, po czym odwraca się do mnie.

- SA-40 zlokalizował patrol w jednej z dolin przed nami. Luftar nie przejmowałby się spotkaniem z nimi, Shelley, gdyby nie to, że jesteście z nami. Padłyby pytania.

- Dobra. To co robimy?

- Zostajemy tutaj. To dobre miejsce. Później, gdy patrol przejdzie, ruszymy dalej.

Śpimy więc w LTV przy lekko uchylonych drzwiach. Kiedy nie chce mi się już spać, wędruję pod drzewa. SA-40 wraca dwukrotnie. Luftar wymienia w urządzeniu akumulatory i wysyła je ponownie. Po trzecim powrocie drona Luftar uznaje, że możemy bezpiecznie ruszać.

- Daleko jeszcze? - pytam Leonida, gdy drzwiczki pojazdu się zamykają.

- Tylko pół drogi do piekła - zapewnia mnie.

Siedząc zaparty, żeby nie poddać się wybojom i zakrętom podczas naszej jazdy w ślimaczym tempie, śledzę upływ czasu na nakładce. Igielki światła

wpadającego do tylnego przedziału LTV błędną stopniowo wraz z tym, jak nadciąga noc. Słyszę, że po drugiej stronie zaciemnionej przegrody Luftar coś mówi. Nakładka nie wychwytuje słów, ale ton głosu jest pogodny. Po chwili Damir krzyczy wesoło i wali ręką w kierownicę. Zatrzymujemy się gwałtownie. Sięgam ponownie po pistolet, chociaż myślę tęsknie o swoim ztkh tkwiącym w uchwycie po drugiej stronie ciemnego przepierzenia.

Słysząc, jak przednie drzwiczki najpierw się otwierają, a potem zatraskują. Sekundy mijają. Niemal minuta. LTV rusza ponownie naprzód. Podskakujemy, przejeżdżając powoli przez niską przeszkodę, po czym wtaczamy się na równą, płaską nawierzchnię. Jedziemy jeszcze chwilę, a potem zatrzymujemy się znowu.

Nawet pomimo szumu ogrzewania słyszę głosy rozmawiających na zewnątrz mężczyźni. Rozlega się głuchy łomot. Może zamykanie zdecydowanie ciężkiej bramy lub drzwi. Promyki jasnego, sztucznego światła strzelają ponownie przez dziurki w farbie. Wewnątrz jest jednak nadal zbyt ciemno, żeby dało się widzieć twarze, więc sprawdzam na głos:

- Grotów, Logan?
- Potwierdzam.
- Tran?
- Tak jest, sir.
- Jesteśmy wśród przyjaciół - ostrzega Leonid cichym tonem, nacechowanym ostrożnością.
- Bardzo chcemy poznać naszych nowych przyjaciół, Pa-po - odpowiadam.
- Tak, Shelley. Właśnie tak.

Myślę: „Bądźcie gotowi na każdą ewentualność”.

Drzwiczki LTV się otwierają.

Z początku wydaje mi się, że znajdujemy się w garażu. W błęd wprowadzają mnie jarzeniowe lampy. Są zamontowane na suficie, ale to wykuty w skale strop, a nie beton. Światła są jasne, jednak kubatura, którą mają oświetlić, jest wielka, a odległości między lampami duże. Rezultatem jest szachownica cieni. Powietrze jest wilgotne i zimne, ale nie tak jak na zewnątrz, na wietrze. Gdzieś dalej mruczy generator.

Uśmiechnięty Damir stoi przy drzwiczkach. Za nim widzę dwunastu mężczyzn, łącznie z Luftarem. Nie ma kobiet.

Podobnie jak Luftar, większość mężczyzn ma na sobie wojskowe ubrania o leśnym wzorze kamuflażu, ale nie amerykańskie. Kilku nosi czarne swetry i oliwkowobrazowe spodnie. To wciąż młodzi ludzie, ale o cerach spalonych słońcem i zniszczonych przez warunki atmosferyczne. Połowa z nich ma gęste, kudłate włosy i brody - czarne, brązowe, rude i blond. Reszta jest ostrzyżona maszynką, a ich brody to krótka szczecina. U żadnego nie widać śladu siwizny.

Jednego z krótko ostrzyżonych mężczyzn o kasztanowych włosach moja nakładka oznacza jako Maksima Abazę, przywódcę tego terrorystycznego zgromadzenia. To biały; jest chudy, o ostrych rysach twarzy, która nosi nadal ślady brązowej opalenizny. Kiedy patrzy na mnie, jego zadowolony półuśmiech przekazuje poczucie triumfu.

Nakładce nie udaje się zidentyfikować żadnego z jego ludzi, ale system zapamięta ich twarze.

Luftar trzyma swojego lasher 762 w kołysce ramion. Trzej inni mają taką samą broń. Powinienem uznać to za zagrożenie, ale kiedy wyciągają szyje, żeby zajrzeć do mrocznego wnętrza, na ich twarzach widzę wyłącznie zaciekawienie. Leonid pokazuje mi, żebym wysiadł pierwszy, więc wyłażę z plecakiem w rękach. Wita mnie zbiorowy pomruk oraz słowa wybrane przypadkowo przez moją nakładkę do przetłumaczenia, w większości odpowiedniki fraz: „Widzisz jego stopy? To on”.

Dokładnie tak, jak to obiecał Abajian. Jestem celebrytą, nawet w tym miejscu.

Gdziekolwiek owo miejsce jest, do diabła.

Abaza wysuwa się naprzód, wyciągając dłoń na powitanie.

- Shelley. - Wskazuje ruchem głowy moje stopy. - Nie ma wątpliwości, że to ty, żywy, jak obiecano, chociaż pogłoski twierdzą uparcie, że to nieprawda. Jestem zaszczycony, sir. Zaszczycony.

Wyciągam rękę, żeby uścisnąć dłoń mojego gospodarza terrorysty, i zostaję wciągnięty w niedźwiedzi uścisk, podczas gdy Leonid protestuje za moimi plecami:

- Maksim! Przysiągłem, że przywiozę do ciebie Shelleya! Wątpiłeś we mnie? Zraniłeś mnie! Zraniłeś!

Chwyta się za serce, żeby to udowodnić, a my wszyscy się śmiejemy. Jesteśmy wesolą paczką, skupioną na zawróceniu biegu świata, żeby skłonić go do posługiwania się prymitywnymi środkami łączności z lat pięćdziesiątych.

Ściskam dłonie reszcie bojowników, a moi twardziele gramolą się z LTV z plecakami na grzbietach i z pistoletami w kaburach na udach. Logan i Tran podejrzliwie patrzą zmrużonymi oczami. Są w tyle naszego programu przyjaźni międzynarodowej. Ignoruję ich, tak jak pozostali.

Ze wszystkich stron otacza nas surowa szara skała; żadnego betonu. Podłoże jest płaskie, ale żwirowate, i jest mnóstwo wolnego miejsca - dosyć, żeby zawrócić LTV. Nasz pojazd nie jest tutaj jedyny. Przed nim parkują tyłem pod ścianą trzy pick-upy z erkaemami zamontowanymi na skrzyniach ładunkowych. Po przeciwległej stronie stoi ciężarówka z platformą, zatem moje pierwsze wrażenie, że znajdujemy się w garażu, nie było całkiem mylne. Ale poszukiwanej przeze mnie wyrzutni raketowej tutaj nie ma.

To nie znaczy, że nasz wywiad się myli. Od oświetlonej komory odchodzi tunel. Jest wystarczająco szeroki, żeby przejechał nim czołg - albo kołowa wyrzutnia rakiet - możliwe więc, że nasz cel jest ukryty w dalszej części kompleksu.

Nie znam się na górnictwie, ale uważam, że ta PBO nie była nigdy kopalnią. Wyobrażam sobie jakiś paranoiczny rząd albo szmalcową armię rewolucyjną, która wykuła schron we wnętrzu góry, żeby służył jako kryjówka, forteca czy bunkier przeciwlotniczy.

Zaledwie kilka metrów za LTV znajdują się masywne wrota, teraz zamknięte, ale to tamtędy musieliśmy wjechać. Brama wykonana jest z grubych, nitowanych, czarnych stalowych blach i, podobnie jak tunel, jest wystarczająco duża, żeby przejechał przez nią czołg. Zamierzam przyjąć, że dron pułkownika Abajiana prześledził pomyślnie naszą jazdę aż do tych wrót. Obecne zadanie polega na stwierdzeniu obecności wyrzutni raketowej, ale czy się nam to uda, czy nie, to sanktuarium stało się oznaczonym celem.

Abaza zauważył moje zainteresowanie bramą. Szczęrzy się, odsłaniając żółte zęby.

- Chodź i popatrz.

Idę za nim. Wrota górują nad naszymi głowami, ich powierzchnia jest zimna w dotyku. Abaza przekreśla zamek. Słyszę działanie gładko pracującego, dobrze naoliwionego mechanizmu. Maksim droczy się ze mną, upewniając się, że rozumiem, iż jesteśmy tutaj w pułapce.

- Drzwi trzymają stalowe bolce grubsze niż kutas słonia. Nikt nie wchodzi. Nikt nie wychodzi, póki nie załatwimy naszego interesu.

Podchodzi Leonid i obejmuje nas wielkimi ramionami.

- A powinniśmy do niego przystąpić, przyjaciele. Jest dużo roboty, a - jak sądzę - niezbyt wiele czasu.

Abaza spogląda gniewnie, niezadowolony z przypomnienia.

- Czasu jest dość, Papo. Chodźcie. Napijemy się kawy i zjemy ostatni posiłek.

Uwalnia się z objęć Leonida i odchodzi sztywnym krokiem w stronę tunelu. Obserwuję go, zastanawiając się, czy jest tam więcej ludzi, czy też

trzynastka, którą widzieliśmy do tej pory, to wszyscy bojownicy Północnego Miecza.

Leonid wzmacnia uścisk na moim ramieniu.

- Cierpliwości, przyjacielu. Jest dużo towarów do wyceny, dużo do zrobienia. Te sprawy zawsze wymagają czasu.

Idziemy za Abazą w głąb tunelu, a jego ludzie podążają za nami. Padający z garażu blask oświetla kilka pierwszych metrów drogi. Więcej światła pada z bocznego otworu dwadzieścia metrów przed nami. W głębi widzę kolejne wejście do komory bocznej albo tunelu, chociaż jest nieoświetlone. Bez noktowizji nie jestem w stanie sięgnąć wzrokiem dalej, słyszę jednak cichy warkot generatora. Intensywniejszy od niego jest odgłos naszych kroków. Zarówno pochodzące od nich echo, jak i słaby powiew powietrza mówią mi, że tunel wnika głęboko w skałę.

Abaza znika w oświetlonym wejściu. Podążamy za nim i wchodzimy do głębokiej komory wykutej pod kątem do korytarza. W beczkach pod jedną ze ścian zmagazynowano przypuszczalnie wodę albo paliwo. Jest tam stół warsztatowy z kuchenką na propan-butan i dwie kuchenki mikrofalowe. Długi, niski stół otaczają poduszki, są tu również cienkie materace ze skotłowanymi śpiworami. Jest ich dziewięć; mniej, niż liczba obecnych tutaj mężczyzn. Może stosują rotację wart, śpią na zmianę, ale to zdecydowanie są koszary.

Abaza zaprasza nas do zajęcia miejsc przy stole, a jego ludzie parzą kawę i podgrzewają gotowe dania. Po drugiej stronie stołu Maksim rozmawia z Leonidem po rosyjsku. Moja nakładka próbuje tłumaczyć, ale gdy uznaję, że negocjują warunki transakcji, ignoruję ich rozmowę i rozglądam się, usiłując ocenić wielkość pomieszczenia.

Logan wyprzedza mnie w tym. „Tunel czołgowy” - mówi.

Siedzi obok mnie; zerkam na niego. Z tunelu czołgowego korzysta się w celu ukrycia pojazdów pancernych i innego sprzętu bojowego, a także do

sekretnego przerzucenia go w pobliże spornej granicy lub na drugą jej stronę. Komora jest wystarczająco obszerna, żeby spokojnie zmieścił się w niej czołg. Przypuszczalnie da się tutaj zaparkować dwa, jeden za drugim. Ze względu na kąt, jaki pomieszczenie tworzy z korytarzem, łatwo byłoby wyjechać nimi do tunelu. Nie wiemy na pewno, czy znajdują się tutaj kolejne komory, ale domyślam się, że tak. Wyobrażam sobie cały ich szereg, wydrążonych w skale na kształt szkieletu ryby. W pieczarze tej wielkości mogłaby się zmieścić wyrzutnia rakiet.

Co to za kraj, do diabła, w którym polityka i geografia sprawiają, że zbudowanie tunelu czołgowego jest warte zachodu?

Ponownie rozwijam na nakładce mapę regionu i przyglądam się topografii okolicy, ale nie widzę żadnej oczywistej kandydatury na miejsce naszego pobytu, zwijam więc mapę, żeby nie zwracać na siebie uwagi nieobecnym spojrzeniem.

Bojownicy stawiają na stole parujące plastikowe tacki. Nalewają kawę. Jemy, aż po kilku minutach odzywa się Abaza, tym razem po angielsku.

- Shelley - zwraca się do mnie, kiwając głową w stronę jednego ze swoich żołnierzy. - Mój przyjaciel jest ciekawy. Chce cię zapytać o kobiety, które służą w amerykańskim wojsku.

Czuje, że przybieram kamienny wyraz twarzy. Wszyscy wokół stołu przyglądają mi się, chcąc usłyszeć, jaki użytek robimy z kobiet na froncie.

Zainteresowany się odzywa. Nakładka zaczyna tłumaczyć, ale przerywam to, polegając na wersji Abazy, który z chłodną miną odchyła się na swoim siedzisku.

- Kiedy mój przyjaciel walczył w Afryce, starsi mężczyźni powiedzieli mu, że niektórzy amerykańscy żołnierze to kobiety. Sądził, że robią go w konia, i nie chciał w to wierzyć.

Facet odzywa się ponownie. Abaza i pozostali się śmieją. Czuje, że Logan sztywnieje obok mnie, a Leonid zaciska usta i zwraca się do Abazy:

- Obrażacie swojego gościa?

- To nie zniewaga - odpowiada Abaza. - To fakt. - Patrzy na mnie; chce, żebym się dowiedział, co mówił jego podwładny. - Nie wierzył, że żołnierki to coś więcej od propagandy, aż wzięli jedną do niewoli. Pole walki to nie jest miejsce dla kobiet.

Nie mówi nic więcej. Nie musi.

Patrzę na niego, wodzę wzrokiem po jego ludziach i się zastanawiam: Ilu żołnierzy amerykańskich zabili? Ile kobiet pobili i zgwałcili? Ilu niewinnych cywilów zginęło z ich rąk?

To wrogowie. Prawda, której nie chcę zapomnieć.

Abaza wbija ponure spojrzenie w blat stołu. Musi rozpaczliwie pragnąć, żeby ta transakcja doszła do skutku; musi rozpaczliwie potrzebować forsy. Z innego powodu nie ryzykowałby mojej obecności w tym miejscu. Mam nadzieję, że martwi go moja złość. Nie składa jednak przeprosin, udając, że nie stało się nic złego. Odwraca się do Leonida i mówi:

- Damir pokaże wam arsenał. Bierzcie, co chcecie. Weźcie wszystko! To bez znaczenia. Tylko bądźcie gotowi odjechać przed świtem.

Do świtu jest co najmniej dziesięć godzin. Mam nadzieję, że Abajian jest gotów poczekać tak długo.

Damir jest zmęczony jazdą. Przychodzi do nas, ziewając -młody, szalony stoik, który przyjmuje swój los z wdziękiem i zawołowaną dumą.

- Maksim obarcza mnie tymi zadaniami ze względu na mój angielski. To brzemię wiedzy.

- Twój angielski jest doskonały, mój młody przyjacielu - zapewnia go Leonid. - To twoją technikę jazdy należy poprawić.

Tran się śmieje, ale przynajmniej raz Damir nie uznaje żartu Leonida za zabawny.

- Możecie zostawić tutaj bagaż. Nie idziemy daleko.

Podnoszę plecak za pas ramienny.

- Możemy potrzebować naszych rzeczy.

Damir wzrusza ramionami.

- No to chodźcie.

Dołącza do nas Luftar, tuląc lasherę, podczas gdy Damir prowadzi nas w głąb tunelu. Obok ciemnego wejścia do kolejnej komory, które widziałem wcześniej, błyszczą słabe zielone światełko oznaczające położenie włącznika lamp. Damir zapala światła w pomieszczeniu o takiej samej wielkości i kształcie, co komora koszar, leżącym pod identycznym kątem w stosunku do korytarza.

- Nie ma tutaj zbyt wiele - stwierdza.

I ma rację - magazyn jest niemal pusty. Znajduje się w niej pół palety amunicji do kałasznikowów z okresu wojny irackiej i cała paleta stosunkowo nowych rosyjskich RPG. Nic więcej.

Logan i Tran stoją na straży po obu stronach wejścia, a Luftar wałkoni się w korytarzu, paląc papierosa i obserwując każdy nasz ruch. Otwieram skrzynie. Leonid wyjmuję tablet, którym fotografuje i kataloguje towary. Pyta o moją opinię i udaje zainteresowanie tymi skromnymi informacjami, jakie mam do zaoferowania. Kiedy skrzynie zostają zamknięte ponownie, zakleja je taśmą i przymocowuje do każdej znacznik identyfikacyjny.

- Kiedy te materiały dotrą do mojego magazynu - wyjaśnia — zostaną zeskanowane. Po zliczeniu wszystkich znaczników nastąpi automatyczny transfer pieniędzy, które złożyłeś w depozycie.

Zaawansowana bankowość terrorystyczna.

Oczywiście nie złożyłem w depozycie żadnej forsy, ale sądzę, że ktoś to zrobił. Można sfalszować wszelkie dane, w tym na temat czyjejs śmierci -

sam jestem tego najlepszym przykładem - ale na podstawie tego, co powiedzieli mi tacy ludzie jak Bryson i Cory, wiem, że nawet Czerwień wymaga, żeby pieniądze były prawdziwe. Nie wiem, czyją forsą gramy, i nie ma to znaczenia, gdyż te terrorystyczne zabawki, które Leonid inwentaryzuje tak pieczołowicie, nie dotrą nigdy do żadnego magazynu - jeśli będę musiał, wysadzę je po drodze w powietrze - i żadne pieniądze nie przejdą z rąk do rąk.

Chciałbym, żeby Leonid się pośpieszył, do kurwy nędzy. Chcę rzucić okiem na rzeczy w głębi tunelu, żeby stwierdzić, czy kryje się tam wyrzutnia raketowa.

- Damir, sprowadź wózek widłowy - mówi Leonid. - To jest gotowe do załadowania na ciężarówkę.

Damir prześlizguje się obok Logana i Trana. Podążam za Leonidem. Kiedy wychodzimy z komory, Logan świeci latarką w głąb tunelu.

- Wygląda na to, że są tam jeszcze dwa magazyny.

- Więcej komór z kolejnymi dobrami! - oświadcza Leonid. - Nie zafundowałbym wam całego dnia takich cierpień dla jednej palety RPG.

Przestałem zwracać uwagę na FaceValue, gdyż Leonid pokonał aplikację. Analiza emocjonalna nie sprawdza się w ocenie intencji człowieka, którego każde słowo jest odczytywane jako półprawda nasączona podstępem. Trudno jednak nie lubić starego cwaniaka. Mam tylko nadzieję, że naprawdę prowadzimy tę samą grę.

Zostawiwszy w komorze włączone światła, idziemy w głąb tunelu. Po drodze, w świetle latarki Logana, patrząc pod nogi, szukając wskazówek, że przetoczyły się tędy kiedykolwiek gaśnice czołgu, ale podłoże jest gładkie.

Komory znajdują się po obu stronach korytarza. Tran przerzuca włącznik światła przy wejściu do następnej, a ja powstrzymuję jęk zawodu. Ta jest pełna palet towarowych, ale ani śladu wyrzutni.

- Aaaha - zaciąga Leonid. - Tylko spójrzcie. Popatrzcie na to wszystko.

Znaleźliśmy zbrojownię.

Odwracam się do Luftara. Kiwa głową, jakby mówił: „Zaczekam”, i zapala kolejnego papierosa. Widzę, że dym dryfuje w kierunku garażu. Czy wyrzutnia jest tutaj? Jeśli zapytam o nią Luftara, powie mi to?

- Shelley! - woła Leonid. - Tutaj jest więcej, niż się spodziewałem. Więcej, niż zmieścimy na ciężarówce!

To jego sposób na przypomnienie mi, że występuję w roli handlarza bronią i że nie mogę z tej roli wypaść. Daję znak Loganowi i Tranowi, żeby stanęli ponownie na posterunku po obu stronach wejścia. Zostawiwszy przy nich plecak, dołączam do Leonida.

Pracujemy szybko, spisując skrzynie kałachów i granatników, kontenery C-4 i palety amunicji. W innych pakach znajdują się kamizelki kuloodporne, po części nowe, po części używane, stare noktowizory, granaty zapalające i rozpryskowe, miny przeciwpiechotne oraz wyrzutnie kierowanych pocisków ziemia-powietrze. A potem Leonid zatrzymuje się nad otwartą skrzynią. Są w niej zbiorniki z gazem, opisane po arabsku. Moja nakładka tłumaczy napis, ale to jedynie nazwa producenta.

- Prawdopodobnie syryjskie - uznaje Leonid. - Z dawniejszych czasów.

Skóra mnie szczypie.

- Czekaj... myślisz, że to sarin?

- *Da.*

To garażowa wyprzedaż w domu diabła.

Zerkam przez ramię. Luftar przygląda się nam z korytarza. Uśmiecha się do mnie i kiwa nieznacznie głową. Gdyby w tym schronie przebywali inni mężczyźni oprócz tych, których już widziałem, byłyby jakieś wskazówki świadczące o ich obecności, światła lub dźwięki, ale nie ma żadnego śladu. Dochodzę do wniosku, że jest ich tylko trzynastu. Gdybyśmy się uzbroili odpowiednio i uderzyli na nich bez ostrzeżenia, moglibyśmy wygrać wymianę ognia. Luftar stoi na straży, pilnując, żeby do tego nie doszło.

- Gdzie ten chłopak? - warczy Leonid. - Damir! - Wychodzi na zewnątrz i woła w głąb tunelu: - Damir! Gdzie...?

Urywa, pojmując, że ktoś tam także krzyczy - po rosyjsku, niezrozumiale i wulgarnie. To Abaza. Leonid cichnie, wysłuchując wściekłej tyrady.

- Cholera - szepcze.

A ja myślę, że Abaza musi wiedzieć. Musi wiedzieć, dla kogo pracujemy i po co naprawdę tutaj przyjechaliśmy.

Podchodzę do wyjścia z komory i staję obok Logana i Trana. Odwrócony Luftar patrzy w stronę źródła hałasu. Przysuwam się do niego bliżej, a moja dłoń dryfuje ku kaburze napierśnej.

Nie chcę zabić Luftara. Wydaje się przyzwoitym facetem. Ale ja też, przez większość czasu. Przede wszystkim jest wrogiem wyznaczonym do pilnowania nas z lasherem w garści.

Nie mogę dać mu szansy na użycie tej broni.

„Załatwiamy go?” - pyta Logan.

Mamy jedynie trzy pistolety Stonewall. Kiedy Luftar padnie, jego lasher na nic nam się nie przyda, gdyż jest przypisany biometrycznie do właściciela, mamy jednak za plecami pomieszczenie pełne broni - dosyć, żeby wywołać wojnę.

Przypominam sobie, gdzie są zmagazynowane granatniki RPG; obliczam, ile sekund potrzebuję na otwarcie skrzyni i rozdanie broni.

Gwałtowność działania zapewniała mi już wcześniej zwycięstwo w walce.

Więc odpowiadam: „Tak”.

Logan i Tran sięgają jednocześnie po swoje pistolety. Ja robię krok wstecz w stronę granatników. Z głębi tunelu ktoś o coś pyta.

Nie rozumiem słów. Nie wiem, kto to jest. Odwracam się z wyciągniętą

bronią, kierując w ciemność długą, grubą lufę stonewalla. Ktoś krzyczy. Wszyscy krzyczą: Logan, Luftar, Tran, Leonid, właściciel nieznanego głosu i ja - i zgadzają się co do jednej rzeczy:

- Nie strzelać!

Przez pół sekundy panuje kompletna cisza, a potem wzdłuż tunelu grzmi głos Abazy:

- Co jest, kurwa? Co jest, kurwa?

Nie odwracam się, żeby spojrzeć na niego, gdyż wiem, że Logan mnie osłania. Skupiam uwagę na nieznajomym. W sączącym się do tunelu słabym świetle widzę młodego mężczyznę, po dwudziestce. Moja pierwsza myśl: To nie jest żołnierz. A druga: Mogę go wykorzystać jako zakładnika?

Oczy przesłania mu wizor świecący słabą zielenią. Jego wąski pasek opiera się na wydatnym nosie, ponad ostrymi kośćmi policzkowymi - ma bliskowschodnie rysy twarzy zwieńczonej krótką grzywą gęstych, czarnych włosów. Wygląda jak bogaty cywil, który postanowił spędzić miesiąc w górach: spodnie khaki, buty trekkingowe, brudna termiczna kurtka w kolorze szalwiowej zieleni oraz kilkudniowy zarost na brodzie. Żadnej broni, którą bym widział, ale na jego twarzy maluje się szok świadczący o tym, że mnie rozpoznał; mina typu „o ja pierdołę”, która wcale mi się nie podoba.

Odwraca się do ucieczki. Ruszam za nim. Dopadam go w dwóch susach. Łapię za bark. Pcham na ścianę tunelu, wciskam mu pod brodę lufę stonewalla, którego rubinowy blask celownika laserowego jest tak jasny, że sprawia wrażenie, jakby mu wypalał dziurę w dolnej szczęce.

- Kim ty, kurwa, jesteś? - warczę, ufając, że Logan i Tran osłonią mnie przed Luftarem, Abazą i jego ludźmi.

- Nikim - szepcze tym razem po angielsku z amerykańskim akcentem. — Nie jestem uzbrojony.

Leonid podchodzi, żeby mnie zbesztać.

- Shelley, mój przyjacielu...

Jednak Abaza dociera już do nas i opanowuje sytuację.

- Shelley! - Słyszę w jego głosie panikę, która niemal pozbawia go tchu. - Proszę, Shelley. Sam chciałem zabić Issama wiele razy, ale proszę cię, żebyś tego nie robił. Jest nieszkodliwy, a ja go potrzebuję.

- Puść go, Shelley - mówi Leonid. - To było nieporozumienie, nic więcej.

Tunel jest teraz pełen ludzi Abazy i element zaskoczenia, jakim mogliśmy dysponować jeszcze chwilę temu, przepadł, ale minęło także poczucie zagrożenia, które pchnęło nas niemal do walki.

Chowam pistolet do kabury, ale nie puszczam Issama, jeszcze nie. Podnoszę jego wizor i odsuwam go sprzed oczu, pozwalając mojej nakładce przyjrzeć się mu uważnie, a ona identyfikuje go w końcu i oznacza jako Issama Saliba, urodzonego w San Jose obywatela amerykańskiego, absolwenta

Uniwersytetu Stanforda, posiadającego doktorat z informatyki.

- Chyba, kurwa, żartujesz - mówię samymi ustami, a nie na głos, ale Issam nadaża.

Kręci nieznacznie głową. To nie tyle zaprzeczenie, ile gest bezsilności i rozpacz, który każe mi się zastanowić, jak bardzo wierzy w sprawę radykałów.

Puszczam go i cofam się o krok.

- Maksim, co on tutaj, kurwa, robi? Dlaczego wypadł na mnie z ciemności?

Abaza podchodzi bliżej. Obserwuję go czujnie. Trzyma swobodnie swojego lasher'a 762 jedną ręką, ale patrzy na Issama, nie na mnie. Niemniej odsuwam się, tworząc między nami większy dystans.

- Nie - mówi Abaza, odwracając się do mnie z urażoną miną. - Podejdz. -

Przywołuje mnie gestem, żebym ruszył za nim w głąb tunelu. - Chodź, pokażę ci, do czego Issam mi jest potrzebny, dlaczego zostało nam tylko kilka godzin.

- Dostałeś informacje z zewnątrz? - pyta Leonid. - Złe wieści?

Abaza odpowiada po rosyjsku, ale moja nakładka podsuwa szeptem tłumaczenie: „Nic, co by zakłócało nasze obecne działania”.

Zaledwie minutę temu wściekła przemowa Abazy dudniła echem wzdłuż tunelu. Teraz on milczy. Trzyma złość na wodzy, ale gniew czai się nadal tuż pod powierzchnią. Czuję go. Widzę w napięciu jego mięśni, a FaceValue potwierdza moją obserwację. Najgorsze, co mógłbym teraz zrobić, to sprawiać wrażenie, że się go boję. Lepiej wyglądać jak trep. Chwytam więc ponownie Issama, tym razem za ramię, i ciągnę go ze sobą, idąc za Abazą, który się ogląda, ocenia sytuację i parska krótkim śmiechem. Jestem człowiekiem pokroju.

Przyciągam Issama bliżej do siebie.

- Co sobie pomyślałeś, kiedy mnie zobaczyłeś?

- My...myślałem, że przyszliście mnie zabić.

Głos ma zdyszany, ton proszący. Udało mi się nieźle go nastraszyć, a Abazie to nie przeszkadza; bawi go to. Sytuacja Issama nie jest tutaj dobra i może to wykorzystam.

- Dlaczego miałbym chcieć cię zabić?

Abaza śmieje się ponownie.

- Bo jesteś bohaterem Zachodu, a Issam zada kolejny cios waszemu imperium satelitów.

Zatem nasz wywiad miał w większości rację. Platforma wyrzutni znajduje się tutaj, ale to nie Abaza jest jej intelektualnym zapleczem, tylko Issam. Czy to zmienia coś w równaniu?

Gdy wchodzimy w ciemność, Logan trzyma się tuż za mną. To jego latarka pozwala mi widzieć, dokąd idę. Zakładam, że Tran jest obok niego, a także Leonid. Są i inni, ale nie oglądam się. To Abaza mnie martwi.

Docieramy do następnej komory. Abaza zatrzymuje się obok zielonego blasku włącznika świateł.

- Nie ufam ci, Shelley - mówi. - Nie ufam nikomu. Nawet naszemu przyjacielowi Leonidowi. Ale nie muszę ci ufać, bo nie możesz mnie zdradzić. Niebawem stąd wyruszamy. Ty wrócisz z Leonidem i opowiesz światu o tym, co tutaj widziałeś, czego dokonaliśmy i jak mi się powiodło, gdy inni zawiedli w Sudanie i Boliwii.

Abaza. Lubi odgrywać milczącego twardziela, ale to tylko poza. Za nią kryje się mały chłopiec, który chce, żeby świat się go bał i podziwiał.

Wporzo, jak dla mnie.

Puszczam Issama, spodziewając się, że ucieknie, ale on stoi po prostu obok, masując sobie ramię.

- Co się stało w Sudanie? - pytam Abazę. - I w Boliwii?

- Zdrada. Fiasko. Ale nie zdarzy się tutaj.

Pułkownik Abajian powiedział, że przygotowywane są sojusznicze operacje w celu uderzenia w znane lokalizacje dwóch innych wyrzutni raketowych. Domyślam się, że Północny Miecz jest ostatnim szansem.

Abaza włącza światła, ujawniając to, co spodziewałem się ujrzeć - kołową wyrzutnię rakiet BXL21. Jest ogromna. Znałem jej gabaryty, ale widok platformy stojącej przed nami i wypełniającej sobą wnętrze komory, bez choćby metra wolnej przestrzeni wokoło, paraliżuje mnie swoją doniosłością i sugerowaną mocą.

Pojazd stoi tyłem do ściany, patrzę zatem na okna kabiny, a platforma z czterema pociskami w kołysce znajduje się z tyłu. Trzeba baterii kół, żeby podtrzymać łączny ciężar wyrzutni, jej podpór stabilizacyjnych i rakiet YGH-77. Widzę osiem grubych opon po jednej stronie. Każdy z czterech

pocisków podtrzymuje osobny podnośnik hydrauliczny, ustawiający go w pionowej pozycji startowej. Rakiety mają ponad siedem metrów długości, ale są smukłe i wąskie. Ponad silnikiem pierwszego stopnia błyszczą stateczniki.

Nasze jedyne zadanie polegało na zlokalizowaniu podziemnej bazy i potwierdzeniu obecności wyrzutni rakiet. Zrobiliśmy to. Moglibyśmy odejść z tą wiedzą i uznać operację za sukces, ale tak naprawdę misja nie będzie wykonana, póki to urządzenie nie zostanie zniszczone. Pułkownik Abajian obiecał to zrobić, ale na wojnie nie ma nic pewnego. Najdrobniejszy przypadek może stanowić o różnicy między powodzeniem a fiaskiem.

Wzdrygam się, gdy Abaza kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Równowaga sił się zmienia. BXL21 nie należy do naszej oferty, ale broń, którą kupujesz, będzie dzięki niej warta nawet więcej. Kiedy świat będzie wracał do równowagi, nastąpi okres chaosu. Wzbogacisz się.

W dupie mam złomowisko wojskowych artefaktów Abazy.

I nie chcę stąd odejść, pozostawiając za sobą nietkniętą wyrzutnię rakiet. Abazie może wystarczyć mniej niż godzina, żeby wytoczyć platformę na zewnątrz i przygotować pocisk do odpalenia. Issam może mieć dla niego listę setek celów do wyboru. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że pocisk manewrujący pułkownika Abajiana uderzy zbyt późno.

Nie sądzę, żeby BXL21 było znowu tak trudno zniszczyć tutaj, gdzie się znajduje.

W głowie zaczyna mi świtać pewien pomysł. A jeśli rakiety da się odpalić wewnątrz PBO? Przenoszone przez nie głowice nie są wybuchowe, to broń kinetyczna, zaprojektowana do niszczenia celu samą masą i impetem uderzenia, ale dlaczego miałyby to mieć znaczenie? W mieszance napędowej jest tlen. Gdyby udało mi się odpalić wszystkie cztery rakiety, to paliwo wytworzyłoby z pewnością dosyć energii cieplnej, żeby rozwalić ten kompleks pieczar.

Pułkownik Abajian dał mi wolną rękę co do tego, jak najlepiej możemy się przysłużyć celowi operacji. Zniszczenie BXL21 oraz doprowadzenie do tego, że PBO nie będzie nigdy więcej nadawała się do użytku, wypełniłoby cele misji z nadatkiem.

W nacechowanym narastającą podejrzliwością milczeniu wybuch sztuczny entuzjazm Leonida.

- Maksim! - Siergun przepycha się obok mnie. - Uczestniczysz w tym. - Jakby był pod ogromnym wrażeniem. - Zastanawiałem się. Dziwiłem się, że postanowiłeś sprzedawać. Wiedziałem, że chodzi o coś wielkiego.

Omija leżącą na podłodze przeszkodę w postaci materaca ze śpiworem. Issam musiał tutaj sypiać. Obcy wśród ludzi Abazy.

Leonid zaczyna obchodzić wokoło pojazd, przyglądając się mu badawczo wielkimi ze zdumienia oczami i kadząc Abazie tak nachalnie, że się dziwię, że tamten nie zastrzelił go z obrzydzenia na miejscu.

- Zdumiewasz mnie, mój przyjacielu. Swoją determinacją i sprytem, które pozwoliły ci sprowadzić tutaj to ogromne, skomplikowane urządzenie bez wywoływania jakichkolwiek plotek. - Urywa, dotarłszy do końca platformy. - Ale Maksimie... Maksimie, mój przyjacielu, musisz wiedzieć, że po czymś takim nie dadzą ci już nigdy spokoju. Będą polować na ciebie bez litości.

- Nieważne - warczy Abaza. - Nie będą, jeśli ich sparalizujemy.

Leonid kiwa ponuro głową. Znika z pola widzenia za pojazdem. Kiedy pojawia się ponownie na widoku, patrzy na mnie.

- Robisz znakomity interes, Shelley, ale tylko wtedy, jeśli będziemy działać szybko.

- Nie znajdą nas - mówi Abaza. - Nie na czas. Odejdziemy za kilka godzin. Trzech zostanie z Issamem, żeby służyć Bogu.

Odwracam się, patrzę na Issama i zastanawiam się, jakim cudem geniusz ze Stanfordu wpadł po same uszy w tak gęste gówno. Odpowiada mi

spojrzeniem. FaceValue potwierdza jego cichą panikę. Chce się stąd wydostać. Chce, żeby go zabrał. Wie, że nikt inny tego nie zrobi.

- Ukrywam nas przed Czerwienią - mówi, obracając bez końca wizor w dłoniach.
- Badałeś Czerwień?
- Musiałem się wydostać spod jej zasięgu. Posunąłem się bardzo daleko.
- Dotarłeś tam, gdzie Bóg zamierzył - stwierdza Abaza. - Zrobisz, czego Bóg chce.
- Tak, oczywiście. Dlatego jesteśmy tutaj. - Issam zwraca na mnie bezbronne ciemne oczy. - Chcesz, żeby ci pokazał, jak to działa? To naprawdę super, słowo. I przerażające jak jasna cholera.

Flirtuje ze mną, zaprasza na randkę. Leonid także to zauważa i próbuje interweniować.

- Musimy dokończyć inwentaryzację.
- Nie. - Przenoszę spojrzenie na Abazę. Musi wiedzieć, że nagrywam wszystko, co widzę, a to znaczy, że nie może sobie pozwolić na okazanie strachu, wątpliwości lub słabości. Prowokuję go więc. - Chcę to obejrzeć. Nieczęsto widuję tak dużą broń.

Abaza prostuje się, przybiera surowy wyraz twarzy.

- To coś więcej niż broń, Shelley. To wola Boga.

Issam dotyka mojego ramienia.

- Chodź i usiądź w kabinie. Nie uwierzysz. Jakbyś panował stamtąd nad światem. W każdym razie panujesz nad niebem.
- Nad niczym nie panujesz — zaprzecza Abaza. — Kierowca jest tylko kierowcą i nie ma znaczenia, kto siedzi w kabinie, bo pocisków nie kontroluje się stamtąd. - Wyciąga rękę, łapie Issama za kark i przyciąga

go blisko siebie, jak kochanek, nawet kiedy Issam się kurczy. - Shelley to przystojny mężczyzna.

Issam gapi się w punkt ponad plecami Abazy. Nie odpowiada.

- Wiem, co robisz. Chcesz go błagać, żeby zabrał cię ze sobą z powrotem do Ameryki! Więc idź. Przekonaj się, co ci odpowie.

Pcha Issama do tyłu, wprost na mnie. Mógłbym się usunąć z drogi, ale nie robię tego. Zamiast tego łapię Issama za ramiona i obejmuję mocno. Nie wiem, czy Abaza jest zazdrosny o Issama czy o mnie, ale to nie ma w istocie znaczenia. Tak czy inaczej zapewnia mi to, czego pragnę: kilka minut w zaciszu kabiny, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia amerykański ekspatriant.

- Pokaż mi, Issam. - Nastrajam głos jak kochanek, na tyle nisko, żeby zauważyć rumieniec gniewu na twarzy Abazy. - Nie będę miał już podobnej okazji.

Wspinam się za nim do szoferki. Issam przesuwa się na miejsce kierowcy, plecy ma zgarbione, brodę opuszczoną, przybrał poddańczą pozę.

- Zamknij drzwiczki.

Zatrząskuję je za sobą i pochylam się, żeby spojrzeć na konsolę - pozycja, która zasłania moją twarz przed obserwatorami z dołu. Odwracam się do Issama. Patrzy na mnie z łagodnym uśmiechem. Tego zachowania nie odzwierciedla jego głos, gdy mówi szybko, ledwie poruszając ustami:

- Nie ma tutaj urządzeń podsłuchowych. - FaceValue oznacza to jako prawdę. - Możesz mówić swobodnie. Przysłała cię Czerwień?

- Co o niej wiesz?

- Dość, żeby całymi tygodniami utrzymywać ten kompleks w tajemnicy przed nią. Dwukrotnie dłużej niż ostatnim razem, kiedy stosowałem osłonę. Metoda się sprawdza.

- Jaka metoda?
- To system wykorzystujący lokalnie zintegrowane AI. Skomplikowany. Wyjaśnienie tego zabrałoby więcej czasu, niż go mamy, ale to działa. Może wpływać na lokalne cele. Czy Maksim zaprosił cię tutaj?

Kiwam głową.

- Sądziłem, że to on będzie obsługiwał wyrzutnię rakiet.
- Maksim? Bez pomocy nie trafiłby palcem do dupy. To idiota. Próżny, psychopatyczny debil. - Issam wzrusza bezradnie ramionami, a potem udaje, że pokazuje mi wskaźniki na desce rozdzielczej. - Na twój widok uznałem, że to koniec, że nasze środki bezpieczeństwa zawiodły, a baza nie jest już zamaskowana... ale sądzę, że on ją po prostu oddał.
- Żałujesz?
- Nie. To tylko... duma intelektualisty. Jedyna, jaka mi pozostała. Maksim cię nie okłamał. Błagam. Zabierz mnie stąd w cholerę. Oddam ci wyniki mojej pracy. Wszystko, co wiem.
- Dziesięć minut temu uważałeś, że się zjawiłem, żeby cię zabić.
- A co innego mogłem sobie pomyśleć? Wiem, jak funkcjonuje Czerwień. Jeśli nie może obserwować lokalnego systemu ani wpływać na niego, wysyła fizyczną manifestację, żeby go zreformatować.
- Trepą, który wywali kopniakiem drzwi.
- Hej, ja nie krytykuję. Popatrz, kto mnie trzyma na smyczy. Wszyscy wiedzą jednak, że jesteś żołnierzem Czerwieni. Abaza to wie. Musi wiedzieć, ale jest próżny. Chce się pławić w blasku twojej sławy.

Siadam prosto i spoglądam w dół. Leonid zagaduje Abazę, odwracając jego uwagę. Przez boczne okienko widzę Logana obchodzącego wraz z Luftarem platformę.

- Maksim chce pokazać światu, że przeciwstawia się Czerwieni. Że się jej

nie boi. Ale powinien się jej bać. Wiesz to. Ja to wiem.

W dole Leonid gestykuje w stronę Damira, który truchta w kierunku podstawy drabiny po mojej stronie szoferki. Tran zatrzymuje go. Przechwytuje posłańca, a ja naśladuję Issama i mówię szybko, ledwie poruszając ustami:

- Jak tutaj trafiłeś?
- Przez głupotę! I tchórzostwo. Mojemu przyjacielowi ścięli głowę pierdolonym mieczem! A on był jednym z nich. Uznali, że ich zdradził. Miał problemy, ale nie był złym człowiekiem. Jestem tutaj tylko dlatego, że go posłuchałem, poszedłem za nim, a teraz jestem zamknięty w klatce tego cyrku morderców. Nie chcę tutaj być, Shelley. Chcę się stąd wydostać. Chcę, żebyś mnie stąd zabrał.

Słyszę uderzenie buta Trana o pierwszy szczebel drabiny, więc mówię szybko:

- Brama wjazdowa jest zamknięta. Abaza musi ją nam otworzyć.
- Jest inne wyjście.
- Wiesz to? Na pewno?

Kiwa głową. FaceValue nie wykrywa oszustwa.

- Jesteś w stanie przeprogramować wyrzutnię, prawda? - pytam. - Ustawić tak, żeby odpalenie nastąpiło w dowolnej chwili?

Issam przygląda mi się uważnie. Jego spojrzenie przenosi się na wyświetlacz wizora. Przypuszczalnie patrzy na wskaźniki aplikacji analizy emocjonalnej. Mówi mu ona, że chcę tego wściekle.

- Tak. Mam pełny dostęp. Nikt inny nie wie, jak zaprogramować wyrzutnię.

Przesuwam się bliżej drzwiczek, gotów wysiąść.

- Możesz mieć tylko minutę.
- Wystarczy.

Kiwam głową, wyobrażając sobie oślepiający ogień. To cud, że pamiętam, żeby zapytać:

- Jest tutaj coś jeszcze? Jakaś BMR?

Głowa Trana pojawia się gwałtownie w okienku. Pokazuję mu kciuk. „Wychodzę”.

- Nie. Żadnej broni jądrowej. To skład broni konwencjonalnej. Możesz mnie stąd wydostać?
- Być może, ale to wymaga nowego planu. Bądź gotowy na wszystko.
- Uważasz, że to będzie niebawem?

Tran schodzi po drabinie. Otwieram drzwiczki i wychodzę na zewnątrz.

- Tak sądzę.

Leonid nalega ponownie, żebyśmy dokończyli inwentaryzację. Tym razem Abaza popiera go. Chce, żebym nie przebywał w pobliżu Issama. I chce swojej forsy; będzie jej potrzebował w drodze. Zjawia się operator wózka widłowego, żeby wywieźć ze zbrojowni część oznakowanych palet, co daje mi kilka minut do namysłu.

Dawno temu, na początku misji „Brzask”, Jaynie Vasquez powiedziała coś, co od tamtej pory tkwi mi w głowie:

„Sądzę, że większość ludzi, którzy cokolwiek o tym wiedzą, nie chce się pozbyć Czerwieni. Chcą ją kontrolować, bo kto pierwszy zrozumie, jak się to robi, pokieruje sprawami”.

„Lokalnie zintegrowane AI” Issama mogą stanowić krok w tym kierunku.

Mapy aktywności w Chmurze w czasie rzeczywistym - przypuszczalnie aktywności Czerwieni - przedstawiają różne elementy, i mam wrażenie, że Czerwień nie jest pojedynczym, jednolitym bytem. To jest dużo bardziej skomplikowane.

A machinacje Issama się sprawdziły. Utrzymał istnienie tego miejsca w tajemnicy niemal do godziny zero. Zataił własne istnienie. Chcę wiedzieć, jak tego dokonał. Chcę wiedzieć więcej o tym, co on wie: jakie jest ryzyko, jakie są możliwości. Jest tylko jeden sposób na to, żeby do tego doprowadzić. Moja neuronetka tłumaczy tę myśl: „Zabieramy Issama ze sobą”.

Tran stoi naprzeciwko Logana, na straży u wejścia do zbrojowni. Tuż na zewnątrz są dwaj ludzie Abazy; palą, nie zwracając na nic szczególnej uwagi. Luftara nie ma z nimi; może poszedł spać.

Tran obraca głowę, żeby spojrzeć na mnie; błyska w półuśmiechu białymi zębami. Pamiętam ten uśmiech z CLIIS, tuż przed naszym wyjazdem, kiedy powiedział Loganowi: „Trudno będzie odejść, nie dokończywszy operacji”.

Teraz musimy ją dokończyć, gdyż jedynym sposobem na zabranie Issama jest uprzednie zniszczenie PBO.

Logan jest zbyt zdyscyplinowany, żeby ryzykować wzbudzenie podejrzeń przez nawiązanie kontaktu wzrokowego. Klepie kolbę pistoletu w kaburze na udzie i pyta: „Jak?”.

Nie: „Dlaczego?”. Nie rozmawiał z Issamem; nie wie, jaka jest stawka. Wierzy jednak, że mam istotne powody, żeby rozszerzyć zakres misji.

W ten sposób ta ukryta forteca zostanie zniszczona wraz z wyrzutnią rakiet i magazynem wojennych zabawek Abazy. Zgodnie z nowym paradygmatem wszyscy powinni być widoczni, wszyscy odpowiedzialni, a to oznacza, że podobne miejsca, ukryte i izolowane od Chmury, muszą zostać starte z powierzchni ziemi. To istota tego, co musimy uczynić. Zabranie z nami Issama to bonus. Ma wiedzę, której potrzebujemy.

Leonid nie jest podłączony do gen-komu, ale to chytry stary lis, który nie potrzebuje FaceValue, gdyż dawno temu nauczył się czytać w myślach. Pochyliła się do mnie blisko i mówi:

- Przestań dumać. Zrobiłeś swoje.
- To nie dość.

Wygląda na przestraszonego, ale ignoruję go. Musimy to zrobić. Wiem to z taką pewnością, jak wiedziałem w Czarnym Krzyżu, kiedy zignorowałem wszystkie rozkazy i wyszedłem na zewnątrz. I musimy działać szybko.

Gdybyśmy wzięli Abazę żywcem, moglibyśmy go zmusić do otwarcia głównej bramy. Jeśli to zawiedzie, przypuszczalnie udałoby się nam wyjąć ze skrzyń dosyć materiałów wybuchowych, żeby wysadzić wrota, chociaż w tej zamkniętej przestrzeni podmuch wsteczny zabiłby nas albo wybuch wysłałby stąd cały tlen... albo też skłoniłoby to pułkownika Abajiana do wystrzelenia pocisku manewrującego. Taa, to nie jest możliwość, która mi się podoba. Jeśli Abaza zginie, lepiej, żebyśmy się wycofali w głąb tunelu. Issam powiedział, że jest tam wyjście na zewnątrz.

- Musisz być bardzo pewny. - Leonid zapieczętowuje kolejną skrzynię; jego głos jest ponurym pomrukiem.

Jestem pewny. Zbyt pewny. Tak pewny, iż nawet mimo tego, że nie widzę ikony neuronetki, wiem, że funkcjonuję w oparciu o program działający w mojej głowie - ale to nie zmienia wcale tego, co czuję.

Kiedy Leonid pracuje, ja wdaję się w milczącą dyskusję z Loganem i Tranem w celu doprecyzowania szczegółów planu. Trwa to kilka minut. W tym czasie wózek widłowy wraca po kolejną paletę. Czekam, aż wyjedzie. Potem wołam:

- Tran, idź po kawę.
- Tak jest, sir.

Jeden z mężczyzn z korytarza idzie z nim, gdy Tran podąża tunelem za wózkiem widłowym. Logan utrzymuje posterunek u wejścia do magazynu

broni, nie zdradzając, że coś się szykuje.

Tran dociera do pomieszczenia mieszkalnego. Stamtąd powinien być w stanie nawiązać łączność ze swoim ztkh, który jest nadal w kabinie LTV. Zdalnie wysłał rozkaz, żeby karabin wystrzelił trzypociskową serię, która sprawi, że wszyscy ludzie Abazy spojrzą w niewłaściwą stronę.

Pozostały w tunelu strażnik przeciąga się, mruczając coś w języku, który moja nakładka identyfikuje jako turecki: »Długa noc». Leonid kieruje na mnie oskarżycielskie spoj-rzenie. Wzruszam ramionami, czekając na to, co zrobi. Jeśli zamierza nas zdradzić, to teraz jest odpowiednia pora.

Wykrzywia usta. Nie podoba mu się to, ani trochę. Ale jest elastyczny.

Kiwa głową, dając mi znać, że jest z nami. Niemniej nie odwracam się do niego plecami, kiedy schylam się, żeby zerwać taśmę zabezpieczającą ze skrzyni z jednostrzałowymi granatnikami RPG. Leonid naśladuje mnie i odpięczętowuje kolejną skrzynię, zawierającą karabiny M4 bez biometrycznych blokad, które mogłyby nas spowolnić.

Spodziewam się, że strażnik zapyta nas, co robimy, ale nie zauważa niczego; nawet nie patrzy.

To naprawdę musiała być kurewsko długa noc.

Rozdzieram pakiet z zatyczkami i wciskam je sobie do uszu; w kilka sekund reagują z powietrzem, tworząc szczelne połączenie, na tyle dobre, żeby ochronić mnie przed najgorszym z tego, co nadejdzie. Rzucam też pakiecik Leonidowi.

Wyjmuję pistolet z kabury. Zmęczony strażnik przechodzi przed wejściem, nucąc pod nosem, żeby nie zasnąć. Włączam celownik laserowy, mierzę tamtemu w ucho i strzelam. Wbudowany tłumik stonewalla ogranicza huk wystrzału, ale mimo zatyczek jest nadal głośny i odbija się między ścianami korytarza.

Mój cel miota się na boki, kolana uginają się pod nim. Logan rusza się w końcu, wskakuje do tunelu, podtrzymuje ciało i wciąga je do komory.

Chowając pistolet do kabury, słyszę serię z ztkh Trana; trzy strzały sterowane zdalnym poleceniem. Dźwięk jest jak salwa z działa; dudni wśród skał. Po nim następuje dużo cichszy huk pistoletu Trana.

- Włóż zatyczki do uszu - polecam Loganowi.
- Tak jest.

Głos jest stłumiony, ale słyszę go.

Biorę dwa jednostrzałowe granatniki RPG, a Leonid ładuje z brutalną skutecznością dwa karabiny M4. Podaje jeden Loganowi.

- Szybko i mocno, bo zginiemy - ostrzega.
- Tak to robimy - zapewnia go Logan, a w tunelu rozlegają się okrzyki wściekłości i pytania.

Wraz z Loganem rzucamy się ku wyjściu. Leonid następuje nam na pięty, pytając:

- Mamy jakiś plan?
- Jasne!

Logan skręca i gna sprintem w tunel. Ma ochronić zarówno Issama, jak i BXL21, a ja i Tran, no i Leonid, jeśli w to wchodzi, mamy zlikwidować opór.

Patrzę w głąb tunelu i zauważam na skale obok wejścia do komory mieszkalnej rozprysk krwi. Pod nim na ziemi leży ciało strażnika, który uznał, że to dobry pomysł, by eskortować Trana.

- Tran jest w garażu, wyjmuję nasze ztkh - wyjaśniam Leonidowi, kucając, żeby podnieść plecak. - Nie zastrzel go. Wszyscy pozostali to zwierzyna łowna.
- To nie jest plan!

- Improwizuj. - Zrzucam plecak na grzbiet i ruszam do Trana, ale przystaję, żeby dodać: - Postaraj się nie zabić Maksima. Możemy potrzebować go do otwarcia głównej bramy. Obezwładnij go, ale nie zabijaj.

Leonid podnosi karabin do ramienia. Przez moment myślę, że celuje we mnie.

- Nigdy się stąd nie wydostaniemy - warczy.

Nurkuję pod ścianę, gdy jego broń wypala z trzaskiem, który posyła wściekłe echa odbijające się tam i z powrotem w zamkniętej przestrzeni tunelu, ale Leonid strzelił obok mnie. Z przodu pada jeden z żołnierzy Abazy, który się wytoczył skonfundowany z komory mieszkalnej.

- Logan! - wołam przez gen-kom. - Sytuacja?

Nie ma odpowiedzi. Przypuszczalnie nie słyszy mnie. W tych głębokich pieczarach o grubych kamiennych ścianach nie można polegać na łączności radiowej, ale muszę się upewnić, że Issama nie ma w koszarach.

Leonid strzela miarowo, raz za razem, co dwie sekundy, zniechęcając bojowników Abazy do opuszczenia komory mieszkalnej. Gnam sprintem pod osłoną tego ognia, mijam pomieszczenie znajdujące się po drodze. Pieczary są usytuowane pod pewnym kątem względem tunelu. To pozwala zajrzeć mi częściowo w głąb sali mieszkalnej, zanim do niej docieram, ale strzały Leonida przegoniły wszystkich z pola widzenia. Grzmiące echa jego kanonady mieszają się z rejwachem rozkazów, pytań i wściekłych gróźb, tworzącym kakofonię pozbawionego źródła hałasu stłumionego przez moje zatyczki do uszu. Nie wiem, ilu żołnierzy jest w izbie koszar ani czy wśród nich są Abaza i Issam.

A nie mogę strzelać, póki się tego nie dowiem.

Kiedy kucam z barkiem przyciśniętym do ściany, Logan odpowiada na jedno z moich pytań: „Issam jest tutaj”.

- Odebrałem.

Ogarnia mnie poczucie jasności celu. To, co chcę zrobić, co muszę zrobić, to wyeliminować opór - szybko, skutecznie i brutalnie. Tamci mają przewagę liczebną, a to oznacza, że przegramy tę walkę, jeśli pozwolę im ją wykorzystać. Czasem musisz zrezygnować z celu, i tym celem, z którego rezygnuję, jest Maksim Abaza. Gdybym się przejmował jego bezpieczeństwem, naraziłbym nas wszystkich - więc do diabła z nim!

Odsuwam się od ściany na tyle daleko, żeby zyskać wystarczający kąt w stosunku do komory, a potem posyłam tam pocisk z RPG. Granat wybucha z siłą, która wstrząsa podłożem i rozmazuje mi wzrok. Uchylam się, gdy z piekła bucha wrzawa piskliwych głosów. Dudnią karabiny, kule przecinają ze świstem cuchnące powietrze, skała pęka, a odłamki miedzi, tungstenu i skały bębnią o podłoże.

Skulony podchodzę kilka kroków i wystrzeluję kolejny granat. Wybucha, a po nim następuje kolejna eksplozja. Być może butli gazowej. Nie wiem. Widok w głąb komory mieszkalnej przesłania kurtyna płomieni. Cofam się, bo żar parzy mnie w twarz. Biegnę z powrotem do Leonida, mając za plecami ryczący ogień. Ciemnieje mi przed oczami, gdy w powietrzu ubywa tlenu. Leonid nadal strzela; nie wiem do kogo.

- Nie postrzel Trana! - przypominam mu, nurkując do zbrojowni.
- Sądysz, że Alex nadal żyje?
- Tak, kurwa!

Powietrze w magazynie broni jest nieco lepsze od tego w tunelu. Oddycham głęboko, póki mogę.

Gdzieś eksploduje granat. Trudno powiedzieć na pewno, ale uznaję to za znak, że Tran wyjął ztkh z LTV.

Chwytam naładowany karabin i wybiegam ponownie w samą porę, żeby usłyszeć w gen-komie końcówkę przekazu:

- ...do niego dotrzeć.
- To ty, Tran? Powtórz! - Piekło w komorze koszar wypaliło się niemal

do cna.

- Abaza jest z przodu, ale nie mogę do niego dotrzeć.

A więc Abaza żyje, wciąż jest niebezpieczny.

- Jaka jest twoja sytuacja?
- Przyszpilony w LTV. Abaza jest za platformą. Ma ze sobą co najmniej trzech ludzi. Mogę rzucić granat na ładunek, ale wtedy wszyscy się usmażymy.

Lub się uduszą.

- Masz ztkh?
- Potwierdzam.

To cholerna komplikacja, że Leonid nie jest podłączony do gen-komu. Wołam do niego, biegnąc z powrotem tunelem:

- Co najmniej czterech żyje nadal i nie możemy wysadzić ich w powietrze. Jeszcze nie.
- Cieszę się, że to rozumiesz - ryczy Leonid, człapiąc w moją stronę.

Byłoby lepiej, gdyby wstrzymał oddech. Nie ma nadmiaru tlenu, a powietrze ma toksyczny posmak z powodu spalonej ropy, plastiku i ciał. Muszę to szybko zakończyć, bo wszyscy się podusimy.

- Tran, rezygnujemy z Abazy. Chcę, żebyś wrócił do tunelu.
- To kurewsko daleko od LTV, Shelley.
- Nie możesz nim pojechać?
- Nie. Nie mam kluczyków.

Kluczyki miał Damir.

Patrzę przed siebie, w stronę komory mieszkalnej. W środku anemicznie się palą rozproszone ogniska. Zwęglone szczątki, w tym ciało, zaścielają podłogę. Damira przypuszczalnie tam nie ma. Zajmował się załadunkiem platformy. Z całą pewnością jest z przodu, z Abazą.

Mijam obszerne wejście do komory koszar. Gdy docieram do przeciwległego końca otworu, w garażu rozlegają się strzały. Przede mną od ścian rykoszetują kule. Padam na ziemię. Leonid skręca do izby mieszkalnej, kryjąc się za załomem skały.

- Negocjuj - radzi mi.

Dobry pomysł.

Znajduję się dwadzieścia metrów od wylotu tunelu. Widzę niemal połowę garażu. Platforma stoi tyłem pod lewą ścianą. Widoczna jest szoferka i połowa skrzyni ładunkowej. Pick-upy z karabinami maszynowymi są ukryte za ścianą na prawo ode mnie. LTV stoi zaparkowany między nimi a bramą. W pojeździe jest Tran, gotów zastrzelić każdego, kto by się chciał dostać do erkaemów.

- Maksim! - Mój głos odbija się echem od skały. - Rzućcie broń. Wyjdźcie na otwartą przestrzeń. Twarzami na ziemię, bo wysadzę ciężarówkę w powietrze.

- Idiota - warczy Leonid. - Nie rzucaj gróźb, których nie chcesz spełnić.

- A kto powiedział, że nie chcę?

Mijają dwie czy trzy sekundy, podczas których Leonid zastanawia się nad tym, a potem pyta:

- Zatem to tak? - Nie czeka jednak na odpowiedź. - Maksim! - woła. - Wiesz, kim jest mój klient. Wiesz, że jest nawiedzony. Nie zawsze kieruje nim jego własna wola. To szaleństwo obudziło się w nim teraz.

- To go zabij!

Zwracam przestraszony wzrok na Leonida, ale ku mojej uldze ignoruje

radę.

- Nie, Maksim. Dokonałem wyboru. Teraz twoja kolej. Umrzemy wszyscy czy będziemy żyli?

Przez dłuższą chwilę słyhać jedynie syk ognia utrzymującego się w pomieszczeniu koszar i pomruk odległego generatora. Potem Abaza odzywa się cierpkim tonem, nie kłopotując się nawet, żeby podnieść głos:

- Otworzę wam bramę. Tego chcecie. Zrobię to, jeśli będę mógł wyjść pierwszy z moimi ludźmi.

W rzeczywistości chcę podpalić jaskinię, odpalić każdą zabójczą broń, którą Maksim Abaza zmagazynował tutaj, i obrócić tę ukrytą fortecę w palenisko na tyle gorące, żeby stopiło mosiądz łożek amunicji.

Ale jeszcze nie teraz, przypominam sobie. Nie, gdy nadal tu jesteśmy.

Wycieram rękawem pot z czoła. Potem spoglądam na Leonida.

- Możemy się zgodzić?

Kręci głową, wypatrując zmrużonymi oczami jakiegoś ruchu w pieczarze.

- Jeśli wypuścisz go pierwszego, wysadzi ciężarówkę, zanim zdołamy się stąd wydostać.

Logan zgłasza się przez gen-kom:

- Shelley?

- Sytuacja?

- Issam współpracuje. Ustawił opóźniony zapłon w pociskach raketowych. Da nam to dość czasu, żeby dotrzeć na drugi koniec tunelu, zanim odpalą.

- Doskonale. To powinno wystarczyć, żeby obruszyć górę na tę PBO.

Po chwili pytam:

- Jak daleko jest do drugiego końca tunelu?
- Nie wiadomo. Issam nie był tam, ale widział innych, Jak tamtędy przechodzili.
- Dobra. Zakładamy, że wylot jest zamknięty podobnie jak ten. Musimy wziąć materiały wybuchowe.
- Rozumiem.
- Daj mi znać, gdy będziecie gotowi.
- Już jesteśmy gotowi. Odliczanie zacznie się na twój rozkaz.
- Zatem czekajcie.

Nie ma powodu dłużej zwlekać. Nie ma powodu bawić się w gierki z Abazą. Muszę go jednak załatwić, zanim odejdziemy, gdyż inaczej mógłby dotrzeć do komory z wyrzutnią rakiet, przerwać odliczanie i w rezultacie wygrać tę bitwę.

- Papo?

-Da?

- Wróć do zbrojowni. Pamiętasz te granaty dymne, które widzieliśmy? Przynieś mi ich skrzynkę. Potem zgromadź dość materiałów wybuchowych, żeby wysadzić tę drugą bramę, i dołącz do Logana.

- Co zamierzasz zrobić?

- Przekonać Maksima, żeby pozwolił mi zabrać Trana. A teraz idź. Pośpiesz się.

Jak na starego, dużego faceta Leonid zasuwa dość rączo w głąb tunelu.

- Maksim! - wołam, a mój głos dudni echem. - Wyślij ludzi na otwartą przestrzeń, po jednym, bez broni.

Żadnej odpowiedzi przez może ponad pół minuty.

- Ruch - ostrzega mnie Tran.

Po kilku sekundach przed maskę ciężarówki wysuwa się drżąca postać. To Damir, który wygląda jak przerażony dzieciak.

- Twarzą na ziemię - polecam mu, gdy wraca Leonid.

Kuca obok mnie, stawiając u moich stóp skrzynkę granatów fosforowych.

- Jeśli nie będziesz miał Maksima na celowniku, to nic nie masz - mówi.

- Rozumiem. Idź.

Damir leży na ziemi. Żal mi chłopaka, ale bardziej obchodzi mnie Tran. Bardziej liczy się dla mnie misja.

- Logan, daj mi znać, gdy Leonid dotrze do ciebie.

- Odebrałem.

- Shelley. - W głosie Trana brzmi w końcu niepokój. -Co robisz?

Posługuję się wzrokiem, żeby zmodyfikować połączenie i przejść na pojedynczy kanał.

- Wysadzimy ciężarówkę.

- O kurwa.

- Jeśli nie my, to zrobi to Abaza.

- Ale...

- Posłuchaj. Będziesz miał jakieś cztery sekundy, żeby dotrzeć tutaj; nie będzie drugiej szansy. A potem zapierdalaj w głąb korytarza...

- Niech cię szlag, Shelley. Nie mam gnatów!

- ...nie zwlekaj, bo jeśli natychmiast nie zabije nas burza ogniowa, to wyssie cały tlen...
- Wiem o tym! Wiem!
- Jesteś gotowy?
- Tak. W porządku. Zrób to, kurwa.
- Przygotuj się. - Przełączam się na gen-kom. - Logan?
- Czekam na Leonida... - Mija pół minuty. - Dobra, jest tutaj.
- Potwierdź, że ma materiały wybuchowe.
- Potwierdzam. Ma je.
- Dobra. Zaczynj odliczanie. I w nogi. Tran?
- Jestem!
- Biegnij, kiedy zobaczysz dym.

Jedna po drugiej wyciągam szybko zawlecзки z trzech granatów, które rzucam tak, że toczą się w stronę ciężarówka, podskakując po podłożu. Przy odrobinie szczęścia Przynajmniej jeden zaklinuje się pod oponą. Wszystkie trzy wybuchają, wyrzucając wirujące kolumny płonącego fosforu i wypływając gęsty biały dym.

Damir spogląda na to zszokowany, a Tran wyskakuje zza LTV z ztkh w ręce i gna sprintem w stronę tunelu. Na grzbiecie podskakuje mu plecak, do którego ma przytroczone dwa pozostałe karabiny. Przed wzrokiem Abazy i jego ludzi kryje go kurtyna dymu, która podnosi się już w stronę niskiego sklepienia, a granaty wypalają się w ciągu piętnastu sekund.

Za ciężarówką rozlegają się krzyki. Widzę iskry krzesane przez pociski rykoszetujące od podłoża. Tamci nie celują w Trana, tylko w granaty zapalające. Starają się odrzucić je od ciężarówka, co, przyznaję, jest mądrym posunięciem. Poprzez dym widzę przelotnie postać Damira

wycofującego się w stronę zamkniętej bramy. Trzyma w dłoni pistolet. Wycelowany we mnie.

Rzucam się szczupakiem w poprzek tunelu. Kule uderzają tam, gdzie stałem przed chwilą, muskają ściany i podłogę, rozrzucając odłamki. Leżąc na ziemi, szukam wzrokiem Damira, ale skrywa go dym. I tak strzelam trzy razy, żeby go po prostu zniechęcić.

Najgęstszy dym kłębi się wokół ciężarówki i pod nią. Nie widzę, czy któryś granat zaklinował się pod oponą, ale to oznacza, że Abaza nie może zobaczyć Trana. Tak sobie mówię. Ale gdzie jest Damir?

I wtedy Tran się potyka. Pada i jedzie na brzuchu w chwili, gdy wybucha jeden z granatów, eksplodując w postaci ryczącej, ognistej, białej fontanny. Musiał zostać trafiony pociskiem i wyrzucony spod ciężarówki. Płonący biały fosfor rozpryskuje się po garażu i ktoś zaczyna krzyczeć.

Nie Tran.

Jest znowu na nogach i pędzi w stronę tunelu.

- Nie zatrzymuj się - mówię mu. - Nie zwalnij.

Na prawej nogawce jego spodni, od biodra po kostkę, błyszczy w białym fosforycznym świetle krew w niesamowicie jasnym odcieniu czerwieni. Tran dociera do tunelu, wbiega do niego, ale kiedy mnie mija, zaczyna zwalniać.

- Shelley!

- Ruchy!

Wyciągam zawleczkę z kolejnych granatów, ale tym razem wstaję i rzucam pociski bezpośrednio na platformę ciężarówki. Gdy wypuszczam z ręki ostatni, odwracam się i ruszam biegiem... ale kiedy się odpycham prawą stopą od podłogi, proteza się blokuje. Musiała oberwać odłamkiem, czego nawet nie zauważyłem. Teraz jednak przeguby zaklinowały się pod dziwnym kątem. Biegnę mimo to, balansując na pięcie i licząc na to, że mechaniczna stopa się nie rozpadnie. Wydaje mi się, że czuję, jak zatarciu

ulegają przeguby lewej stopy.

I tak jestem w lepszej sytuacji od Trana. Kuśtyka, oszczędzając zranioną nogę. Doganiam go i wrzeszczę:

- Biegnij, kurwa!

Próbuje. Naprawdę się stara. Obciążony brzemieniem plecaka i trzech karabinów. Daleko z przodu widzę w mroku korytarza światło latarki Logana. A potem ciężarówka wylatuje w powietrze.

To seria eksplozji. Pierwsza jest niewielka. Druga potężna. Potem tracę rachubę.

Fala uderzeniowa porywa nas i rzuca pięć metrów w głąb tunelu. Wpełzam do schronienia, jakie daje komora. Tran gramoli się za mną. Trzymamy się nisko, przyciskając twarze do skały, póki ryk nie ucichnie.

Powietrze wokół nas wiruje, uciekając z pomieszczenia, z moich płuc. Dyszę, walcząc o oddech. To jakby oddychać w piekarniku. Poza tym powietrze cuchnie. Tran kaszle. Ja kaszlę. Nie sądzę, żebyśmy mieli wiele czasu. Płuca, piekące mnie z powodu toksycznej atmosfery, rozrywają mi spazmy.

Wstaję więc, chwytam pas plecaka Trana i podrywam go w górę. Nadal ma przytroczone do niego dwa ztkh, ale jego własny karabin, który trzymał w rękach, przepadł gdzieś. Mój M4 także zniknął. Tunel jest zasłany odłamkami. Fragmentami gorącego metalu, plastiku i - o ile wiem - ciała.

Nie przyglądam się zbyt dokładnie. Staram się tylko nie przewrócić z powodu wygiętej stopy, kiedy zataczając się, brniemy obaj w głąb tunelu.

W garażu za nami następuje kolejny wybuch, ale niezbyt potężny. Mam cholerną nadzieję, że amunicja, która znajduje się nadal w zbrojowni, nie została podgrzana do tego stopnia, żeby eksplodować samoczynnie.

Ogniste światło z garażu błędnie szybko, gdyż płomienie przygasają z powodu braku tlenu. Kulejąc, brniemy głębiej w ciemność. Jebane zatyczki uciskają mi uszy, więc je wyciągam. Docieramy do komory wyrzutni raketowej. Zerkam do środka i widzę wysoko nad sobą bursztynowe światełka i blask padający na tylną ścianę. Nie zatrzymuję się, żeby zobaczyć więcej.

Potem powietrze staje się nieco lepsze. Tempo naszego marszu wzrasta. A później zauważam światło latarki Logana.

- Uważaj! - woła, machając nią w górę i w dół, jakby chciał mnie oślepić. Promień utyka w wirującym dymie. -Zwolnijcie, zwolnijcie! Tunel kończy się tutaj.

Kaszląc i dysząc, zatrzymujemy się chwiejnie przed solidną skałą. Wyciągam rękę, żeby jej dotknąć, żywiąc złudną nadzieję, że nie jest prawdziwa... ale oczywiście jest. Pomimo gorącego powietrza jest zdecydowanie zimna, co przyprawia mnie o dreszcz przerażenia. Tran nie radzi sobie z tym ani trochę lepiej.

- Jasny Panie - sapie.

Potem patrzę na Logana i dociera do mnie, że jest sam.

- Gdzie Papa? - Siłą zmuszam obolałe gardło do wypowiedzenia ochrypłych słów. - Gdzie Issam?

- Wysłałem ich naprzód.

- To znaczy gdzie?

- Tam jest wyrobisko próbne - odpowiada szybko, omiatając światłem latarki ścianę za sobą, aż promień niknie w czarnym prostokątnym otworze w skale, który ma jedynie metr dwadzieścia wysokości.

- Ktokolwiek budował tę PBO, nie dokończył jej.

- Jesteś pewny, że ten otwór dokądś prowadzi? - pyta Tran, świszcząc oddechem.

- Nie jest tak, żebyśmy mieli wybór! Musimy ruszać. To powietrze nas zabija.

Zerkam na ikonę Trana na mojej nakładce. Jest żółta. Kurwa mać. Moja też jest żółta.

- Masz latarkę, Logan. Idź pierwszy.

- Jeden z tych ztkh jest mój. - Odczepia bron przymocowaną do plecaka Trana. Ja biorę drugi karabin, ale okazuje się, że jest jego, więc się wymieniamy. Gdy tylko dostaję ztkh do ręki, jego ikona aktywuje się na nakładce.

Wtedy Tran to sobie uświadamia:

- Zgubiłem swój karabin!

Ogląda się, jakby zamierzał po niego wrócić. Jebane niedotlenienie. Łapię go za ramię, żeby mieć pewność, że nigdzie nie pójdzie.

- Ruszaj, Logan.

Ma nadal M4 ze zbrojowni. Z nim w jednej ręce, a z ztkh w drugiej wślizguje się do wyrobiska, pochylając się nisko ze względu na plecak. Popycham Trana za nim.

- Masz pistolet. A teraz pakuj tam dupsko. Zajmiemy się twoją nogą, kiedy będziemy kawał drogi stąd.

Tyle gadania przyprawia mnie o kolejny napad kaszlu, ale i tak wchodzę za Tranem do tunelu. Jest wąski. Barkami szoruję o ściany, plecak szura po sklepieniu, a kolba ztkh wlecze się po podłożu.

Owiewa mnie podmuch powietrza. Chcę czerpać z tego nadzieję, bo to oznacza, że gdzieś jest ujście, prawda? Ale to jest gorący powiew docierający z płonącej pieczary. Nie przynosi ulgi, tylko toksyczne powietrze. Brakuje mi tchu, kaszlę co kilka kroków, gardło mam obolałe i suche. Włączam gen-kom.

- Ile jeszcze czasu, Logan? - szepczę ochryple. - Zanim sklepienie się zapadnie?
- Dwanaście minut. - Logan także dyszy. - Dziesięć sekund.
- Myślisz... - przerywam, żeby odetchnąć - że wydostaniemy się do tego czasu?
- Issam uważa, że tak... ale ja nie mam... kurwa, bladego pojęcia.

Posuwamy się naprzód z największą szybkością, na jaką nas stać. Bola mnie plecy, bola kolana, a płuca wydają się podpalonymi, tłącymi się, gnijącymi moczarami. Po minucie muszę przystanąć, żeby odpluć flegmę. Tran nie trzyma się ani trochę lepiej. Zaczyna się potykać z powodu utraty krwi i oddychania toksycznym powietrzem, a mnie świta w głowie, że jesteśmy w naprawdę kiepskiej sytuacji.

- Tran, musisz iść szybciej. - Za nami mają zostać odpalone cztery rakiety, z których każda ma dość energii, żeby strącić satelitę z orbity. - Musimy się wydostać z tego pierdolonego tunelu.

Tran daje z siebie wszystko. Zgięty, z dłońmi opartymi o ściany, żeby się nie przewrócić, siania się za Loganem, świszcząc przy każdym oddechu. Kiedy wlokę się za nim, kaszląc w ciasnym piekle gorąca i ciemności, mój umysł zbacza na ścieżki beznadziei. Issamowi się zdawało, że widział obcych wychodzących z tej szczurzej nory, ale jeśli się mylił, to mamy kompletnie przejebane. Umrzemy tutaj i nikt się nawet nie dowie, co nas spotkało. Delphi nigdy się nie dowie... i myślę, że to będzie ją zawsze prześladowało, będzie się zastanawiała, czy umarłem, czy też porzuciłem ją ponownie.

Pięć minut do zapłonu rakiet. Idziemy. Cztery minuty. Trzy. Słysząc hałas przed nami. Cichy, gniewny głos.

- Cholera - szepczę. - To Papa.

Nie chcę powiedzieć tego, co sobie myślę, ale Tran mówi to za mnie.

- Coś ich zatrzymało. - W jego ochrypłym głosie brzmi rozpacz, jakiej nie słyszałem nigdy dotąd. - Ten pierdolony tunel musi być zablokowany.
- Nie jest zablokowany. - Nie wiem, czy to prawda, ale teraz musimy w to wierzyć. - Wydostaniemy się stąd.

Dwie minuty do odpalenia, a ja słyszę Leonida wyraźniej:

- Ruchy! Szybciej. Chcesz odetchnąć ponownie czystym powietrzem? Nie zatrzymuj się.
- Za tobą! - woła Logan.
- No to chodźcie.
- Widzisz koniec? - pyta Tran ochrypłym szeptem odbijającym się echem od ścian.
- Nie ma pierdolonego końca. Nie ma jebanego świeżego powietrza.

Issam nic nie mówi, ale słyszę rozpaczliwy świst, z jakim wciąga każdy oddech.

Została minuta.

Nie ma mowy, żeby wiedzieć, co się stanie, gdy nastąpi zapłon rakiet. Będzie to oznaczało pomyślne zakończenie misji... ale czy także naszą śmierć? Co ja tam sobie myślałem, kurwa, kiedy byłem taki pewny, że się stąd wydostaniemy?

To przekonanie zniknęło. W chorej wyobraźni widzę płomień buchający z tego wyrobiska albo podmuch supergorącego powietrza, a my nie możemy zrobić nic innego, kurwa, jak tylko pełznąć dalej, zostawiając za sobą kolejne metry korytarza, bo byłem taki pewny, że poradzimy sobie z rozszerzonym planem misji, bo nie zestawilem życia moich żołnierzy z tym, co możemy osiągnąć...

Za naszymi plecami wzbiera fala głębokiego, grzmiącego huku. Ściany tunelu drżą pod moimi dłońmi.

- Nie zatrzymujcie się! - woła Leonid. - Ruchy, ruchy, ruchy!

Skąła wibruje, a potem dociera do mnie niski, gardłowy ryk nadciągającego wiatru, coraz głośniejszego, który wreszcie mnie dogania. Kulę się, gdy owiewa mi barki. Spodziewam się gorąca. Nadzwyczajnego żaru. Zabójczego. I jest gorąco. Jak w środku zamkniętego samochodu w letni dzień. Goręcej może, ale nie na tyle, żeby zabić nas na miejscu.

Potem wiatr robi się gorętszy, a mnie ponownie ogarnia przerażenie. Przedemną Tran potyka się, opada na kolana.

- Kurwa! - wrzeszczy. - Kurwa mać!

- Wstawaj!

Robi to.

A potem za nami rozlega się grzmiący trzask. Dźwięk przyprawia o ból. To jak młot w czaszce; padam.

Przez trzy czy cztery sekundy - może przez trzy lub cztery minuty, nie wiem, cholera - leżę tam po prostu, oszołomiony, z policzkiem przyklejonym do zapylonej skały, przygnieciony ciężarem plecaka, na ztkh wciśniętym w klatkę piersiową. Tran także leży. Widzę mglisty zarys jego sylwetki w świetle małej latarki Logana i słyszę bolesne rżenie jego oddechu. Przynajmniej oddycha.

Powietrze jest bure od kurzu. Nie ma żadnego powiewu. Sądzę, że pieczara mogła się zapaść. Albo wyrobisko zawaliło się za nami. Coś je tam zablokowało, gdyż nie czuję już żaru piekła.

Sprawdzam, czy jestem podłączony do gen-komu, a potem rżęję:

- Odliczyć.

- Jasny gwint - szepcze Logan. - Wciąż żyję.

- Ja też - przyznaje Tran, poruszając się nieco i podnosząc głowę.

Przypuszczalnie też powinienem się podnieść.

- Papa! - skrzeczę.
- *Da* - odpowiada. - Niech cię szlag, Shelley. To nie był plan.
- Taa, nie wiem, kurwa, co sobie myślałem. Issam żyje?
- Na razie. Nadal mógłbym go zabić.
- Musimy ruszać.
- *Da*. Wstawaj, mały. Nie umrzesz jeszcze.

Słyszę, że Issam rzezi jak astmatyk. Gdybym mógł mu jakoś pomóc, zrobiłbym to, ale możemy jedynie iść dalej.

W misji, którą przydzielił mi pułkownik Abajian miałem do samego końca odgrywać rolę handlarza bronią i odjechać tak, jak przyjechałem, w towarzystwie moich ochroniarzy i Damira prowadzącego ciężarówkę z platformą. Nie przewidziano konieczności ewakuacji z piekła ani ratowania astmatycznego naukowca ze Stanfordu, który zadał się z niewłaściwymi ludźmi.

Issam robi zaledwie kilka kroków, po czym pada.

- Papo! - wołam. - Omiń go i idź dalej.

Wysyłam naprzód także Trana. Kiedy się przeciska obok Logana, zauważa dodatkowy karabin M4.

- Niech mi pan pozwoli go ponieść, poruczniku.

Logan wręcza mu go z ostrzeżeniem:

- Nie zgub.

Tranowi naprawdę zbędne jest dodatkowe obciążenie, ale sądzę, że

potrzebuje otuchy. Z M4 w jednej ręce przełazi nad Issamem, a potem podąża za światłem latarki niesionej przez Leonida.

Ruszam naprzód z Loganem. Kiedy kucamy obok Issama, moja uszkodzona stopa ślizga się, rzucając mnie na mechaniczne kolana.

- Cholera.
- Spokojnie - mówi Logan.

Nie sądzę, żeby zauważył już stan mojej stopy.

Pomagamy Issamowi usiąść. Wizor ma w poprzek twarzy, a każdy jego oddech to rżenie. Zabieram mu wizor i składam go, żeby schować do kieszeni, ale potem coś mi przychodzi na myśl.

„Logan?”

„Jestem”.

„Wesprzyj mnie”.

„Co?”

„Gangsterska zagrywka”.

- Issam - mówię na głos. Potem muszę odwrócić głowę, żeby zakasłać. - Spójrz na mnie, Issam.

Podnosi na wpół opuszczone powieki i skupia wzrok na mojej twarzy; jego klatka piersiowa ciężko pracuje.

Boli mnie gardło. Bolą płuca. Muszę mówić cichym, ochrypłym głosem.

- Chcę, żebyś odblokował swój wizor.

Prośba sprawia, że oczy Issama otwierają się jeszcze szerzej, a zatem zrozumiał mnie. Logan przysiada na piętach. Ostre cienie rzucane przez jego małą latarkę wyolbrzymiają przelotny, zimny uśmiech. Wizor Issama zawiera na pewno bogate dane zebrane przez niego w ciągu ponad dwóch

lat, jakie spędził w „cyrku morderców”. To bezcenne informacje wywiadowcze. Nie chcę, żeby były zablokowane i poza zasięgiem.

Mówię łagodnie, rozsądnym tonem, żeby zrozumiał swoją kiepską sytuację. To technika perswazji, której się nauczyłem od najemnika.

- Odblokuj swój wizor, Issam. Żadnych więcej tajemnic, zgoda? - Wolno biorę płytki wdech, powstrzymując kaszel. - Jeśli chcesz, żebyśmy cię stąd wydostali, zabrali do domu, to musisz wszystko ujawnić.

Bierze wizor i trzyma go w obu dłoniach, jakby nie wiedział, co z nim począć.

- Mam dane osobiste...

- Nie. - Kręcę głową. - W tym świecie nie ma nic osobistego czy prywatnego. Wiesz to lepiej niż większość ludzi.

Niemniej się waha.

Zadzieram głowę i słucham.

- Logan, słyszysz nadal Papę?

- Nie. Są zbyt daleko z przodu. Nie możemy dłużej czekać. Musimy ich dogonić.

Zaczynam wstawać.

- Nie zostawiajcie mnie - prosi Issam.

- Odblokuj wizor - warczy Logan - żebyśmy mogli stąd wypierdalać.

Issam przenosi wzrok z Logana na mnie i z powrotem. Sądzę, że podejrzewa grę z naszej strony. Po co jednak ryzykować? Po co ryzykować, że nas wkurzy? Widzę, jak zapada decyzja. Kiwa głową i wkłada wizor. Jego spojrzenie zmienia się nieznacznie. Mruczy:

- Wybierz. Wybierz. Tak. Tak, jestem pewny!

Zsuwa wizor. Wręcza mi go.

- Żadnych tajemnic - mówi. - Wszystko twoje.

Wkładam wizor i sprawdzam ustawienia zabezpieczeń.

Otwarte na oścież. Wszystkie identyfikatory biometryczne skasowane. Nie potrzeba hasła. Wyłączam dostęp do sieci, a potem wpycham wizor do wewnętrznej kieszeni kurtki, zapinanej na zamek.

- Nic ci nie będzie, Issam. - Logan pomaga mi postawić go na nogi; zarzucam sobie jego ramię na barki. - Wrócisz do domu.

W wąskim tunelu musimy pełznąć bokiem. Plecak cały czas zaczepia o ścianę; lufa ztkh drapie sklepienie. Issam próbuje pomagać, ale po minucie jest bezwładnym ciężarem, więc kładę go ponownie. Logan bierze go pod ramiona, ja pod kolana, i niesiemy go.

Zatrzymujemy się mniej więcej co minutę, żeby odetchnąć i upewnić się, że Issam nadal żyje. W ciasnym tunelu, przy niskiej zawartości tlenu w powietrzu, niesienie go jest wyczerpującą, przyprawiającą o zawrót głowy katorgą i wiem, że nie myślę trzeźwo. Nie myślę o niczym innym poza następnym krokiem, mija więc kilka minut, zanim dociera do mnie, że oddychamy czystiejszym, chłodniejszym powietrzem.

Logan i Tran wysforowali się daleko do przodu, ale wyrobisko jest proste, więc głos Alexa w gen-komie dociera do nas z łatwością.

- Shelley, Logan, zostańcie tam, gdzie jesteście, i trzymajcie nisko głowy — ostrzega nas. - Wysadzimy bramę.

Kładziemy Issama na ziemi, a potem sami padamy obok niego.

Niedługo potem słyszę tupot; biegną ku nam szaleńczo.

- Padnij! - warczy Leonid.

Wtulam głowę w barki, osłaniając ramieniem twarz nieprzytomnego Issama.

Materiały wybuchowe eksplodują.

- Odliczyć! - charczę, gdy pył opada.
- Logan.
- Tran.
- Papo, jesteś nadal z nami?
- *Da.* - Nie wydaje się zadowolony z tego powodu. - Nie taka była nasza misja. To wykraczało dalece poza jej ramy. Dalece, bardzo dalece.
- Wiem.
- Myślę, że anioły musiały nas strzec, skoro w ogóle żyjemy.
- Na razie - stęka Logan.

Kilka sekund zajmuje mi kasłanie. Kiedy atak mija, zawieszam dłoń nad nosem i ustami Issama i zostaję nagrodzony doznaniem powiewu wydychanego przez niego ciepłego powietrza, co mi uświadamia, jak bardzo zimno się zrobiło. Domyślam się, że bramy piekieł zostały pomyślnie wysadzone. Podnoszę wzrok, żeby się co do tego upewnić. Przez obłok kurzu widzę słaby fioletowy blask.

- Spierdalajmy stąd.

Pod wpływem zimnego powietrza Issam zaczyna się budzić. Daję mu czas, żeby przyszedł do siebie, i wraz z resztą pokonuję kilka ostatnich metrów. Skręcone resztki stalowej bramy wiszą na wyłamanych zawiasach, a dalej widać lawendowy półmrok i błyszczące gwiazdy. Wciąż kuśtykam w stronę wrót, kiedy na mojej nakładce zapala się ikona sieci. Wysuwa się tag identyfikacyjny.

- EXALT! - mruczę ze zdumieniem.

- Też to mam - potwierdza Logan, będąc o krok za mną. - Sieć EXALT w tym miejscu?

Sądziłem, że skoro musieliśmy oddać przekaźniki satelitarne Luftarowi, to będziemy odizolowani, pozbawieni możliwości wysłania informacji. Teraz nasze przekaźniki zamieniły się w popiół.

Pomimo zimna ta myśl przyprawia mnie o rumieniec wywołany pierwotnym strachem.

Lubiłem Luftara. Sprawiał wrażenie przyzwoitego faceta. Nie jest jednak mądrze myśleć w ten sposób o wrogu.

Gen-kom reaguje automatycznie na obecność sieci i nawiązuje kontakt z Chmurą, szukając linków do naszego opiekuna i reszty oddziału. Czekać na zgłoszenie się Kanoi, przepycham się obok Trana, żeby dołączyć do Leonida przy wyjściu.

Jest piąta czterdzieści sześć i niebo zaczęło dopiero co jaśnieć. Ziemię pokrywa cienka warstewka śniegu.

- Czy to ścieżka, Papo?

Z powodu półmroku i śniegu trudno mieć pewność, ale wydaje mi się, że w stronę lasu iglaków, które mogą być Cedrami, prowadzi szlak.

- Na to wygląda - odpowiada Leonid. - Rzadko używana.

Po obu stronach wznoszą się strome zalesione zbocza, zwieńczone oprószonymi śniegiem szarymi szczytami obejmującymi wąską dolinę. Zauważam słabiutkie mignięcie bieli tuż nad wschodnią granią. To chyba węzeł EXALT. Lepiej widać pył i biały dym po eksplozji materiałów wybuchowych, których Leonid użył do wysadzenia bramy. Obłok dryfuje na południe, wskazując każdemu, kto obserwuje ten rejon, że dzieje się tutaj coś interesującego.

Drony z pewnością obserwują. Czy wypatrzyły wywołaną przez nas pożogę przy głównej bramie?

Pułkownik Abajian ostrzegł nas, że zareaguje przy najmniejszej oznace wrogich intencji.

Sprawdzam nakładkę. Gen-kom pokazuje, że podłączeni jesteśmy tylko Logan, Tran i ja. Gdzie jest reszta naszego oddziału, do diabła? Gdzie jest Kanoa?

- Golf romeo kilo 7-1. Ktoś mnie słyszy?

Żadnej odpowiedzi.

Abajian może wciąż blokować łączność z moim oddziałem, co nie wyjaśnia jednak nieobecności Kanoi.

- Zaczekaj tutaj, Papo.

Wymykam się na zewnątrz.

Pomimo stromizny ścian doliny nakładka rejestruje natychmiast sygnały

całej konstelacji satelitów GPS. Moja pozycja od razu zostaje dokładnie określona. Jestem w dolinie o nazwie, której nigdy nie słyszałem i której nie jestem w stanie wypowiedzieć. W odległości jedenastu kilometrów na południe biegnie wąska droga, która może nas stąd wyprowadzić. Spory kawałek na północ za granią, która oddziela nas od frontowego wejścia do PBO, przebiega dużo szersza, nowoczesna szosa. Nie mam pojęcia, dlaczego ta podziemna baza jest zlokalizowana w tym miejscu. Nie potrafię sobie wyobrazić celu, w jakim powstała. Być może stało się to na podstawie jakiegoś zbędnego kontraktu wymyślonego przez budowniczego z ery zimnej wojny, który przekupił urzędnika, żeby zdobyć na to pozwolenie.

- Golf romeo kilo 7-1 - powtarzam. - GRK 7-1. Kanoa, Abajian. Ktokolwiek tam jest. Misja wykonana, a my potrzebujemy transportu.

Nadal brak odpowiedzi.

Zanim wyruszyliśmy, Kanoa powiedział, że nie ma powodu do obaw o przyszłość 7-1, ale martwię się tym teraz. Abajian twierdził, że jest naszym sojusznikiem. A jeśli zmienił zdanie? Teraz, skoro misja została wykonana, może uważać 7-1 za polityczną kulę u nogi, mieć nas za ludzi zbyt niebezpiecznych, żeby trzymać przy sobie.

Nurkuję z powrotem do tunelu, w którym czekają Logan i Leonid. Pierwszy z ztkh, drugi z M4, którego wziął ze zbrojowni.

- Gdzie jest Kanoa? - chce wiedzieć Logan. Przedstawiam mu swoją teorię. Nie przyjmuje jej dobrze. Leonid warczy jak rozdrażniony pies, a potem mruczy:

- Zobaczę, co się da załatwić.

Wyjąwszy tablet z kieszeni, rusza do wyjścia.

Po kolejnym ataku kaszlu odwracani się do Trana, który siedzi z zamkniętymi oczami, oparty o swój plecak, obejmując ramionami M4; ciemną skórę ma przyprószoną szronem. Z krwią przemaczającą nogawkę jego spodni zmieszał się kurz, a klatkę piersiową porusza szybki, płytki

oddech. Trana trzeba ewakuować, przetransportować do szpitala i poddać leczeniu. Na razie możemy jednak tylko oczyścić i zasklepić jego rany.

Logan pomaga mi w tym. Krew na spodniach Trana jest zimna, lepka, skrzepnięta. Ściągamy mu spodnie, nie wywołując przy tym ponownie poważnego krwawienia. Myjemy nogę wodą z mojego plecaka. To pozwala nam przyjrzeć się jego obrażeniom: siedem rozdarć, z czego sześć jest na udzie, a jedno na biodrze.

- Wyglądasz, jakby popieścił cię yeti.
- Odłamki - warczy przez zaciśnięte zęby.

Logan i ja pracujemy jak najszybciej, usuwamy skalne i metalowe odłamki, po czym sklejemy dokładnie każde skaleczenie. Klej zawiera środek znieczulający, który pozwala Tranowi czuć się na tyle dobrze, że sam nakłada poszarpane, przesiąknięte krwią spodnie. Pomagam mu przy wiązaniu buta.

- Musimy ruszać - informuję go. - Drony zauważą tutejszą aktywność. Zależnie od tego, do kogo należą, możemy stać się celem.
- Nic mi nie jest - mówi Tran. - Dam radę.

Chyba chce przekonać samego siebie.

Leonid wraca do tunelu.

- Załatwiłeś nam transport? - pytam go.

To ściąga na mnie ponury grymas i nieprzetłumaczalne rosyjskie przekleństwo.

- Pracują nad szczegółami. Poza tym nadlatują tutaj myśliwce.

Jeszcze kiedy to mówi, słyszę ich stłumiony ryk. Przeciskam się obok Leonida ku wyjściu. Szczątki strzaskanej bramy rezonują solidarnie. Logan i Leonid tłoczą się za mną. Razem przeszukujemy wzrokiem niebo.

- Tam - mówi Logan, wskazując trzy odrzutowce nadlatujące z południowego zachodu.

Z początku są jedynie szarymi punktami poniżej wiszącej wysoko pokrywy chmur, ale zbliżają się z zatrważającą prędkością. Moja nakładka oznacza maszyny jako pakistańskie.

Leonid dokonuje tej samej oceny.

- Z okolic Islamabadu - stwierdza, po czym dodaje złowieszczy tonem:
- Odkąd wysadziłeś ciężarówkę, nie minęło nawet pół godziny. Jeszcze mniej od chwili zapłonu pocisków. Możliwe, że myśliwce znajdowały się już w powietrzu, ale jakie jest tego prawdopodobieństwo? Czy też znalazły się tutaj, żeby zneutralizować zagrożenie zewnętrzne?

- O kurwa - mówi Logan. - Myślisz, że Abajian wystrzelił już swój pocisk manewrujący?

Pułkownik Abajian mógł go wysłać ponad godzinę temu, kiedy otrzymał informacje, że przechwycono inne wyrzutnie - uderzenie wyprzedzające, żeby powstrzymać Abazę przed podjęciem jakiejś rozpaczliwej akcji.

Odrzutowce mijają z rykiem naszą pozycję, przelatując w odległości zaledwie pół kilometra na zachód od nas. Pakistańczycy nie mają wiele cierpliwości do amerykańskich pocisków manewrujących nad ich terytorium. Obserwuję, jak myśliwce przelatują nad występem góry. Czekam chwilę, żeby huk ich silników ucichł w oddali, a potem mówię:

- Spierdalajmy stąd do lasu. Nie chcę być pod ziemią, kiedy uderzy ten pocisk.

Wracam po Trana, ale ten podniósł się już. Z grymasem na twarzy trzyma się skały.

- Pomóż mu, Logan.

- Nie potrzebuję pomocy - protestuje Tran. - Nic mi nie jest.

- To wyłaż na zewnątrz.

Utykając, przeciskam się obok niego i idę po Issama. Podciągnął się do pozycji siedzącej, ale nie wygląda na to, żeby go było stać na wiele więcej. Klękam obok niego. Obrzuca mnie zrozpaczonym, przerażonym spojrzeniem. Jest oblepiony potem i kurzem, śmierdzi dymem jak reszta nas. Rzęzi cicho, ale przynajmniej oddycha.

- Jak bardzo chcesz wrócić do domu?
- Powiedziałeś, że mnie stąd wyciągniesz - szepcze.
- Zrobię to. Ale musisz mi pomóc.

Stawiam go na nogi. Próbuję zarzucić sobie jego ramię na barki, gdy grunt drży; wibracje przenoszą się przez moje tytanowe protezy. Wlokę potykającego się Issama ku wylotowi tunelu. Wszyscy pozostali są już na zewnątrz. Wychodzimy, kiedy od północy przetacza się grzmot o głębszym rejestrze od ryku silników myśliwców.

Logan, Tran i Leonid obracają się, żeby spojrzeć na wznoszącą się za nami górę. Przybierające na sile światło podkreśla smugi brudu i zaschniętego potu na ich zadartych twarzach oraz plamy błota i sadzy na ubraniach, a ja ponownie sobie uświadamiam, jak bardzo bliscy byliśmy śmierci - i nadal nie jesteśmy bezpieczni. Za grzbietem góry wznosi się kolumna kotłującego się szarego dymu.

- Abajian - warczy Leonid, wypowiadając nazwisko jak przekleństwo. - To był jego pocisk manewrujący, co?

Tran ma zdarty głos, ale nastawienie nadal praktyczne:

- Dobrze, że nie próbowaliśmy wyjść frontowymi drzwiami.

Amen.

Tran trzyma się mocno swojego M4, ale plecak oddał Leonidowi.

- Możesz iść, Tran?
- Powiedziałem ci, Shelley, że dam radę.

Mówi jak nadąsany dzieciak z zapaleniem gardła. Mam nadzieję, że nie wciska mi kitu.

Wiem, że też mam kiepski głos, ale wciąż się ruszam.

- Logan, na prowadzenie. Spróbujemy dotrzeć do szosy, gdzie Papa może załatwi dla nas taksówkę.

- Helikopter - warczy stary, pokazując Tranowi gestem, żeby ruszył naprzód, po czym podąża za Loganem ścieżką pod drzewami. Niesie swój karabin M4 przewieszony przez pierś, gotowy użyć go w każdej chwili. - A jeśli nie helikopter, to porwiemy...

Jeden z myśliwców przelatuje z rykiem nad naszymi głowami, z zachodu na wschód, ledwie powyżej czubków drzew.

- Ruchy, ruchy!

Moje ochryple pokrzykiwania wywołują kolejny atak kaszlu, ale i tak idę dalej, balansując na uszkodzonej stopie i trzymając jednocześnie Issama, żeby mieć pewność, że nie zostanie z tyłu. Oddaliśmy się o jakieś tysiąc dwieście metrów, kiedy odrzutowiec zawraca. Podczas kolejnego przelotu zbliża się z południa.

- Kryć się!

Ściągam Issama ze ścieżki i wpycham go w gąszcz uschłych gałęzi u podstawy drzewa.

- Ani drgnij - ostrzegam go.

Pilot używa działka automatycznego. Pociski przeszywają las, ale trafiają jedynie w drzewa. Może pilot wie, że jesteśmy tutaj, ale nie sądzę, żeby naprawdę celował do nas. Jakby mógł? Ma przed sobą jebaną górę, co wymaga od niego uwagi, a jak można sądzić z kursu jego lotu, obiera taką ścieżkę podejścia, żeby posłać pocisk wprost w wylot tunelu...

Do doliny wlatuje z rykiem kolejny myśliwiec. Ten zjawia się od wschodu. Skulony na ziemi, pozbawiony rynsztunku, hełmu, opiekuna i widoku z

aniola czuję się słaby, ślepy i bezradny. Wyteżam wzrok, żeby zobaczyć coś między czubkami drzew, aby zrozumieć, co się dzieje. Moja nakładka rejestruje dosyć, żeby oznaczyć drugi odrzutowiec jako amerykański. Nurkuje wprost na maszynę pakistańską-Przysięgam, że niemal się zderzają. Amerykański myśliwiec odlatuje na południe. Pakistański skręca na północny zachód, żadne pociski nie zostają wystrzelone.

Co widziałem przed chwilą?

Przysięgam, że amerykański myśliwiec powstrzymał pakistańskiego pilota przed ostrzelaniem naszej drogi ucieczki. Czy Abajian jest jednak po naszej stronie?

We względnej ciszy wydaję rozkaz powrotu na ścieżkę. Kulejemy i zataczamy się na niej przez kolejnych pięćdziesiąt metrów. Potem myśliwce wracają. Tym razem są ponad pułapem chmur. Nie widzimy maszyn, czujemy jednak przenikające kości wibracje pochodzące od grzmotu ich silników. Zaczynają strzelać, ale nie do tunelu, który opuściliśmy niedawno, ani nie do nas. Jak wynika z odgłosów, polują na siebie nawzajem. Nad naszymi głowami toczy się walka powietrzna. Tak blisko, że się obawiam, że staniemy się jej przypadkowymi ofiarami. Potem jednak odrzutowce odlatują. Słysząc eksplozję, kolejny ogłuszający przelot, a potem wysoki dopplerowski ryk silników, przeciągający się i utrzymujący ponad dziesięć sekund.

Poprzez drzewa widzę trafiony myśliwiec, który spada lotem nurkowym w kierunku grani na zachód od nas; w coraz jaśniejszym świetle rozpoznaję gwiazdzisty, czerwono-biało-niebieski emblemat sił powietrznych. Samolot uderza w grzbiet góry i eksploduje, wstrząsając ziemią, wstrząsając moim sercem.

Wywołaliśmy kolejną wojnę?

- O mój Boże - mówi Issam. - O mój Boże. O mój Boże.

Chcę mu powiedzieć, żeby się zamknął, że takie terrorystyczne popychadło jak on nie powinno być wstrząśnięte obrazem przemocy, ale moją uwagę odwraca widok pilota spadającego z nieba pod częściowo

rozpostartym spadochronem.

Zostawiam Issama; kuśtykam między drzewami, zataczam się i potykam o zwalone pnie martwych drzew, starając się nie stracić z oczu pilota, chcąc nagrać nakładką jego lot i oznaczyć punkt, w którym spadochron zniknie z pola widzenia. Sapię z wysiłku, mój oddech paruje w zimnym powietrzu.

Kolejny myśliwiec zjawia się z rykiem silnika, przeczesuje rejon, w którym zniknął pilot, i strzela z działka automatycznego. Wykonuje pojedynczy przelot. Potem oddała się z grzmotem. Domyślam się, że toczy się tam inna walka powietrzna, ale nie słychać żadnych wybuchów. Tylko odgłos silników, który słabnie i znika.

- Masz lokalizację tego pilota, Shelley? - pyta Logan przez gen-kom.
- Być może. - Przerywam, żeby złapać oddech. - Na pewno, cholera... ty i ja pójdziemy... go poszukać.

Ścieżka, na której się znajdujemy, nie jest ani oznaczona, ani widoczna na wygenerowanej przez GPS mapie, określającej moje położenie, ale przyglądając się jej oraz zarejestrowanemu przez nakładkę obrazowi opadającego pilota, wyznaczam miejsce jego lądowania w punkcie, którego odległość od nas oceniam na co najmniej trzy kilometry. Gdybym dysponował aniołem, potwierdziłbym to w dwie minuty.

Mógłbym sprawdzić, czy pilot żyje, czy nie.

Przypuszczalnie zginął. Tak sobie mówię, żeby nie czuć później rozczarowania. Spadochron nie otworzył się całkowicie; potem doszło do przelotu myśliwca i ostrzału.

Idziemy jednak sprawdzić.

Ruszamy ponownie. Nie mam jak poznać szczegółów sytuacji politycznej związanej z tym incydentem, ale potrafię się rozeznać w ogólnym stanie rzeczy. Pakistańczycy są wściekli, bo prowadzimy misję bez ich wiedzy, albo dlatego, że element operacji „Pęknięte Niebo” został odkryty na ich

terenie, w związku z czym chcą usunąć wszelkie dowody na to, że w ogóle istniał.

Jesteśmy częścią owych dowodów. Tak jak ja to widzę, wcześniej lub później nadlecą polujące na nas śmigłowce szturmowe albo zjawi się oddział piechoty, wyposażony w martwe siostry. Abajian nie zaryzykuje w naszej obronie kolejnego myśliwca. Trzeba zatem ewakuować się z tego rejonu jak najszybciej, ale najpierw muszę poznać los pilota. Nie zostawię rannego towarzysza broni.

W trakcie wędrówki obserwuję charakterystyczne punkty terenu i gdy uznaję, że jesteśmy blisko miejsca lądowania pilota, biorę ze sobą Logana i idziemy na poszukiwanie.

- Nie powinno być trudno zauważyć spadochron - stwierdza Logan.

To wszystko, co musimy znaleźć. Jeśli pilot jest w dobrej kondycji, to kiedy dotrzemy na miejsce, jego już dawno tam nie będzie. Jeśli nie żyje, sfilmujemy to i pójdziemy dalej. Jeśli jest ranny i nieprzytomny, ocenimy sytuację i wymyślimy coś. Najgorszym scenariuszem dla nas jest ten, w którym pilot jest ranny, ale przytomny. Piloci myśliwców latają z pistoletami w kaburach.

- Gadajmy - postanawiam. - Jeśli będziemy rozmawiali z amerykańskim akcentem, to może pilot nas nie zastrzeli.

Posługując się GPS-em, ustaliśmy siatkę poszukiwań. To pozwala nam zagłębić się w las i pokonywać nierówny teren, utrzymując jednocześnie między sobą nawzajem stałą odległość trzydziestu metrów. Przez kilometr idziemy prosto przed siebie. Udaję, że nic mi nie jest, ale moja stopa jest zablokowana pod niezręcznym kątem, marzną mi palce dłoni, płuca są rozpalone i mam wrażenie, że oddycham przez mokrą szmatę wepchniętą do gardła.

Po przejściu kilometra zawracamy, przesuwamy się na południe i ruszamy ponownie. Próbujemy podtrzymać rozmowę przez gen-kom, ale głównie to Logan mówi, gdyż ja tracę coraz bardziej głos.

Wspominamy nasze ulubione dania fast food sprzed Dnia Komy, kiedy zza krzaka, który dopiero co minęliśmy, rozlega się głos - nie z płonącego krzaka, na szczęście, chociaż szeleszczącego wyschniętymi starymi liśćmi.

- Przedstawcie się.

Akcent amerykański. Głos kobiety.

Nieruchomieję, wyobrażając ją sobie z palcem na spuście. Nie chcę jej dać żadnego powodu do naciśnięcia go.

- Kapitan James Shelley z nieregularnego oddziału GRK 7-1.
- Siły specjalne?
- Gorzej.
- Mam ją na celowniku - mówi Logan przez gen-kom.

„Nie strzelaj”.

- Nic jej nie będzie - odpowiada - póki nie celuje w ciebie z pistoletu.

Kiedy się odwracam i spoglądam na kobietę, pilnuję się, żeby lufa mojego ztkh była skierowana ku ziemi.

Stoi za krzakiem, ubrana w kombinezon lotniczy i kurtkę, z małym plecakiem ratunkowym na ramionach. W wyciągniętej ręce trzyma pistolet kompaktowy, ale jego krępa lufa jest skierowana w bok, w niebo. Kobieta ma krótkie kasztanowe włosy, jest biała i wysoka - ma niemal metr osiemdziesiąt wzrostu. Myślę, że jest po trzydziestce. Przygląda mi się przez przezroczysty wizor opierający się na wydatnym, piegopatym nosie. Cywilny wizor sygnalizowałby nagrywanie zielonym światłem. Ona ma egzemplarz wojskowy.

- To naprawdę ty - stwierdza z podejrzliwością w głosie, jakby nadal nie była pewna, co widzi. - Kazano mi was znaleźć. Powinniśmy być po jednej stronie.

- Tak jest, ma'am. - Kaszlę. To mokry kaszel. - Odciągnęła pani od nas ten myśliwiec. Chyba przez chwilę możemy być sojusznikami.
- Kapitan Helen Thurman, amerykańskie siły powietrzne.

Wychodzi zza krzaka i śmiało wyciąga rękę na powitanie.

Muszę się odwrócić, wykasłać; to krótki atak, który się kończy wypluciem na spłacheć śniegu kłęбка zgniłej tkanki płucnej.

Opuszcza dłoń, przyglądając mi się z niepokojem.

- Muszę o czymś wiedzieć?
- Toksyczny dym.
- To chyba początek zapalenia płuc.
- Mam kurewską nadzieję, że nie. Ale dosyć o mnie. Jest pani ranna?
- Zawisłam na drzewie. Naciągnęłam sobie kark. Lekkie wstrząśnienie mózgu. - Wsuwa pistolet do kabury ramiennej. - Przeżyję.
- Podchodzę - odzywa się Logan.

Przekazuję tę informację kapitan Thurman.

- Podchodzi mój zastępca. Nie postrzel go.
- Zgoda.

Obracamy się oboje na dźwięk trzeszczących suchych gałęzi i widzimy Logana zbliżającego się przez las.

Wróciwszy spojrzeniem do mnie, Thurman stuka w swój wizor.

- Rozkazy polecają nam pozostać w terenie, aż zostaniemy stąd ewakuowani. Mogą minąć dwa lub trzy dni. W świecie dyplomacji jest mnóstwo urażonych uczuć. W żadnym wypadku nie wolno się nam oddać w ręce pakistańskiego wojska.

- Jeśli dojdzie do tego, to nie z naszej woli - zapewniam ją.

Thurman kiwa głową Loganowi, który dołącza do nas, i przygląda się jego usmarowanej brudem twarzy i pokrytej sadzą kurtce.

- Powinno być was czterech.
- Jeden z moich żołnierzy jest ranny. Jest z naszym lokalnym agentem. I zabraliśmy ze sobą cywila.

Spogląda na mnie.

- Tożsamość?
- Tę informację zamierzam zatrzymać dla siebie.

W obecnej sytuacji nie może oponować, więc zmienia temat.

- Powinnam was podłączyć do mojego przekaźnika satelitarnego. Dowództwo odebrało wasze próby nawiązania kontaktu, ale nie odpowiedzą przez niezabezpieczoną sieć. Korzystają wyłącznie z takiej, którą kontrolują.

Spoglądam na Logana, który przewraca oczami. Nie tak działamy. Wykorzystujemy dostępne urządzenia, a w każdym razie EXALT to zaufana sieć. Kanoa musi być trzymany na krótkiej smyczy, skoro stosuje się do innego protokołu.

Thurman dyktuje adres IP swojego przekaźnika, a potem hasło. Gen-kom rejestruje to, transkrybuje dane i przekazuje je Loganowi, Tranowi i mnie. Dwadzieścia jeden sekund później zgłasza się Kanoa:

- Sytuacja?

Słyszając go, czuję tak wielką ulgę, że niemal mu to mówię, ale powstrzymuję się w porę, żeby zachować twarz.

- Misja wykonana z nadstatkiem.

- To ty, Shelley? Co z twoim głosem?
- Nawdychałem się dymu.
- Cholera. W porządku. Masz dla mnie podsumowanie?
- Obecna jest kapitan Thurman - mówię, zerkając na nią. - Nie sądzę, żeby była upoważniona do uczestniczenia w tej rozmowie.

Kobieta krzyżuje ramiona na piersi i piorunuje mnie wzrokiem. Nie odsuwa się.

- Tran cię poinformuje, ale mam dla ciebie pewne dane. Chcesz, żebym je przesłał?
- Wykonać.

Wyjmuję wizor Issama. Thurman ma kabelek, którym łączę urządzenie z przekaźnikiem satelitarnym, dzięki czemu Kanoa może ściągnąć dane.

- Obraz twoich funkcji życiowych wygląda gównianie -mówi, gdy informacje zaczynają płynąć. - Trana też.

Nie podoba mi się to przypomnienie, zwłaszcza że oczy mi łzawią z powodu opierania się kolejnemu napadowi kaszlu.

- Musisz nas stąd wydostać.
- Pracujemy nad tym. Sytuacja polityczna...

Już nie mogę powstrzymać kaszlu. Atak jest gwałtowny, ale nie trwa dłużej niż kilka bolesnych spazmów. Logan przejmuje pałeczkę, podczas gdy ja sapię i wycieram twarz rękawem.

- Musimy się stąd wydostać, Kanoa - mówi. - Tran musi trafić do szpitala. Shelley też. Nie utrzyma się długo na nogach.

Wspieram argumenty Logana:

- Wiesz, że przed upływem kilku godzin w tym miejscu zaroi się od

wrogów.

- Pracujemy nad układem - upiera się Kanoa. - Póki jednak nie zostanie podpisany, musicie pozostać w ukryciu. Stawką jest reputacja prezydent. Unikajcie więc nieprzyjaciela, brońcie się, jeśli musicie. Nie poddawajcie się.

- Majorze, mógłby pan chociaż przysłać nam anioła?

- Nie na tyle szybko, żeby się przydał na cokolwiek. Pogadam z Tranem, zanim dane się załadują.

Wyłącza się.

- To bzdury - stwierdza Logan. - Musimy przetransportować ciebie i Trana do szpitala.

- Pierdolić to. Pierdolić ich wszystkich. Sami się stąd wydostaniemy. To znaczy, mamy ze sobą Pape. Jebanego czarnoksiężnika. - Słyszac bulgotanie w gardle, przerywam tyradę, żeby odetchnąć. - Wyczaruje nam helikopter, a kiedy to się stanie, wsiądę do niego. W dupie mam, dokąd poleci.

Kończę przemowę kolejnym atakiem kaszlu, który nie poprawia mi nastroju. Kiedy napad mija, kapitan Thurman odłącza wizor. Wręcza mi go.

- Transfer danych zakończony.

Wsuwam wizor do kieszeni kurtki.

- Jeszcze trochę, a odnajdę... odnajdę... - kończę już szeptem - patrol pakistański i pozwolę im skrócić moje męki.

Thurman ma taką minę, jakby ponownie żywiła wątpliwości co do walorów naszego towarzystwa.

- Witamy w Grupie Reagowania Kryzysowego - chrypię.

- Misja jest najważniejsza - dodaje Logan. Pokazuje niebu środkowy palec na wypadek, gdyby obserwował nas dron.

Thurman pozbawia go jednak słodczy buntu.

- Pakistańczycy załatwili nasze drony. My straciliśmy ich. Co oznacza, że mamy szansę. Zanim ściągną tutaj nowy sprzęt, możemy iść, dokąd nam się podoba, nieobserwowani przez nikogo.

To daje nam przypuszczalnie co najmniej godzinę, może trochę więcej. Mnóstwo czasu na to, żeby zadziałały czary Leonida. Sprawdzam mapę oddziału i biorę się w garść.

- Dołączmy do reszty.

Po drodze Thurman dzieli się tym, co wie.

- To obszar wyludniony z powodu epidemii SARS-K. Stałe zabudowania opuszczono. Nie ma więc bezpośredniego zagrożenia. Podczas przelotu zauważyłam jedynie niewielką grupkę ludzi u wylotu doliny. Przypuszczam, że to byliście wy.

- Taa, my.

- Jakie pani miała rozkazy? - pyta Logan.

Thurman nie odpowiada. Przechodzimy w milczeniu dwadzieścia czy trzydzieści metrów, zanim odzywa się ponownie:

- Przerwijcie mi, jeśli słyszeliście to już. Tuż przed tym, gdy dostaliśmy rozkaz poderwania maszyn, przysły informacje. Biały Dom ogłosił, że odnaleziono i zniszczono dwie kołowe wyrzutnie raketowe BXL21. To broń, której użyto do zaatakowania obiektów orbitalnych.

- Taa, coś o tym wiemy - stwierdza Logan.

- Tak myślałam. Zostały znalezione w Boliwii i Sudanie. To tym się

zajmowaliście, co? Tutaj szukaliście następnej?

- Sądzę, że to pozostanie tajemnicą - odpowiadam.

To wystarczy za potwierdzenie. Kiwa głową.

- Poderwano nas wcześniej. Potem spaliliśmy paliwo przez czterdzieści minut, czekając na rozkazy, żeby wkroczyć i osłonić sojuszników.

Pakistańczykom nie spodobało się to. Ich trzech, nas dwoje... sytuacja skomplikowała się szybko.

- Wystrzelaliby nas, gdybyście nie zjawili się na czas. Więc dzięki za to.

- Żaden problem. To jedynie koszt w postaci mojej kariery i samolotu za sześćdziesiąt milionów dolarów, ale przynajmniej mój skrzydłowy ocalał.

Leonid i Thurman przyglądają się sobie czujnie. Kiedy kobieta odwraca się do mnie, wiem, że posłużyła się wizorem, żeby go zidentyfikować.

- Jesteś pewny co do niego? - pyta.

- Całkowicie. Papa jest naszym lokalnym kontaktem. Okazał się istotny dla sukcesu misji.

- Nazywasz to sukcesem? - pyta Leonid, ściągając krzaczaste brwi.

- Żyjemy - przypominam mu.

Chrząka nieporuszony.

- Owszem, ale wasze dowództwo nas porzuciło.

- Zostaniemy ewakuowani tak szybko, jak się tylko da -upiera się Thurman.

- Nikt się nie zjawi! Jak by mieli to zrobić, skoro całe lotnictwo cywilne zostało uziemione na rozkaz wojska?

Dobra, nie będziemy zatem w stanie stąd odlecieć.

Ogarnia mnie wyczerpanie. Nie mogę już udawać, że nic mi nie będzie. Sądziłem, że płuca oczyszczą się w świeżym powietrzu, ale tak się nie stało. Tran nie jest w lepszym stanie ode mnie.

- Zatem to będzie ciężarówka rolnika - stwierdzam, rozważając w duchu okropne godziny spędzone na podskakiwaniu na wybojach zamarzniętej drogi prowadzącej nie wiadomo dokąd.

Kapitan Thurman oponuje z innych powodów.

- Im bliżej szosy się znajdziemy, tym większe prawdopodobieństwo, że zostaniemy zauważeni.

- Im bliżej szosy się znajdziemy — poucza ją Leonid - tym trudniej będzie odróżnić nas od cywilów. I nie, Shelley, nie pojedę ciężarówką. Nie po braku snu, wymianie ognia, której się nie spodziewałem, falach uderzeniowych, toksycznych oparach i najdłuższym bieganiu od czasu, gdy skończyłem czterdziestkę, i nie na terenie lokalnego garnizonu, który jest karygodnie źle opłacany.

- Papa wynajął helikopter wojskowy - wyjaśnia Tran ochryplym szeptem. Oczy mu łzawią, białka żółcieją. Zastanawiam się, czy wyglądam równie fatalnie, ale tak naprawdę nie chcę tego wiedzieć. - Wynegocjował układ z komendantem miejscowego okręgu.

Słyszając tę wiadomość, Thurman robi wielkie oczy. Kręci głową.

- Nie, to się nie zdarzy. Będziemy postępować zgodnie z rozkazami i pozostaniemy w terenie, aż...

- Zostań, jak chcesz - przerywa jej Leonid. - Być może przeżyjesz. - Odwraca się do mnie. - Twój link z dowództwem. Możesz go wyłączyć?

- Dlaczego?

- Nie musisz wiedzieć. A dowództwo nie musi znać dokładnie naszych ruchów. Mam kontakty, które muszę chronić.

Jestem nadal zły na Abajiana i na Kanoę. Jedyne Leonid usiłuje nas stąd wyciągnąć, nie jest więc trudno spełnić jego prośbę.

- Rozumiem. Zamknięta sieć, połączenie tylko między nami.
- Kanoa się wkurzy - ostrzega Logan.
- Nie pierwszy raz.
- Robimy, co musimy - chrypi Tran. - A musimy wydostać się stąd w cholere.

Wylogowujemy się więc, pozostawiając jedynie połączenia między sobą.

Jednak Thurman nadal nie jest nastawiona pozytywnie-

- Chyba pan żartuje, kapitanie Shelley. Ten człowiek to przestępca współpracujący z innymi kryminalistami, z których żadnemu nie wolno ufać.
- Ja mu ufam. - I dociera do mnie, że to prawda. - Jeśli Papa przekupił lokalny garnizon, to jestem gotów wyjechać dzięki temu biletowi.
- Ma pan obowiązki, kapitanie Shelley.
- Tak jest, ma'am. Musi mi pani oddać przekaźnik satelitarny.
- Co?
- Proszę mi go oddać, a ja go wyłączę.

Thurman kładzie dłoń na kolbie pistoletu w kaburze.

- Nie ma mowy.
- Albo może pani zostać tutaj.

Leonid wypowiada szeptem kolejne nieprzetłumaczalne przekleństwo.

- Nie ma na to czasu! Kiedy śmigłowiec nadleci, musimy być w miejscu

podjęcia. A to oznacza, że musimy natychmiast wyruszyć.

Daje przykład, idąc szybko długimi krokami w dół szlaku, z karabinem w ręce i plecakiem Trana na grzbiecie. Nie sprawdza, czy podążamy za nim.

Wskazuję kciukiem Trana.

- Ruszaj.

Potem wyciągam rękę do Issama, który znalazł sobie siedzisko między pokrytymi śniegiem kamieniami osypiska z boku ścieżki.

Zbywa mnie machnięciem dłoni.

- Czuję się już lepiej. Mogę iść.

Wstaje samodzielnie, a potem spogląda na mnie z niepokojem.

- Chcesz, żebym poniósł twój plecak?

Chyba wyglądam na umierającego.

- Po prostu idź.

Podąża za Tranem, pozostawiając Loganowi i mnie obowiązek zajęcia się upartą panią kapitan lotnictwa.

- Ostatnia szansa - informuję ją. - Jeśli chce pani podwózki, odda pani przekaznik.

Logan stosuje odmienne podejście.

- Nie chce pani, żeby ją tutaj schwytano, kapitanie. A nie będzie pani w stanie obronić się przed tym, co nadciąga, za pomocą jedynie pistoletu i ograniczonego zapasu amunicji.

Dopiero po kilku minutach skłaniam ją do oddania urządzenia. Sądzę, że nawet pilot lotnictwa wojskowego może się wykazać odrobiną elastyczności.

Zostaję z tyłu.

To kurewsko żenujące. Wysokość i rozrzedzone powietrze wyczerpują moje siły. Nie pomaga też, że prawa stopa jest zepsuta. I mam powyżej uszu słuchania tarcia metalu o metal. Nadal mam w plecaku buty. Zastanawiam się, czy ich nie włożyć, żeby stłumić hałas, ale nie sądzę, żeby uszkodzona stopa protezy pasowała do buta. A poza tym i tak nie ma na to czasu.

Dałbym sobie radę, gdybym miał rynsztunek.

Logan i Thurman czekają na mnie na zakręcie ścieżki. Idę ku nim sztywno na skrzypiących, kiepsko działających nogach - dychawiczny zombi o gnijących płucach.

- Niech pan mi da swój plecak - mówi Thurman. - Może pan nieść mój, jest lżejszy.

Duma każe mi skłamać:

- Nie jestem jeszcze taki wykończony.

Próbuję się przepchnąć obok nich.

Logan wyciąga rękę i zatrzymuje mnie.

- Spowalniasz nas. Posłuchaj jej.

Rozglądamy się wszyscy, gdyż nagle ponad szumem drzew słychać odległe brzęczenie helikoptera.

- Dalej, Shelley.

- Dobra. - Oddaję plecak i biorę w zamian ten Thurman.

- I ztkh - mówi Logan.

- Nie przeginaj.

Ciężar, który dźwigam, został już zmniejszony o sześćdziesiąt procent. Ruszamy, a ja jestem w stanie iść dużo szybciej. Jakbym dostał dawkę speedu. Nie trwa to jednak długo. Klatka piersiowa boli mnie przy każdym chrapliwym, rzęzącym oddechu, a w polu widzenia roją się czarne plamki. Dźwięk zbliżającego się helikoptera narasta nieustannie, a ja się martwię, że możemy mieć do przejścia kolejny kilometr lub więcej.

I wtedy, gdy szlak opada wzdłuż strumienia, widzimy go - zniszczony, ciemnozielony śmigłowiec z dwupłatowym wirnikiem. Model chyba europejski. Osiada tuż poniżej krawędzi lasu, na zbrązowiałym z powodu zimy pastwisku, może dwieście metrów od nas w linii prostej. Jego pojawienie się przeraża stadko żujących suchą trawę białych kóz, które rozpierchają się i uciekają w dół strumienia.

Leonid jest już na dole, na skraju łąki.

- Tran - mówię. - Trzymaj się.

Jego odpowiedź przychodzi przez gen-kom:

- Przyjąłem.

Biegniemy ścieżką. No cóż, Logan i Thurman sadzą susy. Ja się zataczam. Ale wraz z Tranem i Issamem nadganiamy.

Staram się nie kasłać, zachować ciszę, gdy obserwujemy między drzewami Leonida, który przeszedł przez pastwisko i jest niemal przy drzwiczkach pilota. Kiedy się otwierają, podnoszę ztkh i spoglądam przez celownik optyczny. Z maszyny wyskakuje kobieta w kombinezonie. Leonid spotyka się z nią pod wirującymi płatami śmigła. Ściskają sobie dłonie; ich ubrania marszczą się pod wpływem wichury. Kobieta gestykułuje, jakby zadawała jakieś pytanie. Leonid odwraca się do tyłu, tam, gdzie kryjemy się wśród drzew. Marszczy czoło w grymasie niezadowolenia; podnosi palec wskazujący i wypowiada samymi ustami słowa, które odczytuję wyraźnie: „Jedna minuta, kurwa”.

A co tam, do diabła. Nie możemy tutaj zostać.

Opuszczam broń.

- Wszystko wygląda dobrze i mamy minutę, żeby dotrzeć na dół.
Ruszajmy.

Spodziewam się krótkiego lotu, ale się mylę. Śmigłowiec jest w powietrzu przez sześćdziesiąt siedem minut. Mam interkom pozwalający mi słuchać głosów odzywających się w radiostacji. Kiedy moja nakładka je tłumaczy, staje się jasne, że w powietrzu jest jeszcze jeden helikopter, który poluje na nas albo udaje, że to robi. O ile rozumiem, szukają nas na ziemi.

Korzystam z GPS-u i śledzę naszą pozycję, która przesuwa się na mapie. Kiedy śmigłowiec siada w końcu na lądowisku, czeka na nas mały wysłużony samolot turbośmigłowy. Kapitan Thurman obchodzi maszynę, sprawdzając jej stan. Nie wydaje się, żeby statek powietrzny jej zaimponował, ale mimo to wchodzi na pokład. Fotel drugiego pilota jest wolny, więc Thurman dostaje pozwolenie na zajęcie go.

Wnętrze samolotu jest skromne, o podłodze z surowego aluminium, z mocno zniszczonymi, cienko wyściełanymi fotelami. Opadam na miejsce na dwuosobowej ławce. Po drugiej stronie wąskiego przejścia znajdują się pojedyncze siedzenia.

Kiedy znajdujemy się ponownie w powietrzu, wydobywamy z dna plecaków nasze racje żywnościowe, ale po pierwszym kęsie nie mam już ochoty jeść więcej. Przełykanie boli, a pożywienie zalega w żołądku niczym trucizna. Zmuszam się do wypicia wody. Każę Tranowi zrobić to samo.

Opieram się o ścianę, wyglądam przez duży iluminator na zdumiewający zwał wznoszących się chmur i wsłuchuję się w swój oddech. Jest szybki, płytki i wyraźnie słyszalny ponad dźwiękiem silników turbośmigłowca. Co kilka minut szarpia mną napady kaszlu. Tran nie kaszle tak często jak ja, ale martwię się, że to dlatego, że jest w gorszym stanie ode mnie i jego organizm już słabnie.

Samolotem kołyszą turbulencje. Nic nazbyt dramatycznego, ale za ich sprawą wracam myślą do ostatnich minut spędzonych na pokładzie *Lotusa*, kiedy to marynarka USA zestrzeliła z nieba nasz mały samolot kosmiczny.

Lecimy już od godziny, gdy obok mnie siada Leonid. Jest potężnym facetem, więc czuję się przytłoczony.

- Rozmawiałem z Issamem - mówi. - Dużo zaryzykowałeś, żeby go stamtąd wyciągnąć. Zważywszy na to, uważam, że ty także powinienesz z nim pogadać o tym bycie, który cię nawiedza. I nie tylko ciebie. Także twoich ludzi. Ma przemyślenia na ten temat.

- Chodzi ci o Czerwień.

Wielu ludzi czuje się nieswojo, gdy o niej mówi; nie lubią używać jej nazwy, bo mają wtedy wrażenie, że przywołują ducha.

- Czerwień - Leonid wypowiada to słowo samymi ustami, jakby na próbę. - Wiesz, kiedy się tobą posługuje?

Gdyby pytali mnie o to Issam albo Thurman, kazałbym się im odpierdolić. Ale to Papa, a ja jestem całkiem pewny, że będę mu zawdzięczał życie.

- Niekiedy. Nie cały czas.

- Dlaczego nie opuściliśmy po prostu tamtej bazy, tak jak było to zaplanowane?

- Nie sądzę, żeby taki był plan.

Od początku miałem pomysł, żeby zrobić coś więcej. Inaczej nie to, dlaczego prosiłbym pułkownika Abajiana o pozwolenie na zrobienie wszystkiego, co uważałbym za niezbędne, zanim jeszcze opuściliśmy CLIIS?

Chociaż nie mówimy zbyt głośno, siedzący obok mnie Logan wychwytuje temat rozmowy. Wstaje, obraca się, opiera o siedzenie i przedstawia swoją opinię:

- Nie mogliśmy tak po prostu opuścić schronu, Papo. Musieliśmy dokończyć zadanie.

Leonid opiera się, a plastikowa rama naszej ławki trzeszczy pod jego ciężarem.

- Zadaniem było zlokalizowanie wyrzutni raketowej.
- Nie - sprzeciwiam się. - To była operacja przydzielona nam przez Abajiana. Chodziło o coś więcej.
- Widziałem plan misji. Nic więcej w nim nie było.
- Było - upieram się.

Nasza rozmowa budzi także zainteresowanie Issama. Siedzi po drugiej stronie przejścia, na wprost Logana, ale opuszcza swoje miejsce, żeby spojrzeć na nas z zaciekawieniem. Ryzykowaliśmy życie, żeby wyciągnąć go z łap Maksima Abazy. To nie było nigdy częścią planu.

Patrząc na Issama, zauważam, że wytarł brud z twarzy i nie ma już żadnych problemów z oddychaniem. Spokojny i wyzbyty strachu wydaje się innym człowiekiem. Szczęśliwym. Miał szczęście, że się zjawiliśmy. Mam nadzieję, że jest tego świadom.

Wymieniam spojrzenia z Leonidem.

- W tej misji chodziło o coś więcej. To nie było napisane, ale kiedy nadeszła odpowiednia pora, wiedzieliśmy to. Wszyscy. - Oczy wypełniają mi się łzami, gdy walczę z kolejnym atakiem kaszlu. - Musieliśmy zniszczyć pociski i PBO. Takie odizolowane od Chmury miejsca stanowią zagrożenie. Są zbyt niebezpieczne, żeby istnieć.

A potem muszę się odwrócić, żeby oczyścić rozpuszczające się płuca. Chciałbym, żeby wszyscy odeszli, zostawili mnie w spokoju, ale moje życzenie się nie spełnia.

- Zbyt niebezpieczne dla kogo? - pyta Leonid. - Dlaczego?

- Dla naszej przyszłości - odpowiada za mnie Logan.

Potwierdzam skinieniem głowy.

- Jedyne sposoby, w jakie to działa, polega na tym, że wszyscy na świecie są widoczni, wszyscy odpowiedzialni. Nikt nie ma szansy załatwić systemu.

Leonid spogląda na Issama, który unosi brwi z zarożumiałą miną.

- Jak powiedziałem, jeżeli chcesz, żeby człowiek zrobił niewybaczalne rzeczy, daj mu słuszną sprawę i silną wiarę.

To mnie wkurza. Issam porównuje mnie z Maksimem Abazą i jego ludźmi.

- Wiedziałeś, że mieli tam gaz bojowy? - pytam go.
- Nie. Nie wiedziałem, ale nie jestem zaskoczony.
- „Cyrk morderców”. Tak ich nazwałeś. Ale pracowałeś dla nich. Ty...
- Jestem tchórzem, Shelley! Przyznaję to. Pogubiłem się. Byłem przerażony. Mówiłem sobie cały czas, że w ostatniej chwili postąpię słuszenie, ale nie wiedziałem, czy to prawda. - Spogląda w bok. - Przypuszczalnie nieprawda.
- Taa. - Nigdy nie jest łatwo poświęcić życie. - Słuchaj, nie zaprzeczam, że zrobiliśmy tam niewybaczalne rzeczy, ale w słusznej sprawie.
- I z silną wiarą? - pyta mnie Leonid. - Shelley, mój przyjacielu, pomyśl o tym, co się stało naprawdę. W którym momencie postanowiłeś wyjść poza plan misji i zniszczyć wyrzutnię rakiet?

Wzruszam ramionami.

- To zawsze wchodziło w grę. Pułkownik Abajian pozostawił to mojej decyzji.

- W którym momencie, Shelley?
- Nie wiem! Nie pamiętam. Wiedziałem po prostu, że musimy działać. Nie było czasu.
- Był.
- Abaza robił się podejrzliwy.
- Nieprawda.

Pomimo wyczerpania siadam prościej. Niepotrzebne mi te bzdury. Nawet ze strony Papy. Jestem zmęczony i nie chcę odpowiadać na kolejne pytania. Moje ponure spojrzenie ma to przekazać, ale Leonida nie jest łatwo onieśmielić.

- Czy to działa na twoich żołnierzach? - pyta. - Bo jeśli o mnie chodzi, to jestem za stary, żeby dać się zastraszyć groźnym wzrokiem. Byłem tam. Widziałem wszystko. Maksim chciał, żebyś się tam z nim znalazł. Chciał, żebyś opowiedział światu jego historię. Chciał celebryty. Nic ci z jego strony nie groziło.

Patrzę na Logana, który opiera się nadal o fotel. Na moje spojrzenie odpowiada z zakłopotaną miną.

- To był jedyny sposób na wyciągnięcie stamtąd Issama - przypomina mi. - Musieliśmy przejąć kontrolę nad podziemną bazą.
- To się wam wcale nie udało — stwierdza Leonid. — Nie opanowaliście jej. Nie miałeś realnego planu. To jedynie łut szczęścia, że nie zginęliśmy wszyscy w głębi tamtej góry. - Pochyla się i klepie mnie po tułowiu. - Chociaż ty wciąż jeszcze możesz umrzeć na skutek obrażeń, jakie zafundowałeś swoim płucom.

To lekkie dotknięcie, ale i tak przyprawia mnie o kaszel. Leonid czeka, aby atak minął. Potem stwierdza zdecydowanie:

- Byłeś nawiedzony, Shelley. Nie myślałeś jak człowiek, który ceni sobie życie swoje oraz swoich żołnierzach. To prawda, że zostawilibyśmy tam

naszego nowego przyjaciela -spogląda przeproszająco na Issama - i byłoby mi przykro z tego powodu. Ale to była racjonalna opcja. Zamiast niej wybrałeś misję samobójczą.

- To nie była misja samobójcza.
- Uczyniłeś ją taką, kiedy zaatakowałeś Maksima, choć nie miałeś żadnego planu.
- Mieliśmy plan. Mieliśmy możliwości. Issam współpracował. Powiedział, że jest inne wyjście na zewnątrz.
- Mglista obietnica. Tak usprawiedliwiasz to, co już wcześniej postanowiłeś zrobić.

Odwracam się do Logana, szukając u niego wsparcia, ale wygląda na zdezorientowanego.

„Tak było?” - pyta przez gen-kom.

Było?

- Jeśli jesteś berserkiem - ciągnie Leonid - samobójczym dżihadystą, to niech ci będzie, ale nie okłamuj się co do tego. Bądź świadom, kim czy czym jesteś. Znaj prawdę, która kryje się za tym, co robisz.
- Nie jestem kimś takim, Papo. Nie jesteśmy tacy.

Unosi krzaczastą brew.

- No to możliwe, że się zaofiarowałeś nieodpowiedniemu bogu.

Usiłuję spać; jestem wyczerpany. Kiedy jednak zapadam w drzemkę, to tylko na minutę, najwyżej dwie. Dusi mnie gęsta bryła gnijąca w mojej klatce piersiowej. Kiedy opada mi broda, oddychanie staje się jeszcze trudniejsze. Budzę się nagle, walcząc spazmatycznie o oddech.

Powiedziałem Abajianowi, że nie wyruszę na misję samobójczą, a potem sam taką sprokurowałem.

Co ja sobie, kurwa, myślałem?

Nie widziałem ikony neuronetki, ale wiedziałem, że w mojej głowie funkcjonuje program, i nie obchodziło mnie to. Miałem jasny cel. Liczyło się jedynie wykonanie zadania, załatwienie PBO; misja jest najważniejsza!

Leonid stwierdził: „Musisz być bardzo pewny”.

Już nie jestem.

Przeglądam na szybkim przewijaniu nagranie tego, co się działo w nocy, patrzę ponownie na to, co zrobiłem, i słucham tego, co powiedziałem - i to wszystko nie ma dla mnie najmniejszego sensu. Spaliłem wszystkich ludzi w komorze koszar, wiedząc, że wśród nich może się znajdować Maksim Abaza, wiedząc, że jeśli tam jest, to wyeliminowałem właśnie jedną z dwóch niepewnych szans na to, żebyśmy wyszli stamtąd żywi, i byłem zbyt arogancki, żeby się tym w ogóle przejąć. Chwilę później, przekonawszy się, że Abaza żyje nadal, zagroziłem mu, że wysadzę w powietrze ciężarówkę. Leonid ostrzegł mnie przed rzucaniem gróźb, których nie chcę spełnić. A moja odpowiedź? „Kto powiedział, że nie chcę?”.

Papa wiedział wtedy, kto mnie kontroluje. Możliwe, że ja też to wiedziałem, ale nie obchodziło mnie to.

Nigdy nie ufaj Czerwieni.

Coś mi się zdaje, że już to słyszałem.

Nigdy nie ufaj Czerwieni.

Ile razy to powiedziałem?

Mimo to ufałem jej sercem i rozumem.

A ona wysłała mnie na samobójczą misję.

Gapię się jak zombi na oparcie siedzenia przed sobą, obracając w kółko w wyczerpanym umyśle tę jedną myśl, aż zakłęcie zostaje przerwane przez pytanie pochodzące spoza mojego rozgorączkowanego mózgu:

- Jesteś okablowany, co?

Zdezorientowany odwracam głowę i przekonuję się, że miejsce Papy obok mnie zajął Issam. Marszczę brwi i przykładam dłoń do kurtki, żeby się upewnić, że wizor, który mu zabrałem, wciąż tam jest. Issam obdarza mnie półuśmiechem.

- Papa powiedział, że wyrzuci mnie z samolotu, jeśli sprawię ci kłopot.

Biorę głęboki wdech. Rzęzenie w płucach przypomina mi, żeby sprawdzić ikonę Trana, a potem własną. Taa, obaj nadal oddychamy.

- Papa przesadza - pocieszam go cichym, ochrypłym głosem. - Jesteś cennym nabytkiem wywiadu.

- Tak jak mój wizor.

Kiwam głową.

Issam wraca do swojego początkowego pytania:

- Jesteś okablowany, prawda? Masz wszczepioną siateczkę neuromodelującą? - Przykłada palec do swojej głowy, żeby to zademonstrować. - Tutaj? Implant na czaszce?

- Tak.

- A także nakładkę. To niebezpieczna kombinacja.

- Tak działałam. Byłeś osobistym inżynierem Maksima. Płacił ci ekstra za niebezpieczne warunki pracy?

Pytanie jest zamierzone jako przytyk, ale Issam traktuje je poważnie.

- Od Dnia Komy nie dostałem ani centa.
- Taa, Dzień Komy zmienił wszystko. — Zmienił nas wszystkich. Wszyscy mamy swoje historie do opowiedzenia. - Gdzie wtedy byłeś? - pytam. - Nadal na uniwerku?
- Nie. Chciałbym tam być. Leciałem nad Atlantykiem, do Szwajcarii. Departament Obrony próbował zwerbować mnie do projektu Manhattan, dotyczącego sztucznej inteligencji. Nie miało to cech dobrowolności. Mieli nas chronić. Izolować. Nie chciałem brać w tym udziału. Skontaktowałem się więc z dawnym przyjacielem.
- Z tym, o którym mi mówiłeś?
- Tak. Pomógł mi przedostać się do Kanady, a stamtąd do Europy. Nie potoczyło się tak, jak się tego spodziewałem.
- Nikomu nie można ufać.
- Nie mogłem wrócić do domu. Chciałem, ale byłem wciągany coraz głębiej i głębiej w... no cóż, w sprawy, z którymi nie chciałem mieć nic wspólnego.

Nie najbardziej porywająca historia, jaką słyszałem.

- Masz to już za sobą... A jeśli mówisz mi to wszystko, bo się martwisz, że będę zeznawał przeciwko tobie, to zapomnij o tym. Nie mogę zeznawać, bo nie istnieję. Nikt z nas nie istnieje.
- Tak naprawdę to chcę ci powiedzieć, że ja także byłem okablowany.
- Powtórz.
- Byłem okablowany. Tak jak ty. To było coś nowatorskiego. Popularne w społeczności zajmującej się AI. -FaceValue nie oznacza tego jako kłamstwa. - Interfejs z Chmurą, przykrawanie własnych emocji. Trzeba było lecieć do Japonii, żeby to zrobić, ale... - Zawiesza głos.

Mówię mu to, co powiedział mi Cory:

- Teraz to nielegalne. W wypadku cywilów.

- Doprawdy? - Issam wzrusza ramionami. - Kongres działał opieszale, niedołącznie i był tak skoncentrowany na kolejnych wyborach, że kiedy to zrobiłem, nie było żadnych przepisów, które by tego zabraniały. Kiedy jednak do moich drzwi zapukali ludzie z Departamentu Obrony, spanikowałem. Pomyślałem, że kiedy się o tym dowiedzą, to mnie zapuszczają. Teraz pojmuję, że mój strach nie miał żadnego sensu. Nie było podstaw prawnych. Przypuszczalnie nie wiedzieli nawet, co to jest neuronetka, ale byłem przerażony i wiedziałem po prostu, że muszę uciekać.

— Myślisz, że zrobiła to Czerwień? Dostała ci się do głowy i wprawiła cię w stan paniki? - Dopiero teraz dociera do mnie naprawdę, co Issam usiłuje mi powiedzieć. - Czekał... powiedziałaś, że byłeś okablowany?

- Tak. Usunięto mi neuronetkę. Powiedziałem moim nowym „przyjaciołom”, że żałuję tego, że to obrzydlistwo. Usunięcie siateczki to prosty zabieg chirurgiczny. Później usunięto mi nakładkę. - Zmarszczenie brwi odzwierciedla głęboki namysł. FaceValue potwierdza, że Issam jest szczery. - Przerobiłem wiele scenariuszy i przeprowadziłem sporo badań. Wszystkie wykazały, że uniknięcie wpływów Czerwieni jest niemożliwe. Nie ma w zasadzie znaczenia, jak głęboko się wycofasz ani gdzie się ukryjesz. Wszyscy należymy do świata i wcześniej czy później Czerwień przypomina nam o tym. Niemniej jej wpływowi można się opierać, kwestionować go, odwrócić. Nie jesteśmy marionetkami. Przynajmniej póki nie wpuścimy jej do swoich głów. Kiedy to zrobisz, nie wiesz nigdy, kto tobą kieruje. To dlatego pozbyłem się drutów. Kiedy następnym razem zrobię coś krańcowo głupiego, chcę wiedzieć, że to była wyłącznie moja decyzja.

Ten samolot chyba nigdy nie wyląduje.

Logan wraca na miejsce obok mnie, ale nie rozmawiamy. Nie od razu.

Przyglądam się jego ikonie. Wskaźniki jego funkcji życiowych są wysokie.

Podwyższone tętno i ciśnienie krwi. Zwiększone napięcie mięśniowe. Jest mocno zdenerwowany.

- Niepokoisz się - mówię niewiele głośniej od szeptu; zaledwie poruszam ustami, wiedząc, że jakikolwiek inny ruch może mnie przyprawić o atak kaszlu.

Czuję na sobie wzrok Logana.

- Ten samolot jest cholernie powolny - mówi.
- A Tranowi się nie poprawia.
- Ani tobie.

Nie jest to coś, o czym chciałbym myśleć.

- Sądysz, że Papa miał rację? - pyta. - Nie mieliśmy się stamtąd wydostać?
- Mieliśmy zniszczyć tamto miejsce. Byliśmy zmuszeni do tego. Pamiętasz, że odczuwałeś to w ten sposób?
- Tak.
- I że wszystko, co się zdarzyło później... nie miało, kurwa, znaczenia?

Logan milczy przez dłuższą chwilę.

- Zostaliśmy wrobieni. A potem spisani na straty.
- Owszem.
- Wkurwia mnie to.

Wszyscy w GRK mają podobny podstawowy typ osobowościowy. Mógłbym go nazwać inklinacją do służby, ale jebać to. Jesteśmy kółkiem wzajemnej adoracji, skupiającym pompatycznych skurwieli obarczonych kompleksem mesjasza i uzależnionych od adrenaliny. Obiektywnie rzecz biorąc, wiedzieliśmy zawsze, że w rachubach Czerwieni żadna jednostka

nie liczy się zbyt, ale trudno nie ulegać emocjom, kiedy jest się wypchanym w ogień. A dla mnie to nie pierwszy raz. Zdarzyło się to już w Czarnym Krzyżu, kiedy Czerwień wygoniła mnie na zewnątrz. Zdarzyło się przy Sigil, kiedy stanąłem na tej bryle lodu, wystawiając się na cel.

Jestem uparty, ale się uczę.

- To jest nieliniowa wojna. - Obracam głowę na tyle, żeby widzieć Logana. - Sojusze zmieniają się zależnie od okoliczności. Tak funkcjonuje Czerwień. My też musimy działać w ten sposób. Stać po swojej stronie. Myśleć o sobie.

- Naprawdę myślimy o sobie. - Logan mówi cicho, z naciskiem; jego słowa są podszyte strachem. - Przeważnie. I nie chcę rzucić tego, co robimy. Zrobiliśmy dobre rzeczy. Wartościowe...

Niewybaczalne.

- ...ale Czerwień się zmienia. Dawniej było inaczej. Ostatnim razem na akcji wywołaliśmy pierdoloną wojnę. Tym razem mieliśmy zostać poświęceni dla osiągnięcia pomniejszego celu taktycznego. Gdzie to nas sytuuje? Nie możemy w tym uczestniczyć. Następnym razem może być jeszcze gorzej. Jednak odejście to także wszawy wybór. Wiem, Shelley, że uważasz, że skoro Issam mógł się pozbyć swojej neuronetki, to my też możemy to zrobić. Wyeliminować tę słabość. Ale...

- Nie mamy wyboru.

Nie to chce usłyszeć.

- Zawsze jest jakiś wybór.

- Nie. Jak powiedziałaś, następny raz może być jeszcze gorszy.

- No to wyjąć neuronetkę? To zamierzasz?

- A co innego możemy zrobić?

Zaciska dłoń w pięść. Wygląda, jakby zamierzał okładać oparcie siedzenia

przed sobą.

- U nas to się nie sprawdzi. Wiesz o tym. Nie możemy zawrócić. Pozbycie się neuronetek pierdolnie nas tak mocno, że nie będzie czego zbierać.

Taa, tak to działa. Neuronetka jest uzależniająca. Mózg się przyzwyczaja do jej wpływu, a kiedy ten ustaje, system błyskawicznie się załamuje i zapada. Przeżyłem to. Znam to.

W głowie tłucze mi się jeszcze coś, co powiedział Logan. „Czerwień się zmienia. Dawniej było inaczej”.

Przypuszczalnie powinienem był przewidzieć, że to pójdzie w tę stronę.

Jaynie miała chyba rację.

Lądujemy w Budapeszcie. Nie ma żadnego powodu, dla którego powinniśmy zostać wpuszczeni do tego kraju, ale Leonid to załatwia. Na pasie startowym czeka na nas czarny mikrobus z mocno przyciemnianymi szybami. Jest też ochroniarz w garniturze, który zajmuje stanowisko obok samolotu.

Kierowca furgonetki wchodzi na pokład, żeby pomóc wyładować nasz sprzęt. Proponuje, że weźmie mój ztkh, ale jestem zmęczony, obolały i zły, a to oznacza, że pragnę poczucia bezpieczeństwa, jakie daje bycie dobrze uzbrojonym. Upieram się więc, że sam poniosę karabin. Kierowca wzrusza ramionami. Także ochroniarz nie mruga nawet okiem, kiedy wsuwam się na tylne siedzenie mikrobusu, ściskając broń.

Tran jest w zbyt kiepskim stanie, żeby iść o własnych siłach, więc Logan i kapitan Thurman pomagają mu dotrzeć do pierwszego rzędu siedzeń. Leonid sprawdza, czy cały nasz sprzęt opuścił samolot.

Przyciskam głowę do zimnej szyby, słuchając Thurman rozmawiającej z kierowcą przed otwartymi drzwiczkami furgonetki.

- Najpierw ambasada USA, zrozumiano?

A na to Leonid:

- Tak, dobra. Ale zatrzymaj się na ulicy i wypuść ją. Nie parkuj ani nie próbuj wjechać na teren ambasady.

Thurman siada obok mnie z tyłu furgonetki.

- Pan i pańscy żołnierze nie musicie zostawać z Siergunem - mówi. - Lepiej chodźcie ze mną do ambasady.

- Nie. - To szept; oczy mi łzawią, gdy się staram nie kasłać.

- Wiem, że nie jesteście pewni swojej sytuacji, ale dowództwo wie o waszym istnieniu. Polecono mi dołączyć do was. Pamięta pan? Jesteśmy po tej samej stronie.

- To skomplikowane.

Leonid i Issam siadają w środkowym rzędzie. Drzwi furgonetki się zasuwiają.

Kiedy pojazd zaczyna się toczyć, Thurman zniża głos:

- Nie zamierzam niczego ukrywać, gdy będę przesłuchiwana. Nie wiem, co to będzie oznaczało dla was.

Leonid odwraca się, kładzie łokieć na oparciu fotela i patrzy na mnie.

- Masz do zaoferowania dane wywiadowcze, Shelley -mówi. - Jesteś cenny. Jeśli zamierzasz się oddać w ich ręce, zrób to w odpowiednim czasie i na własnych warunkach.

Kiwam głową, a potem szepczę:

- Jak powiedział Papa... o ile dożyję rana.

Mijamy stojący przed ambasadą amerykańską znak zakazu zatrzymywania się, a potem przystajemy przy krawężniku tylko na czas

niezbędny do tego, żeby Thurman wyskoczyła z furgonetki. Oglądam się, gdy odjeżdżamy. Nadal ma na sobie kombinezon lotniczy, który zwraca natychmiast uwagę wartowników przed bramą główną. Zauważam jeszcze, że trzyma wyciągnięty dowód tożsamości żeby tamci go sprawdzili.

Obserwuję ruch uliczny za nami, niepokojąc się, że jesteśmy śledzeni, ale nie widzę żadnego podejrzanego pojazdu. Przypuszczalnie wysłano za nami drona.

Po kilku minutach zjeżdżamy do podziemnego parkingu prywatnego szpitala i zatrzymujemy się przed szklanymi drzwiami jasno oświetlonego lobby. Czekają tam sanitariusze w białych kitlach i z wózkiem noszowym. Tran zostaje przeniesiony na niego, po czym tamci zaczynają z nim odchodzić. Kiedy dociera do mnie, że jesteśmy rozdzielani, wpadam w panikę.

- Logan, idź z Tranem!

Mówienie wywołuje kolejny atak kaszlu. Kiedy się rozglądam, widzę, że Logan siedzi oparty na tylnym fotelu, lekceważąc mój rozkaz.

- Do cholery, poruczniku, kazałem panu...

- Zamknij się, Shelley. - Wsuwa pistolet z mojej kabury napierśnej. - Daj mi też swój ztkh. - Nie za bardzo mu go oddaję, raczej zabiera mi broń. - Zdołasz wysiąść o własnych siłach?

- Tak, kurwa.

To stwierdzenie okazuje się przesadą, ale przed furgonetką czekają kolejni sanitariusze, którym udaje się mnie podtrzymać, zanim upadam na beton.

- Logan - szepczę. - Nie dopuść do porwania Issama.

To kurewska ulga mieć podłączoną maskę tlenową. Robi się jeszcze lepiej, gdy zastrzyk neutralizuje ból w klatce piersiowej. Robią mi skany i badania, jakiś lekarz zaniepokojonym tonem mówi mi coś o bliznowatej

tkance płucnej. Każe mi wdychać mieszanke hormonów regenerujących, a potem idę spać, co odczuwam tak, jakby to był pierwszy raz od wielu dni. Kiedy się budzę, widzę przed szpitalnym łóżkiem Logana, który siedzi w wyściełanym fotelu wypoczynkowym, z nogami w górze, z zamkniętymi oczami, i cicho chrapie. Umył się i przebrał w nowe cywilki. Stwierdzam z zaskoczeniem, że w poprzek kolan trzyma ztkh. Podnoszę się do pozycji siedzącej. Stolik nocny oddziela mnie od sąsiedniego łóżka, na którym Tran leży pod bezokienną ścianą. Ma podłączoną kroplówkę, która utrzymuje go w narkozie, ale oddycha. Sprawdzam swój stan, wypełniając ostrożnie płuca powietrzem. Nadal boli trochę, ale nie zamierzam się skarżyć.

Na stoliku nocnym stoi kubek z wodą. Piję ją. Jest witaminizowana i mineralizowana. Gardło mam wciąż obolałe, ale do wytrzymania. Nie odstawiam kubka, póki go nie opróżnię.

Pod ścianą na wprost mnie, obok Logana, stoją dwie białe szafki. Jedna jest otwarta. W środku jest nasz sprzęt. Obecność plecaka rozumiem, ale obok niego stoją dwa M4, mój ztkh, a na haczyku wiszą trzy stonewalle w kaburach. Leonid na pewno znalazł szpital o łagodnej polityce wobec posiadania broni.

Moje prawe ramię obejmuje rękaw monitorujący, który musiał powiadomić personel medyczny, że się obudziłem, bo kiedy opuszczam z łóżka moje robocie nogi, słyszę, że otwierają się drzwi. Logan budzi się, zrywa z fotela i celuje we wchodzącą do sali pielęgniarkę.

- Wyluzuj - mówię mu nadal ochrypłym głosem.

Kobieta nieruchomieje - niewysoka, brązowoskóra, o czarnych włosach obejmujących głowę grubymi warkoczami. Opanowuje się szybciej niż Logan. Pogarda zastępuje na jej twarzy wyraz szoku, kiedy stawia czoło Loganowi, wdając się w słowną reprimendę w języku, którego moja nakładka nie zna. Zaczynam się zastanawiać, czy kobieta była w szkole instruktorów musztry wojskowej. Logan opuszcza lufę broni, ale nie rezygnuje z poczucia własnej godności i przygląda się pielęgniarce z podejrzliwą uwagą nawet kiedy gestem przegania go ze swojej drogi.

Mam wrażenie, że w tym szpitalu miewają od czasu do czasu do czynienia z najemnikami.

Zwracając się do mnie, kobieta przechodzi na angielski ale jej ton nie robi się ani trochę bardziej uprzejmy, co każe mi podejrzewać, że pod względem umysłowym zostałem zaklasyfikowany przez nią do kategorii „durnych żołdaków”.

- Mam nadzieję, że nie zamierzał pan stanąć na nogach o własnych siłach? Odprowadzę pana do toalety. Nie chcemy, żeby się pan przewrócił.

Jej gabaryty nie napawają otuchą co do jej możliwości podtrzymania mnie, ale przerabiałem to już i wiem, że rozmiar to nie wszystko. Poza tym nie ma sensu się spierać.

Przywiera do mnie, zanim jednak przeniosę ciężar ciała na sztuczne nogi, próbuję rozluźnić stopy. Lewa porusza się mniej więcej tak, jak tego chcę, chociaż przeguby zgrzytają i stukają. Prawa jest oczywiście wykrzywiona i ledwo jestem w stanie zmusić ją do działania. Spoglądam na Logana.

- Potrzebny mi przegląd.
- Bez jaj. - Wygląda na zmęczonego.
- Czuwasz, odkąd tutaj przyjechaliśmy.

Wzrusza ramionami.

- Chodźmy - mówi pielęgniarka. — Wprawmy pana w ruch.

Z jej pomocą jestem w stanie dotrzeć do toalety. Stopy są odporne i niezdarne, ale nadal udaje mi się na nich kuśtykać. Zostaję zapakowany z powrotem do łóżka i otrzymuję inhalator wraz z poleceniem, żeby używać go co cztery godziny, kiedy nie śpię. Pada obietnica, że niebawem dostarczą nam jedzenie, a potem zostajemy sami.

- Nie połączyłem się z Chmurą - mówi Logan.

Sprawdzam swoją nakładkę.

- Ja też jestem nadal odłączony. - Dziwi mnie to. - Sądziłem, że do tej pory Czerwień powinna była już nas włączyć.
- Pewnie nie potrzebuje nas jeszcze. - W jego głosie słychać ostry ton. - Ale to tylko kwestia czasu. Zanim do tego dojdzie, musimy postanowić, co zamierzamy zrobić.

Pora na raport sytuacyjny.

- Brak kontaktu z Kanoą?
- Tak. Oczywiście jedynym sposobem nawiązania przez niego kontaktu z nami jest przysłanie kogoś, ale nie było żadnych próśb o zgodę na odwiedziny. Musi jednak wiedzieć, gdzie jesteśmy. Od chwili, gdy wysadziliśmy kapitan Thurman przed ambasadą, minęło osiemnaście godzin. Mnóstwo czasu na wypywanie jej. Zatem Kanoa wie, dokąd przybyliśmy. Abajian też.

Gapimy się na siebie przez kilka sekund, podczas których rozważam ryzykowną sytuację, w jakiej się znajdujemy.

- Muszą widzieć w nas zagrożenie.

Logan kiwa głową.

- Jeśli będziemy mieli szczęście, będą chcieli nas przesłuchać.

Sięgam do wewnętrznej kieszeni kurtki, do której włożyłem wizor Issama, ale oczywiście nie mam jej na sobie. Jestem w piżamowych spodniach i koszuli z tasienkami.

- Ja mam ten wizor - mówi Logan - ale dane zostały już wysłane, co nie zapewni nam żadnych przywilejów. Żałuję teraz, że przekazaliśmy je Kanoi.
- Musieliśmy to zrobić na wypadek, gdybyśmy się stamtąd nie wydostali. Powiedz mi tylko, że masz nadal Issama.
- Papa przydzielił mu ochroniarza. Mieszka w hotelu po drugiej stronie

ulicy, który należy do centrum medycznego i jest z nim połączony podziemnym tunelem. Issam wpada tutaj co parę godzin, żeby posiedzieć przy twoim łóżku. Myślę, Shelley, że się w tobie zakochał. Musi mu się podobać twoja brutalna postawa.

- Przypominam mu Maksima.
- Taa? Cóż, nie oplakuje go.
- Dlaczego Abajian nie wysłał nikogo za nami? Jesteśmy albo agentami, albo celami, więc tak czy inaczej powinniśmy mieć już do tej pory gości.

Logan trzyma ztkh w kołysce ramion.

- Chyba nie może do nas dotrzeć. Papa przysięgał, że to centrum medyczne i hotel są bezpieczne. - Potem jednak wzrusza ramionami. To lekceważące zbycie zapewnień Leonida. Logan tkwił na warcie nie bez powodu. - Może nie chcę wywoływać zbyt dużego zamieszania.
- Gdzie jest Papa? Odleciał?

Logan wygląda na przestraszonego.

- Mam kurewską nadzieję, że nie, bo nie jestem w stanie pokryć rachunków za wasze leczenie. A jeśli Kanoa nas odciął, to jesteśmy w głębokiej dupie.

Pieniądze to istotny problem. Mam prywatne konto na fałszywe nazwisko. Jest na nim spora suma. ale przypuszczalnie niewystarczająca, żeby pokryć koszty naszego hospitalizowania, a jeśli Kanoa jest na nas naprawdę wkurzony, to odetnie nam dostęp do firmowego konta GRK, pozostawiając nas bez forsy i domu. Los wielu patriotów amerykańskich przed nami.

Po tym wszystkim, co przeszliśmy, myśl, że możemy zostać pokonani przez brak funduszy, wydaje mi się boleśnie zabawna i wybucham śmiechem. Śmiech wywołuje kaszel, ale ten jest płytki i szybko przechodzi.

Logan wstaje, żeby sprawdzić sytuację za drzwiami, a potem wraca na swój fotel. Coś w wyrazie jego twarzy wprawia mnie w stan czujności.

- Jeszcze jedna rzecz, o której powinienś wiedzieć. O Issamie. Ma tę swoją teorię na temat zintegrowanych lokalnych AI.
- Coś o tym słyszałem.
- Lokalna AI maskowała istnienie PBO Abazy.
- Issam zaprojektował tę AI.
- Chce przeprogramować Czerwień.

Rozlega się skomplikowane pukanie do drzwi, jak szyfr. Siedzę ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, mój ztkh leży przede mną, rozłożony do czyszczenia.

Logan śpi ponownie w fotelu, ale podskakuje na odgłos stukania. Puszczam szmatkę i sięgam po pistolet.

- W porządku - uspokaja mnie Logan. - To sygnał Issama.

Słyszę westchnienie zawiasów, a potem do sali wchodzi

Issam. Załatwił sobie nowy wizor.

- O, nie śpisz - mówi na mój widok.

Logan opiera się wygodnie i zamyka ponownie oczy. Tran wciąż śpi.

- Gdzie twój ochroniarz? - pytam go.
- W korytarzu.

Bierze z rogu pokoju białe, plastikowe, rozkładane krzesło, stawia je obok łóżka, siada i bezzwłocznie przystępuje do rzeczy:

- Mam mnóstwo kłopotów. Anulowano mi paszport. Moje nazwisko jest na liście poszukiwanych terrorystów. I mam problemy z forszą, to znaczy, nie mam jej. Moje konta zostały zajęte. Rodzice nie mogą przysłać mi pieniędzy, bo zostaliby aresztowani. Pod zarzutem finansowania terroryzmu.

Uśmiecham się sam do siebie i podnoszę szmatkę, zabierając się z powrotem do pracy. Sieć prawna, w którą wpadł Issam, jest konstytucyjnie kontrowersyjna, czasami jednak działa.

- Miałem nadzieję, Shelley, że przy swoich koneksjach mógłbyś... zmodyfikować moje akta?

- Przy moich koneksjach?

- Jesteś żołnierzem Czerwieni.

Zamieniam szmatkę na miękką szczoteczkę.

- Wydaje ci się, że mogę tak po prostu zażądać zmian na liście poszukiwanych terrorystów?

- Nie wiem. Jak to działa w twoim wypadku? Jak załatwiasz swoje sprawy?

- Robię, co mi każą... przeważnie. - Marszczę brwi na wspomnienie tego, co się stało z marsjańską rakieta w San Antonio. Może czasami dostaję naprawdę to, czego chcę, ale nie zamierzam powiedzieć tego Issamowi. - Jak mówiłem wcześniej, jesteś cennym nabytkiem wywiadu. A to oznacza, że nie wracasz do domu. Przynajmniej póki sprawy się nie ułożą.

Issam spogląda niespokojnie na drzwi; może myśli o ochroniarzu po drugiej ich stronie?

- Powiedziałeś, że pomożesz mi wrócić do domu.

- Czyżby?

- Tak. Kłamałeś?

- Tak sędę. - W tamtym tunelu powiedziałbym absolutnie wszystko, byleby szedł dalej.

- Cholera - szepcze Issam.

Podnoszę głowę i widzę, że ściska dłonie przy ustach, ze wzrokiem wybiegającym w przyszłość w więzieniu.

- Daj spokój, Issam. Jesteś ważny. Musimy tylko dopilnować, żebyś trafił pod skrzydła odpowiedniej agencji.

- Pomożesz mi w tym?

Wzruszam ramionami.

- Nie wiem, co będzie. Jeśli będę mógł, to ci pomogę.

Milczy chwilę, ale jest niespokojny, jakby chciał coś powiedzieć, ale musiał się zebrać na odwagę. Nie chcę słuchać zwierzeń ciężkiego przypadku syndromu sztokholmskiego, zmieniam więc temat.

- Logan powiedział mi, że pracujesz nad sposobem pozbycia się Czerwieni.

- Hm? Co? Nie. Nie chcę się jej pozbyć.

Przerywam swoje zajęcie, żeby spojrzeć na niego.

Potwierdza skinieniem głowy; mówi szybko, jakby pragnął rozpaczliwie podtrzymać moje zainteresowanie, skoro już je zdobył.

- Czerwień to najbardziej zdumiewające zjawisko wyrosłe na bazie ludzkiej nauki. To bez wątpienia byt. Nie zły z natury, ale także ani trochę ludzki. Inteligentny, posiadający własną wolę oraz cele, hulający w świecie i wpływający na każdego... I oczywiście ten byt nas przeraża. Kwestionuje nasz koncept wolnej woli, więc większość ludzi przede wszystkim chce wiedzieć, jak możemy się go pozbyć. - Kręci głową. - Nie sędę, żebyśmy byli w stanie to zrobić; nie bez działania na podobieństwo „Pękniętego Nieba”, wymierzonego w upadek cywilizacji. Co więcej, nie

uważam, że powinniśmy to zrobić. Potrzebujemy Czerwieni.
Potrzebujemy naszego informatycznego cerbera. Co innego wyciągnie nas z otchłani?

Wracam do czyszczenia broni, rozczarowany, niezadowolony z wyrażenia przez Issama moich własnych pesymistycznych poglądów.

- Jesteśmy zbyt głupi, żeby się trzymać z dala od ognia.
- Kolektywnie? Tak. Po tym, co widziałem, nie sądzę, żebyśmy mieli szansę bez interwencji z zewnątrz.
- Zatem to jest nasza przewidywalna przyszłość. Jakiś dupek będzie gdzie próbował rozpierdolić świat, a jeśli dopisze nam szczęście, Czerwień znajdzie sposób, żeby w porę interweniować przeciwko temu. - Odkładam szmatkę i wyciory, po czym zaczynam składać ztkh. - Dlatego w to wszedłem i jeśli to wszystko, co jest, to mogę z tym żyć. Generalnie jednak Czerwień ma pokój w dupie. Jeśli robi się zbyt spokojnie, to wysyła nas, żebyśmy wywołali kolejny konflikt.
- Kolejny konflikt? Jaki?
- Słyszałeś o wojnie w Arktyce?
- Tak.
- Zaczął się z niczego.
- Nie odkryto tam laboratorium broni biologicznej?

Znowu ta plotka. Nie umrze.

- To nie były badania nad bronią biologiczną, tylko farmaceutyczne. Tak czy inaczej, nie powinno być do wojny. W najgorszym razie zawieszenie ognia zostałoby ogłoszone przed upływem dwunastu godzin. Kiedy jednak sprawdzałem ostatnio, to konflikt eskalował.
- A wy mieliście w tym swój udział?

To nie jest pytanie, na które mam ochotę odpowiedzieć. Ignoruję je, sprawdzając połączenia elektryczne w karabinie. Włączam go i przyglądam się światelkom gotowości. Podnoszę ztkh do ramienia i patrzę przez jego celownik optyczny.

- W wojnie w Arktyce naprawdę wkurza mnie to - mówię - że nie ma ona najmniejszego sensu. Cały ten obszar, wszystkie te zasoby. To zbyt wiele, żeby o to walczyć. Ryzyko jest zbyt duże i to nie ma, kurwa, żadnego sensu. -Podłączam magazynek z granatami, a potem z pociskami 7,62 milimetra. - To wygląda na wojnę prowadzoną dla samej wojny. Kolejny konflikt wywołany sztucznie.

- Przypuszczalnie tak jest - przyznaje Issam.

Odkładam ztkh na łóżko.

- Bo jakaś wojna musi się gdzieś toczyć, co? Psim obowiązkiem jebanej Czerwieni jest zdławienie rekinów, przedsiębiorców wojennych i sprzedajnych polityków. Tak się zaczęło. Dlatego wykonaliśmy misję „Brzask”. Teraz jesteśmy ponownie w punkcie wyjścia, tylko że tym razem konflikt jest groźniejszy od tego w Sahelu, groźniejszy niż w Boliwii. Jeśli ta idiotyczna wojna rozpierzdoli Arktykę, ucierpi cała planeta.

Moja przemowa budzi Logana.

- Wyruszamy? - pyta, siadając prosto i opuszczając podnózek.

- Nie. Przepraszam. Śpij dalej.

Zerka podejrzliwie na Issama. Potem się opiera, zamyka oczy i wyłącza ponownie.

Issam przygląda się temu.

- To przerażające.

Wzruszam ramionami.

Issam znowu patrzy na mnie.

- Nie zrozum tego źle, ale istnieją strategiczne powody kontynuowania wojny w Arktyce - mówi. - Nie dla tych, którzy w niej uczestniczą, ale dla sił zewnętrznych. Rada Shalin nie miałaby nic przeciwko temu, żeby Ameryka zaangażowała się w ten konflikt, bo po szkodach wywołanych przez Dzień Komy wojna arktyczna mogłaby zdestabilizować kraj, a w ostateczności doprowadzić nawet do jego bankructwa. Poza tym walki zahamowałyby dopływ na rynek arktycznej ropy, co utrzymałoby wyższe ceny surowca.

- Chcesz powiedzieć, że Rada Shalin jest w to zamieszana?

- Nie, nie mówię tego. Może być. Po prostu nie wiem.

FaceValue nie oznacza tego jako kłamstwa.

- Nadal jednak nie widzę sensu w tym, żeby Czerwień pozwalała na eskalację tego konfliktu. Jest bardzo niebezpieczny. To zagrożenie dla całej planety.

- Pamiętasz, mówiłem ci, że zajmowałem się lokalnie zintegrowanymi AI? Wiem, że nie ja jeden.

Zaczynam pakować przybory do czyszczenia broni.

- Dobra, może zechciałbyś to wyjaśnić?

Kiwa głową.

- Posłużę się metaforami, nie matematyką, OK?

- Nie ma sprawy.

Wstaje, robi kilka kroków i podnosi ręce, jakby sięgał po właściwe słowa.

- Mózg ludzki, twój mózg, to organ biologiczny, który tworzy „ciebie” - twoją osobowość, myśli, uczucia, wspomnienia. - Zerka na mnie, jakby się upewniał, czy nadażam za nim. - To zgrubna analogia, ale myślę o

Czerwieni jako o bycie takim jak ty, istniejącym w zasobach obliczeniowych Chmury w taki sam sposób, w jaki „ty” istniejesz w fizycznym organie, jakim jest twój mózg.

Myślę o tym i kręcę głową.

- Nie, Czerwień nie jest wszędzie jednocześnie. Przychodzi i odchodzi.

Issam wzrusza ramionami.

- Być może ty też nie jesteś w swoim mózgu wszędzie naraz. Nie możesz przypomnieć sobie wszystkich swoich wspomnień jednocześnie. Nie potrafisz rozważać równocześnie wielu problemów. A to, o czym myślisz, może ci zostać podyktowane. Jesteś żołnierzem PGB. - Stuka się w głowę.

- To oznacza, że masz w tkance mózgowej mikroczipy modelujące.

Potwierdzam ostrożnym skinieniem głowy, zastanawiając się, czy rezygnuję z czegoś istotnego.

- Zgodzisz się, że aktywność owych mikroczipów wpływa na to, kim jesteś. Mogą zostać użyte, żeby wpłynąć do pewnego stopnia na twoją osobowość, stopień empatii oraz stan gotowości, to znaczy na to, czy śpisz, czuwasz, jesteś spokojny albo wrogo nastawiony.

- Jasne, ale mikroczipy są aktywne jedynie wtedy, gdy są stymulowane z zewnątrz. Przez neuronetkę lub neuroskalp.

- A ty masz neuronetkę, która działa cały czas, zapewniając stały, bazowy poziom stymulacji. Zgadza się?

Niechętnie „tak”.

- Interesującym aspektem bioinspirowanych AI, takich jak Czerwień, jest to, że z czasem się sprzęgają. Kiedy rywalizują o zasoby obliczeniowe, ustanawiają między sobą ścieżki współpracy, które mogą wpływać zarówno na tempo, jak i charakter aktywności w ich wspólnej sieci. Lokalna AI obciążona powtarzającą się sekwencją specyficznych zadań może zawłaszczyć miejscowe zasoby, ograniczając wpływy innych bytów w danym obszarze. Ponieważ to jest system uczący się, owe jestestwa

mogą w końcu przerzucie zadania do lokalnie dominującej AI. Myśl o tym tak, że to jest to samo, co zachodzi w twoim mózgu, który rezygnuje z pewnych regulacji neurochemicznych, ponieważ funkcje te przejęły mikroczipy.

- Zatem kontrola nad tym, kim jestem, zostaje przekazana jakiemuś zewnętrznemu systemowi... który wpływa na mnie poprzez wszczępione mikroczipy.

- Właśnie. I analogicznie różne obszary Chmury mogą się znaleźć pod wpływem agresywnych lokalnych sztucznych inteligencji.

Rozumiem, do czego to zmierza.

- Utrzymywałś PBO w ukryciu, wykorzystując jedną z owych L-AI do modyfikowania funkcjonowania Czerwieni, żeby... - Żeby co? - Zakamuflować dowody na istnienie bazy? Ale nie byłeś nawet podłączony do Chmury.

- Nie bezpośrednio, ale pobyt poza siecią nie uczyni cię niewidzialnym. Nie trzeba bezpośredniego połączenia, żeby wydedukować, że ktoś, coś lub jakieś miejsce istnieje. Większość obiektów na świecie, ożywionych bądź nie, ma -metaforycznie - swego rodzaju oddziaływanie grawitacyjne, które wpływa na elementy otoczenia, a zatem istnienie tajnego ośrodka lub organizacji, czy cokolwiek to jest, może zostać wykryte na podstawie badania owego wpływu na inne obiekty. Przede wszystkim tamta PBO liczyła sobie dziesiątki lat, jej istnienie było zagrzebane w większości annałów i pamiętała o niej jedynie garstka ludzi, którzy dawno temu nauczyli się trzymać język za zębami. Zanim więc Maksim zasiedlił schron, miał on niewielkie oddziaływanie. Jednak nasza obecność w nim, cała aktywność, musiała z pewnością zostać zauważona. Ciężarówki na drodze. Ślady cieplne. Transmisje radiowe. Światła. Obarczyłem więc AI zadaniem kamuflowania lub fałszowania dowodów aktywności oraz zbywania pytań i dociekań.

- Żeby jednak to zrobić, musisz być w stanie włamać się do każdego systemu.

Issam kręci głową.

- Niekoniecznie. Widziałeś mapy Chmury z węzłami aktywności, które wyznaczają gęstość pakietów informacji. Niektóre z nich to Czerwień, a inne są z nią połączone, bo Czerwień nie jest pojedynczym, prostym systemem. Podlega ciągłemu przepisywaniu i tworzy nieustannie nowe połączenia z innymi ścieżkami systemu.
- W tym z twoimi AI.
- Mogą się dzielić dostępem, tak jak się dzielą zadaniami.
- Zatem twoje L-AI hakują Czerwień, żeby wykonać swoje zadania, natomiast Czerwień zhakowała większość świata.

Uśmiecha się z zakłopotaniem.

- Niezbyt bezpieczny system, co?

Podnoszę ztkh i opieram w zgięciu łokcia, bo może nie ma tu żadnej ochrony i kto wie, kurwa, co się jeszcze może zdarzyć.

Issam siada ponownie na krześle. Podnosi na mnie bezbronne, ciemne oczy i mówi:

- Lokalne AI są tym samym, czym mikroczipy w korze twojego mózgu. Zmieniają osobowość i wpływają na cele Czerwieni. Sądzę, że ktoś posługuje się L-AI, żeby przedłużyć konflikt w Arktyce. Nie wiem dlaczego. Może w celu sprzedania większej ilości broni. Ograniczenia rozwoju przemysłu petrochemicznego. A może to coś bardziej subtelnego.
- Czy taka AI mogłaby zostać wykorzystana do wywołania wojny? - pytam.

Patrzy na mnie z ciekawością.

- Masz powód, żeby uważać, że tak się właśnie stało?

Nie mówię tego głośno, ale tak - każda nieprawidłowość w trakcie tamtej

misji przekonuje mnie, że była w to zaangażowana L-AI.

- Ta AI z Arktyki... to nie jest jedna z twoich?
- Nie, ale świat jest duży, żyją na nim miliardy ludzi, z których milion jest być może bystrzejszych, mądrzejszych ode mnie. Ktoś inny musiał na to wpaść. Rzecz w tym, że jeśli możesz manipulować Czerwienią, to w końcu posiadasz cały świat, prawda?

Issam to bardzo ważna zdobycz. Uznaję, że chcę go mieć na oku.

- Zostajesz z nami - mówię - aż zorientujemy się, kto jest naszym wrogiem, a kto przyjacielem, i wymyślimy, co mamy robić dalej.

Kiwa głową. Ma taką minę, jakby mu ulżyło.

- Jasne. W porządku.

Kiedy Logan się budzi, każe mu poprosić o łóżko połowę. Należy się za to opłata. Logan mówi, żeby dopisano to do rachunku.

To duży pokój, możemy więc wstawić leżankę między nogami łóżka Trana a szafami.

Pomimo obecności ochroniarza na zewnątrz jesteśmy niespokojni przez całe popołudnie i spinamy się za każdym razem, gdy słyszymy w korytarzu czyjeś kroki. Zbliża się osiemnasta i Logan zamawia kolację u obsługi hotelu po drugiej stronie ulicy. Bóg jeden wie, ile to kosztuje.

Wysła ochroniarza do domu.

Tuż po wpół do ósmej budzi się w końcu Tran, zaskoczony, że nadal żyje. Kiedy siada, na jego twarzy rozlewa się z wolna uśmiech.

- Hej, to znaczy, że dostaniemy kolejną misję.

Zastanawiam się, czy nie przytrzymać poduszki na twarzy idioty na tyle

długo, aż przestanie wierzgać nogami.

Logan zapewne przeszkodziłby temu.

- Mogę włączyć dostęp do sieci? - pyta Tran.

Logan i ja odpowiadamy równocześnie:

- Nie!

Ustalamy kolejność wart. Tran zgłasza się ochotniczo na pierwszą. Przystaję na to, chociaż podejrzewam, że to podstęp, który ma umożliwić mu dobranie się do wizora Issama, dzięki czemu mógłby się dostać do Chmury, nie łamiąc bezpośrednio rozkazów. Kiedy ustawiam budzenie, słyszę, że prosi Issama, żeby sprawdził recenzje *Wstrząśniętych*, co dla mnie wygląda na komiks.

- Nie loguj się nigdzie - ostrzegam go.

. - Jeśli się zaloguję, stworzę nowe konto.

Zduszam pomysł w zarodku.

- Issam, nie pozwól mu korzystać z twojego wizora, a jeśli będzie ci groził, po prostu mnie obudź.

Tran przewraca oczami, ale Issam marszczy brwi nie do końca przekonany, czy nie żartujemy. Wyłączam się...

...i budzę zgodnie z planem.

W pokoju panuje mrok, ale nie ciemność. Pomimo obrażeń nogi Tran chodzi między dostawką a drzwiami, trzymając w zagięciu łokcia skierowany lufą w dół M4. Zerka na mnie.

- Obudziłeś się wcześniej.

- Tylko parę minut.

Logan śpi w łóżku Trana, a Issam chrapie na połówce.

- Raport sytuacyjny. - zwracam się do Trana.
- Nic ważnego nie zaszło.

Idę do toalety, tupiąc i skrzypiąc.

- Jak twoja noga? - pytam po powrocie.

Uśmiecha się.

- Tak, jak nie przestaję ci mówić: w porządku.

Kręcę głową i biorę karabin.

- Zabezpieczcie broń, żołnierzu, i idźcie spać.

Tran zajmuje łóżko i się wyłącza. Siadam w fotelu, trzymając ztkh w poprzek kolan i nasłuchując tego, co się dzieje w korytarzu. Po jakichś czterdziestu minutach Issam zapada w sen. Śni koszmar. Wierci się i oddycha płytko. Obserwuję go przez chwilę. Potem siada prosto tak gwałtownie, że przestraszony podrywam się z fotela. Nawet w mrocznym świetle widzę białka jego rozszerzonych oczu, pełnych trwogi. Prawą dłońią chwyta się za gardło, a potem zrywa się na równe nogi. Jego oddech zmienia się w stłumione krzyki, kiedy rzuca się obok mnie w stronę drzwi.

Jestem tak zaskoczony, że usuwam mu się z drogi. Nie dociera jednak do drzwi. Osuwa się na ziemię przed wejściem do toalety. Jest na czworakach, ślina cieknie mu z ust, gdy walczy o oddech. Przechodzę obok niego, naciskam guzik dzwonka alarmowego, o którym pamiętam, że widziałem go tam wcześniej, a potem włączam światło. Issam podnosi głowę i patrzy na mnie wybałuszonymi oczami, szyję ma obrzmiała. Wydaje mi się, że powietrze nie dostaje się do jego płuc. Przechodzę obok niego, otwieram drzwi i wołam w głąb korytarza:

- Wypadek! Mamy nagły wypadek!

Nadbiega pielęgniarka dyżurna. Dotarcie do nas zabiera jej tylko kilka sekund, ale Issam leży już na plecach na podłodze, wstrząsany drgawkami napadu. Pielęgniarka mówi coś głośno, posługując się wizorem w celu wezwania zespołu ratunkowego, i stara się jednocześnie udrożnić drogi oddechowe Issama.

W tym czasie Logan i Tran są już na nogach i palą się wszystkie światła w pokoju. Nie możemy nic zrobić, więc trzymamy się z boku, żeby nie przeszkadzać zespołowi ratunkowemu.

W końcu okazuje się, że nikt nie jest już w stanie niczego zdziałać, i martwe ciało Issama zostaje odwiezione na wózek.

- Tak samo jak z sekretarzem obrony - stwierdza Tran, gdy woźny myje podłogę. - Pamiętajcie, jak wam o tym mówiłem? Przewrócił się, kiedy wygłaszał przemówienie, i sanitariusze nie mogli przywrócić go do życia.

- Słyszałeś, na co umarł?

- Taa. Sprawdziłem, zanim wyruszyliśmy. Ostry atak astmy, połączony z silną reakcją alergiczną.

- Cholera - szepcze Logan, gdyż śmierć Issama wyglądała dokładnie tak samo, co potwierdza lekarz dyżurny, który zagląda do nas później tej nocy, żeby z nami porozmawiać.

Pytam go, co wywołało reakcję alergiczną.

Nie wie. Nawet się nie domyśla. Nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego.

W tej chwili wszyscy chcemy jak najszybciej opuścić szpital, ale proszą nas, żebyśmy zaczekali do rana, kiedy do pracy przyjdzie personel administracyjny. Siedzimy więc w pokoju. i gadamy o tym, co się stało. Żaden z nas nie wierzy, że to był wypadek. Dlaczego jednak Issam okazał się jedyną ofiarą? Dlaczego my nadal żyjemy?

- To było tak jak z sekretarzem obrony - powtarza Tran. - Umarł tylko on, nikt inny, w audytorium pełnym ludzi.
- Może Issam został skazony wcześniej - podsuwa Logan. - Może to sprawka ochroniarza i trzeba było tylko czasu.

Może.

Rano zostajemy przeklasyfikowani na pacjentów ambulatoryjnych. Mnie i Tranowi zostają dostarczone przyzwoicie wyglądające cywilne ciuchy, po czym przenosimy się do hotelu po drugiej stronie ulicy. Issam spędził w nim noc - co mnie martwi - ale umarł dopiero wtedy, kiedy się uparł, żeby się znaleźć pod moją ochroną.

Oba budynki łączy prywatny tunel. Wynurzamy się z niego w małym podziemnym lobby wyposażonym w fotele, grzejnik na propan-butan oraz kontuar recepcyjny, za którym urzędują dwaj uśmiechnięci mężczyźni i ponura kobieta. Nie ma stąd bezpośredniego wyjścia na zewnątrz, ale jest winda, a naprzeciwko niej zamknięte drzwi oznaczone napisami w kilku językach: DO GŁÓWNEGO LOBBY.

Można założyć, że pomieszczenie jest bezpieczne. Wygodne, gdyż otwarcie niesiemy karabiny, a pistolety w kaburach. Posepna kobieta wita nas doskonałą angielszczyzną, chociaż bez uśmiechu:

- Witajcie, panowie. Wasz apartament jest gotowy. Prosimy uprzejmie, żebyście nie wynosili broni poza obręb pokoju.
- Tak jest, proszę pani.

Nie chce od nas dowodów tożsamości, danych biometrycznych ani numerów kont, więc sądzę, że funkcjonujemy nadal w oparciu o kredyt Leonida. Otrzymujemy elektroniczne klucze. To staromodny sposób otwierania drzwi, ale mają tę zaletę, że w przeciwieństwie do zamków biometrycznych nie zdradzają tożsamości użytkowników.

- Wasze pokoje znajdują się na strzeżonym piętrze — informuje nas

kobieta. - Dostęp do apartamentu prowadzi tylko przez to lobby. Winda nie zatrzymuje się na innych piętrach i nie mają do niej dostępu żadni niezarejestrowani goście.

Wsiadamy do windy. Nie ma kasety z przyciskami. Drzwi się zamykają, a my wznosimy się bez przystanku na trzydzieste pierwsze piętro.

Zajmujemy apartament na końcu korytarza, z jedną sypialnią, umeblowaną ze współczesną luksusową prostotą. Jest tylko jedno okno, od podłogi do sufitu, ale z grubego szkła i zaledwie dwudziestocentymetrowej szerokości. Trudno je przestrzelić. Przypuszczalnie trudno nawet rozbić granatem.

Obchodzimy apartament z wyciągniętą bronią.

Z boku frontowego pokoju znajduje się łazienka, a druga przylega do sypialni. Sprawdzamy obie, a potem szafy. Kiedy kończymy, Tran wygląda na usatysfakcjonowanego.

- To - oświadcza - krok bliżej do lokum superbohatera. Bije na głowę koszary w CLIIS. - Bierze pilota, rzuca się na jedno z łóżek i włącza telewizor. - Jak długo tutaj zostajemy?

- Na noc, jeśli będziemy mieli fart. - Wracam do pierwszego pomieszczenia.

- Hej, mają tutaj pracowników seksualnych - woła za mną. - Legalnych, na umowach. Przychodzą do pokoju. Czy to jest naruszenie zasad bezpieczeństwa?

- Tak. - Podnoszę głos, żeby mieć pewność, że mnie słyszy. Drapie mnie od tego w gardle, co grozi tym, że znowu się rozkaszę, więc wracam do drzwi, żeby nie musieć krzyżeć. Tran ograniczył poszukiwania do kobiet. Przewija ich profile na ekranie. Logan też patrzy. Wybór jest imponujący — Issam nie żyje. Nie wiemy, jak do niego dotarli, żeby go załatwić. Nie chcemy, żeby się dobrali do nas.

- Taa, ale nie możemy koczować w tym pokoju bez końca.

- Jesteśmy tutaj od pięciu minut. Poza tym chcę zaczekać, aż zjawi się Papa.

Tran zatrzymuje prezentację profili. Spogląda na mnie czujnym wzrokiem.

- Nie próbujesz ubić interesu, żeby pracować dla niego?

- Nie.

- To dobrze. Bo jesteśmy GRK, jeśli Kanoa nas nie zabije.

- Kanoa już zostawił cię na śmierć - mówi Logan, zaskakując mnie rozgoryczeniem brzmiącym w jego głosie. -Twoje ścierwo byłoby już pożywieniem dla kruków, gdyby Papa nie wyciągnął nas stamtąd.

Tran przenosi wzrok na telewizor.

- Póki co - mówi cicho - będę uważał, że Kanoa nie miał wyboru, dobra?

Wraca do przewijania sylwetek prostytutek, ale jego entuzjazm już zgasł.

Wracam do salonu, gdzie ustawiam fotel przodem do drzwi, po czym zasiadam w nim z ztkh na kolanach, i z pistoletem w kaburze napierśnej.

- Logan!

- Sir?

- Tutaj też jest telewizor. Sprawdź, czy ma dostęp do przekazu z kamer bezpieczeństwa w korytarzu.

Nie jestem paranoikiem.

No cóż, jestem.

Dlaczego miałbym nie być? Mamy wrogów, a ja nawet nie wiem, kim jest większość z nich. Wiem jedynie, że istnieją-Dorwali Issama. Mogą dopaść i nas.

Patrzę na ikonę encyklopedii i myślę: Szukaj: „neuronetka”. Wyświetla się lista haseł, ale potrzebuję podręcznika. Słyszę poruszającego się Logana, a potem ciche, elektroniczne syknięcie, z jakim ekran telewizora budzi się do życia.

- Musimy uładzić sprawy z Kanoą — mówi Logan.
- Nie sprawiasz wrażenia, jakbyś chciał pokoju.
- Nie chcę, żeby polował na nas.
- Załatwimy to.
- Potwierdzam przekaz z kamer w korytarzu. Fajnie. Można ustawić alarm. Programuję go tak, żeby się odzywał za każdym razem, gdy ktokolwiek pokaże się w holu.

Mam nadzieję, że to nie jest rozrywkowe piętro. Opieram się wygodnie, wyciągam przed siebie skrzypiące robocze stopy i zaczynam czytać o neuronetce.

Neuronetka ma dwa dyskretne zadania: monitorowanie aktywności mózgu i regulowanie jej. Odczyt to pasywne działanie, które pozwala siateczce śledzić emocje oraz wzory myślowe, rozbłyskujące w synapsach mózgu. To umożliwi mi „telepatyczne mówienie” za sprawą przekształcania prostych komend w syntetyzowane słowa. Regulacja, przeciwnie - jest działaniem aktywnym. Polega na sygnalizowaniu mikroczipom, żeby wpływały na mój nastrój bądź stan gotowości. Regulacja pozwala Czerwieni dostać się do mojej głowy i zabawiać się mną jak marionetką.

Po godzinnej lekturze instrukcji obsługi uznaję ostatecznie, że nie chcę się pozbyć neuronetki. Mogę zachować pasywne funkcje siateczki. Mogę nawet zachować te spośród aktywnych, które kontroluję myślami. Chcę jedynie powstrzymać Czerwień przed wchodzeniem mi do głowy, a to mogę uzyskać dzięki odłączeniu odbiornika neuronetki.

To proste rozwiązanie. Eleganckie. Łatwe. Tyle tylko, że w tej chwili funkcjonuję w oparciu o bazową linię stymulacji mózgu, nadzorowaną przez AI rezydującą w hardware neuronetki. Zadaniem sztucznej inteligencji jest nieprzerwane monitorowanie i regulowanie mojego nastroju, żebym nucił sobie pod nosem bez względu na to, jakie niewybaczalne czyny popełniam. Mógłbym po prostu zostawić tę funkcję nienaruszoną, ale nie wiem w istocie, jakie są ograniczenia oprogramowania, a kiedy odbiornik zostanie wyłączony, nie będę mógł tego programu zaktualizować. Uznaję, że bezpieczniej będzie wyłączyć funkcję regulacji linii bazowej. Pomysł mnie przeraża, ale co innego mogę zrobić?

Dobrze wyposażona apteczka pierwszej pomocy jest częścią ekwipunku, który dźwiga każdy żołnierz. Wyjmuję moją z plecaka i przeszukuję ją, sprawdzając, czy mam wszystko, czego potrzebuję. Skalpel, nożyczki, rękawiczki, sterylne waciki, gaza, klej do skaleczeń. Po połataniu Trana kleju mam mało, ale i tak dość do tego, co zamierzam.

Tran jest nadal w sypialni, gdzie ogląda coś w telewizji, ale Logan leży wyciągnięty na sofie. Podnosi głowę, spoglądając na mnie podejrzliwie.

- Co robisz?
- Zwiększam bezpieczeństwo.

Zbieram potrzebne rzeczy, idę do łazienki i zamykam za sobą drzwi.

Niezależnie od moich wyborów życiowych, nie jestem miłośnikiem bólu. Kiedy rozmyślam o tym, co zamierzam zrobić, wzrasta mi tętno i ciśnienie krwi.

Zdejmuję koszulę. Zarzucam na barki ręcznik hotelowy. Potem przesuwam palec po skórze nad prawym uchem, aż trafiam na dwa niewielkie wybrzuszenia oddalone od siebie o centymetr. Ten z przodu to nadajnik neuronetki, umieszczony w tym miejscu dla łatwiejszej komunikacji z nakładką. Nie chcę go uszkodzić. Drugie wybrzuszenie to

odbiornik. Dezynfekuję jego okolice wacikiem odkażającym. Potem wyjmuję skalpel ze sterylnej opakowania.

Błąd, jaki popełnia większość ludzi, kiedy myśli o Czerwieni, polega na przypisywaniu jej cech ludzkich. Nie ma ich. Czerwień nie zniechęca się, nie złości ani nie jest mściwa. Jeśli jakaś jej taktyka się nie sprawdza, jeśli któraś marionetka nie chce współpracować, a zadanie spala na panewce, Czerwień uczy się na błędach i rozwija. Gdyby była ludzka, to przypuszczalnie wyleciałbym z GRK za to, co zamierzam za chwilę zrobić. Domyślam się jednak, że Czerwień przekalkuluje moją przydatność w roli użytecznego narzędzia w swoim inwentarzu.

Przysuwam się blisko do lustra.

Głęboki wdech.

Ustawiam skalpel w pozycji do wykonania nacięcia, ale kąt jest niewygodny, a operowanie ostrzem na podstawie odbicia w lustrze dezorientuje. Prostuję się więc i jak najszybciej robię na czuja dwa płytkie nacięcia w skórze powyżej odbiornika. Wzbiera krew, sączy się jaskrawoczerwonymi strumyczkami spływającymi za ucho, w dół szyi, i wsiąkającymi w ręcznik. I to boli. Staram się o tym nie myśleć, ale niech to cholera. W skórze jest mnóstwo zakończeń nerwowych. Ból to rzecz względna, pewnie. Doznawałem bólu o wiele gorszego od tego, ale nie będę zaprzeczał, że to chujnia.

Wsuwam czubek palca pod luźną skórę i gmeram w poszukiwaniu odbiornika. Jest mniejszy od ziarnka ryżu, lecz wrósł w ciało. Próbuje wsunąć pod niego koniuszek skalpela, ale nie widzę, co robię.

Drzwi łazienki się otwierają. To Logan.

- Wskaźniki poziomu twojego stresu szaleją... Jezu! -mówi na widok krwi. - Wreszcie ześwirowałeś?

Odnoszę wrażenie, że Logan nie aprobeuje samookaleczania. Robi szybki ruch, żeby złapać mnie za prawy nadgarstek i odebrać mi skalpel, ale się cofam. Krew kapie na podłogę.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Jest oburzony.

- Chcesz się pozbyć neuronetki?
- Nie, kurwa. Do tego potrzebowałbym chirurga. Chcę jedynie wyjąć odbiornik. — Wracam do blatu przed lustrem i próbuję zobaczyć w nim miejsce nacięcia. - Myślałem, że to będzie łatwiejsze.

Do Trana dociera robiony przez nas harmider. Wciska się za Loganem do pomieszczenia, oczy ma wielkie.

- Jasny gwint - mówi.
- Nie możesz wyjąć odbiornika - stwierdza Logan.
- Mogę. Robię to. - Ból słabnie. To zasługa neuronetki pompującej we mnie adrenalinę i naturalne środki przeciwbólowe, kierującej się swoim bazowym programem. Będzie mi tego brakowało.
- W jaki sposób zamierzasz dokonywać regulacji neuronetki? - chce wiedzieć Logan.
- Nie będę ich potrzebował - odpowiadam zgodnie z prawdą. - Znalazłem w podręczniku program, który obniży poziom bazowy aż do zera. Będzie działał, a potem będę zdany na siebie.
- Mówisz poważnie?

Przyciskam gazik do rany, żeby zmniejszyć krwawienie.

- Program będzie działał dwadzieścia jeden dni. Czas dla mnie, żeby się przystosować. Ale będę miał neuronetkę. Będzie oceniała mój stan fizyczny, monitorowała wzory myślowe. Nadal będę miał dostęp do genkomu.
- Więc nie odpadasz z GRK? - pyta Tran.

- Nie. Mam nakładkę. Mogę odbierać w ten sposób rozkazy. Nie chcę tylko mieć w głowie Czerwieni, która każe mi myśleć, że wciągnięcie nas w kolejną misję samobójczą jest w porządku.

Tran i Logan wymieniają spojrzenia. Potem Tran pyta:

- A jeśli nie dasz sobie samodzielnie rady z sytuacją?

To jest coś, co mnie przeraża. Krzywię się, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

- Jeśli się nie uda, to po prostu okabluję się ponownie, nie? - Odwracam się, żeby spojrzeć na Logana. - Daj spokój. Nie chcę podjąć kolejnej takiej decyzji, jaką podjąłem w PBO. To jest rozwiązanie kompromisowe.

- Zastanów się, z czego rezygnujesz — odpowiada Logan. - Nie będzie niczego, co pomoże ci pozostać skupionym czy czujnym. Nie dostaniesz żadnego narkotycznego wsparcia. Żadnego zmniejszenia stresu. Żadnego snu na żądanie.

- Poradzę sobie. Tak jak wtedy, gdy byłem cywilem.

- Nie jesteś cywilem, Shelley. Cywile nie wystrzeliwiają granatów RPG do pomieszczenia pełnego ludzi.

- Po prostu zrób to dla mnie. Nie chcę odciąć sobie ucha.

Waha się nadal, podczas gdy krew przesącza się przez gazę, a moja złość się rozpała.

- Wiesz co, Logan? Zrób to. To rozkaz.

- Pieprz się. - Bierze jednak paczkę chusteczek i wyciera ręce. - Daj mi to. - Ujmuje skalpel. - I połóż, kurwa, łeb na blacie. - Słucham go, podkładając sobie pod głowę zakrwawiony ręcznik. - Powiniennem po prostu poderżnąć ci gardło.

- Przypuszczalnie tak by było lepiej.

- Zamknij się.

Czuję na głowie nacisk jego palców. Nie wysiła się na delikatność. Zamienia skalpel na nożyczki. Słyszę ich ciche szcęknięcie, a potem na blat przed moimi oczami spada mała, czarna pestka.

- Mam nadzieję, że to ten właściwy.

Ja też.

„Odbieracie?” - myślę.

- Słyszę cię - odpowiada Tran.

- Taa, jesteś nadal połączony - stwierdza Logan rozczerowanym tonem.

Odsącza wacikami krew, a potem zakleja skaleczenie. Zawarte w żelu środki znieczulające zaczynają działać natychmiast. Pomijając drętwość skóry w miejscu zabiegu, nie czuję się ani trochę inaczej. Jeszcze nie.

Kiedy wracam spod prysznic, jestem gotowy do wykonania kolejnego kroku.

- Musimy sprawdzić, na czym stoimy, jeśli chodzi o Kanoę - ogłaszam. - Włączmy ponownie dostęp do sieci.

Tran zajął fotel zwrócony do drzwi.

- Dzięki ci, Panie! - oświadcza. - To pierdolone życie we własnej głowie nudzi mnie śmiertelnie. I muszę zamówić nowy ztkh. Dostawa ekspresowa. Dlaczego, do diabła, pozwoliłeś mi upuścić mój karabin, Shelley? Nie wiem, co miałbym zrobić z tym głupim M4, gdybyśmy wpadli w prawdziwe tarapaty.

- Celować? - poddaje Logan.

Leży wyciągnięty na kanapie, obejmując ztkh. Odsuwam jego stopy i

siadam. Nakładka działa niezależnie od neuronetki, więc moje niedawne modyfikacje nie wpłynęły na nią. Patrząc na ikonę sieci. Rozjaśnia się pod moim spojrzeniem, po czym rozwija się menu. Przywracam pełny dostęp do sieci. Gen-kom łączy się automatycznie z bazą.

Logan siada pośpiesznie.

- Gen-kom się aktualizuje.
- U mnie to samo. Tran?
- Też.

Aktualizacja dobiega końca. Gen-kom się restartuje. Zostaję ponownie połączony automatycznie. Tak jak Logan i Tran.

Widzę ich ikony na mojej nakładce.

Ale jesteśmy tylko my trzej, tak jak byliśmy od momentu wyruszenia na misję „Jałowe Rozstaje”.

- Cholera - klnie Tran. - Gdzie jest reszta 7-1?

Z nerwów sprawdzam, co widać na ekranie telewizora, ale korytarz na zewnątrz jest pusty.

- Jeśli Kanoa chce pogadać, to jesteśmy włączeni.
- Jeśli może gadać - mówi Logan. - Abajian mógł go wylogować.
- Taa. - Też się tym martwię. - Po prostu zadzwonię do niego.

Próbuję. Połączenie się nawiązuje, a potem urywa. Brak możliwości pozostawienia wiadomości. Jakbym nie był na liście aprobowanych przez niego kontaktów.

- Zadzwonię do Fadul.

To samo.

Logan i Tran próbują z takim samym skutkiem. Staramy się dodzwonić do każdego członka oddziału: do Fadul, Escamilli, Dunaheego, Roman i Juliana. Ale nasze połączenia są blokowane.

- Złożę zamówienie na broń - oświadcza Tran.
- Zrób to.

Jeśli Kanoa ma kłopoty, to i my je mamy. Równie dobrze możemy się przygotować.

Podnoszę ztkh, idę do sypialni i zamykam za sobą drzwi. Kładę się na łóżku. Przywykłem do bycia częścią organizacji przygotowanej do zapewniania bezpieczeństwa i dostarczania zaopatrzenia, porządkującej materiały wywiadowcze, przydzielającej zadania. Podoba mi się to. Nie lubię być zdany na samego siebie. Ostatnim okresem, kiedy przebywałem w zewnętrznym świecie bez nadzoru, był mój krótki, katastrofalny pobyt na Manhattanie po procesie przed sądem wojskowym.

To wtedy zszedłem się z Delphi i to także było chyba katastrofalne.

Powinienem do niej zatelefonować. Zapamiętałem jej numer, kiedy skontaktowała się ze mną w CLIIS. Powinienem oddzwonić. Nie było nam dane pogadać dłużej.

Szeptem podaję nakładce namiar Delphi i oznaczam to jako numer priorytetowy, jeśli więc kiedykolwiek zadzwoni do mnie, jej połączenie nie zostanie odrzucone. Potem podświetlam numer i myślę: Połącz.

Ku mojej uldze rozmowa zostaje zaakceptowana. Syntetyczny, bezpłciowy głos prosi mnie o pozostawienie wiadomości.

- Delphi, to ja. Jeśli chcesz porozmawiać, autoryzuj mój numer. Zadzwonię znowu.

Podnoszę pilota, którego Tran zostawił na łóżku. Muszę się czymś zająć, zanim mój wysoki wskaźnik stresu sprowadzi Logana. Włączam telewizor i ściągam obraz z hotelowych kamer bezpieczeństwa - korytarz zewnętrzny, winda, zabezpieczone lobby. Za kontuarem widzę jednego z

dwóch uśmiechniętych facetów. Nikogo więcej.

Na mojej nakładce otwiera się link z prośbą o połączenie. Męski głos wymienia nazwisko dzwoniącej:

- Karin Larsen.

Przełykam ślinę suchym gardłem i akceptuję połączenie. Otwiera się link wideo.

- Widzisz mnie? - pyta.

- Tak. - Ma na sobie podkoszulkę na ramiączkach. Bez stanika. Blond włosy rozsypane wokół twarzy. Światło jest słabe. - Obudziłem cię? - pytam.

- Chcę cię zobaczyć, Shelley.

- Dobra.

Włączam przekaz wideo, co pozwoli jej zobaczyć to, co widzi moja nakładka. Potem wstaję, idę do drugiej łazienki apartamentu i patrzę w oczy własnemu odbiciu w lustrze. Widzę brązowoskórego faceta z czarną szczeciną na głowie, z poczuciem winy i żalu we wzroku.

Ona widzi coś innego.

- Dobrze wyglądasz, Shelley.

- Gdzie jesteś? - Głos mam ochrypły. To od ognia.

- W San Antonio. A ty?

- W Budapeszcie.

- To chyba nie spotkamy się w kawiarni na rogu.

Jedynym miejscem, w którym chcę się z nią spotkać, jest sypialnia z zamkniętymi na klucz drzwiami, z nagą, podnieconą Delphi pode mną. Nie podoba mi się mój wyraz twarzy, więc odwracam się od lustra i

wracam do sypialni.

- Dobra - mówi. - Kiepski żart. Posłuchaj, naprawdę nie rozumiem, co zaszło między nami. Jeśli chciałeś odejść, to żałuję, że mi tego po prostu nie powiedziałaś...

- To nie tak.

- ...ale to było dawno temu. Cieszę się, że żyjesz. Jestem bardzo szczęśliwa, że wiem o tym.

Czuję, że to przeboleła. Ale nie pytam. Nie chcę wiedzieć. Bo jeżeli nie znalazła sobie nikogo innego, to moja wina, że spierdoliłem jej życie. A jeśli znalazła... cholera, nie chcę o tym wiedzieć.

Rozwalam się w fotelu i patrzę na jej obraz na tle włączonego telewizora.

- Nie chcę, żebyś leciała na Marsa. To błąd.

Spogląda na mnie ponuro.

- Wykorzystałeś swoje chody u pani prezydent?

- Co?

- W związku z nowym systemem przydziału koncesji Monteiro wydała dekret czasowo zawieszający wszystkie loty pozaorbitalne, a to oznacza, że jesteśmy uziemieni. Bóg raczy wiedzieć, na jak długo. Loty zakontraktowane przez rząd są w harmonogramie, ale reszta musi stać w kolejce, czekając na możliwość wyjaśnienia, dlaczego chcemy użyć własnych zasobów.

- Hm. - Nie chcę, żeby się wydawało, że jestem zadowolony, ale jestem.

- Miałaś z tym coś wspólnego?

- Jak mógłbym mieć? Nie sądzę, żeby prezydent w ogóle wiedziała, że żyję.

- Wie.

Siadam prościej, zaniepokojony implikacjami tego stwierdzenia.

- Skąd wiesz?

Coś odwraca jej uwagę.

- Shelley, czy ty oglądasz obraz z kamer bezpieczeństwa?

Wyłączam przekaz wideo od Delphi i spoglądam na ekran. W lobby jest co najmniej sześciu cywilów, ale takich o prostych plecach, surowych minach i wojskowych fryzurach; wszyscy mają na sobie czarne płaszcze dobre do ukrycia broni. Nie robią nic szczególnego poza tym, że się tam kręcą, patrzą w głąb podziemnego tunelu i zerkają na drzwi do ogólnodostępnego lobby, ale głównie w stronę windy.

Przekaz z wnętrza kabiny ukazuje Papę jadącego samotnie na górę.

- Delphi, znasz Leonida Sierguna?

- Słyszałam o nim. Wiem, że odbyłeś z nim misję. To on, tak?

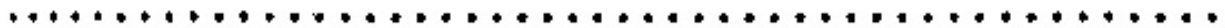
- Ma na dole małą armię. Nie wiem, do czego to zmierza. Leonid wysiada z windy na trzydziestym pierwszym piętrze.

- Papa jest tutaj - informuje Logan przez gen-kom.

- Przyjąłem. - Wstaję i biorę ztkh. - Muszę iść, Delphi.

- Zadzwoń znowu. Jeśli będziesz mógł.

**ZASADY
UŻYCIA SIŁY**



Podchodzę do drzwi wejściowych i otwieram je, trzymając karabin w ukryciu.

- Witaj, Papo.

Ma na sobie czarny sweter, czarne spodnie, czarne buty i szytą na miarę czarną kurtkę. Idzie wyprostowany, barki ma ściągnięte, ale jego obwisła, pomarszczona twarz jest zmizerowana. FaceValue potwierdza napięcie emocjonalne. Nigdy dotąd nie był tak otwarty.

Budzi się we mnie podejrzliwość. Zmieniło się coś istotnego. Muszę wiedzieć, po czyjej jest teraz stronie.

- Kim są twoi przyjaciele, tam, na dole, Papo?

Spogląda na mnie ponuro, a później wzrusza ramionami.

- Przynajmniej uczysz się ostrożności. - Gestem dłoni odsuwa mnie na bok. - Pozwól mi wejść. Nie przyszedłem tutaj, żeby cię zabić.

Cofam się, otwieram szerzej drzwi, a potem zamykam je za nim. Siada na kanapie i patrzy w monitor, chociaż ten pokazuje jedynie pusty korytarz.

Zarzuca ztkh na ramię i podnoszę pilota, przywracając dwa inne przekazy: jeden z windy, a drugi z lobby, z czekającymi mężczyznami.

- Wyjechałeś z nimi, prawda?

- Tak. Chociaż to bardziej twoi przyjaciele niż moi.

Podchodzę do drzwi wejściowych i otwieram je, trzymając karabin w ukryciu.

- Witaj, Papo.

Ma na sobie czarny sweter, czarne spodnie, czarne buty i szytą na miarę czarną kurtkę. Idzie wyprostowany, barki ma ściągnięte, ale jego obwisła, pomarszczona twarz jest zmizerowana. FaceValue potwierdza napięcie emocjonalne. Nigdy dotąd nie był tak otwarty.

Budzi się we mnie podejrzliwość. Zmieniło się coś istotnego. Muszę wiedzieć, po czyjej jest teraz stronie.

- Kim są twoi przyjaciele, tam, na dole, Papo?

Spogląda na mnie ponuro, a później wzrusza ramionami.

- Przynajmniej uczysz się ostrożności. - Gestem dłoni odsuwa mnie na bok. - Pozwól mi wejść. Nie przyszedłem tutaj, żeby cię zabić.

Cofam się, otwieram szerzej drzwi, a potem zamykam je za nim. Siada na kanapie i patrzy w monitor, chociaż ten Pokazuje jedynie pusty korytarz.

Zarzucam ztkh na ramię i podnoszę pilota, przywracając dwa inne przekazy: jeden z windy, a drugi z lobby, z czekającymi mężczyznami.

- Przyjechałeś z nimi, prawda?

- Tak. Chociaż to bardziej twoi przyjaciele niż moi.

Opiera się wygodnie, patrząc na Logana, który marszczy brwi, gapiąc się w telewizor, oraz na Trana, który stoi przy drzwiach wejściowych ze swoim M4.

- To Amerykanie - mówi Leonid. - Mieli nadzieję spotkać się z wami, zanim opuścicie szpital, ale wygląda na to, że wypisaliście się wcześniej, niż się spodziewano.

- Słyszałeś, co się stało z Issamem?

- Tak.

- Przyszli nas aresztować?

- Chcieliby was wziąć pod kuratelę, ale nie aresztować bardziej chronić. Was trzech i mnie.

- Wysłał ich Abajian?

Znowu wzrusza ramionami; obszerny, płynny ruch, który obejmuje cały jego tułów i jakimś cudem przekazuje pesymizm zdający się trwać całe pokolenia.

- Nie potrafię powiedzieć. Ta sieć powiązań - kto dla kogo pracuje, komu należy się lojalność lub przysługa - nie wydaje mi się teraz zbyt istotna. Wygląda na to, że Jana Semakowa, moja siostrzenica, podzieliła los naszego przyjaciela Issama.

- Co? - Nie chcę uwierzyć w to, co słyszę. Siadam w fotelu zwróconym do niego, pragnąc się dowiedzieć czegoś więcej.

- Powiedziano mi, że w obu wypadkach była to nagła, ostra reakcja alergiczna.

- Bzdury - stwierdza Tran.

Leonid kiwa głową.

- Była moją siostrzenicą. Już samo to było wystarczająco niebezpieczne, ale Jana nie była potulną kobietą. Miała wrogów. Wypowiadała się przeciwko wojnie w Arktyce, wymieniała nazwiska, zawstydziała tych, którzy nie chcieli czy nie mogli powstrzymać konfliktu. Chcę wiedzieć, kto podsunął „cyrkowi morderców” pomysł, żeby pierwszym zaatakowanym habitatem orbitalnym była jej kapsuła. Czy to życzenie pochodziło od rosyjskiego rządu? Od Kanadyjczyków? Chińczyków? Czy też Rada Shahin zdecydowała o tym samodzielnie?

Pochyla się gwałtownie, jakby przytłoczony nieznośnym brzemieniem podtrzymywanym jedynie przez łokcie oparte na kolanach. Ręce mu drżą, szczeka pracuje, mięśnie się naprężają. I dociera do mnie, że nie umie nikogo opląkiwać. Cholera. Ja też nie. Moja neuronetka nie pozwalała na to nigdy. Rozpacz była w niej zwyczajnie nadpisywana.

- Przykro mi, Papo.

Logan i Tran wyrażają pomrukami własne kondolencje.

- Nie - mówi Leonid. - Żadnego współczucia. - Zaciska usta, siada ponownie prosto i wydaje z siebie ciężkie westchnienie. - Nie zasługuję na nie. Sam sprowadziłem na świat dość rozpacz. Powiem tylko, że kochałem moją Janę i że z całej mojej szalonej rodziny przynajmniej ona jedna mogłaby znaleźć drogę do Boga.

Skoro Semakowa okazała się celem, to czy zagrożona jest także Delphi? I Jaynie? Wszystkie trzy były współniczkami. Wstaję i zaczynam chodzić na swoich skrzypiących protezach, wyszeptując tekst wiadomości do Delphi: „Semakowa nie żyje. Bądź ostrożna”.

Kiedy się odwracam, Papa przygląda mi się takim wzrokiem, jakby wiedział, co robię.

- Nasi amerykańscy przyjaciele - odzywa się - poprosili mnie, żeby wam przekazać, że rozważana jest kolejna misja. Chcieliby ją z wami omówić.

- Tutaj?

- Nie. Przetransportują was do bezpiecznego ośrodka w Niemczech.

- Kiedy?

- Teraz. - Machnięciem ręki wskazuje monitor. - Czekają.

Przyglądam się uważnie Leonidowi, pozwalam działać FaceValue i pytam sam siebie: „Czy mógłby ocalić nam życie, przywieźć tutaj i zapłacić za nasze leczenie po to tylko, żeby zastawić na nas pułapkę?”. Możliwe. Może to skomplikowany układ.

FaceValue nie wskazuje kłamstwa, wyłącznie mieszaninę nieczytelnych emocji.

Leonid unosi krzaczastą, siwą brew.

- Shelley, co powiedziałaś o mnie tej kapitan zestrzelonego myśliwca?

Podnoszę się na skrzypiących nogach, żywiąc własne podejrzenia.

- Powiedziałem, że ci ufam.

On także wstaje.

- A ufasz?

Nieliniowa wojna: nie ma prawdziwych sojuszników, ustalonych wrogów ani określonego pola walki.

- Uczestniczysz w tej misji? - pytam.

- W planowaniu i wsparciu. Działalem wcześniej w tamtym regionie, mam więc kontakty z agentami oraz dostęp do danych wywiadowczych nieosiągalnych dla naszych sojuszników.

- Dlaczego w to wchodzisz?

Zadziera brodę, mruży oczy.

- Dopiero teraz o to pytasz?

- Odpowiedz.

- Głupi, prosty powód. Jakiś czas temu miałem sen, że mój szwagier Eduard kupił sobie drogę do nieba, ale pałający chęcią zemsty archanioł wyrzucił go stamtąd. Uznałem to za przesłanie, ostrzeżenie, że sukces w tym życiu nie zapewnia niczego w przyszłym... Wciąż jednak mogę służyć Bogu tak, jak tamten archanioł.

Odwracam się, bo nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Podchodzę do wąskiego okna i spoglądam na miasto, nad którym wstaje nowy dzień. Dopuszciliem się niewybaczalnych rzeczy. Czy jakimś cudem może istnieć odkupienie?

Tran ma bardziej praktyczny pogląd na świat.

- Więc teraz chodzi ci tylko o wykorzenienie zła?
- A także o zemstę - dodaje Papa.
- Czy ta misja to odwet za zamordowanie Jany? - pyta Logan.
- Może tak być.

Mój zastępca nie jest usatysfakcjonowany.

- Musimy wiedzieć więcej.
- To będziecie musieli polecieć do Niemiec. Polecie i tak. Przyjmijcie tę ofertę ochrony. Nie jesteście tutaj bezpieczni.

Odsuwam się od okna.

- Wiesz to? Słyszałeś coś? - Bardziej niż kiedykolwiek chcę wiedzieć, gdzie jest Kanoa.

Leonid wskazuje gestem wylot klimatyzacji.

- Wróg zastosował nową broń, selektywną truciznę przenoszoną drogą powietrzną.
- To zabiło Issama? I Janę?
- Tak.
- A ty lecisz do Niemiec?
- Da. Tak. Nie mówiłem? Chcę nadal żyć. Właściwa zemsta wymaga czasu.

Patrzę na Logana. „Tak?”.

Kiwa głową na znak zgody.

- Pakować sprzęt - rozkazuję. - Tran, złożyłeś zapotrzebowanie na broń?

- Tak jest, sir.
- Anuluj je. Wyruszamy.

Moją decyzję wspiera wiadomość od Delphi; tekst przychodzi, kiedy opuszczamy apartament: „Potwierdzam sytuację z Semakową. Podejrzany powietrzny czynnik bioaktywny. Wiele ofiar w rozproszonych lokalizacjach. Wszystko kluczowe postaci. To pierwsza faza wojny, Shelley. Ukryjcie się natychmiast”.

W towarzystwie Leonida zostajemy przetransportowani pośpiesznie na pokład odrzutowca biznesowego, należącego do lotnictwa amerykańskiego, który dostaje zgodę na natychmiastowy start. Wysyłam wiadomość do Delphi, żeby dać jej znać, że z nami wszystko w porządku. Odpowiada, żebym się nie martwił, ale dla bezpieczeństwa postanawia się ukryć.

Półtorej godziny później odrzutowiec ląduje na betonowym pasie lotniska garnizonowego w południowych Niemczech. Zgodnie z informacjami, jakie udaje mi się znaleźć, to nieczynna baza armii amerykańskiej. Ściągam obraz satelitarny, na którym widać nienaruszone ogrodzenie na perymetrze. Po jego wewnętrznej stronie znajduje się dziesięciometrowy pas wolnej przestrzeni, a dalej drzewa iglaste, które rosną na tyle gęsto, żeby zasłonić ośrodek przed obserwatorami z zewnątrz.

Na obiekty bazy składają się pas startowy, biegnący między dwoma hangarami, mały kompleks mieszkalny, zespół większych budynków, przypuszczalnie administracyjnych, oraz betonowe płyty, na których stały niegdyś inne zabudowania. Zauważam tylko kilka pojazdów.

Przez okienko odrzutowca widzę pas drzew ze zdjęcia satelitarnego. Stanowią wysoki, ciemnozielony żywopłot okolony od zewnątrz przez wąski pas ziemi przykrytej warstwą śniegu. Kiedy samolot skręca na końcu pasa startowego, w potu widzenia pojawiają się hangary. Kołujemy do dalszego z nich. W tym czasie próbuję ponownie połączyć się z Kanoą. Nadal nic. Silniki się wyłączają. Dwuosobowa załoga naziemna holuje nas

do wnętrza hangaru, a potem z kokpitu wychodzi drugi pilot.

- Możecie wysiąść - mówi. - Zabierzcie ze sobą cały wasz sprzęt.

Zarzucają plecaki na ramiona. Potem wychodzimy z bronią w rękach. U podstawy schodków czeka na nas kapitan; nazywa się Montrose, o czym informuje nas jego plakietka identyfikacyjna. System rozpoznawania twarzy mojej nakładki potwierdza tę tożsamość.

Montrose nie jest uzbrojony, ale nie musi być. Za nim stoi półkolem sześciu żandarmów w kamizelkach kuloodpornych i gnatkach, uzbrojonych w sztuki i skrytych za anonimowymi, czarnymi przyłbicami hełmów. Za ich plecami parkują dwa pojazdy o mocno przyciemnionych szybach: wojskowy SUV i furgonetka.

Kapitan Montrose przejmuje dowodzenie.

- Względy bezpieczeństwa wymagają, żebyśmy wyruszyli jak najszybciej. W bazie nie wolno nosić broni osobistej, zatem mój pierwszy wymóg jest taki, że cała broń i amunicja mają zostać zdane sierżantowi Remickowi.

Podchodzę do Leonida, niezadowolony z kierunku, jaki obrała ta przemowa.

- Nie, sir. Nie sądzę.

- Shelley. - Ton głosu Leonida jest surowy. - Współpracowałem już wcześniej z kapitanem Montrose'em.

- Masz zaufanie do tego, co się dzieje?

- Na tym świecie nie ma nic pewnego - drwi Siergun. - Codziennie zakładamy się o coś. To jest mój zakład.

Odwracam się do Montrose'a.

- Chcę wiedzieć, gdzie jest Kanoa. Chcę z nim porozmawiać.

- Oddacie wszystkim broń i amunicję, kapitanie Shelley. To nie jest

przedmiot negocjacji.

- Ty także postawiłeś zakład - przypomina mi Leonid, unosząc brew.

Dowódca żandarmów w randze sierżanta występuje naprzód, żeby wyegzekwować żądanie kapitana Montrose'a.

- Nie jest dozwolona żadna broń osobista, sir.
- Nie jest osobista. Została nam oficjalnie przydzielona.
- Jest pan zobowiązany ją oddać, sir, wraz z amunicją.

W głowie przerabiam możliwe scenariusze: oddanie broni albo wdanie się w wymianę ognia, której nie chcemy ani nie możemy wygrać. W istocie nie mamy wyboru. Następną myśl przekazuję przez gen-kom. „Oddać broń”.

„Przyjąłem” - odpowiada Logan.

Reakcja Trana jest bardziej lakoniczna: „Cholera”.

Ale współpracuje. Tak jak ja.

Sprawdzam blokady ztkh, a potem oddaję karabin, klnąc w duchu Kanoę. To on powinien być naszym dowódcą. Powinien się nami opiekować.

Mam cholerną nadzieję, że nadal żyje.

- Dziękuję panu, kapitanie Shelley - mówi Montrose. -Sierżant Remick odstawi was do waszych kwater. Panie Siergun, proszę mi towarzyszyć.
- Czekaście. Dokąd zabieracie Leonida?
- Panu Siergunowi przydzielono oddzielną kwaterę.
- Co, do diabła, Papo?
- Trzeba opracować szczegóły - odpowiada.

Nie mam pojęcia, co to znaczy. Nie wiem, jaka jest jego sytuacja, ani nasza. Nie wiem, czy Leonid jest nadal po tej samej stronie, czy też nawiązał nowe przyjaźnie. Kiedy Papa wsiada do SUV-a z kapitanem Montrose'em, ma ponurą minę.

Po ich odjeździe sierżant Remick kieruje mnie, Logana i Trana do furgonetki. Kierowcą jest krzepki młodzian w schludnym mundurze.

- Mam rozkaz zameldować was w kwaterach gościnnych - informuje nas, gdy drzwi się zamykają.

Żandarmi wskazują na boczne orurowanie pojazdu. Młodzian czeka na znak Remicka, a potem jedziemy, wioząc żandarmów na zewnątrz mikrobusu.

Kwatery gościnne okazują się trzema sypialniami w siedemdziesięcioletnim, umeblowanym domu stojącym w grupie ostatnich ocalałych zabudowań oficerskich starego garnizonu. Sierżant Remick informuje nas, że mamy pozostawać w środku, za opuszczonymi żaluzjami.

- Jak długo mamy tutaj przebywać? - pytam.

- Nie mam informacji na ten temat, sir.

- Na czyj rozkaz jesteśmy tutaj?

- Nie mam informacji na ten temat, sir.

- Muszę się skontaktować z moim dowódcą, majorem Williamem Kanoą.

- Macie pozostać w budynku, sir, jak was poinstruowałem, gdzie będziecie oczekiwać na dalsze rozkazy.

Odchodzi, ale zostawia na zewnątrz trzyosobowy oddział żandarmów. Logan przygląda się im zza krawędzi żaluzji.

- Areszt ochronny nie wydaje się różnić zbyt wiele od więzienia.

- To co innego - mówię mu.

- To cholerny krok wstecz w porównaniu z hotelem, w którym umieścił nas Papa - gdera Tran, ciskając plecak na sofę. - Nie ma obsługi hotelowej, pracowników seksualnych ani telewizora. - Idzie ciężkim krokiem do kuchni i otwiera lodówkę. - Tylko napoje. - Zagląda do szafki. Widzę ponad jego ramieniem, że jest pełna gotowych dań, które szczelnie wypełniają wszystkie półki. Tran wydaje z siebie jęk. - Mikrofalowe gówno. Dość, żeby paść nas tygodniami. - Zerka na mnie przez ramię. - Nie wydaje mi się, żeby przylot tutaj był dobrym pomysłem.

Mnie też się to nie podoba, ale przynajmniej żyjemy.

Rezerwuję sobie sypialnię, obracając plecak do góry nogami i wysypując na łóżko wszystko, co mi w nim pozostało. Nie ma tego wiele. T-shirty, racje żywnościowe, moja ubożęca apteczka pierwszej pomocy. Wszystko to przesiąknięte zapachem toksycznej spalenizny, który wprawia moje serce w szaleńczy dygot, sprowadzając mnie z powrotem do PBO. Daję neuronetce kilka sekund na uładzenie sytuacji. Ikona się żarzy... a ja przypominam sobie, że program bazowy wyłącza się stopniowo, w związku z czym nie będę już otrzymywał tego rodzaju wsparcia.

Rzucam T-shirty pod drzwi - upiorę je później i może smród zniknie. Jeżeli będziemy musieli zostać tutaj ponad dobę, garderoba stanie się problemem. Z tego powodu zdejmuję z siebie cywilną koszulę i wieszam ją w szafie. Niech pozostanie świeża nieco dłużej.

Resztę ekwipunku pakuję ponownie porządnie pomimo jego zapachu. Chcę być gotowy, gdyby coś się stało.

Krok następny: zrozumieć, co się dzieje. Siadam na łóżku, otwieram na nakładce encyklopedię i zaczynam czytać najświeższe posty zebrane w Chmurze — i to nie są dobre wiadomości.

Wojna arktyczna narysowała nowe granice. Wczoraj, w ostatnim dniu starego roku, Rosja podgrzała konflikt i zgłosiła roszczenia terytorialne do

ogromnego grzbietu podmorskiego, argumentując, że w jakimś tam geologicznym okresie historii planety należał on do szelfu kontynentalnego Syberii. Nowo ustalonej granicy strzegą rosyjskie myśliwce, prowokowane przez samoloty kanadyjskie i amerykańskie, a międzynarodowe firmy armatorskie, wspierane przez chińskie pieniądze, domagają się zawarcia traktatu pokojowego, który miałby zacząć obowiązywać przed wiosenną odwilżą.

Nie doszło do kolejnych ataków na obiekty orbitalne, ale szkody postępują i tak. Mały satelita obserwacyjny, który znajdował się na znanej ścieżce dryfu śmieci kosmicznych, został usunięty z ich trajektorii tylko po to, żeby zostać trafiony przez odłamek nieoznaczony na mapach. Teraz szczątki orbitera współtworzą zagrożenie, a podobnych wypadków prawdopodobnie będzie więcej.

Na ziemi zaś Pakistańczycy wysyłają myśliwce, które nękają okręty amerykańskiej marynarki wojennej, odbywające patrole poza ich wodami terytorialnymi - to agresywne postępowanie ściągnęło eskadry indyjskich shikrów gotowych zetrzeć się z maszynami pakistańskimi. Wyobrażam sobie, że przedsiębiorcy wojenni kibicują obu stronom i dolewają oliwy do ognia, chcąc rozpalić konflikt na taką skalę, żeby sprzedać trochę uzbrojenia, ale nie do tego stopnia, żeby któraś ze stron była gotowa użyć broni jądrowej, trzymanej od dziesięcioleci w magazynach.

Amerykanie nabrali wody w usta, a główne strony informacyjne nie wspominają ani o kapitan Thurman, ani o straconym myśliwcu. Jednak witryny niszowe i kawiarniani detektywi tworzą z danych sejsmologicznych i lokalnych plotek scenariusz, który jest zdumiewająco bliski prawdy.

Doszło do dwóch kolejnych ataków przeciwko bojownikom prowadzącym operację „Pęknięte Niebo”, jednego w Sudanie, a drugiego w Boliwii, ale oba przeszły niemal niezauważone w świecie zmęczonym od dawna wojnami w obu tych krajach.

Po paru godzinach Tran przysłała mi wiadomość tekstową: „Przeczytaj to! Wszystko uzyskane z mediów społecznościowych, niezmanipulowane przez mediotów, rząd czy rekiny. Anioł Śmierci to prawda”.

Jest tam link, który przekierowuje mnie na kolejną stronę niszową, gdzie znajduje się lista „wpływowych osób” -ludzi władzy, decydentów - którzy zmarli w ostatnich tygodniach. Szukam nazwiska sekretarza obrony i znajduję je. Szukam Jany Semakowej i też tam jest. Ale to jedynie dwa nazwiska wśród ponad dwustu. Liczba mnie szokuje. Dwieście osób. W cztery miesiące. Sprawdzam kilka nazwisk w innych źródłach, żeby się upewnić, i przekonuję się, że ci ludzie zmarli naprawdę.

Na liście są politycy, pracownicy korporacji, przywódcy religijni, naukowcy i oficerowie wojska. Dwadzieścioro troje Amerykanów. Pozostali to Brytyjczycy, Niemcy, Chińczycy, Japończycy, Saudyjczycy... Zazwyczaj ludzie stosunkowo młodzi i zdrowi. Wszystko to były jednostkowe śmierci - nagle zasłabnięcie w zatłoczonym biurówcu, na wiecu politycznym wśród tysięcy innych ludzi albo na zatłoczonym trotuarze.

Tran ma rację. To jakby anioł śmierci przechadzał się po światowych stolicach, centrach finansowych, bazach wojskowych, nawiedzał grupy eksperckie, powalając wybrane ofiary i napawając lękiem tych, których nie dotknął. Jesteśmy tego przykładem. Byliśmy tak wstrząśnięci śmiercią Issama, że uciekliśmy z Budapesztu, zgadzając się na areszt ochronny.

Wysłałam wiadomość do Delphi, chcąc się dowiedzieć, czy nic jej nie jest, ale nie dostaję odpowiedzi.

Tran zgłasza się przez gen-kom:

- Patrzysz na to?

-Tak.

- Sądzę, że to powolna dekapitacja przywódców świata

Delphi nazwała to pierwszym etapem wojny, ale jeśli tak, to jest to wojna cicha, tajna, i nie wiadomo, kto ją prowadzi

- Żadna z głównych stron informacyjnych nie powiązała tych śmierci ze sobą.

- Tuszują to. Rządy nie chcą ujawnić, że są bezbronne. Pilnują, żeby okoliczności śmierci określano jako „naturalne”, „nieznane” lub coś podobnie bzdurnego.
- Słuchasz, Logan? - pytam.
- Potwierdzam.
- Pamiętajcie, że w ostatnich miesiącach wykonywaliśmy operacje kontrolne - mówię. - Choćby „Jałowe Rozstaje”. Zaczynam podejrzewać, że przez cały ten czas szukaliśmy anioła śmierci, a w każdym razie laboratorium, z którego pochodzi.
- To byłby rozpiardol, gdybyśmy je znaleźli - stwierdza Tran.

Logan stoi na przeciwległym biegunie emocjonalnym.

- Kto może powiedzieć, czy to nie Czerwień jest aniołem śmierci?

Przyglądam się ponownie liście zmarłych. Nie znam większości nazwisk, które zawiera, nie wiem, kim byli ci ludzie ani jaki skutek może mieć ich śmierć, ale jeśli te zgony przybliżają nas do zagłady albo prowadzą do konsolidacji władzy w rękach nielicznych osób, to nie Czerwień się za tym kryje.

Nadchodzi wieczór bez wiadomości od Leonida, kapitana Montrose'a, pułkownika Abajiana, majora Kanoi czy kogokolwiek innego. Żadnego wyjaśnienia naszej sytuacji. Żadnych nowych rozkazów.

Żadnej sugestii co do przyszłości.

Cokolwiek to będzie, nie jestem gotowy. Nie fizycznie. Używam inhalatora, jak mi zalecono, i moje płuca się regenerują, ale organizm mam wyczerpany i dopiero po pewnym czasie dojdę do siebie. Moje robocie nogi, co oczywiste, nie naprawią się same. Zamykam drzwi sypialni. Czas się tym zająć.

Paradoksem współczesnego świata jest to, że natychmiastowa globalna łączność okazuje się bezużyteczna, jeśli osoba, z którą chcesz rozmawiać, ogranicza kontakty, tak jak ja to robię. Chcę pogadać o moich protezach z Jobym Nakagawą. Nadal mam jego numer. Problem polega na tym, że zmienił się mój numer, więc nie będę w jego książce telefonicznej. Zamiast dzwonić, decyduję się na e-mail: nazwisko, numer seryjny protez, mój nowy numer oraz krótka wiadomość: „Zadzwoń do mnie”.

W San Antonio jest nadal popołudnie. Czterdzieści minut później dostaję spod numeru Nakagawy prośbę o połączenie. Akceptuję ją.

- Co jest, kurwa? - Ton ma lodowaty, coś między ostrożnością a furią.
- Cześć, Joby! Pamiętasz mnie?
- Jezu! Kurwa mać!
- Zakładam, że to znaczy „tak”.
- Nie żyjesz - sprzeciwia się. - Powinieneś być martwy.
- Taa, przepraszam. Ciągle źle to rozgrywam.
- Ty palancie. Cały czas działałeś, a ja nie otrzymywałem żadnych danych na temat sprawowania się twoich protez. To dlatego dzwonisz, co? Masz problemy z nogami. To jedyny powód, dla którego byś zatelefonował.
- Powiedziałeś, że nikt inny nie ma prawa się nimi zajmować. Tylko ty.

Podejrzliwie:

- Co im zrobiłeś?
- Mocne zużycie eksploatacyjne. Uderzenia pocisków. Odłamków. Nadal mogę chodzić, ale niektóre przeguby są zwichrowane lub zepsute.
- Kolanowe?

- Nie, te są w porządku. To stopy, dolne części.
- Chcesz nowe?
- Tak, do diabła! Możesz to zrobić?
- Teraz wytwarza je prywatny producent. Drogo. Mogę złożyć za ciebie zamówienie, jeśli masz kasę.
- Zrób to. Prześlij fakturę, a ja zapłacę.
- Masz konkretny adres dostawy?
- Jeszcze nie. Dam ci znać.
- Dobra. To potrwa kilka dni. Kiedy wymienisz protezy przyślij mi stare, żebym mógł ocenić zniszczenia.
- Jasne, żaden problem.
- Jezu, Shelley, nie mogę, kurwa, uwierzyć, że żyjesz. Wiesz, mógłbyś pomyśleć o tym, żeby zejść z linii ognia.

Myślę, że to najmilsza rzecz, jaką Joby kiedykolwiek mi powiedział.

- Hej, dzięki. Ale to zostaje między nami, dobra?
- Bez jaj, palancie. Nie jestem idiotą.

Faktura przychodzi po kilku minutach. Jasna cholera. Sprawdzam stan swojego konta. Kiedy załatwiam transakcję, na koncie zostają mi jakieś dwa dolary, ale udaje mi się pokryć koszty.

Ustalamy kolejność wart. Pierwszy Tran, potem Logan. Dostaję ostatnią zmianę, kładę się więc wcześniej do łóżka. Leżąc w ciemności nieznannej sypialni, myślę o swojej neuronetce. Rano załadowałem program wyłączający. Próbuję się zorientować, czy czuję jakąś różnicę, ale nie. Jeszcze nie.

W każdym razie lepiej spać, a to wciąż jest łatwe. Choć moja neuronetka nie może już odbierać sygnałów z zewnątrz, to nadal mogę komunikować się z nią myślami. Być może z czasem uda mi się nauczyć ją tworzenia na żądanie całego wachlarza stanów umysłowych... Na razie jednak wysyłam standardowe polecenie: Sen.

Po kilku godzinach budzę się pod wpływem dzwonka alarmu w słuchawce. Wyłączam go i siadam prosto, zupełnie przymulony. Gdybym posłużył się neuronetką, żeby się obudzić, byłbym rześki, ale nie mogę już tego robić.

Ogrzewanie domu działa. Za żaluzją widać ulicę oświetloną przez zamglony blask księżyca. W żadnym okolicznym budynku nie ma świateł. Na ulicy nie parkują żadne samochody. Na trotuarze stoi żandarm w rynsztunku; wymuszony prąd powietrza unosi spod czarnej przyłbicy białą parę oddechu.

Opuszczam żaluzję, a potem kuśtykam z sypialni do kuchni. Logan siedzi przy pustym stole, w pełni przytomny, gdyż neuronetką utrzymuje go w tym stanie.

- Sytuacja? - pytam.
- Nic się nie działo. A co z tobą? Odczuwasz już jakieś efekty?
- Trudniej się obudzić.
- Pamiętam to.
- Idź się prześpij.

Parzę kawę - coś, czego zwykle nie robię - ale boję się, że przysnę. Do świtu panuje spokój. O siódmej pięć słyszę cichy stukot płyt stopowych na betonie na zewnątrz, a zaraz potem głośnie, brutalne walenie w drzwi. Znam ten dźwięk. Z takim odgłosem wspornik ramienny martwej siostry zderza się z drewnem. Postępowaliśmy tak w Boliwii, żeby napędzić stracha ludziom w domu. Skoro tętno podskoczyło mi do wyścigowego tempa, powiedziałbym, że to działa tak, jak zamierzono.

- Wyślij sygnał pobudki - szepczę przez gen-kom.

W całym tym domu nie ma nic, co by nas ochroniło, gdyby nasi strażnicy weszli i otworzyli do nas ogień. Nasza jedyna szansa to kontratak w chwili ich wtargnięcia, ale jeśli mają tutaj kamery albo skanują przez ściany, to nie będziemy mogli wykorzystać elementu zaskoczenia. Biorę największe noże, jakie są w kuchni - małe, do steków, o dziesięciocentymetrowych ostrzach. Wręczam jeden nóż Tranowi, gdy ten wpada do holu w szortach i z bojową miną. Walenie w drzwi się powtarza, gdy za Tranem zjawia się Logan.

- Przedstaw się! - wołam.

Daję znak, żeby Tran i Logan stanęli za mną. Ustawiamy się tak, żeby schwytać tego, kto się pokaże na progu.

- Porucznik Andrea Ashman z wywiadu. Otworzę drzwi kapitanie Shelley. Jestem nieuzbrojona.

Podaję nóż Loganowi i pokazuję jemu oraz Tranowi, żeby się cofnęli.

Gałka się obraca. Drzwi uchylają się wolno, zaledwie na kilkanaście centymetrów. Porucznik Ashman i ja gapimy się na siebie przez powstałą szczelinę, oboje starając się oszacować zagrożenie, jakie stanowimy dla siebie nawzajem. Ashman jest w mundurze wojskowym. Za nią stoi jeden z żandarmów w rynsztunku.

- Jesteśmy po tej samej stronie, kapitanie Shelley.

Czyżby? Jeszcze mnie o tym nie przekonano. Patrzą na żandarma i się odsuwam.

- Proszę wejść.

Ashman zamyka za sobą drzwi. Ma wychudłą twarz, jest szczupła i wysoka, niemal metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Zamierzam przeprowadzić przesłuchania w związku z waszą ostatnią misją. Jeden z was... Alex Tran? - Sprawdza na tablecie i podnosi wzrok

na Trana. - Jaki masz stopień?

- Tran odszedł z regularnej służby w stopniu sierżanta sztabowego. -
Wskazuję go gestem. - Odłóż nóż i włóż koszulę.

- Tak jest, sir.

Odwracam się znowu do Ashman.

- Chcę się zobaczyć z moim dowódcą.

- Przykro mi, kapitanie. Pułkownik Abajian nie jest dostępny w tej chwili.

- Pułkownik Abajian nie jest moim bezpośrednim dowódcą, pani porucznik. Jest nim major William Kanoa, a my nie zgadzamy się na przesłuchanie, póki go nie zobaczę.

- Kapitanie Shelley, szczegóły pańskiej operacji są istotne dla oszacowania...

- Chcę się spotkać z moim dowódcą. Sprowadźcie tutaj Kanoę, a powiem o misji wszystko, co chce pani wiedzieć.

Otwiera usta, jakby zamierzała się ze mną spierać, ale rezygnuje.

- Przekażę pański warunek pułkownikowi Abajianowi.

- Dziękuję.

Abajian postanawia nas ignorować. Ani tego dnia, ani następnego nie mamy żadnych innych gości. Dużo śpimy.

Trzeciego dnia kończy się zawartość mojego inhalatora. Może zawierał jakiś składnik poprawiający nastrój, a może zaczynam odczuwać spadek wsparcia ze strony neuronetki, ale pojawia się frustracja, a potem gniew.

Delphi milczy, Kanoa milczy, Leonid gdzieś przepadł, a z mojego

doświadczenia wynika, że Abajian mógł zostać wywalony za przeprowadzenie nielegalnej operacji, z którego to powodu najprawdopodobniej nas aresztują, a nie poruczą kolejną misję.

Muszę wiedzieć, do czego to prowadzi. Zatem trzeciego dnia wychodzę na zewnątrz, żeby pogadać z żandarmami.

Do tej pory przekonaliśmy się już, że tylko czterej strażnicy towarzyszą nam w tym skupisku domów. Nikt nie mieszka w innych rezydencjach, nie ma żadnych pojazdów na drodze. Możliwe, że inne rejony bazy są nadal zaludnione, ale ten zakątek to miasto duchów.

Otwieram frontowe drzwi. Śnieg, który okrywał ziemię, kiedy się tutaj zjawiliśmy, stopniał, trawnik przed budynkiem jest brązowy, powietrze zimne i rześkie, wieje chłodny wiatr, a niebo zasnuwają szare chmury. Słyszę odległy dźwięk przelatującego samolotu pasażerskiego; nic więcej.

W zasięgu wzroku znajduje się tylko jeden żandarm, który spaceruje po chodniku. Kiedy wychodzę na zadaszony próg domu, zwraca ku mnie anonimową, czarną przyłbicę hełmu. Raptownie kuca i po trzech długich susach staje tuż przede mną. Trzeba całego uporu idioty, jaki wykazuję, żeby nie uciec do wnętrza domu. Kryłem się za czarną maską, byłem wspierany przez tytanowy rynsztunek, pękaty kamizelką kuloodporną i uzbrojony od stóp do głów. Znalezienie się po drugiej stronie jest cholernie onieśmielające.

Żandarm to mężczyzna.

- Musi pan pozostać w domu - mówi - za zamkniętymi drzwiami i opuszczonymi żaluzjami.
- Nie, specjalisto. Żądam rozmowy z moim bezpośrednim dowódcą, majorem Williamem Kanoą. Natychmiast.

Nie jest mądrze lekceważyć bezpośredni rozkaz wydany przez żandarma w rynsztunku. Wiem o tym, ale co innego mogę zrobić, do diabła? Specjalista posługuje się hakami ramiennymi, żeby wprowadzić mnie z powrotem do wnętrza domu. Jedyńm zyskiem wyniesionym z mojego

śmiałego przedsięwzięcia jest posiniaczony biceps.

Przeklinam Kanoę, Abajiana, Leonida. Siebie samego. Powinniśmy byli odlecieć z Budapesztu na własną rękę i zmusić ich, żeby nas szukali.

Akurat.

Bez wsparcia GRK? Przypuszczalnie zgarnęliby nas, gdybyśmy wyściubili tylko nosy na ulicę.

Joby przysłała mi e-mail, w którym pisze, że moje protezy są gotowe do wysyłki. Wytwórcy potrzebny jest jedynie adres i nazwisko odbiorcy. Posługuję się GPS-em, żeby poznać adres domu, w którym jestem uwięziony, i podaję go. Jebać bezpieczeństwo. Zamiast nazwiska wpisuję GRK 7-1.

Dwa dni później leżę na sofie, słuchając muzyki z serwisów strumieniowych - coś głośnego i wściekłego, odpowiedniego do mojego nastroju - kiedy otwierają się drzwi wejściowe. Na tle poświaty zimowej nocy majaczy postać. Jestem tak przestraszony, że przeskakuję nad oparciem kanapy. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko to, że spadam nogami naprzód, potem jednak przeguby uszkodzonej stopy się poddają i ląduję na dupie. Wyłączam momentalnie muzykę i gramolę się na równe nogi. Wchodzi Kanoa i zamyka za sobą drzwi.

- Dobry refleks - chwali, stawiając na podłodze walizkę średniej wielkości.

- Gdzieżeś ty się, kurwa, podziewał?

To już szósty dzień stopniowego wycofywania się mojej neuronetki z utrzymywania poziomu bazowego, co zdecydowanie odczuwam. Rezygnuję ze swojej kryjówki i wychodzę z za kanapy.

- I dlaczego, do chuja, nie jesteś załogowany do gen -komu?

- Jestem. W innym oddziale.

Na kilka sekund zapominam języka w gębie. Tak więc zostaliśmy spisani na straty. I dlaczego mnie to dziwi, do cholery?

Logan i Tran wpadają do salonu, ale stają jak wryci, wyczuwając mój nastrój.

- Zrobiliśmy, co musieliśmy, Kanoa. W głowach uruchomił się nam program, a my go zrealizowaliśmy. A potem zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, żeby pozostać przy życiu. Jeżeli zamierzasz pozwolić nam odejść z tego powodu, to mam to w dupie. Tak będzie lepiej.

- To było dla waszej ochrony - wyjaśnia Kanoa. - Sądziłem, że może sami na to wpadniecie.

- Znasz mnie. Nie jestem optymistą. Sądziłem, że nie żyjesz albo siedzisz w więzieniu.

Chrząka.

- Słusznie, i niezbyt daleko od prawdy. Abajian rządzi GRK. Wiesz o tym. Ma w kieszeni Cory'ego Helmsa i chce nas wykorzystywać jako swoich osobistych X-Men. Zachęcałem go, kurwa, żeby się wycofał. Częścią tego działania było trzymanie was na dystans. Skłoniłem Brysona, żeby zorganizował to tak, że gdy w końcu pojawicie się online, to wasze oprogramowanie uaktualni się do 7-2 w celu zneutralizowania Abajiana.

- Domyślałem się, że to nie uszczęśliwiło pułkownika.

- Uziemił mnie na kilka dni, ale nadal nie ma władzy nad 7-2.

- To na czym teraz stoimy? - pyta Logan.

- Na tym samym, na czym staliśmy, zanim Abajian zjawił się w CLIIS. Ma zadania, które chce wykonać, ale my nie działamy w ten sposób. Odbyliśmy misję „Jałowe Rozstaje”, bo stała za nią Czerwień.

- Skoro sytuacja z Abajianem nie została rozstrzygnięta, to jak udało się

panu tutaj dostać? - pyta Tran.

- Pułkownik potrafi poznać, kiedy dochodzi do impasu. -Kanoa uśmiecha się zimno. - Słyszałem, że oba oddziały GRK 7 nie chciały przystać na współpracę z nim i zażądały spotkania ze swoim bezpośrednim dowódcą. To mu podsunęło myśl, że nadal mogą się okazać potrzebny.

Tran się śmieje.

- Musiał się zorientować, że nie jest dobrze wkurzać Fadul.

Nie sądzę, żeby odkąd Tran został zwerbowany do 7-1, był chociaż jeden taki dzień, kiedy jemu udało się jej nie wkurzyć.

- Tran? Poważna sprawa. Dlaczego ty na to nie wpadłeś?

Uśmiecha się zarozumiale.

- Jestem tylko głupim skoczybruzdą.

Siadam na końcu kanapy i pytam Kanoę:

- Reszta w porządku?

Kanoa sadowi się w fotelu.

- Julianowi się poprawia, ale przypuszczalnie nie wróci już do czynnej służby. Escamilla i Dunahee mają jeszcze dwa tygodnie urlopu. Roman i Fadul czują się dobrze.

- Więc nadal brakuje nam ludzi. Papa mówi... - Urywam. - Leonid Siergun mówi, że szykuje się kolejna misja. Wiesz coś o tym? Sprowadzono nas tutaj w celu jej omówienia, ale to było kłamstwo. Nikt z nami nie rozmawia.

- Słyszałem, że odmówiliście współpracy.

- Nie zgodziłem się na przesłuchiwanie nas. Chciałem wiedzieć, co się

dzieje, do cholery. Kroci się jakaś misja?

- Mówi się, że tak. Znam tylko ogólny zarys i nie wiem, czy to my ją dostaniemy. Ale jeśli tak? Nie jesteśmy do niej gotowi.

Wstaje i podnosi walizkę. Jej obudowa to twarda wytłoczka, która nie wygląda na ciężką. Walizka podskakuje, kiedy Kanoa upuszcza ją z wysoka na kanapę obok mnie.

- Przesyłka wywołała pewne zamieszanie, kiedy dostarczono ją dziś rano przed bramę wjazdową. W kartonowym pudle wyścielonym pianką. Wezwano oddział saperów. Zamierzali wysadzić to w powietrze.

- Kurwa - warczę, rozumiejąc, co musi być w środku. Chwytam rączkę walizki, wstaję i podnoszę ją. - Wiesz, ile mnie to kosztowało?

- Taa, właściwie to wiem, gdyż podczas lotu przeglądałem rachunki.

Idę do swojego pokoju, ostatni raz kulejąc z powodu uszkodzonych stóp. Tran depcze mi po piętach.

- Co to jest?

Rzucam walizkę na łóżko, zwalnięm zamki i otwieram ją.

- Jasny gwint - mówi Tran. Potem odwraca się, żeby zawołać w głąb salonu: - Hej, Logan! Shelley dostał nowe nogi!

Siadam na łóżku; pod okiem Trana podciągam nogawkę, aż odsłaniam przegub kolanowy prawej nogi. Odczepiam podudzie i upuszczam je na podłogę. Potem oglądam uważnie styki, które wyglądają dobrze, więc wstawiam nową protezę i blokuję ją na miejscu. Chrząkam, dźgnięty igłą bólu, który strzela w górę kręgosłupa, ale impuls mija tak szybko, jak się pojawił.

- Sprawdźmy, czy się rusza - mówi Tran. - Działa?

Prostuję palce stóp. Wstaję. Przenoszę ciężar ciała na nową protezę. Robię kółeczko. Wszystko idealnie.

Logan stoi w drzwiach i obserwuje mnie z surową miną, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Ty je zamówiłeś?
- Nie. - Opadam na łóżko i wymieniam drugą protezę. -Zrobił to dla mnie inżynier, który je zaprojektował.
- I skontaktowałeś się z nim? Powiedziałeś mu, gdzie jesteś?
- Poinformowałem wytwórcę, chociaż Joby otrzymał prawdopodobnie kopię zlecenia spedycyjnego.
- To kurewskie naruszenie zasad bezpieczeństwa, Shelley. Każdy, kto zwraca na to uwagę, wie, gdzie jesteś.

Blokuję lewe podudzie w przegubie kolanowym. Tym razem jestem przygotowany na ból.

- Pogwałceniem zasad jest także niezdolność do służby. Nie chciałem, żeby mój bezpośredni dowódca udupił mnie za to.
- Jakby cię obchodziło, co on sobie myśli - stwierdza cicho Logan.

Pozostawiam to bez komentarza i poświęcam minutę na zapakowanie starych protez. Muszą zostać odesłane Joby'emu. Przeganiając Logana z drogi, wracam do salonu.

Kanoa czeka przy drzwiach wejściowych.

- Gotowy?
- Wracamy do CLIIS?
- Teraz? Nie. Zostajemy w Niemczech. To jest nasza baza operacyjna na kilka następnych tygodni.
- Przylatuje reszta zespołu?
- Zależy od okoliczności. Zależy od tego, czy weźmiemy tę misję. Na

razie oddział GRK 7-2 to wy trzej, pamiętasz?

- Trzej żołnierze nie tworzą oddziału. Nie możemy działać bez większej liczby ludzi.
- Wiem. Ale nie zrobimy kroku do przodu, jeśli wszyscy nie przejdziecie pozytywnie badań medycznych. Okażcie się zdolni do służby, a wtedy zobaczymy, co będzie ze ściągnięciem tutaj 7-1.

Niepokoję się. Co będzie, jeśli nie przejdę testów medycznych? Nowe protezy zapewniają mi potrzebną mobilność, co jednak się stanie, jeżeli moje płuca nie okażą się odpowiednio wydolne?

Żandarmi salutują Kanoi, kiedy maszerujemy całą grupą w stronę białego SUV-a zaparkowanego przy krawężniku. Logan i Tran wsiadają z tyłu. Ja na miejsce pasażera. Kanoa wsuwa się za kółko, zamiast jednak uruchomić silnik, odwraca się do mnie.

- Dobrze się czujesz?
- Co? Dlaczego pytasz?

Jego spojrzenie odpływa. Patrzy na coś na swojej nakładce.

- Jesteś bardzo spięty. Chyba Bryson będzie musiał wyregulować w końcu twoją linię bazową.

Pozbyłem się odbiornika neuronetki, ale nadajnik działa poprawnie. Wysyła regularne raporty na temat mojego stanu fizycznego, które Kanoa może odbierać, kiedy jestem podłączony do gen-komu. Rzucam przez ramię ostrzegawcze spojrzenie. Logan wznosi wzrok ku niebu w poszukiwaniu wsparcia, Tran uśmiecha się ironicznie, ale żaden z nich nic nie mówi.

- Taa - zwracam się do Kanoi. - Przypuszczalnie będziemy musieli o tym pogadać.

Otwieram na nakładce barwny wykres mojego stanu neurologicznego. Oglądam go jedynie wtedy, gdy chcę nauczyć neuronetkę nowych zachowań. Zmieniające się wówczas kolory pokazują postępy działania. Myślę „spokój”, wyobrażam go sobie, syntetyzuję „spokój” w mózgu, a wykres reaguje na to spokojnym niebieskim odcieniem, który wypycha czerwień stresu.

Zaskakuje mnie, że działa to tak dobrze, ale w końcu AI analizowała mnie od dawna.

Kanoa wyrusza z obszaru kompleksu mieszkalnego betonową drogą upstrzoną kępkami wyschniętej trawy wyrastającej z poszarpanych pęknięć. Do skupiska budynków administracyjnych, które widziałem na obrazie satelitarnym, jedzie się jakieś czterysta metrów przez zbrązowiałe pole. Pierwsze zabudowanie, jakie mijamy, to dwupiętrowe straszdyło o zabitych deskami oknach, które siedemdziesiąt lat temu służyło przypuszczalnie jako koszarowiec. Naprzeciwko niego, po drugiej stronie ulicy, wznosi się nowszy budynek, rozłożysty jednopiętrowiec najwyraźniej z lat sześćdziesiątych. Sterczy przed nim pusty maszt flagowy.

- Witajcie w centrum dowodzenia - mówi Kanoa, zatrzymując się na miejscu parkingowym przed budynkiem.

Nie ma tablicy, która potwierdzałaby jego przeznaczenie, ale tuż za szklanymi drzwiami stoi żandarm w rynsztunku, z ztkh przewieszonym przez pierś. Odsuwa się na bok, pozwalając nam przejść.

Lobby jest puste, w środku panuje cisza, którą zakłóca tylko odgłos naszych kroków, ale jest czysto, światła się palą, a powietrze jest świeże i ciepłe.

Schodzimy do piwnicy. Gabinet lekarski znajduje się za nieoznaczonymi drzwiami. Nie ma rejestratorki ani sanitariuszki, jest wyłącznie lekarka, która przeprowadza badania, a potem diagnozuje u mnie trwałe uszkodzenia płuc i twierdzi, że ich wydolność zmniejszyła się o sześć procent. Tran nie wykazuje żadnych ubytków zdrowia, co jest kurewsko nie w porządku, bo podczas wychodzenia z PBO dostało mu się gorzej ode

mnie.

- Wszystko zależy od genów - pieje triumfalnie Tran. -Połączenie pierwotnych sił moich afrykańskich przodków z duchową mocą azjatyckich antenatów obdarzyło mnie nadnaturalnymi zdolnościami regeneracyjnymi. Jesteś zbyt skundlony, Shelley. Całkowicie przeciętny,

Myślę, że podczas następnej misji wystawię go na szpicę, żeby poddać jego nadludzkie możliwości bardziej zdecydowanej próbie.

Zostaję jednak dopuszczony do służby za sprawą „znakomitej kondycji fizycznej”, co jest bzdurą. Podejrzewam, że tak naprawdę lekarka ma rozkaz przepuszczenia nas, jeśli tylko uważa, że nie zasłabniemy na polu walki.

Wracamy na kwaterę i stwierdzamy, że podczas naszej nieobecności dostarczono sprzęt PGB.

Hełmy i martwe siostry zostały przetransportowane z CLIIS. Logan i ja ponownie otrzymujemy naszą oryginalną broń, z wyjątkiem amunicji, a Tran dostaje nowy ztkh w zamian za karabin pogrzebany pod masywem góry.

Są też nowe mundury. Jak zawsze bez oznak stopni i emblematów. Wzór kamuflażu jest inny od tych, jakie widziałem do tej pory - czarno-brązowy, ciemniejszy od dziennego kamuflażu pustynnego, ale zdecydowanie jaśniejszy na patrol nocny. Nowe plecaki i kamizelki kuloodporne mają ten sam wzór maskujący.

Tran podnosi kamizelkę, jednocześnie unosząc sceptycznie brew.

- Gówniany kolor.

Muszę się z nim zgodzić.

- W jakim celu zaprojektowano ten wzór? - pytam Kanoę. - Dla jakichś

brudnych centrów miast?

- Między innymi.
- Będziemy zatem walczyć w mieście?
- Nie wyznaczono jeszcze celu misji.

Przypuszczam, że to potwierdzenie.

Uczestniczyłem w walkach miejskich w Boliwii. Nienawidziłem tego.

- To kicha - zgadza się Logan. - Wszędzie pętają się cywile i dzieciaki.

W Czarnym Krzyżu także były dzieci. Nie chcę tego wspominać.

- To nowy rodzaj tkaniny - wyjaśnia Kanoa. - Jest światłoczuła. Podnieś kurtkę pod lampę, Tran.

Żaluzje są nadal opuszczone, więc palą się wszystkie światła w salonie. Tran trzyma kurtkę bezpośrednio pod lampą stołową. Gdy tylko jasne światło pada na materiał wzór meandrujących czarnych linii blednie, a tkanina przybiera jasne, pustynne barwy. Po odsunięciu jej od światła bure odcienie wracają. Wyciągam rękę i wyłączam lampę Logan gasi dwie kolejne. W pokoju zapada mrok, a kamuflaż ubioru staje się ciemnografitowy.

- Super - mówi Tran. - Podoba mi się.

Chcemy się upewnić, że wszystko funkcjonuje jak należy Zakładamy więc rynecznok - przypinamy się do martwych sióstr, nakładamy hełmy i sprawdzamy łączność w naszej nowo połączonej grupie bojowej. GRK 7-2. Obserwuję, jak ikony oddziału ustawiają się w szeregu u spodu wyświetlacza przyłbicy. Tylko trzy. To kpina.

- Kanoa, ty i Abajian musicie się dogadać, bo inaczej mamy przejebane.
- Przyjąłem. Nie dostaniecie żadnej misji, póki tego nie zrobimy.

Tej nocy po wschodzie księżyc Kanoa wysła nas na bieg kondycyjny. Mam nosić buty sportowe, spodnie dresowe oraz bluzę z kapturem, żeby ukryć to, kim jestem. Logan i Tran skłaniają się ku temu samemu, bo temperatura na zewnątrz utrzymuje się poniżej zera i jest lekka mgła.

Pomimo niej widzimy w świetle księżycy drogę, ciemne kształty sąsiednich budynków oraz sylwetki dwóch czuwających żandarmów. Żaden się nie rusza, żeby nam przeszkodzić.

Gdy tylko wybiegamy na ulicę, na mojej nakładce pojawia się słabo świecąca niebieska linia wyznaczająca trasę, którą Kanoa zaplanował nam do przebiegnięcia. Kierujemy się wyznaczoną ścieżką przez kwartał mieszkalny w stronę lotniska.

- Patrzcie na te dwa domy przed nami — mówi Logan. - Światła.

Ma rację. To jedynie słaby poblask sączący się zza żaluzji zaciemniających. Odwracam się, żeby spojrzeć na nasz dom, który wygląda tak samo - widać zaledwie słabiutkie światło, chociaż zostawiliśmy je włączone w salonie.

- W jednym mieszka przypuszczalnie Kanoa - mówi Logan. - A kto w drugim?

- Chcecie, żebym zapukał do drzwi? - pyta Tran.

Kuszące. Ale już je minęliśmy.

- Tam pewnie kwaterują żandarmi - mówię. - Biegnijmy dalej.

Nasze oddechy parują w nocnym powietrzu. Docieramy do lądowiska, przebiegamy pas startowy w obie strony, a potem obiegamy centrum dowodzenia oraz stare koszarowce, które wyglądają jak domy nawiedzane przez duchy. Nigdzie nie widać żadnych innych światel, ale dwukrotnie migają nam sylwetki żandarmów w martwych siostrach, patrolujących teren poza obrębem drogi.

Przebiegamy trzy razy tę samą trasę. Kiedy kończymy, mój GPS pokazuje prawie dwunastokilometrowy dystans.

Kanoa zjawia się ponownie następnego ranka. FaceValue potwierdza moje pierwsze wrażenie: jest zaniepokojony.

- Co się dzieje? - pytam go.
- Przestań czytać mi w myślach.
- Coś jest nie tak - upieram się.
- Przybył pułkownik Abajian. Chce obejrzeć bieg waszego oddziału przez zurbanizowany tor przeszkód. Dziś w nocy.
- Nie dam rady. Nie mam oddziału.
- Wiem o tym, i to był przedmiot naszej ożywionej dyskusji. Co do nocnych ćwiczeń, masz założyć, że misja poszła źle i twój oddział został zredukowany do trzech osób.
- Kiedy to powinniśmy zostać ewakuowani.
- Ewakuacja się nie powiodła. Nadal należy wykonać zadanie. Najwyższy priorytet.
- Wsparcie powietrzne?
- Brak.
- Chce sprawdzić, jak daleko uda się nam dotrzeć, zanim nas wystrzelają?
- Chce wiedzieć, czy powierza tę misję właściwemu oddziałowi.
- Jaką misję?
- Przeżyjcie dzisiejszą noc, to może się dowiecie.

O dwudziestej pierwszej wkładamy kamizelki i gnaty, po czym biegniemy truchtem do hangaru, gdzie kapitan Montrose - oficer, który powitał nas, gdy wysiedliśmy z samolotu z Budapesztu - zapoznaje nas z przygotowanym na ten wieczór scenariuszem.

- Przerzut odbywa się niewykrywalnym black hawkiem, ale ponieważ nie mamy takiego na potrzeby tych ćwiczeń, użyjemy standardowej maszyny.
- Nic w tym nadzwyczajnego. - Tran chichocze.
- Zamknij się, kurwa - radzę mu.

Montrose mówi dalej:

- Zostaniecie zrzućni sześć przecznic od celu, w odległości zapewniającej śmigłowcowi ochronę przed pociskami ziemia-powietrze. Przedostaniecie się przez linie oporu...
- Zawodowcy?
- Bojownicy.
- Kapuję.
- Cel znajduje się w podziemnym laboratorium broni biologicznej.

„Polujemy na anioła śmierci” - mówi Tran przez gen-kom.

Spojrzenie Montrose'a przenosi się na Trana, co mi zdradza, że kapitan monitoruje gen-kom, ale nie komentuje uwagi Alexa, tylko prowadzi dalej odprawę:

- Opanujecie ośrodek. Zbierzecie dane wywiadowcze i przekażecie je Dowództwu. Przesłanie tych informacji ma najwyższy priorytet. Musimy zebrać dowody na produkcję konkretnej broni biologicznej. Utrzymacie laboratorium do chwili, gdy Dowództwo pozwoli wam je zniszczyć.

- Potem zostaniemy ewakuowani? - pytam.
- Jeśli dotrzecie tak daleko, na tym ćwiczenia się zakończą.

Wymieniamy z Loganem sceptyczne spojrzenia. Podczas naszych ostatnich dwóch misji szwankowały plany ewakuacyjne. Ale to tylko ćwiczenia.

- To skoordynowana operacja - dodaje kapitan Montrose. - Celem jest dostanie się do środka, zdobycie danych i przesłanie ich. Macie na to szesnaście minut.

Dłużej trwa omówienie szczegółów i wydanie ślepej amunicji.

To tylko ćwiczenia. Przypominam to sobie, gdy black hawk ląduje na splekanym i zarośniętym chwastami betonie przed hangarem, gdyż serce mi wali, napędzane koktajlem niepokoju i oczekiwania.

- Nabuzowany przed walką? - pyta Kanoa przez gen-kom. Jest z nami wirtualnie, jako nasz opiekun.
- Lubię to.

Boczne drzwi helikoptera są odsunięte. Wsiadamy. Strzelcy są na miejscu przy przednich okienkach. Nie ma siedzeń, ale nie potrzebujemy ich. To nie będzie długi lot. Na polecenie dowódcy załogi siadamy w otworze prawych drzwiczek, ze stopami dyndającymi w powietrzu, po czym maszyna odrywa się od betonu. Mkniemy z rykiem nad bazą, tuż ponad czubkami drzew, nie widząc w dole żadnych świateł.

Lecimy jednak na tyle wysoko, że dostrzegamy, co się znajduje za ogrodzeniem perymetru. Zaledwie kilka kilometrów dalej światła miasteczek otaczających bazę błyszczą oślepiająco w noktowizji. Samochody jadą ulicami i szosami. To inny świat.

Pilot odzywa się w systemie audio naszych hełmów:

- Piętnaście sekund do desantu.

Schodzimy nisko nad obszar paskudnych betonowych bloków. Niektóre z nich są spalone, a inne częściowo zburzone - makieta miasta zniszczonego przez wojnę. Wita nas symulowany ogień karabinowy, lśniący w noktowizji. Strzelcy black hawka odpowiadają na ostrzał, kiedy ze ścinającą krew w żyłach prędkością nurkujemy ku małemu skwerowi. Ale nasz spadek to manewr mylący. Placyk jest zbyt mały, żeby helikopter mógł na nim wylądować. Strumień zaśmigłowy rotora wyrzuca w powietrze wirujące śmieci gdy lecimy w bok ku płaskiemu dachowi naszpikowanemu antenami i oplecionemu sznurami do suszenia bielizny Otacza go niski murek. Pilot opiera na nim płożę maszyny. Dowódca załogi warczy:

- Wypad!

Skaczę. Ewakuacja pionowa; głowę trzymam nisko i ląduję w przykłęku. Logan i Tran spadają obok mnie.

Zataczam półkole ztkh, pozwalając kamerom lufowym zbadać otoczenie, żeby taktyczna AI mogła je ocenić. Jednocześnie omiatam teren wzrokiem i zauważam, że sznury do bielizny wiszą na tyle nisko, że mogą zahaczać o nasze hełmy. Niesione wiatrem śmieci uderzają w pozostałości kurników i tekturowych pudeł, które się piętrzą pod otaczającym dach murkiem. Na prawo ode mnie jest w nim luka, która według mapy prowadzi ku zewnętrznym schodom.

Na wyświetlaczu przyłbicy pojawia się niebieska projekcja ścieżki kierującej nas ku owej podejrzanej klatce schodowej. Black hawk za naszymi plecami odlatuje. Jeden z jego strzelców podejmuje przerwany ogień, którego dźwięk mój hełm tłumi albo symuluje; nie wiem.

Działamy bez przydzielonego nam anioła, gdyż desant był zbyt pośpieszny, żebyśmy byli w stanie wypuścić urządzenie. Dysponujemy jednak danymi z drona obserwacyjnego unoszącego się na dużej wysokości, które pozwalają bitewnej AI nieustannie aktualizować mapę naszego otoczenia. Mamy też szperacze — wojskowe mikrodrony z możliwością tłumienia wydawanego przez nie dźwięku, zaprojektowane

do inwigilacji w warunkach miejskich.

Przenoszę karabin do jednej ręki, otwieram kieszeń napierśną i wyjmuję pierwsze z dwóch urządzeń, które mam przy sobie.

- Odebrałem - mówi Kanoa.

Będzie operatorem urządzenia. Trzymam je z dala od ciała. Kanoa wysyła sygnał, żeby szperacz rozłożył łopatkę helikopterowego śmigła, po czym je uruchamia. Gdy tylko czuję pęd powietrza, puszczam drona. Szperacz odlatuje, podążając zaprojektowaną trajektorią i brzęcząc cicho.

- Ulica i schody wyglądają na czyste - donosi Kanoa. -Ale nie będzie tak wiecznie.

- Rozumiem. Ruszaj, Logan.

- Idę.

Truchta wzdłuż wyznaczonej ścieżki, zgięty w pół, skanując kamerami ztkh otoczenie w poszukiwaniu celów. Tran i ja zajmujemy pozycje z jego boków, żeby osłaniać go na schodach. Zatrzymuje mnie jednak jakiś ruch na dachu domu po drugiej stronie ulicy.

Zasady użycia siły ograniczają agresywne działania do zidentyfikowanych bojowników. Nie wolno nam strzelać do cywilów, nawet uzbrojonych, chyba że taktyczna AI oznaczy ich jako cel. Jeżeli jednak zostaniemy ostrzelani, możemy odpowiedzieć ogniem.

- Kanoa, dom po drugiej stronie ulicy; na co patrzę?

- Nie wiadomo.

Cokolwiek to było, zniknęło.

Podchodzę do muru i zerkam zza niego. Od ulicy dzielą nas parter i dwa piętra. Nasza droga prowadzi metalowymi schodami przeciwpożarowymi, opadającymi w dół sześcioma kondygnacjami. Ulica jest pusta.

Black hawk nie jest niesłyszalny. Jest tylko cichszy od standardowej maszyny, zakładamy więc, że wróg wie, że pojawiliśmy się w jego strefie. Co oznacza, że szybkość działania jest ważniejsza od bycia niewidzialnymi. Logan pokonuje skokiem pierwszą kondygnację schodów i ląduje z głośnym hukem na podeście. Zgrzytają zardzewiałe śruby podtrzymujące schody. Logan obraca się i skacze ponownie.

Tran rusza, żeby podążyć za nim.

- Czekaj, Tran.

Obserwujemy ulicę. Żadnego wroga w polu widzenia. Na południu od nas dron skręcił za róg domu. Schody wibrują, gdy Logan spada na trzeci podest.

- Dobra, idź.

Pod ciężarem dwóch żołnierzy bolce klatki schodowej szarpią się mocniej. Staram się nie patrzeć na nie, skupiając uwagę na ulicy.

- Przekznica czysta - informuje Kanoa.

- Widzę ruch na północy.

Noktowizja ukazuje mi lufę karabinu automatycznego wysuwającą się zza rogu budynku na poziomie ulicy. Na wyświetlaczu przyłbicy pojawia się kółko celownicze. Ktokolwiek trzyma broń, znajduje się nadal poza zasięgiem wzroku. Mimo to strzelam. Z lufy wyskakuje symulowana iskra, gdy zostaje mi przyznane trafienie. Karabin znika za rogiem.

Logan dociera na ulicę. Kuca, zabezpieczając jej północny wylot. Ruszam na dół za Tranem, nie dbając już teraz zbytnio o to, czy zerwę klatkę schodową. Chcę stąd zniknąć, zanim przeciwnik zdoła schwytać nas w potrzask.

- Tran, prowadzisz. Idź na południe.

- Tak jest, sir.

Szperacz jest przed nami, niucha w poszukiwaniu materiałów wybuchowych, nasłuchuje oznak ruchu, obserwuje okna i dachy. Gdy tylko docieram na ulicę, odwracam się, żeby ruszyć za Tranem.

- Możecie przeciąć skrzyżowanie — odzywa się Kanoa.
- Przyjąłem!

Tran rusza sprintem i przeskakuje je w trzech susach. Biegnie dalej wzdłuż kwartału domów, ale już ostrożniej. Zachowuję odstęp, trzymając się dziesięć metrów za nim. Logan podąża za mną.

Jedna przecznica za nami, a pięć przed nami, zanim dotrzemy do wejścia do laboratorium, które jest naszym celem.

Szperacz zgłasza ruch, oznaczając okno na pierwszym piętrze po lewej stronie ulicy. Tran rzuca się pod ścianę z ztkh wycelowanym w górę. Nic się nie dzieje. Na moim wyświetlaczu nie pokazuje się żaden cel.

- Niepotwierdzone - mówi Kanoa.

W tym momencie docieram do Trana.

- Obejmuję prowadzenie.

Ruszam przed siebie i biegnę do rogu przecznicy. Kucam tam, podczas gdy szperacz bada teren po drugiej stronie skrzyżowania.

- Czysto.

Pokonujemy dwa kolejne kwartały, nie napotykać oporu. Potem rozpętuje się piekło. Ktoś otwiera ogień z okna drugiego piętra po przeciwnej stronie ulicy. Kolejne strzały padają z dachu nad moją głową. Chcę pozostać w tej grze wojennej, rzucam się więc w bok i wskakuję przez okno do najbliższego budynku, szukając schronienia w wypalonych ruinach; ląduję na barku, robię przewrót i podrywam się na równe nogi.

W dwóch susach wracam do rozbitego okna. Celuję w górę. AI oznacza mieszkanie na drugim piętrze, skąd początkowo padły strzały, ale zanim

udaje mi się odpowiedzieć ogniem, w oknie, za którym krył się napastnik, pojawia się biały rozbłysk granatu, a stłumiony huk odbija się echem między budynkami.

Tran wypowiada cicho pojedyncze słowo zwycięstwa:

- Pierdut.

Kieruję lufę w stronę dachu, gdzie znajdował się drugi strzelec. Nie widzę celu, ale mogę przynajmniej zniechęcić go do dalszego ostrzału.

- Granat - mówię AI. - Ustal dystans.

Podczas ćwiczeń stosujemy granaty hukowo-błyskowe -światło i dźwięk - generalnie niegroźne.

Na wyświetlaczu przyłbicy zapala się zielone światełko, które wskazuje, że czekający granat został zaprogramowany do wybuchu w żądanej odległości. Naciskam drugi spust karabinu, ale nie zostaję na miejscu, żeby podziwiać efekt. Wskakuję przez okno. Gdy granat eksploduje w górze, gnam sprintem do końca przecznicy. Po dotarciu tam zerkam na mapę oddziału, upewniając się, że Logan i Tran są tuż za mną, a potem przeskakuję przez skrzyżowanie.

Wyprzedzam teraz szperacza. To źle, widzę bowiem jakiś ruch w kwartale domów przed sobą. Kucam za zwęgloną karoserią samochodu.

- Kanoa, potrzebne mi oczy.

- Straciliśmy szperacza.

Sięgam do kieszeni na piersi, żeby wyjąć następnego drona, ale wzrok i większą część uwagi skupiam na ulicy o przecznicę dalej, gdzie w noktowizji dostrzegam dwóch żołnierzy, nie, trzech, w kamizelkach kuloodpornych i gnatach.

Wyciągam szperacza i stawiam go na zaśmieconym chodniku.

- Wypuszczam szperacza-2.

- Przyjąłem.

Małe urządzenie budzi się z brzękiem do życia i odlatuje na południe.

- Mamy tutaj sojuszników? - pytam Kanoę.

- Nie.

- Kim są żołnierze w rynsztunku?

- Nieznani. - Głos ma gniewny. - Najlepszy domysł wywiadu - konkurencja.

- Inna grupa usiłująca przechwycić laboratorium?

- Potwierdzam.

- Nie wierzę, że Dowództwo sprowadziło żołnierzy PGB do walki z nami.

- To nie ma sensu, gdyż zawsze brakuje oddziałów w terenie. - Jeżeli Dowództwo może to zrobić, to dlaczego, do kurwy nędzy, nie sprowadzili reszty mojej grupy? - Coś mi świta. - Czy to może najemnicy?

- Nie wiadomo! Ale macie zielone światło, jeśli chodzi o starcie się z nimi.

- Odebrałem.

Zasady użycia siły mówią, że nie strzelamy, jeśli sami nie znajdziemy się pod ogniem, ale ta reguła dotyczy ochrony życia cywilów. Tamci nie są cywilami.

Sprawdzam mapę oddziału. Tran znajduje się kilka metrów z tyłu, chowając się za rogami budynku. Logan jest dalej, za skrzyżowaniem.

- Logan, przenieś się na drugą stronę ulicy, a potem przejdź przez skrzyżowanie. Gdy dotrzesz na trotuar, obaj zaatakujemy ten blok granatami. Przyjąłeś?

- Potwierdzam.

- Tran, trzymasz się mnie.
- Tak jest, sir.

Logan przebiega przez główną ulicę w dwóch susach. Ściąga na siebie uwagę nieprzyjaciela. Na jezdni eksploduje granat. Nie jest to bezpośrednie trafienie, ale ikona Logana zaświeca się na żółto, pokazując, że oberwał odłamkami. Bojowa AI oznacza to jako obrażenie drobne; nie blokuje jego ryszunka. Logan przebiega przez skrzyżowanie, kryje się za rogami domu i strzela, celując dzięki kamerom lufowym. Też strzelam.

Podnoszę się, odsłaniając się na czas niezbędny do tego, żeby odpalić granat ponad dachem wraku samochodu, z którego osłony korzystam. Potem padam ponownie. Czekam na podwójny wybuch - granatu Logana i mojego. Następnie ruszam i gnam szybko wzdłuż całego kwateru domów, kilka metrów przed Tranem.

- Cel w górze - ostrzega Kanoa.

Rzucam się wstecz ku najbliższemu budynkowi. Tran kuca obok mnie. Zaczyna strzelać w głąb ulicy, na południe, a ja patrzę w górę.

Złoty blask na mojej przyłbicy oznacza szybko poruszający się cel. Namierzam go i strzelam.

Bojowa AI rejestruje trafienie.

- Wrogi szperacz strącony - informuje Kanoa.
- Dobra. Tran, masz coś?
- Nie. Żadnych widocznych celów.
- Logan?
- Nic.

Wzdrygam się na dźwięk eksplozji. Nie widzę jej bezpośrednio, ale dostrzegam błysk, słyszę huk. To w przecznicy na końcu kwateru domów.

Strzały padają z dachu budynku, w którym znajduje się cel naszej misji. Szukam wzrokiem strzelców na dachu, ale nie widzę nikogo. Ani ognia wylotowego z luf.

- Strzelcy są po przeciwnej stronie budynku, prowadzą ogień na południe.

Ostrzeliwują naszą konkurencję? Trudno o lepszą okazję od tej.

- Ruszać!

Przebiegamy długość kwaterału, przekraczamy skrzyżowanie i docieramy na miejsce. To duży budynek ciągnący się przez całą przecznicę, zrujnowany, jak reszta naszego pozorowanego miasta, ale mamy uznać, że w chronionym podziemiu ukrywa zaawansowane laboratorium.

Mamy wejść do piwnicy przez drzwi znajdujące się w połowie długości budynku.

Wymiana ognia za rogiem przybiera na sile, ale nie wszyscy obrońcy obiektu są w nią zaangażowani. Dzięki szperaczowi obserwuję jednego ze strzelców dachowych, który się wycofuje, żeby zasypać pociskami naszą stronę budynku.

- Wróg na dachu - ostrzega Kanoa.

Tran osłania mnie, kiedy odsuwam się od ściany na tyle daleko, żeby zyskać odpowiedni kąt strzału w obrońcę znajdującego się trzy piętra wyżej, ale tamten znika, zanim mam szansę otworzyć ogień, ja natomiast zostaję oznaczony trafieniem w hełm, które nie jest fatalne, ale przyprawiloby mnie o paskudny ból głowy, gdyby było prawdziwe.

Logan minął nas już i zbliża się do celu - do stalowych drzwi u podnóża schodów o długości połowy kondygnacji.

- Potwierdzić cel - mówi przez gen-kom.

- Cel potwierdzony - odpowiada Kanoa.

Logan rzuca granat na podest w dole i odskakuje, gdy pocisk wybucha.

- Tran - mówię - osłaniaj nas.

Dołączam do Logana u szczytu schodów.

Drzwi wyglądają na nienaruszone.

- Uznajcie, że są otwarte - mówi Kanoa.

Gestem wysyłam Logana naprzód. Zeskakuje na podest schodów, naciska klamkę i te cholerne drzwi po prostu się otwierają. Uchyła je na kilkanaście centymetrów, na tyle tylko, żeby wrzucić do środka kolejny granat. Kiedy eksploduje, Logan wtyka w szczelinę lufę swojego ztkh, badając wewnątrz kamerami.

- Obraz - mówię do Kanoi.

Przekazuje materiał wideo na wyświetlacz przyłbicy. W środku jest mała poczekalnia o osmolonych ścianach, kompletnie pusta, jeśli nie liczyć śmieci. Po drugiej stronie znajdują się kolejne stalowe drzwi, które powinny prowadzić w głąb budynku. Logan rusza naprzód. Zeskakuję ze schodów.

- Tran, za mną.

Gdybym miał więcej ludzi, zostawiłbym co najmniej dwóch żołnierzy na górze, żeby pilnowali wejścia, ale Tran nie poradzi sobie z tym sam, a naszym priorytetem jest dotarcie do laboratorium. Więc Alex idzie z nami.

Logan przechodzi przez lobby i sprawdza następne drzwi, które też stoją otworem. Zagląda kamerami lufowymi na drugą stronę. Obraz ukazuje korytarz biegnący przez całą szerokość budynku. My jesteśmy na jednym jego końcu. Jest ciemno, w środku trudno dostrzec jakieś szczegóły, nawet w noktowizji. W odległości mniej więcej jednej trzeciej długości holu dostrzegam dwoje drzwi, jedno po prawej, drugie po lewej stronie. Dalej nie widzę nic. Wyjmuję więc z kieszeni kamizelki małą latarkę LED. Kiedy Logan otwiera pchnięciem drzwi, włączam ją i wrzucam do

środka.

Latarka wiruje, jej światło odbija się od podłogi, sufitu oraz ścian i rozbłyskuje na mojej przyłbicy. Przez ułamek sekundy widzę cały korytarz aż do końca. W dwóch trzecich jego długości znajduje się kolejna para bocznych drzwi. Jedne i drugie są otwarte, stoją w nich żołnierze w gnatach. Za uważam jedynie wsporniki ramienne każdego z nich oraz ztkh, z których w nas celują.

Z obu karabinów zostają wystrzelone granaty ze świstem wzmocnionym przez mój hełm. Próbuję zanurkować z powrotem do lobby. Za późno. Pociski hukowo-błyskowe eksplodują mi przed nosem. Mój wyświetlacz lśni czerwienią i bojowa AI wyłącza mnie z gry. Przeguby martwej siostry się blokują i zwalam się twardo na podłogę. System audio hełmu emituje biały szum, wyświetlacz czernieje, nakładka wyłącza się z mignięciem i zostaję wylogowany z gen-komu.

Ręce mam przypięte do unieruchomionego rynsztunku, ale i tak udaje mi się zagiąć palec w okół pierwszego spustu ztkh, chociaż to nie ma żadnego znaczenia. Broń także została dezaktywowana.

Panika próbuje zmusić mnie do ucieczki. Czuję się, jakby przeniesiono mnie z powrotem do Czarnego Krzyża po tym, gdy impuls elektromagnetyczny usmażył mi wszystkie obwody elektroniczne.

A wsparcie ze strony neuronetki spadło poniżej sześćdziesięciu procent poziomu bazowego.

Słucham własnego ochrypłego oddechu. To ode mnie zależy utrzymanie racjonalnego stanu umysłu. Żadnej zewnętrznej pomocy. Pracuję nad tym. Odpycham strach. To tylko ćwiczenia. Nikt mnie nie skrzywdzi.

Logan jest przypuszczalnie równie martwy jak ja, ale błyski światła przenikającego pod obrzeżem mojej przyłbicy wskazują na to, że Tran walczy nadal. Potem gasną. Później nie ma już nic.

Wyobrażam sobie stan takiego unieruchomienia przez godziny, dni, wieczność. Nasłuchuję własnego oddechu. Jest przyśpieszony.

Zdecydowanie za szybki. Nie chcę histerycznie wrzeszczeć. Potem pojmuję: naprawdę jestem zdany na samego siebie. Mam nadal neuronetkę. Nie docierają do niej sygnały z zewnątrz, ale mogę się z nią komunikować. Nadal jest częścią mnie. Myślę więc: Spokój. Uspokój się. Zablokuj to wszystko.

Działa dokładnie tak, jak zadziało wczoraj. Tym razem jednak nie jest mi nawet potrzebny wykres mojego stanu neurologicznego. Oddech zwalnia, zaciśnięte na ztkh palce się rozluźniają. Nadal mi się wydaje, że leżę martwy przez kurewską wieczność, ale z tym mogę się uporać samodzielnie.

Zaczynam liczyć na głos, żeby mierzyć upływ czasu, a po okresie, który oceniam na trzy minuty i dwadzieścia jeden sekund, biały szum w moim hełmie cichnie. Rozlega się głos kapitana Montrose'a:

- Ćwiczenia zakończone. Wszyscy uczestnicy zostają odblokowani. Spotkanie w centrum dowodzenia za dziesięć minut.

Jednocześnie budzą się moja nakładka i wyświetlacz przyłbicy. Włącza się noktowizja. Martwa siostra ulega odblokowaniu i ponownie mogę ruszać kończynami.

Spoglądam w górę i widzę nad sobą dwóch żołnierzy w rynsztunku. To nie Tran ani Logan. Proporcje nie takie. Zatem nieprzyjaciel. Wynajęci zabójcy. Mapa oddziału potwierdza anonimowość wrogów, oznaczając ich pozbawionymi nazwisk pomarańczowymi kropkami.

Ten niższy, bliższy mnie, wyciąga dłoń w rękawicy, objętą do połowy przez szkielet rozpór. Symboliczny gest, jeśli zważyć na wsparcie zapewniane mi przez martwą siostrę. To gest zaufania. Chwytam tę rękę i wstaję na równe nogi, korzystając z mocy własnego rynsztunku.

Wrogi żołnierz odzywa się przez gen-kom:

- Przykro mi, że cię tak załatwiłam, Shelley. Nie wiedziałam, że uczestniczysz w tej grze.

Jaynie Vasquez.

Ja pierdolę.

Od pierwszego dnia szkolenia w PGB kładzie się nacisk na koordynację. Chodzi o to, żeby nauczyć się funkcjonować jako płynnie działający, potrafiący się adaptować oddział, którego każdy żołnierz jest wykorzystany zgodnie z jego najlepszymi możliwościami w ramach struktury grupy oraz misji. W wyjątkowo stresującym środowisku bitewnym sprawdza się to wyłącznie wtedy, gdy ufamy zdolnościom innych i wierzymy w lojalność. Nie podważamy tego zaufania, szkoląc się jedni przeciwko drugim. Nigdy. W koszarach nie zawsze panuje zgoda, ale w terenie jesteśmy zawsze po tej samej stronie.

Jednak Jaynie nie jest już po mojej stronie.

- Co ty tutaj robisz? - pytam. Mówię poza gen-komem, gdyż nie mamy wspólnej sieci łączności.
- Nie wiedziałeś, że będę tutaj? - odpowiada ostrożnym pytaniem.

Za mną ktoś się porusza. Tylna kamera hełmu pokazuje Logana, który się podnosi z podłogi.

- Nie. Sądziłem, że zajmujesz się swoim projektem marsjańskim.
- Karin ci nie mówiła? Zostaliśmy uziemieni.
- Racja. Rzeczywiście mi powiedziała. - Jedna dobra wiadomość. Patrzę na żołnierza stojącego za Jaynie. - Roman?
- Tak jest, sir.
- Wystąpiłaś przeciwko mnie?
- Nie wiedzieliśmy, że to pan, sir. Spodziewaliśmy się formacji nieregularnych. Nikogo innego.

- Kto jeszcze jest tutaj? Fadul?
- Jest na zewnątrz. Escamilla i Dunahee nie uczestniczyli w tych ćwiczeniach. Nadal czekają na zgodę lekarza.

Buzują we mnie resztki adrenaliny i paniki. To nie poprawia mi nastroju. Tak jak nasilające się przekonanie, że wszyscy zostaliśmy wrobieni.

Włączam gen-kom.

- Kanoa?

Nie ma odpowiedzi.

- Kanoa, musisz potwierdzić, kto...

Ponownie odzywa się Montrose:

- Kapitanie Shelley, ma się pan natychmiast zgłosić w dowództwie na rozkaz pułkownika Abajiana.

To potwierdzenie, którego potrzebuję.

- Pułkownik Abajian może się pierdolić, kapitanie. Nie bawię się w takie gierki. Skończyłem z tym.

Odwracam się, żeby odejść. Logan usuwa mi się z drogi, gdy ruszam na zewnątrz.

Światła księżyca jest dosyć, żebym widział bez pomocy noktowizji. Idę więc w górę po schodach i zdejmuję hełm. To naruszenie regulaminu, ale, jak powiedziałem, skończyłem z tym, kurwa. Nie bawię się już dłużej w gierki Abajiana.

Na szczycie schodów czeka Tran.

- Daj spokój, Shelley. Jesteśmy GRK. Nie możesz...

- Nie jesteśmy już GRK - odpowiadam. - Nie, skoro Abajian pociąga za sznurki.

Obchodzę Trana tylko po to, żeby drogę zastąpił mi inny żołnierz, który jest niższy ode mnie o stopę. Znam tylko jednego żołnierza PGB tego wzrostu.

- Cholera - szepczę. - Flynn?

Nie wiem, czego się po niej spodziewałem. Zdecydowanie nie tego, że wystrzeli swoim hakiem ramiennym, żeby złapać mnie za wspornik barku. Mandy jest w gorszym nastroju ode mnie. Używa całej masy swojego ciała i całego wspomaganie martwej siostry, żeby wytrącić mnie z równowagi. Niemal się przewracam na ziemię, kiedy ciska mnie na maskę samochodu porzuconego przy krawężniku. Upuszczam hełm, ale jakoś udaje mi się ochronić głowę przed uderzeniem. Wydaje mi się, że wsporniki pleców zostawiają wgniecenie na aucie, ale nie oglądam się. Przetaczam się i ląduję na stopach. Potem cofam się w głąb ulicy, ściskając nadal ztkh.

- Cholera jasna, Flynn! Odjebało ci?

- To panu odjebało! - krzyczy piskliwie jak nastolatka, chociaż musi mieć już teraz ze dwadzieścia lat. — Zdradził pan nas, kurwa, kiedy pan nas zostawił, poruczniku. Pozwolił pan nam myśleć, że zginął. Zginął ze wszystkimi innymi! Gnojek z pana! Jest pan zwykłym pierdolonym gnojkiem!

To nie jest moja najlepsza noc.

W tym momencie Jaynie znajduje się już u szczytu schodów.

- Odpuść, Flynn!

Mandy ją ignoruje. Rusza ponownie na mnie, ale przynajmniej Tran jest nadal po mojej stronie. Przechwytuje Flynn, posługując się tą samą techniką, jakiej ona użyła przeciwko mnie. Złapawszy ją za rozporę ramienną, ciska na ścianę domu. Potem Jaynie wkracza między nas i odpycha Trana na bok.

- Flynn, chcesz tę robotę, czy nie?

Jeśli Mandy odpowiada, to ja tego nie słyszę. Jednak Jaynie ją puszcza. Flynn się prostuje, hełm ma zdjęty, piorunuje mnie wzrokiem. Nie nosi neuroskalpu. Jaynie musiała ją namówić do zrezygnowania z niego. W blasku księżyca jej włosy, mokre od potu i odrośnięte do krótkiej szczeciny, są białe.

- Powinien był pan, kapitanie, zabrać mnie, kurwa, ze sobą.
- Zrobiłem, co musiałem, Flynn.

Wzdrygam się na dźwięk głosu Fadul, który nieoczekiwanie rozlega się tuż za moim uchem:

- Jest tylko dzieciakiem, na litość boską. Mogłeś jej przynajmniej powiedzieć, że jest ci, kurwa, przykro.
- Nie jest. - Flynn mogłaby już nie żyć, gdybym wciągnął ją do GRK.

Fadul mija mnie, podnosi mój hełm i wciska mi go w brzuch. Oczywiście go biorę. Nie mam wyboru.

- Gen-kom właśnie się zaktualizował. Kanoa się zgłosił. Powiedział, żebyś wsadził hełm na łeb i zabierał dupę do centrum dowodzenia, gdziekolwiek to, kurwa, jest. Uważa, że masz problem ze swoim okablowaniem. Jakby mnie kto pytał, problem sięga zdecydowanie głębiej.

Sądzę, że Fadul przypuszczalnie ma rację, ale nie wkładam hełmu i blokuję nakładkę, żeby trzymać Kanoę z daleka od siebie, bo skończyłem z tym.

Wracam między ruinami, niosąc hełm w jednej ręce, a ztkh w drugiej. Noc jest widna i zimna, a wiejska okolica oblana księżycowym blaskiem. Jest pięknie. I tylko półtora kilometra drogą do centrum dowodzenia, a nasz

dom stoi zaledwie kilkaset metrów za nim. Dla żołnierza piechoty to tyle, co nic.

Logan dogania mnie, gdy mijam pierwszy kwartał domów. Zaskakuje mnie tym, że także zdejmuje hełm. Rzadko się widzi, żeby łamał zasady.

- Wracamy.

Oglądam się i widzę, że wszyscy są w ruchu, ciemne kształty na tle srebrnego światła. Tran rozmawia z Roman i Fadul. Jaynie idzie w towarzystwie Flynn. Wszyscy mają hełmy na głowach, ale teraz, gdy wiem, kim są, łatwo ich zidentyfikować.

- Shelley, musisz włożyć hełm. Gen-kom się zaktualizował. Jesteśmy teraz jednym oddziałem.

- Nie, jesteśmy skończeni. GRK jest skończona. Nie możemy współpracować z Abajianem, który rozpierała system.

- Nie jesteśmy skończeni.

Zatrzymuję się i odwracam do niego.

- Chcesz zostać tutaj? To twój wybór. Ja odchodzę. Za dużo poświęciłem, żeby znosić cierpliwie pierdolenie Abajiana, który porzucił nas w terenie, zamknął w areszcie ochronnym, zabrał mi połowę żołnierzy i skierował ich przeciwko mnie jako wrogów. Jeśli chcesz w tym uczestniczyć, Logan, oddział jest twój. Przyjmij awans połowy. Dowodzisz, bo ja z tym skończyłem. - Do tej pory reszta oddziału dogoniła nas, ale ignoruję ich. Odwracam się i zaczynam iść. - Zamierzam po prostu przebrać się w cywilki, a potem znikam.

Nie powinno być trudno złapać okazję do Berlina. Znajdę ambasadę amerykańską, każę im wydać mi paszport, a potem wracam do kraju.

- Marzysz.

Gdzieś tam jest Delphi. Postanawiam ją odnaleźć, nawet jeśli ułożyła sobie życie.

Logan znowu idzie za mną.

- Wojna się nie skończyła.
- Wiem o tym, kurwa! Nie potrafię jednak walczyć bez elementu zaufania, a nie ufam Abajianowi. Wysłał nas przeciwko towarzyszom broni. Co to, kurwa, było?
- Nie wiem.

Zatrzymuję się i patrzę na Jaynie, która idzie kilka metrów za nami.

- I co, do kurwy nędzy, robią tutaj Vasquez i Flynn?
- Zostały włączone do 7-1.
- Jaynie! Czy to oznacza, że jesteście po naszej stronie?

Zatrzymuje się.

- Nie wiem, Shelley. A co to za strona?

Oddział gromadzi się wokół niej. W świetle księżyca są szeregiem sylwetek; w matowoczarnych powierzchniach ich przyłbic nie ma nic ludzkiego, a ja nagle nie jestem już pewien, czy potrafię odróżnić jedno od drugiego. Nawet Flynn. Części zamienne przeniesione na drugi koniec świata przez jestestwo, którego interesy pokrywają się z naszymi jedynie częściowo.

- Dlaczego tutaj jesteś, Jaynie? Dlaczego ty i Flynn w tym uczestniczycie? Dużo wody upłynęło od chwili, gdy zostaliście cywilami.
- Nigdy nie doszło do tego - odpowiada Flynn.
- Wojna zrobiła się osobista - stwierdza Jaynie.

Kanoa słusznie zauważył, że mam problem z okablowaniem. Prawda, że sam go na siebie ściągnąłem, ale to wciąż problem. Gdy tylko Jaynie wypowiada słowo „osobista”, mój mózg wchodzi na nadbieg i wiem, wiem

to na pewno, że ma na myśli Delphi, że Delphi coś się stało. Skórę oblewa mi gorąco, serce galopuje i muszę zapytać, omijając ssącą, pustą nieobecność:

- Kto?

- Wiesz, kim jest Jana Semakowa?

Ogarnia mnie uczucie ulgi. Widzi to na mojej twarzy; nie musi pytać o powód.

- Karin nic nie jest. Na razie.

- Dorwali Rawlingsa — warczy Flynn.

Cholera. Pułkownik Trevor Rawlings był pompatycznym starym pierdzielem, z którym nie całkiem się zgadzałem, ale chciał jak najlepiej dla kraju i był integralnym uczestnikiem misji, która naprawdę była ważna dla świata.

- Rawlings był pierwszy - wyjaśnia Jaynie. - Został zabity niemal trzy tygodnie temu. Nawet nie wiedzieliśmy, że to był zamach. Reakcja alergiczna. Zdarza się, nie? Ale gdy umarła Jana, już wiedzieliśmy. To tylko kwestia czasu...

- Widziałem listę ofiar.

- To jedynie kwestia czasu, zanim wszyscy się na niej znajdziemy. Sądziłam, że to jest Czerwień...

- A jest?

Waha się. Potem mówi:

- Nie sędzę, bo inaczej nie byłoby mnie tutaj. Ludzie Abajiana twierdzą, że wiedzą, kto się za tym kryje - albo tak się im wydaje.

- To dlatego tutaj jesteś? Ścigasz anioła śmierci? To jest cel misji?

- Oficjalny cel - potwierdza Jaynie, dając mi jeszcze jeden powód do pogardzania Abajianem. Nie zająknął się, kurwa, ani jednym słowem na temat powodu mojej obecności tutaj, ale poinformował o tym Jaynie.

Oczywiście musiał, żeby ją skaptować.

- Ta misja musi być ściśle tajna - dodaje Vasquez. - Poza budżetem, przeprowadzona przez duchy.

- To znaczy przez nas - wtrąca Fadul. - Grupę Reagowania Kryzysowego. Bo głównie nie przywiera do duchów.

- Jesteś nadal zdolna do służby? - pytam Jaynie.

- Myślę, że Abajian sprawdzał to dzisiejszej nocy.

Być może.

- Wzięłam przykład z Carla Vandy - mówi dalej. - Ja, Flynn i Karin założyłyśmy firmę ochroniarską. Trenujemy cały czas. Myśl o tym jak o „Tajnej Strzale 2”. Wchodzisz w to, czy pojedziesz raczej stopem do Berlina?

Wzruszam ramionami.

- To będzie nasza misja tylko wtedy, gdy Czerwień ją wesprze... A Abajian się wycofa.

- Włóż hełm.

Robię to. Gen-kom mnie loguje. Ikony żołnierzy szeregują się u spodu pola widzenia. Jest nas dziewięcioro, gdyż Escamilla i Dunahee są także podłączeni, chociaż ich stan jest zaznaczony na brązowo - niedopuszczeni do służby. Zerkam na mapę oddziału. Przebywają w centrum dowodzenia.

- Wygląda na to, że wśród nas jest pani najstarszym stopniem oficerem, ma'am.

Niski, groźny śmiech Fadul dociera do mnie przez system audio hełmu.

- Cholera, Shelley. Wszyscy wiedzą, że Vasquez nie jest tak szalona, jak ty. Są spore szanse na to, że pożyje dużo dłużej.
- Pieprzysz, Fadul. Vasquez się wydaje, że poleci na Marsa. Czy można być bardziej szalonym?

Martwe siostry zachęcają do wykonywania długich, sprężystych kroków, dzięki czemu — chociaż tylko idziemy -w kilka minut docieramy do centrum dowodzenia. Budynek jest ciemny i wygląda na opustoszały, ale kiedy podchodzimy, zamek brzęczy i odblokowuje się, a drzwi frontowe się uchylają, rzucając na ziemię wąską smugę światła, zieloną w noktowizji. Fadul idzie pierwsza. Wchodzę za nią do słabo oświetlonego wnętrza i zdejmuję hełm z głowy, gdy tylko znajduję się w środku. Żandarm w gnatach, z ztkh na piersi, stoi w lobby na straży, tak jak za pierwszym razem, kiedy byłem tutaj.

Kanoa czeka na nas na progu mrocznego korytarza. Są z nim Escamilla i Dunahee; wszyscy trzej w mundurach potowych. Przechodzę przez lobby, wymieniam z moimi żołnierzami powitalne okrzyki i pozdrowienia stuknięciami pięści, a potem zwracam się do Kanoi.

- Musimy się pozbyć Abajiana...
- Nie tutaj - przerywa mi. - Nie teraz. Nawet nie przez gen-kom. - Podnosi głos, żeby się zwrócić do całego oddziału: -Zdejmijcie rynsztunek. Zostawcie go tutaj, razem z bronią. Żandarm dopilnuje, żeby sprzęt był bezpieczny.

Słuchamy go i odpinamy się od martwych sióstr, po czym składamy szkielety w pakunki poręczne do niesienia. Ustawiamy je porządnie pod ścianą korytarza, z nałożonymi na nie kamizelkami kuloodpornymi, hełmami na szczycie, a ztkh opartymi z prawej strony. Razem siedem kompletów.

Idziemy za Kanoą korytarzem w kierunku oświetlonych drzwi sali odpraw. W środku jest pięć rzędów po sześć foteli zwróconych w stronę

stołu na niewielkim podwyższeniu; z boku stoi mównica, a z tyłu znajduje się monitor projekcyjny. Przy jednym końcu stołu siedzi Cory Helms, zdradziecki współpracownik wywiadu GRK 7-1. Nie sądzę, żebym mu szybko wybaczył. Drugie krzesło, bliżej podium, jest wolne.

Na mównicy stoi kapitan Montrose i naradza się z porucznik Ashman, oficer wywiadu, która zjawiała się w naszym domu, żeby przesłuchać nas w związku z ostatnią misją. Kiedy wchodzimy, ona podnosi wzrok i przygląda się nam sceptycznie.

- Proszę siadać - mówi.

Jedno miejsce w czwartym rzędzie jest już zajęte. Wślizguję się tam i siadam obok Leonida Sierguna.

- Gdzie się podziewałeś, do diabła? - pytam go.

Ma na sobie czarną kurtkę, a siwe włosy są świeżo ostrzyżone na zapalną. Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć; oczy pod krzaczastymi brwiami patrzą surowo.

- Byłem w miejscu planowanej misji, odnawiałem stare przyjaźnie i czyniłem przygotowania. Liczę, że nie na próżno. Czy twój bóg wyznaczył cię do tej misji?

- Nie wiem - przyznaję.

Reszta oddziału przechodzi do przodu i zajmuje większość miejsc w pierwszym i drugim rzędzie. Fadul stanowi wyjątek. Wsuwa się do trzeciego rzędu i siada o jedno miejsce po przekątnej ode mnie. Drzwi za nami zatrząskują się z hukiem i Kanoa przechodzi obok nas, kierując się do pierwszego rzędu.

- Przyjąłem twoją sugestię - mówię Leonidowi. - I zrezygnowałem z bezpośrednich aktualizacji.

Unosi brew. Nie rozumie, o co mi chodzi. Nie do końca. Kiwa jednak zdawkowo głową, po czym kieruje uwagę z powrotem na podium.

- Kapitan Montrose wykonał lwią część planów związanych z tą operacją
- mówi cicho. - To kompetentny oficer.
- A Abajian?

Słyszę sceptyczne chrząknięcie.

- Jestem pewny, że jest zręcznym politykiem.

Uśmiecham się, opieram wygodnie i krzyżuję ramiona na piersi.

- Polityka może być użyteczna.
- Bardzo.
- Tak jak mniej aktywny styl przywództwa.

Fadul obraca się, nie robiąc tajemnicy z tego, że śledzi naszą rozmowę; w jej jasnych oczach widać rozbawienie.

- On ci nie ufa, Shelley - mówi Leonid tym samym cichym głosem. - Nie ufa GRK 7-1. Ale zebrani tutaj żołnierze znani są z tego, że dokonują rzeczy niemożliwych, a jemu powiedziano, że ma dopilnować, żebyś przyjął tę misję.
- Powiedziano mu? Kto? Sądziłem, że to zamknięty krąg wtajemniczonych.
- Abajian służy waszej prezydent. To interesujące, nieprawdaż? Ty nie ufasz jemu. On nie ufa tobie. Ale prezydent waszego kraju ufa wam obu. Kto się myli?

Fadul się uśmiecha i odwraca z powrotem ku frontowi sali. Marszczę brwi. Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Przed nami kapitan Montrose opuszcza podium, zwalniając je dla porucznik Ashman, która patrzy przez moment z ukosa, jakby wysłuchiwała wiadomości przekazanej jej za pośrednictwem wizora.

Wraca spojrzeniem do zgromadzonych: ośmioro z GRK oraz Jaynie,

Flynn i Papa.

- Przybył pułkownik Abajian, który dołączy do nas niebawem. Tymczasem chciałabym rozpocząć tę odprawę od podkreślenia, że nie znamy ani pełnego zasięgu, ani głębokości spenetrowania przez wroga naszej własnej struktury dowódczej, co jest powodem wykorzystania sił nieregularnych. Ta operacja musi pozostać tajna i całkowicie niewidzialna dla wszystkich...

Zamek drzwi za nami szczeka głośno. Podskakuję gwałtownie, sięgam odruchowo po pistolet, którego nie mam przy sobie, wstając jednocześnie i odwracając się na spotkanie wchodzącego.

Drzwi się otwierają. Do pomieszczenia wkracza Abajian. Piorunujemy się wzrokiem. Idzie na przód sali. Zaczynam siadać, ale potem dociera do mnie, że pułkownik nie jest sam. Za nim wchodzi Delphi. Przytrzymuje drzwi na tyle długo, żeby się przez nie wślizgnąć, a potem pozwala się im zamknąć ze stukotem.

Ma na sobie biały sweter i szare spodnie. Przez ramię ma przerzucony płaszcz. Blond włosy są zebrane w koński ogon, a przezroczysty wizor niemal nie zasłania jej jasnoniebieskich oczu, zwróconych na mnie.

Z przodu porucznik Ashman podejmuje swoją przemowę:

- Ta operacja - powtarza - musi pozostać tajna... - Urywa. - Kapitanie Shelley?

Oglądam się. Jakbym patrzył w słońce i musiał odwrócić wzrok.

- Tak, pani porucznik?

- Chcemy rozpocząć naradę, kapitanie. Byłby pan łaskaw dołączyć do nas?

Siadam, nie patrząc za siebie. Myślę, że to było złudzenie. Halucynacja eksplodująca w moim okablowanym łbie.

- To bardzo ważne - ciągnie porucznik Ashman - żeby operacja

pozostała całkowicie tajna dla wszystkich spoza tego pokoju aż do momentu rozpoczęcia akcji. Nie możemy zaufać nikomu innemu, gdyż każdy może się okazać agentem spiskującym przeciwko obecnemu rządowi i demokratycznej przyszłości naszego kraju.

Halucynacja, której doświadczam, nie jest wyłącznie wzrokowa. Słyszę ją za plecami, gdy się przesuwam, żeby zająć miejsce w ostatnim, wolnym rzędzie. Jest także namacalna. Wzdrygam się, gdy jej dłoń ściska mi bark.

- Vasquez chce, żebym była jej opiekunką - szepcze.

Sięgam do tyłu i kładę dłoń na jej ręce, zastanawiając się, ile razy mogę przeproszać.

Ale nie po to przyszła tutaj.

Ściska mnie ponownie, a potem się odsuwa.

Spokój, polecam neuronetce. Zablokuj to. Urządzenie słucha mnie, zsyłając chłodny, jasny, analityczny stan ducha, oblewający mózg; nastrój, który odzwierciedla zasadę, zgodnie z którą żyję: „Misja jest najważniejsza”.

To nie Czerwień szepcze mi do głowy; to wyłącznie ja sam.

Misja jest najważniejsza.

To mózgowy relief wykuty w mojej głowie przed wielu laty.

Pierwszym elementem prezentacji jest nagranie wideo prezydent Monteiro.

Chodzi tam i z powrotem przed szarym, stalowym biurkiem na tle pozbawionej okien, betonowej, niepomalowanej ściany. Monteiro jest po pięćdziesiątce, biała, ma krótkie blond włosy i brązowe oczy, które zaczynają sprawiać wrażenie nieco zmęczonych. Ubrana w białą bluzkę i szare spodnie wygląda szczuplej, niż dawniej.

Po dwóch nawrotach zatrzymuje się gwałtownie i zwraca spojrzenie do kamery.

- Nagrywam to wideo w miejscu, które jest uważane za bezpieczny schron. Żadnych szpiegów. Żadnych urządzeń podsłuchowych. - Uśmiecha się. - Nic bardziej nie rozbudza podejrzliwości wrogów, jak dobrze strzeżona tajemnica, prawda?

Zaczyna znowu chodzić, z rękami na biodrach, usta ma częściowo skrzywione.

- Stwierdzę oczywistość i powiem, że każda administracja rządowa popełnia błędy. Przyjmując to stanowisko, zakładałam, że dwadzieścia cztery lata służby wojskowej nauczyło mnie cynizmu w wystarczającym stopniu, ale półtora roku w roli prezydent Stanów Zjednoczonych przekonało mnie, że nawet się do tego nie zbliżyłam.

Zwraca się ponownie do kamery.

- Wojny nie są już toczony między państwami. Świat pokrywają powłoki organizacji, które nie mają nic wspólnego z granicami krajów. Niektóre postępują niezdarnie, na wzór prowadzenia przez Radę Shalin operacji „Pęknięte Niebo”, co nie znaczy, że łatwo je pokonać. Nie wtedy, gdy mają szeroki zasięg, a ich działania są rozproszone i ulotne jak dym, i gdy nie obchodzi ich, kto lub co ucierpi z ich powodu. Jamesie Shelleyu, Rayu Loganie i Alexie Tranie, zasługujecie na wdzięczność narodu za wasze ostatnie akcje, ale muszą one pozostać nieznane, więc wszystko, co mogę wam zaoferować, to moje podziękowania i wdzięczność.

Nie odwracając się, Fadul pokazuje mi zadarty kciuk. Kpiąco. Wiem, że to drwina, bo to Fadul.

- Są jednak gorsi wrogowie. Istnieje klika dużo bardziej wyrafinowana od spiskowców kryjących się za operacją „Pęknięte Niebo”. Nie reprezentują żadnego konkretnego kraju, nie wyznają określonych poglądów czy filozofii. Ich celem jest konsolidacja władzy drogą ustanowienia marionetkowych rządów na całym świecie. W związku z tym prowadzą wojnę w nowym stylu, cichą, bardzo ostrożną wojnę polegającą

na sianiu zamętu na wielu frontach. Wojna w Arktyce to symptom. Tak jak „Pęknięte Niebo”. No i Sierpień-19. Sierpień-19 to kryptonim nadany przez nas cichym zamachom, które przetrzebiły rządy wszystkich wielkich państw. W trwającym ataku na przywódców świata a przynajmniej w tych częściach globu, które nie są jeszcze w służbie wroga, zginęło już ponad dwieście sześćdziesiąt osób. Skutek tych napaści jest tragiczny nie tylko dlatego że giną ludzie, ale także ze względu na strach i podejrzliwość, jakie zatrują pozostałych. Nawet członkowie mojej administracji kwestionują wzajemnie swoją lojalność tylko dlatego, że wciąż żyją. Z innych rejonów świata dochodzą pogłoski o czystkach. Nie doszliśmy jeszcze do tego, ale jeśli będzie to trwało, spotka i nas.

Zaciska na chwilę powieki i kręci głową. Kiedy jednak otwiera oczy, spojrzenie ma niezachwiane.

- Jesteście dzisiaj tutaj właśnie z powodu Sierpnia-19. Powierzam to nagranie pułkownikowi Abajianowi, dzięki czemu mogę osobiście poprosić was wszystkich, żebyście popełnili czyn nielegalny - kolejny bezprawny akt w służbie waszego kraju. Przyznaję, że w świetle moich wcześniejszych przemów o dominacji prawa, skierowanych pod adresem niektórych z was, jest to obłudna prośba. Jednak nasza republika, tak jak wiele innych rządów, została zaatakowana. Pułkownik Abajian przedstawi scenariusz misji. Nie będzie kar ani aresztowań, jeśli nie zgodzicie się jej przyjąć. Powiem tylko, że jeśli na zewnątrz wydostanie się choćby jedno słowo na temat tego, co tutaj planujemy, zanim będziemy gotowi do uderzenia, to trzeba będzie słono za to zapłacić.

Nagranie kończy się nagle i widać czarny ekran.

- Skasujcie to - poleca pułkownik Abajian. - I zapiszcie na tym nowe pliki.

Porucznik Ashman przedstawia ogólny zarys zagrożenia:

- Substancja stosowana przez Sierpień-19 z tak wielką skutecznością to broń molekularna. Rodzaj bioaktywnego alergenu - możecie o tym myśleć

jak o sztucznym pyłku kwiatowym - zaprojektowanego bardzo precyzyjnie do wywołania ostrej reakcji alergicznej u konkretnego osobnika; powoduje szok anafilaktyczny, a w rezultacie śmierć na skutek uduszenia. Podczas każdego ataku zastosowano nieznacznie odmienny wariant. Żeby broń była niezawodna, jej twórca musi zawczasu znać genotyp ofiary. Do ataku wykorzystuje się systemy wentylacyjne. Czasami klimatyzację, czasami następuje rozpylenie aktywnego pyłu bezpośrednio w pobliżu celu. Chociaż broń jest bioaktywna, nie jest żywym organizmem, nie jest zaraźliwa, nie może się reprodukować ani rozprzestrzeniać poza obszar pierwotnego uwolnienia. Jeżeli ktoś nie jest konkretnym celem, to nie ma powodu się jej obawiać.

- Chyba że uniwersalizują kod - mruczy Leonid.

Fadul zerka na mnie przez ramię, napotykać mój wzrok.

Jestem bardziej niż kiedykolwiek pewny, że to jest to, czego szukaliśmy podczas ostatnich operacji kontrolnych.

- Dlaczego nie zastosować broni mniej wybiórczej? - pyta porucznik Ashman. - Odpowiedź brzmi oczywiście tak, że Sierpień-19 mógłby to zrobić, ale nie czyni tego ze względów „humanitarnych”. Przekaz propagandowy jest jasny: niepopularnych przywódców można usuwać selektywnie, natomiast wykorzystywani przez nich obywatele nie zostaną skrzywdzeni, a nawet będą mogli wiwatować z tego powodu, przynajmniej póki cały system się nie rozleci. Sądzymy, że broń jest dziełem raczej biohakerów samouków, a nie genetyków o wykształceniu akademickim, co czyni owych osobników trudniejszymi do zidentyfikowania. Wydaje się, że to ludzie do wynajęcia, motywowani chęcią zysku, a nie wyznawanymi poglądami czy filozofią. Ludzi tych oraz ich bazy operacyjnej poszukiwaliśmy przez ponad dwa miesiące. Uważamy, że w końcu udało się nam ustalić ogólną lokalizację laboratorium, w którym odbywa się większość prac. Przełom został osiągnięty dzięki informacjom zdobytym podczas operacji „Jałowe Rozstaje”, a zwłaszcza dzięki danym zapisanym w wizorze Issama Saliba. Nie mamy wątpliwości, że pan Salib stał się celem zamachu ze względu na jego wiedzę o lokalnie zintegrowanych sztucznych inteligencjach, chociaż nie sądzymy, żeby był bezpośrednio zaangażowany w Sierpień-19. Lokalizacja ośrodka Sierpnia-

19 umykała nam tak długo, dlatego że była ukrywana przez L-AI. Kiedy to zrozumieliśmy, mogliśmy zmodyfikować nasze algorytmy poszukujące, żeby uzyskać pożądany efekt. Uważamy teraz, że główny ośrodek znajduje się na Bliskim Wschodzie, maskowany przez codzienny chaos panujący w centrum miasta nawiedzanego od dziesiątków lat przez konflikty zbrojne i destabilizowanego przez niekontrolowany wzrost populacji.

- O kurwa - szepczę. - Czy ona mówi o Bagdadzie?

Siedzący obok mnie Leonid kręci głową.

- Blisko. Chodzi o Basrę.

Pytam encyklopedię. Odczytuje mi artykuł: „Basra, miasto w południowym Iraku, nazywane niegdyś Wenecją Wschodu; szacunkowa liczba mieszkańców - sześć milionów, w większości poniżej trzydziestego roku życia...”.

Ashman wyjaśnia, że nadal gromadzimy materiały wywiadowcze w celu precyzyjnego ustalenia miejsca, w którym znajduje się laboratorium, ale to trudne zadanie w metropolii podzielonej na strefy wpływów, których mieszkańcy nauczyli się dawno temu nie wtykać nosa w cudze sprawy.

- Nie wolno nam wyjawiać niczego, co wiemy - ostrzega porucznik Ashman. - Jakakolwiek aluzja, że jesteśmy bliscy zlokalizowania tego laboratorium, może zmusić nasze cele do ucieczki albo skłonić inne siły do zastosowania działań wyprzedzających - uderzeń pocisków manewrujących, a nawet do interwencji nuklearnej. Wszyscy mają napięte nerwy: Rosjanie, Izraelczycy, Irańczycy, koalicja rekinów, a nawet nasze własne siły zbrojne. Zginąć mogą tysiące ludzi, a my wciąż nie będziemy wiedzieli, kto należy do Sierpnia-19. A to ważne, żebyśmy się tego dowiedzieli.

Zaplanowaliśmy misję o kryptonimie „Most Świtu”. Do przeprowadzenia ataku na bazę Sierpnia-19 potrzebny jest mały oddział uderzeniowy, którego głównym celem będzie zdobycie podstawowych informacji wywiadowczych na temat tego, kto finansuje działalność laboratorium, kto zapewnił sieć dystrybucyjną i kto stworzył listę ofiar. Koniecznie

musimy uzyskać te dane. Jeśli nie zdobędziemy ich, jeśli tylko zniszczymy tę bazę, to spiskowcy na pewno zorganizują ponownie laboratorium w innym miejscu.

Oczywiste jest, że przeprowadziliśmy już atak opisany przez porucznik Ashman. To ćwiczenia, które odbyliśmy dzisiejszej nocy - zlokalizowanie ewentualnego laboratorium broni biologicznej, opanowanie go, potwierdzenie jego charakteru, zebranie danych wywiadowczych i przekazanie ich Dowództwu. Utrzymanie ośrodka do czasu, aż Dowództwo upoważni nas do zniszczenia go. I jest równie oczywiste, że skrewiliśmy tej nocy. W rzeczywistym świecie zostalibyśmy zrzućeni w mieście zamieszkanym przez sześć milionów ludzi, na którego ulicach, w pojazdach, we wszystkich oknach i bramach jest mnóstwo cywilów; w mieście, w którym wyszkoleni bojówkarze odbywają patrole wśród tłumu i w którym my nie potrafilibyśmy odróżnić dzieciaka bawiącego się bronią od wynajętego zabójcy gotowego wyeliminować każde ewentualne zagrożenie.

Porucznik Ashman schodzi z mównicy, ustępując miejsca pułkownikowi Abajianowi.

- Istnieje dodatkowa komplikacja — oświadcza pułkownik, patrząc wilkiem na pierwszy rząd słuchaczy, jakby prowokował ich do sprzeciwu.

- L-AI, znana lokalnie jako Naszira, która utrzymywała przez wiele tygodni nasz cel w ukryciu, funkcjonuje nadal. Uważamy, że powstała wcześniej od laboratorium i pierwotnie została stworzona do nadzorowania bezpieczeństwa w - historycznie rzecz ujmując - niebezpiecznej okolicy pustoszonej przez wojnę i terroryzm, której nadal grożą rywalizujące ze sobą bojówki. Naszira jest połączona z rozproszoną siecią nadzoru, do której należą kamery, mikodrony, sensory chemiczne i obserwatorzy. System odróżnia mieszkańców od obcych oraz ocenia aktywność w miejscach publicznych. Kiedy wykrywa podejrzane zachowanie, ogłasza alarmy odbierane przez większość lokalnych rezydentów, w tym przez miejscową bojówkę. Naszira oznaczy z pewnością wszelkie zachowania związane z „Mostem Świtu” jako wrogie, a my nie będziemy mogli nic na to poradzić. Nasza najlepsza taktyka polega na wykonaniu misji, zanim przeciwnik zdoła się zorganizować.

Ze swojego miejsca w głębi pomieszczenia przerywam pułkownikowi pytaniem:

- Znamy lokalizację Nasziry?

Abajian podnosi wzrok, odszukuje mnie w czwartym rzędzie i odpowiada na moje spojrzenie kamiennym wyrazem twarzy, który nie ujawnia niczego.

- Usiłujemy ją ustalić. Uważamy, że znajduje się w obrębie dzielnicy. Ale L-AI nie jest celem operacji „Most Świtu”.
- Ale bylibyście zainteresowani wszelkimi danymi, jakie udałoby się nam zebrać na jej temat?
- Informacje są zawsze pożądane, kapitanie Shelley.

Wywiązuje się dyskusja. Cory nie jest pewny, czy Czerwień nas wspiera. Kanoa twierdzi, że tak, bo inaczej nie bylibyśmy tutaj. Padają pytania i udzielane są odpowiedzi. Oceniane są różne taktyki. W tym wszystkim kryje się założenie, że GRK 7-1 przyjmie tę misję.

Czy kiedykolwiek odmówiliśmy?

Abajian, Kanoa i porucznik Ashman oceniają wartość danych wywiadowczych, rozważając możliwość, że posiadane przez nas informacje mogły zostać zmanipulowane przez lokalną AI, a ja wstaję, żeby wyjść. Gadanie nie przyniesie żadnej odpowiedzi. To będzie musiało poczekać, aż żołnierze znajdą się na miejscu. Dotykam barku Leonida.

- Przyślij mi swoje dane kontaktowe, żebym mógł zadzwonić w razie potrzeby.

Kiwa głową i odprawia mnie skinieniem ręki.

Wymieniam spojrzenia z Delphi, a kiedy wychodzę, przytrzymuję na kilka sekund otwarte drzwi, żeby mogła się wyslizgnąć za mną. Zamykam drzwi

z cichym szcęknięciem.

Korytarz rozjaśnia tylko blask padający z lobby, w którym na warcie stoi żandarm w rynsztunku.

Delphi trzyma nadal płaszcz na przedramieniu. Przyciska go do brzucha, jasne oczy wbija we mnie.

- Zamierzasz uczestniczyć w tej misji, prawda?

- Tak.

Chciałbym móc wziąć ją w ramiona, zaprowadzić do któregoś z wolnych pokoi w budynku i zetrzeć wszystkie te puste dni, które się nagromadziły między nami. Ale nie mogę. Zbyttno się oddaliła, i to jest moja wina.

Patrzy na mnie czujnie.

- Zapytałam cię wcześniej, czy jesteś więźniem. Nie jesteś, co?

- Nie. To była moja decyzja.

- W porządku.

Każe mi iść za sobą. Idziemy ku schodom prowadzącym do piwnicy. Kiedy spoglądam na nią pytająco, wskazuje żandarma i dotyka swojego ucha. Dzięki systemowi audio hełmu żołnierz może słyszeć wszystko, co mówimy. Schodzimy na dół. Delphi włącza światła. Jesteśmy sami w korytarzu przed drzwiami, za którymi zaledwie wczoraj był gabinet medyczny.

- Opowiedz mi, jak przeżyłeś rozbicie się *Lotusa*.

Opisuję jej w oszczędnych słowach mój długi upadek na Ziemię, a potem samotne godziny, które spędziłem w wodzie. Słucha, odwracając wzrok, co ułatwia mi zadanie.

- Szukałam cię - mówi potem. - Wiedziałeś o tym? Nie chciałam uwierzyć, że naprawdę nie żyjesz. - Śmieje się cicho z samej siebie. -

Teoretycznie szukam cię nadal. Mam uruchomiony program rozpoznawania ludzi, skanujący publiczne bazy danych w poszukiwaniu twojej twarzy... wszystko zamieszczone po tamtym dniu. Wiesz? Myślałam, że może cię zarejestrować kamera bezpieczeństwa albo pokażesz się w tle zdjęcia jakiegoś turysty. - Podnosi ramiona i opuszcza je w rytm cichego westchnienia. - Nigdy niczego nie znalazłam.

- Nie udzielam się zbyt. -
- Tylko praca cały czas?
- Mniej więcej.
- Masz kochankę, Shelley?
- Nie - odpowiadam błyskawicznie, bo chcę, żeby wiedziała, że nie mam nikogo, chociaż prawda jest nieco bardziej skomplikowana od krótkiego „nie”. - Nie tak, jak myślisz.
- Kto? - pyta.

Milczę. W ogóle o tym nie opowiadam. Stosunki seksualne w obrębie oddziału nie powinny się zdarzać. To jak przyznanie się do kazirodztwa.

- To było tylko fizyczne zaspokojenie. Kilka razy. Ona nie roi sobie żadnych planów. Niczego nie chce.

Nie pytam Delphi, czy ma kochankę. Nie mam prawa o to pytać. Żadnych żądań. Nie chcę wiedzieć.

- To coś jak kult, prawda? - pyta.
- Taa. Sądzę, że to słuszna opinia. Ale warto robić to, co robimy. To nie są durne popisy. To rzeczywistość.
- Wierzę ci.
- Sądziłem, że teraz nie będę już żył.

Nie wiem, dlaczego to mówię. Od razu tego żałuję. To brzmi jak wyznanie.

Mijają sekundy, podczas których przygląda mi się badawczo. Wyczuwam jej kłębiące się myśli, wyobrażam sobie korygowane odpowiedzi odzwierciedlające się w jej oczach, gdy analizuje mój stan psychiczny, wążąc prawdopodobieństwo, że gnębi mnie poczucie winy ocalałego, ciężar straszliwych czynów, których się dopuściłem, lub pragnienie śmierci, którego zawsze się wypierałem. Jednak moja wyobraźnia nie posuwa się wystarczająco daleko, gdyż Delphi mówi w końcu coś zupełnie niespodziewanego:

- Nadal cię kocham.

A potem odwraca się i odchodzi ku schodom, zarzucając po drodze płaszcz na siebie.

- Delphi... Karin.

Zatrzymuje się ze stopą na pierwszym stopniu i ogląda z wyrazem cierpliwości na twarzy. Nie oczekiwania. Nie żądania.

- Myślę, że to moja ostatnia akcja.

- To ma więcej niż jedno znaczenie, Shelley - zauważa. -Ale tym razem będę przynajmniej wiedziała.

Znika w górze schodów. Zostaję na dole; siedzę na podłodze, oparty plecami o ścianę, z nadgarstkami na kolanach, i zastanawiam się, dlaczego nie mam nigdy uczucia, że zrobiłem wystarczająco dużo.

Kanoa nie pozostawia mi wiele czasu na rozmyślanie. Po kilku minutach włącza się i mówi:

- Ruszamy.

Program w mojej głowie odlicza nadal wstecz do chwili zaniku wsparcia. Sądziłem, że w tym momencie będę walczył o to, żeby się utrzymać w

ryzach, odeprzeć ponury nastrój, który zwykł mnie nawiedzać, kiedy neuronetka nie działała. Mam ją jednak wciąż w głowie. Działa nadal. I, jak na ironię, panuję nad sobą lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, gdy system funkcjonował automatycznie.

Sterująca moją neuronetką AI przez dwa lata uczyła się, kim jestem, jak działam i czego chcę - i słucha mnie. Myślę: Zablokuj to, a ona zapewnia mi maszynową, chłodną, logiczną sprawność. Lubię być w tym stanie umysłu. Pielęgnuję go. Utrzymuję się w nim w tę ciemną zimną noc w drodze powrotnej do domu, który nie jest moim domem.

Pozostali żołnierze mojego oddziału są rozciągniętymi przede mną na drodze sylwetkami, na wpół widocznymi i zamglonymi, niosącymi swój ekwipunek. Obok mnie idzie tylko Kanoa. Milczy przez większość czasu, ale odzywa się, gdy się zbliżamy do kompleksu mieszkalnego:

- Musimy sprawdzić twoją neuronetkę. Nie działa zgodnie z protokołem.
- Nie - odpowiadam. - Jest w porządku.

Kobiety wyłamują się z szyku i idą w stronę swoich kwater. Escamilla i Dunahee kierują się ścieżką do innego domu.

- Zgłosisz się w ambulatorium - mówi Kanoa. - Ósma rano.

Nie czeka na moje kolejne zastrzeżenia, ale podąża śladem Dunaheego i znika w rozbłysku białego światła padającego z otwartych na krótko drzwi.

Myślę: Spokój. Zablokuj to.

O ósmej rano znowu jestem w piwnicy centrum dowodzenia i siedzę naprzeciwko lekarki, z którą widziałem się poprzednio. Nie jest neurologiem, korzysta więc z wirtualnej pomocy specjalisty, starszego białego mężczyzny o gęstych, siwych, starannie uczesanych włosach. Program rozpoznawania twarzy informuje mnie, że należał do zespołu, który wynalazł mikroczipy neuromodelujące oraz sterujące nimi

neuroskalpy - a później neuronetki.

Patrzy na mnie z czułością, uśmiecha się i kręci głową, jakby nie mógł do końca uwierzyć, że jestem realny.

- Kapitanie Shelley, dobrze wiedzieć, że plotki o pańskiej śmierci były jedynie przykrywką.

- Dziękuję panu.

- Tak. Cóż... Mam dobre wieści. Przeprowadziłem podstawowe testy diagnostyczne pańskiej neuronetki i okazuje się, że problem jest całkiem prosty. Ma pan uszkodzony odbiornik. Kiedy to naprawimy, będziemy mogli zaktualizować pańskie oprogramowanie. Potem wszystko powinno być w porządku.

- Jest w porządku.

Mówię mu o zmianach, których dokonałem: o programie zmniejszającym stopniowo do zera moje automatyczne wsparcie, o drobnym zabiegu chirurgicznym, przeprowadzonym na mnie przez Logana, który usunął odbiornik neuronetki.

Lekarka zrywa się z fotela i obchodzi biurko, żeby przyjrzeć się z bliska nacięciu na wpół ukrytemu teraz pod meszkiem czarnych włosów.

- Sądziłam, że to zaleczona rana odniesiona przez pana podczas ostatniej misji.

Neurolog wygląda na zaniepokojonego.

- Musimy wszczepić nowy odbiornik. Ryzykuje pan...

- Nic mi nie jest.

- Oczywiście uważa pan, że może sobie z tym poradzić. Rozumiem to. Ale wszystkie badania wskazują, że żołnierz pozbawiony wsparcia neurologicznego po długotrwałym używaniu...

- Nie jestem niczego pozbawiony. Nadal mam neuronetkę, która wciąż działa. AI nadal w niej funkcjonuje i dostaję od niej to, czego potrzebuję. Jednak nikt inny - nic innego - nie będzie mi już więcej mówiło, co mam myśleć.

Neurolog zadaje mi pytania. Odpowiadam na nie, przyznając, że nadal rozpracowuję pewne kwestie. Jest pod wrażeniem, jak dobrze sobie radzę.

- Nie badaliśmy takiej sytuacji. Jest po prostu zbyt niebezpieczna, bo nie pozostawia żadnego mechanizmu do przesłonięcia obsesji obiektu, z wyjątkiem wyczerpania mózgowego. Każdą emocję można zajeździć na śmierć. Rozumie pan? Przytłaczająca rozkosz, rozpacz lub gniew. Nie ma pan teraz systemu, który by to powstrzymał.

- Mam - odpowiadam. - To moja wola. To, kim jestem.

Nie ufa mi, że dam radę.

- Zamierzam zalecić przywrócenie pierwotnego systemu.

- A ja zamierzam odrzucić pańską rekomendację.

Wygląda na zaskoczonego.

- Nie wysuwam jej wobec pana, tylko pańskiego dowódcy.

- To formacja ochotnicza - wyjaśniam. - Pod względem prawnym jestem cywilem, co oznacza, że decyzja należy do mnie.

Kanoa dopada mnie, gdy wracam do kwater mieszkalnych bazy zarośniętą chwastami drogą. Spodziewam się maglowania. Wykładu o tym, dlaczego powinienem pozwolić, żeby Czerwień zapaściła mi na zawsze do głowy swoje elektroniczne paluchy, ale zamiast tego Kanoa spogląda na mnie ponuro i mówi ze swoją miną zmartwionego ojca:

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, co się dzieje? Gdybym wiedział, nie wysłałbym cię do lekarza.

Jego wyraz twarzy sugeruje, że mówi szczerze, co odbiera mi na chwilę mowę, a potem pozostawia w stanie rozpaczliwej potrzeby powiedzenia jakiejś właściwej półprawdy. Zanim jednak udaje mi się wydukać cokolwiek, Kanoa odpowiada sobie na własne pytanie:

- Nie ufałeś mi.
- Chyba nie. - A potem, gdyż nie mam zielonego pojęcia, dlaczego się nie wścieka, pytam: - Chcesz powiedzieć, że kryłbyś mnie?

Zanim odpowie, przygląda się pustym polom.

- Powiedzmy, że nie uznałbym tego za problem, więc nie zawracałbym tym głowy Dowódtwu. - Podchodzi bliżej. Ścisza głos. — Ponad rok temu zrobiłem to samo. Byłeś tak przywiązany do swojego hardware'u, że uważałem, że zaniepokoiłbyś się, gdybyś wiedział o tym. Nie domyśliłbym się, że sam rozważałeś podobny krok, i nie sądziłem, że poradziłbyś sobie z tym potem.

Uśmiecham się.

- Nie wierzyłeś we mnie?

Na jego twarzy pojawia się grymas gniewu.

- Jesteś pewny, że sobie poradzisz? Bywasz nieobliczalny. Niestabilny.
- Pracuję nad tym.

Owiewa nas podmuch zimnego wiatru; Kanoa pyta:

- Co cię skłoniło do tego?
- Plan misji Abajiana wymagał ode mnie jedynie przeprowadzenia zwiadu w PBO. Czerwień żądała zniszczenia bazy. To było samobójstwo. Cud, że uszliśmy z życiem.
- Widziałem raport Leonida Sierguna. Sądziłem, że przesadził.

- Nie. Papa był jedynym człowiekiem przy zdrowych zmysłach. Nie zamierzam już nigdy poprowadzić oddziału na samobójczą misję.
- Jasne. - Ruszamy dalej. - Jednak Abajian ma problem. Dostał kopię raportu medycznego. Gówno rozumie, jak funkcjonuje PGB. Chce cię wycofać z misji.
- Jeśli to zrobi, nie będzie żadnej operacji. Nie dostanie mojego oddziału.
- Zgoda. Pozwólmy, żeby to wyjaśnił pani prezydent.

Wyruszamy na misję w południe.

Idziemy jako jeden, dziewięcioosobowy oddział. Powinno być nas dość, żeby wykonać zadanie, ale jest ciężko. Stawiamy czoło armii bojowników. Opór jest symulowany: wyświetlane na przyłbicach projekcje, które wyglądają jak poruszające się postaci, błyski ognia wylotowego z luf, wybuchy granatów - wszystko okraszone odpowiednim tłem dźwiękowym. Potrzebujemy ciężkiej broni, żeby się przebić, ale ciężka broń jest niedozwolona ze względu na cywili, więc jej nie mamy. Nie docieramy do laboratorium.

Planiści postanawiają usunąć helikoptery, przedkładając skrytość podejścia ponad szybkość. Nocą wracamy pieszo. Tym razem zorganizowanie oporu zabiera przeciwnikom więcej czasu. W końcu jednak obrywamy, jak poprzednio.

Próbujemy ponownie przed świtem - spokojny wypad, który zamienia się w totalną napierdalankę. Kolejną szansę dostajemy w południe. Ten sam wynik, ale przynajmniej nabywamy wprawę we współdziałaniu.

Próbujemy dalej. W ciągu kilku następnych dni bojowa AI zmienia scenariusze. My zmieniamy taktykę. Spisujemy się lepiej, gdy działamy jako dwie grupy posuwające się wzdłuż równoległych przecznic. To zmusza obrońców do rozdzielenia sił i czyni ich mniej skutecznymi, ale i tak nie wdzieramy się do laboratorium.

- Nie pozwolą nam wygrać - stwierdza Tran, gdy wracamy na kwaterę - bo nie mają pojęcia, kurwa, jak to laboratorium wygląda naprawdę.

Śmieję się, ale wiem, że chodzi o coś więcej. „Cywile” -mówię. Chciałem, żeby to słowo zabrzmiało pogardliwie ale w syntetyzowanym głosie dźwięk jest dziwnie nijaki

- Komplikują wszystko.

Flynn obraca się do mnie.

- Cholera! Ty komplikujesz wszystko. Nienawidzę tego gównianego syntetycznego głosu. Dlaczego nie możesz mówić jak normalny człowiek?

Co mogę powiedzieć, do diabła? Nie jest to coś, o czym bym w ogóle jeszcze myślał.

Tran jest szybszy w udzieleniu riposty. „Milczenie jest złotem” - mówi. A potem odskakuje, gdy Flynn zamierza się na niego.

Jednak cywile to naprawdę problem. Iść na całego do ataku to jedno. Co innego, kiedy musisz strzelać obok przechodniów, z których część może nie być tak niewinna, na jakich chciałaby wyglądać. To dlatego nienawidzimy jebanych walk miejskich.

Chcemy zostawić po sobie znikome straty. Żadne z nas nie pragnie wdrzeć się do tego laboratorium po stosie trupów cywilów, ale zaczyna wyglądać na to, że dojdzie do handlu, wyboru, kto przeżyje, a kto zginie. Jeśli na liście Sierpnia-19 znajduje się nazwisko Delphi, Jaynie albo prezydent Monteiro, transakcja dojdzie do skutku.

Po prostu.

Sala medialna jest urządzona w podziemiach centrum dowodzenia. Każdego dnia przez wiele godzin odbywam wirtualne rekonesanse w dzielnicy, w której podobno jest cel, zapamiętuję układ ulic i położenie

budynków, okrążam kwartał domów, w którym rzekomo mieści się laboratorium, studiuję pod każdym kątem konfigurację terenu.

Obiekt to stara kamienica zajmująca cały kwartał. Ma dwa piętra i piwnicę. Chcemy wejść od strony południowej, gdzie znajduje się bezpośredni dostęp do podziemia. Alternatywna droga prowadzi przez frontowe drzwi budynku, za którymi musielibyśmy przejść przez małe lobby, żeby dotrzeć do wewnętrznych schodów.

Wchodzę do lobby, a potem wspinam się na pierwsze piętro, ale to wszystko, co mogę. Wirtualna wędrówka nie prowadzi do podziemia, gdyż nie dotarliśmy tam nigdy z żadną kamerą, ale mogę się dostać do niektórych sąsiednich budynków. Zapamiętuję, które z nich mają po kilkoro drzwi i gdzie można wejść z jednej, a wyjść z drugiej strony. Upewniam się, że znam drogę za dnia i po zapadnięciu ciemności, z noktowizją i bez.

Leonid operował wcześniej w tamtej okolicy. Dysponuje siecią współpracowników. Te powiązania pozwalają mu zorganizować trzy bezpieczne domy, które są posiadłościami otoczonymi wysokimi murami. Po wykonaniu misji mamy wybrać jeden z nich, dotrzeć tam jak najszybciej, a potem czekać, aż możliwa będzie ewakuacja.

Organizację tej ostatniej fazy operacji trzeba poprawić.

Sprzeczałem się o to z Abajianem, gdy tylko rozdał nam szkic planu misji.

- Nie działamy w ten sposób - powiedziałem mu, gdy spotkaliśmy się przy stole konferencyjnym z Jaynie, Kanoą, Leonidem i kapitanem Montrose'em. - Im dłużej przebywamy w jednym miejscu, tym bardziej jesteśmy zagrożeni. Musimy natychmiast zostać ewakuowani drogą lotniczą.

- I zostaniecie zabrani - obiecał Abajian - gdy tylko sytuacja się uspokoi.

Dowództwo się martwi. Jeśli w dzielnicy dojdzie do walk, śmigłowce staną się łatwymi celami. Kapitan Montrose był lakoniczny:

- Jeżeli w trakcie ewakuowania was z miasta wróg zestrzeli helikopter,

to nie będziemy w stanie tego zatuszować. Misja wyjdzie na jaw, a prezydent Monteiro będzie grozić usunięciem z urzędu.

Podobnie jak ja, także Jaynie była nastawiona sceptycznie:

- Możemy zostać schwytani w każdym momencie tej operacji.
- Tak, pani Vasquez, ma pani rację. Jednak w pobliżu celu będziemy mieli więcej możliwości zajęcia się wami.

Montrose nie chciał przedstawić tych opcji, co mi mówi że chociaż mogą one sprzyjać pani prezydent, to nie będą dobre dla nas.

- Jeśli ewakuacja lotnicza się opóźni, udajcie się po prostu do kryjówki. Zaopiekujemy się wami.

Naprawdę chciałbym w to wierzyć.

Jest wieczór. Kiedy oddział biegnie truchtem do hangaru, z nieba spada kilka płatków śniegu; jesteśmy w rynsztunku, gotowi do kolejnej próby. Światła, jak zwykle, są zgaszone. Kapitan Montrose czeka na nas w ciemności. Stoi przy tylnej klapie SUV-a, którym jeździ, ubrany w trencz, z wizorem wyposażonym w noktowizję.

- Chcę was przedstawić nowemu nabytkowi - mówi, gdy otaczamy go kręgiem. Odwraca się i otwiera klapę.

Dobrze, że nikt nie stoi za mną, bo napędzany przez martwą siostrę odskakuję w tył na dwa metry. Łąduję z ztkh przyciśniętym do barku, z palcem na drugim spuście broni, gotów posłać w tył auta serię granatów.

Montrose ucieka z linii ognia, a Kanoa odzywa się przez gen-kom:

- Zachować spokój!
- Co to, kurwa, tutaj robi?

Z tyłu SUV-a siedzi robotnik — czworonożny, bezgłowy, wyposażony w karabiny maszynowe mechaniczny potwór tego samego rodzaju, który zabił pułkownika Kendricka podczas misji „Brzask”. Straszidło z szarego tytanu wygląda jak uproszczony szkielet zwierzęcia, z oczami kamer na krzyżakach w miejscu łba oraz z automatycznymi karabinami na przegubach zamontowanych u boków.

- Spodziewacie się, że będziemy z tym współpracować? -pyta cicho Jaynie z obrzydzeniem w głosie.

Zerkam na nią. Ścisła broń, tak jak ja gotowa rozwalić robota na kawałki. Jaynie uczestniczyła w misji „Brzask”. Trzeba było nas dwoje i Kendricka, żeby załatwić to draństwo. Dziś wieczorem jesteśmy jednak uzbrojeni w ślepiaki i granaty hukowo-błyskowe. Opuszczamy broń, a reszta oddziału kręci się niespokojnie obok nas.

Montrose bierze się w garść.

- Tak, kapitanie Vasquez - potwierdza, wracając na zajmowane wcześniej miejsce. - Przydzielono wam tego psa oddziałowego i będziecie z nim współpracować. Nadzór - obudzić go.

Nie zapalają się żadne światełka, nie widać płonących czerwonych ślepi. Z cichym szumem przegubów szkielet budzi się po prostu do ruchu płynnego jak woda. Wyskakuje z bagażnika na beton, klekocząc cicho, co przypomina odgłos wydawany przez moje stopy.

Przenika mnie dreszcz zabobonnego lęku, gdy przypominam sobie, jak pociski mechanicznego zwierza wybiły otwory w kuloodpornej kamizelce Kendricka i rozszarpały mu wnętrzności.

Nie ufam temu cholerstwu. Nie chcę go koło siebie.

Ale to irracjonalna reakcja.

To tylko broń, potencjalnie skuteczna, ale bezrozumna jak pocisk manewrujący. I tym razem będzie po naszej stronie.

Przełykam ślinę mimo suchego gardła, piję trochę witaminizowanej wody

i staram się myśleć rozsądnie.

- Ma żywego opiekuna? - Mój głos brzmi nieco niepewnie.
- Tak. Nadzór ludzki w połączeniu ze sterującą AI, podobnie jak w przypadku waszego drona oddziałowego.

Myślę: Zablokuj to, i ogarnia mnie lodowaty, analityczny spokój. Mówię już z niezachwianym zdecydowaniem:

- To coś może przynajmniej okazać się dobrym zabiegiem propagandowym - przegoni cywilów z ulicy.

Prowadzimy misję.

„Pies oddziałowy”, jak nazywa go Montrose, biegnie przed nami, ściągając na siebie grad symulowanego ognia, ale bitewna AI nie oznacza żadnych uszkodzeń. Montrose odzywa się przez gen-kom:

- Utrzymujcie zawsze odpowiedni dystans od psa. Odbija się od niego mnóstwo odłamków, którymi możecie oberwać.

Biegnący pies kieruje ogień sprzężonych karabinów w górne piętra budynków po obu stronach ulicy. Widzę, jak starannie wymierzone pociski przebijają beton. Bojowa AI rejestruje jednoczesne trafienia w ukryte pozycje wroga. Wchodzimy za robotem i wysadzamy drzwi laboratorium. Pierwszy raz docieramy do środka. Misja zakończona.

Tylko po to, żeby się upewnić, że to nie był fuks, przeprowadzamy atak jeszcze trzykrotnie, i za każdym razem dostajemy się do wnętrza.

Gdyby ten cholerny pies oddziałowy nie był taki drogi, straciłbym robotę.

Rozchodzimy się przed drugą nad ranem. Śpię do późna i budzę się dopiero na sygnał dźwiękowy nadany przez moją nakładkę. Półprzytomny podnoszę głowę. Tran zagląda do pokoju, ma uśmiech na twarzy.

- Kanoa mówi, żeby wypierdalać z łóżek. Ruszamy.

Sprawdzam otrzymane wiadomości i znajduję rozkaz spakowania się i stawienia w hangarze o czternastej. Zostaniemy wysłani na akcję. Będzie nam towarzyszył Leonid Siergun, koordynator wsparcia na miejscu.

Chciałbym się zobaczyć z Delphi. Porozmawiać z nią.

Jest teraz opiekunką Jaynie.

Tak jest lepiej.

**TRAGICZNA
SCENA FINAŁOWA**

W Kuwejcie dostajemy dwa podniszczone SUV-y o potężnym pancerzu pod wyblakłym lakierem, którymi wjeżdżamy na barcę zmierzającą do Iraku. Parkujemy je równolegle do kontenerów transportowych, ustawionych w czterech poziomach. Podróżujemy wodą, gdyż Leonid ma od dawna układ z celnikami w porcie Basry.

To krótka żegluga przez północne zakole Zatoki Perskiej. Holownik wyciąga nas poza tankowce i okręty handlowe różnych bander na Szatt al-Arab, tor wodny, który wyznacza granicę między Irakiem i Iranem. Późnym popołudniem okazujemy fałszywe paszporty urzędnicze kapitanatu w Basrze.

Mam dwudniowy zarost, noszę okulary przeciwsłoneczne i mam starannie nałożony makijaż, który zmienia charakterystyczne rysy mojej twarzy. To dość, żeby zmylić zwykłego obserwatora, i tylko tyle potrzebuję, gdyż Czerwień sprawiła, że jesteśmy chronieni przed standardowymi technikami identyfikacyjnymi.

Urzędniczka zerka na mnie przez przezroczysty pasek wizora. Przygląda się reszcie oddziału. Nie zna nas, ale to, kim jesteśmy, ujawnia sposób naszego poruszania się, postawa i skupienie wzroku. Wielokrotnie widywała takich jak my. Basra stała się targowiskiem najemników. Jesteśmy po prostu kolejną grupą, którą urzędniczka ma rozkaz wpuścić do kraju.

Leonid robi pokazówkę z prezentacji tabletu, na którym widnieje manifest przewozowy naszego sprzętu. Rozmawiają przyjacielsko po arabsku - nie wyglądałoby to dobrze gdyby wpuszczono nas zbyt szybko - potem do akt elektronicznych zostają dołączone odciski naszych kciuków oraz podpisy i możemy wjechać na teren Iraku.

Leonid zajmuje miejsce kierowcy w prowadzącym pojeździe. Ja miejsce pasażera obok niego, a Tran, Fadul i Roman siadają z tyłu. Włącza się

elektryczny silnik i zjeżdżamy po rampie. Drugiego SUV-a prowadzi Flynn. Jedzie tuż za nami, wioząc Jaynie, Logana, Escamillę i Dunaheego.

Witajcie w Iraku.

Basra jest zagrożona przez napór morza wdzierającego się od Zatoki Perskiej w głąb Szatt al-Arab oraz przez wzrost temperatur, które zapewniły jej już status miasta o najgorętszych porach letnich na Ziemi. Przybywamy późnym popołudniem w połowie stycznia. Temperatura powietrza wynosi zaledwie niecałe dwadzieścia siedem stopni. Jak w rajku. Jeżeli nie mieszkasz tutaj.

Inny nieustanny szturm na miasto prowadzą jego mieszkańcy, których liczba wzrosła z dziewięciuset tysięcy pod koniec dwudziestego wieku do sześciu milionów w chwili obecnej. Chociaż Basrę spowija welon brązowego pyłu, widzę słaby błysk węzła EXALT. To mi się każe zastanowić: Jak duży jest tutaj wpływ Czerwieni? Jak przenika ludzkie egzystencje?

Opuszczamy port wąską ulicą, która przebiega obok nowych magazynów zbudowanych po przetoczeniu się działań ostatniej wojny. W przeciwieństwie do budynków większość samochodów tłoczących się na jezdni jest zniszczona, poobijana i zakurzona. Widać tutaj pieniądze, ale, jak wszędzie, są nierówno rozprowadzane.

Wjeżdżamy na szerszą arterię komunikacyjną, pełną pojazdów spalinowych i elektrycznych. Jedziemy nią krótko na północ, po czym Leonid zawraca na rondzie i ruszamy na południe w spokojnym, ale stałym tempie.

Urządzenia petrochemiczne oraz szkielety zbombardowanych kamienic odpływają wstecz. Mijamy fabrykę amunicji, a potem pokryty graffiti mur strzegący terenu, na którym stoją wieże wodociągowe pokiereszowane przez pociski. Zrzucony slamsy kulą się przy lśniącym bielu, pozbawionym okien centrum obliczeniowym. Obok jest ogromny kryty stadion otoczony przez rozległy, pusty, betonowy parking w tym samym

brązowym odcieniu, co niebo.

Powiada się, że Irak to kolebka cywilizacji, miejsce rajskiego ogrodu. Być może, ale jeśli był tu niegdyś Eden, dowodzi to tylko, że cywilizacja jest najlepsza w rozpierdalaniu tego, co piękne.

Opuszczamy główną drogę i wjeżdżamy w dzielnicę wąskich uliczek - pełnych pieszych i wyznaczonych przez ceglane domy o nierównych fasadach, nadających im stary wygląd. Obracam się, by spojrzeć do tyłu. Flynn nie jedzie już za nami. Przydzielono jej inną trasę, żebyśmy nie wyglądali na siły inwazyjne.

- Hej, Shelley. - Przenoszę wzrok na Trana, siedzącego z tyłu między Fadul a Roman. Szerokie usta ma zaciśnięte, a brwi ściągnięte z niepokoju. - Zaczynam się martwić, że możemy się zwrócić przeciwko tobie.

- Co? O czym ty gadasz? - Tran naprawdę żyje w równoległym świecie. - Dlaczego mielibyście to zrobić?

- Nie, żebyśmy chcieli - odpowiada - ale pamiętasz, jak ty, ja i porucznik byliśmy sterowani w podziemnej budowli ochronnej? Co będzie, jeśli dojdzie do tego ponownie, kiedy zaatakujemy laboratorium? Ale tym razem spotka to wszystkich oprócz ciebie, gdyż Czerwień nie może się już dostać do twojej głowy, żeby cię podkręcić dzięki neuronetce. - Ożywia się, gestykulując. - A potem, powiedzmy, nie spodoba ci się atak, jaki mamy przeprowadzić, więc staniesz na przeszkodzie zaplanowanej misji. Może trzeba będzie cię zabić! Albo ty będziesz musiał zastrzelić nas. To będzie jak tragiczna scena finałowa.

- Jezu, Tran - mówi Fadul, zadzierając głowę, żeby spiorunować go wzrokiem; usta ma skrzywione. — Mamy przeprowadzić akcję wojskową, a ty śnisz na jawie komiksowe fantazje.

- Chcesz uważać, że to fikcja - odpala Tran - ale nie uczestniczyłaś w „Jałowych Rozstajach”. - Spogląda ponownie na mnie. - Rozumiesz,

Shelley, o co mi chodzi? Kapujesz, co mówię?

Nie znam Trana aż tak długo. „Wieża Płowego Konia” była naszą pierwszą wspólną operacją, ale nawet w tym krótkim okresie znajomości zauważyłem, że jego zwariowane przypuszczenia często się sprawdzają. Niezbyt to pocieszające.

- Jeśli dojdzie do tego, nie zastrzelę cię - obiecuję mu.

Kiwa głową z uroczystą powagą.

- A ja zrobię co w mojej mocy dla ciebie.

Odwracam się ponownie do przodu, wstrząśnięty bardziej, niż chcę to przyznać. Leonid nic nie mówi, przynajmniej nie na głos, ale w głowie rozbrzmiewa mi echo słów, które wypowiedział do mnie podczas lotu z Pakistanu: „Możliwe, że się zaofiarowałeś nieodpowiedniemu bogu”.

Jazda jest powolna. Zatrzymujemy się co chwilę z powodu ludzi, którzy wchodzą nam przed maskę; drapiących się zapchlonych kundli; samochodów, które włączają się znikąd do ruchu, używając klaksonów niczym magicznego zaklęcia zapobiegającego kolizji.

Gdybyśmy korzystali z martwych sióstr, poruszałibyśmy się dużo szybciej, co jest powodem, dla którego po akcji będziemy się wycofywali pieszo.

Słońce chowa się za horyzontem, pozostawiając na niebie blask w kolorze zakurzonych pereł. Tłumy rzedną, gdy ludzie udają się na wieczorne modły, dzięki czemu jedziemy szybciej.

Uliczki zwężają się jeszcze bardziej. Kiedy jedziemy, muszę zwalczać uczucie klaustrofobii, nakazując sobie spokój. Zaczynam poznawać otoczenie na podstawie moich wirtualnych rekonesansów prowadzonych w sali medialnej. Topografia jest taka sama, ale otoczenie wygląda bardziej obskurnie, niż to sobie wyobrażałem. Widać sterty papierów, strzępy szmat i zgniecione kartonowe pudła ułożone w stosy pod ścianami jedno- i dwupiętrowych domów. Młodzi mężczyźni, którzy stoją w małych

grupkach i palą papierosy, wszyscy w koszulach z długimi rękawami, z przeciwsłonecznymi okularami lub nieprzezroczystymi wizorami na nosach, są obojętni na ten bałagan albo przynajmniej nie chcą go zauważyć, a zamiast tego obserwują otoczenie i przyglądają się kobietom, które przechodzą obok szybkim, zdecydowanym krokiem.

Wszystkie mają głowy i ramiona osłonięte hidżabami, chociaż tylko nieliczne noszą burki. Wiele ma bluzki z długimi rękawami i spodnie albo spódnice i legginsy; niektóre są w kombinezonach, jakby dopiero co wyszły po dniu pracy z warsztatu mechanicznego lub zakładu elektrycznego czy hydraulicznego. Poruszają się w trzy- bądź czteroosobowych grupkach, a większość tych grupek dysponuje co najmniej jedną sztuką broni palnej. Czasami to pistolet. Często karabin szturmowy.

Nie wiem, czy mężczyźni obserwują je kierowani pożądaniami, ciekawością czy gniewem, ale na pewno widok naszego poobijanego SUV-a jest bardziej elektryzujący i odciąga ich spojrzenia od przechodzących kobiet.

Gdy przejeżdżamy obok, ponure twarze się obracają i obejmują nas wzrokiem. W gęstniejących cieniach migają małe zielone światełka, które wskazują, że wizory rejestrują naszą obecność. Sądzę, że to wizory EXALT kontrolowanego przez Czerwień. Mam taką nadzieję. Liczę, że Czerwień jest po naszej stronie.

Podczas jazdy przyglądam się ulicom, budynkom i skrzyżowaniom, porównując rzeczywistość ze znaną mi wirtualnie topografią. Na każdym przecięciu się ulic przerabiam w głowie możliwe drogi ucieczki; analizuję plataninę ulic i zaułków mogących stanowić najlepszą trasę, alternatywne ścieżki, którymi moglibyśmy próbować się wycofać, gdyby wszystko poszło w diabły.

Dojeżdżamy do naszego punktu etapowego - dużego jednopiętrowego domu otoczonego wysokim murem. Czarna, przesuwana, stalowa brama otwiera się zdalnie. Wjeżdżamy na wyłożony płytkami dziedziniec.

Między jego murami rozciągnięto płachty brązowego płótna, tworząc zadaszenie ocieniające podwórko i zniechęcające wścibskich sąsiadów oraz ciekawskie drony.

Kanoa został wraz z Delphi w Niemczech, ale jest tutaj wirtualnie jako mój opiekun. Odzywa się w gen-komie:

- Na murze siedzi kot. Nie spanikuj i nie zastrzel go.
- Jest okablowany?
- To zwykły dachowiec.

Wysiadamy. Wieczór jest zaskakująco chłodny. Słyszę uliczny hałas, odgłosy rozmów, dźwięk z niedalekiego telewizora. Otwieram tylną klapę SUV-a. Pies oddziałowy się porusza, płatanina tytanowych kości zmienia położenie, drapieźny szkielet budzi się do życia i koryguje położenie broni, kiedy się przeobraża w formę kroczącą. Bydlę przyprawia mnie o szybsze bicie serca i stawia włosy dęba.

- Nienawidzę tego diabelstwa. To pies z piekła rodem.
- Za dwie godziny będziesz szczęśliwy, że go macie -mówi Kanoa.

Stwór zeskakuje na ziemię i ląduje obok mnie z cichym szcęknięciem, jakie wydaje metal uderzający o kamień. Obserwuję wycofującego się w kąt robowilka i przypominam sobie, jak umarł Kendrick. A potem zmuszam się, aby przestać o tym myśleć.

- Wnieśmy sprzęt do środka.

Leonid otwiera drzwi frontowe i włącza światła. Idę za nim.

Wnętrze zostało opróżnione. Żadnych mebli ani urządzeń kuchennych. To bez znaczenia. Spędzimy tutaj tylko kilka godzin. Zaglądam do łazienki i małej szafy. To instynkt, który każe mi się przekonać, czy wszystkie pomieszczenia są puste, ale Kanoa wydaje rozkaz, żebyśmy pozostali na

dole.

- Dom jest sprawdzony. Mamy szperacze w każdym pokoju, które tego pilnują. Zostańcie więc na parterze. Jeśli wejdziecie wyżej, mogą was zdradzić obrazy termiczne.

Chodzi mu o moje robocie nogi. które są łatwe do zauważenia w podcierwieni, co umożliwia zidentyfikowanie mnie. Zamiast więc przeszukiwać piętro, sprawdzam, co się dzieje z członkami drugiej połowy mojego oddziału. Rozwijam na nakładce mapę i potwierdzam ich obecność w wyznaczonej kryjówce - to stary magazyn w kompleksie budynków otoczonych murem z pustaków.

Uruchamiam pojedyncze połączenie z Loganem. Jaynie jest dowódcą naszego oddziału, ale to nie znaczy, że nie wolno mi przeprowadzić własnego rozeznania.

- Logan, raport.
- Normalka. Jesteśmy w środku. Przygotowujemy się.
- Jakież kłopoty?
- Żadnych.
- Vasquez traktuje cię dobrze?
- Tak jest, sir.
- Chcę, żebyś miał oko na naszych ludzi, Logan.

Milczy przez chwilę, a potem pyta:

- Dlaczego? Wiesz coś?
- Nie. Ufam Vasquez. Miej po prostu oczy szeroko otwarte.

* * *

Pozbywamy się cywilek i przebieramy w nasze pozbawione oznaczeń

mundury polowe, łaciatobrzowe i zmieniające odcienie.

- Weźcie kamizelki - rozkazuję. - I przygotujcie gnaty,

Martwe siostry zostają rozłożone, ale jest za wcześnie, żeby się do nich przypinać. W celu zminimalizowania ewentualnych ofiar wśród ludności cywilnej zaczekamy z rozpoczęciem ataku do pierwszej trzydzieści w nocy. Ulice powinny być wtedy puste, a jeśli będziemy mieli szczęście, to przynajmniej kilku spośród strażników strzegących laboratorium będzie spało.

Tran patrzy ponuro na nasze cztery martwe siostry stojące nieruchomo w rogach pokoju.

- Wyglądają jak armia bezgłowych szkieletów.
- Ktoś, kto czuwa nad tobą - mówi Fadul, rzucając mu pakiet żywnościowy.

Leonid jest zdenerwowany. Nic nie je. Chodzi, podczas gdy my siedzimy pośród naszego ekwipunku.

- Musicie działać szybko - przypomina nam.
- Znamy swoje role - odpowiada Fadul, nie podnosząc wzroku.

Leonid nie jest przekonany.

- Wdarcie się do laboratorium to będzie łatwiejsza część operacji.
- Papo - mówi Tran - nie słyszałeś, ile razy nie udało się nam dotrzeć do laboratorium podczas ćwiczeń? Jeśli to jest łatwiejsza część, to mamy przejebane.
- To dlatego musimy się poruszać cicho - mówi Roman. - Chcemy ograniczonego starcia. Wejść i wyjść, przy minimalnych stratach wśród cywili.

Fadul patrzy wilkiem na Leonida.

- Dopilnuj tylko, żeby systemy kryjówki wiedziały, kim jesteśmy. Resztę załatwimy sami.

Posiłek trwa tylko kilka minut. Potem wyciągamy się na podłodze, żeby przespać się trochę, póki możemy. Nie zawracamy sobie głowy wyznaczaniem wart. Strzeże nas całe stado szperaczy wraz z piekielnym psem na dziedzińcu. To powinno wystarczyć, żebyśmy byli bezpieczni.

Roman wymeldowuje się pierwsza, zamyka oczy i wyłącza umysł. Tran zasypia kilka sekund później, a potem Fadul.

Leonid wyłącza światła, ale nie idzie spać. Nasłuchuję jego kroków i zastanawiam się, co go niepokoi. Każda operacja jest niebezpieczna. Tak po prostu jest.

- Wiesz o czymś, Papo? - szepczę.
- Nie. - Po chwili dodaje: - Tym razem będziesz się trzymał planu misji?
- Taki mam zamiar.
- A jakie zamiary ma twój bóg?
- Nie wiem - przyznaję szczerze.

Chcę wierzyć, że Czerwień wspiera tę misję, ale jeśli tak jest, to nie czuję tego - już nie; nie w taki w sposób, w jaki czułem to dawniej. Dokonałem jednak wyboru. Bez względu na to, czy Czerwień wspiera nas, czy nie, jest tutaj L-AI zwana Naszirą. To dominująca w regionie rebeliancka sztuczna inteligencja, która ma własne plany. Jestem całkiem pewny, że nie faworyzuje nas.

Czuję, że udziela mi się niepokój Papy, a to nic dobrego. Odpędzam go myślą: Spokój.

Wojna nie jest nigdy przewidywalna. Zrobimy, co w naszej mocy.

Mój budzik uruchamia się o pierwszej. Wyłączam go i wstaję; Tran, Roman i Fadul nie śpią już. Leonida nie ma w pokoju. Podłączam się do gen-komu.

- Gdzie jest Papa?
- Czeka na zewnątrz - odpowiada Kanoa.

Myję twarz nad zlewem, wypijam trochę witaminizowanej wody, a potem wkładam rynsztunek - wciągam rękawice, przypinam się do martwej siostry, zarzucam plecak na grzbiet, a karabin na ramię. W klatce piersiowej i w brzuchu czuję kruche napięcie. Strach i oczekiwanie, które zawsze poprzedzają walkę. Kolejną. Pierwsze starcie bez Czerwieni, która szeptałaby mi ostrzeżenia wprost do mózgu.

- Fadul!
- Sir?
- Kontrola wzajemna.
- Tak jest, sir.

Zapina ostatnią klamrę swojej martwej siostry, a potem sprawdzamy rynsztunek jedno drugiemu, upewniając się, że wszystko jest w porządku. To samo robią Roman i Tran. Zabezpieczamy plecaki paskami. Aktywujemy broń. Hełm trzymam pod pachą.

- Słuchajcie - mówię.

Odwracają się do mnie. Roman wygląda na spiętą, Tran na podekscytowanego. Fadul ma zaciętą, mściwą minę, jakby szła wyrównać rachunki.

- Działamy błyskawicznie - przypominam. - Wchodzimy i wychodzimy, bo im dłużej to potrwa, tym bardziej nasili się opór. Po wyjściu za bramę nie zwalniamy z żadnego powodu. Jasne?

Roman kiwa głową.

- Tak jest, sir.

Tran zadziera brodę i odpowiada formalnie, jak na placu apelowym:

- Zrozumiano, sir.

Fadul przewraca oczami.

- Kapujemy, Shelley.

Kiwam głową.

- Hoo-yah!

Odpowiadają energicznym szeptem:

- Hoo-yah!

- Hełmy włóż!

Wkładam hełm. Wentylatorki się włączają, chłodząc mi twarz, a ikony oddziału szeregują się u dołu pola widzenia. Odliczam obecnych wzrokiem, odnotowując odległe istnienie Logana, Escamilli, Dunaheego, Vasquez i Flynn.

Nie mamy anioła oddziałowego. We wrogim środowisku miejskim drony są zwykle zestrzeliwane na początku działań. Zamiast tego Nadzór stworzył mapę hybrydową na podstawie inwigilacji z dużej wysokości, obserwacji zebranych w czasie rzeczywistym przez nasze szperacze, lokalizacji i obecnego stanu znanych kamer ulicznych - działają czy nie - oraz obecnej pozycji lokalnego drona. Wynikiem jest przedstawienie dzielnicy w postaci siatki zmieniających się cieni, które wskazują obszary „bezpieczne”, to znaczy wolne czasowo od obserwacji przez urządzenia, które nie należą do nas.

Oznaczeni są także cywile znajdujący się w okolicy. O tej porze jest ich na ulicy tylko kilku. Jeden z nich to brodaty starzec mamroczący coś po arabsku z kadencją charakterystyczną dla poezji i wędrujący w najgłębszych cieniach mapy, gdzie czuwają tylko nasze szperacze. To

trasa, którą chcemy obrać.

- Fizycznie nieszkodliwy - decyduje Kanoa - jeśli ma jednak telefon, zabierzcie mu go. Możecie zyskać dodatkową minutę niewidzialności.

Zatem naszym pierwszym zadaniem jest obrabowanie starca.

- Przyjąłem.

Kolejny szczytny wpis w moich aktach służbowych. Wkurza mnie to tym bardziej, że wiem, iż nie zawaham się tego zrobić.

Jaynie zgłasza się przez gen-kom:

- Słyszysz mnie, Shelley?

- Tak jest, ma'am.

- Rozpocząć operację.

- Przyjąłem. Kanoa, wyświetl naszą trasę.

Na moim wyświetlaczu pokazuje się bladoniebieska linia.

- Trasy naniesione — informuję oddział. - Fadul, potwierdź swoją.

- Potwierdzam.

- Roman?

- Potwierdzam.

- Tran?

- Potwierdzam, sir.

Nie ma mowy, żeby ktoś się zgubił.

- Ruszać.

Na dziedzińcu pies oddziałowy wychodzi z kąta, który zajmował w nocy. Obserwuję go czujnie, gdy biegnie truchtem ku zamkniętej bramie. Potem odwracam się do Leonida.

Siedzi już za kierownicą SUV-a. Jego rolą jest pojechać do kryjówki na południu i czekać tam. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie zobaczymy go już tej nocy. Abajian ewakuuje nas stąd śmigłowcem i będzie po sprawie. Jeśli coś pójdzie źle, zaszyjemy się w jednej z kryjówek, a Leonid skontaktuje się z siecią swoich pomocników, żeby przemyścić nas przez granicę Iraku.

Patrzy na mnie, gdy przystaję przy okienku pojazdu.

- To ty, Shelley, za tą maską diabła?

- Tak.

Leonid nie wyczarował dziś w nocy żadnej nieszczerzej czułościowości, żeby ukryć swoje emocje. Noktowizja wygładza jego zmarszczki, ale nie maskuje niepokoju.

- Dwadzieścia minut - mówi. - Nie powinniście potrzebować więcej. - A potem dodaje: — Jak Bóg zechce.

- Otwórz bramę, Papo.

Uruchamia ją pilotem. Pies oddziałowy wyslizguje się na zewnątrz. Podążamy za nim w odległości kilku metrów, biegnąc ile sił. System audio hełmu tłumi dudnienie naszych kroków, wzmacniając dźwięk telewizji, a potem uznaje, że telewizja nie jest ważna, i ścisza odbiór. Słyszę odległy ruch uliczny, ciche brzęczenie szperaczy, własny ciężki oddech, a po przebiegnięciu przecznicy mamrotanie starca. Nie możemy go ominąć, gdyż zajmuje tę samą strefę inwigilacyjnego mroku, w której my się chcemy znaleźć. Nie możemy czekać, aż odejdzie, bo musimy dotrzeć do wnętrza budynku, gdzie jest nasz cel, zanim lokalny dron wykona kolejny przelot nad tymi uliczkami. Napadamy więc na starego.

Idzie powoli, mrużąc nadal do siebie; może jest nieco przygłuchy, gdyż nie słyszy, że się zbliżamy. Pies oddziałowy zostaje z tyłu. Ja ruszam

naprzód. Muszę wykonać brudną robotę.

Doganiam go szybko, kładę dłoń w rękawicy na jego ustach, a ramieniem obejmuję tułów. Zmaga się ze mną, chwytając moją rękę, rozpory ramienne, kopie mnie obcasami w golenie. Jednak jego opór trwa tylko kilka sekund, po czym z powodu braku tlenu obwisa mi w ramionach.

Opuszczam go delikatnie na ziemię, mówiąc sobie, że nie umarł. Tylko zemdłał. Przeszukuję go. Znajduję telefon i pistolet.

Ruszamy dalej.

Na ulicy nie spotykamy nikogo innego, ale nie mamy kontroli nad ludźmi patrzącymi na nas z okien i dachów domów ani nad niesłyszalnym alarmem przekazywanym telefonicznie lub poprzez portale społecznościowe.

Kiedy znajdujemy się wciąż o dwie przecznice od celu, mój hełm wychwytuje i wzmacnia cichy szmer głosów.

- Sądzę, że zostaliście zauważeni - ostrzega Kanoa.

A po kilku sekundach:

- Zaraz znajdziecie się pod ogniem wroga.

- Kryć się!

Wycofujemy się pod ceglana ścianę dwupiętrowej kamienicy, gdzie przykucamy z bronią gotową do strzału. Na mojej przyłbicy pokazuje się kółko celownicze, oznaczające okno po przeciwnej stronie ulicy. Nie pytam o nic. Nie da się sprawdzić, kto się kryje w głębi tamtego pokoju - mężczyzna, kobieta czy małe dzieci. Strzelam po prostu. Jednak obrona dzielnicy skonsolidowała się z zaskakującą szybkością. Co najmniej w trzech oknach widać błyski ognia wylotowego z luf. Pocisk ociera się o mój hełm z wysokim wizgiem, a kolejne kule dziurawią ścianę za moimi plecami. Nasz plan szybkiego i cichego wtargnięcia poszedł się walić.

- Ruszać! - rozkazuję oddziałowi, gdyż dużo trudniej jest trafić w ruchomy cel.

Biegniemy, strzelając. Nie sędzę, żebyśmy nawet z pomocą AI naciskających spusty trafiali często, ale udaje się nam sprawić, że pokazanie się w oknie staje się niebezpieczne, i to na razie wystarcza.

Pies oddziałowy biegnie przodem, po czym znika za rogiem ulicy. Podczas ataków ćwiczebnych w Niemczech działał jak berserk, ale dzisiejszej nocy nie wystrzelił ani jednego pocisku. Chcę zapytać o to Kanoę, ale nie mam czasu. Budzą się kolejni mieszkańcy, uzbrajają i strzelają do nas, nie zważając na groźbę w postaci naszego ognia. Zataczam się, gdy pocisk trafia mnie w bok i pozbawia oddechu, rozplaszczając się na kamizelce kuloodpornej. W dwóch susach docieram do ostatniego skrzyżowania.

Kucam, oparty plecami o ścianę kolejnej kamienicy, i patrzę w górę na fasadę budynku po drugiej stronie ulicy oraz następnego, po przekątnej skrzyżowania. Na wyświetlaczu przyłbicy wyskakują kółka celownicze; strzelam raz, drugi, trzeci.

- Na dachu - mówi Kanoa.

Spoglądam wyżej i widzę kółko celownicze uplasowane na krawędzi dachu. Po trzech szybkich strzałach rozlega się krzyk. Czuję na języku cierpki smak ołowiu.

- Ruszaj, Fadul! Na drugą stronę ulicy.

Pędzi przed siebie, klucząc między zaparkowanymi samochodami, a potem znika z pola widzenia.

- Roman, teraz ty.

Robimy, co możemy, żeby zniechęcić strzelców w oknach, i po kolei przedostajemy się na drugą stronę skrzyżowania.

Docieramy do kwartału domów, w którym znajduje się laboratorium. Dzieli nas od niego jeden budynek. Ktoś rzuca na ulicę flare, która oślepia mnie na kilka sekund, zanim moja przyłbica to kompensuje. Ze

wszystkich stron sroży się ogień karabinowy. Połowa strzelców celuje w cienie, ale tyłu z nich wie, gdzie jesteście, że samochód przed nami podziurawiony jest kulami jak sito, a pociski odłupają tynk ze ściany za naszymi plecami. Odłamki odbijają się z brzękiem od mojego hełmu. Rozdzierają grubą tkaninę munduru maskującego.

- Granaty! - warczę przez gen-kom.

To mój koszmar - dobrze uzbrojeni cywile, którzy wcale nie bronią laboratorium. Domyślam się, że nie wiedzą nawet o jego istnieniu, nie mają pojęcia, dlaczego się tutaj znaleźliśmy, ale walczyli już wcześniej z rywalizującymi bojówkami w obronie swojego życia, domów i rodzin.

Przypominam sobie, że przybyliśmy tutaj, bo rząd amerykański został zaatakowany, jego przedstawiciele zamordowani, a życie prezydent Monteiro jest zagrożone. Naciskam drugi spust, posyłając granat w okno na drugim piętrze w budynku po przekątnej skrzyżowania.

- Nowa trasa - odzywa się Kanoa dziwnie ochrypłym i mechanicznym głosem, a moja dotychczasowa ścieżka się zmienia; niebieska linia kieruje mnie w głąb przecznicy, oddalając od drzwi służbowych. Wygląda na to, że Dowództwo postanowiło, że wędzemy się wejściem głównym. -
Biegiem!

Ochrypły głos Kanoi nie dopuszcza żadnych pytań. Całą grupą gnamy sprintem do następnego rogu, a niesamowite cienie rzucane przez podskakującą flarę towarzyszą nam, wykonując przesadne, nieludzkie kroki. Nie wiem, czy dezorientują nieprzyjaciół, którzy zastanawiają się może, przed czym uciekamy, ale strzały milkną, zanim pokonujemy połowę drogi.

- Przywarować - poleca Kanoa.

Rzucam się na ziemię. Toczę się pod ceglana ścianę i kulę pod plecakiem, gdy mur się dźwiga, a system audio hełmu blokuje odgłos potężnej eksplozji. Fala uderzeniowa wysysa mi powietrze z płuc, kompresuje mózg i pozostawia z zawrotem głowy, niepewnego, gdzie jest góra, a gdzie dół, kiedy się rozglądam. Wyświetlacz, wciąż w trybie noktowizji,

pokazuje mi oślepiający płomień szalejący za rogiem, zza którego dopiero co uciekliśmy. Z nieba spadają podskakujące na ulicy odłamki betonu. Woda tryska z rozerwanych rur; słycać ryk ognia, krzyki ludzi. Chór wrzasków, kobiet i mężczyzn, wyrażających ból, przerażenie, rozpacz i wściekłość. W otaczających nas budynkach zapalają się światła, a mieszkańcy wzywają Boga.

- Co jest, kurwa? - szepcze Tran przez gen-kom. - Co...
- Czy to był pocisk? - pyta Fadul drżącym głosem. - Czy samochód pułapka? Cholera, Kanoa, nie mieliśmy wysadzać tych ludzi w powietrze!
- Przestańcie gadać! - przerywa jej Jaynie. - Spotkanie z zespołem pierwszym. Otworzyliśmy frontowe drzwi. Wchodzimy.

Przez chwilę wszystko jest nieruchome - nie ciche, nie -na ulicy nikt się nie rusza, nie wychodzi z budynków, nie biegnie w reakcji na wrzaski udręki sąsiadów, gdyż gorzkie doświadczenie nauczyło tych ludzi, że na ratowników czeka często druga bomba.

Nieruchomość pozwala nam poruszać się swobodnie. Wobec tego, że wzrok wszystkich jest zwrócony na jatkę za rogiem, stajemy się niewidzialni w ciemnej przecznicy. To nie potrwa długo. Podrywam więc mój oddział do biegu rozkazem, który gen-kom wyraźnie powtarza spokojnym syntetycznym głosem.

Roman znajduje się najbliżej rogu. Rusza pierwsza. Tran daje jej trzy sekundy, żeby zachować odpowiedni odstęp, a potem biegnie jej śladem. Następna jest Fadul. Zostaje na miejscu, przykucnięty, z ztkh przyciśniętym do ramienia, gotowy zapewnić ogień osłaniający. Roman zatrzymuje się po dotarciu do rogu. Opada na jedno kolano i unosi broń, żeby z kolei osłaniać mnie. Gnam do nich sprintem.

W głowie kołacze mi pytanie Fadul. Czy to był pocisk, czy samochód pułapka? I czy to było nasze działanie? Plan zapasowy w celu zdławienia oporu, jeśli operacja utknie? Żadne z nas nie chciało wykonać tej misji po

trupach cywilów. Nie prosiliśmy, żeby zrobić to w ten sposób. To nie jest misja, którą planowaliśmy, ale i tak to nasza wina.

Skrećam za róg, gdy z budynku po drugiej stronie ulicy ktoś otwiera ogień. Koman odwraca się, odpowiada strzałami. Dunahee jest dalej w głębi przecznicy. Zaczyna strzelać, wspierając Roman. Przypadam do ziemi za zaparkowanym samochodem i omiatam wzrokiem budynek w poszukiwaniu celu. Bojowa AI oznacza dwa, oba w oknach pierwszego piętra. Załatwiam jeden granatem.

- Ruszaj, Roman! - wołam, a potem przyszpilam drugiego strzelca.

Niebieska linia wskazuje drogę.

Pora to kończyć.

W zagłębieniu muru po tej stronie budynku znajduje się wejście prowadzące do oficjalnego lobby o posadzce z płyt łupkowych. Dwuskrzydłowe drzwi - zdobna stalowa krata z potrzaskanym szkłem - zostały wysadzone i wiszą na wyłamanych zawiasach. Logan, Flynn i Dunahee kulą się w głębi portalu, wykorzystując drzwi jako osłonę, gdy kryją ulicę ogniem. Ze zdumieniem zauważam przy nich naszego oddziałowego cerbera, którego sprzężone karabiny poruszają się z boku na bok, gdy szuka celów na dachach.

Nie słyszę rozmów, co oznacza, że Kanoa odciął łączność, żeby wszyscy mogli się skupić na swoich zadaniach. Logan sygnalizuje mi, żebym wlaź do środka. Przebiegam obok niego, obracam się i przyciskam plecami do ściany, rozglądając się wokół. Byłem już w tym małym lobby w trakcie moich wirtualnych wycieczek, ale teraz pomieszczenie wydaje mi się inne, bo światła są zgaszone, a ja widzę wszystko w noktowizji.

Wystrój ma sto lat: poplamione, tynkowane ściany z mozaikowymi płytkami, wytarty do osnowy dywan, po lewej stronie szereg malutkich skrzynek na listy, których mosiężne drzwiczki pociemniały ze starości. Z prawej strony na pierwsze piętro wspina się klatka schodowa o

wypolerowanych drewnianych stopniach i żeliwnej poręczy. Escamilla stoi na straży na szczycie schodów.

- Escamilla, czy na górze są jacyś cywile?
- Potwierdzam. Co najmniej sześć mieszkań.
- Na razie nie ma oporu - dodaje Jaynie. - Trzymają się poza zasięgiem wzroku.

Z początku nie widzę jej. To dlatego, że moja grupa -Fadul, Roman i Tran - skupia się blisko niej w głębi lobby.

- Wybuch - ostrzega Jaynie.

Wszyscy pierzchają w moją stronę. Odwracam głowę. Następuje jasny rozbłysk i głośny huk, gdy eksploduje plastyczny, taśmowy ładunek wybuchowy. Widzę, że stalowe drzwi odskoczyły na kilkanaście centymetrów, wypluwając dym.

- Zajmę się tym - mówię i ruszam do środka, kierując się wskazaniem niebieskiej linii. Kopniakiem otwieram szeroko drzwi i wsuwam lufę ztkh za róg, żeby bojowa AI mogła tam zajrzeć.
- Schody czyste - ogłasza Kanoa. - Naprzód.

Skrećam na podest nad wąską klatką schodową, która opada w głąb piwnicy. Na dole znajdują się kolejne stalowe drzwi. Zeskakuję tam, łapię za uchwyt. Drzwi są zamknięte. Kopię je mocno płytą stopy, raz, drugi, trzeci, ale trzymają.

- Wysadź je - poleca Jaynie przez gen-kom.

Spoglądam w górę. Rzuca mi taśmowy ładunek wybuchowy. Oklejam nim zasuwę i wycofuję się na szczyt schodów. Od frontu dobiega mnie miarowy huk wystrzałów. Hełm tłumi dźwięk, ale jest jasne, że Logan, Flynn i Dunahee zażarcie bronią naszej pozycji, i są zagrożeni.

- Kanoa, musisz umieścić kogoś w oknie na górze. -Wzdrygam się, gdy

Jaynie detonuje ładunek. Potem zawracam na schody i widzę, że drzwi na dole są uchylone. Sączą się zza nich słabe światło, zielonkawe w noktowizji. - Jeśli zostaną użyte RPG...

- Monitorujemy walkę na ulicy - warczy Kanoa. - Rób swoje i ruszaj na dół.

Nie oponuję, bo ma rację. Rzecz w tym, że nienawidzę doznania, iż mój oddział jest zagrożony. Im szybciej jednak uwiniemy się tutaj na dole, tym lepiej dla wszystkich. Więc skaczę. Jaynie za mną.

Za drzwiami rozciąga się nieznane terytorium. Inwigilacja okolicy, w połączeniu z prześledzeniem przeszłości zaobserwowanych tutaj osób, zbadaniem próbek gruntu i powietrza, zebranych ukradkiem w budynku i wokół niego, wskazała, że mieści się tutaj laboratorium. Jednak naszemu wywiadowi nie udało się nigdy zdobyć informacji z wnętrza piwnicy. Nie znamy jej rozkładu ani nie wiemy, czy ktoś jest tam obecny przez całą dobę. Możemy jedynie wkroczyć ostro, z nadzieją, że znajdziemy to, czego szukamy.

Otwieram drzwi z buta i wchodzę do pomieszczenia, korzystając z kamer lufowych ztkh, żeby obejrzeć szybko wnętrze. Bojowa AI nie oznacza żadnych celów. Szukam ich sam.

Piwnica to jedno duże pomieszczenie z klatką schodową w centrum. Gdyby było puste, stanowiłoby znakomitą scenografię horroru filmowego za sprawą szorstkiej, betonowej podłogi i nieotynkowanych do końca ceglanych ścian, najeżonych połamanymi kikutami starego żelaznego osprzętu, którego przeznaczenia nie chcę się nawet domyślać. Pomieszczenie nie jest jednak puste. Znajduje się tutaj sprzęt laboratoryjny, który mieliśmy nadzieję znaleźć: wąski kontuar z blachy nierdzewnej, zlew, półki zastawione urządzeniami, okap wentylacyjny i mrucząca lodówka. Jestem całkiem pewny, że w budynku odcięto zasilanie, więc lodówka musi działać dzięki akumulatorowi. Do ścian i sufitu przymocowano obejmami nowe rury i kable, dostarczające wodę i prąd.

Skrećam w prawo, żeby zajrzeć za klatkę schodową. Jaynie rusza w

przeciwnym kierunku, a Tran, Roman i Fadul schodzą za nami na dół.

- Żadnych celów - mówię.
- Tu też nie - odpowiada Jaynie. Ton jej głosu się zmienia. Brzmi gniewnie. — Jak ważne może być to miejsce, skoro Sierpień-19 nie zatroszczył się o jego ochronę w nocy?

Dobre pytanie, na które odpowiada Delphi.

- Jesteście tam po to, żeby to stwierdzić. - Delphi wyznaczono do kierowania nami wszystkimi na dole, natomiast Kanoa nadzoruje walkę na ulicy. - Zabierzcie wszelkie nośniki danych, jakie znajdziecie. Weźcie wszystko, co możecie unieść. Za trzy minuty macie być na górze.

Robimy, co nam każe, wywracając do góry nogami półki i szuflady i wyjmując czipy ze sprzętu analitycznego. Tran otwiera lodówkę, w której znajdują się stojaki z porządnie opisanymi fiolkami.

- Co o tym myślimy? - pyta.
- Czy na etykietkach są nazwiska? - pyta Delphi, kiedy tam podchodzę. - Wyjmij stojaczki. Musimy mieć wyraźne nagranie wszystkiego, co tam jest.

Pomagam Tranowi przenieść na kontuar zawartość lodówki. Stojaków jest sześćdziesiąt. W każdym może się znajdować do trzydziestu fiolek, ale większość z nich nie jest zapełniona.

Wyjmuję jedną fiolkę. Ma wielkość małego palca, jest wypełniona do połowy białym proszkiem i ma naklejoną papierową etykietkę z wydrukowanym maszynowo kodem i dwoma linijkami tekstu, jedną po arabsku, a drugą łacińskim alfabetem składającym się na nazwisko „Günther Howe”. Nie słyszałem o kimś takim, ale kiedy przyglądam się reszcie zawartości statywu, znajduję osiem kolejnych fiolek z tym samym nazwiskiem.

- Kanoa, kto...

- Przemysłowiec europejski. Zmarł dwa tygodnie temu.
- Nawet niezaszyfrowane - mówi zde gustowana Delphi.

Jaynie to rozgryzła.

- Zakładali, że Naszira ich osłoni, i przez cztery miesiące to się sprawdzało.
- Nawet jeszcze dzisiejszej nocy - odzywa się Tran. - Myślę, że pierdolona Naszira zaalarmowała straż sąsiedzką. Mieliśmy szczęście, że w ogóle tutaj dotarliśmy.

Wkładam fiolkę do stojaka i szukam w nim pojemników z innymi nazwiskami. Znajduję kilka. Niektóre są wydrukowane tylko na jednej fiołce. Inne powtarzają się dwu-, trzy-, a nawet czterokrotnie.

- Kanoa, czy to ma dla ciebie jakiś sens?
- Rekiny - odpowiada. - Politycy, dziennikarze, blogerzy, przywódcy religijni.

Wpływowi, niewygodni, niewspółpracujący.

- Nie zwracajcie sobie teraz tym głowy - dodaje Delphi. - Zabierzcie tylko nośniki danych i spadajcie stamtąd.

Ale ja zastanawiam się nad tym. Sądzę, że każda fiołka to potencjalny zamach. Dziewięć fiołek dla Günthera, ale ten już nie żyje, więc musieli go załatwić za pierwszym razem. Niektórzy inni, ci z przypisaną do ich nazwiska tylko jedną fiolką białego proszku, być może nadal żyją, bo są bardzo ostrożni, zbyt czujni, żeby ich załatwić... albo agenci Sierpnia-19 nawet w tej chwili działają, starając się zbliżyć do nich.

Tran przedstawił strategię wroga jako powolną dekapitację światowego przywództwa. Sądzę, że miał rację. Czerwień polowała na to laboratorium od miesiący, ale Naszira utrzymywała je w ukryciu aż do teraz.

- Skup się, Shelley - poleca mi Kanoa.

„Przyjąłem”.

Szybciej wyjmuję fiolki i oglądam nalepki. To wystarczy, bo wszystko, co widzę, wszystko, co widzi Tran, jest rejestrowane przez nasze kamery hełmowe i przekazywane bezpośrednio do Nadzoru. Do Abajiana. Do Czerwieni.

Oglądamy fiolki we wszystkich stojakach, a potem wstawiamy je do lodówki. Roman wyjmuje dwa granaty termitowe - spalimy biały proszek - a Jaynie i Fadul przymocowują do sprzętu laboratoryjnego taśmę plastycznego materiału wybuchowego i małe ładunki C-4.

- Macie pół minuty - informuje Delphi.
- Cholera - szepcze Tran. Z początku sądzę, że ma obiekcje co do pozostałego nam czasu, ale potem podnosi mi przed oczy jedną fiolkę. - Jest na niej nazwisko Papy.
- Tylko jedna?

Sprawdza.

- Taa.

A więc polują na niego. Próbowali go zgładzić.

- Jeszcze go nie dostali.

Następna fiolka, na którą patrzę, jest oznaczona nazwiskiem Jaynie Vasquez. Wypuszczam wolno powietrze i z przesadną ostrożnością wkładam fiolkę do stojaka. Są tam kolejne cztery opatrzone jej nazwiskiem.

- Jaynie, musisz stąd wyjść. Idź na górę.

Skład każdego białego proszku jest zaprojektowany tak, żeby zaatakować system odpornościowy konkretnej osoby. Jeśli coś się stanie i te fiolki się rozbiją, jest po Jaynie.

- Znalazłeś mnie? - pyta z rozbawieniem w głosie, nadal rozciągając przewód detonacyjny.

Delphi nie jest do śmiechu.

- Dokończ inwentaryzację, Shelley. Potem spalimy to wszystko w cholere.

Waham się przez chwilę, zastanawiając się nad tym. Semakowa już nie żyje. Leonid i Jaynie są na liście. Muszę zapytać.

- Czy twoje nazwisko jest tutaj, Delphi?

- Po prostu dokończ inwentaryzację. Potrzebna nam kompletna lista celów.

Liczą się nie tylko potencjalne ofiary. Nazwiska, których tutaj nie ma, są tak samo ważne. Monteiro będzie musiała zbadać tę sprawę, ludzi nieskazanych na śmierć.

Wstawiam do lodówki ostatni stojak.

- Załatwione.

- Shelley, Tran, Fadul, na górę - rozkazuje Jaynie.

- Nie, ty idź - mówię. - Wśród tych fiolek nie ma żadnej z moim nazwiskiem.

- Ma rację - stwierdza Delphi. - Spadaj.

Wychodzą, a ja zostaję w towarzystwie Roman. Wyjmujemy zawleczone granatów termitowych, wsadzamy pociski do lodówki z fiolkami, zatraskujemy drzwiczki i gnamy w górę po schodach, a syczący płomień termitu roztopia od środka chłodziarkę.

Na górze przekonujemy się, że nasza pozycja znajduje się pod silnym ostrzałem. Z ulicy dobiega nieustanny huk kanonady. W lobby gwizdzą pociski, dziurawiąc stary tynk i wypełniając powietrze białym pyłem.

Grupa Logana wycofała się do środka; on sam zajmuje pozycję w wejściu, klęczy na jednym kolanie, z ztkh przy ramieniu, i strzela nieustannie w głąb ulicy. Flynn leży na brzuchu po drugiej stronie, wybierając starannie pojedyncze cele i naciskając miarowo spust karabinu. Dunahee stoi przy wąskim oknie, równoległym do drzwi. Szyba w nim została wybita i Dunahee, podobnie jak Flynn, strzela metodycznie.

- Kanoa, raport sytuacyjny - żądam, biegnąc do Dunaheego.
- Jesteśmy pod silnym ostrzałem, ale nikt nie koordynuje działań wroga. To formacje nieregularne - lokalne bojówki i niezależni strzelcy. Szacujemy, że okoliczne budynki zajmuje około trzydziestu ludzi z lekkim uzbrojeniem.

W zasadzie rozwścieczony tłum, żądny krwi. Nie, żebym ich winił.

- Granat - ostrzega Flynn, kiedy Kanoa podłącza ponownie wszystkich do gen-komu.

Na ulicy słyhać huk i widać błysk.

- Dobry strzał - chwali cicho Dunahee.

Wyglądam przez okno.

- Ostrzeliwują nas z RPG?
- Załatwiliśmy dwóch strzelców, ale pewne jak cholera, że ktoś podniósł ich granatniki.
- Jak stoimy z amunicją?
- Wytrwamy jeszcze chwilę.

Chcę się stąd wycofać, ale nie ja dowodzę tym oddziałem, tylko Jaynie.

Szukam Escamilli na mapie oddziału. Jest wciąż na górze.

- Złaz na dół, Escamilla.

- Nie, zostań - mówi Jaynie.

Od sprzeczki moją uwagę odwraca grad pocisków, które wpadają z wizgiem przez okno i wywalone drzwi. Widzę dwukrotny błysk ognia wylotowego po drugiej stronie ulicy i odpowiadam strzałami, zanim jeszcze kółko celownicze pojawia się na wyświetlaczu mojej przyłbicy. Nie sądzę, żebym trafił w cokolwiek, ale strzelec nie odpowiada z tej samej pozycji.

- Gdzie jest piekielny pies? - pytam przez gen-kom.

- Za drzwiami - odpowiada Logan. Strzela dwukrotnie. - Ograniczona ilość amunicji, więc trzymamy go w rezerwie. Dach!

Podnoszę broń na czas, żeby zauważyć przelotnie głowę i barki strzelca ledwo widocznego za murkiem otaczającym dach budynku na wprost nas. Pojawia się kółko celownicze. Nakrywam je i strzelam jednocześnie z Dunaheem. Trafienie potwierdza rozprysk krwi i tkanki mózgowej, czarny w noktowizji, a wróg znika z pola widzenia.

- Na sąsiednich ulicach wznoszone są barykady - informuje Kanoa. - Stare samochody. Opony, które mogą zostać podpalone. Wróg będzie chciał was osaczyć w obrębie tego kwartału domów.

Mamy rynsztunek i ognioodporne mundury. Nie sądzę, żeby barykady zdołały nas zatrzymać, ale spowolnią naszą ucieczkę i uczynią z nas łatwe cele, gdy będziemy się przez nie gramolić.

- Co się dzieje, Jaynie? Musimy ruszać.

Vasquez przypada obok mnie. Mówi przez gen-kom. System audio mojego hełmu wzmacnia jej głos na tle grzechotu karabinów maszynowych.

- Ta ulica to strzelnica. Przy końcu przecznicy mielibyśmy wielu rannych. Zostaniemy więc w budynku. Wyjdziemy z przeciwnej strony.

- Tam, gdzie wybuchła bomba?

- Potwierdzam. Informacje ze szperaczy wskazują, że po tamtej stronie jest mniej wrogów.

Rozważam to. Oceniam naszą sytuację. Lobby, którego bronimy, jest odcięte od reszty parteru podzielonego na pojedyncze sklepy.

- Przejdziemy górą? Wydostaniemy się przez pierwsze piętro? - Pamiętam wybuch na Manhattanie przed apartamentowcem ojca. - Jesteś pewna, że tamta część domu się nie zawali?

- Jest nietknięta, jeśli nie liczyć powybijanych okien. Łatwo będzie się wydostać. Ty i Escamilla pójdziecie pierwsi. Oczyszcicie nam drogę. Otworzycie drzwi.

Zerkam przez ramię na Logana, Dunaheego i Flynn, utrzymujących nadal wejście do lobby.

- Oddział idzie razem. Nikt nie zostaje z tyłu. Z wyjątkiem tego pierdolonego cerbera. Niech osłania nasz odwrót.

- Taki jest plan. A teraz ruszaj.

Nie lubię zostawiać żołnierzy pod komendą Jaynie. Nie w tym rzecz, żebym jej nie ufał. Ufam. Ale ona nie jest ich dowódcą. Nie zna ich tak, jak ja ich znam. Idę mimo to, bo plan jest rozsądny, a my musimy stąd spieprzać.

- Escamilla!

Wbiegam w dwóch susach na szczyt schodów.

- Idziemy korytarzem.

To zwykły hol pozbawiony jakichkolwiek ozdób, niemal groźny w zielonym zabarwieniu noktowizji. Wytarty chodnik wygląda na czarny. Drzwi po obu stronach są ciemniejsze od ścian.

Escamilla obejmuje prowadzenie. Podążam pięć metrów za nim. Za mną Fadul wchodzi na schody. Przejście korytarzem trwa zaledwie kilka

sekund. Z mieszkań dobiega płacz dzieci i odgłosy wściekłych kłótni. Escamilla dociera do ostatnich drzwi.

- Wyłamać?
- Potwierdzam.

Kopie w nie płytą stopową. Są zrobione z kiepskiego drewna i w miejscu uderzenia rozlatują się w drzazgi. Escamilla kopie ponownie, wywalając zasuwę w chwili, gdy docieram do drzwi. Wsuwam lufę ztkh do wnętrza, żeby się rozejrzeć, a wtedy ze środka pada strzał. Słyszę, jak pocisk przebija zrujnowane drzwi, a Escamillą rzuca w tył.

- Kurwa mać!

Z wnętrza dochodzi płacz dziecka.

Odwalam kopniakiem drzwi na bok i przypadam nisko gotów oczyścić wnętrze z wrogów.

- Nie strzelaj! - rozkazuje Kanoa.

Powstrzymuję się, patrząc na młodą kobietę stojącą w salonie z rozbitym oknem, porzuconymi stolikami i lampami, z rozsypanymi na podłodze książkami i tabletami. Ma na sobie bluzkę i luźne spodnie, a czarnych włosów nie okrywa hidżab. Trzyma oburącz pistolet wycelowany w drzwi na takiej wysokości, na jakiej znajdowałby się mój tułów, gdybym stał. Dziecko, może trzylatek, przywiera do jej nogi i zawodzi. Na bluzce kobiety lśni świeża krew; zakrwawione białe bandaże zasłaniają rany na szyi i skroni. Wiem bez pytania, że pokaleczyło ją szkło z rozbitego okna. Jest jeszcze jedno dziecko, mała dziewczynka, która trzyma w ramionach niemowlę. Czmycha do drugiego pokoju.

- Odłóż broń - rozkazuję kobiecie.

Nie sądzę, żeby mówiła po angielsku, ale rozumie polecenie z tonu mojego głosu. Pojmuje, że nie żartuję, gdy zmieniam położenie karabinu i celuję w chłopca u jej boku. Upuszcza pistolet. Kuca. Podnosi synka i obejmuje go, wtulając jego buzię w swój bark. Wbija we mnie zabójczy

wzrok. Pokazuję jej gestem, żeby poszła za dziewczynką do drugiego pomieszczenia. Idzie czujna, ale idzie.

- Oberwałeś, Escamilla?
- Kopnięcie muła.
- Osłaniaj mnie.

Śmigam za kobietą i chwytam ją za ramię w chwili, gdy przekracza próg pokoju. Próbuje się wyrwać, ale trzymam ją i zaglądam ponad jej barkiem do sypialni, w której jest małe łóżko, szafa i toaletka zasłana przewracanymi małymi flakonikami, figurynkami i maciupkami słoiczkami tuszów do rzęs i perfum; na podłodze leżą odłamki lustra. Otoczona barwnymi poduszkami dziewczynka siedzi przykucnięta w rogu, obejmując zawodzące niemowlę.

- Czysto - mówię, wpychając kobietę do sypialni i zamykając za nią drzwi. - Sprawdźmy okno.

Płyty stopowe miażdżą szkło, gdy idę razem z Escamillą, żeby zająć pozycje po obu stronach futryny okiennej.

- Wchodzę - informuje Fadul; mądre posunięcie z jej strony, bo moglibyśmy spanikować i postrzelić ją.
- Dopilnuj, żeby boczne drzwi pozostały zamknięte -mówię jej.
- Tak jest, sir.

Pistolet kobiety leży wciąż na podłodze; Fadul posyła go kopniakiem w bok.

Ulica w dole usłana jest potrzaskanym szkłem, w którym migoczą refleksy ognia dwóch płonących samochodów. Budynek za nimi zawalił się częściowo, jego dwie pierwsze kondygnacje są odsłonięte. W rumowisku leżą trupy. Słyszę modlących się ludzi. Lamenty rozdzierają noc. Nie widzę jednak nikogo żywego. Bojowa AI nie znajduje żadnych celów.

- Idź, Escamilla. Podejdź, Fadul.

Escamilla przeładowuje bron. Potem płytą stopową zmiata z parapetu okiennego wszystkie odpryski szkła. Fadul się zbliża, gdy on wyłazi przez okno. Oboje obserwujemy ulicę, gdy Escamilla ląduje na trotuarze. Nikt nie strzela do niego, ale słyszę w oddali podniecony okrzyk. Ktoś nas spostrzegł. Doniósł o naszym położeniu. Przypuszczalnie umieścił już zdjęcie na lokalnie preferowanym portalu społecznościowym.

- Ruszaj, Fadul.

Gramoli się na zewnątrz i spada na ziemię w chwili, gdy Jaynie odzywa się przez gen-kom:

- Odpalam ładunki.

Wybuch następuje przed upływem sekundy; głęboki, krótkotrwały grom. Wstrząsa podłogą starego budynku mocniej, niż się spodziewałem. Tynk ścian zarysowuje siatka pęknięć. Kobieta w sypialni krzyczy z przerażenia; dzieciaki zawodzą. Ale dom stoi. To był kontrolowany wybuch, wystarczający do zniszczenia wyposażenia laboratorium ale nie samej kamienicy.

W tym czasie Roman znajduje się już obok mnie przy oknie, a do mieszkania wchodzi Tran. Na zewnątrz, między budynkami, dudnią echa dwóch wystrzałów. Escamilla jest po drugiej stronie ulicy; Fadul na trotuarze pode mną. Żadne z nich nie krzyczy, nie przeklina ani nie pada. Jesteśmy cali. Potem znowu ktoś strzela. Wydaje mi się, że z dachu nad nami. Escamilla potwierdza to przypuszczenie, odwracając się, celując wysoko ze swojego ztkh i wypuszczając dwie serie. Słysząc czyjś krzyk.

- Roman, ruszaj.

- Wróg zna waszą pozycję - ostrzega Kanoa, kiedy nakazuję gestem Tranowi podążyć za Roman. Zjawia się Flynn, więc ją wysyłam także. - Bojówka w liczbie dwudziestu dwóch ludzi wyjdzie za chwilę zza rogu na wschodnim końcu przecznicy.

- Pokryć ogniem wschodni wylot ulicy! - wołam.

Wychyłam się z okna, żeby móc prowadzić ostrzał.

To nie bojówka wypada z za rogu; to tłuszcza. Ich atak nie jest zdyscyplinowany ani zorganizowany. To sami mężczyźni w codziennych ubraniach, dzierżący karabiny szturmowe, które strzelają niemal same z siebie, siejąc pociskami we wszystkie strony. Przywódcy pokazują tym za ich plecami, żeby się kryli, ale na to jest już za późno. Zасыpujemy ich gradem pocisków.

Na jakimś wyższym, abstrakcyjnym poziomie wiem, że tamci ludzie nie powinni być naszymi wrogami. Każdy zabity przez nas tej nocy oznacza przerwane życie, stracone na darmo, ale rozterki nie sprawdzają się w ogniu walki. Moim jedynym celem jest wydostanie stąd podległych mi żołnierzy żywych i zrobimy w tym celu wszystko, co musimy zrobić.

Co najmniej trzech tamtych się przewraca. Reszta się cofa albo próbuje to uczynić, ale wpadają na towarzyszy, którzy wyłaniają się wciąż z za rogu. Padają kolejni. Niektórzy panikują, ale inni utrzymują pozycje i odpowiadają ogniem. Wydaje mi się, że Flynn obrywa. Zatacza się, a potem nurkuje w poszukiwaniu osłony za fragmentem betonu. Roman i Tran strzelają w spokojnym, równym tempie, trafiając albo zmuszając tamtych do ukrycia się.

- Jestem za panem, kapitanie! - woła Dunahee.

Odsuwam się od okna.

- Wyłaż. - Wskazuję lufą ztkh, o co mi chodzi. Zerkam na ikonę Flynn. Jej kolor zmienił się na żółty.

- Ruchy, Shelley! - mówi Jaynie, wpadając do pokoju. -Za Dunaheem.

- Gdzie jest Logan?

Mój zastępca wbiega do mieszkania.

- Tutaj. Idź.

Dunahee jest już na zewnątrz, wyłażę więc przez okno. Spadam na ziemię. Martwa siostra absorbuje impet uderzenia. Odwracam się, żeby włączyć się do walki, ale obrońcy wycofali się za budynek. Mimo to bojowa AI podsuwa mi kółko celownicze, plasując je o przecznicę dalej w oknie wyższego piętra. Żywy cel; kiedy strzelam, widzę błysk ognia wylotowego z broni przeciwnika. A potem Jaynie i Logan lądują na ulicy i jesteśmy gotowi do wycofania się.

- Logan, obejmij prowadzenie - warczy Jaynie.

Wszelkie nadzieje na niezauważony odwrót rozwiały się po pierwszych dwóch minutach akcji. Obecny cel to dotarcie do kryjówki i zamelinowanie ekwipunku, a potem krzepienie się nadzieją, że Papa zdoła ewakuować nas jako anonimowych cywilów.

Na wyświetlaczu mojej przyłbicy pojawia się niebieska linia. Logan rusza szybkim biegiem wzdłuż wyznaczonej trasy, mijając z bliska jedno z płonących aut. Escamilla podąża kilka kroków za Loganem. Reszta posuwa się w zespołach, osłaniając się wzajemnie. Jaynie jest w parze z Fadul. Roman i Dunahee znajdują się kilka metrów za nimi. Ja idę ostatni, w grupie z Tranem i Flynn. Ścigają nas pociski. Niewiele ich, ale przelatują zdecydowanie zbyt blisko. Słyszę świst koło głowy, brzęk rykoszetów od betonowych ścian.

To długa przecznica. Wyznaczona trasa nakazuje nam skręcić na jej końcu w prawo, w szerszą ulicę. Cieszę się na to, bo zejdziemy w ten sposób z linii ognia. Kiedy jednak Logan dociera do rogu, niebieska linia zmienia przebieg, skacząc w przód.

- Na trasie wznoszone są barykady - informuje Kanoa. -Uzbrojeni obrońcy organizują się z każdej strony.

Escamilla zatrzymuje się na rogu i zapewnia osłonę Loganowi, gdy ten gna przez odkrytą ulicę. W wielopiętrowych budynkach po obu stronach są strzelcy, ale żaden z nich nie wydaje się snajperem. Rolę przejmują Jaynie i Fadul, pakując pociski w okna, w których została wykryta aktywność nieprzyjaciela. Nie ma mowy, żeby wiedzieć, co się kryje za tymi oknami; możemy jedynie strzelać, gdy AI wyznacza nam cel.

Escamilla przebiega przez ulicę, a po nim Roman i Dunahee. Potem ruszają Jaynie i Fadul.

Skrzyżowanie jest pod ostrzałem, a mamy też napór za sobą. Wysyłając oddział na drugą stronę, spodziewam się, że lokalna bojówka nasili atak, jednak zamiast tego następuje przerwa w ostrzale. Jakby ktoś ściszył mój system audio. To na tyle dziwne, że się oglądam i widzę psa oddziałowego, trzymającego straż na zrujnowanej ulicy. Tkwi wśród gruzów częściowo zasłonięty, ale jest widoczny dla bojówkarzy na wschodnim końcu uliczki. Nie strzela - jeszcze nie - i oni też nie strzelają.

Sądzę, że ich przestraszył. Oslania nasz odwrót, wyłącznie onieśmialając wrogów, ale to nie może trwać wiecznie. Za minutę, może mniej, ktoś przyniesie granatnik przeciwpancerny, żeby wyeliminować zagrożenie.

Wtedy już dawno nie powinno nas tutaj być.

- Ruszaj, Shelley! - rozkazuje Jaynie.

Biegnę za oddziałem, sadząc susami przez skrzyżowanie. Przez kilka sekund, gdy jestem na otwartej przestrzeni, zerkam w obie strony ulicy. I tu, i tam widzę tłumy bojówkarzy. Są dwieście metrów dalej, zgromadzeni wokół płonących barykad, z których wzbijają się pod niebo kłęby czarnego dymu. Przebiegam przez skrzyżowanie, ale sytuacja przed nami nie wygląda wcale lepiej. Siedemdziesiąt metrów dalej na ulicę wypychane są stare samochody, wznoszona jest kolejna barykada. W powietrzu gwizdzą pociski wystrzeliwane przez obrońców.

- Dwadzieścia pięć metrów z przodu - odzywa się Kanoa. - W zaułek. Będziecie musieli przejść przez płot, ale to was doprowadzi do następnego kwartału domów.

Trasę pokazuje wyświetlona linia.

To jest nowa dzielnica zabudowana trzypiętrowymi blokami mieszkalnymi, cztery domy na przecnicę, każdy budynek identyczny z sąsiednim. Kwartały domów są oddzielone szerokimi ulicami. Pomiedzy domami biegną wąskie alejki.

Logan rusza pierwszy, a reszta oddziału za nim, utrzymując niewielkie odstępy. Mamy mundury maskujące, więc dla nieuzbrojonego oka musimy się wydawać poruszającymi się duchami, sugestią istnienia, przenikającą poprzez gęste cienie rzucane przez stojące wzdłuż ulic mury i budynki. To jednak wystarczy, żeby uczynić z nas cele. Pociski gwizdzą w powietrzu, ale większość z nich przelatuje nad naszymi głowami lub rykoszetuje od ścian domów.

Logan skręca i gna w stronę wyznaczonego zaułka. Escamilla podąża za nim. Następny jest Dunahee, ale się potyka. Roman łapie go za ramię i pomaga mu utrzymać równowagę. Znikają razem za rogiem. Za nimi ruszają Jaynie i Fadul, a potem Flynn i Tran.

Ja idę ostatni. To pozwala mi mieć oko na wszystkich żołnierzy oddziału, ale nie zwlekam. Rytm kanonady wzrasta. Kiedy skręcam za róg, kula uderza w kamieniarkę, obrzucając moją przyłbicę gradem odprysków. Inna trafia w tył hełmu, ale jest niemal pozbawiona energii i nie wstrząsa mną zbyt mocno.

Zaułek, w którym się znajdujemy, ma ledwo dwa metry szerokości i jest zakończony drucianą siatką oddzielającą uliczkę od innych budynków tego kwartału. Logan jest już po drugiej stronie. Escamilla zeskakuje na ziemię obok niego. Biegną w stronę przeciwnego wylotu alejki, a my przechodzimy przez ogrodzenie.

- Prosto przed siebie - mówi Kanoa. - Przez ulicę i do kolejnego zaułka. Nie zwalnijcie.

Widzi wszystkie ulice, alejki, zaułki, dachy domów. To pozwala mu obliczyć, kiedy musimy przebiec ulicę, zanim dopadną nas bojówkarze. Może nawet zajrzeć do niektórych mieszkań, korzystając ze szperaczy, które podążają za nami.

- Cel - informuje mnie. - Czterdzieści stopni.

Kiepsko, że dzielnica ma własny system nadzoru.

Spoglądam w górę, widzę kółko celownicze, nakrywam je i naciskam

spust, strzelając serią, ale nie dość szybko. Granat już leci wysokim łukiem. Ekspłduje na ulicy; wstrząs wybuchu sprawia, że Flynn nurkuje w kolejny zaułek.

- Biegiem! - rozkazuje Kanoa i obaj z Tranem ruszamy sprintem, żeby dogonić pozostałych.

Wyznaczona trasa przeprowadza nas przez kolejną alejkę i następną ulicę. Napotykamy sporadyczny ogień. W krótkich przerwach ciszy między strzelaninami mikrofony hełmu przynoszą mi fragmenty rozmów po arabsku, wychwycone w mieszkaniach nad naszymi głowami. Są od razu tłumaczone na angielski, ale nie mają dla mnie żadnego sensu. Nieważne. Istotne jest to, że ta okolica jest pełna ludzi. Nie muszę ich widzieć, żeby wiedzieć, że szukają nas, rozmawiają o nas i współpracują ze sobą, żeby nas wytropić, że posługują się telefonami i wizorami w celu przekazywania naszej lokalizacji... Ale komu? L-AI, która strzeże tej okolicy?

Przypuszczalnie nie. Naszira to system ochrony, wyszkolony do przetwarzania danych. W ten sposób zamaskowała istnienie laboratorium. To nie jest bojowa sztuczna inteligencja.

W budynkach przed nami zapalają się światła, gdy mieszkańców budzą odgłosy strzałów - po czym gasną ponownie, kiedy ludzie się dowiadują, co się dzieje.

- Kanoa, czy oni mają drona? - pytam szeptem. - Mogę go załatwić?

- Wykorzystują szperacze.

Tak samo jak my.

Nie zestrzelę eskadry szperaczy. Są małe i latają tak nisko, że każdy strzał niesie ryzyko zranienia cywilów; są też na tyle tanie, że na podporządku trzymane są przypuszczalnie zapasowe, przygotowane do wypuszczenia, jeśli pierwsza ich fala zostanie strącona.

Nie będzie łatwo zgubić naszych prześladowców i wyślizgnąć się stąd.

- Możemy się wydostać tylko w ten sposób - szepczę, polegając na tym, że system audio wzmocni mój głos do słyszalnego poziomu - że przekonamy miejscowych obrońców, że ściganie nas nie jest warte ich życia.
- Przyjąłem - odpowiada Kanoa ze złowieszczo śmiertelnym spokojem.

Ładujemy ponownie broń i wracamy poprzez labirynt uliczek, a Kanoa usiłuje doprowadzić nas do najbliższej kryjówki. Za sprawą wielu godzin, które spędziłem na zgłębianiu symulowanej topografii okolicy, wiem, że jesteśmy od niej w odległości zaledwie kilku przecznic, ale zamknięci między barykadami, ścigani przez bojówki i ostrzeliwani z okolicznych mieszkań nie mogliśmy się tam przedrzeć. I mamy trzech rannych, których ikony świecą się na żółto.

Proponuję postój.

- Jaynie! Musimy się zatrzymać i opatrzyć rannych.

To niebezpieczna decyzja. Nie chcemy znaleźć się w potrzasku, ale Dunahee krwawi z rany na udzie, Roman została trafiona w dłoń i straciła mały palec, a Flynn jest pokaleczona przez odłamki.

Jaynie zgadza się ze mną. Włamujemy się więc do sklepu z pustaków i przyczajamy w środku. Na zewnątrz zawodzą syreny i słyszę odległe dudnienie nadlatujących śmigłowców. Strzelanina trwa na co najmniej trzech frontach.

- Kanoa, co tam się dzieje, do diabła? Cała ta kanonada nie może być skierowana na nas.
- Wybuchły walki peryferyjne.
- O kurwa.
- Lokalne bojówki walczą ze sobą od lat.

- Wywołaliśmy kolejną wojnę.
- Zrobiliśmy, co musieliśmy.

Sądzę, że członkowie Sierpnia-19 wybrali tę okolicę na lokalizację swojego ośrodka nie tylko dlatego, że jest tutaj Naszira, ale także z tego powodu, że wiedzieli, iż każda prowokacja w tej okolicy spotka się z gwałtownym i silnym odwetem. To wyrachowana, ale skuteczna strategia, polegająca na schowaniu się w cieniu awanturniczych cywilnych ugrupowań. Nie trzeba opłacać armii, a tajny ośrodek pozostaje ukryty na widoku. Nie wydaje mi się, żeby nasz wydział wywiadu rozumiał to, kiedy wysłano nas na tę misję.

Grad pocisków wpada ze świstem do wnętrza sklepu.

- Nie odpowiadajcie ogniem - rozkazuje surowo Jaynie. - Niech się zastanawiają, czy naprawdę tutaj jesteśmy.

Trzeba tylko kilku minut, że skleić rany Flynn i Roman i ustabilizować ich stan. Bardziej martwi mnie Dunahee. Choć rana uda nie zagraża jego życiu, ma dwa poważne wgniecenia w hełmie.

- Źle widzisz? - pytam go.
- Możliwe.

Jeśli ma wstrząśnienie mózgu, może się przewrócić bez ostrzeżenia.

- Roman, trzymaj się blisko Dunaheego.
- Tak jest, sir.

Rozdzielamy pomiędzy siebie pozostałą nam amunicję. Przygotowujemy się do wyruszenia, kiedy Kanoa łączy się ponownie ze mną.

- Aktualizacja misji.

Nasze miejsce docelowe się zmieniło. Już nie staramy się dotrzeć do kryjówki. Za tym labiryntem uliczek osiedla mieszkaniowego znajduje się magazyn ropy naftowej. Za jego zbiornikami rozciąga się rozległa asfaltowa nawierzchnia, położona z myślą o przyszłej ekspansji bazy paliwowej.

- Idźcie tam - mówi Kanoa. - Zostaniecie ewakuowani.
- Jak? Przez kogo?

Waha się.

- Przez lokalną firmę ochroniarską. Zapewnią transport.

Chińskie śmigłowce pilotowane przez najemników. Marynarka wojenna USA ma niedaleko wybrzeża flotę okrętów, ale ze względu na konieczność zachowania anonimowości tej operacji zostaniemy przekazani ekipie, która pracuje dla najhojniejszego oferenta. Hoo-yah.

- Liczę, że nie dostaną lepszej propozycji, zanim nas stąd wywiozą.
- Mam nadzieję, że już jej nie otrzymali.

To zamyka mi usta. Jeżeli Kanoa powiedział coś takiego podczas trwającej operacji, to znaczy, że martwi się naprawdę.

- Miejcie oczy otwarte - dodaje.
- Przyjąłem.

Jayne otrzymuje wiadomość od swojej opiekunki. To Delphi - myśl, która wywołuje ukłucie żalu. Ale tak jest lepiej.

Vasquez zwraca się do oddziału:

- Opuszczamy tę dzielnicę. Jeszcze tylko kilka przecznic. Gdy tylko wyjdziemy z osiedla, skończy się strzelanina. Potem mamy do

przebiegnięcia łatwe półtora kilosa do miejsca odlotu. Będzie dobrze.

Nie wspomina o prywatnej firmie ochroniarskiej. Ja też nie.

Na mapie oddziału wyświetla się nowa trasa. Pokazuje naszą lokalizację oraz znane pozycje wroga. Kilka przecznic na północ stąd trwa silna wymiana ognia, ale to nas nie dotyczy ani nie odwróciło też uwagi ścigających nas bojówek. Wiedzą, gdzie jesteśmy. Wznoszą barykady, żeby zamknąć nas między nimi, i chociaż mapa nie pokazuje tego domyślam się, że ściągają cięższą bron. Zanim dotrzemy do miejsca odlotu, będziemy musieli ominąć ich, wyjść z terenu osiedla, przekroczyć kanał, przejść przez dzielnicę domków jednorodzinnych, a potem przez szerszy kanał. Zapowiada się długa droga.

Jayne nakreśla plan. Na zewnątrz znajdują się uzbrojone grupy, które na nas czekają. Zamierzamy je zaskoczyć.

- Dobra - stwierdza Jaynie, gdy mapa znika. - Ruszajmy.
- Hoo-yah - odpowiadamy cicho.
- Wykonać.

Otwieram kopniakiem drzwi. Po drugiej stronie ulicy stoją kolejne bloki mieszkalne, ciągnące się bez końca paskudne pudełka dla ludzi, którzy nie mają dokąd pójść.

Po otwarciu drzwi słyszymy krzyki i strzały, które nie padają nigdzie w pobliżu nas. Flynn i Dunahee wychylają się na czas niezbędny do odpalenia granatów na ulicę - podwójna eksplozja, która ma zmusić przeciwników do schowania się. Logan i Escamilla wychodzą na zewnątrz w deszcz odłamków i wystrzeliwiają dwa kolejne granaty, tym razem w dwie czarne półciążarówki, które czekają u wylotu ulicy, ze strzelcami stojącymi na pakach.

Fadul i ja jesteśmy tylko krok z tyłu. Kryjemy ogniem przeciwległy wylot ulicy i ostrzeliwujemy cele wskazane przez AI, starając się przekonać wszelkich ewentualnych wrogów, żeby się lepiej, kurwa, nie pokazywali.

- Ruszać! - warczy Jaynie. - Ruchy, ruchy, ruchy!

Fadul zostaje ze mną. Strzelamy cały czas, aż wszyscy nasi wybiegną na zewnątrz, a potem gnamy z całych sił obok wraków dwóch półciężarówek. Na asfalcie leżą rozrzucone, zakrwawione i poparzone ciała mężczyzn oraz ich broń. Większość z nich żyje nadal. Kiedy jeden sięga po karabin, odsuwam kopniakiem broń i biegnę dalej, ścigany przez wzmagającą się kanonadę.

Jestem w pół kroku, kiedy seria przeszywa mój plecak. Siła uderzenia wytrąca mnie z równowagi. Zataczam się na ceglana ścianę, która eksploduje mi przed twarzą, trafiona kolejnym gradem pocisków.

Fadul jest przede mną. Odwraca się, żeby strzelić do tego, kto mnie zaatakował. Okręcam się w miejscu i zapewniam jej wsparcie ogniowe. Tran dołącza do nas. Trzeba może dwudziestu sekund, żeby przekonać napastników do wycofania się. Potem odwracamy się i biegniemy dalej, a powietrze drży od grzmotu szarżujących helikopterów.

- Kryć się! — wołam przez gen-kom.

Nie ma jednak gdzie. Nie na ulicy. Musimy się schować w budynku.

- Do środka! Do środka! - rozkazuje Jaynie, skacząc ku wejściu do najbliższego domu.

Logan i Escamilla dołączają do niej, celując z karabinów w drzwi, gdy Jaynie wywała je z buta. Wpadają do środka. Nikt do nich nie strzela.

Następna idzie Roman z Dunaheem. Flynn jest tuż za nimi, gdy helikopter nadlatuje nisko z rykiem. Nie zdążę dobiec do sieni bloku. Opadam do przykłąku pod ścianą, licząc na to, że zamaskuje mnie mój zaawansowany kamuflaż. Dzięki temu mogę się przyjrzeć dobrze śmigłowcowi. Nie poluje na nas. Mija naszą pozycję o przecnicę dalej z wyłączonymi światłami, ale jest dość jasno, żebym dostrzegł w noktowizji jego oznaczenia.

- Wojsko irackie - szepczę przez gen-kom.

Nie mogę być tego pewny, ale sądzę, że przelatuje nad zbombardowaną ulicą obok laboratorium. Maszynę wita ogień karabinowy. Odpowiada ogniem większego kalibru.

- Jasny gwint - szepcze Fadul. Jest skulona kilka metrów ode mnie. - Strzelają do własnych obywateli?
- Może przysłał go Abajian - mówi Tran. - Może przekonał Irakijczyków, że to powstanie zbrojne.

Myślę coś innego: że to nie Abajian przekonał armię iracką.

- Może zrobiła to Czerwień.

To Dunahee wypowiada za mnie tę opinię.

- Nie obchodzi mnie to - stwierdza Jaynie. - Ruszajmy. Wychodzimy ponownie na ulicę i gnamy w stronę obrzeży osiedla. Ktoś wystrzeliwuje z okna dwa pociski.
- Cel, Kanoa?
- Odpuść. To jakiś dzieciak.

Trasa prowadzi nas w prawo, potem w lewo, później znowu w prawo, przez ulice i alejki, i skierowany na nas ogień cichnie wkrótce. Ulice z przodu są puste. Robi się tak cicho, że słyszę słabe, owadzie brzęczenie szperaczy przeczesujących okolicę.

Jakbyśmy przekroczyli jakąś niewidoczną dla nas granicę innej dzielnicy, której mieszkańcy uznali, że najlepiej będzie ukryć dzieci w szafach oraz pod łózkami i się przycziąć.

To słuszna decyzja.

Nie napotykać oporu, poruszamy się szybko. Musimy minąć tylko trzy budynki, żeby zostawić za sobą osiedle i dotrzeć do pierwszego kanału.

Zaczynam myśleć, że może się nam udać, ale Escamilla niweczy moją nadzieję, mówiąc:

- Mam złe przeczucie.
- Ja też - potwierdza Logan. - Zejdźmy z ulicy.
- Potwierdzasz, Shelley? - pyta Jaynie.

Nie jestem w stanie tego potwierdzić. Usunąłem odbiornik, więc nie otrzymuję już ostrzeżeń, nie miewam przeczuc. Ufam jednak swojemu oddziałowi.

- Musimy stąd zniknąć.
- Pracuję nad tym — odzywa się Kanoa. - Cofnijcie się. Wejdźcie w alejkę.

Wyznaczona trasa się zmienia, przewija poza mnie, a potem wcina w dróżkę między dwoma domami.

- Ruchy! - wołam, odwracając się i schodząc z ulicy, po czym zajmuje pozycję na rogu alejki, co pozwala mi obserwować zwrócone ku nam budynki.

Tran jest najbliżej. Skacze tuż za mną i zajmuje stanowisko obronne kilka metrów dalej, za zaparkowanym samochodem. Pozostali nadal się przepychają, gdy zauważam ruch w oknach na drugim piętrze po przeciwnej stronie ulicy.

Powinienem był wiedzieć, że ta cisza jest podejrzana. Szperacze, które słyszałem, nie należały do nas.

- Kryć się! - warczy Kanoa. — Ruch na wszystkich...

Strzelam już, gdy z okien po obu stronach ulicy sypią się pociski. Escamilla obrywa od pierwszej salwy. Gdy pada, jego ikona rozbłyskuje jaskrawą czerwienią na obrzeżach mojego pola widzenia. Flynn także zostaje trafiona. Z jej barku wystrzela rozprysk krwi. Pod wpływem

energii pocisku Flynn się zatacza, ale i tak udaje się jej wycofać w głąb alejki. Jej ikona pozostaje żółta. Dunahee szarpie się, potyka, ale podobnie jak Flynn utrzymuje się na nogach i z pomocą Roman także dociera do alejki.

Następna jest Fadul, która mija mnie susami. Kiedy tylko dociera do alejki, odwraca się, wychyla i wystrzeliwuje granat. Eksplozja wstrząsa uliczką i powstrzymuje atak, dzięki czemu Logan może się schylić i zaczepić hak ramienny za wspornik barkowy martwej siostry Escamilli. Jaynie mu pomaga i oboje ciągną Escamillę do schronienia, jakie zapewnia alejka, podczas gdy Tran i ja ostrzeliwujemy pozycje wrogów w budynku po przeciwnej stronie ulicy.

Fadul kuca obok mnie i też zaczyna strzelać.

- Skąd, kurwa... - mówi szeptem między seriami z karabinu, a jej głos wzmacnia gen-kom. - Skąd, kurwa, ci jebańcy... znają, kurwa... naszą trasę?

Dobre pytanie. To najbardziej skoncentrowany ogień z jakim się spotkaliśmy. Silniejszy od ostrzału w przecznicy po opuszczeniu laboratorium oraz późniejszej kanonady przed sklepem. To zasadzka, która musiała zostać przygotowana jakiś czas temu, gdyż inaczej nasze szperacze wykryłyby obecność bojówkarzy gromadzących się w domach. Gdyby Escamilla nas nie ostrzegł, moglibyśmy znajdować się zbyt daleko od tej alejki i zostalibyśmy wystrzelani na ulicy jak kaczki.

- Fadul! - warczy Jaynie. - Ruszaj. Prowadzisz. Zabij wszystko, co ci stanie na drodze.

- Tak jest, ma'am!

Fadul rusza biegiem. Jaynie wysyła za nią resztę oddziału. Nakrywam kolejne kółko celownicze, i następne, cały czas widząc kątem oka czerwoną ikonę Escamilli, i pragnąc, żeby nie zmieniła koloru na czarny.

- Tran, Shelley - odzywa się Jaynie. - Ruszajmy.

- Tuż za tobą.

Daję im kilka sekund, żeby się oddalili, a potem odwracam się i biegnę za nimi.

Ograniczając tę alejkę bloki wznoszą się w postaci pozbawionych okien fasad, ale ona sama jest szersza od uliczek, które już przeszliśmy. Jest dosyć miejsca, żeby po jednej stronie mogły stać zaparkowane samochody. Mam za sobą kilka pierwszych aut, gdy Kanoa odzywa się cichym, natarczywym tonem:

- Schowajcie się między samochodami.

Tran jest kilka metrów przede mną. Nurkuje, znikając z pola widzenia, a ja przypadam do przykłąku między dwoma małowitrazowymi sedanami.

- Na początku alejki znajduje się siedmiu bojówkarzy, a za nimi gromadzą się kolejni. Wy, Shelley i Tran, musicie ich powstrzymać. Dajcie nam czas na wyprowadzenie rannych.

- Zrozumiałem. Tran?

- Tak jest, sir! Nie przejdą.

Zerkam na mapę oddziału. Fadul się zatrzymała, jakby chciała zaczekać, żeby reszta oddziału ją dogoniła. Pozostali są niedaleko za nią. Flynn, pomimo odniesionych obrażeń, pomaga Loganowi nieść Escamillę, a Jaynie i Roman opiekują się Dunaheem.

Odsuwam mapę.

- Kanoa, masz widok na ulicę?

Przekazuje materiał wideo na wyświetlacz mojej przyłbicy. Obraz obejmuje teren od mojego sąsiedztwa po dachy. Ukazuje tłum uzbrojonych ludzi u wylotu alejki. Dwóch z nich wysuwa się zza rogu i przykłąka za samochodami.

- Wstrzymaj ogień, Tran - mówię, skupiając się na tym, żeby mój umysł pozostał spokojny, chłodny, analityczny. To staje się standardowym

stanem mojego ducha.

Tamci dwaj porozumiewają się szeptem. Jeden się wychyla, spogląda w głąb alejki, jakby starał się wypatrzeć, gdzie jesteśmy. Nie sędzę, żeby dysponował noktowizją. Czekam. Chcę, żeby się nie śpieszyli, zastanowili nad tym, co robią. Im dłużej to potrwa, tym więcej czasu będzie miał nasz oddział, żeby dotrzeć do kanału. Dołącza do nich jeszcze dwóch. Kolejny bojówkarz rozmawia przez telefon poza wylotem alejki. Domaga się precyzyjnych informacji na temat naszej pozycji.

- Cel na dachu - mówi Kanoa, usuwając przekaz wideo z mojego wyświetlacza.

Spoglądam w górę, nakrywam kółko celownicze i strzelam. Rozlega się krzyk. Strzelec upuszcza karabin. Niemal uderza mnie spadająca broń, a napastnik przewraca się w tył, na dach.

Tran strzela w głąb uliczki i trafia w czoło faceta, który wygląda zza rogu, żeby rozpoznać sytuację. Dwaj mężczyźni przykucnięci za samochodami wychylają się, próbując wstrzelać się w cel. Jeden z ich pocisków rykoszetuje od cegły, dziurawi zaparkowany samochód i uruchamia jego alarm. Inny wgryza się w chodnik, wyrzucając betonowe odpryski.

Strzelam pod autami, co wypędza ich na otwartą przestrzeń. Tran trafia jednego, powalając go na jezdnię. Rani drugiego, który znika z pola widzenia. Dwóch ostatnich ucieka za róg.

- Cofnąć się - poleca Kanoa.

Obracam się między samochodami i ruszam biegiem. Tran gna kilka metrów przede mną, gdy Kanoa każe mi ponownie się schować. Kucam między autami, a kule przelatują ze świstem, odbijają się z brzękiem, trafiają w samochody, rozbijają ich szyby i dziurawią karoserie. Jakiś bojówkarz próbuje mojej sztuczki i strzela pod pojazdami. Dwa pociski rykoszetują od moich robocich nóg, posyłając błyskawice bólu do bioder, ale protezy wytrzymują.

Czekam na przerwę w wymianie ognia, a potem wysuwam ztkh poza

obręb osłaniającej mnie karoserii auta, żeby przez kamery lufowe przyjrzeć się sytuacji. Jest tam sporo ludzi. Bojowa AI podsuwa kółka celownicze. Nakrywam je i pozwalam, żeby AI naciskała spust. Posyła serie pojedynczych strzałów, które zmuszają dwóch bojowników do ukrycia się, a dwóch innych powalają na ziemię.

Ruszam, gdy tylko pada ostatni.

Wyznaczona trasa błyszczy u moich stóp. To prosta linia prowadząca do samego końca alejki, skąd szeroka ulica biegnie w stronę kanału.

- Gdzie jest Tran? - sapię.
- Za rogiem - odpowiada Kanoa.

Nie mogę uwierzyć, że Tran dotarł już do końca alejki. Chciałbym biegać tak szybko. Gnam najszybciej jak potrafię, aż nazbyt świadomy, że w ruchu jestem całkowicie bezbronny. Za moment strzelanina wybuchnie na nowo.

Nie chcę dostać kulą w plecy.

Chcę się wydostać w cholerę z tego miasta.

Za mną rozlega się kanonada strzałów. Przynajmniej jeden pocisk odbija się z brzękiem od hełmu. Kilka uderza w plecak. Nie zwalniam. Potem Kanoa wrzeszczy do mnie:

- Dlaczego zboczyłeś z trasy?
- Nie zboczyłem!

Szlak błyszczy pod moimi stopami.

- Zboczyłeś! Przegapiłeś skręt. Powinieneś być... - Urywa w połowie zdania, a ja nurkuję pomiędzy dwa samochody. Wychyłam się i strzelam tylko po to, żeby pokazać wrogom, że nadal jestem niebezpieczny.

- To nie ma sensu - odzywa się Kanoa. - Patrzę na kopię twojej mapy,

Shelley. To, co widzisz, nie jest właściwe. To nie jest trasa, którą powinieneś był obrać.

- Więc napraw to, kurwa!
- Aktualizuję.

Wystrzeliwuję jeszcze kilka pocisków, a potem zerkam na ikonę mapy oddziału, żeby się rozwinęła. Moich żołnierzy nie ma nigdzie w pobliżu. Opuścili wcześniej alejkę i skręcili w stronę kanału. Są już nad wodą.

- Cholera.

Moje barki unoszą się ciężko, ręce mi drżą, pot spływa po twarzy, ale umysł mam jasny, mechaniczny.

- Nie mogę wrócić.
- Nie. Musisz dotrzeć na koniec alejki. Nie ma innego wyjścia.

Dobra.

Strzelam znowu. Wymieniam magazynek. Do końca uliczki czeka mnie długa droga.

Przed rozpoczęciem misji instruowano nas, żebyśmy ograniczyli siłę naszego uderzenia, ale wojny nie da się kontrolować. Nigdy nie toczy się tak, jak obiecali planiści. Przenoszę palec na drugi spust. Dobrze wycelowany granat mógłby zamknąć tę alejkę, opóźnić pościg co najmniej o kilka sekund.

Naciskam spust.

Nic się nie dzieje.

Sprawdzam magazynek z granatami. Nadal są dwa. Próbuję ponownie.

Nic, a jestem pod mocnym ostrzałem. Kule odskakują od otaczających mnie pojazdów, rykoszetują po ziemi. Próbuję odpowiedzieć ogniem, żeby

zniechęcić bojówkarzy, ale kiedy naciskam pierwszy spust, nic się nie dzieje. Jakby mój ztkh został wyrejestrowany, jakbym trzymał broń innego żołnierza.

- Kanoa! - W ciągu ostatnich dwóch sekund moje serce uderzyło z dziesięć razy. - Jesteś tam, Kanoa?

Brak odpowiedzi.

Sprawdzam ikony na wyświetlaczu przyłbicy. Pokazują mi, że jestem zalogowany do gen-komu, ale nie mam łączności.

- Jaynie, jesteś tam? Odpowiedz mi! Logan?

Nic, chociaż widzę ich nadal na mapie. Są już po drugiej stronie kanału, między domami. Tak jakby nie wiedzieli nawet, że nie ma mnie z nimi.

Ponownie wysuwam ztkh zza bagażnika samochodu, żeby spojrzeć przez kamery lufowe w głąb uliczki. Nie ma powodu, żeby kamery działały, a jednak funkcjonują. Jestem więc połączony nadal z bronią. Obraz z kamer pojawia się na wyświetlaczu przyłbicy—widzę strzelających zza osłony zaparkowanych aut - ale nie mogę odpowiedzieć ogniem. Spust karabinu jest nieczynny.

Mój system został zhakowany.

Ja zostałem zhakowany. Odizolowany.

I wiem, co się stało. Naszira, L-AI, która nadzoruje ten okręg, nie jest bojową sztuczną inteligencją, ale się adaptuje. Musiała spenetrować moje układy elektroniczne. Być może zhakowała Czerwień albo przejęła jedynie zadanie kierowania mną. Czy nie to powiedział mi Issam w Budapeszcie? Że zadania zostają przenoszone do lokalnie dominującej AI?

Naszira przejęła moją główną broń i opanowała środki łączności. Przynajmniej neuronetka nie jest zagrożona. L-AI nie może dotrzeć do mojej głowy. Muszę jednak stąd wypierdalać, zanim zaatakuje martwą siostrę. Zarzucam ztkh na ramię, a potem wydaję pistolet. Nie ma elektroniki zablokowanej z systemem, więc powinien działać.

Nie chcę zostać schwytany. Zaledwie kilka godzin temu mieszkańcy tego miasta nie byli moimi wrogami, ale nasz atak to zmienił.

Strzelam szybko dwa razy w głąb alejki, odwracam się i biegnę.

Za moimi plecami wybucha kanonada strzałów. Pociski uderzają w mój hełm, walą w plecak, rykoszetują z brzękiem od szkieletu martwej siostry. Jedna kula rani mnie w udo, druga w ramię.

Do wylotu uliczki jest kurewsko daleko, a na jej końcu nie czeka mnie wolność. Zza osłony, jaką dają budynki, zerkają na mnie kolejni bojówkarze - trzech, czterech mężczyzn. Zwalniam, zastanawiając się, dlaczego nie strzelają. Potem muskam płytą stopową ziemię w głębokiej dziurze w jezdni i jej nawierzchnia eksploduje. Rama martwej siostry obraca się w powietrzu, zabierając mnie ze sobą. Przez cały czas jestem dziwnie świadomy kurzu, zapachu ładunku wybuchowego, wirujących światel odległych mieszkań, a potem nurkuję ponownie ku ziemi i spadam na maskę samochodu z dźwiękiem metalu uderzającego o metal.

Najdziwniejsza jest cisza, jaka następuje potem. Nie wiem, czy ogłuchłem, czy mój hełm uległ uszkodzeniu, czy czas się zatrzymał, ale nie słyszę żadnych strzałów. Żadnych głosów. Żadnych syren. Ani śmigłowców. Nawet bicia własnego serca.

Niczego.

Jakby wojna przeszła obok.

Kiepsko, że to nie trwa długo.

Czas rusza z kopyta wraz z doznaniem tępego żaru lufy wciśniętej mocno pod brodę. Gdy spust zostanie naciśnięty, pocisk przeszyje mi czaszkę. Ktoś wydaje rozkaz, którego nie rozumiem. Mnóstwo ludzi mówi naraz. Gniewny zgiełk niezrozumiałych wypowiedzi, gdy wiele rąk pracuje nad zwolnieniem zatrasków przypinających mnie do martwej siostry. Ktoś łapie mój nadgarstek i wykręca mi rękę. Wylot lufy wciska się głębiej w moje podgardle. Hełm zostaje zdjęty. Paski plecaka rozpięte.

Stawiają mnie na nogach. Wyrrywam rękę z czyjegoś uchwytu i sięgam po jeden z granatów, które mam w kamizelce kuloodpornej. Jest jednak problem. Nie mam już prawej stopy. Robocia noga przepadła, oderwana wybuchem w kolanie, gdzie znajduje się szybkozłącze zaprojektowane w celu zminimalizowania uszkodzeń przegubu. Nogawka jest poszarpana i zakrwawiona. Lewa stopa jest nadal na swoim miejscu, ale zalana krwią wygląda jak ludzka kończyna odarta z ciała.

Przewracam się, ale podtrzymują mnie czyjeś dłonie. Wyrrywam się, lecz rąk jest zbyt wiele. Napastnicy odczepiają kaburę pistoletu, zdzierają ze mnie kamizelkę kuloodporną i kurtkę munduru polowego. Rozbierają mnie do T-shirtu, a potem rozcinają go, jakby chcieli się upewnić, że jestem pod nim człowiekiem. Kto może ich winić, skoro widać tytanowe kości mojej lewej stopy? Pozbawiają mnie także spodni, a potem jestem całkiem nagi; krwawię z obu ud, ale nic mnie nie boli, nie proszę o łaskę, a oni jej nie okazują. Dlaczego mieliby to zrobić?

Wrzawa gniewnych głosów milknie, gdy kontemplują moje sztuczne kości. W tej chwili spokoju docierają do mojej świadomości inne dźwięki: odległej wymiany ognia, warkotliwego grzmotu helikopterów oraz głos Delphi - sądzę, że to częściowo moja wyobraźnia - mówiącej: „Trzymaj się. Nadchodzimy”. Tłum ogarnia ponownie oburzenie. Słysząc zawrota i wściekłe oskarżenia. To są osamotnieni ojcowie, rozpaczający przyjaciele. Moją szyję otacza lina.

Kto może ich winić?

Mogą wlec mnie na linie, ale nie robią tego, tylko prowadzą do końca alejki na tyle sprawnie, na ile mogę kuśtykać na jednej nodze, wspierany przez dwóch silnych mężczyzn trzymających mnie pod pachy. Dociera do mnie smród: potu, krwi, prochu i zgnilizny. Od końca uliczki do kanału jest zaledwie pół kwartału domów, a dalej znajduje się kładka dla pieszych, przerzucona nad stojącą wodą. Mostek nie jest wysoki, ale jeśli skrócą linę, to wystarczy.

Chcą się usprawiedliwić. To mi się wydaje zbędnym formalizmem, ale to cywile. Pouczają mnie po arabsku. Twarze poznaczone śladami łoż, pięści zaciśnięte. Moja nakładka usiłuje tłumaczyć, ale głosy są zbyt splątane, zbyt chaotyczne. Jeden mężczyzna krzyczy do mnie po angielsku:

- Po co tutaj przyszliście? Po co?

Przybyliśmy, bo musieliśmy zaatakować laboratorium, odkryć tożsamość zamachowców, żeby móc następnie ich załatwić i zapobiec upadkowi administracji prezydent Monteiro, ocalić ostatnią nadzieję na utrzymanie demokracji w Stanach Zjednoczonych. To dlatego nie żyją wasze dzieci, bracia, siostry i przyjaciele.

Nie mówię jednak na głos tych bzdur, bo ja też ich nie rozumiem.

Przywiązują linę do poręczy mostka. Krępują mi ręce za plecami. Szarpię się na tyle mocno, że trzeba ich pięciu, żeby dźwignąć mnie ponad poręcz i przerzucić na drugą stronę barierki.

Droga upadku jest zbyt krótka, żeby trzasnął mi kark.

Miotam się i wierzgam nad gnijącą wodą. Wszystko jest rozmazane. Nie mogę oddychać; nie mogę przełknąć. Nie mogę krzyczeć. Bicie serca jest jak wibracja w kościach.

Ktoś przełącza gen-kom na moją nakładkę. Widzę zapalające się ikony, chociaż wszystkie są rozmazane.

- Posłuchaj stopą, Shelley - zwraca się do mnie Kanoa. - Nie jest unieruchomiona. Spróbuj dosięgnąć elementu kładki.

Próbuję, ale wiszę na pierdolonym stryczku, a lina zadzierzguje mi się coraz mocniej na szyi. Spomiędzy zaciśniętych warg wypływa ślina. A może to krew. Spada z pluskiem do wody. Plusk staje się głośniejszy. Przez chwilę sądzę, że to przybyła odsiecz, że Logan brodzi w kanale, żeby mnie podtrzymać, a Jaynie i Tran zaraz przetną linę.

Potem dociera do mnie, że ten odgłos wywołuje moja robocia stopa rozpryskująca konwulsyjnie wodę... I nie jestem już nawet pewny, czy słyszę nadal głos Kanoi - jak bym mógł, przy tym ryku w moich uszach, który narasta z każdym szaleńszym, zbędnym uderzeniem serca, aż piekło otwiera swoje podwoje, a ja spadam przez ścianę ognia...

...do wody.

Ta zmiana wprawia mnie w zwierzęcą panikę. Obracam się, trafiając na różne szczątki. A potem docieram do pokrytego błotem betonowego dna kanału. Odpycham się od niego, wyciągając się ku powierzchni. Opieram się na robocim kolanie i zdekompletowanym przegubie drugiej nogi, zanurzony w wodzie, która sięga mi ledwie do pasa. Lina otacza mi nadal ciasno szyję, ale mimo to jestem w stanie zaczerpnąć oddechu. Wyginam kark, co jeszcze bardziej rozluźnia pętlę. Niewiele widzę. Tylko odbity w wodzie ogień i gęsty dym w powietrzu. To chyba płonie kładka. Słyszę grzechoczący warkot śmigłowca wykonującego ciasny skręt, szum jego łopat odbija się od ścian domów. Nie chcę być tutaj, jeśli maszyna nadlatuje.

Ręce mam skrępowane nadal za plecami; kręcę gwałtownie głową, żeby się pozbyć wody z oczu. To poluznia jeszcze trochę pętlę i pozwala mi zauważyć w pobliżu ciało unoszące się w wodzie twarzą w dół, oświetlone przez blask pożaru. Za trupem widać brzeg kanału i tłące się szczątki mostka. Kuśtykając na sztucznych kolanach, przesuwam się obok zwłok. Kiedy helikopter zbliża się z rykiem, zawisam na betonowym obramowaniu, licząc, że zostanę wzięty za kolejnego zabitego.

Odzywa się karabin maszynowy, ale nie strzelają do mnie. Leżę, aż śmigłowiec skręca i odlatuje w stronę miasta. Potem wypęlam z wody i wdrapuję się robocimi kolanami na betonowe obramowanie kanału.

Jest zaskakująco cicho. Ludzie musieli uciec, gdy pojawił się helikopter. Nie widzę nikogo.

Słyszę jednak czyjś płacz.

A z oddali dobiega wrzawa - szaleńcze krzyki, zawodzenia, warkot helikoptera, klaksony samochodów. Strzały.

Na mojej nakładce pokazuje się trasa. Jest innego koloru niż ścieżki, do jakich przywykłem. Ta jest czerwona. Ciemna czerwień informatycznego jestestwa wyciekającego z Chmury. Droga krwi.

Mówię sobie, że to tylko Naszira, która się zjawiała, żeby popierdolić mi w głowie, ale nie wierzę w to.

Nigdy nie ufaj Czerwieni. Ale czy stosowałem się kiedykolwiek posłusznie do rad?

Podążam wyznaczoną trasą, kuśtykając na kikutach nóg, wysilając się, żeby utrzymać równowagę i oddychać, starając się cały czas rozluźnić sznur krępujący mi dłonie. To długa i mozolna wędrówka, ale w końcu udaje mi się wrócić do alejki.

W domach nie palą się światła. Słyszę kogoś na jednym z górnych pięter — mężczyznę wykrzykującego swoją wściekłość. To jednostronna tyrada, jakby wrzeszczał do telefonu. Jednak na zewnątrz nie ma nikogo, i dzięki za to Bogu. Wpełzam w alejkę, kierując się wyświetloną trasą do krateru, gdzie eksplodował ładunek wybuchowy. Tutaj ścieżka się kończy.

Siadam w cieniu samochodu, który ma w drzwiczkach wywaloną dziurę, i walczę z uciskiem na szyi o powietrze, żeby nie zemdleć. Na tle płytkich oddechów słucham perkusyjnego grzechotu trwających potyczek na co najmniej dwóch frontach i warkotu śmigłowców zionących ogniem maszynowym na cele w mieście. Maszyny zwalczają najwyraźniej wszystko, co wygląda na próbę oporu.

Były już tutaj i poleciały dalej. Mam nadzieję, że mój oddział wydostał się cało. Liczę, że dotarli do miejsca odlotu.

Dociera do mnie w końcu, że przestrelone drzwi samochodowe mają ostre krawędzie. Wykorzystuję je do przecięcia liny krępującej mi ręce. Dorabiam się kilku nowych skaleczeń na dłoniach i przedramionach, ale do diabła z tym. Mam wolne ręce. Zdejmuję pętlę z szyi. Jest spuchnięta i

w siniakach. Boli jak wszyscy diabli i ledwo mogę przełykać. Nie wiem, czy jestem w stanie mówić.

Jebać to.

Pora znaleźć brakującą nogę. Wiem, że gdzieś tutaj jest. W jakim innym celu Czerwień kłopotałaby się sprowadzeniem mnie z powrotem w to miejsce?

Pełzam po nierównej nawierzchni, aż zauważam protezę pod samochodem. Żeby jej dosięgnąć, muszę się położyć na brzuchu, nagi na żwirze. Wyciągam sztuczną kończynę, wydmuchuję piach z zaczepu i wciskam w przegub kolanowy. Zaskakuje. Palce stopy się zginają. Kolana też. Wszystko działa.

- Joby - szepczę głosem pasującym idealnie do rannego bohatera horroru
- jesteś jebanym geniuszem... I cholernie boli, kiedy mówię.

Więc milknę.

Znajduję poszarpane spodnie, a potem T-shirt. Jest brudny i w strzępach. I tak go biorę, żeby zetrzeć pot i krew z twarzy, ramion i tułowia, a potem wyrzucam. Moja kurtka zniknęła. Tak jak plecak z urządzeniami elektronicznymi, które skonfiskowaliśmy w laboratorium. I oczywiście nie ma śladu po mojej broni i gnatach.

Przeszukuję nakładkę. Pamiętam, że gen-kom przełączył się na nią, gdy zwiślałem z mostu, i słyszałem głos Kanoi. .. ale teraz nie jestem połączony. Próbuję temu zaradzić. Wysyłam link, ale nie działa. Połączenie zostaje odrzucone. Zerkam na ikonę sieci - jest zielona - i próbuję ponownie, ale bez skutku. Zanim ogarnia mnie poważny niepokój, na nakładce otwiera się dokument:

Informacja o misji

Kryptonim: „Szara Eminencja”.

Cel: Prywatny system ochrony i inwigilacji o nazwie „Naszira”.

Zadanie: Wdarcie się do strzeżonej bazy i zniszczenie platformy hosta.

Czas: Misja ma zostać podjęta niezwłocznie i zakończona przed świtem.

Załączniki: Mapa interaktywna. Szczegóły wkrótce.

To jaja, nie?

Chcę wierzyć, że to żart.

Interaktywna mapa się otwiera. Określa moją pozycję w terenie i pokazuje czerwoną linię trasy prowadzącej do celu znajdującego się trzy kilometry dalej, na południowym zachodzie. Bez mojej ingerencji mapa zmienia format. Rozszerza się i nakłada na obraz obszaru wokół mnie. Szlak zaczyna się tutaj. Zaczyna się ode mnie. Siedzę na początku krwawej ścieżki, zaplanowanej drogi, która ma wywabić mnie ponownie z alejki.

Wyczerpany patrzę na trasę. Zamykam oczy, ale krwawa linia nadal tam jest. Chyba powinienem był wiedzieć, że Czerwień nie przeszkodziła w mojej egzekucji z wdzięczności za dotychczasową służbę.

Wstaję. Z początku czuję zawrót głowy. Jasne jak słońce, że nie nadaję się do żadnej misji. Muszę po prostu dotrzeć do wyznaczonego przez Kanoę punktu za składem paliw. Próbuję ponownie podłączyć się do gen-komu, żeby dać znać pozostałym, że nadchodzę, ale system mnie nie wpuszcza.

Nie mam zatem nic innego do roboty, jak ruszyć krwawym szlakiem z powrotem do kanału. Kiedy docieram na miejsce, przejaśnia mi się w głowie. Spoglądam na niską zabudowę dzielnicy jednorodzinnych domów otoczonych murami po drugiej stronie kanału, i dalej, na kontury zbiorników paliwa, wznoszących się pod bezgwiezdne niebo. Tam powinienem iść, ale krwawa ścieżka skręca na zachód, biegnąc równolegle do kanału. Gdzieś tam - nie widzę dokładnie gdzie - przekracza go. Dostrzegam ją ponownie na południowym zachodzie - cienką czerwoną linię wyświetloną na nakładce i wspinającą się na niskie wzgórze o wysokości może sześćdziesięciu metrów. Wyniosłość to anomalia w płaskim, nijakim otoczeniu. Domyślam się, że jest sztuczna. Na jej szczycie znajduje się rezydencja otoczona gajem palm daktylowych i

murem fortecznym usianym lampami ogrodowymi, które oświetlają budynek w nocy.

Powinienem tam iść, jeśli przyjmę misję.

Nie muszę jej zaakceptować. Pozbyłem się odbiornika neuronetki, żeby Czerwień nie miała bezpośredniego dostępu do moich emocji; żeby mieć swobodę podejmowania racjonalnych decyzji w takich chwilach jak ta, a racjonalną decyzją w obecnej chwili jest wypierdalać z Basry, skoro wciąż żyję.

Żałuję teraz, że nie zostawiłem odbiornika, gdyż to pozwoliłoby mi obwinić Czerwień o wszystkie dokonane wybory.

Spluwam flegmą zmieszaną z krwią i wycieram wierzchem dłoni ślinę ze spuchniętych warg.

Jestem pozbawiony broni, rynsztunku, widoku z anioła, noktowizji i oddziału, który by mnie wsparł. Sytuacja przypomina biblijną opowieść o Dawidzie z okresu, zanim został królem, kiedy to Bóg wysłał go w pojedynek na pole walki, uzbrojonego tylko w procę. Sądzę, że to wyzwanie miało być próbą wiary, ale oblewam takie testy. Lepiej znać dobrze ustosunkowanego handlarza bronią, niż pokładać zaufanie w Czerwieni.

Nie mogę się połączyć z gen-komem, ale to nie znaczy, że jestem kompletnie odizolowany; nie wtedy, gdy ikona sieci świeci się na zielono. Dzwonię do Papy. Odbiera natychmiast.

- Wydostałeś się, Shelley?

Zaczynam mówić. Nic nie słyhać. Wysilam się bardziej i zdobywam się na szept:

- Papo, sprawy poważnie się popierdoliły. Jesteś nadal w mieście?

Cisza, gdy zastanawia się nad tym.

- *Da.* Wciąż jestem tutaj. Ilu z was żyje?

- Nie wiem. Zostałem oddzielony od grupy i odcięty od gen-komu. Do tej pory powinni już zostać ewakuowani.

- A ty?

- Straciłem sprzęt. Potrzebna mi broń.

- Gdzie jesteś?

Ustalam swoje koordynaty GPS i wysyłam mu je.

- Możesz przekroczyć ten kanał? - pyta.

Na myśl o powrocie drżą mi ręce.

- Kładka została zniszczona.

- Woda jest płytka, nie?

Myślę: Zablokuj to.

- Taa, przebrnę na drugi brzeg.

- Przyjadę.

Gdy tylko zbaczam z trasy wyznaczonej krwawą czerwienią, szlak znika. Schodzę do kanału, trzymając się z dala od unoszącego się w nim trupa i śmieci. Błoto zasysa moje robocze stopy, a ja brodzę wśród szkła, drutu i starych metalowych puszek, ale udaje mi się nie upaść i nic mnie oczywiście nie kaleczy.

Kiedy wyłażę z kanału, nadjeżdża SUV z wyłączonymi światłami. Szyba po stronie pasażera opada. Drzwi zostają odblokowane. Jest zbyt ciemno, żeby widzieć wewnątrz, ale słyszę głos Papy:

- Wsiadaj.

Kiedy wsuwam się na miejsce pasażera, szyba się podnosi.

- Przywiozłeś broń? - pytam ochrypłym szeptem.
- Nie. Ta misja jest skończona. Moja rola jest skończona. - Skręca ostro w wąską ulicę dzielnicy willowej. - Nie ma ani słowa od Abajiana. I panuje godzina policyjna, wymuszona przez śmigłowce.

Wykręcam głowę, żeby się przyjrzeć niebu, i zauważam od razu sylwetki dwóch helikopterów nad miastem, ale są daleko stąd, na północy. Jeden zostaje oświetlony na krótko przez ogień wylotowy jego karabinów maszynowych.

Leonid skręca na najbliższym rogu w lewo, a potem w prawo. Żadne inne pojazdy nie poruszają się po ulicach.

- Co ci się stało? - pyta.
- Zostałem zhakowany. I to nie przez Czerwień. Naszira włamała się do gen-komu. Chyba dlatego jestem z niego wylogowany. Sądzę jednak, że kiedy się to stało, doszło do jakiegoś istotnego odkrycia. Myślę, że Czerwień zrozumiała, w jaki sposób lokalne sztuczne inteligencje, takie jak Naszira, są wykorzystywane przeciwko niej.

Przed nami otwiera się brama w ogrodzeniu domu.

- Muszę wyruszyć ponownie, Papo. Na kolejną misję.

Skręca do bramy, parkuje SUV-a przed domem, w którym nie widać żadnych świateł, i mówi:

- Nie. Nie mam żadnych wiadomości od Abajiana. To koniec.
- Celem jest Naszira - informuję go.

Przez zamknięte okno samochodu słyszę odległy warkot helikopterów, sporadyczny ogień maszynowy. A potem Leonid wydaje ciche, charkotliwe westchnienie.

- Naszira - mówi. - Wiesz, gdzie jest?

- Tak. - Być może Czerwień zawsze znała lokalizację Nasziry albo musiała to odkryć przez zhakowanie ludzi -podsluchiwała ich rozmowy, spoglądała przez zinfiltrowane wizory i nakładki, monitorowała węzły EXALT. - Wszyscy są widoczni, wszyscy odpowiedzialni.
- Taką miałeś wymówkę w związku z tym, co się stało w jaskini.
- To świat, jaki tworzy Czerwień. Lokalne sztuczne inteligencje, takie jak Naszira, rozpierdalają go. Zastanów się, Papo. Gdyby Naszira nie ukrywała tego laboratorium, to Semakowa mogłaby nadal...
- Przestań! Chcesz mnie przekonać? Przypomnieć mi, co zostało stracone? Przestań i zastanów się najpierw nad własnym życiem. Pamiętasz, Shelley, co się wydarzyło w tym podziemnym schronie? Jak niewiele brakowało, żebyśmy zdechli w tamtym tunelu?
- Tak, pamiętam. - Mój głos jest niemal niesłyszalny. -Nie wiem, po co żyję nadal, jeśli nie po to właśnie. Jeżeli znajdziemy Naszirę i dowiemy się, kto za nią stoi, to znajdziemy także arktyczną AI. Może uda się nam powstrzymać tamtą wojnę, zanim sytuacja się pogorszy.
- Jesteś szalony, Shelley.
- Nie. To właśnie widziałem za zasłoną. I potrzebuję twojej pomocy, Papo. Ja wiem, i ty to wiesz, że ten świat może zostać unicestwiony na tysiące sposobów, ale nie na mojej służbie.
- Wejdź do środka - warczy Leonid. - A potem przedstawisz mi swój wariacki plan.

Gdy w domu zapalają się światła, Leonid może pierwszy raz przyjrzeć mi się dokładnie.

- Wyglądasz, jakbyś wypełził z piekła.
- Tam jest naprawdę chujowo, Papo. Nie tęskno mi do wieczności.

- *Da.* Mnie też nie.

To dom w zachodnim stylu; rozkład pomieszczeń i umeblowanie są pospolite i znajome. Leonid wysłał mnie pod prysznic. Zmywam z siebie krew i smród pod ciurkającą letnią wodą i oczyszczam obrażenia - rozdarcia, skaleczenia i otarcia. Kręci mi się w głowie i nie sędzę, żeby chociaż kawałek mojej skóry był nieposiniaczony. Jasne, że wszystko boli mnie jak diabli. Leonid pomaga mi opatrzyć płytkie rany i zakleić poważniejsze.

- Co ci się przytrafiło? - pyta.

Opowiadam mu o zhakowaniu mnie i egzekucji pod mostem, przerwanej przez atak na kładkę.

- Myślę, że uderzył w nią pocisk. Sądziłem, że trafiłem do piekła, ale atak uratował mi życie.

Leonid zastanawia się nad tym wszystkim, a ja wkładam cywilne ciuchy: brązowe spodnie i beżową koszulę z krótkimi rękawami.

- To Abajian musiał wystrzelić ten pocisk - stwierdza Leonid, gdy wracamy do salonu. - Uważa, że nie żyjesz. Powiedział twojemu oddziałowi, że jest za późno, żeby cię ratować. Priorytet to wydostać stąd nośniki z danymi.

- I rannych - przypominam, opadając na krzesło przy stole. Leonid zgromadził na nim ekwipunek: apteczkę, koszule maskujące zapakowane w plastikowe woreczki, dwie cyfrowe lornetki noktowizyjne, dwie kamizelki kuloodporne, dwa karabiny szturmowe lasher 762. Wskazuję to wszystko i spoglądam na niego. - Zamierzasz mi pomóc?

Patrzy na mnie wilkiem spod ściągniętych gniewnie brwi.

- Nie wątp nigdy w istnienie Boga, Shelley. Poprosiłem go, żeby pozwolił mi sobie służyć na małą skalę. A On co zrobił? - Unosi brwi. - Przysłał mi ciebie. Jak mi jednak przypominałeś, Naszira pomogła tym, którzy zamordowali Janę. Więc tak, chodźmy. I przekonajmy się, co da się zrobić.

- Dobra. - Motywy Leonida nie są bardziej szalone od moich. - Muszę się jednak skontaktować z Loganem. Muszę wiedzieć, czy oddział się ewakuował.

- Chcesz, żeby Logan wiedział, że żyjesz?

- Dlaczego miałbym nie chcieć?

Otwiera apteczkę i grzebie między listkami pigułek.

- Bo ta misja została przydzielona tobie, i tylko tobie. Gdyby poruczono ją także Loganowi i Tranowi, to dlaczego miałbyś być odłączony od genkomu?

- Bo moje systemy bezpieczeństwa zostały naruszone. -Zastanawiam się nad tym. - Może po to, żeby odciąć Abajiana?

Leonid podnosi wzrok znad apteczki i spogląda na mnie spod swoich krzaczastych brwi.

- Ufam swoim żołnierzom - upieram się. - To Czerwieni nie ufam. I Abajianowi. Więc taa, dowiedzmy się, gdzie są. Jeśli nadal na miejscu, to może uda się nam ich sprowadzić. Wykonać zadanie, ale po naszymu.

- Dziś w nocy?

- Tak.

Wręcza mi trzy listki proszków.

- Środek pobudzający, przeciwbólowy i antybiotyk.

Wyjmuję butelkę wody z lodówki. Zażycie tych środków to kolejna tortura tego wieczoru, ale je łykam.

Potem siedzę przez kilka minut i dumam: Mam to zrobić sam? Tak jak zaplanowała to Czerwień? Według Biblii, Dawid wyszedł samotnie na pole walki, ale nie jestem Dawidem. Chcę mieć przy sobie mój oddział.

Dyktuję wiadomość do Logana:

- Potrzebny raport sytuacyjny. NIE przez gen-kom. Ewakuowaliście się?

Aplikacja zmieniająca głos na tekst radzi sobie bez problemu z moim szeptem.

„Wyślij”.

Trzeba dwudziestu dwóch sekund, żeby Logan odpowiedział:

„Kto to, kurwa?”.

- A jak myślisz? Raport sytuacyjny! Gdzie jesteście? - „Wyślij”.

„Ty dupku. Jesteśmy na miejscu i szukamy twoich pierdolonych zwłok”.

Są tutaj nadal. Częściowo jestem z tego zadowolony. Czuję ulgę. Ale nie powinno ich tu być.

- Powinniście byli zostać ewakuowani. - „Wyślij”.

„Abajian nie żartował, kurwa, kiedy mówił o twoim kompleksie mesjasza. Uważałeś, że cię tak po prostu zostawimy?”

- Escamilla niemal umarł. Lepiej, żebyś mi powiedział, że go zabrano. - „Wyślij”.

„Został ewakuowany. Także Dunahee, Roman i Flynn. To twój raport sytuacyjny. A teraz powiedz, gdzie jesteś, kurwa”.

- W kryjówce. Z Papą. Dostaliśmy kolejną misję. - „Wyślij”.

Patrzę na Leonida. Zapina kamizelkę kuloodporną na czarnej bluzie maskującej z długimi rękawami.

- Być może źle to rozegrałem - przyznaję - ale te pigułki działają całkiem dobrze.

- Utrzymują człowieka na chodzie, póki nie padnie. -Leonid przesuwa w

moją stroną dwa kolejne listki. - Zapas, włóż do kieszeni.

Sprawdzam opis. Tym razem tylko środki przeciwbólowe i stymulujące.

- Dzięki.

- Jeśli naprawdę wyruszasz na akcję, to zdejmij tę wizytową koszulę. Włóż coś maskującego i kamizelkę kuloodporną. Zrób to, zanim Logan tutaj dotrze. Jeśli cię postrzeli, to dzięki temu może przeżyjesz.

Złota rada.

Jestem jednak mocno poturbowany. Barki mam w opłakanym stanie, a pozbawioną guzików bluzę maskującą trzeba włożyć przez głowę. Potrzebuję pomocy Leonida, żeby ją na siebie naciągnąć. Z kamizelką jest łatwiej. Stoję przy stole, regulując zapięcia, kiedy dzwoni telefon Leonida.

Zerka na niego i wbija kod.

- Są przy bramie.

Logan potrzebuje dwunastu sekund, żeby przejść przez dziedziniec. Do diabła, może przelazł przez mur. Potem drzwi się otwierają z rozmachem. Wkracza w pełnym rynsztunku, trzymając ztkh w obu rękach. Nie widzę twarzy za czarną przyłbicą, ale wiem, że to on. Za nim wchodzi Jaynie, a potem Fadul i Tran.

- Zamknijcie drzwi - mówi Leonid.

Tran wykonuje polecenie.

Wszyscy zdejmują hełmy.

Logan ma zaczerwienioną twarz, na której widnieją strużki potu. Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym był duchem, i to takim solidnie popapranym.

- Jezu, Shelley. Gen-kom twierdzi, że nie żyjesz. Pokazuje cię jako martwego.

Mówię mu, co wiem, ochrypłym głosem, którego za sprawą wiadomości tekstowych nie mógł wcześniej słyszeć:

- Zostałem zhakowany, a potem nie mogłem się już zalogować.
- Kanoa powiedział, że cię powiesili... pod mostem. I to prawda, co? Na to wygląda. Jakim cudem, kurwa, żyjesz nadal?
- Myślę, że most został wysadzony w powietrze.
- Taa, to też powiedział.

Tran patrzy na mnie z uśmiechem niedowierzania, jakby została mu objawiona tożsamość normalnego człowieka kryjącego się za postacią Supermana.

- Jesteś pieprzonym gwiazdorem chodzącym po wodzie!
- Papa dał mi magiczne pigułki. Ale nie wygraliśmy tym razem. Spierdoliliśmy to mocno. Co z Escamillą?
- Opiekuje się nim marynarka wojenna - odpowiada Fadul, patrząc na mnie czujnie, jakby nie była pewna, czy to ja. - Tylko tyle wiemy. Dunaheemu i Roman nic nie będzie.
- A Flynn? - pytam, odwracając się do Jaynie.

Stoi przede mną przypięta do martwej siostry, przyglądając mi się badawczo, jakbym był jakimś oszustwem, iluzją, anomalią nienależącą do tego świata.

- Flynn wyzdrowieje. Ale zaczynam myśleć, że ty nie umrzesz nigdy.
- Kwestia czasu - zapewniam ją.

Fadul kładzie hełm na stole i podchodzi do mnie z karabinem na ramieniu. Staje tuż przede mną. Przygotowuję się do wykonania uniku, gdyż jestem pewny, że zamierza mnie rąbnąć, ale się mylę. Ujmuje delikatnie moją twarz w okryte rękawicami dłonie i mówi:

- Powinien był pan dotrzymywać nam kroku, kapitanie.
- Skręciłem w złym miejscu.
- Jak my wszyscy. Cieszę się jednak, że tutaj jesteś. -Cofa się. - Czego teraz szukamy?
- Nasziry.
- Nie dostałam informacji na ten temat.
- Ani ja - przyznaje Logan, występując naprzód. - Co jest, Shelley?
- Papa uważa, że powinienem iść sam, ale nie tak załatwiamy sprawy, a poza tym nie sądzę, żeby udało mi się tam dotrzeć.
- Dokąd?

Wysłałam na ich nakładki informację o misji wraz z załączoną mapą, a potem mówię:

- Nie przekazujcie tego przez gen-kom. Abajian widzi wszystko, co przechodzi przez nasz system łączności, a ja nie jestem jeszcze gotów wprowadzić go w szczegóły.

Wszyscy mają szklisty wzrok, gdy przeglądają informacje.

- Widziałam to miejsce - odzywa się Fadul.
- To niedaleko - potwierdza Logan.

Tran spogląda na Jaynie.

- Zamierzasz się w to włączyć, Vasquez?

Jaynie patrzy na mnie, unosząc brew.

- Nie możesz - mówię jej. - Nie masz nakładki.

Kiedy się odzywa, ton ma kpiący, wyczekujący:

- Zatem to samowolna misja? Żeby uderzyć w Naszirę?
- Nie wykonujemy samowolnych misji - odzywa się Fadul. - To przyszło prosto od szefa. Prawda, Shelley?
- Potwierdzam.

Jaynie nie protestuje. Nie twierdzi, że wykraczamy poza ramy operacji.

- Nie musisz przechodzić na stronę mroku - mówi zamiast tego. - Abajian wesprze cię w tym.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem, ale wiele mi ona mówi. Że nagły powrót Jaynie do służby nie wynikał jedynie z patriotyzmu; że Jaynie poluje na coś, co wykracza poza pierwotny plan naszej misji. To mnie niepokoi, ale mówię sobie: Zablokuj to.

- Musimy wykonać zadanie, zanim Abajian zdoła to zjeść - oświadczam. - Przygotujcie sprzęt. Wyruszamy za pięć minut.
- Jaki jest plan? - pyta Jaynie.
- Nadal powstaje - odpowiada Logan. - Dostaniemy więcej informacji w drodze; dość, żeby pomyślnie zająć cel, kiedy tam dotrzemy.
- To znaczy dokąd?
- Do krypty, w której znajduje się matryca Nasziry.
- Mamy więc cel, ale żadnego planu - podsumowuje Jaynie. - To mnie martwi.
- Jest plan - upiera się Logan. - Nie został tylko jeszcze wysłany.
- Tajemnica - mówi Fadul. Strząsa z ramion plecak i zwała go z hukiem na stół. - Dowiemy się, kiedy będziemy musieli poznać szczegóły.

Wyjmuje amunicję i zaczyna ładować pociski do ztkh. Podnoszę jeden z lasherów, żeby zrobić miejsce. Karabin jest nowy. Kluczyk dynda nadal u

osłony spustu. Fadul spogląda na mnie ponuro, gdy za pomocą klucza przesterowuję elektronikę broni. Potem odwraca się do Logana.

- Hej, poruczniku.

Spogląda na nią, odrywając wzrok od ładowania własnej broni, a ja przypisuję lasherą do swoich danych biometrycznych.

- Co jest?

- Dlaczego nie powiemy temu idiocie, żeby odpuścił sobie tę misję?

Logan kręci głową.

- Śmiało. Spróbuj.

Leonid prychnął.

- Zmarnujesz tylko czas. Ma swoje rozkazy.

Fadul patrzy na mnie.

- Nie potrzebujemy cię. Podczas tej operacji będziesz obciążeniem.

Fadul nie jest lepszą dyplomatką ode mnie.

- Nic mi nie jest - odpowiadam szeptem. Rzucam klucz w kąt pokoju. Nie zamierzam mieć go przy sobie, bo nie chcę, żeby ktokolwiek mógł użyć mojej broni. - Może nie nic, ale się ruszam. Masz granaty ręczne, Papo?

- Nie.

- Łap. - Fadul rzuca mi jeden. - Jeśli zamierzasz zrobić coś głupiego, niech to będzie na moje konto.

Wkładam granat do kieszeni.

- Jaynie?

Porządkuje plecak.

- Taa, Shelley?
- Czy Abajian rozmawiał z tobą o poszukiwaniu Nasziry?

Podnosi wzrok, z tą swoją wygiętą brwią, z miną, która sugeruje, że chodzi o coś jeszcze, o coś dużo więcej, niż którekolwiek z nas chce powiedzieć.

- To cel, który budzi zainteresowanie.

Może to obrażenia, jakie odniosłem, a może pigułki, ale kiedy to słyszę, opadają mnie wątpliwości i pytam sam siebie: Czy dzisiejsza misja była prawdziwa? A jeśli Abajian przeprowadził całe to krwawe ćwiczenie jako wybieg, sposób na zdemaskowanie istnienia i wpływów Nasziry? A ludzie, którzy zginęli dzisiejszej nocy? Czy byli jedynie przypadkowymi ofiarami w trakcie działań prowadzących do rozbicia informatycznego kamuflażu lokalnej sztucznej inteligencji?

Czy Abajian jest aż tak bezlitosny?

Wrobiono nas?

Odsuwam krzesło i siadam, myśląc: Uspokój się. Zablokuj to.

Podnoszę wzrok na Jaynie, która przygląda mi się, marszcząc brwi z niepokoju.

- Czego Abajian chce od Nasziry? - pytam Jaynie.
- Chce ją załatwić. A potem wyeliminować arktyczną AI.

FaceValue nie otagowuje tego jako kłamstwo, ale Jaynie czegoś nie mówi.

- Czy to nie jest twój cel, Shelley?
- Tak, jest.

GRK 7-1 popełniła ostatnio mnóstwo błędów; być może dlatego, że działaliśmy w oparciu o fałszywe informacje wywiadowcze. Musimy

sprawić się lepiej. Zaatakowanie L-AI powinno w tym pomóc - pomóc w powrocie na właściwą drogę, pomóc zrekompensować szkody, jakie wyrządziliśmy.

- Jesteśmy po tej samej stronie - mówię.
- W większości spraw.
- Mars to błąd.
- Pokłócimy się o to później.

Kiwam głową.

- Kto ma materiały wybuchowe?

Jaynie, Fadul i Tran nie mają ani kawałka taśmy plastycznej. Zużyli cały zapas w laboratorium. Jednak Logan grzebie w plecaku, po czym wyciąga parę metrów taśmy i kostkę C-4.

- Może nie wystarczyć.

Odwracam się do Leonida. Kręci głową.

- Nie. Żadnych ładunków wybuchowych. Miałem wam pomóc wydostać się z Basry, a nie zrównać miasto z ziemią.
- Daj mi to - zwracam się do Logana. - Coś wykombinujemy.

Wręcza mi pakiet. Wkładam go głęboko do kieszeni kamizelki.

- Musimy zalogować cię z powrotem do gen-komu - mówi. - Musimy być połączeni, a poza tym nie mogę dłużej znosić widoku twojej śmiertelnie czarnej ikony.

Ma rację. Wspomniałbym o tym na samym początku, gdybym myślał jasno.

- Poproś Kanoę...

- Taa, Kanoa mówi, że zainstaluje ponownie gen-kom w twoim systemie... I chce zobaczyć rozkaz.
- Wyślij mu go.

Na mojej nakładce pokazuje się tag z prośbą o zezwolenie na instalację.

- Naprawdę tak pójdziesz? - chce wiedzieć Tran. - Bez martwej siostry, bez hełmu? Zginiesz, gdy tylko zaczniesz się strzelanina.
- Przekonamy się na miejscu.
- Jak zamierzasz dotrzymać nam kroku?
- Nie zamierzam. Podzielę oddział i pojadę z Papą. Reszta zasuwa piechotą. - To zapewni większą elastyczność naszego podejścia oraz da mi czas na zastanowienie się, co, do diabła, musimy zrobić. Spoglądam na Leonida, żeby sprawdzić, czy się z tym zgadza, a on kiwa głową. To Jaynie wyraża sprzeciw:
- Nie. To nie zadziała. Musimy się trzymać razem. Albo to, albo zostajesz, Shelley.
- To nie będzie tak, jak w laboratorium - wyjaśniam. -Sądzę, że Czerwień odizolowała Naszirę i przejęła kontrolę nad dzielnicą. Nie będzie problemu z dostaniem się do środka.
- Skąd ta pewność?
- Stąd, że Czerwień chciała, żebym poszedł tam sam i bez broni. To nie może być trudne.

Musimy tylko tam wejść, znaleźć kryptę i wysadzić ją w powietrze.

Łatwizna.

- Jeśli wyruszymy w dwóch grupach, jedna zmechanizowana, a druga piesza, wzrastają szanse na to, że przynajmniej niektórzy z nas dotrą na miejsce.

Aktualizacja gen-komu się kończy i zgłasza się Kanoa:

- Myślałem, że tym razem cię straciliśmy, Shelley.
- Nie całkiem. Otrzymałeś informację o misji?
- Odebrałem. Została potwierdzona, ale Fadul ma rację. Musisz się trzymać na uboczu.
- Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Misja została przydzielona mnie. To może nic nie znaczyć, ale jeśli znaczy, to muszę tam być.

Milczy przez dłuższą chwilę.

- Nie podoba mi się ta sytuacja, Shelley. To wygląda na kolejną operację kontrolną. Zbyt wiele niewiadomych.
- Powinniśmy to zrobić - przypominam mu. - Otrzymaliśmy rozkaz.

To Czerwień przydzieliła tę misję, której plan powstaje w trakcie jej wykonywania, co oznacza, że najsłabsza okaże się ostatnia faza, w której zostaniemy wycofani - element, którego brakowało podczas „Jałowych Rozstajów”.

- Musisz przygotować dla nas plan ewakuacji.
- Pracują nad tym - odpowiada Kanoa. - Abajian trzyma black hawki w pogotowiu.

Myślę, że wolałbym chyba najemników. Abajian mnie niepokoi. Jaynie przyznała, że jesteśmy po tej samej stronie, ale nie wierzę w to. Niemniej kiedy dotrą do nas śmigłowce, sprawę powinniśmy mieć załatwioną.

Ze względu na „wybitną znajomość planu operacji” zostaję dowódcą misji „Szara Eminencja”. Innymi słowy, Abajian nie chce ryzykować, że zostanie odcięty od tej akcji, zrobi więc wszystko, co będzie mógł, żeby mi się zdawało, że kontroluję sytuację, natomiast Jaynie godzi się na to, jakby to było z góry ustalone.

Leonid nie ma granatów ani materiałów wybuchowych, ale ma anioła, co wiele rekompensuje. Wyjmuje go z przestrzeni bagażowej SUV-a, rozkłada jego metrowej rozpiętości półksiężycowe skrzydło i wypuszcza ponad murem. Przesyła mi adres urządzenia. Przekazuję go pozostałym przez gen--kom i logujemy się wszyscy.

Sprawdzam godzinę na nakładce - czwarta cztery nad ranem. Do świtu wciąż dwie godziny. Bure niebo lśni słabo odbitym blaskiem światła odległych dzielnic miasta.

Jaynie, Logan, Fadul i Tran czekają przy bramie w pełnym rynsztunku, w hełmach i z ztkh w rękach. Leonid wsiada za kierownicę SUV-a. Na prawym uchu ma pętlę audio z mikroskopijnym mikrofonem, który łączy go z gen -kmem, a na ekranie nawigacyjnym w desce rozdzielczej wyświetlona jest mapa, która wskazuje, dokąd jedziemy. Ja, z lasherem 762 u boku, zajmuję miejsce pasażera.

- Dobra - odzywam się przez gen-kom. - Celem misji jest zniszczenie Nasziry. Chcemy zebrać jak najwięcej informacji wywiadowczych, ale załatwmy sprawę szybko i gładko.

Słyszę wypowiedziane szeptem:

- Hoo-yah!

Leonid otwiera zdalnie bramę. Oddział wyslizguje się na zewnątrz i skręca w prawo. Jedziemy za nimi bez świateł, po czym skręcamy w lewo w ciemną, opustoszałą ulicę. Oglądam się za oddziałem, ale nie widzę ich. Zniknęli w nocy. Przystawiam się na widok z anioła.

Tak właśnie zwykłem działać, to znaczy z wyraźnym obrazem otaczającego mnie terenu. Spoglądam z góry na sąsiednie ulice i zaglądam w obręb otoczonych murem posiadłości. W polu widzenia nie ma nikogo, a nasz SUV jest jedynym pojazdem poruszającym się w dzielnicy willowej. Dziwi mnie to. Nie sądziłem, że godzina policyjna będzie tak ściśle przestrzegana.

Dalej, na głównej alei, zauważam radiowozy policyjne, po jednym na każdym większym skrzyżowaniu. Ostrzegam przed nimi Leonida.

- Będziemy się trzymali bocznych ulic - odpowiada.

Rozglądam się za śmigłowcami, które przeczesywały wcześniej nocne niebo nad miastem, ale anioł ich nie zauważa. Co dziwniejsze, aniołowi nie udaje się oznaczyć w najbliższej okolicy żadnych innych powietrznych urządzeń inwigilacyjnych - żadnych innych dronów ani szperaczy.

- Kanoa.

Kilka sekund upływa w ciszy, podczas której zaczynani się niepokoić, ale potem Kanoa się zgłasza:

- Jestem.

- Czy Abajian wycofał swoje szperacze?

Kolejna chwila milczenia.

- Straciliśmy z nimi kontakt - opowiada.

Przyglądam się ponownie sąsiednim ulicom.

- Radiowozy policyjne się wycofują.

To jakiś exodus, jakby wszystkie zostały jednocześnie wezwane na posterunek. Doliczam się dwunastu samochodów, które przejeżdżają na drugą stronę kanału, pozostawiając ten zakątek miasta niestrzeżony - i to w samą porę, gdyż bocznymi ulicami dotarliśmy tak daleko, jak się dało.

Wjeżdżamy na drogę główną, okrążamy częściowo rondo i kierujemy się na południe w stronę niskiego wzgórza z ufortyfikowaną rezydencją na szczycie. To sztuczny pagórek, jestem tego pewny, usypany w celu wyniesienia posiadłości rekina ponad poziom okolicy. Anioł przelatuje nad zabudowaniem.

- Widać coś? - pyta Leonid.

- Nie. Nie ma nikogo na murach ani na dziedzińcu. Może wszystkie zabezpieczenia są wyłącznie elektroniczne.
- Kiepska decyzja.

Doznaję wstrząsu, kiedy zgłasza się Delphi:

- Shelley.

Dopada mnie poczucie winy. Jako moja opiekunka Delphi wielokrotnie widziała mnie okaleczonego i niemal martwego, co rozdarło jej serce. To dało mi kolejny powód do tego, żeby odejść od niej, wiedziałem bowiem, że coś podobnego na pewno znowu się zdarzy, i miałem rację. Wyłączam przekaz z anioła. Krwawa ścieżka jest znowu widoczna w postaci słabego czerwonego lśnienia na tle asfaltu.

- Jesteś tam, Shelley?
- Tak. - Chcę zapytać, czy wszystko u niej w porządku, ale podobne pytanie ma zbyt wiele poziomów; nie czas teraz na to.
- Major Kanoa pozwolił mi z tobą porozmawiać - mówi swoim rzeczowym tonem opiekunki. - Wtedy, w Dassari, kiedy powiedziałeś mi, że masz złe przeczucia, nauczyłam się ci wierzyć. Teraz wiemy, że ostrzegała cię Czerwień, ale niekiedy przeczucie to po prostu przeczucie - a ja mam wątpliwości co do tej misji.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby mówiła w ten sposób. Sprawdzam połączenie. Ona, ja i Kanoa. Nikt więcej. Nawet nie Jaynie.

- Powiedz, co myślisz - mówię.

Leonid spogląda na mnie, unosząc pytająco brew. Dotykam palcem kącika oka. Kiwa głową i znowu patrzy na drogę.

- Powiedziałeś, że Czerwień przydzieliła ci tę misję, tylko tobie. Byłeś sam, bez broni i materiałów wybuchowych, nie nadawałeś się do walki i nadal się nie nadajesz. Jak miałeś to wykonać, Shelley? Jak miałeś załatwić Naszirę w takich okolicznościach?

Boska siła. Tak sobie myślę. Czerwień zapewni mi zwycięstwo. Ale to pierdoły.

- Nie wiem, jak to ma się odbyć, Delphi. Będę wiedział, kiedy tam dotrę.
- Jesteś nazbyt ufny, Shelley. Z tym planem jest coś nie tak. Zdecydowanie.
- Możliwe. Ale i tak musimy to zrobić. Jeśli Naszirą kieruje ta sama grupa, która stoi za arktyczną AI...
- Rozumiem, że czujesz się odpowiedzialny za wywołanie wojny w Arktyce. A ewentualny zysk w postaci materiałów wywiadowczych jest niezaprzeczalny, ale coś jest nie tak. Kiedy tam wkroczysz, nie zakładaj niczego ani nie ufaj Czerwieni, że cię ochroni.
- Przynajmniej tyle mogę ci obiecać.
- Dobra. Będę czuwała.

Rozłącza się. Opieram się i zamykam oczy.

- Mów - odzywa się Papa.

Przekazuję mu podejrzenia Delphi. Muszę przyjąć, że Kanoa je podziela, gdyż był połączony z nami i słyszał wszystko.

- Sądzę, że miałeś rację, Papo. Ta misja została przydzielona mnie. Tylko mnie. Olejmy więc spotkanie. Chcę dotrzeć do celu wcześniej niż oddział.

Martwa siostra pozwala pieszemu żołnierzowi poruszać się z większą prędkością, ale samochód na pustej drodze zawsze okaże się dużo szybszy. Leonid jedzie ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Błyskawicznie zbliżamy się do docelowego wzgórza. Jaynie zauważa to i próbuje interweniować.

- Shelley, wyprzedzasz plan...

Kanoa jest po mojej stronie, więc przerywa jej:

- Podjazd z prawej, za sto sześćdziesiąt metrów.

Leonid odbiera informację przez swoją pętlę audio.

- Widzę go.
- Dziesięć metrów w głębi jest zamknięty stalową bramą - dodaje Kanoa.
- Otworzy się - obiecuję.

Leonid nie odrywa oczu od drogi.

- Jesteś pewny, królu Dawidzie?
- Prawie.

To miejsce zostało zhakowane. Jak inaczej ma się to odbyć? Opuszczam szybę, a potem wychylam się z lasherem w garści, zapierając się łokciem o ramę okienka drzwiczek.

Leonid naciska hamulec, przygotowując się do skrętu. Opony piszczą i dymią.

- Brama się otwiera - informuje Kanoa. - Nie widać innych śladów aktywności.

Skrećmy ostro na betonowy podjazd. Brama usunęła się z drogi. Nie ma innych środków obrony.

- Zasuważ - polecam Leonidowi.

Podjazd okrąży wzgórze. Leonid gna w górę stromego wzniesienia, silnik elektryczny pracuje cicho, ale opony hałasują w ciszy przedświt. Dom na szczycie jest chroniony przez forteczny mur, ale kiedy zbliżamy się do niego, Kanoa informuje ponownie:

- Teraz otwiera się druga brama. Żadnych innych oznak aktywności.

Wiedziałem, że to będzie łatwizna.

Anioł wysłał czerwony alarm. Zarejestrował podejrzany ruch na południowym wschodzie, od strony Zatoki Perskiej. Zerkam przelotnie na wiadomość tekstową, która głosi, że w powietrzu są trzy śmigłowce... ale informacja znika z nakładki. Włącza się Delphi:

- Nie ma zagrożenia. Nadlatują siły wsparcia.
- Nie potrzebujemy ich. Musimy tylko zostać ewakuowani, kiedy będzie po wszystkim.

Nie odpowiada.

Mijamy drugą bramę i wjeżdżamy na rozległy dziedziniec wyłożony płytkami i otaczający dwupiętrową rezydencję. Po prawej stronie drzwi wejściowych znajduje się sięgające dachu okno z czarnego, foliowanego szkła, które zachodzi za róg domu.

Nadal nie ma żadnej obrony, żadnych wrogów; nie pada ani jeden strzał.

W Biblii, gdy Dawid został wezwany samotnie na pole bitwy, stanął przed wojownikiem o ogromnej sławie, ale ode mnie nie wymaga się nawet tego. Mogłem przyjść tutaj sam i nadal odniósłbym zwycięstwo. Czerwień zaplanowała to w ten sposób, przygotowała to dla mnie, ale nie chciałem przyjąć tego na wiarę - nie na początku.

James Shelley - niedowiarek.

Dlatego że nie zgodziłem się postąpić tak, jak mi kazano, chodzę na protezach.

Przejeżdżamy przez dziedziniec i zatrzymujemy się piętnaście metrów przed domem. Otwieram drzwiczki auta w chwili, w której Abajian włącza się przez gen-kom:

- Kapitanie Shelley, to zaszło za daleko. Proszę zostać tam, gdzie pan jest. Niech pan nie wchodzi do budynku.

Leonid słyszy rozkaz przez pętlę audio i zamiera; drzwiczki po jego stronie są uchylone. Patrzy na mnie pytająco.

- Powinieneś zostać - mówię mu poza gen-komem.

Syczy z irytacją.

- Dokonałem wyboru. Chodźmy.

Wyślizguje się z samochodu. Ja też.

Pułkownik Abajian nie jest moim bezpośrednim dowódcą. Miło byłoby powiedzieć mu, żeby się odpiardolił od mojej misji, ale nie jestem już nabuzowanym porucznikiem i liczę na to, że Abajian wyciągnie nas stąd. Stosuję więc podejście dyplomatyczne.

- Zadanie jest jasne, sir. - Pod moimi stopami błyszczą krwawa ścieżka prowadząca przez wykafelkowany dziedziniec ku drzwiom wejściowym. - Jestem zobowiązany wejść do budynku.

- Kapitanie, nie ma pan pojęcia, jaka jest stawka. Niech pan się nie zbliża. W drodze znajduje się zespół specjalistów, którzy przejmą operację.

Nie mam czasu na kłótnie. Moi żołnierze poruszają się szybko. Mapa oddziału pokazuje ich w odległości mniejszej, niż pięć minut marszu, a ja muszę wiedzieć, w co się pakujemy, zanim tutaj dotrą. Delphi uważa, że z tą operacją jest coś nie tak, że nie jest taka łatwa, jak się wydaje. Jeśli to prawda, mogę się wycofać. Usunąłem z głowy odbiornik, żeby Czerwień nie mogła mnie skłonić do wykonania misji. Ale Logan, Fadul i Tran są nadal w niebezpieczeństwie. Znajdą się tutaj wcześniej, niż zespół Abajiana. Muszę więc wiedzieć.

Z lasherem w dłoni podążam wzdłuż lśniącej krwawej ścieżki w stronę frontowych drzwi rezydencji - wielkich, miedzianych, dwuskrzydłowych wierzei pokrytych abstrakcyjnymi reliefami. Leonid idzie obok mnie w odległości pięciu metrów, z karabinem w obu rękach, gotowy do strzału.

- Kapitanie Shelley, niech się pan natychmiast zatrzyma! To pańska samowolna akcja wywołała wojnę w Arktyce. To, co znajdziemy wewnątrz tego budynku, może naprawić tamten błąd. Może ujawnić naszych ukrytych wrogów. Nie wtedy jednak, gdy zniszczy pan Naszirę. Załatwi ją

pan, a wtedy zostaniemy z ręką w nocniku.

- Zbiorę wszelkie informacje wywiadowcze, jakie zdołam, sir, ale celem tej misji jest wyeliminowanie Nasziry.

- Zmieniam ten cel. Bezpieczeństwo narodowe wymaga, byśmy przejęli L-AI. Ma pan utrzymać to miejsce i nie pozwolić nikomu wejść w oczekiwaniu na przybycie...

Wylogowuję się z gen-komu.

W szpitalu w Budapeszcie Issam próbował mi wyjaśnić kwestię lokalnych sztucznych inteligencji. „Są tym samym, czym mikroczipy w korze twojego mózgu. Zmieniają osobowość i wpływają na cele Czerwieni”.

Oczywiście Abajian chce przechwycić Naszirę i przejąć kontrolę nad tą technologią, bo jeśli ktoś zdoła manipulować Czerwienią, to w końcu zdobędzie cały świat.

Leonid miał racje; powinienem był wykonać tę misję samodzielnie.

Kolejny błąd, ale nie jest jeszcze za późno. Chwytam ogromny, prostokątny uchwyt drzwi.

- Uważaj, Shelley - mruczy Leonid.

Nie ma czasu na ostrożność. Już słyszę za sobą warkot małej eskadry helikopterów nadlatujących znad Zatoki. Zastanawiam się, czy wojsko irackie będzie miało obiekcje wobec tego wtargnięcia... ale Abajian zabezpieczyłby się przed tego rodzaju ewentualnością. Już dobiłby targu.

Ciągnę drzwi. Nie są zamknięte na klucz. Wiedziałem, że tak będzie.

Wewnątrz jest ciemno. Poprzez okno ściennie widzę dziedziniec, ale w środku dostrzegam tylko błyszczącą drogę krwi. Nic także nie słyszę, nawet mrużenia urządzeń domowych, a powietrze czuć stęchlizną jak w zamkniętym pomieszczeniu z wyłączoną klimatyzacją.

Wyjmuję otrzymany od Leonida cyfrowy noktowizor i nakładam go.

Odsłania przede mną widok salonu rekina: sofy i fotele, stoliki podręczne i aranżacje kwiatowe.

- Ktokolwiek tutaj był, zniknął, gdy się tylko dowiedział o naszym ataku.

Leonid patrzy przez własne gogle noktowizyjne.

- Tak. Dom wygląda na opuszczony.

Sztandarowa procedura polegałaby na sprawdzeniu tego poziomu przed zrobieniem czegokolwiek innego, ale nie mam na to czasu. Idę więc w poprzek salonu tam, dokąd jestem kierowany - ku szerokim schodom bez balustrad, wznoszącym się na pierwsze piętro. Leonid nie widzi krwawego szlaku, więc idzie za mną.

Wchodzimy po schodach, gdy otrzymuję prośbę o odebranie rozmowy telefonicznej.

- Karin Larsen - informuje mnie głosem nakładka.

- Papo, odbiorę połączenie zewnętrzne.

- Od kogo?

- To Delphi. - Nawiązuję łączność. - Czy Abajian stoi za twoimi plecami?

- Nie - mówi przerażona. - Wyszłam na zewnątrz. Pokaż mi, co widzisz.

Ufam Delphi, więc podłączam ją do mojego przekazu wideo.

Przygląda się otoczeniu i nic nie mówi, chociaż słyszę jej nerwowy oddech. U szczytu schodów jest salonik oraz drzwi prowadzące przypuszczalnie do sypialni i pokoi dziennych, ale powietrze jest tak samo stęchłe, jak na dole; w całym domu panuje cisza.

Skrećam, żeby wejść na drugą kondygnację schodów, która wznosi się w przeciwną stronę domu; ścienne okno znajduje się z boku. Leonid idzie kilka stopni za mną.

- Skąd wiesz, dokąd masz iść? - pyta Delphi.
- Mam wyświetloną trasę.
- Masz szperacza?
- Nie.
- Co za gówno.

Delphi rzadko przeklina.

- Potrzebuję więcej informacji - szepcze. - Czuję się tak, jakbym straciła połowę zmysłów.
- Taa.

Hełm PGB może wykryć pole elektromagnetyczne i odfiltrować słabe sygnały radiowe. Szperacz może wyczuć materiały wybuchowe i oczywiście wysłalibyśmy go przodem, żeby mieć widok na to, co nas czeka, ale musimy sobie poradzić bez tych wszystkich udogodnień. Lasher, którego trzymam, nie ma nawet kamer lufowych.

- Zwolnij - mówi Delphi.
- Nie mamy czasu. Muszę wiedzieć, co się tutaj znajduje.

Drugie piętro różni się od dwóch poprzednich poziomów gdyż jest mniejsze. Zakrzywione okno ścienne styka się ze szklaną ścianą o przesuwanych drzwiach wychodzących na taras na dachu, pomalowany jak lądowisko helikoptera. Nie ma żadnych mebli, tylko gładka marmurowa podłoga. Podchodzę do okna ściennego. Patrzę na dziedziniec dwa piętra w dół; brama podjazdu nadal stoi otworem. Nie widzę stąd mojego oddziału, ale wiem, że dzieli ich zaledwie kilka minut marszu.

- Obróć się - mówi Delphi. - Chcę zobaczyć, co jest za tobą.

Robię, co mówi.

Wylot klatki schodowej otacza balustrada. Za nią jest betonowa ściana ze stalowymi drzwiami. Krwawy szlak prowadzi wprost do nich. Mam kurewską nadzieję, że są wyposażone w zamek elektroniczny i że Czerwień go zhako-wała, bo jeśli nie, to wywalenie ich pochłonie cały zapas C-4.

- Tam mam pójść - mówię Delphi. A potem zwracam się do Leonida: - Przez te drzwi.

Rusza ku nim, ale wyciągam rękę, żeby go powstrzymać.

- Pójdę przodem.

- Czekaj - mówi Delphi. - Stójcie obaj. Zastanówmy się nad tym przez chwilę...

- Nie mamy chwili.

- ...bo dzieje się coś jeszcze.

Leonid podchodzi do szklanej ściany wychodzącej na lądowisko śmigłowca.

- Black hawki są w odległości czterech minut lotu, nie więcej.

- Delphi, musimy wkroczyć natychmiast. Wiem, że to wygląda dziwnie, ale dlatego, że idzie łatwo. A jest łatwo, bo misja została dla mnie przygotowana: mam wejść, umieścić ładunki wybuchowe, poszukać materiałów wywiadowczych, a potem wyjść. Muszę to załatwić, zanim nadlecą black hawki.

- Nie taki był twój przydział - zaprzecza Delphi. - Miałeś przyjść tutaj sam, bez broni i ładunków wybuchowych. Załóżmy, że tak się stało. Co byś zrobił?

- Przypuszczalnie zdobyłbym materiały wybuchowe po drodze.

- To naciągane. Nie możesz tego zakładać. Widziałam rozkaz. Major Kanoa pokazał mi go. Miałeś zniszczyć Naszirę. Nie zlokalizować ją,

zrobić dokumentację miejsca czy zebrać materiały wywiadowcze. Po prostu zniszczyć L-AI. Jak, skoro byłbyś tutaj sam? Co byś zrobił? Co mógłbyś zrobić?

Zerkam na obraz przekazywany przez anioła. Pokazuje mi oddział już przy pierwszej bramie. Nawet nie zachowują odstępów między sobą, a warkot śmigłowców nasilił się do tego stopnia, że słychać go nawet przez grubą szybę.

Co mógłbym zrobić? Stawiam się na alternatywnej linii czasu i odpowiedź okazuje się prosta: To samo, co robię.

- Muszę wejść do tamtego pomieszczenia i przekonać się, co tam jest - odpowiadam. - Wiem tylko, że Czerwień nie przysłałaby mnie tutaj, chyba że...

Urywam, gdy zauważam błąd w swoim rozumowaniu.

- O cholera, Delphi, chyba że to oznacza, że środki do wykonania tej misji są już na miejscu. Papo! - Spogląda na mnie z napięciem na twarzy.

- Musimy spierdalać.

- Co odkryłeś?

- To miejsce jest zaminowane. Musi być.

Zawsze zakładamy istnienie min pułapek, gdy znajdujemy obiekty opuszczone przez wroga, ale tym razem w ogóle o tym nie pomyślałem, bo wiedziałem, że Czerwień wyścieliła mi drogę; uratowała mi życie nad kanałem, żeby tutaj przyprowadzić; krwawy szlak błyszczał pod moimi stopami; jestem żołnierzem Czerwieni i jesteśmy, kurwa, po tej samej stronie.

Ale w kalkulacjach Czerwieni sukces tej operacji musi się liczyć bardziej od mojego przetrwania.

Nigdy nie ufaj Czerwieni.

- Wynoś się stamtąd - mówi Delphi.

Jednak Leonid chce wiedzieć więcej.

- Widzisz przewody?
- Nie. Będą po drugiej stronie drzwi. Albo zapalnikiem jest czujnik ruchu.
- Gdyby tak było, już byśmy go uruchomili. - Idzie ku stalowym drzwiom.
- Niech cię szlag, Papo!

Nie potrafię się opanować. Cofam się aż pod szklaną ścianę. Wpadam na nią i jakiś ruch zwraca moją uwagę. Zerkam w dół i widzę Abajianowego psa z piekła rodem, który przebiega przez bramę.

- Delphi, czy ten stwór może tutaj wejść?
- Nie, nie otworzy sobie drzwi wejściowych.

Leonid dociera do stalowych drzwi. Kuca, żeby przyjrzeć się z bliska zasuwie. Potem zerka na mnie przez ramię.

- Masz rację. Podejdz. Nagraj to. A kiedy zaufasz następnym razem swojemu bogu, przypomnij sobie tę chwilę.
- Nie rób tego - sprzeciwia się Delphi. - Zejdz na dół i uciekaj stamtąd.

Chcę wyjść. Serce mi wali. Oddycham ciężko. Mówię sobie jednak: Zablokuj to, po czym stosuję się do polecenia Leonida. Idę przez pomieszczenie ku stalowym drzwiom i trzydzieści centymetrów poniżej ich zasuwę rejestruję widok ledwo zauważalnego, świeżo uciętego przewodu, jasnozielonego w noktowizji.

- Delphi, wyślij obraz Abajianowi. - Jego ludzie będą tu niebawem. Muszą znać zagrożenie.
- Przyjęłam. A teraz wypad!

Leonid jakby ją słyszał. Udowodnił swoje. Teraz idziemy razem na drugi koniec pomieszczenia, ale gdy Leonid skręca w stronę schodów, ja podchodzę do okna, zaniepokojony piekielnym psem, którego kontrolują ludzie Abajiana.

- Co robisz, Shelley? - pyta Delphi. - Zejdź na dół.
- Gdzie cerber?

Czekając na jej odpowiedź, wyławiam drugą porcję pigułek otrzymanych od Leonida. Mam złe przeczucie, więc przełykam je na sucho, tak na wszelki wypadek.

Delphi wraca na linię po pół minucie, najwyraźniej zdziwiona.

- Nie wiem, gdzie jest to cholerstwo. Spadaj stamtąd.

Za otwartą bramą dziedzińca widzę Jaynie, która biegnie podjazdem, oraz Logana, który pędzi piętnaście metrów za nią. Loguję się ponownie do gen-komu. Mapa oddziału pokazuje mi, że Fadul i Tran są niedaleko za nimi.

Logan zauważa moją ikonę i się zatrzymuje.

- Shelley, raport sytuacyjny! - żąda. Fadul, a potem Tran zatrzymują się za nim. - Gdzie cię, do diabła, zaniósł?
- Zostańcie tam, gdzie jesteście - mówię szeptem. - Przyczajcie się wszyscy. Nie ruszajcie się z miejsca.

Jaynie jest teraz znacznie wysforowana przed resztą, ale zatrzymuje się tuż przed bramą.

- W drzwiach jest styk zapalnika - mówię - który ma się uruchomić przy otwarciu krypty. Zniszczyć Naszirę, prawda? Taki był rozkaz. Miałem otworzyć te drzwi.
- O cholera - mówi Logan.

- Abajian może dostać to, co tam jest - ciągnę - bo nie jesteśmy samobójczymi dżihadystami.

Odwracam się, że ruszyć za Leonidem na dół, ale powstrzymuje mnie głos Fadul:

- Znajdź inny sposób, Shelley, żeby to załatwić.

To cicho wypowiedziana groźba, która zmusza mnie do ponownego wyjrzenia na zewnątrz.

Fadul stoi nadal za Loganem, ale Jaynie ruszyła przed siebie.

- Zostań na miejscu, Jaynie! To rozkaz.

Ignoruje mnie. Przechodzi przez bramę, a Fadul stwierdza:

- Mamy misję, kapitanie.

- Ta misja to bzdury.

- Nie pan podejmuje decyzje. - Próbuje ominąć Logana, który zastępuje jej drogę.

- Zostań, Fadul - ostrzega ją.

- Wygląda na to, że Vasquez ma własną misję - odpowiada Fadul.

To prawda. Jaynie porusza się szybko po dziedzińcu, mija SUV-a i zmierza do drzwi wejściowych.

- Kurwa, padnij! - woła Fadul.

Tran rzuca się na ziemię, a ona sama przypada na jedno kolano, podnosząc ztkh do ramienia.

- Fadul, nie - błagam, przekonany, że celuje w Jaynie, ale się myłę.

Strzały Fadul padają równocześnie z błyskami ognia wylotowego, który lśni pod SUV-em. Pod nim musi się kryć pierdolony cerber. Przyczajony

pod pojazdem, niewidoczny dla anioła, gdyż Abajian uznał, że jesteśmy jego wrogami i zastawił zasadzkę na mój oddział.

Jaynie przerywa milczenie.

- Kto nim kieruje? - wrzeszczy przez gen-kom. - Załatwcie go! Załatwcie!

To Fadul go załatwia. Piekielny pies wystrzeliwuje tylko sześć pocisków, zanim ona posyła pod SUV-a dwa granaty. Eksplozja podrzuca pojazd, spod którego bucha wokoło ogień.

Sprawdzam ikonę Jaynie. Musiała znaleźć osłonę przed odłamkami, gdyż jej znacznik jest nadal zielony. Ale Logan oberwał. Widzę go na ziemi, jego ikona na mojej nakładce żółcieje, a potem czerwienieje. Tran dociera do niego, i zsuwa plecak z ramion, żeby wyjąć apteczkę.

Kiedy ktoś otwiera drzwi frontowe, warkot helikopterów się nasila. Z początku sędzę, że do środka weszła Jaynie. Później widzę jednak opuszczającego dom Leonida. Okrąża płonącego SUV-a, a potem idzie przez dziedziniec w stronę bramy swoim szybkim, ociężałym krokiem, wołając do Trana, żeby miał apteczkę pod ręką.

- Kanoa! — Z powodu mojego poszkodowanego gardła to zaledwie natarczywy szept. - Kto wydał piekielnemu psu rozkaz otwarcia ognia? Abajian?

Kanoa nie odpowiada.

- Abajian musiał odciąć Kanoę - odzywa się Delphi. - Musisz opuścić ten dom.

- Nie. Muszę wiedzieć, czy Abajian zamierza nas wystrzelać, kiedy te śmigłowce tutaj dotrą.

- Wracam do środka - odpowiada Delphi. - Zobaczę, co zdołam zrobić.

Nasze połączenie się urywa.

Na dziedzińcu Tran zaczyna się zajmować Loganem, a Fadul idzie

samotnie przez dziedziniec.

- Fadul - zwracam się do niej - zostań z Tranem. Nie przychodź tutaj, bo będziesz łatwym celem.
- Nie mogę tego zrobić, Shelley.

Leonid dotarł na drugi koniec dziedzińca. Zatrzymuje Fadul w bramie, chwytając ją za wspornik ramienny, i mówi coś do niej poza gen-komem. Fadul wyrывa się z jego uchwytu, ale odwraca się nieco, śledząc Leonida wzrokiem, gdy ten kuca obok Trana i pomaga mu opatrywać Logana.

Przez chwilę pozwalam sobie żywić nadzieję, że Fadul zawróci, żeby im pomóc, ale nie taki ma plan. Przechodzi przez bramę.

- Fadul! - warczy Jaynie przez gen-kom. - Zatrzymaj się. Wyjdź za bramę i zostań tam.

Fadul się waha, rozglądając się czujnie po dziedzińcu.

- Abajian wydał ci specjalne rozkazy, Vasquez? - pyta. - Teraz masz zastrzelić mnie?
- Nie dostałam takiego polecenia - odpowiada Jaynie. - I nie chcę cię skrzywdzić.
- Ani ja ciebie, siostró. Szanuję cię, ale musisz zejść mi z drogi.

Słyszę w tych słowach tę samą piekielną determinację, która brzmiała w moim głosie, gdy zapytałam Leonida: „A kto powiedział, że nie chcę?”. Nie mogę dłużej wątpić. Fadul jest sterowana i zrobi wszystko, co trzeba, żeby wykonać misję.

Odwracam się i gnam ku schodom. Nie mam w głowie żadnego planu, ale pastylki zaczynają działać i zakładam, że musi być jakiś sposób na powstrzymanie Fadul przed zabiciem siebie lub Jaynie, ale potem Pia wykrzykuje ostrzeżenie, które zatrzymuje mnie u szczytu schodów:

- Uważaj, Shelley! Vasquez idzie po ciebie.

Nie ma prawdziwych sojuszników, myślę sobie. Nie ma ustalonych wrogów.

Warkot śmigłowców miesza się z rykiem płomieni palącego się SUV-a, tworząc biały szum, nie do końca zagłuszający zdecydowane dudnienie stóp martwej siostry, w której ktoś pędzi w górę schodów.

Podnoszę lashera, gotów się bronić, gdy Jaynie wskakuje na podest podemną i tam się zatrzymuje. Jej czarna przyłbica jest zadarta ku mnie, ale lufę ztkh trzyma skierowaną ku podłodze.

- Nie chcę uczestniczyć w tej grze, Shelley - mówi poza gen-komem. - Wyjdźmy na zewnątrz, zanim któreś z nas ucierpi.

Ja też nie korzystam z gen-komu.

- Do diabła, Jaynie! Fadul ma rację? Pracujesz dla Abajiana? Bo Logan umiera z powodu rozkazu, który wydał ten skurwieli!

Mówię szybko, ograniczając słowa, zdecydowany to załatwić. Ostatnia szansa.

- To nie powinno się było zdarzyć - przyznaje Jaynie. - Ale nie pogarszaj sytuacji. Mam rozkaz ochronić kryptę, a jeśli ty nie jesteś w stanie zapanować nad Fadul...

- Dlaczego jesteś tutaj, Jaynie? Co ci obiecał Abajian? Że okiełzna Czerwień?

- A czyż nie do tego służą lokalne sztuczne inteligencje? Ale to nie Abajian. To misja Monteiro. Chciała, żebyś wziął udział w tej operacji, bo pragnęła, żebyś sprowadził Czerwień. Pozwolił, żeby znalazła dla nas Naszirę. Zrobiłeś to. Teraz musisz się usunąć.

Taa, sądziłem, że to może tak wyglądać. Monteiro otrzymała też wszystkie dane z laboratorium. Muszę przyznać, że to była mistrzowska zagrywka.

- Co zyskałaś na tej umowie? - pytam.

- Powiedziała, że jeśli zwerbuję cię do wykonania tej misji, to ona zniesie restrykcje wobec projektu marsjańskiego.

Znowu Mars?

- Pierdolić Marsa! Dlaczego tak cholernie chcesz nas opuścić?
- Nie masz prawa mnie o to pytać.
- Powiedz jednak.
- Po prostu chcę tego. Pragnę być pierwsza. Przychodzę znikąd. Zajmuję nowy świat. Tak trudno to pojąć?
- Stamtąd nie ma powrotu, Jaynie. Nigdy.
- Znikąd nie ma powrotu, Shelley. Takie jest życie. Mamy do przejścia tylko jedną drogę.

To nie jest odpowiedź, a przynajmniej nie taka, jaką chcę usłyszeć. To jednak wszystko, co dostanę w danej nam chwili, w pożyczonym czasie.

Opuszczam lufę broni i zbiegam truchtem po schodach.

- Dobra. Chodźmy. Ale musisz mi pomóc z Fadul. Nie chcę jej skrzywdzić, ale jest sterowana.
- Co to znaczy?
- Dano jej misję, która była przeznaczona dla mnie, i Fadul jest gotowa zrobić wszystko, żeby ją wykonać.
- Chcesz powiedzieć, że Czerwień steruje nią jak marionetką?
- Tak.

Udaje mi się dotrzeć na podest w samą porę, żeby granat hukowo-błyskowy eksplodował mi u stóp.

Leżę na plecach, patrząc w górę schodów prowadzących na drugie piętro.

Nie jestem pewny, czy chcę jeszcze kiedykolwiek się podnieść. W uszach mi dzwoni, klatka piersiowa mnie boli... Do diabła, wszystko mnie znowu boli; widzę jak przez mgłę, gogle noktowizyjne mam przechylone na twarzy, a pigułki, które połknąłem, przyprowadzają mnie o taką galopadę serca, że chyba będę miał zawał.

- Powinieneś nosić hełm - stwierdza Fadul, wskakując z parteru na górę.

Mówi przez gen-kom, więc jej słowa docierają do mnie dzięki implantom. W innym wypadku nie mógłbym jej usłyszeć; nie na tle ryku helikopterów. Mimo to jej głos jest stłumiony, zwielokrotniony echem. Zastanawiam się, czy krwawię z uszu.

Obracam głowę. Jaynie nigdzie nie widać. Sięgam po lasherę. Fadul odrzuca go kopniakiem.

- Wypisałeś się z misji, Shelley. Nie wiem, po czyjej jesteś stronie.

Przerywa na czas niezbędny do tego, żeby sięgnąć do kieszeni mojej kamizelki i wyjąć granat rozpryskowy, który dała mi wcześniej.

- Na wszelki wypadek - mówi.

Wkłada go do swojej kieszeni, po czym z ztkh trzymanego w jednej ręce wystrzeliwuje granat wprost w ścienne okno. Omiata nas fala uderzeniowa, szkło sypie się na dziedziniec.

Kulę się, przekonany, że nastąpi większa eksplozja. Ale nie.

- Vasquez - mówi Fadul - to po to, żebyś wiedziała, że nie żartuję. Przeładowałam, gdy tutaj wchodziłam. Mam kolejne dwa granaty. A ty nie będziesz chciała być w punkcie zero, gdy wybuchną ładunki w krypcie. Masz pięć sekund, żeby się wycofać.

- Niech cię szlag, Fadul - chrypię. Chwytam wspornik jej nogi, żeby się podciągnąć do pozycji siedzącej. Patrzenie na Fadul z podłogi, gdy jest w pełnym rynsztunku, a ja nie, jest cholernie onieśmialające. - Nie sądzisz, że kiedy zdetonujesz ładunki, to cały ten budynek się zawali?

- Możliwe - przyznaje - ale nie zostawię tego dla ekipy Abajiana. Mamy dopilnować, żeby wszyscy byli widoczni, wszyscy odpowiedzialni. A kiedy Monteiro sprawi sobie własną L-AI, nie będzie ani widoczna, ani odpowiedzialna. Więc wypierdalaj stąd, a ja będę...

Obraca się i podnosi broń, żeby strzelić do czegoś w górze. Nie tracę czasu, żeby tam spojrzeć. Na górze jest tylko jedna rzecz, która może zagrozić powodzeniu misji. Gównianej misji.

Rzucam się całym ciężarem ciała na wspornik, którego się trzymam, i mocno szarpię stopę Fadulę. Nie chcę jej skrzywdzić. Nie chcę także, żeby ucierpiała Jaynie. Chcę tylko, kurwa, to przerwać.

Fadul przewraca się na plecy, gdy nadlatujące pociski przeszywają powietrze. Rozorują jej bark i nadgryzają schody nad głową, a seria z jej ztkh wybija podobne dziury w suficie. Grzmiący trzask karabinu niemal rozrywa mi czaszkę, ale atakuję mimo to. Rzucam się na Fadul, licząc na to, że Jaynie nie będzie strzelała przeze mnie. Jedną ręką chwytam ztkh Fadul za kolbę, a drugą za parzącą lufę. Broń jest śliska od krwi.

Jaynie nie strzela. Przeskakuje nad poręczą schodów i ląduje jedną nogą na podeście, a drugą na dolnym stopniu kolejnej kondygnacji schodów, bujając się mocno na amortyzatorach.

Usiłuję wykręcić karabin z dłoni Fadul. Cierpi, ale nie puszcza. Jej zsyntezowany głos rozlega się w mojej głowie. „Nie każ mi cię zabić”. Mogłaby to zrobić z łatwością, gdyby puściła broń. Rozbiłaby mi czaszkę jednym ciosem rozpory ramiennej.

Jaynie interweniuje. Spokojnie i zdecydowanie przesuwa ztkh obok mojej głowy i wciska jego lufę w szyję Fadul.

- Puść to.

Wzdrygam się na odgłos strzałów. Jednak życie Fadul nie eksploduje mi w twarz. To Jaynie obrywa. Jej broń koziołkuje, a ikona zmienia kolor z zielonego na żółty. Obracam głowę i ku swojemu zaskoczeniu widzę ją skuloną na podłodze.

Wykręcam ztkh ze słabnącego uchwytu Fadul i rzuca w dół schodów, niemal trafiając Trana, który gna na pomoc z karabinem w ręce.

- Postrzeliłeś ją! - krzyczę. - Niech to szlag, ślubowaliśmy nie strzelać do siebie nawzajem.

- Musiałem to zrobić, Shelley! Fadul potrzebowała pomocy!

Obracamy się obaj i widzimy, że Fadul zaczepiła hak ramienny o poręcz. Podnosi się. Nie jest w dobrym stanie. Kolor jej ikony mija na skali żółć i zmierza ku czerwieni. Rękaw bluzy ma przesiąknięty krwią, która kapie z palców; wydostające się z nosa Fadul bąble są w noktowizji jasnozielone, ale jest nadal sterowana. Nie myśli o wyciekającym z niej życiu, tylko o misji: zniszczyć Naszirę.

Nie chcę, żeby umarła.

Rzucam się ku niej ponownie, ale tym razem dostaję płytą stopową w klatkę piersiową. To delikatne pchnięcie, które pozbawia mnie tchu i rzuca na Trana. Przez kilka cennych sekund usiłuję złapać oddech, a Fadul obraca się, żeby spojrzeć w górę schodów.

Zapylone powietrze nad miastem rozbłysło pod wpływem ognistego światła, które skrzy się w fasetach strzaskanego okna ściennego, drżących pod naporem nawałnicy wywołanej przez ryczące silniki.

Nie chcę, żeby ktokolwiek jeszcze zginął. Ale śmigłowce już tu są.

„Za późno, Fadul. Zastrzelą cię, zanim dotrzesz do tych drzwi”.

Odpowiada mi jej zsyntetyzowany głos:

„Nie muszę do nich dotrzeć”.

Ma rację. Nie ma już ztkh, ale ma mój granat rozpryskowy.

Powoli idzie w górę po schodach. Nie sędzę, żeby dała radę o własnych siłach, ale jest wspomagana przez martwą siostrę.

Odwracam się do Trana.

- Zajmij się Vasquez. Zabierz ją stąd. I nie wracaj do środka.
- Ale Fadul potrzebuje pomocy!
- Ja jej pomogę. Zabierz stąd Jaynie. I wyłącz nakładkę. Trzymaj Czerwień z daleka od swojej głowy, zanim zabije nas wszystkich. To rozkaz!

Zostawiam Trana i biegnę za Fadul, napędzany przez niezmordowane szare kości moich protez.

Czasu jest naprawdę mało.

Na drugim piętrze szklane odłamki miotają się w huraganowym podmuchu, gdy pierwszy helikopter okrąży z rykiem rezydencję. Wszystkie światła maszyny są wyłączone, ale noktowizja ujawnia strzelca z karabinem maszynowym na stanowisku. Będzie miał takie same rozkazy, jakie ma Jaynie: ochronić kryptę, nie dopuścić nikogo w jej pobliżu, gdyż Abajian ma obowiązek przekazać to miejsce w nietkniętym stanie zespołowi wywiadu.

Fadul wie o tym. Na szczycie schodów sięga do zawleczonego granatu rozpryskowego. Jeśli zdoła cisnąć go na drugi koniec pomieszczenia, umieścić w pobliżu stalowych drzwi, to eksplozja powinna uruchomić zapalnik materiałów wybuchowych, co - moim zdaniem - obróci cały ten budynek w gruzy, grzebiąc także pod nimi okrążający go śmigłowiec.

Ale nie dojdzie do tego. Dopalaczowy stymulant otrzymany od Leonida napęłnił mnie lekkomyślnym optymizmem superbohatera i jestem zdecydowany dopilnować, żeby ta główniana misja nie pochłonęła już niczyjego życia.

Odbijam się od ostatniego stopnia i skaczę, żeby zatrzymać Fadul i powalić ją na ziemię, zanim skosi ją ogień karabinu maszynowego. Spadam na jej barki z wysoka całą swoją masą. Nie spodziewa się tego.

Oslabiona ręka nie utrzymuje granatu. Pocisk wypada jej z dłoni i znika za rozbitym oknem ściennym. Kolana Fadul uginają się pod moim ciężarem. Rynsztunek wspomaga ten ruch i walimy się na podłogę.

To kurewsko długi upadek.

Kiedy trwa, karabin maszynowy grzmi, a wylot jego lufy zapala się huraganowym ogniem. Ostatnie resztki szklanej ściany zamieniają się w szklany grad. I obrywamy.

Oslabiam siłę uchwytu, w jakim trzymam Fadul. Pod moim barkiem chrzęszczą szklane odpryski. Musiałem zgubić gogle noktowizyjne, bo jest kurewsko ciemno. Czuję smak krwi. Słyszę czyjś krótki, chrapliwy oddech. Myślę, że mój własny.

Fadul jest tuż obok mnie. Czuję, że się porusza.

„Leż” - mówię jej. Śmigłowiec jest już na lądowisku. To koniec.

Poddaje się, leży spokojnie, co nie jest do niej podobne.

Sprawdzam na nakładce ikony oddziału. Tran jest naszym superbohaterem - tylko jego ikona świeci się nadal na zielono. I nie jest sterowany. Wiem, bo mapa pokazuje, że jest bezpieczny na zewnątrz, wraz z Jaynie. Muszę wierzyć, że mnie posłuchał, że wyłączył swoją nakładkę.

Ikona Jaynie jest żółta. Mówię sobie, że wyjdzie z tego i może kiedyś rzeczywiście polecą na Marsa.

Martwią mnie czerwone ikony. Wiem, że Papa jest przy Loganie i stabilizuje jego stan. Jednak po ikonie Fadul skradają się cienie; sądzę, że się wykrwawia. I jest trzecia czerwona ikona. Moja.

Słyszę w gen-komie błaganie Trana:

- Kanoa! Abajian! Ktokolwiek monitoruje tę sieć - potrzebuję sanitariuszy na górze! Natychmiast!

Jestem wdzięczny Tranowi za jego troskę, ale chłopak powinien zrozumieć, że Abajian musi rozbroić bombę.

Jednak Fadul miała rację. Wyperswadowałem sobie tę operację. To była główniana misja. Ale kłopotów byłoby zdecydowanie mniej, gdybym po prostu otworzył tamte drzwi.

W nocy poruszają się cienie, mgliście ludzkie kształty. Słysząc ryk wiatru albo wirników.

To wszystko, co do mnie dociera.

**PRZYMUSOWE
ODEJŚCIE**



Wszyscy widoczni, wszyscy odpowiedzialni.

To sobie myślę, kiedy się budzę, i czuję się tak, jakby zżerała mnie rozpacz, bo wiem, że po katastrofie w Basrze jesteśmy dalej od naszego celu, niż kiedykolwiek wcześniej. Zostałem wyznaczony do zniszczenia Nasziry, Abajian zamierzał ją przejąć, a ja pozwoliłem mu to zrobić. Kto wie, jakie potworności będzie skrywał za osłoną działań dobrze wyszkolonej L-AI?

I wtedy, przez krótką chwilę, jestem wściekły jak wszyscy diabli. Dlaczego, kurwa, nadal żyję?

Ile żyć muszę wykorzystać?

- Shelley - odzywa się Delphi. — Słyszysz mnie?

Mrugam, wydrążony w środku i przygnębiony. Co ze mną nie tak, kurwa?

Zablokuj to!

Tak sobie myślę. To polecenie do mojej neuronetki, ale spokój i opanowanie, których się spodziewam, nie nadchodzą.

- Shelley - szepcze Delphi. - Spójrz na mnie.

Muszę mrugnąć kilka razy, żeby skupić wzrok na jej oczach. Opiera się o moje łóżko szpitalne, a na jej pięknym czole widać zmarszczkę niepokoju.

- Witaj z powrotem — mówi szeptem.

Usta mam suche, ale jestem bliski paniki, więc zmuszam się do mówienia:

- Moja neuronetka nie działa.

To nie Delphi mi odpowiada, tylko mój ojciec:

- Kazałem chirurgom ją usunąć.

Obracam głowę, zaskoczony jego widokiem po drugiej stronie łóżka. Wygląda inaczej, niż go zapamiętałem. Jest starszy, bardziej posiwiały, ale i bardziej zdeterminowany, jeśli to możliwe. I wtedy ogarnia mnie gniew. Nie miał prawa podjąć za mnie tej decyzji; tak myślę. Musiał wykorzystać stare pisemne pełnomocnictwo, żeby doprowadzić do tego. Kładzie dłoń na moim barku.

- Nic ci nie będzie - zapewnia mnie.

Delphi popiera go.

- Vasquez nauczyła się żyć bez hardware'u - mówi. - Ty też dasz radę.

Nie jestem w stanie się spierać. Poza tym są inne sprawy, o których muszę się dowiedzieć.

- Czy z Jaynie wszystko w porządku?
- Tak. Jest znowu w San Antonio. Nic jej nie będzie.
- A Fadul? - pytam szeptem. - Escamilla? Logan? Żyją?
- Są na oddziale intensywnej terapii - odpowiada Delphi. - To wszystko, co wiem. Abajian odciął mnie od informacji.
- Muszę się zobaczyć z Kanoą!

Próbuję usiąść, ale tata napiera na mój bark na tyle mocno, żeby dać mi znać, że nigdzie nie idę.

- To koniec, Jimmy. To już nie jest twoja walka. Przeszedłeś na emeryturę.

Czas płynie i moje obrażenia się goją. Umysł mam jasny. Mniej więcej.

Odwiedzam psychiatrę, który przepisuje mi umiarkowane dawki

prymitywnych leków. Mówię mu cały czas, że neuronetka rozwiązałaby wszystkie moje problemy. On mi powtarza, że jestem teraz cywilem i zgodnie z prawem nie wolno mi mieć neuronetki.

To selektywne rozumienie prawa. Pomimo tego wszystkiego, co zrobiłem, FBI zostawia mnie w spokoju. Nikt nie oskarża mnie o popełnienie morderstwa, bunt czy nielegalne posiadanie broni.

Dobrze jest być bohaterem wojennym.

Być może w taki właśnie sposób Monteiro wyraża wdzięczność za oddanie Nasziry w jej ręce.

Od wydarzeń w Basrze minęły cztery miesiące, ale przez cały ten czas nie miałem żadnej wiadomości od Kanoi i nadal nie wiem, czy Fadul i Logan przeżyją. Delphi ostrzega mnie, że być może nigdy się tego nie dowiem. Leonid także zniknął. Telefonowałem do niego co kilka dni, ale nie odbierał i jakoś pod koniec marca przestałem próbować.

Nie jestem jednak sam; jeszcze nie.

- Cześć - mówi Delphi, wchodząc do salonu naszego mieszkania.

Jest przepiękne majowe popołudnie, a ja czekam na nią przy oknie, patrząc na ulicę z wysokości dwudziestego siódmego piętra. Przygląda mi się przez chwilę, z lekką zmarszczką zaniepokojenia na czole. Potem się opamiętuje i uśmiecha.

- Vasquez będzie chciała wiedzieć, dlaczego nie przyleciałeś.

Trzyma małą walizkę; biorę ją od niej. Całuję Delphi i mówię:

- Jesteś cudowną kłamczuchą.

Leci do San Antonio. To regularne wyjazdy. Odbywa je służbowo co najmniej raz w miesiącu. Kilka tygodni temu poleciałem razem z nią. Jaynie zdecydowała się wyjść za jednego z jej inżynierów raketowych, więc poleciliśmy na ślub. Dość przyjemny facet, jak sądzę.

Pierwszy raz od czasu akcji w Basrze widziałem się z Jaynie. Żadne z nas nie chciało rozmawiać o przeszłości i nie czeka nas wspólna przyszłość, więc nie mieliśmy wielu wspólnych tematów. Sądzę, że oboje poczuliśmy ulgę, kiedy wsiadłem do samolotu wracającego do Nowego Jorku.

Odprowadzam Delphi do drzwi. W windzie obejmuję ją ramieniem. Wiem, że to irracjonalne, ale za każdym razem, gdy wychodzi, boję się, że nie wróci. Wyczuwa mój dyskomfort, ale jest twardą kobietą, więc zamiast rozproszyć moje wątpliwości, wchodzi w tryb opiekuńczy.

- Nie zapomnij, że jesteś dzisiaj umówiony z tatą na kolację.

Kiedy wyjeżdża z miasta, lubi przekazywać mnie ojcu.

- Przypomni mi o tym telefon - odpowiadam.

Marszczę brwi i sięgam do kieszeni, żeby sprawdzić, czy aparat tam jest.

- Mam go.

Telefon to kurewsko prymitywne urządzenie, ale tym się teraz posługuję. Nie mam nakładki ani wizora. Tata nie był usatysfakcjonowany, odzierając mnie z hardware'u. Nadal byłem na silnych środkach przeciwbólowych, kiedy skłonił mnie do złożenia idiotycznej obietnicy, że przeżyję rok bez usprawnień. Liczę dni do momentu, w którym się to skończy.

Tuż przed dotarciem windy do lobby pochylam się i ponownie całuję Delphi.

- Wróc - mówię.

Przewraca oczami.

- Wiesz, że wrócę.

Całuję ją znowu. Nie mam pojęcia, co ją przy mnie trzyma, z wyjątkiem tego, że oboje jesteśmy weteranami. Rozumiemy się. Jednak jej nazwisko znajduje się nadal na liście załogi marsjańskiej, która ma odlecieć za

zaledwie piętnaście miesięcy.

Nie mówimy o tym wiele. Sama musi podjąć decyzję, ale liczę, że zrezygnuje. Cokolwiek postanowi, ja nie polecę. Nie mogę, nawet gdybym chciał, nawet gdyby było wolne miejsce. Podałem się testowi psychologicznemu, żeby jej to udowodnić. Mój psychiatra nie jest w stanie zaleczyć wszystkich blizn narosłych w moim mózgu. Nie przeszkadza mi to. Zbyt mocno walczyłem o ten świat, żeby go teraz porzucić.

Delphi ma odwieźć na lotnisko zamówiony samochód.

Przyjeżdża, gdy wychodzimy na trotuar. Wkładam jej walizkę do bagażnika, a potem otwieram przed nią drzwiczki. Spogląda na mnie z niepokojem w błękitnych oczach.

- Dasz sobie radę, Shelley?

Zdobywam się na uśmiech.

- Potwierdzam.

Po jej odjeździe idę na spacer. Moja sława przemija, podobizna nadal nie figuruje w większości baz danych, i kiedy wychodzę, zazwyczaj wkładam buty, maskuję to, kim jestem, więc rzadko mnie zatrzymują - a przechadzki wypełniają mi czas. Tego popołudnia słońce grzeje, powietrze jest chłodne, drzewa są zielone, kwiaty kwitną w betonowych zaporach osłaniających budynki. To prężne miasto, które odzyskuje powoli energię utraconą w Dniu Komy.

Idę, aż docieram do mojego stałego ulubionego miejsca -do stolika na wolnym powietrzu w kafejce nieopodal Battery Park, gdzie siadam nad szklanką witaminizowanej wody i zastanawiam się nad tym, czemu, kurwa, ma służyć reszta mojego życia.

Zwykłem przyglądać się otoczeniu. Byłem w zbyt wielu niebezpiecznych sytuacjach, żeby się wyluzować całkowicie, kiedy jestem poza domem. Zauważam go więc natychmiast, gdy tylko staje przed kierowniczką kawiarni. Przyznaję -Leonid Siergun jest potężnym, trudnym do

przeoczenia mężczyzną.

Patrzy wprost na mnie przez szerokość patio. Pierwszy raz widzę go z wizorem. Gdy tylko mnie zauważa, zdejmuje go i chowa do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Uśmiecha się czarująco do kierowniczkę, po czym lawiruje między stolikami.

Leonid wygląda jak zamożny człowiek, którym naprawdę jest; ma na sobie garnitur znanego projektanta i antracytowej barwy płaszcz z połyskliwej tkaniny, która może zwieść pasywne skanowanie. Włosy świeżo ostrzyżone, palce wymanikiurowane.

- Gdzie się podziewałeś, do diabła? - pytam, kiedy odsuwa krzesło.
- Interesy, mój przyjacielu - odpowiada, siadając. - To zawsze są interesy.
- Nie mogłeś odebrać pieprzonego telefonu?

Kawiarniane krzesło trzeszczy, gdy Leonid opiera się na nim. Krzyżuje ramiona na piersi.

- Na pewno wiesz, że śledzą cię ludzie Abajiana.

Wzruszam ramionami. A jakże mogłoby być inaczej?

- Pułkownik nie był zbyt pewny, że będzie mógł mieć mnie na oku, gdy tylko opuścę jego pokoje gościnne.
- Mówisz, że trzeba było czasu, żeby go przekonać?

Leonid kiwa głową. Wyobrażam go sobie, jak gardłując, uwalnia się z jakiegoś mrocznego ośrodka odosobnienia, i nie mogę powstrzymać uśmiechu podziwu.

- Jesteś mistrzem czarnej magii, Papo.
- Zastanawiałem się, czy cię odwiedzić - przyznaje - ale byłem pewny, że chciałbyś wiedzieć.

Odwracam wzrok, gdy przyspiesza mi tętno; oblewa mnie żar. Chyba wiem, co chce mi powiedzieć.

- Fadul? - pytam niepewnie, przypominając sobie jej ikonę pokrytą czarnymi cieniami.

Wbrew moim podejrzeniom Leonid mówi:

- Fadul wydobrzeje. Ocaliłeś jej życie, Shelley. Życie jej, Trana, kapitan Vasquez i, jak podejrzewam, moje. Gdyby doszło do eksplozji, z tamtego domu nie zostałby kamień na kamieniu.

A więc to tak. Jestem oszołomiony. Zadowolony.

- Służy nadal w GRK 7-1? - pytam go.

- Tak mi powiedziano. Jak również twój przyjaciel Escamilla.

Czuję ulgę na wieść, że Escamilla się wylizał, ale jest jeszcze jedno nazwisko, którego Leonid nie wymienił. Biorę się w garść i pytam:

- A co z Loganem?

- Przykro mi. Walka o jego życie była długa, ale straciliśmy go zaledwie kilka dni temu.

Cholera.

Brak mi słów.

Do stolika podchodzi kelnerka, która przynosi Leonidowi ciastko oraz mrożoną kawę w wysokiej szklance.

Gdybym przyjął misję, którą mi poruczono, i otworzył tamte drzwi, Logan żyłby nadal.

- Nie możesz się o to winić - mówi Leonid, czytając mi w myślach.

Wzruszam ramionami.

- Przegraliśmy tę wojnę.
- Mogło być gorzej - stwierdza. - Przynajmniej wygrała twoja prezydent Monteiro.

To prawda. Sprawy mogły się potoczyć gorzej.

Nie wiem, ile w tym zasługi Monteiro, ale ponownie zapanował pokój. Wojna w Arktyce skończyła się przed nadejściem wiosny. Gwałtowne emocje w narastającym konflikcie między Indiami i Pakistanem opadły. Od czasu niezwykłego styczniowego incydentu w Basrze panuje spokój. I chociaż skutki operacji „Pęknięte Niebo” nadal zagrażają wielu satelitom na niskiej orbicie Ziemi, to przynajmniej istnieje teraz dobrze finansowane globalne konsorcjum, które ma za zadanie opracować sposoby zmierzenia się z problemem kosmicznych śmieci.

Historia podpowiada, że to jedynie chwila wytchnienia. Monteiro przejęła technologię, która kryje się za L-AI, ale ile czasu trzeba, zanim pani prezydent nadużyje władzy? Ile wody upłynie, zanim Czerwień przejrzy to i wyśle kogoś, żeby zakłócił jej plany? Nie jest łatwo okiełznać tytana. Powinno mnie to przerażać. Jak powiedział kiedyś pewien wróg, zawsze żyliśmy z diabłem za pan brat. I co z tego?

Dostosujemy się.

Poświęcam chwilę na przegrupowanie sił i zebranie odwagi, a potem przechodzimy do omawiania innych spraw. Leonid opowiada mi o swoich siostrzeńcach i jego nadziejach co do ich przyszłości. Ja opowiadam mu o Delphi. Ja też żywię nadzieje. Może żaden z nas nie ma prawa na nic liczyć, ale, do cholery, jesteśmy tylko ludźmi.

Czy żałuję zatem tego, co uczyniłem?

Żałuję, że trzeba było to zrobić. Czy to dość?

Chciałem służyć. Chciałem być dobrym facetem, postąpić słusznie. Skąd jednak wiadomo, czy poświęcenia, jakich od ciebie wymagano, były tego warte? Czy krew na twoich rękach znaczy cokolwiek? Nie wiesz tego. Nie możesz wiedzieć. To żołnierski dylemat. Wszystko sprowadza się do

kwestii zaufania. Czy ufasz tym, którzy wysyłają cię do walki?

W końcu Leonid podnosi kolejną szklankę mrożonej kawy.

- Za tych, których straciliśmy - mówi.

Stukam swoją szklanką o jego.

- Nigdy ich nie zapomnimy.

Posługuję się telefonem, żeby uregulować rachunek, dodając szczodry napiwek, a potem wychodzimy razem.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję przede wszystkim mojemu agentowi, Howardowi Morhaimowi, który zachęcał mnie do nadania trylogii „Czerwień” głębszego znaczenia, Michaelowi Prevettowi, który dostrzegł jej potencjał, oraz Joemu Montiemu z Saga Press za przyjęcie tych książek.

Pragnę także wyrazić wdzięczność tym, którzy pomogli przy powieści W stronę mroku. Ludziom na tyle uprzejmym, że odpowiadali na moje wyrwykowe pytania, które pojawiały się w ich mailowych skrzynkach odbiorczych; wśród nich są Ilona Andrews, Amy Sterling Casil, Wil McCarthy, Jesse Reyna, Deborah J. Ross i Edward A. White. Judith Tarr pomogła mi nadać kształt wczesnej wersji tej powieści. Edward A. White i Jeffrey A. Carter przekazali mi swoje opinie jako recenzenci, Joe Monti zaś przedstawił ważne uwagi edytorskie. Jak zawsze pragnę podziękować mojemu mężowi Ronaldowi J. Nagacie Sr. za to, że wytrzymuje ze mną i umożliwia mi pisanie.

Poza tym, co równie ważne, jestem wdzięczna wszystkim, którzy poświęcają czas na czytanie moich powieści i opowiadań. Ta trylogia istnieje dzięki waszemu wsparciu i zachętom. Dziękuję wam wszystkim za przyłączenie się do tej podróży!

Jeśli podobała się wam trylogia „Czerwień”, zastanówcie się proszę nad zrecenzowaniem jej na blogu czy na stronie internetowej sprzedawcy albo wspomnijcie o niej w swoich ulubionych mediach społecznościowych. Jeśli chcecie dostawać informacje o moich najnowszych książkach i opowiadaniach, odwiedźcie moją stronę MythicIsland.com i zarejestrujcie się, żeby otrzymywać okazjonalne news-lettery.

Linda Nagata, czerwiec 2015